PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO

LITERATURZE, UMIEJĘTNOŚCIÓM I SZTUCE

Poświęcone.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

ZESZYT IV.

TOM II.



WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1850.

Pozwolono drukować pod warunkiem, złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1849 roku 17 Września.

Cenzor, Professor b. Uniwer. Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler,
Jan Waszkiewicz.

PROSPEKT.

PAMIĘTNIK NAUKOWO-LITERACKI.

NA ROK 1850.

PISMO

LITERATURZE, NAUKOM I SZTUCE POŚWIĘCONE

pod Redakcją

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

ODDZIAŁ NOWY.

Każdy zabierający się do wydawania zbiorowego pisma, powinien przedewszystkiém zdać przed sobą dokładnie sprawę z tych dwóch zapytań: jakie mają być jego *zasady* i do jakiego *celu* ma dążyć? Trzeba więc wprzód objawić swe zasady i swoją dążność, aby czytelnicy wiedzieli czego po pismie spodziewać się mogą i jaki kierunek umysłowy w redakcji przewodniczyć będzie.

Główną podwaliną pisma naszego, będzie głęboka wiara we wszechstronne i nieskończone doskonalenie się rodzaju ludzkiego, w nieustanny jego postęp ku coraz wyższym sferóm ideału. Każdy wiek i każde pokolenie przykłada swoją cegiełkę do wspaniałéj budowy dziejowéj, ma jakąś robotę, jakieś posłannictwo do spełnienia. Ażeby schwycić choćby kilka rysów tego postępu, ażeby być spółpracownikiem w winnicy Pańskiéj, nie trzeba się zamykać w ciasnych formułach jakiejś pseudo-postępowéj szkoły, ale stanąwszy na wyżynie, zkąd można objąć umysłem wszystkie stopnie rozwijania się ludzkości, zapytać każdéj nowéj idei, jaką massę dobra przynosi i o ile się

przyłoży do postępu ludzkości. Za granicą tych warunków nie ma prawdziwego postępu, a jest tylko fałsz i omamienie, jest trwonienie sił własnych na próżną i niepożyteczną robotę.

Tu więc dajemy na zawsze rozbrat tym ludziom, którzy zawarci w szrankach obumarłéj przeszłości, nie chcą widzieć nieustannego objawu myśli bożéj w historji i nie pojmują, że każda instytucja, każdy stan społeczeństwa jest tylko zmiennym i niedoskonałym kształtem téj myśli i ma moc i trwałość dopóty, dopóki odpowiada celowi ludzkości. Tym kapłanom egipskim, balsamującym martwą mumję historji i bijącym przed nią czołem, jednego tylko niedostaje: tętna życia,—i to ich właśnie potępia.—Trzymają się martwéj litery zakonu w religji, znikomych kształtów w dziejowym potoku, a nie ducha nadającego im życie. Możemy do nich zastosować słowa Chrystusa: »*po ich owocach poznacie ich.*»

Inne są nasze pojęcia o historji i religji. Za obrębem idei chrześciańskiéj, my nie pojmujemy postępu i zbawienia, i wierzymy, że wielkim zadaniem wieku naszego jest głębokie pojęcie téj idei, będącéj dotąd dogmatem tylko, i przelanie jéj w życie społeczne, aby się stała czynem i ciałem. Fale przewrótu, poruszające zawsze trochę mułu ze dna społeczeństw wywołały wprawdzie w naszéj krytycznéj epoce kilka zapamiętałych okrzyków i bluźnierstw, lecz fale te miną, a Kościół Chrystusowy i przeobrażone społeczeństwo zostaną *nietykalne* na swych odwiecznych podwalinach; a każda nowa idea nie będzie dla nich niepokojącém zjawiskiem, lecz im otworzy coraz szersze drogi postępu.

Pobudką kierującą nas przy wydawaniu niniejszego pisma zbiorowego, jest zupełny brak dzieł piśmiennych w naszym kraju, któreby wyrażały dążność umysłową, którąśmy powyżéj określili. Królestwo Polskie było bez porównania szczęśliwsze w tym względzie; wychodzące tam pisma zbiorowe, *Przegląd Naukowy*, *Biblioteka Warszawska*, *Dzwon Literacki* znajdywały licznych czytelników i środki utrzymania się. U nas nie było nic podobnego, oprócz kilku poronionych płodów i Athenaeum, które się dotąd utrzymuje. Jest-że to winą nieczułości czytającéj publiczności? Tego przypuścić nie mogę. Jest-że to skutkiem braku piszących? Na to ostatnie zdanie przystaję, i to przekonanie naprowadziło nas właśnie na myśl wydawania naszego pisma. Celem jego jest rozpowszechnienie i krytyka pojęć nowych o literaturze, historji, ekonomji politycznéj i naukach ścisłych.

Nasze pismo dzielić się będzie na następne oddziały:

I. Poezja i powieścio-pisarstwo.
II. Historja (w najrozleglejszém znaczeniu słowa).
III. Prawo, Ekonomja Polityczna, Statystyka.
IV. Nauki Przyrodzone i ścisłe.

V. Krytyka.
VI. Rozmaitości.

Objaśnijmy w krótkich słowach treść każdego oddziału.

Pod nazwą **Poezji i powieścio-pisarstwa**, rozumiemy tę gałąź piśmiennictwa, której niesłusznie z francuzka nadano nazwanie **literatury pięknéj** czyli **belletrystyki**, jak gdyby piękność była wyłącznym przymiotem téj tylko gałęzi. Z największą tylko ostróżnością udzielać będziemy płodów tego rodzaju, których bodaj u nas czy nie najbardziéj nadużywano.

Oddziały IIgi, IIIci, **Historja, Prawo, Ekonomja-Polityczn. i Statystyka**, stanowią całość której nadają zwykle nazwę **nauk społecznych** (*sciences sociales*). Nauki te albo wskazują nam, jak się towarzystwo rozwijało (*historja*), albo na jakich zasadach teraz istnieje czy też istnieć powinno (*prawo, ekonomjo-polityczna i statystyka*). Do oddziału **historji** przyjmować nie będziemy samych materjałów historycznych, bo materjały i fakta same nie stanowią historji, podobnie jak farby i płótno nie stanowią jeszcze obrazu. Szczególnie będziemy się starali w wyborze artykułów tego oddziału o sumienną krytykę faktów, o proby żywego narysu dziejów, głębokiego w nich przejrzenia się i pojęcia ich znaczenia.

Oddział IVty **Nauki przyrodzone i ścisłe**, będzie bodaj najmniéj zapełniony, ponieważ brak zupełny pracujących na téj roli, szczególnie u nas postrzegać się daje.

Nakoniec w Oddziale V. pod nazwaniem **Krytyki**, rozumiemy krytykę w ogólności dzieł literatury i sztuk pięknych, i sprawozdanie o główniejszych nowszych zjawiskach tego rodzaju.

Ku niemałemu zdumieniu wielu — nie poświęcamy w naszém piśmie osobnego oddziału **Filozofji**, — ponieważ nie przyznajemy filozofji osobnego miejsca w całokształcie nauk. Cóż jest filozofja jak ją pojmują zwolennicy systematów filozoficznych? Jest-li ona architektoniką myśli, usystematyzowaniem naszych pojęć o Bogu, człowieku, społeczeństwie?

Lecz w takim razie będzie to *filozofja historji*, *filozofja prawa*, etc., a odłączyć ją od tych nauk niepodobna, ponieważ bez niéj, bez ogólnych pojęć z rozumu naszego wypływających, nie mają te nauki znaczenia.

Prospekt ten został ułożony za wspólną naradą i zgodą Redaktora i młodych spółpracowników, którzy bez żadnych pobudek osobistości, jedynie w celu dobra ogólnego, ofiarują swe naukowe zasoby dla podtrzymania na stopie odpowiednéj spółczesnemu postępowi *Pamiętnika Naukowo-Literackiego*.

Czuję się obowiązanym oświadczyć najczulszą wdzięczność młodym spółpracownikom, którzy z godną największych pochwał gorliwością pośpieszyli ofiarować swe uczone prace, których niektóre

rozprawy stają na równi z lepszymi artykułami w *Revue* zagranicznych umieszczanemi, i których obfity zasób znajdujący się w ręku Redakcji, może wystarczyć na dwuletnie trwanie *Pamiętnika.*

Dalsze, bardziej szczegółowe rozwinięcie zasad tego Prospektu, znajdą czytelnicy w *Listach Wydawcy* do różnych spółpracowników, których prace zamieszczone będą w następnych Zeszytach.

Takie są zasady które wyrozumowała lub przyjęła Redakcja, i których trzymać się zamierza w dalszym ciągu *zreformowanego Pamiętnika.*

Romuald Podbereski

REDAKTOR-WYDAWCA.

Wilno 1850, 1 Marca.

A teraz ukażmy co dotąd zrobiono, przed ustaleniem się powyższych zasad w Redakcji.

TREŚĆ TOMU I-go.

I.

POEZJA.

Wybryki wesołego humoru.

2.

LITERATURA POWIEŚCIOWA.

Obrazy Towarzystwa.

3.

HISTORJA.

Badania historyczne.

4.

BIOGRAFJE.

5.

KRYTYKA.

6.

SZTUKI PIĘKNE.

Malarstwo.

Muzyka.

7.

PODRÓŻE.

Podróże za granicą.

TREŚĆ TOMU II-go.

2.
LITERATURA POWIEŚCIOWA.

3.
HISTORJA.

Badania i pamiątki historyczne.

4.
FILOZOFJA HISTORJI.

Filozofja popularna.

5.
STATYSTYKA.

6.
KRYTYKA.

7.
BIOGRAFJA.

8.
SZTUKI PIĘKNE.

9.
PODRÓŻE.

10.
KORRESPONDENCJA LITERACKA.

List *Zofji K** z *Brzozówki* do Wydawcy Pamiętnika w tymże przedmiocie.
List *Michała Bohusza-Szyszki* w tymże przedmiocie.
List *Leona Janiszewskiego* o pracach ziomków na Kaukazie.
List *Kazimierza Alksnisa* z Litwiniszek, do Wydawcy Pamiętnika, o dążności P. Kraszewskiego.

11.

KORRESPONDENCJA GOSPODARSKA.

O stowarzyszeniu w Kurlandji w celu ulepszenia *Gospodarstwa Wiejskiego*.
Użycie *kosy amerykańskiéj* zamiast sierzpa.
Doświadczenia nad moczeniem i ulepszaniem roślin.

12.

ROZMAITOŚCI.

Fenomena Somnambulizmu w Wilnie!

13.

MOZAJKA FELJETONOWA.

Wyprawa Kapitana *Rossa* do bieguna Północnego. Mme Rekamier, Mlle Catalani. Noc w Karnawale, etc. Meyerbeer i jego *Prorok*.

WARUNKI PRENUMERATY.

Pamiętnik Naukowo-Literacki, pismo zbiorowe, wychodzi **Zeszytami**, drukiem ścisłym od 6 do 7 arkuszy, z dodatkiem podług potrzeby portretów ludzi zasłużonych, widoków, map, szkiców, i t. d. Wychodzi bez oznaczenia terminu, lecz w ciągu 12 miesięcy wyjdzie nieodmiennie

Zeszytów Sześć.

Prenumerata przyjmuje się tylko Roczna.
— Na miejscu i u Kollektora . . . . **r. sr. 6.**

Za przesyłkę wprost z Redakcji dodaje się . r. sr. 1.
— Także z miejsc odległych więcéj niż o 500 wiorst
płaci się u Kollektora . . . . . . **r. sr. 7.**

Życzący prenumerować, proszeni są o rychłe zgłoszenie się gdyż nad *listę* mała liczba exemplarzy będzie wydrukowaną.

Adress na imie Wydawcy w *Wilnie, w Biórze Redakcji Pamiętnika.*
w Warszawie u *S. Orgelbranda.*

Z nowym Oddziałem Redakcja ogłosi: O sztuce wojennéj u Polaków do połowy XVIII. w., przez *Edwarda Kottłubaja*, Ofic. Inżyn. Listy o Syberji. Samojedy na tundrach. — Listy o Nerczyńsku. Powieść: Krzyż, *Michała Bohusza-Szyszki*. — Nowe Gawędy, *Wł. Syrokomli*. Poemata *Leona Janiszewskiego*. — Podróże po Finlandji. *Wiźjonarz*, powieść Dikkins'a. O znaczeniu nauk społecznych, i t. d. i t. d. i t. d.

Drukować pozwolono. Wilno dnia 1 Marca 1850 r.
S. O. C. A. Muchin.

WILNO. **Drukiem Józefa Zawadzkiego.**

KILKA WSPOMNIEŃ
UNIWERSYTECKICH.

(*Dokończenie*).

XV.

Wychodząc na Safijanniki, Marcinkiewicz zostawił Erazma z bratem Czesławem nad partją szachów. Za powrótem znajdując ich jeszcze nad szachownicą, a znając równe niemal siły stron obu, mógłby on pomyślić, że los bitwy dotąd nie został rozstrzygnionym, gdyby nie wpadły mu w oko nowe i zupełnie niespodziane wynikłości na placu boju. Na stole stały dwie butelki z winem, z których jedna już *in mezzo del cammino*, znajdowała się bezpośrednio pod wiedzą brata Czesława, oczywiście zaszachowana: dalej leżały różne ciasta, owoce, i krąg bulonu. Erazm zaś miał w ręku list jakiś i odczytywał go z najżywszém zajęciem, tak że nawet nie podniósł oczu na wchodzącego.

—Cóż to znów? Okazija z domu?— spytał wesoło Marcinkiewicz.

—Occasio, et quidem opportunissima!— odrzekł Czesław wyciągając ku niemu lewą rękę: bo prawą, przez instynkt wrodzonéj obrony, trzymał szklankę.

—Bonifałku! duszko! mam listy od matki i siostry!— zawołał Erazm nie przestając czytać.

—Jak? *Bonifalku!!* Spieścił-że cię *nequissime!* ale poczekaj, mam rym dla ciebie. Zaraz....

«Najmilejszy Bonifalku
«Obym cię za sto lat widział na katafalku.”

—Ale zawsze widzem masz być Jegomość [illegible]
—Przecież należy mi cóś za *poetykę!*
—Prawda. Ale zkąd-że znów i ta czasza w[illegible] z której Reverendissime czerpiesz *poetykę*— i to wszystko [illegible]zjawiło?
—A widzisz, że się zjawiło! I zjawiło się *ex nunc*, jak tylko się dowiedziano: że dygnitarz konwentu zlózował pewnego młodego trzpiota w czuwaniu nad chorym.

—W rzeczy samej, że chyba wasz patron, ojcze, zesłał tu swojego kruka z Karmelu!
—Cicho, *nequissime! blasphemientissime!*
—Tylko-ż, że cudu już wyglądać trudno— mówił Marcinkiewicz nie zgromiony tą piorunującą łaciną— Odstąpiliście ojcowie od reguły— nosicie bóty!—
—Patrz, nequissime, że podarte!
—Zawsze jednak są to, niestety, bóty! mają nawet na sobie ślady szuwaksu.
—Nigdy tego nie dowiedziesz, nequissime! To co w swojéj czarnéj niewiadomości nazywasz szuwaksem, pochodzi z téj saméj lampy, która pali się codzień na waszym korytarzu, dla dobra i całości waszych nosów nequissimi!
—A dla czego-ż, Reverendissime, niedawno było pomieszczone w Brukowcu wyraźne obwieszczenie: czy nie podejmie się kto wziąć *podradu* na szuwaks dla naszych ojców Karmelitów-bosych? Nie uwierzysz Jegomość, jak mię to obwieszczenie bolało!
—Dla tego, że wasz Brukowiec jest to *nequissimus*— a ci co piszą do Brukowca *pernequissimi*— Jegomość zaś, mój Dobrodzieju....
—Wiém, wiém, naturalnie jestem także nequissimus.
—Otoż nic nie wiész, a podchwytujesz. Miałem powiedzieć, że jesteś *nescientissimus nequi....*
—Chciałbym, aby kiedykolwiek mówiąc do księdza przeora, po wyrazie Illustrissimus nabiegło Jegomości to uprzyrodnione: nequissime.
—Jak to uprzyrodnione? Tłómacz się mi nequissime zaraz, tego momentu!
—Tak, ja się mam tłómaczyć: a Reverendissimus [illegible]k spra-

wiedliwy sędzia, siedząc nad szklanką będziesz tymczasem zajadał przysmaki! A[illegible], doprawdy, skąd-to je macie?

—Deus nobis [illegible]aec otia fecit.

—A to-ż jes[illegible]dpowiedź chrześcijańska? Wszakże mi Jegomość odpowiada [illegible] Wirgilijusza?

—A choćby [illegible] z Tyberijusza! to i cóż? kiedy prawda! Cała ta serweta [illegible]rem bożym nawiązana, w komitywie dwóch butelek starego w[illegible]wnego wina, jeżeli z pierwszej, mimo omylność ludzką, sąd[illegible]mi wypadnie o drugiéj...

—O! o! Reverendissimus najpodstępniejszą w świecie retoryką przymawiasz się i do drugiéj butelki! Ale nic z tego! Wprzódy rozprawimy się z sobą w szachy!

—Spóźniłeś się uczony akademiku! chory przegrał mi już obie butelki. Zapytaj go sobie.

—Erazmie! przepraszam, że ci przerywam: ale powiedź mi, kochany, kto też to wam tak pysznie stół zastawił? Bo Reverendus widocznie chce wygrać tylko na czasie, i zbywa mię jak może.

—Jak cię kocham, nic nie wiem— odpowiedział Erazm.— Jakaś litościwa dusza udarowała mię, jak z nieba. Ale, że w tejże samej chwili nadszedł pocztylijon, tak byłem uszczęśliwiony z listu, że nie mogłem ani chciałem o nic wypytywać posłańca. Nie wiem nawet, doprawdy, czym podziękował za tę niespodzianą czyjąś łaskę: bo w roztargnieniu, nawet pieniądze, com je miał rozdzielić między posłańca i pocztylijona, oddałem, zda mi się, wszystkie pocztylijonowi.

—A ja tymczasem zamyśliłem na obie przyniesione butelki, dałem mu *szach i mat*— i rzecz skończona!— przydał brat Czesław najpoważniéj.

W téj chwili odemknęły się drzwi z pośpiechem, i wpadł zadyszany zakrystijańczyk.

—Jegomość! Jegomość! przyjechał sekretarz prowincijalski i sam ksiądz prowincijał ma być na obiad! przeor już trzy razy dzwonił na Jegomości! proszę zaraz Jegomości! tylko zaraz, zaraz!

—Ale-ż idę, idę! Nie wrzeszcz tak nequissime!

—Czy wolno mi tymczasem— spytał Marcinkiewicz uniżenie— zamyślić choćby na tę pół-butelki, któréj Reverendissimus nie raczyłeś dokończyć: i jeśli los tak zdarzy, że zdołam dać *szach i mat* Reverendissimo, będę-ż mógł spełnić toast za szczęśliwy przyjazd księdza prowincijała Dobrodzie[illegible]?

—Pamięta[illegible]equissime!— odpowiedział Czesław już z kory-

tarza— że to dopiéro przyjechał sekretarz prowincijalski, a księdza prowincijała jeszcze nie ma. Żadnéj mi więc nie śmiéj dawać *salwy*, aż zapytam wprzódy u starszych: czy taki młodzieniaszek nequissime może pić ważnie i godziw' także walne wino? Sobrii estote nequissimi! Dixi!

—Jakże ci jestem wdzięcznym!— rzekł Erazm— pisałeś do mojéj matki zaraz na początku mojéj choroby, i jak-żeś dobrze i szczęśliwie zrobił, donosząc żem zachorował niby na odrę. Kochana matka to żałuje mię, to cieszy się znowu, że ta nieszczęśliwa słabość przypadła mi przynajmniéj za ciepłéj pory: choć, przydaje, że ile pamięta, miałem już cóś podobnego do odry. Daléj, zaklina na wszystko, abym nie wyjeżdżał do cztérech tygodni: bo choćby mię na skrzydłach mieć pragnęła, ale miejscowy lekarz zapowiedział, że ani w czas najcieplejszy nie jest bezpiecznie przed cztérma tygodniami narażać się na powietrze, zwłaszcza, że nawet w największe upały, nocy bywają dość chłodne. Tak więc, dzięki tobie, droga moja matka spokojną będzie o mnie przez cały Lipiec: a właśnie i Frank mi nie obiecuje abym mógł wyjechać rychléj niż w Sierpniu. Co do mojéj siostry, ta po formie sobie żartuje z mojéj dziecinnéj choroby. Ale powinienem ci oddać list jéj do przeczytania: bo nawet więcéj w nim o tobie i do ciebie, niż do mnie.

—Do mnie? powtórzył zdziwiony Marcinkiewicz.

—Ale tak. Proszę cię tylko z góry, nie dziw się bardzo téj nieznajoméj poufałości i trzpiotalstwu mojéj wieśniaczki. Jest to najszczęśliwiéj wesoła dziewczyna, jak gdyby ją Bóg zesłał umyślnie do uprzyjemnienia samotnego życia mojéj matki. Przytém najlepsza, najprzywiązańsza siostra. Ale choć ma już lat szesnaście, nigdy ją jeszcze nie tylko serce ale nawet nie zabolał palec. Kochana matka nie dopuszcza, aby i wiatr na nią podmuchnął. Najlepiéj jednak poznasz ją z listu.

W rzeczy saméj list był charakterystyczny. Odczytując go Marcinkiewicz ciągle prawie uśmiéchał się mimowolnie.

—«Kochany Erazmie! Jak mi ciebie szkoda, widzi Pan Bóg i mama i Łozowisia. Przez trzy dni wychodziłyśmy codzień na twoje spotkanie: ale nie było i nie było budy. Aż we czwartek dopiéro, ja piérwsza dostrzegłam jéj jeszcze przed zielonym krzy-

żem. Wysforowałam się tedy naprzód, jak gdybym już ciebie widziała i miała w ręku. Otoż to mówią, że serce umie przeczuć i powiedzieć! Mama i Łozowisia wołały za mną: co ja robię? że z tobą są zapewne i koledzy— cóż to więc będzie pięknego!— A jam sobie myślała:— Nic mi się nie stanie! bo jak mię tylko zobaczysz, to jeszcze zdaleka wyskoczysz z budy: twoi koledzy, jak grzeczne chłopcy, każą zatrzymać się żydowi i zaczną się stroić na łeb na szyję, podobnie jak przeszłego roku: a my tymczasem nieoglądając się we dwójgu spotkamy mamę. Aż ty wiesz, że tak się nie stało. Niegodziwa buda poturkotała prościutko gościńcem: a jam się przespacerowała i popsuła sobie loki daremniuteńko. Łatwo zgadniesz, jak cicho i smutnie powracałyśmy do domu. Mama przez cały wieczór była niespokojną. Zaczęłyśmy zaraz nowennę. I cóż powiesz? Nazajutrz raniuteńko odesłano nam ze stacji list tego nieocenionego Pana Marcinkiewicza. Choć on bardzo zasmucił mamę, ale przynajmniéj wyszła z niepewności, wiedziała co sobie myślić, była więc spokojniejszą. Najświęciéj, najświęciéj zrobił P. Marcinkiewicz, że napisał szczérą prawdę: i to zaraz. Bo posłuchaj tylko: tegoż samego dnia, nad wieczor, byli u nas panowie....scy, ci sami co to nie raczyli nawet pokłonić się mi z budy, kiedym za nimi leciała jak— bogini. Ponastrajawszy najnieszczęśliwsze miny, zaczęli oni raportować mamie: to o lekkiém twojém niby przeziębieniu, to o leciutkiéj gorączce— aż mię gniew porwał, że nie umieli przynajmniéj zgodzić się na jedno, i jeden mówił ciepło, drugi zimno: a mama, zwyczajnie jak matka, gotową już była wierzyć jednemu i drugiemu. Zdobywszy się tedy na śmiałość, rzekłam, że mamy późniejszy list Pana Marcinkiewicza, i że już Frank zdecydował: że masz odrę, i to bardzo łagodną. Wtedy dopiéro i starszy ....ski, jak gdybym śpiącemu odemknęła okiennice, przejrzał nareście, że matce nie opowiada się w ten sposób o słabości syna, i zaczął się *recessować:* że odra rozwinęła się znać po ich wyjeździe, ale że to jest odra, nic więcéj jak odra, i oczywiście bardzo łagodna tak jak i Frank zdecydował: bo zostawili cię w gorączce tak lekkiéj, tak lekkiej, że chciałeś jechać, i byłbyś nawet pojechał, gdyby nie wyraźny zakaz Franka. Na nieszczęście Karol ....ski nie pozbył swojego zwyczaju dopomagania sobie jestami we wszystkiém o czém mówi. Opowiadając więc mamie o twojéj gorączce, chciał on zdaje się pokazać, jak ona jest lekką i małą: ale każdą razą inną miarę dawał jéj ręką. To była ona na pół łokcia, to podrastała na łokieć, to za moment potém bujała już na półtora łokcia! kochana mama nie postrze-

gając, że to była tylko wada nałogu, z boleścią śledziła okiem za tym przerażającym postępem twojéj choroby: a ja, ze złości podałabym mu zda się jak największy kamień, aby miał przynajmniéj trzymać co w ręku i nie wywijał niemi tak niezręcznie— bo z resztą już byłoby w nim wszystko dobrze!— naturalnie, że najpiérwszą zatém i najserdeczniejszą moją ciekawością musiał być ten anielski Pan Marcinkiewicz, który dogląda tam ciebie za nas wszystkich. Słysząc o nim nasamprzód od obu ....skich, że równie-ż jest wesołym jak dobrym, układałam sobie: że koniecznie doń napiszę, już to na piérwszy raz oczywiście z podziękowaniem w imieniu mówcy— ale i od siebie miałam go czułym jakim przypiskiem mocno trącić w serce: albo, dla większéj jeszcze pewności, ofiarowała-bym mu jaką z mych robot, która mi się najlepiéj udała, tak że musiał-by mi odpisać z podziękowaniem i podziwieniem ślicznéj pracy. Wtedy naturalnie należało by mi przepraszać, że taką tylko drobnostką mogłam się przysłużyć, bom nic lepszego nie miała na pogotowiu: nie poczuwając się wszakże żadną miarą do tylu pochwał, wypadało-by mi obwiniać mojego korespondenta o wolne żarty nad wieśniaczką. Na to Pan Marcinkiewicz znowu długi list jak najgrzeczniejszy: a ja znowu słów kilka ze skromnie spuszczonémi oczyma; słowem, weszlibyśmy z sobą w formalną korespondencyją, i na niewidziane, (co dla obu stron najbezpieczniéj) pokochali-byśmy się z sobą miłością szczęśliwą lub nieszczęśliwą! ale jak zaczęli mi mówić daléj panowie ....scy, że Pan Marcinkiewicz jest przytém jednym z najuczeńszych akademików, i że wiele pism jego było już nawet w *Tygodniku*, tak i opadły mi ręce. Boże mój, Boże! Na co bo to za młodu już być takim uczonym! A cóż P. Marcinkiewicz będzie robił na starość? Co teraz, to już mi się wszystkie połamały szyki. Za nic, za nic, nie odważę się napisać do twojego mądrego Anioła Stróża. Oddaj mu tylko głęboki pokłon odemnie— biednéj śmiertelniczki. Może być wygląda on bardziéj po niebiesku niż go sobie wprzódy wyobraziłam— ale i mojego obrazku, doprawdy szkoda! Taki był ładny, wesoły, uśmiechliwy: a nadewszystko miał oczy takie błękitne, wymówne: i jużem je była oswoiła: już patrzyły, zda się, na mnie z jakiémś pytaniem, czy prośbą— a twoja siestrzyczka rumieniła się, i podsłuchałam ją, jak niegodziwa odpowiadała bez zająknienia: «Mama i Łozowisia mówią, żem jeszcze bardzo młoda. Ale mam już szesnaście lat.”

Nadejście. *Józefa Franka* nie dozwoliło Marcinkiewiczowi doczytać listu. Wiadomo, że ten sławny i prawy człowiek, tak kochany i uwielbiany od młodzieży, dla tego może był najznakomitszym ze spółczesnych lekarzy dijagnostykiem, że przyrodzenie obdarzyło go oddzielnym, że tak powiémy, zmysłem lekarskim. Miał on powonienie tak zadziwiające, tak czułe, że zgadywał choroby gorączkowe i nie raz nawet określał ich czas i stopień, nie otworzywszy jeszcze drzwi, za któremi znajdował się chory. Stąd tęż wyraz twarzy Franka, już na samém wejściu był pilnie postrzeganym od tych wszystkich, kto tylko wiedział o jego tajemnicy. Był to zapewne zbyt mimowolny, że nie powiémy dziwaczny dar przyrodzenia: nie łatwo więc i nie zawsze w podobnéj chwili mógł dość panować nad sobą, nawet mistrz tak przenikliwy i ostrożny. Zwłaszcza z chorymi uczniami uniwersytetu, do których zawsze z rodzicielską troskliwością i z widoczném piérwszeństwem Frank śpieszył, nie widział on potrzeby, przez semo wzajemne oswojenie się, zbyt ściśle obliczać rysów swéj twarzy. Tak też i w tym razie: zaledwie drzwi otworzył, można było dostrzedz na jego rozumném czole cóś niepocieszającego, cóś podobnego do zdumienia zachmurzonego gniewem.

—Wczoraj przecię byłeś mi zupełnie dobrze?— rzekł do Erazma.

—Dziś mam się daleko lepiéj, panie professorze!— odpowiedział chory. Czuję tylko niewielki ból głowy.

—Ból głowy?— powtórzył Frank z gorzkim uśmiechem. Trzeba-ż temu naprzód zaradzić!

To mówiąc podszedł do okna wychodzącego na ogródek klasztorny, otworzył je, spójrzał na dół dla upewnienia się czy niéma kogo w ogródku, potém wziął obie butelki ze stolika, i z pośpiechem, jak gdyby się mógł lękać *interwencii* ze strony gospodarzy, cisnął je za okno.

Szkła upadły o kilka kroków od ogrodowéj altany i rozbiły się w druzgi. Właśnie w téj chwili brat Kanafarz zajmował się w altanie przygotowaniami do prowincijalskiego obiadu. Przerażony dźwiękiem, wypadł on piorunem, i już już miał ugodzić w nieszczęśliwego fagasa, wysłanego jak na toż po najuroczystsze szkła refektarskie: ale w całym ogrodzie nie było ani żywéj duszy. Za to, pod samémi niemal nogami gniewnego brata leżały szanowne szczątki. Potrzeba-ż by obie szyjki bu-

telkowe były ocalone, i obie z karteczkami, a jedna nawet zakorkowana— najoczywistszy dowód marnie i z zamiarem dokonanéj rozpusty!

Okno na trzeciém piętrze zamykało się powoli. Rzecz była jasna.

—Poczekaj ty *nequissime*, *nebulonissime* Marcinkiewicz!— zawołał nasz Czesław donośnie— Będziesz-że pił wódę!

Pogróżka ta dobrze dosłyszana od Franka i od obu naszych młodzieńców, doszła bardzo nie w porę. Właśnie oświadczali oni professorowi: że choć mają przeciw sobie pozory, ani chory jednak ani jego dozórca nie mieli żadnego udziału...

—Tak, tak!— przerwał Frank z niechęcią— Oto i *vox populi* świadczy za wami. Wszak-że Pan jesteś Marcinkiewicz?

—Tak, Panie professorze.

—Dla czego-ż cię zdobią przydomkiem *nebulonissime?* Barbaryzm ten musi być przecię zasłużonym!

Cóż można było odpowiedzieć na podobny zarzut? Jakkolwiek wielką jest potęga prawdy, i wielbioną krótkość i prostota języka, którym się tłómaczyć zwykła, nie można wszakże nie wyznać: że potwarz i podejrzenie zwłaszcza oparte na jakichkolwiek do oczu mówiących pozorach, władają także nader krótką i płytką, że tak powiemy, sztyletową bronią. Dla tego też w ogólności, każda obrona, tłómaczenie się, usprawiedliwienie, chociażby nawet najczystszą prawdę miały po sobie, muszą być nieuchronnie nieco przydłuższe, wielosłówne. Uciążliwa ta dla ludzkiego lenistwa konieczność, tłómaczy razem biédną stronę człowieka: dla czego mu tak jest łatwo się uprzedzić, i chętniéj przychodzi wierzyć zarzutóm, niż uniewinnieniom.

—Pozwoli Pan professor wytłómaczyć się przed sobą!— odezwał się z żalem Marcinkiewicz.

—Na cóż to?— odrzekł Frank sucho— *Corpus delicti* zostało zniszczoném! proszę mi dać papieru do zapisania choremu recepty.— Panowie, jak uważam— mówił już pisząc— dawnym, zda mi się jednak, że bynajmniéj nie słowiańskim zwyczajem, obchodzicie powrót do zdrowia przez *libacije.* Przynajmniéj nie należałoby tego robić zawcześnie. Nieszczęściem, nie mogę jeszcze powinszować choremu zupełnego wyzdrowienia. Proszę posłać to zaraz do klinicznéj apteki. A chorego bardzo proszę— przydał głos wznosząc i biorąc kapelusz— pozostać w jak najściślejszych granicach wskazanéj przezemnie dijety. Inaczéj, nie ręczę, czy pojedziemy na wakacije. Proszę być spokojnym. Najwięcéj będzie

zależało na rozsądném zachowaniu się i spokojnéj cierpliwości.— Jutro go odwiedzę.

XVIII.

—A toż on wziął nas ni mniéj ni więcéj, jak za pijanych!— zawołał Marcinkiewicz polegając od śmiechu.

—Zdaje się— odrzekł smutnie Erazm.— Ale też i otrzeźwił, mnie zwłaszcza, w okamgnieniu. W rzeczy saméj, byłem jakby upojonym radością. Słyszałeś, jak mówił: że nie może mi powinszować wyzdrowienia, że nie ręczy mi nawet za wakacije. A więc ten ból głowy, z którym obudziłem się dzisiaj, zapowiada mi jeszcze...

Ale tylko nie raj, kochany! Rozkwiliłeś się listem matki, to już ci i skarżyć się miło, i chciałbyś popłakać położywszy głowę na kolanach mamy. Zapewne, że to wielkie szczęście. Jabym oddał dwa lata najgłośniejszego śmiechu za jednę podobną chwilę. Ale-ż, sam uważ, że to oczywiście te nieszczęśliwe butelki, co tak potrzebnie na samym wstępie wpadły Frankowi w oczy, wywołały nam i cały gniew jego i pogróżkę, jaką na ciebie miał pod ręką. Przecież, jak jesteś pewnym, że twój ból głowy nie miał żadnego związku z winem, tak zda mi się, możesz być pewnym, że nie rozchorujesz się od niego, choćby to nawet było wino najstarsze i najmocniejsze na świecie. Podług mnie, ofiarą gniewu Franka padł jeden tylko nasz Reverendissimus: za toż i jakim podziemnym zalamentował on głosem! Trzeba-ż to było, proszę, na moję biédę, i znaleść się mu, ledwie że szkło zabrzękło, i ofuknąć mię w niebogłosy swą świetną łaciną! Nie darmo Ludwik mawiał doń między innémi komplementami: «Na ho- «nor, że Jegomość Dobrodziéj i kanafarstwo, macie cóś rodzono- «sympatycznego!”

W tem drzwi się otworzyły, i wszedł ten-że sam posłaniec, co przed godziną zjawił się był tajemniczy i milczący z ciężko nawiązaną serwetą. Tą razą przemówił on pierwszy z jakimś bojaźliwym uśmiechem:

—Dzień dobry paniczom! To ja ten sam, co tu byłem niedawno. Czy-ż panicze mię nie poznają?

—Poznajemy bardzo dobrze— odrzekł Erazm— i pamiętamy nawet, żeśmy ci nic nie dali za fatygę, Tak boś mi znikł prędko, mój kochany! przepraszam cię serdecznie.

—Och, to ja powinienem przepraszać Pana— odpowiedział z twarzą zbiedzoną sługus.— Człowiek nie wsłuchał się dobrze w słowa Pani: a było się już dziś na kilku miejscach: to i zostawiłem wino u paniczów, co mi go trzeba było oddać choremu w drugim domu przed Ostrą Bramą.

Młodzieńcy spójrzeli po sobie.

—A to wybornie!— zawołał Marcinkiewicz, parskając śmiechem. Teraz jeszcze pocieszniejszą wydała się mu pomyłka, za którą tak niewinnie ucierpiał.

Erazm też się uśmiéchał.

Biédny służący nie wiedział co myślić o téj niespodzianéj wesołości.

—Pewnie, że to warto śmiechu!— rzekł po chwili, rzucając się na wybieg, któremu dobroduszność dodawała nieporównanéj ceny.— Ja wiém, panicze się pośmieją, a potém powiedzą: «Na, weź już swoje butelki, ale drugi raz przynajmniéj, nie po«myl się stary dudku!"— Bo to tak najczęściéj mówi na mnie i Pani professorowa.

—Powiedź mi, mój kochany, u kogo brane to wino? i co kosztuje butelka?— spytał Erazm.

—Zaraz! Jak-że bo go? U tego, tego francuza. Och! On czasem nawet przychodzi do moich panów.

I podniosłszy głowę, zmarszczył najnieszczęśliwiéj czoło, przymrużył oczy, słowem jął się najdzielniejszych sposobów mnemonicznych. Zagrożona tak nagle i zewsząd władza pamięci, że tak powiémy, *kapitulowała.* Nie wydała wprawdzie francuza, ale wskazała poszukiwaną cenę wina.

Tymczasem Marcinkiewicz korzystając z tego nadzwyczajnego skupienia uwagi, postanowił użyć niewinnego podstępu, dla dowiedzenia się nazwiska tajemniczéj opiekunki chorych.

—Wiém już od mojego kolegi— rzekł jak najgrzeczniéj— że oświadczyłeś, kochany Panie, z góry, aby cię o nic nie pytano. Ale, jeżeli można, niech choć to wiemy przynajmniéj: w jakim języku rozmawiają z sobą twoi dobrzy panowie?

—A czemu-ż-bym tego nie mógł powiedzieć Panu? Zwyczajnie jak ludzie zagraniczni, państwo moje rozmawiają sobie wszystkiemi językami— jakim tylko Pan chcesz.

—Cóż to dziwnego!— odpowiedział Marcinkiewicz wtórując,— że nasz professsr posiada wszystkie języki!

—A kiedy-ż mój Pan może i nie professor?— odparł stary fagas z drożącym się uśmiechem.

—Daj pokój tym tajemnicóm, kochany!— odezwał się E-

razm.— Oto są pieniądze na dwie butelki takiego-ż samego wina: bo tych butelek, cóś tu zostawił już niéma.

—Już niéma!— powtórzył z zadziwieniem posłaniec.

—Z łaski tego Pana!— rzekł Erazm wskazując z uśmiechem na Marcinkiewicza.

—O! o! w tak młodym zostając wieku!

—Nie łaj go już więcej, przyjacielu! Dostało się mu już dobrze za to tylko co— i od Pana Franka.

—Od mojego Pana! O ja nieszczęśliwy! Toście panicze mu, broń Boże, powiedzieli, żem to ja zostawił wam wino? podziękuje-ż on Pani: choć wszystkiemu winien człowiek!

—Nie, nie! uspokoj się kochany! Nie wié on, i nie będzie wiedział o twojéj omyłce. Oto ci parę złotych na piwo. I podziękuj tak odemnie swojéj dobréj pani, jak tylko cię Bóg natchnie.

—Dziękuję Panu. A pani professorowéj powiem tak, proszę Pana:— Wszyscy chorzy bardzo pani dziękowali, i wszyscy proszą Boga za panią. Najpiękniéj jednak dziękował Pan Akademik z pod Ostréj-Bramy. Czy dobrze?

—Cóż to za ludzie zacni, szlachetni, nieporównani!— wołał Marcinkiewicz z zapałem.

Erazm milczał, ze łzami w oczach, sparty u okna, z którego widać było Ostrą-Bramę.

Błogosławiąc z głębi serca tych dostojnych ludzi, którym Wilno dochowuje dotąd, cześć i najpiękniejszą pamięć, modlił się on wszakże gorąco: by Frank tą razą był w błędzie.

A jednak przepowiednia znakomitego lekarza wkrótce się sprawdziła. Biedny Erazm musiał pójść znowu do łóżka i przebył gorączkę nerwową, wprawdzie tak lekko i szczęśliwie, że nie wiedział nawet nazwiska swojéj choroby. Najpodobniéj do prawdy, że przyczyną jéj być mogły wieczorne modlitwy, u otwartego okna, w których religijny młodzieniec, sądząc się już uleczonym, szukał niebieskiéj pociechy i ulgi tęsknocie, jaka zwykle obejmuje przychodzących do zdrowia. Skądinąd, usposobienie raczéj smutne niż wesołe, i skłonność do dumań, stanowiły przeważającą cechę jego charakteru. Wiadomo zaś, jaką tajoną drażliwość, jaką wyrachowaną nieufność, jaką, że tak powiémy, tru-

dność życia sprowadza długa choroba w tych młodych, przedwczesnym i bezimiennym jakimś smutkiem owładanych duszach. To też cała piękność i dobroć serca, cały skarb przyjaźni, jakiemi niebo obdarzyło Marcinkiewicza, objawiły się oczóm chorego w tych długich dniach doświadczeń, na które się co chwila prawie wystawiał, i zawsze widział również gotowym swojego nieodstępnego stróża. W rzeczy saméj, Marcinkiewicz czuwał nad nim jeszcze staranniéj i nieodstępniéj, niż w piérwszéj chorobie. Miał on sobie do wyrzucenia, iż ukrył przed matką niebezpieczeństwo w jakiém znajdował się Erazm: czuł jednak potrzebę utrzymywania jéj w błędzie i nadal, tém bardziéj, że Erazm nazajutrz po otrzymaniu jéj listu, to jest tegoż samego dnia właśnie, gdy zapadł na gorączkę, odpisał: że przebył szczęśliwie odrę, i że na początku Sierpnia przyjedzie niezawodnie; teraz więc, gdy uspokojona matka ani się domyślała, jak drogą i potrzebną mogła być jéj obecność przy chorym, Marcinkiewicz czuł się podwójnie obowiązanym do zastąpienia jéj, o ile przynajmniéj podobna to przyjaźni.

I tak lekcije na Salijannikach znowu musiały być przerwane, aż do zupełnego wyzdrowienia Erazma. Biedny Marcinkiewicz nie miał już teraz ani nadziei zatrzymania szczęścia, co tak niespodzianie i tak przyjaźnie jeszcze raz mu się uśmiéchnęło. Napisał on jednak do Pani Z. list przepraszający za ten powtórnie uczyniony zawód, i dziękując za łaskę, jaką mu okazać chciała, wyraził otwarcie dla czego z niéj korzystać nie może. Ale i tą razą postąpiono z nim w sposób najszlachetniejszy. Starszy syn Pani Z. odpisał mu w imieniu matki następnie:

—«Matka nasza kazała mi przesłać Panu dzień dobry i dopieść, że z łaski Boga jesteśmy zdrowi, ale tak mało jeszcze umiemy i pojmujemy, że czasem całéj cierpliwości matki ledwie jest dla nas dosyć: a więc, choćby najdłużéj możemy poczekać na Pana. Jednak o co najprędsze wyzdrowienie pańskiego przyjaciela codzień będziemy prosili Pana Boga. Najniższy sługa— Leoś.”

Nie podobna zaprzeczyć, że była to odpowiedź pełna delikatności, i zapewne najarystokratyczniejszéj wprawy czytelnik nie zgadł-by może, iż odpowiedź tę podyktowała osoba należąca do klassy tak skromnéj— żona rzemieślnika!

Upewnienie to względem następującego roku, wróciło dobremu Marcinkiewiczowi całą wrodzoną pogodę i wesołość umysłu. Od téj chwili mógł chory roić sobie i wydziwiać, jak mu się podobało: słodycz i cierpliwość kolegi była już niewyczerpaną.

Bo i chory posiada nie mało sposobów do dręczenia otaczających, i nie raz używa ich z wyrachowaném niemal okrucieństwem: podobnie jak ładna kobiéta uskarżająca się na losy i ludzi, i mieniąca się wieczną nieszczęśliwą ofiarą, nieraz być może i bywa ofiarą bardzo srogą i okrutną.— Gorączka Erazma jak już wspomnieliśmy, miała pozor nader spokojny. Ale podwyższywszy w chorym zwykłą tęsknotę, uczyniła go upornie milkliwym, i jak z chorymi często się zdarza, rozwinęła w nim jakiś wstręt nieszlachetny i niewdzięczny ku temu, kto najtroskliwiéj i raz wraz nad nim czuwał. Chory o ile mógł, taił się z tém prawdzie, usiłował uśmiécchać się do swojego nieodstępnego towarzysza jakimś uśmiéchem obłudnym i bojaźliwym: ale widocznie obecność jego była mu ciężką, a wszystko co ograniczało jego swobodę i zamarzenia, szło na karb samowolności i jakiejś ukrytéj nieprzyjaźni Marcinkiewicza.

Zwykłym powiernikiem żalów i wynurzeń chorego, był w upatrzonéj chwili brat Czesław, który ponieważ rzadko dawał się widzieć, i potakiwał uprzejmie wszystkim przypuszczeniom, i z takiém spółczuciem oburzał się niby na nieludzkość Franka i Marcinkiewicza, był oczywiście najlepszym i najżyczliwszym przyjacielem. Ale całą przebiegłość logiki chorego, całe, że tak powiémy, piekło jego podejrzeń, odkryły zdumionemu Marcinkiewiczowi dopiéro sny Erazma. Jak pospolicie w gorączkach nerwowych chory marzył i rozprawiał we śnie bez ustanku. W marzeniach jednak Erazma był jakiś dziwny, możnaby było powiedzieć, spokojny porządek. Myśl jego młoda i silna, mszcząc się niejako za przymus, jaki jéj zadawała moc woli w godzinach czuwania, była nie strudzoną w tworzeniu i obrazowaniu jakichś widziadeł to rozkosznych, promiennych i poetycznych: to znowu snuła i szykowała jakieś wnioski dzikie, pełne rozpaczy i potworności. Powtórzymy tu jedno z tych głośnych marzeń. Lubo w ogólności mają one wiele smutnego podobieństwa z obłąkaniem, różnią się w tém jednak, że odkrywawają aż do dna całą toń serca, i nieraz zdradzają nieszczęśliwie, najstaranniéj strzeżone jego tajniki. Przeciwnie, obłąkanie wysnuwa wszystko prawie z saméj wyobraźni. Jest to jakby gra głuchego artysty na zupełnie rostrojonym instrumencie— jak było właśnie ze sławnym Józefem Hajdnem, gdy pod starość usunąwszy się od świata i straciwszy słuch zupełnie, raczył grać czasem swoim wybranym.

Jakże boleśnie musiał być rażonym pełen poświęcenia się i przyjaźni młodzieniec, gdy obudzony ze snu głośną mową chorego i pośpieszywszy do jego łóżka, usłyszał po raz pierwszy następujące wyrazy:—

—Poznałem cię dosyć— aż nadto. Słodkim uśmiechem i tą serdeczną przyjaźnią mię nie podejdziesz. Doprawdy nie trać darmo czasu. Szukaj gdzieindziéj szczęścia. Radzę i proszę. Zachodziłeś mię, bardzo zręcznie, bardzo umiejętnie, zdaleka— ale ktoś cię zdradził. Zgadnij! cha! cha! cień zdradził!— Bo to było tak, moja kochana matko! Leżę raz sobie obrócony do ściany i patrzę na księcia Reichstadt. Ale czy-ż sposób w tym kancellaryjnym białym mundurze! Gdyby *np.* ubrać Napoleona w czerwone Szwarcenbergowskie— o głupio i obrzydliwie! Naturalnie tedy, że nie mogłem patrzeć. Musiałem, i przymrużyłem oczy. A jemu się zdało, żem zasnął. I zaraz, widzę na cieniu, dyb dyb cichutko, skradł się do mojego stolika i bierze list Krysi.— A toż na co?— chciałem zapytać— wszakżeś go już czytał, Panie! I mówiłeś mi, że wolisz ten list niż wszystkie plotki i czułostki pani Sevigné i jéj córki! Ale tą razą, widocznie inne było czytanie. Oparty na ręku to uśmiéchał się to wzdychał. I widać mi było na ścienie, jak na dłoni, że myślał sobie te słowa:— Cóż robić! ponudzę się z nim do końca: on mię zaprosi z sobą na wakacije— i ty matko oddasz mu Krysię.— Otoż dla czego, kochana matko, nie mogłem prędzéj wyzdrowieć! Oni się zmówili z Frankiem. Zamiast lekarstw, dali mi jakiejś trucizny, ale nie śmiertelnéj: bo trzeba im było tylko, abym chorował długo. Inaczéj, widzisz sobie matko, nie byłoby przyczyny abyś zań wydała Krysię.— Wzruszasz ramionami, nie wierzysz moim słowom!! Dobrze więc, robcie sobie jak chcecie. Ja tylko oświadczam, że na têm weselu nie będę. O, pewno nie będę. Pójdę sobie— wiém do kogo. Zapukam leciutko w trunę— i gdy mię spyta po co przyszedłem? powiém:— Tak i tak jest, kochany ojcze! Patrz, jaki-m blady i wynędzniały! Ale odjęliby mi oni nawet życie, jeśliby to mogło dopomodz do ich zamiaru. Czy-ż im za to pobłogosławisz?— O, dobry ojciec, dobry i sprawiedliwy ujmie się za mną.— Co mówisz? kochany ojcze! Głos twój tak cichy, daleki. Nie, nie, broń Boże, ja nie obwiniam o nic ani matki, ani siostry. Lecz czy-ż i jego usprawiedliwiasz? i jego?— Boś święty mój ojcze!— Więc przyjmij mię do siebie. Pozwól niech u nóg twych się położę. O, tak, tak: dobrze mi bę-

dzie. «Święta Marijo, Matko Boża, modl się za nami grzeszne-«mi teraz i w godzinę śmierci naszéj. Amen.” Ale daruj mi, drogi ojcze, że ci się zaraz naprzykrzę. Mam pragnienie. Pali mię w piersiach i ustach. Gdyby choć kroplę wody. Potém już najciszéj, najspokojniéj się zachowam. Umrę przy tobie, i ani słowem, ani głośną myślą nie przerwę twego uśpienia— chyba mi co rozkażesz, lub o co zapytasz.— To biła dwónasta godzina na wieży Ś. Kazimierza, kochany ojcze.— Czy i w tym świecie czas się liczy? Lecz na cóż i pytam o to? Wszakże ma być ostatni sąd i godzina, o któréj wszyscy ludzie, wszystkie narody zmartwychwstaną. A więc pozwól, kochany ojcze, że będę tu przy tobie liczył godziny.— Ale wprzódy, choć kroplę wody! och! zmiłuj się, ulituj się ojcze mój i Panie!—

Ostatnie wyrazy wymówił chory z takiém usiłowaniem i rozpaczą, że Marcinkiewicz, który słuchał z początku z boleścią i żalem, a potém z jakąś mimowolną zgrozą, na którą wpływała bezwątpienia uroczysta godzina północy, przejęty pod koniec najszczerszą litością, zbudził go, podając napój.

—O dziękuję! dziękuję!— zawołał Erazm.— Ale zkąd-że to ci było wiadomo, żem miał pragnienie?— spytał oddając szklankę i wpatrując się podejrzliwie.

—Tak pociesznie i głośno klaskałeś ustami, jak dziecko, kiedy marzy o piersi. Domyśliłem się więc, że masz, po prostu smagę, mój podejrzliwy człowieku?

—Dla czego-ż mię nazywasz podejrzliwym?

—Właśnie dla tego, że pytasz mię o to. Spodziewam się, że sam nawet wielki Inkwizytor, gdybym mu tak w porę usłużył szklanką wody, podarowałby mi już przyczynę.

—I czemuż to znów porównałeś mię z Inkwizytorem?

—O wybacz, z tego ci już za nic się nie wytłómaczę.

—A ja właśnie o to cię bardzo proszę. Dasz mi tym sposobem najlepszy dowód przyjaźni, ufności... szczérości.

—Jeżeli aż do tyla mię obowiązujesz, to cóż robić, muszę ci się przyznać, że żywego Inkwizytora, ani Cystersa ani Dominikana, ani Franciszkana nie widziałem nigdy w oczy *).

—Zbywasz mię żartami. Jednak nie idą-li one naturalnie. Musiałem zapewne mówić cóś we śnie, i tyś me słowa wziął do siebie. Proszę cię, powtórz mi, co też mówiłem?

---

*) Wiadomo, że Ś. Inkwizycija była pierwiastkowie w ręku Cystersów, potém dopiéro przeszła do Dominikanów i Franciszkanów, i że jéj władzę dwa te ostatnie zakony długo wykonywały naprzemiany.

—Najchętniéj, ale pod warunkiem, że opowiész mi wprzódy co też mi się śniło?

—Mam przecię dowód, żeś nie spał. Mówiłeś, żeś widział, jakem ruszał ustami.

—Cóś ci się marzy jeszcze, kochany Erazmie, i najniepotrzebniéj wybijasz się ze snu. Nie mówiłem, żem widział, ale żem posłyszał, jakeś głośno chwytał ustami i wciągał powietrze.— Dałem ci pić, no, to daj-że mi spać!— jak mówi jakiś straszny karzeł w któréjś z tysiąca nocy.

—Ale musiałem cóś mówić...

—No, toś mówił, mówiłeś: śniło ci się żeś mówił, kiedy tak chcesz koniecznie. Dobranoc!

—Daj-że mi rękę na przebaczenie, jeżeliś słyszał com mówił.

—Cha! cha! cha! A to wybornie! Słowa godne Tartuffa!—

I Marcinkiewicz rozśmiał się z tego wybiegu tak szczérze i serdecznie, że chory sam też uśmiéchnął się nad swą podejrzliwością i uspokoił się nareście.

Ale jakkolwiek ekscentryczne były podejrzenia Erazma, i jakkolwiek serce wyborne,— niezdolne do przechowywania uraz nawet rzeczywistych,— posiadał jego towarzysz, z témwszystkiém słowa chorego, jak jakie nieobegnane mary, jak te muszki, co się wściąż roją przed bolem oczu, długo nie mogły wyjść z pamięci Marcinkiewicza. Jak na toż, Erazm zaledwie zaczął przychodzić do zdrowia i myślić o wyjeździe, najusilniéj prosił swojego przyjaciela, aby mu towarzyszył. O ważną przyczynę do odmówienia było dość nie łatwo: bo Erazm zbijał i usuwał natychmiast każdą przytaczaną przeszkodę, wymową przyjaźni i wdzięczności: gotował się już nawet do oporządzenia Marcinkiewicza od stóp do głowy, gdy mu ten cóś wspomniał o króciutkim rejestrze swojéj garderoby; ale Marcinkiewicz potrafił nakoniec rozstroić te wszystkie przygotowania i położyć kres dalszym namowom. Wróciwszy raz z miasta, oświadczył Erazmowi: że nie pozostaje mu już nawet do namyślenia się nad wyjazdem, bo na resztę wakacji zobowiązał go sobie Grodeck do pomocy przy Uniwersyteckiéj bibliotece. Było to w części prawdą· tylko Marcinkiewicz nie chciał dodać— co mu jednak zacny

Grodek oświadczył z góry: — że w takim jedynie razie podaje mu tę propozyciją, jeśli już nie ma zamiaru, ani zręczności wyjechania dokądkolwiek z miasta. Erazm przyjął tę wiadomość z prawdziwym żalem. Rozstając się z Marcinkiewiczem, dziękował mu tak czule za braterską pomoc, jakiéj od niego doznał, przepraszał go ze łzami za wszystkie przykrości, jakich mu przyczynił w ciągu choroby, i przysięgał przyjaźń tak serdecznie-szczérą, że rozrzewniony Marcinkiewicz przebaczył-by mu w téj chwili, nie tylko chorobliwe rojenia, ale nawet śmiertelną krzywdę.

—Słuchaj duszko— Erazmie!— zawołał płacząc jak dziecko— ciężko winienem przed tobą i przed sobą samym: żem tak długo ci pamiętał, że tak kochając cię z duszy, taiłem dotąd przed tobą, jaki i za co mam żal do ciebie!

—Jak to! masz dotąd?— powtórzył Erazm z boleścią i podziwieniem — Bóg świadkiem, że w sercu nie poczuwam się do niczego. Ale w chorobie nie raz mogłem ci stać się przykrym, gorzkim, nieznośnym! O, musiałem być bardzo nieznośnym i niewdzięcznym, kiedym zmordował nawet twoję anielską cierpliwość, twoję dziwną szlachetność! Przebacz mi, proszę, to wszystko. Jeślim cię i uraził, to nie ja, ale inny człowiek cię uraził. Erazm co go widzisz przed sobą, kocha cię, uwielbia i będzie ci wdzięcznym do śmierci.

—Przestań— przestań Erazmie, na miłość boską! Nie mogłem ci przerwać prędzéj, bo mi słowa uwięzły głęboko gdzieś w piersi. Ale powinien byłbym zakryć ci usta. Za co mię możesz przepraszać? Do mnie to należy przepraszać cię, na kolanach. Jeślibym miał tę czystą wiarę w twoję przyjaźń i choć kroplę szlachetności, jaką mi przypisujesz, czyżbym cię podsłuchiwał nikczemnie, czyżbym powinien był chwytać twe senne słowa, pamiętać, i przywiązywać do nich zupełną wiarę?— a ciebie pożądać o taką długą i wyrachowaną obłudę?— przypomnij sobie tę noc, kochany Erazmie, gdym cię przebudził, podając napój: i gdyś mię zapytywał, zkąd mogłem wiedzieć, że masz pragnienie? Było to nie raz, żeś mówił we śnie, i żem cię podsłuchiwał, jak szpieg, jak człowiek ostatni! przebacz mi moje niegodne postępowanie. Jużem siebie dosyć ukarał...

—A toż co znowu! Czego to mi porumaliście się *nequissimi!* Czyli-ż nie wiecie, że dziś dzień Najświętszéj Panny Anielskiéj? Radość na całym świecie. Sam ksiądz Prowincijał celebruje. Jubilat będzie z kazaniem. A do kościoła beksy!

—Bądź zdrów, kochany ojcze, i wysłuchaj już dziś kazania

za nas obu!— odpowiedział Erazm z uśmiechem. Mój Karaim na miły Bóg prosi, aby wyjeżdżać natychmiast: bo zanosi się na upał.

—Aresztuje się. A Łucka tobaka?

—Będzie, będzie, kochany ojcze. Trzy funty wagi Berlińskiéj.

—Pięć! Dwa funty dodaje się kontrybucij za te dwie butelki, co mi on je strawił z tym niemcem Liczy-pulsem nequissime!

—Ale-ż, Rewerendissime, śmiem przełożyć pokornie— odparł Marcinkiewicz— że jak okazało się potém, wino było dedykowane nie dla waszéj przewielebności!

—Co! bunt nequissime! nie wyjechawszy jeszcze z wrót klasztornych! A obedijencija gdzie?— A więc sześć funtów, mniéj ani jedną szczyptą!

—Zgoda, zgoda, kochany ojcze! I błogosław już nas na podróż!

—*Deus ducat*, *conducat*, *et adducat!* macie zatém trzy dukaty!— To i ten nequissimus Marcinkiewicz przewietrzy mi się przecię?

—Nie, kochany ojcze! pozwól poskarżyć się przed sobą. Żadną miarą nie mogłem go namówić. Przeprowadza mię on tylko do *Jedliny*.

—Za to ma u mnie łaskę. *Habes gratiam.* Ot teraz dopiero, kiedy na całym korytarzu nie zostanie ani żywéj duszy, i nikt nam wisieć nie przyjdzie nad szachownicą, pokaże się nareście, kto z nas lepszy, nequissime? Do przeprowadzenia masz *plenam potestatem.* I nie bój się nequissime: wieczerzę ci zostawię; ale pamiętaj abyś mi wrócił przed *silentium.* No, jedzcie z Bogiem— bo już sygnują. *Ad felix videndum!*

Zacny braciszek, ze swoją nieporównaną łaciną, zdarzył się bardzo w porę: bo przeszkodził naszym młodym przyjaciołóm do zbyt drobnostkowego wynurzenia się ze swych myśli, co zawsze choćby się składało z istnych fraszek, jak w tym razie, zostawia po sobie jakiś tajemny osad na sercu i bardziéj jątrzy je niż uspakaja.— Gdy po niejakim czasie wrócili oni do przerwanéj rozmowy, uśmiéchali się już najszczerzéj ze swych dziecinnych podejrzeń, i wstydząc się ich treści, powiedzieli sobie w jednéj chwili, jakby zmównie: że nigdy więcéj o tém nie wspomną. Ogólne to przebaczenie, miało dla obu daleko wyższą i uroczystszą cenę, niż gdyby się zobopólnie poniżyli w szacunku, wywnętrzając się z błahych żalów, zarzutów, i drobiazgowych szperań we własnym charakterze, w czém młodość tak jest drobnowidzą: dla tego właśnie, że i najlżejsze odcienia nie

zdołają ujść jéj wzroku, a prawdziwa znajomość siebie i innych jeszcze nie usposobiła jéj do pobłażania i wyrozumiałości.

Rozszerzyliśmy się nad kroniką tych młodych marzeń: bo też równie zajmują one, trapią i wydają na jaw serce, co i poważniejsze marzenia i stosunki dalszego życia. Większa część przyjaźni zawiązywanych za młodu,— podobnie jak wszystkie prawie zatargi i zgody pierwszéj miłości— przechodzi przez podobny probierz kategorji urojonych, nie dających się ani określić, ani nawet wyznać w chwili pojednania. A przecież czują się one głęboko, wywołują tyle gniewów, westchnień, łez czystych— i albo wzmacniają związek serc, które sympatyzując z sobą, doświadczają się niejako we wzajemnéj napaści, jak elektryczne chmury, co nim się połączą, grzmią wprzódy i biją w siebie piorunami: albo na długo, a czasem i nazawsze ostudzają i rozrywają to spółczucie.

Przyjaźń dwóch naszych młodzieńców— winniśmy im oddać to świadectwo— nie uległa już odtąd podobnym doświadczeniom. Zawsze i wszędzie, o ile nam są wiadome dalsze ich koleje, przetrwała ona wzniosłą, czystą, gotową do najtrudniejszych poświęceń.

Najlepiéj to dają poznać ich listy, z których umieścimy tu kilka, już dla urozmaicenia opowiadania, już dla tego, że prócz uczuć osobistych, odbija się w nich dość żywo barwa czasu i sfery, z któréj czerpaliśmymy nasze wspomnienia.

Najpierwszy napisał Erazm. Opowiedziawszy swą podróż, radość matki, siostry i Łozowisi, które tą razą miały nań rozstawione czaty, a więc i spotkały go daleko jeszcze przed zielonym krzyżem, pisał on daléj:

—«Gdyśmy szli zatém w tryumfie do domu, i kochana matka trzymając mię ciągle za rękę, i ciesząc się jakby z powrotu marnotrawnego syna, zastanawiała się co kilkanaście kroków, oglądała mię od stóp do głowy, i to ubolewała nad moją bladością, to powtarzała z westchnieniem: że już ani miesiąca u niéj nie zabawię— a Łozowisia rospaczała, że taką rzeczą mię nie odkarmi— Krysia, któréj widocznie nie dość było na mojéj chudobie, obejrzawszy się raz i drugi na karaima i dygnąwszy mu

jak najpiękniéj za ukłony, jakie jéj uniżał z kozłów swoją czérwoną krymką, spytała mię ze zwyczajną swą prostocelną szczérotą:— a gdzie-ż przyrzeczony P. Marcinkiewicz?— odpowiedziałem, jak prawda, żem nie zdołał cię uprosić: że milszym ci był Grodeck i słodszym pył biblioteki. Ale na to mi odparła: że obie te przyczyny nie służą: żeś musiał mi dać słowo, gdyś inaczéj nie donosiłbym, że cię przywiozę— a Grodeck może być człowiek najuczeńszy i najzacniejszy, ale w końcu jest sposób i na Grodka— na to Bóg dał wakacije!— więc dla rozbrojenia sprawiedliwego jéj gniewu, przydałem żartem, że cię zainterdyktował nasz Reverendus, abyś z nim ćwiczył się w szachy. Skończyło się tą razą na tém, że pogroziła na Czesława zanieść skargę aż do prowincijała: a do ciebie wybiera się z długim i bardzo impertynenckim listem, tylko musi jeszcze posensować sobie, jak wypada, pisząc raz piérwszy do takiéj poważnéj, sławą autorską promieniejącéj osoby. Bo masz wiedzieć, że wszystko cóś pomieszczał w Tygodniku, nie tylko wiersze, ale nawet prozę, wieśniaczka moja umie prawie na pamięć.

Ile-ż to podziękowań i błogosławieństw zasyła ci droga moja matka! Pozbawiłeś ją i siebie, niedobry, wielkiéj, najszczerszéj przyjemności. Nie oparłbyś się serdecznéj dobroci, najmilszéj i najdobroduszniejszéj otwartości téj nieporównanéj matki. Znając twą czułość i świętą pamięć ku téj, która cię osierociła dzieckiem prawie, wiém, że nieraz zalany łzami poglądał-byś na moję kochanę matkę: ale sam ten smutek był-by ci może słodkim, bo ukrywać się z nim nie miał-byś potrzeby, bo od piérwszego dnia, upewniem, nie czułbyś się obcym w naszym domu. To jednak okrutnie, że sam doznając szczęścia, porównywam się z tobą!— ale czy-ż-bym chciał cię zasmucić— i czy-ż mi potrzeba téj egoistycznéj przyprawy do mojego szczęścia!

Z Franciszkiem i Karolem ** widziałem się już kilka razy. Kłaniają ci oni serdecznie. Oba naopowiadali mi od razu tyle cudów o jakimś najosobliwszym filozofie Dorpackim, któregośmy zastali w naszém sąsiedztwie, że nastroili mię wcześnie do czegoś bardzo nadzwyczajnego. Jakoż, w rzeczy saméj, mam ci donieść o znakomitości piérwszego rzędu w swoim smutnym rodzaju. Nasz Baron N..t..r. obok niéj postawiony, tak gaśnie jak świętojański robaczek przed kometą. I spodziewam się ci donieść, że nie przesadzam. Jest to także baron, syn Rządowego niegdyś Nadleśniczego w naszéj okolicy, który jako dostojnik Rzeszy, nie sądził godnym naszego słowiańskiego uniwersytetu, aby miał zaszczyt piastować *czstéj krwie* baronowicza: oddawał go

więc do Dorpatu. Oglądałem już po kilka razy to cudo, i zawsze z równém podziwieniem. Po raz piérwszy spotkałem go u naszego plebana, którego baron, lubo protestant, odwiedza dość często i zawsze w celu wojowniczym filozoficzno-religijnym. Byłem skromnym świadkiem i słuchaczem ich rozmowy. Nie podobał mi się w najwyższym stopniu ton młodego mędrca, tak iż po jego wyjeździe, ośmieliłem się nawet powiedzieć szanownemu gospodarzowi: że potrzeba się gniewać na jego niewyczerpaną słodycz i cierpliwość.

—«Wszystkie te brednie— odrzekł on spokojnie— znane mi są dobrze, jeszcze z kursów teologicznych. Słucham ich więc jak starych nowin gazeciarskich: ale zbijać je byłby do trud zupełnie stracony; bo jeśli-ś Pan uważał, to ani prawda ani fałsz mojego gościa nie obchodzą. Idzie mu tylko o okazanie erudycji. Jest to ogólna cecha wszystkich pism spółczesnych biblijnych naturalistów, i filozofów niemieckich!

Mówiąc o tém daléj, pleban bardzo właściwie, jak mi się zdaje, charakteryzował pod tym względem Francuzów i Niemców. Powtórzę ci jego słowa:

—Irreligija francuzka przeszłego wieku, któréj szyderstwa, na szczęście, codzień już rzadsze, bo nawet przestały być śmiesznémi, szanowała przynajmniéj chrześcijańskie cnoty, choć o tyle, o ile je znajdowała zgodnémi z przedchrześcijańskiemi: sama wreście jawno-szalona płochość z jaką się targała na tajemnice i formy wiary, czyniła mniéj niebezpiecznémi i ohydnémi jéj napaści; ale bezbożność niemiecka zimna, analityczna, podziemna, daleko jest przewrótniejszą i nawet niedorzeczniejszą od francuzkiéj, mimo całéj swojéj jałowéj krytyki i uczoności. Możnaby porównać piérwszą z nich do początkowego obłąkania i walki zbuntowanych aniołów, toczonéj przynajmniéj z jakąś choć szaloną nadzieją, z jakimś zamiarem, zapamiętaniem, wreście w powietrzu przynajmniéj i na rozwinionych skrzydłach: gdy ostatnia podobną jest do knowań strąconych duchów, nie powodowanych już żadną nadzieją, celem, przeświadczeniem, i szalejących bez namiętności. Francuzi wszakże, uwłóczywszy rozumowi Twórcy, w tym samym dniu prawie utworzyli sobie *bóstwo rozumu:* było to przynajmniéj jawne niejako uznanie, że tylko rozum czysty, zbiorowy, słowem bozki może i powinien odbierać hołdy; Niemcy zaś, których filozofija w ostatnim swoim wyrazie zawsze jest tylko echem francuzkiéj, i którzy naśladując swoich zareńskich sąsiadów, nie mają ich zbawiennego praktycznego instynk-

tu, z idei czystego rozumu, przyszli do ubóstwienia biédnego rozumu ludzkiego, i do panteizmu.”

Ale o zacnym Baronie jeszcze ci ani zacząłem. Odkładam to do następującego listu, bo wyjeżdżamy zaraz na imieniny do mojéj ciotki.”—

XXIII.

Piérwszy list Marcinkiewicza.

«Wróciłem do Wilna już po dziesiątéj. Fórtę naszę zastałem jeszcze otwartą, ale przechodząc mimo celi Czesława, napróżnom ostukał sobie palec. Po dniu tak trudnym, biédny *Jorick* i on też musiał się *ukanafarzować!* Zaledwie mi już dopisały nogi na górę. Każdy stopień zdawał się wiorstą. Za to, co za niespodziankę zastałem w naszéj poczciwéj kwaterze! Wyobraź tylko sobie, mój kochany Erazmie, brata-akademika w normalnym stanie zdrowia— ale gdzie-ż tam, wyobraź go sobie w stanie zdrowia podniesionym do drugiéj i trzeciéj potęgi, gdy *np.* przetrzepał sobie wiorst dwadzieścia kilka po najniegodziwszych piaskach i w Afrykańską opiekę— i już nakoniec wstępuje pod ojczyste poddasze, i myśli o rajskich roskoszach jakie nań czekają: że napije się wody, zapali fajkę i jak Lukullus rozciągnie się na skórzanym siennym materacu i dwóch takiej-że treści poduszkach! I oto ów Sybaryta dopadł wreście upragnionéj klamki: drzwi się otwierają— bo jeśli przypominasz, klucz gdzieś się nam zadział jeszcze przeszłego kwartału— w tém na samym wstępie, dolatuje go niespodzianie jakiś zapach ożywny, posilny, obiecujący cóś dziwnie przedziwnie smacznego! na nieszczęście noc ciemna, a położone na oknie siarniczki zwilgotniały— lecz otoż przecię zapala się jedna! Patrz teraz niewierny, kochany mój Erazmie! oczy cię nie mylą! Jest to pasztet, *lege artis*, z truflami: a w tym dzielnym puharze, zakrytym szczelnie chlebową skórką, mieści się węgrzyn, który wtedy tylko zjawia się w refektarzu, gdy celebruje sam prowincijał, a Jubilat miewa kazanie!— Zarzucano Krasickiemu, że bohaterowie którejś z jego epopei, wpadają w kontemplacíją na widok jakiegoś uroczystego dzbana. A przecięż i ja mam teraz z doświadczenia, że w podobnéj chwili, trudno jest odjąć się uczuciu własnéj niegodności. Doprawdy, byłbym przestał wybornie na szklance mléka

i kawałku chleba!— Wkrótce jednak uspokoiłem się myślą, że również mało potrzebne mi są te uwagi filozoficzne, co i buréj pamięci Horacijuszowskiéj polnéj myszce, zaproszonéj na wiejską ucztę od swojéj przyjaciółki.— Koniec końcem, wieczerzałem tak świetnie i śniło mi się tak świetnie, że bardzo mi było smutno, gdy wysoko stojące już słońce powiedziało mi na dobry dzień:— Panie Marcinkiewicz, nié ma co, potrzeba wstawać i iść na prelekciją abecadła! Któż widząc ostatki mojéj wczorajszéj wieczerzy— nikt zaistte, prócz słońca nie śmiał-by mi oświadczyć podobnéj propozycii! Bądź cobądź winienem sobie jednak oddać świadectwo: żem przyjął to przypomnienie dobrém sercem. Ubrałem się pręciutko i byłem u moich kochanych chłopczyków tą razą wcześniéj, niż się przybrano delegować dorożkę po mojéj dostojność. Bawiłem u nich cały ranek: zostałem, po raz pierwszy, na obiedzie zupełnie wiejskim, wakacijnym, i jeszcze z parę godzin dałem się zatrzymać na prośby dzieci, które ani się domyślały jak wielką sprawiły mi przyjemność, wciągnąwszy mię do swoich niewinnych zabaw. Graliśmy z sobą w piłkę, w obręcz, nawet dla uzupełnienia mojéj popularności, w ślepą babkę. Pani Z., któréj dobroć i swobodny najmilszy układ, znasz już z moich opowiadań, miała opiekuńcze oko na nas wszysıkich. W rzeczy saméj, na równi z dziećmi strzegła mię ona od szwanku, gdym miał zawiązane oczy, upominała, abym się nie mordował, nie pozwalała natychmiast napić się wody— i to wszystko z taką ujmująeą prostotą, z taką szczérą troskliwością, że twój biedny przyjaciel, który za cieniem matki dałby się poprowadzić na kraj świata, złudzony słodkiém podobieństwem, czuł się w téj chwili doskonale szczęśliwym, szczęśliwszym może od tych milutkich dziatek, co mają skarb taki i nie wiedzą jeszcze, że go można utracić!— Już to dni kilka, jak tym sposobem codzień najroskoszniéj mi czas schodzi do drugiéj i trzeciéj poobiedniéj. Wczoraj zacząłem im czytać niedawno wyszłe w Warszawie wybornie napisane powiastki dla dzieci. Przy każdéj myśli nowéj i mówiącéj do serca, przy każdym rysie szlachetnym, przy każdém dowcipném słówku, chłopczykóm moim świeciły się oczki, i zda się tchu im brakło, lękali się nawet dozwolić sobie głośnego śmiechu, aby nie stracić ani jednego następującego wyrazu: a matka poglądała na nich od czasu do czasu z takim błogim zachwytem, z taką nadzieją, o spełnienie któréj, w téj saméj chwili, sercem musiała zanosić modlitwę. Nic sobie nie umiem wystawić droższego na ziemi, nad ten domowy obraz. Kilka razy, śród czytania czułem łzy w o-

czach— i zgadniesz-li przyczynę? myślałem sobie o tym zacnym człowieku, którego brakło do uzupełnienia obrazu. Jakże-by on był szczęśliwym!

W godzinach poobiednich, od dnia twojego wyjazdu, zawsze jestem przy Grodku, albo w jego pracowni, albo w biblijotece uniwersyteckiéj: tak, że jak widzisz, z losu i z podziału czasu zarywam cóś trochę na prozerpinę. Ale i w państwie podziemném cale nie musiało być tęskno, jeżeli pluton choć jakiekolwiek miał podobieństwo do naszego nieocenionego Grodka. Nie śmiem zapewne wymagać po nim takiéj przepaści nauki i erudycji— lubo i pod tym względem bożek mógł być nieupośledzonym— ale jeśli tylko był on choć trochę podobnym z równości i słodyczy charakteru do mojego Dziekana. Teraz dopiéro, gdy widzę go z bliska, śmiem i mogę złożyć hołd podziwienia téj pięknéj, niespracowanéj i wielkiéj duszy. Cóż to za miłość nauki! jakie serce i jakie szlachetne chęci dla przybranego kraju! jaka nieugięta siła nad biedném, znękanym ciałem! jaki ojciec, jaki przyjaciel, jaki znawca i sumienny sędzia młodzieży, jaka czułość, dusza, co za człowiek, mój kochany Erazmie! Ale donieś-że mi prędzéj, czyś szczęśliwie dojechał? Czyś bladą swą cerą nie bardzo przestraszył kochaną matkę? Czyś ucałował jéj ręce w mojém imieniu? I czyś uderzył odemnie czołem naszéj niewątpliwéj Sevigné?"

XXIV.

Drugi list Erazma.

«Bardzo się dobrze stało, żem nie miał czasu oczernić przed tobą Barona. Na imieninach u mojéj ciotki zajaśniał on w mych oczach niespodzianym i najmilszym przymiotem. Ma nieporównanie, ale to nadludzko, cudownie piękną siostrę. Widzę ją ciągle we śnie i na jawie: głosek jéj dotąd brzmi w mych uszach, słowem, zakochany jestem— co się nazywa, jak student. Niegodziwa Krysia już spolowała mą tajemnicę, i zaczyna mię prześladować. Wypieram się przed nią wprawdzie, ale słabo: bo tak miło, że ona mi tém dokucza. Posłuchaj naprzykład naszéj ostatniéj rozmowy.

—Skąd-że to ci znowu przyszło?— spytałem siląc się na obojętność.

—Tylko-ż nie morduj się sam, i nie nudź mię kłamstwem mój braciszku!— odpowiedziała mi polegając od śmiechu.— Widać nie wiesz jeszcze o tém, że po oku opatrzności, najlepiéj widzi oko siostry.

—Bardzoś mi zatém niewdzięczna moja jasnowidząca! Bo jeślim i starał się być grzecznym dla Baronówny, to jedynie przez wzgląd na ciebie.

—Na mnie zaś? O zmiłuj się, opowiedz mi tę historją: musi być *wielce ucieszna.*

—Ani trochę. Uważałem, że ci mocno wpadł w oko wąsaty i pokiereszowany baron— dla tego zapewne, że wygląda jak Fradiavolo— nadskakiwałem więc jego siostrze, aby ci była miłościwą.

—Historja twoja okrutnie kłamie, mój braciszku! choć baron bardzo i bardzo zajmujący *quidam*, ale wiész przecię, że moje serduszko nie wolne!

—Któż ten szczęśliwy śmiertelnik?

—Ty go znasz dobrze.

—Naprzykład?

—Kocha cię on najszczerzéj.

—Już i mnie kocha? To bardzo grzecznie! Dziękuję ci, żeś mię raczyła przed nim zalecić.

—Nie mówiłam z nim o tobie ani słowa.

—Więc cóż? chyba rzeczy toczą się na piśmie? Za wiedzą-ż to mamy?

—Ach, nie! kochany bracie!

—To bardzo źle, moja Krysiu!

—Wiém o tém. Źle, jak najgorzéj. Ale kiedy-ż okrutnik wziąwszy mi serce, sen, apetyt, słowem całe najszacowniejsze *trio*, nie stawił się w dniu naznaczonym.

—Widzę, że mi opowiadasz porządkiem, jak ci wypadło ze wczorajszéj kabały: tylko się nie pilnujesz słów Łozowisi.

—Ach, nie! kochany bracie! Zwierzam ci się najserdeczniéj. Mówię ci, jak jest, jak było. Mój wiarołomny, nie przyjechał w dniu oczekiwanym!

—Ale któż znowu?

—O w gniew mię wprawiasz swą niedomyślnością! Któż znowu inny jeśli nie P. Marcinkiewicz?

—A to ja mu o tém wszystkiém napiszę!— zawołałem śmiejąc się do rozpuku.

—Możesz, bylebym ja tylko o niczém nie wiedziała!”—

Wyborna dziewczyna! Ale zawsze dalako jéj do Leokadji. Zobacz-bo i sądź mię swojém sumieniem. Słuszna, brunetka, białuchna, błękitnooka, (na złość całym Włochom, które się chlubią, że tylko na ich klassycznéj ziemi oglądać można tę wdzięczną grę przyrodzenia) czoło cudownie zaokrąglone, tak pogodne, jasne, czyste, że ani czas ani boleść nie będą mogły utkwić na niém cierniów i oznaczyć swojego przejścia: dobroć, spokojność i uśmiech w całéj twarzy, głos cichy, ale tak dźwięcznie i dziwnie zlewający się ze znaczeniem każdego słowa, że głos ten musi być poświęconym saméj tylko prawdzie— nakoniec lat szesnaście, ale doskonały rozmiar i wykończenie wszystkich form téj roskosznéj budowy, pewność kibici i jakiś wdzięk spokojny w każdém skinieniu, dają jéj na piérwszy rzut oka już lat dwadzieścia. Och! ten piérwszy rzut oka omal mię w rospacz nie wprawił! Bo z zachwycenia i szczęścia, jakiém mię napełnił jéj widok, zbudziła mię nagle myśl boleśna: że tak odlatujący anioł dla mnie się nie zatrzyma! sądź o mojéj radości, gdym posłyszał, jak baron prosząc siostrę by usiadła do fortepianu, mówił do mojéj ciotki: że już nie długo mu roskazywać, że za kilka tygodni będzie musiał złożyć żelazne berło opieki— bo Leokadija wstępuje w pełnoletność. A więc dopiero wstępuje!— Jakże była ona czarującą przy fortepijanie! Długo patrzyłem na nią tylko, w zupełném zapomnieniu, nie słysząc prawie muzyki, choć tak lubię i choć grała ona z rzadką łatwością najcelniejsze dzieła Lipińskiego i Elsnera. Ale gdy na prośby ciotki raczyła nam wreście zaśpiewać ten nowy i już tak upowszechniony śpiew Warszawy:— *witaj królu!*— zupełnie mi ściemniało w oczach, i z całym urokiem magnetyzmu podpadłem już pod władzę muzyki i jéj głosu.— Znamienity *ojciec* naszych *szubrawców*, i wszyscy co mu wtórują w wyszydzeniu magnetyzmu, jeśli doznawali kiedy podobnego uroku, jaki wywiera na mnie dźwięk jéj głosu, nigdyby sobie przebaczyć nie powinni swojéj smutnéj niewiary. Bo czémże jest, proszę, to przed chwilą ani spodziewane uczucie, ten błyskawiczny pociąg, ten, że tak powiém, spółdźwięk, jakim zadrżała cała moja dusza, ledwiem posłyszał piérwsze słowa Leokadji? Wszakże magnetyzm nie odwołuje się do dowodów nadziemskich i niepodobnych do sprawdzenia, gdy wskazuje na serce i nazywa *miłość* jedném z najpiérwszych, odwiecznych swych objawień? Czyli-ż ją lepiéj tłómaczą ci, co przypisują jéj tajemnicę jakiejś niepojętéj sympatji, jakiemuś podobieństwu, jakiejś skłonności, jakiemuś wzajemnemu złudzeniu oczu, nawyknieniu, przypadkowi, niekiedy nawet dziwactwu? i t. d.

Nic zapewne łatwiejszego, jak okryć śmiesznością to co się nie daje nagiąć do naszego szczupłego pojęcia!

Ale po cóż znów ten zimny rozbiór, jak gdybym był już starym i mógł tylko obliczać przekwitłe wspomnienia! Niech mi ktdrakolwiek z dwóch naszych stron wojujących, objawi: czy Leokadija mię kocha? Czy nikt dotąd jeszcze nie zajął jéj serca?— Och! to drugie pytanie po cóż się nastręczyło!— Zacząłem list najweseléj. Miałem ci powtórzyć wszystkie jéj słowa: bo w każdém z nich było cóś dla mnie szczęścia, nadziei, przyszłości— a teraz, wszystkie te słowa, z którémi tak słodko pieściła się moja pamięć, zdają się mi martwémi, powszedniémi, ściśle grzecznémi, powtarzanémi— stokroć już może powtarzanémi i zapomnianémi!—

Trzeci list Erazma.

«Otrzymałem nakoniec twój kochany list, a raczéj otrzymała go Krysia i oddała mi już strefurtowany *). Bo teraz wszystko jéj ze mną wolno. Nie gniewaj się mój drogi za tę samowolność w mojéj kancellarji. W biórku zakochanych jedna tylko wysuwka bywa pod zamkiem, ale i o téj nie zawsze się pamięta. Jakoś, widzisz, nie staje czasu ani cierpliwości do tego żmudnego pokręcania kluczem raz na prawo, to znowu na lewo, gdy ma się do myślenia o czémś ważniejszém, pilniejszém, i przytém tak łatwo, tak nieograniczenie wierzy się ludziom! Świat-bo nie jest złym, Panie Dobrodzieju i ludziska na nim dalibóg poczciwe! Rozumie się nie wymagając od nich zaraz anielstwa.— Otoż Krysia oddała mi twój list niezmiernie pyszna i uszczęśliwiona żeś ją porównał do Sevigné. (Ciekawy'm jakiebyś już mógł wynaleść porównanie dla dwóch niedługich bilecików, w których zdało-by się, że nie zawiera się nic więcéj, tylko prośba o ballady M. i proste *piękne podziękowanie:* ale dla mnie zawiera się w nich więcéj, niż być mogło i jest dotąd *baargeldu* w całym skarbcu Habsburgskim!)— Krysia jednak doczytała się, za swoję ciekawość. Uważałem, że już ma cóś na ser-

---

*) Odczytany— prowincijonalizm.

cu do Pani Z. i do samego nawet nieba, że ci w niéj zdarzyło, jak piszesz, drugą niemal matkę.

—Jaki ten twój przyjaciel szczęśliwy!— rzekła mi z przekąsem.— Ot już znalazł i *mamę!*— A jakie dobre ma on widać serce!— przydała z przyciskiem— Tak czule żałuje tego nieboszczyka Pana Z., że go braknie do uzupełnienia familijnego obrazu! proszę!!

—Więc już nawet i zazdrość na niewidziane!— zawołałem. Co też z ciebie za Megerę komuś mama hoduje!

—Proszę mówić: *von Megerę!* Bo ile sobie przypominam z mitologji, Megera była baronówną!— odrzekła mi niegodziwa, i wyszła śpiewając ze złości.

Ale daruj, że ci powtarzam te dziecińśtwa. Prawdę mówiąc, chciałem cię tylko udobruchać z początku, przynosząc ci na wstępie, jak stara baba, słodziuchną plotkę o uwielbieniu jakie ma dla ciebie Krysia, (bo przy całéj swojéj filozofji, już ci też nie gniewasz się zapewne, że młoda dziewczyna, *et quidem* dosyć nieszpetna na niewidziane pokochała cię platonicznie jak Bettina Brentano, Göthego).— Otoż, mój drogi, nie taję się wcale, że to nie bez celu trafiam naprzód do twojéj miłości własnéj. Potrzeba mi koniecznie, abyś był cierpliwym, i pozwolił mi co najwięcéj pogruchać dziś o mojéj *Laurze.* Nazywam ją już *moją:* czy to uważasz?— Jakiém prawem? na mocy czego? jak? co? i kiedy?— o to wszystko zmiłuj się nie nalegaj bardzo i nie żądaj zaraz dowodów rozumnych: bo wszakże już po ekzaminie i mamy, Bogu dzięki, wakacije. Ach! i jakież jeszcze dzięki! Czyż przewidywałem, czy mogłem przewidywać, że będę miał podobne wakacije? Jeślibym mógł choć marzyć o mojém szczęściu przed dwóma tygodniami, kiedym się niecierpliwił jak dziecko, i dręczył cię tak okropnie, bardzo być może, iż umarłbym z saméj rozpaczy, passując się z chorobą co mi wydzierała taki miesiąc życia!— Wiem dobrze, że pomyślisz sobie, jakbyś niezawodnie i powiedział mi w oczy: żem dziecko, ale że pozwalasz mi się dziecinić, bo szczęściem za parę tygodni ci powrócę. Otoż właśnie, że nie tak jest, co się tycze powrotu. Jeszcze-m chory.

—Nawet to widać!— podpowiesz złośliwy człowieku.— A więc to po mnie sam widzisz! Ale bez żartu, jeszcze nie jestem zdrów zupełnie. Piérwsza matka zapowiedziała, że za nic nie pozwoli mi wyjechać ani nawet we Wrześniu. Jam tylko nie ośmielił się stawić jéj oporu. Czyż mię za to potępisz?— A nie przypuszczasz przecię, mam nadzieję, aby mi już do tego stopnia w niesmak poszła nauka, jak temu Brzeskiemu Sędzicowi, o któ-

rym nam opowiadał Ludwik: że ile razy z wakacji lub ze świąt przywiozła go matka do szkół, tyle razy miała niewymówną przyjemność za powrótem z Brześcia zostać już swojego jedynaka w domu. Przypomnij-bo tylko sobie tę nieporównaną i zawsze jednę w podobnych razach rozmowę téj nowéj Veturii z Korijolanem:— «A czy ty już tu?— Tu matulu!— To chyba starym traktem bestijo?— *Na proszczki* matulu!— O czemu-ś ty sobie lepiéj prosto karku nie strącił!—

—Kiedy-ż jak człowiek wspomniał sobie, że już matuli nie zobaczy, to jak gdyby kto nóż wbił w serce!

—Toż ty dziś nic jeszcze i nie jadło moje dziecko!!"— Nie myślisz zapewne, abym i ja był już na podobnym trakcie. Nie, mój drogi, nie popełniłem, i spodziewam się, że nie popełnię *dezercii.* Ale opuszczam nasze kochane, rodzone Wilno, i od nowego roku przenoszę się— nie wyklinaj mię— do Dorpatu.— Kiedyż-bo *jak człowiek wspomniał sobie, że już nie zobaczy* Leokadji!.. przytém, sam przyznaj, że nic nie szkodzi, owszem trzeba studować jak najwielostronniéj i otrzeć się trochę o tych *selbständig— treymüthig— allerseit— gelehrtigsttief— und hoch— Schwärmeró'w!* Dawaj mi teraz niemczyznę na sążnie, a jednym tchem będę ci ją ciągnął jakby nić złotą. Powiedz o tém naszemu poczciwemu H*. Ale powiedz razem, że Leokadija zupełnie inaczéj składa usteczka, kiedy chce zmiękczyć zjeżone spółgłoski:— a gdy wymawia *hübsch* i *lieben*, to żaden język na świecie nie może mieć nic roskoszniejszego! Otoż, mein Freund, nie tracę bynajmniéj czasu, i przedewszystkiém z całéj siły uczę się po niemiecku. Z moją kochaną mistrzynią czytamy codzień Klopstoka, Herdera, Lessinga, Uhlanda, Körnera, Wielanda, Richtera, Göthego, Schillera— jest co do wyboru jak widzisz— i czujemy Panie Dobrodzieju, co czytamy! Co do Barona, który zapiera mię czasem do Kanta, Schellinga, Fichtego, Jakobi— to już on się unosi *solo* pod obłoki, bo ja go tylko wstrzymuję co chwila i w gniew wprawiam, prosząc to o szyk grammatyczny, to o *succum rei.* Za to odmawia mi on zupełnie filozoficznego *zmysłu.* Jużci też szkoda mi trochę siebie, za co inni ludzie mogą mieć ten zmysł, a ja go nie mam? Ale z drugiéj strony, pomimo przywiązania, którego codzień więcéj nabieram do Fryderyka, (bo najlepsze ma serce i walny z niego chłopak z wielu względów, nie licząc już, że jest bratem Leokadji) czuję jednak, że nigdybym nie wymógł na sobie takiéj abstrakcji od przyjętych sposobów myślenia i wrażeń, do jakiéj dochodzą młodzi niemieccy studenci, wyrabiając w sobie *Ja* własne, i nie tylko w my-

śleniu ale nawet w zastosowaniu praktycznem wyzwalając się od powagi tradycji. Wiesz dobrze, naprzykład, że w Chinach za arcy-przysmak gastronomiczny uchodzi pewien gatunek piesków. Ale zapewne i na wezwanie samego Bochdochana wymówił-byś się od téj wyśmienitości. Tymczasem w Dorpacie, który dzięki Bogu dawno już nie był obleganym i nie zapamięta wojennych ostateczności, młodzi filozofowie wychowujący swoje *Ja* w sposób niezawisły od empirycznych uprzedzeń, łowią na ulicy piérwszego lepszego przemyślającego kuca, i dla jawnego zadrwienia z filistrów, którzy bez ognia i soli nie ugotują sobie nawet nieszczęśliwego barszczu, jedzą złowionego *in crudo*, bez żadnéj przyprawy, prócz szczypty pieprzu— i to jedynie *in gratiam* poczynających filozofów. Przykład ten, jeden z wielu opowiadanych mi od Fryderyka, a wybrany przezemnie ze wszelkim jeszcze względem na *filisterskie konwenanse*, przekona cię, że niemiecka wszechwiedza ma także swoję anatomiją, i jak nie każdy może być lekarzem....

O mój drogi! Wszak-że to jéj pojazd! to oni! ona z bratem!"

XXVII.

Drugi list Marcinkiewicza.

«Nie mogłem ci natychmiast odpowiedzieć, i na dobre mi to wyszło: bo jedna po drugiéj poczta przyniosła mi twoje listy. Czytając piérwszy, cieszyłem się najszczerzéj twojém szczęściem rodzinném i zazdrościłem ci twego nieba zazdrością spokojną, godziwą— że tak powiém, świętą. Aż w kilka dni potém czytam i widzę cię zakochanym nagle, od piérwszego spójrzenia, i nawet bardzo i bardzo, jak się zdaje. Daruj mi, drogi Erazmie, że wyrażam się tak wujowsko-opiekuńczo, jak gdybym ci wyrzucał niewczesną hojność. W rzeczy saméj, właśnie tak myślę. Skarby serca mam za najdroższe ze wszystkich: rzucać je więc na los szczęścia i poświęcać na piérwszy rzut oczu,— chociażby on mógł być najstraszniejszym— zda mi się zawsze rodzajem świętokradztwa. Bo cóż, jeśli to tylko chwilowe przywidzenie wstrząsnęło sercem, jeśli strun jego dotknął tylko jakiś powiew przelotny, jeśli ten nagle zdarzony pociąg nie będzie mógł, nie będzie powinien zamienić się w stałą, prawą, szlachetną skłonność? Bę-

dziesz-że mógł wymówić kiedyś śmiało w chwili przysięgi, i powtórzyć z najczystszą roskoszą przed tą, którą ci Bóg przeznaczy, że przynosisz jéj serce wolne i po raz piérwszy oprzysiężone? Chwila ta tak jest jeszcze daleka, zawód twój tak jeszcze długi, że nic prawdziwszego nad poetyczną uwagę, która ci się sama nastręczyła: «że ten odlatający anioł dla ciebie się nie za«trzyma." Tak, mój Erazmie, choćbyście po sto razy wyczytali nawzajem w swych oczach, żeście stworzeni dla siebie, choćby natchnienie magnetyczne, do którego się odwołujesz, powiedziało wam sto razy i nawet bogatszemi rymami niż je improwiżuje nasza Bergmannowa *): że wasze dusze oddawna znały się z sobą w sferach nadziemskich,— że były nawet podobno sobie poślubione,— że bardzo im jest przyjemnie, iż się nakoniec spotykają— że odtąd nic już ich nie rozdzieli i t. d. Wierz mi, mój drogi, natchnienie sobie szczęśliwie uleci i znajdzie gładki sposób do uniewinnienia się jak najuczeniéj i ocalenia swojéj niemylności: a was rozdzielą z sobą te te zawistne losy, czy prozaiczni ludzie! A więc na Jowisza i Apollina (bo odkąd jestem przy Grodku, nie stąpię ci teraz kroku bez tych Olimpijskich Torysów) trzykroć i cztérykroć błagam cię i zaklinam: nie chciéj kochać się tak śmiertelnie w téj niebezpiecznéj Baronównie. Ne *baroneris* dulcissime Erasme. Pamiętaj, że twój cioska Roterdamski pisząc swój znamienity traktat *de moria* nie miał bynajmniéj na myśli biblijnéj góry *Morii*, ale wprost opiewał ów wielki *fach* do którego i *Wasyndzi* możesz sobie należeć. Bo bardzo być może, że wprzódy jeszcze nim otrzymasz laur kandydata filozofji, twoja *divina* przestanie być kandydatką mirtowéj gałązki. Prócz tego, zapamiętywać się tak od razu w miłości jest to ostatnie niewyrachowanie. A nuż czeka cię anioł jeszcze eteryczniéj, jeszcze tęczowiéj promieniejący? i pokocha cię całém sercem? i dotknie świetlaném skrzydłem twojego serca?— Cóż mu dasz w zamian? powtórną edycyją!— Brukselski przedruk!— Jeżeli powtórna przyjaźń nie może nigdy dorównać piérwszéj, cóż dopiéro musi być z miłością?— Mówię ci o tém tylko przez przypuszczenie, alem przekonany i pewny słów moich, jak stary.

—«Dobry-ś! (pomyślisz sobie, i chciałbyś niezawodnie módz

*) W rodzaju np. takich:

«Bergmannowa
«Będzie zdrowa."

Do tego śpiewu jasnowidzącéj w dziele Józ. Franka dołączone są nawet nóty.

mię potrzepać po ramieniu)— przesyła mi tak «złote rady, jak «gdyby« sercu można było dowieść, że jeszcze na dwa lata wpi«saném jest do album!"— Dla czego-ż by nie można? Można i bardzo można. Oddaję ci za przykład i dowód siebie samego. Jeślibym nie dowiódł sercu, że z powodu różnych lekcji, repetycji, ekzaminów, i tym podobnych drobiazgowych roztargnień, które mi jeszcze cały rok zabiorą, nie mogę w żaden sposób z przyzwoitą uwagą przesłuchać jego przełożeń, i nie czuję się ani zdolnym ani godnym tych nadziemskich natchnień, któremi mię raczy nawiedzać— stąpał-bym już oddawna po drodze kwiatami usłanéj i widziałbym wszystko do koła i po nad sobą w barwie złoto-różowéj. Umiałem przecież wyrzec się całéj téj rozkosznéj atmosfery i pozostać na ziemi. Wprawdzie przyszło mi to trochę łatwiéj niż tobie, z przyczyny dobrze ci wiadoméj, o któréj, bardzo ci mam za złe, mój wspaniały przyjacielu, żeś nie uprzedził z góry swojéj najmilszéj i najweselszéj siostry. Wiész przecię, że ja się znam na sobie i byłbym się za to bynajmniéj nie zagniewał. A tak, cóż to będzie za babilońskie zamięszanie, jeżeli mię kiedy zobaczy w żywe oczy, i postawi brew w brew z tym ładnym i tak dowcipnie uśmiechającym się ideałem, w jaki za pomocą poezji, dobroci, i swojego niewyczerpanego humoru, raczyła mię ustroić! Powiedz jéj, tą razą przynajmniéj, kochany Erazmie, żem brzydki i to tak, że ledwie przy moim klasycznie już brzydkim Grodku wyglądam jeszcze do zniesienia. Przy tém, przez jakieś szczególne dziwactwo, czy może też łaskę przyrodzenia— z czém ci się dotąd nie zwierzyłem— od bardzo młodych i bardzo ładnych kobiét mam tę zbawienną bojaźń, która tak dobrze daje się określić jednym wyrazem greckim: *kallogynefobija.* Jest to w rzeczy saméj, bardzo szczęśliwa łaska dobrego przyrodzenia, choć w części przynajmniéj wynagradzająca za niełaskę niepoczesnéj powierzchowności. Bo sam uważ, że bez tego roztropnego instynktu miałbym się może, jak biédna ćma wieczorna, tak drogo opłacająca swoje pretensije do światła. Nie chciałbym jednak, abyś już pomyślał, że ta moja zbawienna bojaźń rozciąga się aż do całéj płci pięknéj. Obwarowałem się tylko przysłówkiem: *bardzo.* Zresztą wszystkich młodych i ładnych kobiét bynajmniéj się nie lękam. Czuję nawet, że przedewszystkiém kochał-bym w kobiécie rozsądek, naturalność i ten najmilszy dla mnie wdzięk spokojny w oczach i twarzy, który zda mi się najlepszą poręką prawdy i szczérości. Zbieg ten tak szczęśliwy, zda mi się nawet, że znalazłem już w mojéj przybranéj matce. Ale czy-ż bym ją śmiał pokochać? matkę!!

—Bądź zdrów kochany Erazmie, i proszę cię, bądź mi równie dalekim od niemieckiéj sentymentalności jak i od niemieckiéj filozofji.— Szanownéj twéj matki całuję ręce; Pannie Krystynie ukłon pełen wiecznéj wdzięczności. Tobie zaś (polegając zupełnie na jéj zdrowiu) życzę z Arcy-Biskupem Sevilskim: «więcéj gustu— lepszego gustu— gustu Panie Idzy!"

XXVII.

Trzeci list Marcinkiewicza.

—«A toś mi się popisał! A niech-że cię okróluję! Ty, ty masz zostać butterbrotem! Jakem powiedział o tém Czesławowi— bo w piérwszym gniewie mimowolnie trzeba mi było wynurzyć się przed kimkolwiek— nazłorzeczył ci on dłużéj i serdeczniéj niż Dydo Eneaszowi. Zapewne do goryczy tych klątew musiało przymięszać się cóś niecoś i wołyńskiéj tabaki.— Ale ja, co ci nigdy złorzeczyć nie będę, uciekam się z najszczerszym żalem do twojego serca i sumienia. Pomijam sam powód, który cię potrącił tak niezręcznie na tę drogę. Bom pewny, że wkrótce czarowna zawiązka spadnie ci z oczu, urok przeminie i pozostaną ci tylko na obronę te przyczyny drugo-względne, które sam masz teraz za takie. Mówisz mi, że chciałbyś w metodzie naukowéj spójrzeć też i na drugą stronę medalu. Bardzo być może, że z czasem dla usprawiedliwienia podjętych zachodów, wreście przez samo nawyknienie, i daruj mi— przez miłość własną, zechcesz przeceniać ważność tego spójrzenia. Zastanów-że się dobrze, mój drogi, nad tém co rzucasz i poświęcasz na zakryte. Naprzód, zda mi się, że tryb nauki własny, rodzinny, opowiadany przychylnémi usty, słuchany w kole towarzyszów, którzy pewni są wzajemnego spółczucia, i którego również są pewni ich mistrze— co jest rzeczą nieźmiernie ważną!— nie da się zamienić, ani nawet zrównoważyć żadną metodą obcą, chociażby najpiękniejszéj i najrzetelniejszéj sławy. Promienie téj zagranicznéj sławy, zawsze jakoś z trudnością dosięgają cudzoziemców: spadają one na nich w kierunku odbitym lub ukośnym. Przy tém nie same tylko słowa obcych mistrzów potrzebują tłómaczenia: pomysły ich, chociażby najpłodniejsze, nim mogą być przyswojone i zastosowane z korzyścią pod inném niebem, potrzebują też pracowitego tłómaczenia. Ten trud podwójny musi być zaiste nie mały, kie-

dy go podjąć unikali czy nie mogli ci wszyscy, którzy wracali do nas kiedyś z Rzymu, Bononii, Padwy i t. d. i przynosząc z sobą wzory wprawdzie klassyczne, ale już tylko martwym fosforycznym jakimś świecące blaskiem, naginali do nich nasz język, prawodawstwo, i same nawet formy społecznego bytu. Przynajmniéj w owych czasach, podobna pielgrzymka była z jednéj strony prawie nieuchronną, z drugiéj znowu wynagradzała się w dostojny sposób. Ale co teraz, to nie tylko do Dorpatu, na który najświętszém prawem, możemy sobie poglądać bardzo i bardzo z góry, ale nigdzie, jednėm słowem, nigdzie tułać się już nie mamy potrzeby. Opuszczać oddział, na którym codzień możesz słyszeć Grodka, L. l. la, Borowskiego, Gołuchowskiego, sam osądź, czy-ż to nie zasługuje przynajmniéj na rozstrzelanie? Naznaczam ci tak łagodną karę dla tego, że na uczniów medecyny, którzyby śmieli opuszczać Wilno, trzymam w odwodzie *moksę*— albo nawet i *djabli dekokt Zittmanna.* Tylko-ż nie uśmiechaj się w duchu, odstępco, że wyrokuję tak szczęśliwie, jak gdybym znał i oglądał z wysoka cały uczony widokrąg Europy! Mówię ci to nie z siebie, ale własnémi niemal słowami Grodka, który bezwątpienia zna na palcach wszystkie niemieckie uniwersytety, i już-ci też może być sędzią społecznego stanu nauki. Mimo zajść dość drażliwych, na jakie go wystawia wiecznie młodzieńcza gorliwość o chwałę i jak największą świetność naszego zakładu, przy czém wpada niekiedy w tę na całym świecie niemile widzianą ostateczność: że chciał-by aby wszyscy a wszyscy spółtowarzysze na równi z nim pracowali i przykładali się do téj chwały: oddaje on im wszakże tak zupełną sprawiedliwość, i przyznaje tak wielkie talenta i zasługi, że ile razy o tém go słyszę, aż mi serce rośnie.— «Pamiętajcie sobie Wasyndzieje— mówił mi «on jeszcze niedawno— że nie tylko najlepiéj uposażony mamy U«niwersytet, ale (co nie szło zatém dotąd) teraz jest on i obsa«dzonym po największéj części, jak najszczęśliwiéj. Kiedy sława «wielu uniwersytetów zagranicznych utrzymuje się kilką tylko, a «czasem ledwie jedném znakomitém imieniem, szczęśliwe oczy «naszego księcia umiały upatrzyć dla każdego naszego oddziału, «nie tylko pojedyncze gwiazdy piérwszego rzędu, ale całe nawet «plejady. Podobne szczęście ręki kierującéj wyborem tak jest «rzadkie, że w każdym niemal kraju liczy się i zapisuje na epo«chy. Pragnę jednak z duszy: abyście Wasyndzieje mieli kiedyś «do wymienienia czas daleko jeszcze świetniejszy!”

Nieraz zdarzało mi się słyszeć zdanie Grodka i o téj problematycznéj filozofji niemieckiéj, co dziś tyle o sobie robi wrzawy.

Dasz-że wiarę? zgadza się on niemal słowo w słowo z Rektorem— co im zdarza się tak rzadko. Ceni w niéj tylko logikę i psychologiją: resztę zaś uważa za marzenia i nawet bardzo niepoetyczne, a więc dla młodych ludzi szkodliwe: bo ostudzają wiarę i serce. Lubo protestant, ma on wszakże za najcięższy zarzut swoim spółwyznawcóm: że są dziwnie niezgodni z sobą i nielogiczni w swoich transcedentalnych zaciekaniach: że na każdym kroku trącają i wzruszają z posad rzeczy odnoszące się do najczystszéj i najwznioślejszéj wiary: że wkraczają widocznie i najdowolniéj w świętą krainę religji, śmią rozprawiać o Bogu, Jego attrybutach i rządach śmiałością biédnych Kafrów, którzy z łuków chcą dosięgnąć słońca: słowem, jawnie otwierają pole najszaleńszym teorijom religijnym, zagrażają zasadom moralnym, nie chcą jednak, broń Boże, by ich oceniano i sądzono ze stanowiska religji i porządku społecznego. Gdzie-ż szukać *forum* na podobnych ludzi? Ich *czysty* rozum, bezwzględna wiedza, bogopodobne *Ja* i t. d. wszystko to zostanie kiedyś chyba tylko w słównikach, jako nazwy dziwolągowe, których znaczenia ledwie filolog lub historijograf systematów filozoficznych dobadywać się będą; ale tymczasem ile-ż odmętu w pojęciach, ile skażenia, ile smutnych rozprzężeń w najświętszych stosunkach moralnych wyniknąć ztąd może! Bo co u starych marzycieli, podobnie jak u starych tak zwanych u nas *libertynów*, jest szałem na zimno, to młodzi słuchacze niemal zawsze pośpieszą sprawdzić i przypłacić.

Ale te czarne wróżby niech idą sobie na bory i lasy teutońskie! Ty, mój Erazmie, nam wrócisz. Wszak prawda?— Jeszcze raz polecam sąd w téj sprawie twojemu sercu i sumieniu. Jeśliby piérwsze z nich uchylało się od wsparcia mię swą wymową, powiedz mu, proszę, ode mnie: że Leokadija, jeżeli jest godną ciebie— poczeka.”

XXVIII.

Wyjątek z listu Ludwika.

—«Kochany Erazmie!— powiedz mi naprzód, jaki dobry Święty pokazał ci drogę do tego raju, w który opływając zapytujesz nas litośnie o liczbę naszych grzechów? O, wiele ich, bardzo wiele!

N. 1. Że jesteśmy tu, a nie w Dorpacie.
N. 2. Że nie jesteśmy w Dorpacie, ale tu.
N. 3. Że nie nazywamy się ani *Wilderami* ani *Kaminerami*.
N. 4. Że nie ciągamy się po *knajpach*.
N. 5. Że nie zatrzymujemy pojazdów na ulicach.
N. 6. Że nie napadamy na okoliczne *fermy* i *wille*.
N. 7. Że nie pojedynkujemy.
N. 8. Że nie podróżujemy po kraju, jak bohaterowie *Cervantesa*, z kompasem w ręku, przedzierając się przez puszcze i bagna i żywiąc się z przemysłu i t. d.

Słowem nie jesteśmy i nie będziemy nigdy *burszami* jak należy.

Za to wszystko wszakże nie dziękujemy niebu z faryzejskiém westchnieniem: tylko zazdroszcząc wam z głębi serca, pytamy dolatujących tu waszych nadbaltyckich wiatrów: czemuście tak szczęśliwi!

. . . .

Nie poznał-byś tu nas teraz od cedru, do hyzopu. Pytasz mię o Marcinkiewiczu?— Nic ciemniejszego i bardziéj zawikłanego nad jego historję........ Dziwiłem się zawsze, że też on wszystkim musiał być znajomym! Byłem niedawno u Pani Z., z któréj niespodzianéj ofiary, jak ci wiadomo, mam bardzo znaczną pomoc. I tu cały dom go opłakuje. Szczególniéj zarządzający fabryką mówił o nim z taką przyjaźnią i uczuciem, że rozrzewnił Panią Z. aż do omdlenia.

Wyznaję, że dziwiłem się nieco w duchu téj wygórowanéj sentymentalności na Safijannikach! Ale zdziwiłem się jeszcze bardziéj, gdy mi powiedziano potém, za rzecz pewną: że właśnie w tym domu najniegodziwiéj i najpodstępniéj okłamano Marcinkiewicza. Cóś tu jest bardzo niezrozumiałego!

. . . .

Hałasuje nań wielu— może i słusznie— że przyjął na siebie poetyckie galimacije tego zdolnego szusta, co mieszkał w domu Rogowskiéj. Bo tém niewczesném i nieszczęśliwém kodrusostwem, rzeczy z siebie dziecinnéj, stworzył i nadał jakiś uroczysty pozor.

Gr... i ONa... żałują go niewymównie.

Gr. w piętnastu językach powtarza z Cyceronem i Pittem: *o tempora o mores! what times!* i t. d.

Co do Żegoty, stuka on tak straszliwie swoją statystyczną ma-

czugą i słychać go tak z daleka, jak gdyby się przechadzał sam jeden po *Herculanum*.

Czesław albo milczy, albo złorzeczy. Wszyscy-śmy *nequissimi*, prócz Marcinkiewicza.

. . . .

Mogłem go widzieć. Jest on jak zawsze wesół: ale smutnie jakoś wesół. Pamięta o tobie najczuléj. O twojéj matce i siostrze mówił z radością i uwielbieniem.— Ale gdym mu wspomniał o domu Pani Z. i o szczerém jéj spółczuciu, którego byłem świadkiem, pożegnał mię ręką— i odszedł od okna.”

GRAF ŁOŚ

(Naśladowanie z Puszkina).

Les voyages forment la jeunesse.
Gadka pospolita.

Willst du immer weiter schweifen
Sich, das Gute liegt so nah.
Goethe.

Na wsi to na wsi— tylko jest roskosz prawdziwa.
Delille.

.......gęstsze w domach cnoty.
Graf Łoś.

Czas, już czas!— Już trąby grają;
Strzelce w myśliwskich ubiorach,
Z świtu koni dosiadają;
Gończe wyją skacząc w sworach:
Pań z ganku na podwórz schodzi,
Wziął się w boki, po przyborach
Pilném znawcy okiem wodzi,
Rad wszystkiemu, a na twarzy
Cóś mu się wzniosłego żarzy.

Torba spada mu z ramienia;
Nóż u boku, pas z rzemienia;
W zanadrzu szyjka butelki,
I róg u złotéj petelki.—
W nocnym czépku, pół-odziana,
Senna, w oknie z pod kotary
Patrzy żona zagniéwana
Na tłum, na myśliwskie gwary.
Panu konia podwiedziono;
Jął się łęku— w strzemiu nogą
Woła: «nie czekaj mnie żono!"
I już pociągnęli drogą.

W dniach ostatnich listopada,
(Mówiąc prozą, pospolicie)
Oj! nudneż to na wsi życie!
Dészcz, pluchota, to śnieg pada,
To wilk wyje— lecz myśliwy
Właśnie w raju: jak szczęśliwy!
Nie zna trudów, niewygody,
Wszędzie nocleg, wszędzie gody,
Moknie, marznie, krzyczy, nie je,
I wyplenia z źwierza knieje.
A cóż w domu robi żona
Od małżonka opuszczona?
Czyż się nié ma czém mozolić?
Gęsi karmić, grzyby solić,
Wydać objad i wieczerze,
Zajrzéć w sklep, wziąść się do kluczy,
Oko pańskie konia tuczy—
I wnet co bądź się postrzeże.

Na nieszczęście Jejmość w mowie.....
Ach! nie pomnę jak się zowie!

Mąż (zwyczajnie jak mężowie)
Poprostu ją Nasią zowie;
My Natalji damy miano.
Owóż Jejmość, żal się Bogu,
O gospodarstwie iak w rogu,
Nie zna, nie wie— wiedźcież wzajem
Że nie starym obyczajem
Wzrosła w zakącie domowym,
Lecz na *pensionie wzorowym*,
U *Madame* przybyłéj z dala,
Emigrantki *de Falbala*.

Ona się niczém nie biedzi,
Tylko sobie w oknie siedzi;
A przed nią leży otwarta
Księga spora, już część czwarta;
Pani *Genlis* dzieło sławne,
Pod tytułem: *Dni zabawne;*
Klasyczne, wcale nie nowe!
Moralne, obyczajowe,
Napisane przyzwoicie,
Długie, długie znamienicie.

Natalja czytaniem swojém,
Z razu zajęta głęboko;
Lecz się oderwało oko,
Pod oknem stoczonym bojem
Kozła z pokurciem domowym,
I tym widowiskiem nowém
Znów się zajęła głęboko,
W koło chychoczą chłopaczki;
W tém ciągną piszczącym chórem,
Indyczki za mokrym kurem;
W łuży pluskają się kaczki;

Tam po grzązkim brnie dziedzińcu,
Baba z chust ogromnym pękiem......
Aż z daleka, na gościńcu
Dzwonek cichym brzęknął dźwiękiem.

Kto żył długo w smutnéj głuszy,
Ten sam doznał nieomylnie,
Jak daleki dzwonek silnie
Aż do głębi wnika duszy.
Ktoś jedzie?— Przyjaciel może?
Towarzysz w lat miłych wiośnie;
Nie onaż— li to?— mój Boże!
Ot już blisko, serce rośnie......
Nie.... to mimo dźwięki płyną!......
Ciszéj...... zmilkły za wyżyną.

Natalja na balkon wbiega,
Słucha, śledzi dźwięk uroczy—
Patrzy— patrzy, już postrzega,
Pojazd pędzi.... niedaleko.....
Co raz bliżéj..... już nad rzeką.....
Już u młyna kocz się toczy;
Już na moście...... «Do nas pewnie—
Nie, ach! nie— on w lewo zboczy"—
I gotowa płakać rzewnie.

W tém, radości!— na uboczy
Kocz się schylił..... «Franek! Janek!
«Któż tam!— ot, tam, kocz podnosić,
«Zaraz go podwieść pod ganek,
«I pana na obiad prosić;
«Zapytać, może cierpiący,
«Śpiesz! śpiesz!"

Poleciał służący.
Natalja lekkiemi skoki,
Już stanęła u źwierciadła;
Szal zarzuca, wzbija loki,
Wznosi sztor, krzesło przystawi.
I czeka— wstaje— usiadła—
Znowu wstała.— »Jakże bawi!
«Mój Boże! kiedyż przyjadą?
«Otóż przecie jadą, jadą!"
Zbłocony (pewnie z daleka)
Pochylony w bok i smutny,
Ledwo lezie kocz kaleka;
Za nim Pan, nieco kuleje!
Lokaj Francuz rezolutny,
Nie dba, piosnkę sobie pieje:
«*Dans le malheur*,— *disait un sage*.......
«Wio! wio! konia— *Allons*, *courage!*
Już pod gankiem— otóż sami.
Nim wskróś otwartemi drzwiami
W gościnne wnijdzie komnaty,
Pokąd z żartami, z hałasem,
Pikard zmieni Panu szaty,
Może powiedzieć tymczasem
Kogo mamy honor witać?
Hrabia Łoś (Graf krócéj czytać,
Przytém lepiéj, bo z obczyzny)
Z zagranic, gdzie w wichrze mody
Swe przyszłe puścił dochody,
Teraz wraca do ojczyzny;
Między nami mówiąc szczérze,
Niby jakieś dziwne źwierze:
Z zapasem fraków, kamzelek,
Pończoch *à jour*, szkieł, butelek,
Fularów, lornetek, szczotek,
Sznurków, łańcużków, błyskotek,
Z okropną księgą Gizota,

Z mnóstwem szkiców bez wyboru,
Z *bons-mots* paryzkiego dworu,
Z świéżą piosnką Berańżera,
Z motywami Humla, Pera
Et cetera, et cetera.....

Stół nakryty; czas przechodzi:
Nudno już czekać gosposi.
Otworzono drzwi— Graf wchodzi.
Ona się z sofy pół-wznosi,
Zapytując przyzwoicie:
«Jak noga?— Jak *idzie* zdrowie?"
—Bagatela— Graf odpowie.
Już dano.— Siada jak Basza,
Przymyka ku niéj nakrycie,
I poważnie wzniosłszy głowę,
Rozpoczyna z nią rozmowę.
Pysznież się ma ziemia nasza!
Z błotem miesza co krajowe;
Wszystko szarpie, gniecie, głumi,
I wreście pojąć nie umié,
Jak to w tych śniegach i nudzie
Mogą jeszcze dyszéć ludzie?
«Cóż teatr?"— O! ledwo tleje!
C'est bien mauvais, *ça fait pitié;*
Talma już ogłuchł, słabieje,
«I *Mamzel* Mars— ach! starzeje.
«Za to Potié, *le grand Potié!* *)
«On podtrzymuje jedyny
«Gasnącą sławę w narodzie."
—A jacyż pisarze w modzie?—
«D'Arlinkury, Lamartiny.....

*) Francuzki Aktor komiczny.

—«U nas także już zaczęto
«Ich tłómaczyć.— Co? bez śmiechu?—
«A więc przecie rozwinięto
«U nas umysłowe władze;
«Bo też nie byłoby grzechu
«Przejrzéć— czas już przejrzéć, radzę.
—«Jakże noszą stany?— Nisko,
«Prawie do..... ot, tak po póty;
«Pozwól swój strój, jeśli łaska,
«Ujrzéć— tak.... haftki u paska....
«Wcięto.... fałd.... tu fontaż suty....
«Wszystko bardzo mody blisko.
—«Czytujemy Magazyny—
—«Aha! Może Pani zechce
«Wodewil usłyszéć, jedyny!
I śpiewa— «Pan nie je?— Nie chcę;
«A więc....."

Wstają; młoda, świeża
Pani się rozweseliła;
Zapomniawszy Graf— Paryża,
Dziwi się jak ona miła.
Wieczór spłynął w miłym gwarze;
Graf jak nie swój.— Wzrok gosposi
To się wymównie podnosi,
To znów upada milczący;
Patrzy— północ na zegarze.
Dawno już za parawanem
W przysionku chrapie służący;
Na poddaszu piekarnianém
Dawno trzepie kur piejący;
Warta *wer do!* wykrzykiwa,
W sali świéca dogorywa:
Pani wstaje, skłoni głową;
«Czas— żegnam, wszystko gotowo—
«Miłego snu!"— Graf niechętnie
Wstaje— rozkochan namiętnie:

W rączkę cmuk.— I cóż powiécie?
Gdzie to płochość zawieść może?
Pustaczka (odpuść jéj Boże!)
Rękę Grafa ściska skrycie.

Natalja się rozebrała;
Przed nią wierna Hanka stoi:
Ta Hanka, słuchacze moi,
Pani pociecha nie mała;
Szyje, pierze, plotki łowi,
Do starych się szat przymówi;
Czasem Pana śmieszy, czasem
I powstanie nań z hałasem,
A przed Panią łże odważnie.
Teraz zaś rozprawia ważnie
O Grafie; jego obróty
Opisuje co do joty;
Bóg wié jak wszystkiego doszła!
Wreście «dosyć" Pani rzekła,
Kaftanik, czepek, nawlekła,
Leżąc doda: «Jużbyś poszła!"

Tymczasem Francuz usłużny
Rozdział Grafa; nasz podróżny
Legł i kazał dać cygarę.
Pikard stawia na stoliku
Karafinkę, srébrną czarę,
Świécę w bronzowym świeczniku,
Szczypce z sprężyną na tacce,
I romans w świéżéj okładce.

Leżąc w łóżku— Walter-Skota
Oczyma przebiegać pocznie,

Lecz roztargniony widocznie:
Dręczy go jakaś tęsknota;
Myśli w sobie: «Daj go czartu!
«Czym się zakochał bez żartu?
«A gdyby można?— At! śmiésznie!.....
«Jednak byłoby to pysznie!
«Zdaje mi się żem jéj miły,
«Oczy jéj wiele mówiły......
«Wierz tam w wejrzenia kobiéce!"
I Pan Łoś zagasił świécę.

Nieznośnemi pieczon żary,
Nasz bohatyr spać nie może.
Czart nie śpi! zgubnemi mary
Rozognione czucia drażni,
Pędząc na grzechu rozdroże!
W bujnéj Grafa wyobraźni,
Utkwił obraz czarodziejski;
Ten jéj wzrok sentymentalny,
Ten gors pełny, pół-owalny,
Ten istnie kobiécy głosek,
To lice, rumieniec wiejski,
(Zdrowie— świéższy róż nad róże!)
Ten malutkiéj nóżki nosek;
Wreście zapomnieć nie może,
Istotnie, tak, niezawodnie,
Ona go rączką maleńką,
Uścisnęła leciuteńko.
On głupiec— począł niegodnie;
Trzeba było dłużéj siedzieć,
Jéj czucia, spójrzenia śledzić;......
Lecz nie uszedł czas sposobny....
A teraz— jak to zwyczajnie,
Drzwi się otwierają tajnie:
Wnet szybko szlafrok ozdobny,

Graf na swe plecy zarzucił;
Krzesło pociemku wywrócił;
Obojętny na przygody,
W nadziei słodkiéj nagrody,
Do Lukrecji Tarkwin nowy,
Rusza, na wszystko gotowy.

Jak kot, który zdradą dyszy,
Tłusty pieszczoch garderobny,
Skrada się z łóżka do myszy;
Zwolna wiedzie pochod zgubny,
Z okiem na pół przymrużoném,
Skurczony, rusza ogonem,
Swe łapy napręża srodze,
I w tém cap— już po niebodze!

Rozkochany Graf w pomroku
Szuka omackiem przesmyka;
W gwałtownych uczuć natłoku,
W głębi piersi dech zamyka.
Każdy szmer przejmie go trwogą;
Zadrży, gdy pod jego nogą
Tafla skrzypnie.— Otoż stoi
Już u zazdrosnych podwoi,
I z lekka rączkę maleńką
Mosiężnego zamka ciśnie;
Drzwi pomału.... cichuteńko
Ustępują.... patrzy chciwie....
Lampy płomyk czasem błyśnie,
Blade do koł światło daje,
Nasza piękność śpi szczęśliwie.....
A może wreście udaje.

Wchodzi— wstrzymuje się— skrada....
I w tém do nóg jéj upada:

Ona...... Teraz jeśli mogę
Oto was prosić bez winy,
Chciejcie, młode, piękne panie
Przedstawić— méj heroiny
Ocknienia nagłego trwogę,
I łaskawe odkryć zdanie,
Co jéj czynić pozostanie?

Ona wielkiemi oczyma
Patrzy.... Graf klątwy miłości
Gładko, jak z rejestru pali;
W końcu tak się rozzuchwali,
Że jéj dłoń swą ręką ima.......
Tu przyszła do przytomności;
Duma, gniew ją prawy wzrusza;
Przejęta czuciem godności,
A może wreście i strachem,
Wyrwawszy rękę z rozmachem,
Zuchwałego Tarkwiniusza
Jak utnie!.... lecz co się zowie!
Wiecie po czém— urzędowie,
Aż mu się skry posypały.

Jak ukropem zlany cały
Zadrżał, pohańbion za katy!
Coby się tam dalej stało
Nie wiém!— tak w nim wszystko wrzało!
Lecz w tém wrzasnął szpic kosmaty,
I twardy sen przerwał Hanki.
Graf słysząc jéj lekkie kroki,
I przeklinając stokrotnie
Nocleg i cudne uroki,
I twarde cnoty kochanki,
Musiał tył podać sromotnie.

Jak on gosposia i Hanka,
Przepędzili noc do ranka,
Wystawcie sobie, gdy chcecie,
Bo się u mnie nie dowiecie.

Nazajutrz, wstawszy milczący,
Leniwo Graf się odziewa;
Ostre pazuogcie niechcący
Urządza— raz po raz ziewa.
I krawat wiąże niedbale,
I czuprynkę ostrzyżoną
Nie muska szczotką zwilżoną.
O czém myśli, nie wiém wcale.
W tém na kawę zaproszono:
I cóż? niepójść?— niewypada—
Więc wstyd połknął— gniew odkłada,
Idzie.
Młodą swawolnicę
Śmiéch kusi— Jednak ku ziemi
Śmiejącą spuszcza źrzenicę,
Przygryza gąbkę różową,
I jak gdyby między niémi
Nic nie zaszło— to i owo
Rozpowiada obojętnie.
Z razu smutny Graf niechętnie
Ledwo słucha— lecz stopniowo
Wyższéj ustępując sile
Zaczyna szczebiotać mile.
Zaledwie w spólnéj rozprawie
Pół godziny czasu spłynie,
Już znów żartuje i prawie
Znowu dla niéj nasz Graf ginie.
W tém się w przedpokoju wzruszą;
Ktoś wchodzi— któż to być może?
«Jak się masz Nasiu!"—

—Ach! Boże!
«To jest mój mąż— moja duszo,
«To Graf Łoś—
—Bardzom szczęśliwy.
«Co to za czas niegodziwy!
«Kocz pański już naprawiony
«Widziałem tam u kowala.
«Uważ Nasiu, tuż przy gumnie
«Stary kot wpadł w nasze szpony.
«Ej! wódki!— w ręce— nie wadzi—
«Starka— przysłano mi z dala.
«Wszakże Graf zje obiad u mnie?
—«Jabym chętnie służył ale.....—
«Wymówek nie słucham wcale.
«Ja z żoną zawsześmy radzi
«U siebie gościom serdecznie;
«Musisz z nami jeść koniecznie!"

Lecz bądź jeszcze obrażony,
Bądź że w tej rzeczy kolei,
Nie wróżył żadnej nadziei,
Próżno— Graf nieuproszony.
Już Pikard siłą butelki
Pokrzepion, szasta tłómokiem:
Już dwóch ludzi ciężkim krokiem
Niesie do kocza pak wielki.
Kocz pod ganek podciągnięto,
Wiele zapięto, przypięto;
Pikard wszystko upakował
Żwawo— i Graf powędrował.
Otoż i powieść gotowa:
Lecz jeszcze dodam dwa słowa.

Kiedy już daleko za dom,
Nasi podróżni ubiegą,

Natalja naprzód mężowi,
A potém wszystkim sąsiadom,
Grafa przygodę rozpowie.
Lecz któż najwięcéj z wszystkiego,
Naśmiał się z nią i ubawił?
Zgadujcie— Ot! zagadniono!...
A jużci mąż. — Nie mąż pono!
Mąż uczuł mocno, i prawił:
«Że Graf Fircyk, malec, ciele;
«Że on mu napędzi Piotra,
«Że wyuczy tego łotra,
«Chłystka, gwizdać po kościele;
«Że mu nigdy nie daruje,
«I że go psami zaszczuje."—
Śmiał się z téj całéj przygody
Pan Sędzic, ich sąsiad młody.

Teraz gdy powieść skończona,
Wyznajmy, mimo hałasy,
Że mężowi wierna żona
Nie jest dziwem w nasze czasy.

Ignacy Kułakowski.



FILOZOFJA HISTORJI.

WYJĄTKI ZE STUDJÓW NAD DZIEJAMI POWSZECHNEMI.

ARTYKUŁ

ALBERTA GRYFA.

Non transacta sed futura perpendimus. *Curtius.*

I.

Dwa są główne poglądy na dzieje ludzkości: pogląd materjalny i pogląd spirytualny; tamten najdosadniéj wyraził się w przeszłym, ten zaś w obecnym wieku. Dzieje— to smętarz ludzkich społeczności! mówił wiek XVIII.; przeciwnie! woła nasze stulecie: historja jest królewstwem ich ducha, jest elizejskiem polem na którém się przesadzają zbiorowe indywidua ludzkości. Tam panuje wyłącznie zewnętrzność, tu wewnętrzność; *szkoła malownicza* w dziejopisarstwie, zdaje się godzić te dwie ostateczności, bo usiłuje schwycić ideał narodów, ideał w którym duch zbiorowego indywidualizmu odbił się w pięknych kształtach, jakiegoś prześwietlonego, upoetyzowanego ciała. Poezja i Filozofja

podają sobie dłonie; pierwsza oczami ducha widzi psychę ludów umarłych; druga wzrokiem kunsztów schwytuje piękną, poetyczną stronę ich ziemskiego posłannictwa i ubiera te zbiorowe postacie w stosowne dla nich symbola i draperje, ożywia ich twarze, rozpromienia wyrazem źrenice, temu daje kij w ręce i wdziewa zapylone sandały pielgrzyma, roznoszącego barbarzyńskim ludom *dobrą nowinę* zbawienia: Jest to lud-apostoł! człowiek wschodu! Tamten wznosi się na szczyt siedmio-pogórkowego grodu, jedną dłonią— potęgą miecza ciągnie do siebie ludy, w drugiéj trzyma księgę, z której płyną potoki organizacyjnego ducha, *cywilizacji*, prawa i społeczeńskich związków. Daléj powstaje postać skupiająca w sobie jeszcze potężniejszego ducha, bo *ideę ofiary;* téj idei wznoszą się świątynie i klasztory, zaludniają się za jéj tchnieniem pustynie.... W oczach poety-filozofa dzieje są wielkim dramatem idei; wchodzą one z sobą w kolizje i jedna nakoniec bierze je wszystkie pod siebie, jako najwyższa, jako pani świata i życia... Greczyn uosabia *piękno*, Hebrajczyk po-zaświatową *świętość*, Rzymianin *prawo;* wszystkie te ujęcia idei były zewnętrzne tylko. Trzy cywilizacje stykają się z sobą jednocześnie; promienie ich połączone, tworzą nowe ognisko życia... Wszyscy oczekują czegoś... oczekują nowego porządku wieków *). Jakoż była to epoka odnowienia się moralnéj exystencji ludów. Absolut zstępuje z nieba; słowo przedwieczne, co było dotąd u Boga, staje się ciałem, bierze na się doczesną i materjalną postać człowieka i staje w pośrodku cywilizacji Grecji,— Solimy i wszechwładnéj Romy... Sprośna, materjalizmem skalana ludzkość, niepostrzega nawet bożego ducha, co ożywił ciało człowieka... Na wierzchołku Golgoty olbrzymi krzyż się wznosi; wznosi się wysoko, na wschód i zachód wyciąga on swoje potężne ramiona... Na krzyżu tym ma umrzeć ten, co przyszedł do swoich, a swoi go nie przyjęli.... Z wysokości krzyża tego, światowością ukrzyżowane bóstwo, pogląda na cały świat ludzki... Widok jego sprośności wyciska mu łzy z oczu, łzy krwawe; Bóg miłosierdzia umiera wreście, przekazując ducha swego temu upadłemu rodowi ziemskiego Adama, co go zelżył, ukrzyżował... Łaska odkupienia robi atoli cuda niesłychane; u grobu Zbawcy świata, gromadzą się rozproszeni uczniowie jego... Odtąd nieznają oni świata, nieznają ojczyzny. Odtąd światem ich i ojczyzną niebo, na które wzniosł się pan ich i Bóg ich! Świątynia po-zaświatowego bóstwa rozdziera nakoniec swoją tajemniczą zasłonę... Odtąd Bóg żyje w ży-

*) **Novus saeculorum nascitur ordo.** ***Virg.***

wym kościele, którego budowę— jedność dusz wiernych ma odtąd stanowić.... Jerozolimska świątynia ustępuje miejsca ogromnéj świątyni ludzkości. Wybrani starego wyznania mężowie, którzy pojęli tę wielką prawdę, idą roznosić tę *dobrą nowinę* (ewangelion) po świecie. Na jéj wieść zbiegają się nieznane dotąd światu plemiona północy; ciągną z nieznanych krańców, niosąc swe zdrowe ciała na mocne podwaliny żywéj świątyni pańskiéj!... Ludy te niszczą ślady starożytnego świata, jakby chcąc wszystko rozpoczynać na nowo, budować z nowego ducha, który odnowił na nowo swoje wewnętrzne związki z niebieską ojczyzną swoją. Chrześcjanin wszelkie związki społeczeńskie piętnuje krzyżem odkupienia; wszystko uświęca *religją*, wewnętrznym *związkiem* życia! Z wnętrza absolutu boskości, polały się na nowo potoki żywiołów tego wszystkiego co święte, co piękne, co prawe, oblały zmaterjalizowane pogaństwem dusze; wsiękły nakoniec w serca ludzkie, gdzie starym łożyskiem wygasłego ducha, popłynęły na nowo w organizm życia spółecznego!

III.

Dzieje— są postępowym ruchem działalności ducha ludzkiego odbitéj w czasie. Każdy człowiek jest postawiony na wązkiéj miedzy, oddzielającéj od siebie dwie niezmierzone przepaście; rozumiem tu ciemny chaos czasu, wieczności nawet, którą my *przeszłością*, *obecnością* i *przyszłością* zowiemy. Obecność jest wątłą kładką nad temi dwóma przepaściami; dzień każdy, wiek każdy, czyn, naród cały musi przejść przez tę chybką mościnę do obszarów historji. Jest to most Czinewad— religji starych Parsów,— most zawieszony na dwóch oddzielających dwa światy przepaściach, most po którym ludzie i narody idą na sąd Przedwiecznego; dwie potęgi zła i dobra, bojują jeszcze na nim, wszakże dopiéro czyste, spokojne rezultaty tych bojów przechodzą do kraju przeszłości i dziejów; ruch w obecności, w przeszłości pokój, w przyszłości tajemnicza cisza zaradzającego się życia. Przyszłość matką, przeszłość ojcem, teraźniejszość ich krwią i ciałem, najukochańszém dziecięciem. Głębie, nad któremi zawieszony most teraźniejszości zastraszają wyobraźnię, ugniatają ogromem swoim tchórzliwego ducha; duch atoli wrodzoną mu sprężystością i wrodzoném mu światłem niebieskiém, światłem świadomości i wiedzy, radby był zgruntować owe przepaście i rozświetlić je sobie światłem poznania. Tę nieżmierzoną *przestrzeń czasu* i *przestrzeń rozciąg-*

głości jednoczy on z pojęciem istnienia ducha ludzkiego, któremu one za formy poznania służą (Kant.) Świadomość przeszłości przywodzi do poznania minionych kolei ducha całego rodu; w przyszłości widzi on arenę, na której mają się mu rozwinąć najpiękniejsze, najgłębsze zadania moralne, a razem uskutecznić te uroczyste wymagalnoście (*pia desideria*), które od dziś stały się celem wszystkich niemal usiłowań człowieka i główną dźwignią dziejowego ruchu. Takie jest samopoznanie, jakie się odbija w dziejach w ogólności; od téj tęsknoty *poznania się w rodzaju i rodzie* (w ogólności i szczególności), nikt z nas nie jest wolnym, ten zwłaszcza, który ducha swego do tego stopnia rozwoju moralnego doprowadził, na którym raz stanąwszy myśl jednostki czyli pojedyńczości, czuje swoje powinowactwo z ogólnością i szczegółem, czuje i chęć zdać sobie z tego sprawę, wyprowadzić na jaśnię te ukryte w naturze ducha stosunki, wreście oblać światłem wiedzy swe stanowisko moralne jakie zajmuje w pośrodku massy pokolenia. Taki mąż myśli z poczuciem powołania do czynu, z poczuciem co mu piorunem grzmi w głębi piersi, niepokojem bezsennym nocy trapi,— taki mąż, mówię, wszystko chciałby przetrawić, zmieścić w sobie, wyrobić na myśl pełną znaczenia i wpływu towarzyskiego; z każdego przedmiotu, a tém więcéj z całéj ich gruppy radby był wysnuł wewnętrzną ich przędzę, ich sens moralny i rozumowy. Skeptycy, pietyści (co często wychodzi na jedno, świadkiem dawny system Lamnego, J. de Maistra, Lacordair'a, Bautain'a, a pamiętny dawniejszy Helwecijusza), skeptycy, mówię, wraz z nieukami, duch ludzki i jego usiłowania, do pajęczéj przyrównywują tkanki, nie domyślając się nawet że w témże ich porównaniu jest najpiękniejszy symbol wysokiéj potęgi ludzkiego intellektu; tak bowiem jak pająk promienie wielkiego koła swéj tkanki do jednego punktu środkowego, który on sam zajmuje, sprowadza, tak samo duch poznania, promienie peryferji całego stworzenia przyprowadza do własnéj soczewki i topi je w wewnętrznéj świadomości intellektu. Ztąd on wychodzi i tu on znowu powraca. Niezmierzony obszar dwóch światów ducha i materji, Boga i stworzenia, wzajemne ich stosunki, tu się z sobą spotykają— tu w idei absolutu, jakby w niewidoméj świątyni wszech-świata przed aktem poczęcia się istności, przed owym momentem, kiedy mystyczne słowo *stań się* zaczęło wywnętrzać z siebie bozkie prototypy, ukryte dotąd w mądrości przedwiecznego. Arystoteles (Metaph. L. 1. c. 1.) powiada iż wszyscy ludzie z natury swojéj dążą do poznania; pobudzani są oni do tego tym podziwem, w jaki wprawia

ich widok widomo-zmysłowego świata. Tak musi być koniecznie, ten piérwszy punkt podziwu musi doprowadzić umysł ludzki do dalszych i coraz głębszych, nareście do ostatecznych pytań. Od pytania: *co jest świat?* dójdzie do drugiego pytania co jest on sam? czém jest człowiek? dla czego żyje? Czém jest to, co widzi? Co jest myśl jego? Co przedmiot? Jaki zachodzi związek pomiędzy tak różnéj natury przedmiotami, jak duch i rzecz? Daléj idąc zapyta co leży w stworzeniu i w nim samym, co nadaje obójgu pewien byt stały, i dla czego znowu te dwa różne na pozór byty tak harmonizują ze sobą, że fale świata widomego wlewają się do ducha, a duch, znowu wypływając ze swoich brzegów wewnętrzności i niewidomości przesięka widomość i tę zmysłową zewnętrzność stworzenia? Te pytania są właśnie takiéj natury, iż nadają ruch władzóm ducha, są początkiem jego życia, wyrażającego się rezultatami, których gruppy stanowią osóbne całoście, odrębne cywilizacje sobą stanowiące. Każda z tych cywilizacji ma cóś szczególnego na celu, cóś szczególnego ją zajmuje; jakaś myśl jedna głęboko zapadła w jéj duszę i ztąd odrębny nadaje jéj kierunek. Ta myśl, ten kierunek do pewnego moralnego dążący celu, nazywamy *posłannictwem* albo missją. Cywilizacja objawia się w łonie ludów pasmem instytucji i czynów, za tchnieniem jednego ducha powstałych, tak że duch ten piętnuje ich fiziognomje moralne pewnym odrębnym charakterem. Na czole każdego narodu jaśnieje promień innéj myśli; w jéj duchu poczynają się i kończą wszelkie jego pomysły i sprawy społeczne; konając nawet z nawpółzlodowaciałych ust ludu wyleci jeszcze to tajemnicze słowo, które w życiu było hasłem jego historycznego istnienia. Wschód w starości będzie ci marzył o olbrzymich patriarchalno-despotycznych monarchijach, olbrzymich ciałach, natchnionych duchem mystyczno-religijnych idei od bogów, którzy władli państwem przed wieki i przekazali mu pewien szereg instytucji, tajemnic i obrzędów. Egipt np. moralno-filozoficzne kwestje, jak swoje balsamowane mumje obwinie w pieluchy symbolizmu; tak dochowane będą one tajemniczą nauką w Eleuzynach Grecji i w tym mystyczno-symbolicznym kształcie, jakoby tajemnicze leki, podtrzymują przez czas jakiś gasnące życie rzymskiego kolosu. Ale w nich nie były już życia, brak to wiary w piersiach, ducha powinności w czynie. *Collapsa ruant subductis templa columnis* (*Juvenalis*)!

Cofnijmy się do źrzódła rzeczy. W społecznościach żyje pewna wyrobiona jedną myślą dusza narodów, dusza która daje im życie, a ostatecznie rozwinięta kostnieje w umarłych symbolach, ustępując miejsca świeższym ideóm, wedle których ma się zawiązać nowe jakieś życie. Przejrzenie téj duszy organicznéj w ciele narodów, dopatrzenie się jéj celów i środków działania, objaśnienie aktu przejścia jéj w religijny, socialny, jurydyczny, filozoficzny i artystyczny pierwiastek, stanowi właśnie wielkie zadanie historyka. Jest to, że tak powiém, jądro dziejowego orzecha; rozgryzła go dopiéro *filozofja dziejów;* przedtém gryziono tylko po wierzchu jego skostniałą skorupę. Idea, wyrażając ją obrazowie, jest skupieniem się jednorodnych promieni, wyprowadzających swoim ogniem i ciepłem w łonie ludzkości pewien szereg żywotnych zasad, przyczyn i następstw, tworzących razem jedną, określoną, pełną sensu sferę działania. Idea ujmuje się życiem dwojako, albo przechodzi ona do czynu przez pośrednictwo serca, wiary i poezji, instynktowie, jednolicie, stawiąc od razu *synthezę* życia. Tu żyje się niewiedząc prawie, że się żyje i jak się żyje; żyje się tu jak żyli ojcowie i ojcowie ojców, żyje się z miłością życia, pogrążeni po uszy w życiu. Żyje się tu tak jak we śnie, bez walki, bez myśli... Jest to system dziecięcych towarzystw orjentalnéj cywilizacji! utopieni w życiu, znają tylko idealną podstawę jego, uosobioną w bóstwie nadającém to życie. Z téj jedności z dziecięcą wiarą wszystko się wyprowadza, w dziecinnéj formie mythu, dziecinną ufnością natchnionego... Religja opowiada się tu ustami bogów; kasty i nierówności stanów przypisują nierówności pochodzenia człowieka; *bramin* powstał z głowy Brahmy, jemu myślić i nauczać przystoi; on ma z natury słowo boże w swym duchu; on pierworodném dzieckiem Brahmy, on też jest żywym związkiem człowieka z bogiem.... Kszatrjasy wyszli z ramienia Brahmy; w nich siła i potęga ramienia, ich więc rzemiosłem wojna, obrona kraju i braminów, tych starszych i najukochańszych, bo najszlachetniejszych— dzieci boga; od bramina do Kszatrji— przepaść prawie! Wajsiasy wyszli z żołądka, powinni żywić, odziewać, naprzód braminów, a potém z kolei drugą kastę; Sudrasy z nóg, powinni służyć. Pariahi z wymiotu Brahmy powstali; ich udziałem nieczystość i pogarda... Jak tu prosto rzeczy się biorą; biorą się tak jak je dają, bez szperania, bez myśli; tu prawda jest objektywna, w rzeczy; nikt jéj nie szuka, ona zawsze przed okiem. Niewinne ser-

ce nie wątpi, ale też nie myśli. Myśl z wątpliwości powstaje; wątpliwość myśl rodzi. Zasada religji i socializmu w Chinach jest także idea życia. Najwyższe bóstwo przedstawia dualizm,— dwa pierwiastki: czynny i bierny, męzki i żeński, upostaciowane w niebo— Tien i Ti— ziemia. Życie w społeczności rozwija się wielkiemi falami, przedstawiającemi ideę rodu. Wedle idei familji konstytuuje się państwo. Przedstawicielem familji jest ojciec, w nim niknie, uosabia się cała sfera familji. Cesarz jest ojcem państwa; mandaryn (*ko-lao*) prowincji lub okręgu. Powaga rządu opiera się na idei powagi ojcowskiéj... Bez samodzielności umysłowéj nie można myśleć nawet o wewnętrznéj samodzielności człowieka, o idei indywidualizmu... Indywiduum ginie na całym wschodzie w narodowej massie; w Chinach topi się ono w ojcu, a wszystko zlewa się w głowie i ojcu państwa. Jest to główny rys orjentalizmu. W Chinach zasługi syna należą do ojca; syn zrobi dobrze, ojcu należy się pochwała i nagroda, ale też za przewinienie synowskie, ojciec odbiera porządne cięgi. Brak indywidualności jest rysem wschodu; jest tu massa z jednéj strony i jéj przedstawiciel; z drugiéj strony społeczność żyjąc tu sercem, wiarą, żyje prosto, jednostajnie; tak przeżyje ona wieki wieków, aż do przebudzenia się straszliwéj wątpliwości... Takie jest życie Indji, Chin, Tybetu, Siamu, Japonji, całego wschodu, tych wielkich państw liczących byt swój na lat tysiące, a kryjących na dnie bytu swego pewne zasadnicze idee. Są to wszystko skostniałe symbola— tam gradacji istoty bóztwa, istoty schodzącéj z nieba i zawijającéj się coraz niżéj w ciało materji; tu idea rodowéj jedności rozwijającéj się w sferze członków jedną składających familją. *Kasty* i *patryarchalizm* powtórzyły się wszędzie, u stóp piramidy lub obelisku i pod namiotem pustyni; albo też stanąwszy pomiędzy dwóma zasadami Arabji i Egiptu— w Izraelu; patriarchalizm uświęcił się w pokoleniach synów Jakóba, a kastowość w pokoleniu Levi, któremu w dziedzictwo odda się kapłaństwo. W kastowości tylko wybija się forma teoakratycznego rządu, jako najwyższego wcielenia boskiego ducha; jakoż teokracja w Izraelu odbiła się przez kastę Levitów, królowie żydowscy wychodzą ze świątyni namaszczeni świętością powagi kapłańskiéj. Żyje tu wyraźnie tradycja kastowości i kapłańskiéj supremacji z ziemi Misraim (Egiptu), przez Aarona wyniesiona. Wschód jest krajem wcielenia bóstwa, kraj wysłańców niebieskich, kraj proroków, Buda, Kon-fu-tse, Lao, Taut, Zerduszt, Mojżesz, prorocy do Mahometa, wszyscy są postaciami religijnego natchnienia... Tu umysł usypia, serce marzy o

aniołach zstępujących na ziemię po szczeblach Jakóbowéj drabiny... Olbrzymia, czarodziejska wegetacja ożywia ten raj ziemski. Z kwiatu lotosa rodzi się bóstwo. Płyną rzeki niosące lustralne wody do obmycia duszy grzesznika ze skazy grzechu. Tu spokój, sen prawdziwie dziecięcy, niewinność jagnięca, szczęście raju. Ale, jakby sen nie był piękny i błogi, jakby uroczemi nie były jego widzenia, musi też mieć on swój koniec; jakby nie było miękkie posłanie dziecięcia, potrzeba z niego powstać do twardych trudów życia.... Z ogrodu dzieciństwa przechodzi się do Europy, do kraju młodzieńczych zajęć... Przy władzy serca obudza się potęga myśli, zbrojna jak Minerwa wychodząca z głowy Jowiszowéj, staje dumna, niepokorna z kopją w dłoni, chciwa sporów i kłótni, chciwa władzy i panowania, łaknąca życia, spragniona ruchu.... Nic ją nasycić, nic nie w stanie zaspokoić jéj chciwości poznania; ziemia i niebiosa, ludzie i niebieskie sfery, wszystko co żyje, począwszy od infuzorji, powietrza i świata w kropli wody zawartego, do massy ubiegłego życia ludzkości, do skamieniałości paleontologji, wszystko dla niéj i tego jéj mało... Mało jéj tego co jest i żyje, potrzeba jéj podstawy życia i bytu by ją pojąć, pochłonąć, zjednoczyć się z nią... To Tytan szturmujący Boga w niebiosach... Boga, którego serce ogłosiło niezbadanym, w którym nurzało się i ginęło... Tu nastąpił rozbrat przedmiotu i idei, przedmiotu i podmiotu; prawda rozbiła się na twierdzdniu i przeczeniu; powstał wszędzie podział, zamęt i dążność do odzyskania jedności utraconéj. Tam to był sen i spokój, tu jawa i czynność... Trudny wybór! potrzeba się nań raz przecie zdecydować... Żegnaj wschodzie! kraino prorocza! Żegnaj śnie złoty, śnie niedośniony, nieprzespany.... Oto ruch, życie na morzu, które dokoła ziemia obsiadła. Chciwy przekupień Fenicjanin, Grek kunsztmistrz przemyślny, chciwy bogactw by się niemi upiękrzył, Rzym wszechwładny kuje prawa, siekąc mieczem i zabierając ziemie. Strzeż się Wschodzie, ten hałas zabije ciebie, ten ruch cię zamęczy, strzeż się! Niebaczny Psametyk otwiera ziemię Misraim dla niespokojnych Hellenów,— Hellenin zadławi twą duszę. Rzymianin wchodzi do świętego grodu Solimy, pamiętaj więc, że dla ocalenia swéj duszy narodzie Izraela, weźmiesz kij pielgrzymi, opuścisz ziemię gdzie spoczywają kości twych ojców nad brzegiem Jordanu, opuścisz i pójdziesz błąkać się pomiędzy goimów, błąkać się daleko dłużéj niżli kiedyś na pustyni Arabji. Życie rozumowe zabija życie uczucia!! Ale racjonalizmowi starożytności brakło absolutu; rozumowanie wyniszczyło siły wielkiéj monarchji Romula i ta legła

schorzała bez pociechy, bez leków duszy; jéj serce objęła śmiertelna tęsknota za niebem, które na wschodzie nachylało się po nad samą głowę człowieka, śpiekłe usta modliły kropelki rosy niebieskiéj. Na wschód! na wschód! wołały podbite ludy Romy. Inicjacje do tajemnic Cerery, Izydy i Dyoniza, theurgia były skutkiem téj dążności; Pythagor i Plato czerpali w swoim czasie na Wschodzie idee swojéj nauki; w czasie upadku Rzymu doktryny pythagorejskie i synkretyzm teologicznych wierzeń orjentalizmu, rozprzestrzeniły się powszechnie; pojawili się Korybanci (Gallos) kapłani frygijskiéj bogini Cybeli, matki bogów (*alma mater deorum*), przebiegający z krzykiem i szalonemi gestami ulice miasta, rzezając sobie ciało na cześć swojéj bogini. Aleksander Sewer usiłował spławić wszystkie wiary w jeden system i tém podtrzymać ducha monarchji uniwersalnéj. Kapłani Serapisa pojawili się w Rzymie; Heliogabal wprowadził z sobą do Rzymu swoje emezskie bóstwo, czarny kamień wyobrażający słońce, ale kamień z nieba upadły; Mythra miał swoje straszne mysterje tauroboliów... Ale nic niepomogły te wiary gwałtownie szczepione w ducha narodu; krew hekatombów oblewała ziemie Italji nie wsiękając w ciało narodu... Straszne były chwile konania, obłąkany wzrok błądził po świątyniach starego świata, nie mogąc nigdzie wynaleść wiary, Palladium nie broniło już Romy; ogień Westy gasł już na ołtarzu powoli, z nieba spadła tarcza rdzą się jęła pokrywać... W jakiejże świątyni Egiptu, Syrji czy dalekiéj Indji odzyska się pokój i opora duszy, wiara czy przekonanie, wiążące człowieka z czemsiś wiecznem, duchowém. Materjalizm zamieniłby społeczność prawie w trupa... Potrzeba było życia i ducha, ale ducha, któryby przemówił zarazem do serca i myśli, ale życia któreby tchem swoim objęło zarazem gasnące życie indywidualne i socjalne... Podczas kiedy mocarze i ludy obracają się instynktowie na wschód żebrząc u niego jakiegoś dogmatu, coby im zdołał przywrócić życie i świéżość, nad betlehemską stajenką świeci maluczka gwiazdka, gwiazdka niepojęta astrologóm pogańskim; w stajence usypia uśmiechająca się światu dziecina; niewiasta z boskim wyrazem dziewiczéj czystości czuwa schylona nad dziecięciem, a starzec pielęgnującym wzrokiem piastuna, ogarnia tę tajemniczą istotę, a daléj trzech mocarzów świata rozpostarci w prochu żebrzą jednego *słowa prawdy i żywota*, oddając na ofiarę złoto, balsam i kadzidła świata; oddają skarby nieradujące więcéj zastygłego serca, oddają balsam nie kojący ran sumienia i nieznośnéj tęsknoty dusznéj; oddają kadzidło pychy, szyderczą ironję poniżającą dumę upadłego

duchem i ciałem człowieka,— oddają wszystko chcąc radykalnego odnowienia całkiem zepsutéj natury człowieka. Ale jeszcze nie przyszedł czas odkupienia, jeszcze czekać, czekać lat trzy dziesiątki i trzy roki całe. Tam na Golgocie, u stóp krzyża, przy ciemnościach zaćmienia, przy huku trzęsącéj ziemi i pękających opok, rozedrze się zasłona świątyni starego świata. Wtedy! dopiéro wtedy wylana krew użyźni ziemię, obmyje i ożywi strupieszałe ciało ludzkości, ciało,— którego nieoczyściły potoki krwi tauroboliów. Ofiara krzyża poniesiona była za świat i ludzi,— za świat co odepchnął swego zbawcę, i ludzi— co ukrzyżowali swego Boga!... Chrystus skonał, zmartwychpowstał, wstąpił na niebiosa, zostawiwszy nam na ziemi największy dar, bo swoje słowo, słowo ducha i żywota, o które prosiła umierająca społeczność... *Verba quae ego locutus sum vobis, spiritus et vita sunt!* (Joan. C. VI. v. 64). «Słowa, którém ja wam mówił, duchem i żywotem są!" Właśnie było to co potrzeba było dla dokonania odrodzenia ludzkości, sama śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa były symbolem: skonaniem ciała, a zmartwychwstania duchem. «Ukrzyżujcie ciało wasze z jego wadami i jego pożądliwością!" woła Chrystus do ludzi: każe on ziemię uważać za padół doświadczenia mocy ducha, za środek do zasłużenia sobie na niebo, na królestwo boże, dodaje przytém, iż to królestwo w nas samych jest, potrzeba tylko naprzód starać się o to królestwo niebieskie, sprowadzić Boga do świątyni serca, stać się doskonałym jako ojciec niebieski, a doskonałość wcielić w życie, bo jak mówi Paweł Ś. *nie słuchacze zakonu sprawiedliwymi są u Boga, ale którzy zakon czynią, będą usprawiedliwieni.* Nauka Chrystianizmu była prawdziwie duchem i życiem, bo przez ducha usiłowała stworzyć życie. Bóg zstąpił na ziemię dla tego by kiedyś człowiek wstąpił na niebiosa; Chrystianizm miał na celu zrealizowanie wielkiéj familji, któréj ojciec na niebiosach przemieszkuje; a dzieci— bracia wedle miłości i wiary na ziemi. To co było przeczuciem starożytnego świata, około czego chodziły długo mysterje eleuzyńskie, nie mogąc przebić skorupy symbola i objąć absolutu idei, to dał Chrystianizm,— wcieloną ideę boskiéj absolutności. Ledwie zaczął się unosić nad światem duch Chrystianizmu, już za wodzą jego ożywnéj potęgi jęło się postaciować w około niego potężne ciało; potrzeba było dla doświadczenia mocy ducha wielkich prześladowań, i zajaśniało jasną glorją abnegacji i prawości wytrwania w zasadzie przyjętéj z miłością, epoka męczeństwa, epoka pasowania się ducha i materji, w któréj ta ostatnia zbroczona posoką padła u stóp tchnienia bożego, jako źwierz wściekły i pełen wyuzdanych chuci. Gangrena po-

żerała ciało politeizmu, potrzeba było ciąć tę poczerniałą i ropiącą zgniliznę, i przyszły świeże ludy z nieznajomych nikomu stron świata i mieczem życiodawczym cięły niemiłosiernie raka zepsucia i cielesności, a potém ugiąwszy kolana za wodzą natchnienia, które wyprowadziło je z lasów i pustyń, przyjęły zdrój chrztu i wiary.

Oto naszkicowaliśmy ideę Chrześcianizmu i jéj wcielenie w mocne, świeże ciało ludów północnych; pozostaje nam jeszcze wyłożyć, jak ta absolutna idea została pojęta duchem? Orjentalizm przyjmował sercem religijne prawdy; starożytność pojmowała i pracowała rozsądkiem, jak więc pojął sobie Chrystianizm? Pytanie to mamy wyłożyć w następnym rozdziale.

RYMY WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

MUZYKA.

(Wspomnienie).

Kto z was pamięta dobrzy towarzysze,
Ten wieczor dawno przed rokiem,
Ten gwar zabawy, a potém zacisze
I tony tchnące urokiem?
Jam zapamiętał bom czule był tknięty,
Znacie me zimne oblicze—
U mnie tak rzadki dzisiaj zapał święty,
Że wszystkie chwile policzę.
—«A byłoż czego kwilić? o, nie było zgoła!
Muzyka sobie niezła, skoczna i wesoła;
Śpiewy— at swoim zwyczajem!
Śpiewano tam *ni falor* jakowąś starzyznę,
Pieśń jakiegoś włoczęgi co rzucił ojczyznę,
A potém— tęsknił za krajem.
—Ej, cóż poradzisz z kapryśnym szałem,
I z fantastyczną myślą ruchawą?

Jaż na koncertach nieraz drzymałem,
Lub tonem znawcy wołałem: *bravo!*
Lecz znowu nieraz rwały mi duszę,
W echu Niemnowém trąbki pastusze,
Nieraz od tonów skrzypiec i fleta,
Łałem gorące łzy jak kobiéta,—
Zimny rozumie, weź mię we władzę!
Kiedyż kaprysom ducha zaradzę?
Dziwaczna myśli, podetnij skrzydeł,
Serce niekarne, pilnuj prawideł,
Dość kobiecemi płakać oczyma,
Czyż na wrażenie teorji niéma?

* * *

A jednak miło czasem przedstawić przed oczy,
Ot jedną chwilę szału— ten wieczor uroczy,
Gdym wbrew teorji— płakał.... ej, te łzy wieśniacze—
Biédny kto niémi płacze!— szczęśliwy kto płacze!

* * *

W pokoju na pół ciemno— tylko gdzieś zdaleka
Płynie światło i tony— czy to szelest drzewa,
Czy gdzie w dali pluchoce rozhukana rzeka?
Nie— to muzyka rzewna swój urok rozlewa.
Zwycięzkie skrzypce leją dźwięk naczelny,
Flet miękkie trele wyprowadza rzewnie,
A bas grzmotliwy gdyby rycerz dzielny,
Sprawia swe wojsko błądzące niepewnie.

* * *

Nagle cały gwar się przetnie,
Flet przemaga i głuszy,
I piosenka z głosem fletnie
Popłynęła do duszy:

1.

«W ojczyznie mojéj pustynie i skały,
Ziemia niepłodna, a chrościane domy,
We dnie nam skwarzą słoneczne upały,
A w nocy straszą pioruny i gromy;
W piaszczystych zaspach kwiatka nieobaczę,
Piosnka słowicza ucha niepopieści,
Sam tylko potok gwałtowny szeleści,
I skalny orzeł na urwisku kracze;
Lecz miłe burze i śnieżne zamiecie,
Miły ojczysty grom i błyskawice,
Świat ten szeroki i pięknie na świecie,
Lecz niéma ziemi nad moją ziemicę!

2.

«Byłem w bogatych Germanów ojczyźnie,
Tam lud przemyślny gospodarzy dzielnie,
Tam pełno życia, i ludno i żyźnie,
Tam i zbytkowne kwitną rękodzielnie;
Szeroki handel, szybkie parowozy,
I murowane mieszkania człowiecze.
A u nas w górach chyba wilk się wlecze,
Lub się wałęsa pasterz przez wąwozy:
Lecz w moim kraju nic serca nie gniecie,
Wolniejszy oddech, swobodniejsze lice,
Świat ten széroki i pięknie na świcie,
Lecz niéma ziemi nad moją ziemicę!

3.

«Szedłem do Rzymu— ej, włoski mieszkańcze,
Błogosław twoją ziemię starożytną,
Gdzie dójrzewają złote pomarańcze,
Gdzie rodzi wino i wawrzyny kwitną,

Tam niebo pełne dziewiczego blasku.
A w moim kraju prawie niema lata.
Tam jeno rodzi sosna karłowata,
I dziki porost ściele się po piasku.
Mój kraj nie żyżny— a jednak czy wiecie—
Nigdzie się tyle szczęściem nie nasycę;
Świat ten széroki i pieknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemicę!

4.

«Kraśna i świetna dziewa Paryżanka,
W ponętnym stroju i urodzie twarzy,
Upaja zmysły roskoszna Hiszpanka,
Kiedy gorącym uściskiem obdarzy.
A u nas w lnianéj dziewica odzieży,
Skromna uśmiechem, a skąpa pieszczotką,
W sielskiéj prostocie we wdzięki niewierzy,
A czemuż przy niéj na sercu tak słodko?
Czemu jéj obraz na dalekim świecie
Nosim jak miłą sercu tajemnicę?
Świat ten széroki, wszędy cześć kobiécie,
Lecz niéma dziewic nad nasze dziewice!

5.

«Kraju mój, kraju! czego ja łzy ronię,
Za dzikiém niebem, za pustkowiem naszém?
Czemu w bogatéj i kwitnącéj stronie,
Tęsknię za moim chróścianym szałaszem?
Czemu krzyk orła naszego wygnańczy,
Wolę nad pieśnię słowika miłośną?
Czemu mi lepiej pod borową sosną,
Niż w gajach mirtu, albo pomarańczy?
Czemu przenoszę prostéj wioski dziécię,
Nad czarno-oką hiszpańską dziewicę?

Świat ten szeroki i pięknie na świecie,
Lecz niéma ziemi nad moją ziemicę!.... *)

I w tém śpiewak tony przetnie,
Silném graniem zagłuszy,
Bo i na cóż głosem fletnie
Zwabiać smutek do duszy.
On usłyszał szmer zdaleka,
Szepcą starzy i młodzi:
«Tu zabawy każdy czeka,
A on trele wywodzi!"

* * *

Sza!... cóś huczy, pieje, brzęczy,
Ton za tonem bratnio dąży,
Szybkiéj polki takt młodzieńczy
Wirem, wirem w kołko krąży.

Baw się, baw się—ruch tak świeży,
Chmury, chmurki, giną z czoła,
Niech ci wirem w serce bieży
Nota skoczna i wesoła.

* * *

Ucichło— i klarnet czarodziéj na nowo
Rozpoczął świegotać urwiście i krótko,
Walc łechce po sercu i krąży nad głową,
I o cóś się pyta w duszy słodziutko.

Wnet struny gruchnęły i śmielsze już tony
Jak miła odpowiedź, dobitnie się toczą;
O biédny mój duchu! zginiony, zginiony!
I żyć i umierać w tym wirze ochoczo.

Te takty czarowne grzmotnęły mi w serce,
Bo w sercu sierocem schwytały takt bratni,

---

*) Upoważnieni jesteśmy donieść, iż P. *Stan. Moniuszko* do tej pieśni ułożył muzykę która wkrótce wyjdzie na widok. (*Red.*)

Aż ogień tajony w maleńkiej iskierce
Wybuchnął westchnieniem, w ton zlał się ostatni.

* *
*

Miło, dźwięcznie, chorem wrzasło,
Bas rycerski wydał hasło,
Krew zadrgała, ogniem pała,
Ha! to Mazur nasz!

Stary Mazur— król omamień,
On ożywi z ziemi kamień,
Duch się wzrusza, hula dusza,
Płomienieje twarz.

Ho Mazurze, graj mi w serce—
Oto'm, oto, przy tancerce
Rzeźwy, gracki, ton sarmacki
Niech mi otrze rdzę.

Lecz co słyszę? jęk tu rośnie,
Ha? i mazur gra żałośnie!
Ton uroczy, lecz na oczy
Gwałtem pędzi łzę.

*
* *

I łza ta nie prędko spłynęła,
Nie prędko otarło się oko,
Bo muzyka duszę ujęła,
I niosła wysoko, wysoko!
Z nią szepce, raduje sie, kwili,
Na skrzydłach pod niebem trzepiota,
I serce uczuło w téj chwili
Że jeszcze niecałkiem sierota.
W źrzenicach cóś rzewnie zadrgało
I święta polała się rosa,
Wspomnienie z westchnieniem się zlało,
I poszło poigrać w niebiosa.

Ten odgłos, to światło, to ciemno,
To niebo gdzie było tak błogo......
Nie jużto w krainie téj ze mną
Nie było nikogo?... nikogo?

* * *

Krótka biesiada sercu— minęła jak we śnie,
Harmonija umilkła, duch upadł na ziemię,
O twardą rzeczywistość zawadził boleśnie,
Ale serce ocknione nie prędko zadrzemie.
Cześć tobie szumny gwarze, cześć tobie pomroko,
Nikt nie widział, nie słyszał, co się we mnie budzi.
Uspokoiłem serce i otarłem oko,
I już w masce drewnianéj przyszedłem do ludzi.

WARIANT Z PIEŚNI GMINNEJ.

U łuzie kalina
A u baru sasna,
Hdzie ja pajdu, pakinusia
Usio na sercu toszna...

Odżyła sosna, zakwitła kalina,
Rozpękła brzoza wiosnę przypomina:
«Wiosno, ty wiosno! powtarzają w koło—
«Jak oczóm miło! jak sercu wesoło!"
Grzech pozazdrościć— lecz Boże mój, Boże!
Jak ten szczęśliwy kto wiosnę czuć może.
Bracia! ja wiosnę oglądałbym z wami
Ale ja świata nie widzę za łzami;
Chciałbym odetchnąć, lecz zaparte łono,
Jak gdyby serce kamieniem tłoczono;
Zielone moje łąki i pastwiska,
Krzewiste zboże na morgach połyska,

Lecz w sercu chwasty, żal duszę rozrywa,
Nie bierze chętka do kosy i żniwa.
Poszedłbym w pole świtającym dzionkiem,
By się pomodlić razem ze skowronkiem,
Lecz słaba ręka pługa nieudźwignie,
A w zaschłych piersiach modlitwa zastygnie,
Siadłbym na konia i leciał jak strzała,
Boleść by może z wiatrem uleciała:
Próżna ochota, bo w nieszczęsnéj dobie
I koń mój dzielny zesmutniał przy żłobie;
Gdy go dosiędę zwolna się pomyka,
Jak obciążony trumną nieboszczyka.
Ludzie, wy ludzie w szczerym rozhoworze
Niech ja się spłaczę, niech duszę otworzę;
Lecz mowa smutna, zgorzkniała i sucha,
Odstrasza ludzi i nikt jéj nie słucha.
Ojcze, mój ojcze! poradź mi w niedoli,
O matko moja! jak mi serce boli!

Wł. Syrokomla.

1848 d. 6 Lipca.

GAWĘDA

KRYTYKO-LITERACKA.

N. 3. *)

(**Jędrzéj Śniadecki** jako pisarz obyczajowo-dowcipny, **Hr. Skarbek** humorzysta; humorek **Johna of Dykalp** i jego obrazek litewskiéj dziewicy w Józi; humor. Jeszcze o krytyce i krytykach; pożyteczność każdéj krytyki. Jezuityzm nie jest religją. **Lamartina Konfidencje i Rafael**; dla czego one teraz napisane? Podobieństwo **Lamartina z J. Korzeniowskim. Eug. Sue** romans— **Gniéw.** Wyższość angielskich romansistów. **Tadeusza Strzemieńca: „Wymarzony kochanek."** Tworzenie i kopijowanie. Powieść **Marya**— w Ateneum przez XXX. Charakter ich. Anonymy i pseudonymy; ich przyczyna i konieczność. **Wład. Syrokomla** poeta— jego **Chodyka.** Jeszcze o Ateneum **Kraszewskiego** i Autorze **„Dziennika myśli" S. F.** jako stacjonarjuszu. Studja filozoficzno-literackie **Emiljana Rzewuskiego.** Rękopis znaleziony w Saragosie. **Anankonomia Wojciecha Jastrzębowskiego. Ideały i Karykatury Nowosielskiego. Tygodnik Peterzburski** w 1849. r. **Kijowska Gwiazda.** Powszechność zdań jako źródło krytyki; jéj formy i niedostatki. **Pamiętnik literacko-naukowy,** nowe zbiorowe pismo **R. Podbereskiego. Kraszewski** belletrysta. Niesprawiedliwe skargi poetów na ubóstwo języka. **Poezje T. Lady-Zabłockiego.** Pisma i idealizm **J. Korzeniowskiego**).

---

*) *Piérwszą* i *drugą* Gawędę czytelnik raczy odczytać w *Gwiazdzie Kijowskiéj* w N-rze 4-tym i 5-tym. (*Red.*)

— „Chciałabym ja którego z tych oszczerców dopaść! Oj....— Ale moja Pani, odezwał się staruszek, to niewinna krytyka...— Niewinna! wołała daléj, tak... niewinna. Oto patrzaj, jak ja takie krytyki szanuję!...

„Co to za śmieszne wyobrażenie o pismach krytycznych!”—

(*Raport szlachcica na łopacie*).

Co? skończyłeś przepisywanie, Panie Adolfie? spytał mię niedawno Pan Tomasz, spotkawszy ładnego wieczoru w swéj pasiece. A kiędyś skończył, to dziękuję. Czy nie chcesz, to pochodzim trocha? Ja zasiedziałem się nad starym Sniadeckim, jakby pensjonerka w nocy nad Szyllera— *Miłość i Kabała.* Czy niechcesz jutro pojechać ze mną do państwa Gębickich? Dawno byłem u nich, mogą się gniéwać, i chce się mi ciebie tam poznajomić. Potrzebuję też sam przejazdki. Tych parę tygodni posiedziawszy w domu ze staremi książkami, potrzebuję przejechać się.

Co to za szanowny ten Jędrzéj Sniadecki! Ja go drugi czy trzeci raz nawet przeczytałem, i zawsze z zadowolnieniem. Bo też materje i obyczaje,— o których on dowcipnie, humorystycznie nawet, a zawsze uczciwie traktuje,— na nieszczęście nasze, mało ustarzały, to jest: wady, które lat trzydzieści tému nazad wyśmiéwał jak uczciwy obywatel. Bo i sentymentalizm czytelniczek Radklif i Saint-Pierra, zamienił się tylko na emancypantyzm i pseudo-socijalizm Jerzego Sanda i Eug. Sue.— Jego podróż filozoficzno-próżniacka i inne szubrawskie pisma, niepokazując w nim talentu powieściarza obyczajowego, są bardzo ważnym materjałem, nawet obrazem historji obyczajów litewskich prowincij przed trzydziestą laty. Styl jego bardzo poprawny, i książkowy jakim i mówił zawsze, napstrzony témi częstemi: *wszakże*, *więc*, *i ow-*

szem, *ponieważ*, *albowiem*, *bowiem*, *jakże*, i t. p. jako język matematyczny, trocha źle brzmi dla dzisiejszego ucha, co przywykło do języka potocznéj mowy. Za ten dzisiejszy język, dzięki Kraszewskiemu.— Prawda, że dowcip i humorek Jęd. Sniadeckiego niezupełnie polski, narodowy, ale Sniadęcki Jęd. był w swoim czasie u nas drugim Krasickim pod względem szlachetnéj satyry.

Trocha mi dziwno, że Sniadecki u nas mało znajomy jako pisarz dowcipno-obyczajowy. Kto go dzisia czyta? Zapewne niewielu. Jego sława uczonego lekarza, zaćmiła sławę pisarza obyczajowego. Ale i to nie będzie grzechem powiedzieć, że Sniadecki Jędrzéj więcéj u nas sławny niż znajomy w powszechności. Uczniowie jego, rozumie się, czytali, choć i to nie wszyscy, a nie uczniowie, dość że słyszeli i powtarzają za drugimi: Sniadecki! Sniadeccy!

Któś to— zdaje się Tyszyński, skarżył się, że u nas tylko dwaj pisarze wierszem są prawdziwie dowcipni— Krasicki i Massalski. Mijając starych, z nówszych choć nie dzisiejszych, Sniadecki Jęd. najdowcipniejszy prozaik. Iluż to nim karmiło się i karmi teraz piszących, zupełnie milcząc o źródle posiłkującém ich dowcip! Mianowicie w Brambeusie *) jako pono ongiś należącym do grona szubrawców, wiele widać Sniadeckiego. Mniéj w A. B. C. i t. d. szanownego Ramocisty **). Nasz John of-Dykalp, w braku u nas zawsze prawdziwego humoryzmu, zyskał przez pochlebne i pobłażliwe kilku przyjaciół pochwały, wziętość humorystyka. Ja często kwaśny, i nie zawsze znajdując pociechę w sobie samym ani na świecie, muszę lubić humoryzm i szukam go— i Dykalpa czytam, Ale nie zawsze znajduję ten humoryzm.

—A Skarbek? spytałem...

—Skarbek? powtórzył P. Tomasz— uczciwy pisarz i ekonomista, lecz żartobliwości prawdziwéj, za którą wziął się po naczytaniu się Sterna, w nim prawie nié ma. W «*Panu Antonim i Podróży bez celu*" *np.* widać tylko koncepciki i usilną chęć być żartobliwym, i tém przykrzéj, że autor sam widzi sobie zadawany gwałt na nienaturalnym humoryzmie. Jedne trzpiotowate napomknienia i ustępy *np.* o śnie, o nowém pisaniu romansów, o wasonie i t. p. przypominają Sterna manierę. Lecz styl pod pozorem potoczności, tak zaniedbany i tak szorstki, jak rzadko. Te— *tak tedy też*, *już też nié masz to*, i t. p. są prawdzi-

---

*) Człowiek słynący w rossyjskiéj literaturze satyryczno-powieściarskiéj pod imieniem *Barona Brambeusa*, jest *Józ. Sękowski*. (*Red.*)

**) Autor *Ramotek*, *Aug. Wilkoński*. (*Red.*)

wą sieczką w zębach konia karmionego owsem. Skarbek myśli i mówi zawsze tylko *sobie*, co bardzo pozwala się — ale nie zawsze, możnaby obejść się i bez tych *sobie*. Zbytków wyrazowych, tych pleonazmów — mnóstwo, co bez potrzeby objętość książki powiększając, psują harmonję języka. Nawet *uczuciów* można doznać, tylko dodam nieprzyjemnych, czytając pisma uczciwego Hr. Skarbka. «*Małe przyjemności pożycia*" i «*Szansopansiana*" mówią o uczciwéj tkliwości autora. On więcéj dobry obywatel i tkliwy pisarz, nawet historyczny romansopisarz, niżli istotny humorysta. Zresztą tkliwość i rzewna tęsknota, są to cechy sławiańskich i weselszych pisarzy. «*Pamiętników Seglasa*" co ma być najlepszém humorystycznem pismem Skarbka — nie znam jeszcze.

Temi dniami przeczytałem Dykalpa. «*Nowe opowiadania*" drukowane w Lipsku. Mi się zdaje, żeby naszego w kraju zostającego pisarza drukować w Lipsku, trzeba tego pisarza sprawiedliwie osławić. Może tam druk tańszy — nie przeczę. Ale za co osławili Johna Dycalpa?. Gdy przypominam i rozbieram jego pisemka, nie znajduję wcale żadnego, coby spowodowało wydrukować się «*nowym opowiadaniom*" za granicą. Ani z zazdrości — bom nie autor i nie opowiadacz, ani nikt podobny, ani złowrogi potępiciel swych literatów, ale mówię jak mi się widzi najsprawiedliwiéj. Chyba i Glüksberg i Zawadzki już niełapczywi na żarciki Dykalpa?. Bo to nie żarty, a tylko co tylko — maciupe żarciki z fanaberją porównania się ze starym Sternem, jak Szatobryjan z Napoleonem! «*Wspomnienia myśliwskie*" stylem w początku przypominają *Starego Szlachcica*. Rysy charakterów bardzo blade. Chętka popisać się z wiadomostkami naukowémi i światowémi, wszędzie zwykła, dykalpowska, jeszcze prawdziwie studeńska. A przecież «*Szczyptą kadzidła*" od lat 12 zapachła swoim dowcipkowatym aromatem. I ta chętka tylko, zdaje się, jest pobudką do pisania i opowiadania. Wzmianka i wypisy starych wierszy kantyczkowych dobre i sprawiedliwe, jak zdanie o kantyczkach. Ostatni rozdział o jezuitach jako poprawka anegdoty z księdza Kołłątaja, i zawsze rozlane acz leciuchne ciepło duszy w pismach Dykalpa, są strony dodatnie i tu. I dla czegoż, proszę, jenjusze i jenjuszki sami na sobie ani drudzy na nich, nie łatwo się poznają?. Bo jak kto chce z Dykalpem samym, a w nim daleko więcéj tkliwości serdecznej, ciepłéj, wiejącéj jego duchownem powołaniem (*Rozalia Szejner*, *Zaścianek*, *Chwila* i t. d.), niżli istotnego dowcipu i humoru. Ostatnie, — maciupeczkie. A przecież Dykalp sławi się u nas humorystą, a nie tkliwym po prostu pisarzem-opowiadaczem! Biedniuchnyż to nasz humoryzm!

Przypominasz, Panie Adolfie, tę *Józię* i matkę z *Pamiętnika Elfa?* Jest to milutki, czysty, nieskażonéj woni fiołek— litewski bratek. A szukaj humoresów acz chwilowych w tych pamiętnikach, ich tam ziarenka tylko. Co jest humoryzm— ten prawdziwy żart?. Każdy po swojemu go pojmuje i określa. Nie mało jest takich co go mieszają i nieodróżniają od dowcipu. A między niemi taka różnica, jaka między rzeźwym i bez żadnych trosk dzieckiem, a człowiekiem, co już wiele czuł i myślał i poznał i rozczarował się, ale nie stracił serca i sympatji dla interesów ludzkich,— owszem jeszcze ich więcéj pokochał, i cierpi mocno w duszy swéj patrząc na słabości ludzkie, ale stara się pocieszyć i cieszyć drugich, bo wierzy, że więcéj te słabości i wady ludzkie pochodzą z omyłek rozumu jak ze złego serca. On nie sarka i niespotwarza ludzi, a tylko pokazuje im ze współczuciem starszego brata ich głupowatą i godną śmiechu stronę. Według mnie więc, humor jest to dar w mowie ustnéj czy książkowéj, po którym słuchacz czy czytelnik zostaje na długo w dobrym, wesołym humorze przynajmniéj, gdy się nie naśmieje od serca bez żółci, i nie uzdolni się sam drugich zabawić przyjemnie, od serca. Po Dykalpie robi się miło, dobrze, trocha wesoło, ale to ostatnie na chwilkę tylko, a te *miło* i *dobrze*, pozostają również po każdéj od serca i z talentem większym pisanéj książce, jak *np. Kollokacja* i *Miljon posagu* i t. p. choć te książki nie mają wcale pretensji być pióra Sternów, a robi się po nich miło i dobrze w duszy, bo widzisz, że u nas mogą dobrze i z talentem pisać powieści, co rzadko zdarza się i wszędzie.

Ktoś bardzo sprawiedliwie, zdaje się w *przeglądzie naukowym* i M. Grabowski w *Tygodniku* 1847. r. powiedzial o Dykalpie, że on najlepiéj, najzdolniéj opisać może zaściankowe, cichutkie cnoty, wady i śmieszności, słowem życie, i życie ubogich księży. Bo on to zna i kocha. Ale na humor prawdziwy, u niego humorku jego niestaje. Bo ten humorek zawsze książkowy z chętką popisania się wiadomostkami uczonemi, dla oczytanych jest zamały, a dla nienaczytanych niezrozumiały— więc nie humor.

Kraszewski mówiąc o dowcipie powiedział, że nasz dowcip jest teraz czysto francuzki, a nienarodowy polski; że on wcale nie zna ani pisarzy dzisiejszych, ani niepisarzy polaków prawdziwie dowcipnych. Ja o to zostawuję z nim sprzeczać się lub zgodzić drugim, a tylko mniemam, że nasz staruszkowaty dowcip, t. j. żarciki naszych starych polonusów uczciwych, są naszym prawdziwym humorem. Tego nic w Dykalpie i Wilkońskim trzeba

szukać, ale w rozmowach uczciwych starców. Tam zaiste znajdzie się więcej humoru jak dowcipu.

Nasz gust dzisiejszy zbyt francuzki, i szkoda wielka, że miasto tłómaczeń tuzinkowych romansów francuzkich, nie możemy czytać w dobrych przekładach dawnych anglików: Biurtona, Brauna, Witersa, Zelhorna, Kolridża, Hazlita, Daniela de-Fee, Suteya i innych; a możebyśmy z ludzi powierzchownych, stali się acz trocha głębiej myślący i uczciwo-praktyczniejsi. Nawet Gogola, acz podjął się był R. Podbereski przepolszczyć, ale dotąd niesłychać o skutku przedsięwzięcia *). Choć prawda, że zrobić to dobrze, nie łatwo. Ale tém więcej sławy dla tłumacza, która dotąd u nas jedyną podnietą dla literatów. Analiza młodziuchnego, dziewiczego, zaściankowego serca pod piórem Dykalpa, z naszych pisarzy jest najlepsza. A ta analiza, dowodząca dobréj duszy w autorze, jak analiza każdej kobiety, jest zawsze nie łatwa i nie łatwiejsza od analizy kobiéty-mężatki Balzakowskiéj. Magnuszewski w «*Niewieście polskiéj*" opisał nam nieźle, filozoficznie kobiety nasze **). Za opis dziewczęcia zaściankowego polskiego, ja szanownemu Johnowi od serca dziękuję. Praw-

---

*) Brak nakładzcy był przyczyną zaniechania zamiaru, który wszakże przy pomyślniejszych okolicznościach dokonanym być może. Mam tu na celu *Duszę skazkowe* (*Miortwyja duszy*) Gogola. (*Red.*)

**) Tylko niech nas Pan Bóg zachowa od takich opisów niewiasty polskiéj jak w trzech obrazkach kobiety z czasów *Chrobrego* w opowiadaniu *Chrzest krwawy* albo w *Zemście Panny Urszuli*, w których sprosność obrazku nie okupuje się stylem wyłamanym, wynaturzonym, którego nikt nie rozumie w kraju, prócz chyba kilku starożytników. I czyż to jest artystowstwo, którego zgoła ogół narodu nie przyjmuje? I czyż-to estetyczne poczucie powiodło autora *poetę* do takiego przedstawienia jak ostatnia scena Węgra z *Swatochną?* która się mi wydaje podobném do obrzydłego draźnidła, jakie pozostawił nam w spadku rozpustny wiek Wolterowski? Czyż szukanie prawdy historycznéj może skłonić artysty-poetę do zapomnienia szacunku i względów jakie winien dla siebie samego i czytającéj publiczności,— któréj podobne *devergondage* żadną miarą podobać się nie może, bo nasza publiczność, to wcale nie francuska! Nie mogę tu wstrzymać mego oburzenia, bo to był pisarz z prawdziwym talentem— mogący porodzić licznych naśladowców. Krytyka uwiedziona wyższym talentem pisarza, pominęła wykazać tę *wstydliwą* stronę, tak niewłaściwą obcą czystości naszych obyczajów i piśmiennictwu polskiemu. (*Red.*)

da, Józia Dykalpa do odry— przypomina bardzo *Zosię* A. M. i jest jéj młódszą siostrą. I która z nich lepsza, prawdziwsza? zostawiam sądzić drugim; bo dla mnie obie milutkie, kochane i prawdziwe. I po odrze, i już hrabinia Józia— prawdziwa. Ale wypadki te warjackie z panem Karolem przed weselem i na niém, są fantastyczne prawdziwe łatki, umyślnie przypięte do prostéj wiejskiéj ale schludnéj sukienki. Autor Elf w epilogu twierdzi, że wszystkie wypadki tam z natury przepisane. Wątpię. I charakter Karola tak słaby, romansowy, warjacki, tém się tylko usprawiedliwia, że to w lata romantycznéj apogei było. Krytyka zaś przytaczana przez Elfa w epilogu, na ten pamiętnik (nie czytałem jéj w oryginale i nie wiém zkąd ona?) jest tak błahą i żadną, że chyba w Warszawie mogła się urodzić. Bo to najmniéj rodzajny kraj na dobrą krytykę.

Krytyka! Kto u nas dzisia nie mówi i nawet nie pisze jeśli nie krytyki to o krytyce!— Bo mówić o krytyce— uczyć krytykować, daleko łatwiéj, niżli być dobrym krytykiem. Póki nie zaczniesz sam czego, wszystko wydaje się łatwém. Kto nie widzi usterek w administracjach kraju, a tém więcéj *np.* w redagowaniu jakiego pisma perjodycznego lub zbiorowego?. To wszystko tak łatwo w teorji! dla tegoż administratorowie i redaktorowie większą częścią, na nic się nie zdali. Bo największość ich zapomina— ba, i całkiem nie wié, że,— choć prawda nie potrzeba na to głębokiéj wszechstronnéj nauki, ale nieodbicie potrzeba ogólnych, encyklopedycznych wiadomości;— prócz przyrodnego daru. Redaktor bez tych, nigdy nie zadowolni korzystnie czytelników swego pisma. A jakże ma zadowolnić taki redaktor, co nawet sam języka nie umié! Takież to pismactwa jego i jego współ-pracowników. Ale wracając do krytyki, kto dziś o niéj nie mówi i nie pisze?. A jednak, jakiekolwiek jest zdanie i sąd powszechny, zawsze to powiém,— iż są u nas zdrowe, praktyczne i dostateczne dla siebie, w ocenianiu pism potocznego czytania. Dotąd u nas o krytyce sądzą i mówią, jak doniosł w raporcie *Szlachcic na łopacie*:— «To ty paszkwile czytasz?— Tak, paszkwile na kobiéty, na poczciwych ludzi!— Otoż to mądry człowiek!... Chciałabym ja którego z tych oszczérców dopaść."— Wszakże, mówiąc stylem Śniadeckiego, musi być téj nienawiści dla krytyki przyczyna,— bo nic bez przyczyny, a to jest według mię, nie przywyknienie do publicznych otwartych sądów jak w zagranicznych gawędziarniach t. j. parlamentach i salach deputowanych— i nieumiejętność jeszcze u nas krytykować sumiennie t. j. mówić prawdę przyjacielską o piśmie jeno, bez osobistych obrażeń dla pisarza. Wszędzie nie-

wielu sumiennych, bezstronnych krytyków znajdziesz, a u nas na nieszczęście jeszcze mniéj, bo mniéj z prawdziwie wszechstronną wiedzą pisarzy. Skrytykować— to to samo, co wyłajać i spotwarzyć. A krytyka powinna być dobrém kazaniem i przy tém nie nudném— kazaniem, więcej do osoby jak do osób. Potrzeba ją tak pisać, iżby czytali ją, nie tylko autorowie krytykowani, ale w ogóle czytelnicy i uczyli się. Krytyka powinna być prawdą powiedzianą w oczy. Mówią, że prawda w oczy kole— i prawdy nigdy nie można nikomu mówić otwarcie. Często ja o to spiéram się z ludźmi— i zgodzić się na to nie mogę. Przyzwoitość, dobre wychowanie i światowa grzeczność, niepozwalają mówić prawdy w oczy— powiadają. Nie. Przyzwoitość i światowa grzeczność niepozwalają mówić grubjaństwa i gburowstwa— ale uczciwą prawdę pozwalają, bo inaczéj, będą to fałszywe i przyzwoitość i światowa grzeczność. Prawdy w oczy nie lubią i wszyscy nie lubim tylko wówczas, gdy jesteśmy osiołki i całkowite osły, nawet przez wielkie *O*,— jak Wilkoński sprawiedliwie się wyraził. A to zdarza się częściéj-rzadziéj, niémal z każdym. Rozgorączkuje się, zapomni się— i obrazi,— a potém, gdy rozum, prawdziwy przyjaciel powróci do głowy, sami z siebie się śmiejem i sztrofujem się. Prawda, że tak sądzących ludzi może mniéj, jak przeciwnie myślących, ale tak powinniśmy sądzić i postępować, i nie bać się prawdy powiedzianéj nam w oczy, jak i krytyki się nie lękać najsroższéj a sprawiedliwéj. Bo trzeba przyznać się, że jakikolwiek tam sarkazm i paszkwil na nas, lecz w gruncie swoim, ma on zawsze rację, i jest albo będzie dla nas pożytecznym. Któż *np.* dzisia z nas, a nawet w czasach dawniejszych, mógł się sprawiedliwie rozgniewać za takie francuzkie sarkazmy o polskiéj równości t. j. *nierówności* za stołami, którą Skarbek wyśmiał w Ruszczycu drwinami Clotomonta?. Toż samo powiedzieć można i trzeba o krytyce literackiéj. Jakkolwiek się ona tam pisze— głupio, stronnie, czy rozumnie i sumiennie, lecz dla autora krytykowanego, będzie zawsze pożyteczną. Tylko niech on tyle ma rozumu, żeby się nie gorączkował, a przyjąwszy ją z obojętną rozwagą, starał się z niéj korzystać. Bo krytyka mówi się i pisze tylko dla rozumnych. Głupca żadna krytyka nie zrobi rozumniejszym. Głupcy całkiem są wolni od krytyki.

Nie mówię ja przez to, że krytyka może pisać się ladajako. Przeciwnie, krytyka powinna pisać się rozważnie i sumiennie, i żeby krytykiem być, potrzeba raz, na to się urodzić, to jest, mieć takt prawdy i sumienności, a powtóre, należy być człowiekiem z wiadomościami teoretycznemi i praktycznemi ludzi i świata.

Inaczéj, jak to nie raz już powiedziano, będzie krytyka dzieciukowała lub przekupek szczebiotliwość, łajanie się i pokazywanie wzajem sobie języka.

Nasza krytyka biédna. Bo jakże dotąd *np.* nie zdobyła się na porządny artykuł porównywająco-krytyczny dla poematów: utraconego raju, Messjady, Przenajświętszéj rodziny i X. Hołowińskiego Dzieciątka Jezus?. A na taki temat, można pomówić dzielnie i rozlegle, bo sam poemat Hołowińskiego na to zasługuje. To powinien uskutecznić M. Gr. co w liście do Ziemęckiéj objawiwszy u nas w literaturze nowy kierunek religijny, nie śmie swego głosu wyżéj podnieść. Jakby zląkł się, lub zbiéra się z nowémi siłami i oczekuje jeszcze dalszych zjawisk, któreby potwierdziły jego postrzeżenie. Jakby dzisia były pisma antireligijne!— Prawda, warjaci deputowani francuzcy i teraz odzywają się na mównicach, że nie mają i nie widzą potrzeby mieć żadnéj religji,— ale to warjackie, chorowite wyjątki. Religja i religijne pisma i literatura piękna w tym duchu, zawsze były i będą. Bo, że są pisma, co jezuityzm nie uznają za jedno z religją, a odróżniają je jak niebo i ziemię, to jeszcze nie dowód, że te pisma są antireligijne. Przeciwnie, mogą one być bardzo religijne i Chrześciańskie. Przedstawicielami u nas religji są: nowy testament i Ojcowie Święci, a nie zakon jezuitów, dominikanów, karmelitów i t. d., tak samo jak półk ułanów, karabinierów nie jest sztuką wojenną, a jakaś liczba lekarzy— medycyną.

Nie tylko więc religijność t. j. formy i obrzędy, ale i religija prawdziwa będzie na świecie i w pismach literackich. Platonizm *np.* w dążności dzisiejszéj zmysłowo-praktycznéj był prawie zapomniany, nawet wyśmiewany. Sam Gustaw ze swą Marylą poczęli należeć już do historji. A tymczasem odezwał się Lamartin tymże językiem werterowskim, i cała Europa jego przeczytała. Rozumié się, przyczyną wielką tego, był brak lepszego czytania; ale zawsze każdy począwszy czytać lamartynowskie Konfidencje i Rafaela, zapewne przeczytał je do końca. A Konfidencje *np.* są nawet prześlicznym, uczuciowym, niewinnéj młodzieńczéj miłości obrazkiem. To nieprawdziwy pamiętnik, ale prawdziwy poemat wiosenny, wonny i bujny fijołek. Ta miłość Gracjelli dla autora, a szczególniéj charakterystyka matki jego jako kobiety, żony i matki, wybornie napisane. I kiedy napisane?. W czasie, kiedy autor Lamartin po gorączce praktycznego,— a sprawiedliwiéj— niepraktycznego, bo nie umiał być praktycznym człowiekiem politykiem,— swego życia, ostygł i rozczarował się gorzko w swojéj spodziewanéj wielkości politycznéj i w nadziejach (może) pa-

trjotycznych. Tak z nami bywa wszystkiémi. Wówczas człowiek acz trocha artysta w duszy, rzuca się znowu z tęsknym zapałem na łono literatury czy sztuki, przypomina ich ciche roskosze, nasyca się niémi jak prawdziwe dziecko, jak poeta. Kto wié? może bez wywyższenia się na ministra i potém upadku tak rychłego Lamartina, francuska literatura nie miałaby ani Konfidencji ani Rafaela. A jakkolwiekbądź, te dwa pisma Lamartina, choć jako dla pamiętników rzeczywistości i prawdy, wiele fanfaronady i mydlanych bąbli t. j. frazesów zawiérają, ale jako utwory sztuki są poematami, acz z bardzo suchotniczą poezją, mianowicie Rafael,— ale dobremi. Serce, uczucie i ciepła, wieczna prawda, w Konfideucjach rozlane obficie *). Szatobrijan swojéj miłosci dla Szarloty Ajwz a) w Anglji, zostawił w swych pamięt-

---

a) Yves. (*Red.*)

*) Nie dawno czytaliśmy Konfidencje i dotąd zostajemy pod wpływem uroku tego zachwycającego wdzięku z jakim poeta utworzył swoją nienaśladowaną *Gracjellę*. Tworzenie niewieścich charakterów jest prawdziwą skalą talentu. W tworzeniu takich charakterów każdy poeta wywnętrza najlepszą część samego siebie, inspiruje się wspomnieniami najjaśniejszych chwil swojego życia. Doznać namiętności, nawet szczęśliwéj namiętności, dano wielu ludziom na ziemi; dla czegoż więc przedstawienia téj namiętności, dla czego wizerunki kobiét, które obudzały w nas miłość i uniesienie,— tak często bywają bezsilne i bezbarwne? Dla czegoż tak mało kobiécych typów widzimy w sferze artystycznéj twórczości,— dla czego tylko wyższym talentom dostała się potęga tworzenia przed chciwemi oczami tłumu, nie porównane obrazy Dżiuljetty, Minjony, Hajde i Wirginji? Do takich utworów można śmiało zaliczyć i lamartynowską Gracjellę, i mamy pewne powody sądzić, że na to się zgodzi większa część czytelników. Jako poeta, Lamartin jest daleko niższym od Szekspira, niższym od Danta, niższym od Bajrona, lecz w utworze téj jedynéj ze swoich heroin, wzniósł się prawie do wysokości tych olbrzymów sztuki. Zkąd się wzięła ta u niego potęga, jakim sposobem przy końcu swego zawodu udało się mu stworzyć typ podobny, pełen niewypowiedzianego wdzięku,— niepodobna jest pojąć: wytlómaczą to chyba dotąd nieodgadnione tajemnice ducha ludzkiego, *les mystères du génie*. Trudno jest nawet powiedzieć jakie wyłącznie rysy podobają się nam w Gracjelli. Od najpiérwszéj sceny, kiedy w noc ciemną spotyka ojca i brata na morskiém wybrzeżu aż do ostatniego pożegnania,— jest samą doskonałością, szczytem sztuki. Taka postać zda się na tysiąc obrazów— Gracjella może być prototypem dla stokroci po-

nikach tylko rys i wspomnienie, i potém wyznanie swego charakteru, a raczéj bez-charakteru. I to— frazy— wszędzie jedne

---

sągów. Bez wątpienia zjawią się nie zadługo we Francji i malowidła, i posągi i sztychy wyobrażające sceny z Konfidencij. Lecz czego nie odda żaden pędzel, żaden rylec— to opis téj nocy, którą poeta spędził sam na sam z Gracjellą, kiedy się oddaliła z domu rodzicielskiego, aby uniknąć nienawistnego połączenia. Scena ta, pełna namiętności i czystości dziewiczéj, wysoka poetyczna koncepcja, zachwyca nas niewypowiedzianym wdziękiem, może słabo podziała na człowieka, który wcześnie stępił świeżość uczucia gorzkiem doświadczeniem życia lub bez wyboru czytaniem, lecz dajcie tę scenę młodzieńcowi, co zachował całą wrażliwość młodości, scena ta wstrząśnie go do głębi, stanie się dlań zmorą we dnie i w nocy, obudzi w sercu najwznioślejsze, najszlachetniejsze pobudki! W ogólności kobiety zawsze więcéj lubiły czytywać Lamartina, one umiały odróżnić błyski czystéj poezji pośród gadulstwa, które się wciskało do wszystkich jego utworów, ale po utworze jego Gracjelli, więcéj jeszcze pokochają poetę, który się tak wysoko podniósł w pojęciu serca kobiécego.

W utworze Gracjelli należy upatrywać wady i piękności pierwszych części wyznań; w obliczu téj zachwycającéj postaci kobiécéj, zmierzchają i bledną wszystkie postacie wyprowadzone przez autora na scenę. Tu objawia się cała słabość Lamartina, tu można dostrzedz różnicę jaka zachodzi między nim i poetami takiemi jak Gete, Dant i Szekspir. Ci wielcy poeci nie mieli takich nierówności w swoich utworach; siła ich twórczości była tak wielką, że byli w stanie w zupełném uspokojeniu, prawie bez uniesienia improwizacyjnego, wywodzić na scenę mnóstwo osób, z których najniedołężniejsze nawet raziły swoją wiernością życiu rzeczywistemu. W *Romeo* i *Julji* np. Julja— nie stawi się samotna przed oczami czytelnika, otoczoną jest osobami, których wyprowadzenie najjaśnią odpowiada wysokości genjuszu, co stworzył kochankę dla Romea. Trzeba wspomnieć Romeo, Merkuczia, mnicha, starego Kapuleta, starą niańkę— jedną z najlepszych postaci, które się udało stworzyć Szekspirowi. Weźmijmy *Fausta*: prawie można się zgodzić, że Margarita stoi niżéj pod względem wdzięku od lamartinowskiéj Gracjelli: ale wspomniawszy na inne postacie poematu, zaraz się dostrzega obszar talentu Getego. Weźmijmy mnóstwo osób śmiało narzuconych w *Komedji Nieboskiéj*, tu postrzeżemy zaraz na czém zależy potęga i wielkość poetów świata. Ciągnąć daléj podobne zbliżenia, byłoby to drwić z Lamartina, którego wadą największą jest nierówność tonu, gadulstwo i niewykończoność. Konfidencje jednak są najbardziéj wykończonym jego utworem,

frazy **). Dla tychże przyczyn, co Lamartin napisał (dla pieniędzy i sławy) swe poemata, o których mówiłem, Guizo i L. Blan, za-

---

lecz równie w całości jako i w szczegółach nie mogą wytrzymać surowej krytyki. Staranie i pochopy o effekt mocno szkodzą osobom tam działającym: za nadto dobroduszne i wyszukane, ckliwo-szlachetne. Naprzykład: byt rodziny Gracjelli: w mowie i całém postępowaniu tych biednych rybaków nie masz zgoła nic gburowatego, ostrego, gminnego, nic— coby dawało nam obraz rzeczywistego bytu i obyczajów ludu prostego owéj strony. Wszystkie osoby przypominają nam idyllę, i to idyllę nie dobrze zrozumianą. Teokryt nie lękał się kazać swoim pasterzom kłócić się, łajać, zazdrościć jeden drugiemu, bredzić o swém rzemiośle,— a jednak idylle jego były doskonałością w swoim rodzaju. Toż samo i u naśladowców jego, jak u naszego Szymonowicza. Idylle XVIII. w. odznaczały się nadętością i wstydliwością fałszywą— i dla tego stały się śmiesznością. Zdaje się, że Lamartin lękał się otoczyć swoję Gracjellę ludźmi prostymi, a może nikczemnymi. Bojaźń próżna, nieznana od wyższych talentów! Obraz *Hajdy* u Bajrona wysterka pomiędzy oktawami pełnemi żółci i sceptycyzmu; *Franczeska di Rimini* jaśnieje wdziękiem pośród zrospaczonych grzeszników; *Manon Lescaut* czarującą jest pośród najobrzydliwszych scen występku; i jeżeli opatrzność dopuszcza szkaradę obok piękności, złość i nikczemność obok rozumu i wspaniałości, więc czyż mamy odwracać oczy, jak ludzie salonowemi konwenansami skrępowani, od ciemnéj strony życia ludzkiego, czyż nam robakom tego padołu poprawiać to, co urządziła i wydała władza najwyższa?

Lamartin należy do małéj liczby pisarzy, których talent nie gaśnie z latami; gorąca jego wyobraźnia nie ostyga, nie zamienia się w pozytywność; i dla tego lepsze jego dzieła napisane są w tym wieku, w którym niektórzy pisarze już zasypiają na laurach. Ciągłe wahanie się duszy wrażliwéj i unoszącéj się, popędy do mistycyzmu i fraz górnolotnych, przeszkadzały talentowi jego ustalić się na jednéj, jakiejkolwiek pewnéj drożynie. Niedostatki te zwolna złagodziły się w ostatnich czasach. Na wzór wielu innych ludzi, co wiele przecierpieli w życiu, Lamartin odrzucił od siebie mistyczny i zamglony pierwiastek i zwrócił się ku rzeczywistości, do prac historycznych i wspomnień własnego życia. Z dawniejszych uniesień pozostała u niego jakaś niespokojna żądza wyszukiwania we wszystkiém wdzięku, a taki kierunek wyłączny koniecznie wiedzie do wydwarzania. Podobny w tém do malarzy, tworzących swe kompozycje na słoniowéj kości,

pewna obrobią po swojemu podtenczas jakiś perjod historji. Czytając Konfidencje, takiej przyjemności doznajesz, jak przy czytaniu fragmentu i powiastek Korzeniowskiego. Ten sam piękny, czysty, tęskny idealizm. Nawet pod względem piękności, elegancji i stylu, jest podobieństwo.

Szkoda, że Eugeniusz Sue nie był ministrem ani deputatem. Możeby przemienił manierę swych chorowicie karykaturycznych charakterów w romansach. Jego «*Gniew*," którego dwie części przeczytałem, jest przedłużeniem wiecznej jego wiary, że świat nasz złożony z wyrodków. Cnoty i występki u Sue są zawsze chorowite. Zawsze też same przedłużają się frazesa; użył— uży-

---

porcelanie lub perłowej macicy. Rozumiem tu ową część ***Historji Żyrondistów*** (wyłączywszy część historyczną, przepełnioną omyłkami) gdzie do takiego stopnia ugania się za wdziękiem, że wpada w affektację, niegodną historycznego romansu: wszystkie kobiety wyprowadzone na scenę tych wybornych studjów, koniecznie muszą być ślicznemi: wszyscy mężczyzni— wyniośli i teatralni.

Oryginalnym i nader słusznym jest sąd pewnej damy, która o poezjach Lamartina wyrzekła: «że najlepsze utwory jego są najkrótsze." Jest głęboka prawda w tem zdaniu. Posiada on obfitość poetyckich myśli i obrazów, ale nie zawsze im może podołać. Brak mu malowniczości; tej zwięzłości, co jest tak do nienaśladowania u Getego. Goniąc za swoją ideą, za dokładnem wydaniem swego pojęcia lub obrazu, Lamartin wpada w amplifikacją, rozwodnienie, i staje się nudnym gadułą w swoich melodyjnych harmonjach. Wyłączyć od tego trzeba krótkie jego poezje z poczuciem z głębi ducha pisane, które się odznaczają artystowskiem obrobieniem jak np. ów wierszyk do dziewicy Moro (***Moreau***), która płakala na mogile córki lamartinowskiej.

Aby już wreście zakończyć ten ustęp i tak zanadto długi, powiemy,— że dawne utwory Lamartina przypominają nam obrazy za nadto troskliwego artysty, u którego pod wylizanemi szczegółami i drobnostkami ginie naczelna idea utworu. Konfidencje zaś bardziej podobne do malowidła, w którem jedna tylko osamotniona postać uderza nas całym swym wdziękiem i artystowskiem wykończeniem, gdy tymczasem inne osoby są jakby zapomniane i zostawione na uboczu bez wielkiej sympatji ze strony artysty. (***Red.***)

) W jednym z następnych zeszytów naszego pisma zamieścimy z nowszego stanowiska sąd o Szatobrjanie, o którym— sąsiednie pismo zbiorowe, podało nader zapleśniałe wyobrażenie. (*Red.***)

ła nad sobą nadprzyrodzonej siły woli i t. p. A najsprawiedliwiéj, on sam się gwałci i sili napisać swe siedm grzechów w romansach, nie wiedząc zkąd brać treściową i prawdziwą osnowę dla tego.

Z tego ilem przeczytał, wnoszę, że zasadnicza idea romansu, „*Gniéw*" jest bardzo fałszywa. Bo u Sue gniew, grzech śmiertelny, pokazuje się nie grzechem i występkiem, a wadą organiczną, za którą człek nie powinien odpowiadać przed nikim, gdyż jego gniéw pochodzi z fatalicznego przeznaczenia opatrzności, tworczyni żółciowych i gwałtownie prędkich ludzi. I zdaje się z tego, że duch i charakter jest tylko wynikiem organizacji i ciała. Jednak zgodziwszy się i na to, trzeba nie zapomnieć, że w takim silnym organizmie, powinien być duch gwałtowny i prędki, ale i z wolną zawsze i mocną wolą. Ta wolna wola, powinna go zreflektować, zastanowić i upokorzyć, i przez to zasłużyć się. (Sue, jak się zdaje, zostawuje zreflektować ojca gniewliwego przez cnotę córki). Inaczéj, będzie zbrodniczą i występną ta wola bez zasługi, a wola nieodłączna od duszy człowieka. Człek bez zasługi wolnéj jest niecnotliwy, a niecnotliwy już jest występnym. Jeśli Sue o tém niezapomni, będzie dobrze. W przeciwnym razie jego idea romansu i romansów (siedm grzechów) jest najfałszywsza i w swych skutkach może być zbrodniczą dla niedojrzałych czytelników. Cała prawie jedyna zaleta dzisia w Siu— dramatyzm, styl rozmówny, potoczysty i łatwość pisania, słowem— sztuka.

Anglicy zawsze lepiéj piszą. Nie mówię już o mężczyznach jak Dikkens i nowy pono Tekkerej, ale i kobiety *np. Dżenni Ejr*. Jéj romans tejże nazwy,— bo bardzo podobna do prawdy, że to kobiéta pisała,— ilem go przeczytał, jest wyborny. Życzyłbym bardzo, gdyby w naszych pisarzach-kobiétach Dżenni Ejr, znalazła dobrego naśladówcę. Szczególnie nasze panie, stawszy się paniami z guwernantek, mogłyby to zrobić. Ale na to potrzeba artyzmu obrazowania prawdy, którego w Dżenni Ejr— wiele. Ona wzięła się za swoje, zrobić ze swego pamiętnika poetyczny obraz *). To wielka zaleta poznać się na swym talencie i u-

*) Wkrótce umieścimy treść i wyjątki z tego pięknego romansu, którym się szczyci literatura angielska, i którego heroina,— sierota— w prywatnym domu guwernantka, smutném swém położeniem na świecie, może obudzić u nas spółczucie w tylu również cierpiących duszach. Autorem jest nie kobiéta, lecz P. *Kerren Bell*, do rzędu najnowszych romanso-pisarzów Anglji należący. (*Red.*)

żyć go dobrze. Jak przeciwnie, nie mając go, a brać się za tworzenie, za malarkę z chęcią obrazowania ludzi i świata po artystowsku— jest wadą, błędem. To mi przypomniało Tadeusza Strzemieńca, co w Ateneum 1848. r. N. 2. pomieścił swego «*Wymarzonego kochanka.*"

Po przeczytaniu téj opowiadanki, trudno bardzo 1-od: dać jéj nazwanie, czy to powieść, czy anegdota, czy kazanie, czy rosprawa moralno-obyczajowa w opowiadaniu?. 2-re: Trudno zgadnąć czy autor jéj dowcipny, czy nie? chociaż szczególnie część piérwsza zawiéra wiele dowcipu— i po 3-cie: trudno zgadnąć czy autor może napisać dobrą powieść? Może nie jeden przeczytawszy «Kochanek wymarzony" zdziwiłby się na moje zdanie. Bo w Tadeuszu Strzemieńcu zobaczył wiele taktu pisarskiego, wiele dowcipu, wiele oczytaności i wiele poznania świata i ludzi. Tak, prawda— i ja temu nie przeczę, a jednak powtórzę, iż nie wiém, czy autor w rzeczy samej dowcipny i może napisać dobrą powieść obrazującą artystycznie prawdziwych ludzi, a nie takich jakie figurują w *kochanku wymarzonym?* Zdaje się wszyscy dobrzy tam i na swém miejscu,— a jednak pomyślawszy trocha, jesteś w takim stanie, zdać z tego sprawę sobie lub komu, jakbyś chciał opowiedzieć o tych ludziach, których widzisz za kilkaset kroków od siebie lub z góry wysokiéj— wszyscy do siebie podobni— wybitnéj, charakterystycznéj różnicy pomiędzy nimi nie znajdziesz. Wszyscy albo rozumni, albo głupi, albo źli, jedném słowem wszyscy bladzi i stworzeni nie artysty fantazją, a człowieka dyletanta w literaturze— może i w życiu, który wiele czytał, wiele widział, dosyć nawet pisał dla siebie, ale niema swego talentu twórczego, a wszystko pożyczone— i z tym talentem, a sprawiedliwiéj, z usposobieniem tylko chwilowém, wziął się nie wprost kopijować obrazki i charaktery, a tworzyć swoje. I wyszła ztąd nie— powieść, a dość rozsądnych i dowcipnych postrzeżeń i rezonowań, które autor bez braku kładzie w usta ojcu prezesowi, matce, córce marzycielce, ciotce staréj pannie, półkownikowi, stryjowi Anielki i panów kilku kawalerów, które to wszystkie osoby więcéj podobne do jasełkowych bałwanków, jak do żywych, prawdziwych, jakich znasz, ludzi. A niechby autor niedowierzając swemu nietalentowi, wziął się za proste kopije, był dagerotypistą, byłoby może lepiéj, prawdziwiéj, bo byłoby to bez pretensji na talent. Tak pisać powieści i być dowcipnym jak Strzemieniec, może każdy rozsądny, oczytany i widzący trocha świata człowiek, pod wpływem jakiegoś pisarza utalentowanego— po naczytaniu się. Nie będzie wszystko tam cudze, ale nic prawdziwego i swego, a całko-

wite i jedyne ogólniki. Jabym radził osobom chcącym pisać, a niemającym prawdziwego talentu, nigdy nie pisać czytając lub przeczytawszy jakiś romans czy powieść, lecz w kilka dni potém, po dobrém wyspaniu się. Wówczas, jeśli jest prawdziwy talent u takiéj osoby i temat do pisania, ona napisze po swojemu i dobrze tak, że czytelnik nie zostanie w stanie tak niepewnym po przeczytaniu jego pisma, że sam nie wié czy czytał lub nie czytał?— W Tadeuszu Strzemieńcu widać trocha doktora lub dość czytającego z medycyny, i mojem zdaniem, on może być lepszym krytykiem w niektórych rzeczach, niżli powieściarzem.

A więc łatwiéj być dobrym krytykiem jak powieściarzem? zarzucisz mi Panie Adolfie. Zgoła nie. Jak jednym tak drugim trzeba się urodzić i jeszcze wrodzony talent wykształcić. Dobry krytyk więcéj mający rozsądku jak wyobraźni i twórczości, czując tylko piękność, a niezdolny odtworzyć tę piękność, może swą nauką teoretyczną estetyki, przybliżyć się do twórczości, ale zawsze będzie tylko dobry pierwszorzędny malarz, ale nie artysta-malarz, pisarz-belletrysta, a nie prawdziwy poeta.

Tak i w Strzemieńcu, niéma daru postrzegania różnic, charakterystycznych odcieni na ludziach, a twórczéj fantazji jeszcze mniéj. Bo niechodzi tu, iżbym chciał nadzwyczajnych charakterów i wypadków. Broń Boże— niech będą te z powszedniego życia naszego i świata, ale trafnie postrzeżone, rozróżnione wzajemnie i wyraziście wystawione. Na tém właśnie cała artystyka i talent malarza zależy. Pisarz biorący się za taki powszedni temat, pokazuje wiele śmiałości i zaufania w swoim talencie— z niczego zrobić zajmujący obraz. Słabsi, zawsze wybierają wypadki i charaktery niezwykłe, bo za témi, niedostatek talentu pisarza mniéj widać. Tam charaktery i wypadki same za siebie mówią. W przedmowie Strzemieniec nibyto sam usprawiedliwia się i swoją powiastkę— ale powodu pisać tak, jak on napisał swój «Kochanek wymarzony" niéma jasnego. Tymbardziéj, że niby-to umyślnie tak się zrobiło.

Ze zdań rozsądno-praktycznych i dowcipnych nie można nie zapamiętać odpowiedzi półkownika dla prezesowéj swéj bratowéj— «E! moja bratowo, wszyscy się jednakowo rodzimy, proszę zapytać jakiegokolwiek doktora, a źle czy dobrze, o tém wié tylko matka." Prawda, że takie sądy o moralności kobiet, są sądy wszystkich niemal powieści i wodewilów i t. p. I gdyby im wierzyć, trzeba koniecznie zgodzićby się na to, że cały świat ludzi są *dzieci naturalne*. «Być pięknie wychowanym, mówił półkownik, to znaczy umieć zgrabnie się ukłonić, niedbale się wywró-

cić w fotelu, paplać trochę po francuzku, mieć frak gładko zrobiony i rękawiczki z guziczkami; a przymioty umysłu i serca— stare to dzieje, które dziś różnie, różnym brzmią w uszach. Jednemu brzęczą, drugiemu dźwięczą i sam djabeł teraz ludziom nie dogodzi.”

Przeciwnie, druga powieść w Ateneum, zeszycie 6-m «*Marya*” przez ***. jest cale inną. Nawet różna od wszystkich ile ich jest powieści we wszystkich językach— Marya. A ile tych powieści Marya? bez liku! Tu, powiadam, wcale przeciwnie niżli w *kochanku wymarzonym.* Tam dziewczyna Aniela idealna marzycielka, tutaj kawaler z Berlińskiego uniwersytetu Pan Henryk, prawdziwy niemiecki heglista, bo nawet w zarodku jenjuszek i ma wyższe cele i pomysły dla ludzkości. Nawet pojechał na wschód pisać poezje, rozumie się— socjalistowskie, i rzuca najpoetyczniejszéj rozpaczy pociski na kobiety— młode żony starych mężów, które to żony,— w nichże zakochanych, zagorzałych jenjuszków— używają najniegodziwiéj— za parawaniki dla swych miłostek dwóletnich ze zbestwiałym i najcieleśniejszym, nawet pucułowatym P. Juljanem. Bo już taki gust u tych kobiet niewykształcony, musi być dla tego, że nieuczyły się w berlińskim uniwersytecie,— iż dla nich lepszy każdy głupi a jędrny Juljan, niżli jenjalni entuzjaści Henrykowie. Bo co dla kobiety zmysłowéj,— a czy wiele ich jest innych?— z tego męża lub kochanka, który gotów jéj wykładać w sypialni ekonomję socjalną lub miłość wzajemną, według eterycznych teorji niemieckich filozofów?. podobni kochankowie również bojąc się zawodu w swych zapałach u wszystkich Marmontela, Saint-Pierra i Lamartina czytelniczek, szukają ochłody swych zapałów podobnie jak J. J. Russo u pastuszek, praczek i t. p. Kwitują się.

Jeszcze jeden kontrast między Strzemieńcem i Panem ***., że pióro Pana ***. jest bardzo gorące, żartkie, deklamacyjne jak dwódziesto-latka,— i jeszcze kontrast, że Pan ***. autor Marji, zapowiada, że będzie mógł napisać powieść dobrą. Ba— nawet sama Marja, i ze swéj koncepcji i charakterystyki działających w niéj osób, dosyć podobnych do rzeczywistych ludzi z ciała i ducha, i z rozwinięcia szczególniéj pod koniec, po przenocowaniu w domu półkownika obu, Henryka i zimno-cielesnego Juljana, jest bardzo niezła. Bo pokazuje, że autor choć jeszcze nie zna świata dosyć, ale go odgaduje lub się z książek nauczył go dość szczęśliwie i trafnie. Z niego będzie powieściarz. Jego półkownik stary, prawdziwy, Marja dytto, Juljan również, i sam Henryk podobny do prawdziwego berlińczuka polskiego. A jednakże Marja

jest jeszcze młodą powieścią, bo więcéj w niéj żartkości pióra i deklamacji autora jak działania samych osób. Szkoda że autor Marji nie nazwał się, bo trzy gwiazdki nic nie znaczą, a chciałbym przeczytać jego następną powieść, bo ta zapewna będzie jeszcze lepszą.

—Tu pozwoliłem odezwać się sobie, przerywając mówiącego ze zwykłemi ruchami ukontentowania lub nieukontentowania Pana Tomasza, gdyśmy podchodzili pod ławki zrobione pod trzema pięknemi i bujnemi dębami. Prawdziwie, że to nieprzyjemnie,— powiedziałem, gdy czytasz co dobrego, a niewiesz kto to napisał. Podobnie, jak często lubię tu siedzieć w cieniu i patrzéć na pszczoły, a nie wiém kto posadził te dęby?

—Posadził ich najlepszy i najdoskonalszy autor natury, odezwał się Pan Tomasz, a mój nieboszczyk ojciec,— nie wiém czy w celu poetyckim, czy po prostu praktyczno-prozaicznym, że dęby zawsze się przydadzą choć na osie *np.* lub na klepki i żołędzie,— kazał ich niewyrąbywać kiedy trzebiono las, i zostały z tym laskiem pod domem. Ja'm z tego bardzo kontent i każdy memu ojcu za to podziękuje. Widać, że on robił nie jeno siebie pamiętając, ale myślał i o swych następcach ktobykolwiek to byli, krewni lub obcy. Teraz nam tu dobrze być i siedzieć, i jeśli nie o czém lepszém, to choć o pseudonymach pogadać.

Powiadasz Panie Adolfie, że nieprzyjemnie, gdy czytasz, a nie wiesz o autorze. To prawda. Bośmy nieoduczyli się, a pono i nigdy się nieoduczym sądzić razem dzieło z autorem lub z autora o dziele, a nie samo jeno pismo. I kiedy, pomnę, wyczytałem był w Tygod. Peterzburskim Kraszewskiego odezwę, którą potém, gdy się nie mylę, w studjach literackich powtórzył— «precz z anonymami!"— podzielałem całkiem jego zdanie, swą wówczas młodą głową. A dzisiaj trocha inaczéj patrzę na to.

Na anonymy i pseudonymy jest dosyć przyczyn i mniéj więcéj ważnych. Prawda, że teraz w naszéj literaturze jak w Angielskiéj pod koniec zeszłego wieku, kiedy pisał znamienity humorysta Daniel de-Foe, autor *Robinsona Krusoë* i *notabene*— zmarły po żebracku,— pseudonymów najwięcéj. U nas dzisia należy pytać się, kto z piszących pisze pod swém własném nazwiskiem? to prędzéj zliczysz i odpowiesz, niżli kto pod anonymem lub pseudonymem? Nawet może ani jednego nieznajdziesz pisarza z lepszych, ktoby choć raz nie użył pseudonymu. Może jeden Korzeniowski, Maciejowski i D. Szulc, ale i za tych nie ręczę. U innych jest kilka pseudonymów jako u piszących w kilku rodzajach. Przecławski *np.* ma ich cztery czy pięć. Redaktorowie czasem, sami na-

dają swym kollaboratorom nowe nazwy, dla pokazania, że mają wielu dobrych pisarzy, choć w rzeczy samej mają trzech, czterech tylko. Ale te fortele pseudonymowania się i najeżania się wielością pisarzy— pustackie. Chyba sam autor dla jakichś przyczyn, sam nazywa się inaczej. A przyczynami pseudonymów są często i ważne, a przynajmniej konieczne, a niejedne tchórzostwo dzieciukowate od zębatej krytyki, mianowicie, gdy sam autor ją drażni.

Stan *np.* niektórych pisarzy zmusza nazwać się inaczej. Bo księdzu, doktorowi praktykującemu, nie zawsze wygodnie i korzystnie w oczach swych duchownych synów lub pacjentów mówić kazania, leczyć i pisać, szczególnie poezje i romanse i w ogóle pisać o rzeczach nie swego powołania. Bo to u wielu ludzi nie może pomieścić się w głowie, żeby można być prawdziwym kapłanem i doktorem praktykiem i przy tem, gdy czas jest, (a czas znajdzie się zawsze, gdy jest tylko chęć i talent prawdziwy) bez przeszkody dla swego powołania, pisać poezje, romanse, rysować, grać na jakim instrumencie i t. p.— Prawda, że to nie łatwo, bo dwóm panom trudno dobrze służyć; ale kiedy zdarzają się przykłady, więc może być, że będziesz i dobrym kapłanem i niezłym powieściarzem— bo nie mówię już o zajęciach się poważniejszą literaturą, jak historja, filozofja i krytyka.

Osoby panujące lub z familji panujących, acz często piszą i drukują swe pisma, lecz także nigdy prawie pod swym nazwiskiem, a pod pseudonymem.

Kobiéta. Dla kobiéty publiczne popisywanie się jakkolwiek ponętne dla oklasków i hołdów chwilowych, prawdziwych czy kłamanych, ale według mnie, zawsze nieprzyzwoite. Kobiéta— to skromność, skromność na złe i dobre. Gdzie tego niema, a jest chęć aktorstwa, tam mało kobiécości prawdziwej t. j. cnoty. Aktorka nie kobiéta,— a aktorka. Choć to zakrawa na despotyzm dla kobiét, ale ja dotąd z autorem Pawła i Wirginji— utrzymującym, że wady kobiét więcej pochodzą od mężczyzn jak z ich własnej natury i woli,— całkiem zgodzić się, jak inni to robią, nie mogę. Dla tego życzyłbym każdej kobiécie biorącej się za pióro w celu drukowania się, pisać pod pseudonymem. A nawet, gdy jak wielu dziś utrzymują i może sprawiedliwie, że, iżby dzisia pisać, trzeba bardzo porachować się z sumieniem swym, bo pisma niesumienne i bez rozmysłu, wiele klęsk dzisiaj sprowadzają, to szczególniej zastosowałbym to do kobiét. Im pisać i drukować jak najmniej. Ale o tem długo, a zawsze sprzecznie i spornie mówić trzeba. Bo kobiety prócz swej szczebiotliwości,

mają we wszystkiém dosyć swych mniéj więcéj zręcznych i pochlebnych adwokatów, jak emancypantki *np.* dobrego adwokata w Korzeniowskim autorze: *Młodéj wdowy.*

Jeszcze są inne stany i położenia piszących, zmuszające ich nie podpisywać się. Naprzykład: zła sława za uprzednie nieszczęśliwe pisemko, za jakiś inny uczynek i t. p. Więc lepiéj napisawszy cóś i dobrego, nazwać się inaczéj, a prędzéj znajdziesz czytelników. Są jeszcze inne przyczyny. Ale główna zwykle anonymów i pseudonymów przyczyna jest, dzieciukowata bojaźń krytyki, lub złośliwość paskwiliczna z zamiarem podstrzelić drugiego po korsykańsku— z zawęgła. Dla tych dwóch przyczyn, pseudonymów być niepowinno. Przyczyna zaś najgłupsza— jest małpiarstwo mody. Kiedy ten i ów pan tak nazwali się, dla czegoż ja niemam nazwać się *Wierzgajłą* lub *Ibisem?* bo, rozumie się, osłem lub sroką niebezpiecznie się nazwać. Do biedy niedaleko. Mogą nieprzyjaciele i w rzeczy saméj zgodzić się z całego serca, na takie samowolne przezwiska.

Pseudonymy przeto są konieczne. Ale dla czego dzisiaj u nas ich tak wiele? tego, przyznam się, dotąd nie wiém.

Dobrze byłoby, gdyby takich pseudonymów jak *Syrokomla* było wielu u nas. Jego poetyczna gawęda w tymże Ateneum z tradycji Poleskiéj «*Chodyka*" jest prawdziwie dobrą. Ja śmiało nazwałem tę gawędę,— poetyczną, bo Wład. Syrokomla jest poetą z niewielkiéj liczby tych panów u nas jak i wszędzie. Różnica wielka *Chodyki* Syrokomli od *Martyna* Al. Grozy. Syrokomla nie tylko dobry tłumacz Sarbiewskiego i innych naszych łaciników, ale jest sam poetą. Co to za poetyczny prawdziwie obrazek, ten jego przymuszony zabójca i potém pasiecznik poleski i skruszony pokutnik Chodyka! Ja radzę każdemu czytać powiastki młodego autora *Marji*, i utwory Wład. Syrokomli. A jak na toż, jego tłómaczenia łacińskich naszych poetów, zapewne nie mają wielu czytelników, a sprawiedliwiéj przenumeratorów. Szkoda, jeśli tak. Kraszewski ma dobrego kolaboratora w Syrokomli. Ale jakżeż on jest ubogi w tych dobrych kolaboratorów! I niedziw, że musi zapełniać swoje chude książeczki Ateneum szacownemi listami do króla Jana 3-go i t. p., tak szacownemi, że ich, największość czytelników biednego Ateneum, przez szacunek i pokorną bojaźń zbliżenia się do tych szacownych zabytków przeszłości, zapewne nie czyta. Biedne i te zabytki, gdzie się im podziać u nas! Chyba w *Obrazie Polaków i Polski* Raczyńskiego lub w *Pamiętnikach* M. Gr. i Przezdzieckiego, bo tam mogą być i nieczytane, gdyż chodzi o to tylko, aby wydrukowane były

dla dziesiątka jakich najnudniejszych antykwarjuszów, co lubią i *myślą* dla nas pisać *historje.* Daj Boże im zdrowie za to, i jak najlepszy wzrok i umiejętność pisać historję tak, jak Kraszewski opisał *Zjazd w Łucku!*— Gdyby tak była cała *Historja Witolda* napisana! Ale, gdybym teraz mówił do wielu— powiedziałbym: kupcie moi panowie nowe Ateneum, którego druk Kraszewski zapowiedział u Zawadzkiego, a tam przekonacie się, że ta historja dobrze napisana. Tak ja wnoszę— a gdy się pomylę, to nie ja, a P. Kraszewski niech wam za to odpowie.

Jak powinien odpowiedzieć za zgodzenie się z szacownym autorem artykułu w zeszycie piątym «*Dziennik myśli*" z autorem, który do przyczyn tamujących postęp ludzkości, zalicza na karcie 82.: «prawo ruchu wirowego widoczne w całej naturze, według którego wszystko po pewnym przeciągu czasu wraca do dawnego stanowiska." Ze zdaniami autora tego artykułu zgodzić się można, ale z ostatniem nie. I ono pakazuje, iż Pan S. F. i sam Kraszewski, gdy się zgodził na to, obaj chcą należyć do chorych na kołowaciznę stacjonarjuszów, i nie mogą dopatrzyć się tego, że acz *dzisiaj* podobne do *wczora*, a rok *teraźniejszy* do *przeszłego*, jednak *dziś* i rok *teraźniejszy* nie są wczora i rokiem przeszłym. Bo nasza ziemia kręcąc się jak wiewiórka w młynku, bieży postępowo ze swym młynkiem i z nami coraz dalej, i nasze słońce z nami coraz dalej. Niewidocznie ale niezaprzeczenie, że idziemy coraz dalej i niewracamy punktualnie na to miejsce skąd wyszliśmy lub gdzie byliśmy. Ruch, prawda, postępowy powolny ale niezaprzeczony,— bo widać, że Opatrzność niema po co bardzo się śpieszyć z naszym postępem, bo nas— nie dla nas, krótko żyjących, ale więcej dla siebie, stworzyła. A gdy materjalnie, fizycznie postępujem coraz dalej na gościńcu astronomicznym, musim niechybnie postępować i zmieniać się duchowie— bo to zawsze jedno od drugiego zależy, jakby panowie spirytualiści niechcieli tam siebie i drugich przekonać, że duch ludzki jest całkiem istotą niezależną, osobną i niezawisłą od materji i ciała. Psychologja i fizyologja różnią się widocznie od siebie tylko na punktach oddalonych, a w zetknięciu się, są prawie jedno i to samo, jak w zetknięcia się punkcie królestwo minerałów z botaniczném, a to z owu z zoologiczném,— a to z człowiekiem. Rozróżniając tylko duszę od ducha, a nawet nierozróżniając— należy tu dodać: że dusza ludzka jest całkiem niezależna w swem istnieniu pochodzącem wprost z natchnienia Boskiego, (i tchnął weń duszę nięśmiertelną), ale zależna w swych objawieniach się i działaniach rozumnych t. j. zdrowych, zależna od istot

czy rzeczy t. j. organów, któremi się objawia. Dusza jest wodzem. A że z próżnego i Salomon nie naleje, i Napoleon bez jenerałów i wojska nigdy zrobić tego co robił, nie mógłby,— dla tego i dusza ludzka nie nazywa się chorą, gdy człowiek warjuje, ale trzeba powiedzieć zawsze, że w duszy rozumnéj narzędzia, jak u wodza wojska, są w niełądzie i chorują lub brak ich całkowity. Wojskiem tém u duszy rozumnéj są organa i części mozgu. Mózg więc czyli wojsko,— siły wodza zachorowały czy zepsuły się, i wódz ten— dusza ludzka jak bez rąk zostawszy się, nic zrobić nie w stanie, choć zawsze sama zdrowa, bo niechoruje, bo i nie umiéra— bo inaczéj byłaby śmiertelną.

Przyszło mi o tém ci Panie Adolfie powiedzieć, że zwykle warjację i t. p. nazywają chorobami duszy, i bez żadnéj zasady logicznéj. Takich nié ma chorób, a są choroby ciała. Choroby zaś nazywane *duszy*, powinny sprawiedliwiéj nazywać się tylko niedostatkami, nieprzyjemnościami duszy z braku sił— organów, którémi ona działa.

—A! przecież i poczta. Co tam słychać dobrego w mieście mój Stanisławie? spytał P. Tomasz posłańca. Nic nie słychać? Tym lepiéj. Zobaczym co piszą gazety. Ale otoż i list, zdaje się od Pana Bartłomieja. Przeczytajmy go piérwiéj,— a ty Panie Adolfie masz gazety. Oh! jakiż długi list! Musi opisywać miejskie towarzystwo, lub co innego. A— i Pani Bartłomiejowéj przypisek— i masz dla siebie ukłon. Lecz to jest krytyka! otoż, pojechał załatwiać interessa, a czyta książki i pisze krytyki. Dziękuję!

«Niezabierając nowych znajomości,— w głos przeczytał P. Tomasz,— a starych mając nie wiele, w mieście możnaby się znudzić. Teressa obejrzała wszystkie sklepy i nie mało pieniędzy mi wyłudziła. Teraz ze szwaczkami i krawcami targuje się. Nie wiém jeszcze kiedy powrócim do domu i zobaczym ciebie, szacowny sąsiedzie. Dla tego chcę ci donieść o mojém przez kilka dni czytaniu książek, które wziąłem na czas u prezesa N. Dobrzy ci ludzie, prosili ci kłaniać się i t. d.

Wypis z listu P. Bartłomieja do P. Tomasza:

1.) *Emiljana Rzewuskiego Studja filozoficzno-literackie.* Tego pisarza szacownego wcale nie można mieszać z Hr. Rzewuskim. Już ze wstępu «*Rzut oka na literaturę Europejską współczesną*” widać, że Hr. Rzewuski jest Emiljana Rzewuskiego tylko cząstką. «Jedni, wywiesiwszy sztandar powagi i podania (i wiary), wielbią ubiegłą przeszłość, przyznając jéj oczéwistą nad obecnością wyższość.” To jest Hr. Rzewuski.

Rzut oka Emil. Rzewuskiego na literaturę, jest bezstronny i sprawiedliwy, wiele ogarniający. Atoli się mi niewierzy, iżby ten rzut mógł wyjść prosto jeno z eklektycznego poglądu, co do samej nawet krytyki, do czego autor zdaje się przyznawać pochwalając eklektyzm w krytyce, jako jedyne stanowisko. Przypuścić więc koniecznie potrzeba, że każdy eklektyk ma odwieczne i najlepsze i najwyższe od wszystkich pojęć, pojęcie piękności i prawdy. Pojęcie ogólne, bezwzględne ale niewyjaśnione, niewyrozumowane i instynktowe— przez to zawsze osobiste tylko i niepewne. Jest przeto ono bezcelne, prócz egotycznéj przyjemności podług swego instynktowego widzimi się— więc bierze i bezpożyteczne w społecznėm życiu. A i krytyk powinien być wszechstronnym, wszechwiédczym sędzią, i kochającym ludzkość i mającym z nią wspólne interesa i życie. Krytyk powinien śledzić i znać przyczyny dla czego co się jemu podoba,— a nie czuć tylko— jak ogół czuje piękność i prawdę.

Postawienie przez Emil. Rzewuskiego Lermontowa na równi z Hr. Rzewuskim jest wcale niesprawiedliwe. Lermontow był człowiekiem dzisiejszym, Hr. Rzewuski prócz siebie, nic nie widzi dzisiaj wartego uwagi i ceny. Rzewuski Hr. pod względem niewiary w postęp umysłowy i moralny człowieka, podobniejszy jest do księcia Odojewskiego (*Ruskie noce*),— a jeden i drugi z tego względu, są uczniami Montaigne'a.

Emil. Rzewuski nic nie powiedział o literaturze i literatach dzisiejszych angielskich, a ci jak i starzy są nie bardzo podobni do francuzkich,— a tylko o tych najwięcéj autor powiedział i sprawiedliwie powiedział.

«*Historja ze stanowiska filozoficznego.*" Tu Emil. Rzewuski pokazuje się eklektykiem— ale rozsądnym, uczciwym i współczesnym. Oparty na zasadzie postępu moralnego ludzkości, który zawisł na urzeczywistnieniu harmonji ludzkich społeczeństw na wzór harmonji odwiecznéj natury, uczony autor nic nowego nie mówiąc (bo nie na tém rzecz), patrzy na świat i ludzkość z ich życiem całém tak, że łacno z nim się zgodzisz i radujesz razem, że u nas podobne rosprawy piszą się. Wiek jednakże syntezy historyczno-społecznéj, zaczynający się podług autora od reformacji i pokoju Westfalskiego, jest dla mnie epoką wątpliwą jeszcze. A co autor na karcie 37 i 38, o światach starym (Europa, Azja i Afryka), jako tezie historji natury i jeografji, świecie nowym Ameryce jako antytezie, i Polinezji jako syntezie— powiedział, to zaliczyć zaiste należy do utopicznych marzeń nauki. Bo jeszcze wątpliwa, czy Ameryka dla Europy z Aziją i Afryką jest świa-

tem nowym, czy ostatnie dla Ameryki były światem nowym? To pole domysłów i fantastycznych scjencji.

«Stanowisko Szekspira w historji umysłu ludzkiego." O Szekspirze już tyle napisali, że dziś piszącemu nie trudno o nim pisać. Nie powie pisarz i nie przyda nowych dlań pochwał, ale zawsze cóś napisze jak zwykle o jenjalnym człowieku. Emil. Rzewuskiego sprawiedliwe myśl i cel były, pokazać, że Szekspir nie spadł na Angliją nieprzygotowaną jak meteor, a był on człowiekiem-pisarzem wcale swego czasu; że niebyłto bynajmniéj olbrzym śród pigmejczyków. Anglja miała ogólną oświatę i pisarzów znakomitych, w śród których mógł urodzić się i wykształcić jenjalny człowiek. Nasz Jan Kochanowski ze swym językiem tak poetycznym, tak polskim i wykształconym, nie mógł także urodzić się z tém wszystkiém, czyli sam jeden stworzyć dzisiejszy nasz język. Ale nasza historja literatury, a raczéj oświaty, cudowności tego objawu dotąd nieobjaśniła dobrze.

Wielcy ludzie. Tu autor dowodząc, że Opatrzność w koniecznych potrzebach społeczeństw i ludzkości, posyła dla nich ludzi, którzy skoncentrowaną w sobie zdolnością i duchem téj społeczności, naprawują błędy i ratują tę społeczność ludzką. Lecz zaliczywszy w takich liczbę tylko Alexandra macedońskiego, Cezara, Karola W. i Napoleona, samych wojowników, niewyczerpał całego przedmiotu o wielkich ludziach. Bo niechce się przypuścić, iżby uczony autor ludziom znakomitym dla dobra ludzkości, a niewojownikom, odmawiał miana wielkich. Co powiedział o czterech mężach— prawdę powiedział.

Zdanie Emil. Rzewuskiego w *Lord Byron w obec wieku*, że «Walter Skot nigdy nie widział opowiadanych przez siebie wypadków, nigdy ich nie czuł— jest to poeta fałszywy i kłamca",— zdanie to, jest bardzo i nadto oryginalne, jak i uprzednie pojęcie Walterskota. Nazywam je oryginalném t. j. dziwaczném, bo autor przyczyny takiego poglądu swego dość nie wyjaśnił. Co to jest, że Walterskot nie widział opowiadanych przez siebie wypadków?. Wieluż to poetów i pisarzy widzi wypadki, o których mówią?. I dla czego Walterskot jest poeta fałszywy i kłamca?— Może, iż arystokrata? iż z angielszczały szkot?.- nie pojmuję.

Biografja w stosunku do historji i literatury. Artykuł dobry ale za długi i trąci niemiecką gadaniną o niczém. Kalderonowi nie oddaje wszystkich pochwał oddawanych przez Szleglów, niżéj go stawi od Lopez de Vegi, i jedynie chwali jego komedje z życia potocznego, a nie bohatyrskie.

Punkt oparcia się w badaniach filozoficznych. Tu szanow-

ny autor pokazuje się już czystym eklektykiem i uczniem Kuzena. Nie wierząc w siłę twórczą swej indiwidualności, wierzy w wielkość ducha ludzkiego— i cichy, wyrozumiały wszędzie stara się odszukać dobrą stronę i prawdę dla siebie, i mogącą się rozumnie zastosować do życia w ogóle. Podzieliwszy atoli filozofję i filozofów— na opierających się jeno na rozumie (matematyków), obserwacji i doświadczeniu (fizyko-naturalistów), i na podaniu i wierze (historyków i mistyków)— daleko niedopisał do końca. Bo przecież po materjalistach i spirytualistach, polski najnowszy prawdziwy realizm, powinien był zaprzątnąć uwagę uczonego eklektyka.

Dwa artykuły, jeden o *Kamoensie*, drugi o *znaczeniu symboliczno-tajemnéj mądrości Egiptu w historji cywilizacji*, kończą tomik uczonych studiów Emiljana Rzewuskiego. Za studja te, nie w jednym czasie ale w różnych latach napisane, trzeba być wdzięcznym uczonemu ziomkowi,— bo w nich nieuczony wiele znajdzie nauki dla siebie sumiennéj, a uczeńszy zawsze przyjemne znajdzie czytanie.

2.) *Rękopis znaleziony w Saragosie*, romans wydany pośmiertnie z dzieł H. J. Potockiego. Paweł Feval dowiódł, że nietylko Al. Diuma umié pisać romanse jak Monte-Kristo,— u nas autor jakiś pod imieniem J. Potockiego zamyślił pokazać, że można napisać i *Tysiąc nocy*. Bo prawdziwie ten romans z 66. dni złożony, a nie z nocy, jest zbiorem bajek hiszpańsko-arabskiéj wyobraźni. Są tam: Kabalistyka, Cyganie, Wieczny żyd, Inkwizycja, rozbojnicy, kontrabandziści, pełno upiorów i złych duchów, wiele heroin zmysłowości. I dla tego te bajeczki, mogą znaleść czytelniczek w jesienne wieczory. Bo wątpię, iżby czytelników mógł ten romans znaleść. Przeczytawszy tom pierwszy, zaraz patrzysz czy daleko koniec, i bierzesz za 6-ty tom i kończysz zakończeniem. Styl dzisiejszy zdradza autora dzisiejszego, a nie H. J. Potockiego. I znajdująż się dzisiaj pisarze, mogący tyle papieru zapisać banialukami swemi i przepisując cudze!

3.) *Układ świata zastosowany do potrzeb powszechnych* przez *Wojciecha Jastrzębowskiego*. Każde i czyjekolwiek zdanie o drugim, lub o książce jakiego autora, znajdzie dla siebie czyjekolwiek współczucie i zajmie uwagę, zyskując mniéj większą wiarę. Pamiętając o tém mój dobry sąsiedzie, i chcąc wydać sąd o rzeczoném dziele Jastrzębowskiego, pracowitém, uczoném i sumienném i dobrze intenciowaném, ale pokazującém przez swoją rozwlekłość, gabinetowo-uczoną gadatliwość, prawdziwie pochodzącą z zamiłowania dlań macierzyńskiego jego autora, muszę

powiedzieć, że ta *anankonomia* i ten układ świata do potrzeb powszechnych zastosowany, jest tylko oznaką autorskiéj wielewiadomości i chętką systematowania i nazywania po swojemu, a często bez potrzeby, jak *np. używadła na żywce, bodźce, ziemce i kruszce* i t. p. Czy może być pożytecznem moralnie i udoskonalająco, dla czytelników w ogóle?. Wątpliwa. Bo to jest wyraźnie płód gabinetowych rozmyślań scientyficznych nad światem,— a ludzie mający księgo-zbiory i chętkę do wiedzy, powinni wiedzieć o tém dziele i mieć je u siebie,— gdyż to płód oryginalny. To będzie według mię, najsprawiedliwszy o niém sąd.

4.) Po tych przejrzałem powtórnie «*Karykatury i Ideały*" Nowosielskiego. Szacowny autor odmalował w nich obraz idealisty Rafaela wybornie. Karykatury naszkicował tylko, ale dobrze. Lecz cel jego był— pogodzić idealistę Rafaela z rzeczewistością naturalną, z realizmem. I tego nie dopiął. Bardzo naturalnie, bo to nie w jeden rok w wieku Rafaela się staje. A powtóre, że sam mentor Rafaela kochany Nowosielski, mało co więcéj zna realizm czysty, prawdziwy, od swego przyjaciela idealisty, kiedy karykatury i karykaturyzm prawdziwego człowieka (Fajeczka, Półkownikowa zalotnica i szulerka z córkami dytto, książe Ahasverus) nazywa ludźmi naturalnymi, rzeczywistémi— i ich życie— realizmem. Jego idealista Rafał (ksiądz Pakomiusz tylko prawdziwy) i karykatury, są istoty chorowite i dzieci schorzałości wieku. Te dwie ostateczności niegodzące się z sobą, ale z nich przez kombinację żywotną, a nie jeno chemiczną, może stać się człowiek podobny bardzo do prawdziwego człowieka, co to ani czysty duch-anioł, ani źwierzę i djabeł. I kiedy powiada Nowosielski w XI. Rozd., że Rafael poznał świat w jednéj chwili i odtąd mało się na nim mógł dla siebie spodziewać,— to powiedział nic do rzeczy. Bo właśnie Rafał poznawszy cząstkę świata z czarnéj jeno strony, jeszcze świata nie poznał, a począł tylko poznawać. Musiał to czuć sam młody szanowny nasz pisarz, kiedy kończąc powiedział: «późniéj, z laty przyjdzie może talent, wiek doda siły w kreśleniu charakterów, nie będzie to już tak młode, słodkie i ckliwe i t. d." Taka otwartość i skromność, są piękną przepowiednią dla ojczystéj literatury z talentu postrzegania świata i niemałéj nauki młodego autora. Jabym życzył Panu Nowosielskiemu nieśpieszyć z historją dalszą i historją już całkowitéj realności Rafała. Ta, jeszcze nie rychła. To byłby i będzie zapewne trzeci epizod z jego życia,— a drugi, powinien się nazwać: *realizowanie się człowieka*, jak pierwszy: *ideały i karykatury*, sprawiedliwie został nazwany.

Z *Tygodnika peterzburskiego*, który prezes utrzymuje, dowiedziałem się nowości bardzo ważnéj według redaktora, którą tobie szanowny sąsiedzie komunikuję: że Kraszewski znowu powrócił do Tygodnika i — jako krytyk, — a to z przyczyny bardzo szlachetnéj, ożywić ruch umysłowy w piszących, bo krytyka i nowości literackie najwięcej to robią — i podtrzymać tygodnik, którego fundamenta podkopała i zachwiała jakaś partja przeciwna, zapewna *Kijowskiéj Gwiazdy*. Nasze gubernskie miasto tak ciemne i niesympatyzujące z tygodnikiem (bo inaczéj onby go nie nazwał), że wcale nie uznaje tego faktu za nadzwyczajny. Literaci nie zgodzili się byli w swych zdaniach, i rozeszli się. Potém przypomnieli, że kłócić się niéma za co, a pisać i drukować trzeba — to — i pogodzili się. I lepiéj. Bo choć tam zgody szczeréj być niemoże, gdyż każdy idzie w swoją stronę, — ale cel i postępek Kraszewskiego bardzo dobry, podtrzymać przez to i sam tygodnik upadający; — bo zachwalony przez redaktora jegoż Sobowtór Mikros, pomimo wiecznych obiecanek zawsze niespełnianych, co miał nam najnowszych myśli jak najwięcéj narzucać — Tygodnika temi obiecankami nie utrzyma.

Ja zgoła nie zgadzam się z obrażonymi przez Kraszewskiego, bo on gdzieś w liście 1-szym czy którymś, miał odezwać się pogardliwie o troskliwości Litwinów o jego zdrowie. Jeśli tam i prawda, to jemu tetryczność ta łatwo darowana. On na pobłażanie u nas zasłużył. Jak również z méj strony nie dziwię się zgoła powrotowi Kraszewskiego do Tygodnika. Bo kto powiedział to, co on powiedział o krytyce, krytykach i sumieniu literackiém w swych studjach literackich nowszych i starszych, ten powinien tak postąpić. Daj Boże! by dla nas z tego powrotu do Tygodnika, skutki dobre nastąpiły!

Jednak mojém zdaniem mylnie sądzą ci, co powątpiewają i lękają się za życie tygodnika. On w naszém piśmiennictwie potrzebny z jego dotychczasowym duchem zbyt katolickim. Są różne stopniowania każdéj rzeczy i idei. I ten duch jego z dodatkiem najwidoczniejszym materjalnéj i praktycznéj zbyt strony (sama drożyzna) zmodyfikuje się na lepsze, jeśli nie pod obecną, to pod drugą redakcją, — a zawsze w literaturze naszéj on jest gazetą konieczną, i jestem pewny, że nieupadnie, przynajmniéj nie zabije go żadna partja literacka mu przeciwna. Pytanie tylko ważne dla publiczności czytającéj i konieczne dla rostrzygnienia, która partja powinna górować i przewodzić?.. Według mię, duch Gwiazdy Kijowskiéj jest lepszy, bo jest i katolicki, nie mówię już, że chrześcijański, i nie poniża zupełnie sił przyrodzonych ro-

zumu ludzkiego, a owszem je wyświeca i na sprawiedliwym stopniu stawi. Tygodnikowi to się nie podoba. Łatwo wytłómaczyć dla czego. Jego wszyscy niemal pisarze, a mianowicie sam redaktor, ludzie światli i zdolni ale nie młodzi. Oni przyszli w swém życiu do pewnych i stałych zasad duchowych, wyrobili je nauką teorji i życia, lecz zapominają zwyczajem ludzi zawsze samolubnych i dumnych, że wyrobili tylko dla siebie samych. To cała przyczyna ich biédy i niezgody z młódszymi literatami. Bo starym zdaje się, do czego oni doszli i na czém stanęli, że to cały kres postępu nie jeno ich jednych, ale wszystkich ludzi,— a kto daléj lub przynajmniéj odmienniéj chce iść i żyć duchowie, ten nieprzyjaciel ich, a tém samém prawdy i nawet saméj moralności i religji. I z dumną ironją poglądają na odmiennie od siebie myślących, jak głazy pustyni na Farysa, i gotowi odezwać się i odzywają nawet: «o! szalony! gdzie on goni!" To cała, mówię, ich omyłka i przyczyna pogardy młódszą bracią, jak tych znowu zbyt za ostre, za dziarskie zdania i odezwy o starych torrystach. A w istocie, jak jedni tak drudzy chcą prawdy i dobra dla ludzi i literatury, i zapominając lub niewiedząc o rzeczywistéj przyczynie swéj niezgody, napróżno wadzą się, i— dość przykro wadzą się.

Czyja tu lepsza sprawa?. To pytanie rozstrzyga się i rozstrzygnie zdaniem czytelników i ich sympatją. I o tém PP. redaktorowie z liczby prenumeratorów sądzić najlepiéj mogą. Słyszałem ja zarzuty dla Kijowskiéj Gwiazdy acz dziecinne, zdaje się— ale sprawiedliwe i praktyczne. Że Gwiazda jest za ciężka dla ogółu, a mianowicie pedantyczna, choć tylko powierzchownie, ale czytelników zraża. Bo jéj łacińskie napisy i epigrafy dla wielu są powodem położyć książkę, lub artykuł zostawić bez czytania, a artykuł najlepszy. O tém redaktor powinien pomyślić i poprawić się, nielekceważąc takimi sądami, jeśli i do jego wiedzy one doszły, bo to krytyka prawdziwie popularna, praktyczna i nie do pogardzenia.

Ja gdybym był krytykiem z powołania lub z jakiéj drugiéj przyczyny, zawsze wsłuchiwałbym się w głos parafialnéj i w ogóle krytykującéj publiczności. Wnikałbym w przyczyny tego powszechnego głosu, porównywałbym go z mém własném przekonaniem, i wówczasbym pisał krytykę na kogo lub na cóś. Bo podzielam twoje zdanie całkiem, szacowny sąsiedzie, że ten głos powszechny nie jest tyle karykaturyczny jak chcą go pokazać bardzo uczeni i zarozumiali teoretycy-estetycy, a przeciwnie sąd dość zdrowy praktyczny, dla siebie dobry i trwalszy od pojedynczych

jeno teoretycznych głosów. Krytyka powinna czytelnika oświecać, uczyć i prostować błędy autorów i wszystkich w ogóle. Dla tego powinna być i czytana. Ona i czyta się, ale nie tyle ile potrzeba, bo zwykle zbyt po profesorsku lub sowizdrzalsku się pisze. I dla tego albo nudna, albo pusta i niemająca zaufania, a zawsze nieponętna dla ogółu. Forma zawsze wiele znaczy. I krytyka najlepszą byłaby i najpewniéj upowszechniała dobre zdania, gdyby te zdrowe, wyrozumowane postrzeżenia i zdania estetyczne, czy uczono-praktyczne, wykładały się popularnie, powieściowym sposobem, a przynajmniéj potocznym językiem, jak u dobrych felietonistów. Niechaj kto pocznie mówić o kim, i mówi sam ciągle i bardzo obszernie, niechybnie wszystkich słuchaczów znudzi. Niechże o tym samym człowieku poczną mówić wielu i sprzeczać się— wszyscy i wszystkie poczną słuchać chciwie, i sami poczną robić swe uwagi i zdania złe i dobre. I w ostatku, ogadają dokoła człowieka *za* i *przeciw* mówiąc o nim, i będzie tam zawsze wiele prawdy. Forma listowa jest lepszą od rozprawy, a powieściowo-dramatyczna jeszcze lepszą od listowéj. Kraszewski i zawsze jeden Kraszewski to może, z przybliżeniem, u nas robić dobrze. Przynajmniéj ja nieznam nie tylko nikogo lepszego ale i równego. Bleporiski w *Bigosie* swym odezwał się był raz, ale on zbyt rzadko się odzywa,— a Wilkoński zapowiedzianéj *djabléj gawędy* w 5-tym tomie Ramot, dotąd nam każe czekać. A wyznam— żem jéj ciekawy— choć może tam być więcéj satyry jak czystéj krytyki.

W Tygodniku zapowiedziane listy Hr. Rzewuskiego polityczno-socjalne, na drugim urwały się,— a zaczęły się jegoż opowiadania (*Nie-bajki*) od osoby Cześnika Parnawskiego i innych,— w których Rzewuski swoim zwyczajem wychwala cnoty dawnych polskich królików t. j. arystokracji, dla których, z ich pokłonniczą szlachtą, cała Polska zawierała się w ich osobie i majętnościach. To cała prawie ich cnota! z któréj pochodziły i poszły wszystkie niecnoty i nieszczęścia. Hr. Rzewuski dotąd nie może jéj się nachwalić.

Kraszewski w swych listach krytycznych mówi wiele prawdy, ale w niektórych miejscach z nim zgodzić się nie można. Kilku pisarzy gani, a na miejsce starych przygan kobiétom, począł zbyt je chwalić. Już zawsze tak u ludzi— z jednéj ostateczności w drugą.

Romuald Podbereski zapowiedział nowe składkowe pismo, na rok sześć sposzytów, czyli dwa tomy mające złożyć pod nazwą: *Pamiętnik naukowo-literacki*. Wartoby nam go utrzymywać.

Może też R. Podbereski będzie u nas szczęśliwszy od innych redaktor— i daj Boże! Cena *sześć rubli* z przesyłką. Dla nieprenumerujących zagrożono jak zwykle, że później będą płacić po rubli siedm. Kiedyż to u nas pocznie wychodzić żurnał dobry, o którymby nie przez pobłażanie można było powiedzieć— że dobry! Nowe zbiorowe pismo! Dla naszych wielu redaktorów to postrach— i przybysz nie ciekawy. Bo my dotąd nie możem się przekonać, że im więcéj pism i książek dobrych, têm więcéj zrodzi się czytelników i kupujących. Tylko jeden tu mały warunek potrzebny, żeby książki i pisma były dla większości czytelników dobre. Szczęść-że Boże P. Podbereskiemu! *).

Tyle wypisałem z listu P. Bartłomieja udzielonego mi przez P. Tomasza do przeczytania.

Ale mój P. Sędzia czytając ostatnie w nim myśli P. Bartłomieja o formie i stylu, odezwał się:— «P. Bartłomiéj prawdę mówi, że forma dramatyczno-powieściowa jest najlepszym sposobem upowszechniania myśli, uczuć i idéj, bo najwięcéj w niéj życia i prawdy. Dla tegoż francuzi dzisiejsi mianowicie— tak są poczytni, ich powieść zawsze pełna dramatyzmu działania i życia. Oni są prawdziwi belletryści czyli upowszechniacze zdań, myśli, uczuć i idéj złych czy dobrych, fałszywych czy wiecznie prawdziwych o wszystkiém— literaturze, sztukach, polityce, naukach i t. d. Wielu z nich żadnego dzieła nie napisali, coby zasłużyło na zachowanie u potomności i zrobiło epokę w sztukach czy naukach,— ale w ogóle swemi pismami różnéj myśli i treści acz jednéj formy, nie jeden z tych pisarzy stał się historycznym, bo wpłynął w swym czasie na upowszechnienie wielu myśli i smaku do nich.

*) Dzięki ci, Szanowny Panie Adolfie, za twoje słowo spółczucia! Od czasu nastania mojéj literackiej karjery, ty jeden pono, przemówiłeś do mnie językiem serca, odgadłeś i przewidziałeś zamiary i usiłowania moje. Bodzony strzałami zawistnéj krytyki, jaką mię spotkali *starsi* redaktorowie,— od których nic, prócz obrazy osobistości— nigdy nie usłyszałem,— jakże mam ci być wdzięcznym za twój surowy lecz tak słuszny i sprawiedliwy sąd, który w dalszych swych *Gawędach* rozwijasz. Najpewniejszą miarą uczciwéj i sumiennéj krytyki jest to, kiedy krytykowany korzysta z niéj i poprawia się, zamiast rozdąsania. Doświadczam tego czytając twoje *życzliwe porady i przestrogi*, przy których o jakże mizernemi się wydają owe żółciowe i niby dowcipkowe wyskoki krytyki *tygodnikowéj!* (*Red.*)

Tak i nasz Kraszewski. Szczegółowo wziąwszy, z wyjątkiem może Mindowsa, nic nie napisał prawdziwie jenjalnego, coby stanowiło epokę w literaturze, ale całą ogólną massą swych pism różnych, on stał się propagandzistą życia u nas w ogóle umysłowego— wielkim. I to winien on swéj formie i stylowi potocznego języka i dramatyczności. Zdaje się to bardzo rzecz prosta i łatwa, ale tém trudniejsza im prostsza.

Powtarzają się zwykle aż do znudzenia skargi mianowicie u poetów, a jeszcze więcéj u poetków tych podrzeźniaczy poetów, skargi na ubóstwo języka i sposoby wyrażania, wcielenia tych poetów wysokich niebiańskich, niepojętych myśli i uczuć. Mnie się zawsze w to nie wierzyło, i nie wierzy bardzo dotąd. Pochodzić to musi, według tych panów, z powszedniości i mizeractwa mych myśli i uczuć,— że mniemam, iż zawsze można je oddać dobitnie dla drugich, naszym ludzkim tym językiem biédnym, często bez pomocy nawet muzyki. Sprzeczać się o to z nikim nie będę. Ale prędzéj gotów jestem posądzić panów skarżących się na ubóstwo języka i środków na oddanie zupełne ich wysokich idéj, że oni niepojmowali dobrze tych idéj sami, ani swych uczuć wysokich nie tylko nie rozumieli, ale i nie mieli. Im się cóś śniło, lecz nawet nie marzyło na jawie. Więcéj powiém, że te myśli i uczucia ich, będąc całkiem dla nich nowe i najpiękniejsze i najwyższe, a przeto niewyrażone, mogły być takiemi dla nich jednych tylko, a ktoś drugi pojmując to wszystko, co dla nich bardzo wysokie i ciemne, wyraziłby to najdobitniéj, najpiękniéj i najlepiéj. I zawsze gotów jestem mniemać, że dla tych panów idei, ich własny, tylko osobisty język jest za ubogi, a nie ludzki język, lub język, którym oni mówią i piszą, bo tylko go mało i niedość umieją. Co się dobrze pojmuje i czuje, wyrazi się dobrze pod jaką bądź formą. I wszystkie skargi na ubóstwo języka, zaliczam do próżnéj modnéj fanfaronady dla pochełpienia się czémś takiém, czego zgoła w nas nie było i niéma. Ja nawet nie daleki jestem od twierdzenia, że te senne nasze mrzónki, niepojęte i nie mogące się wyrazić,— dla naszego szczęścia nie potrzeba, żeby się mogły dobitnie dzisiaj wyrazić. Opatrzność, co nam istotnie potrzebne, wszystko daje. A szczęście o jakiém ucho nie słyszało i jakiego oko nie widziało, a pojęcie nie pojęło— to zostawione dla nas w lepszym świecie, albo i w tym, ale jak podrośniém duchem i zasłużym na to szczęście. Prawdziwie zaś czujący i z jakąś nieoznaczoną dobrze jeszcze ideą— ludzie, ale z ideą prawdziwą, wyrazić potrafią i wyrażają dość ją dla drugich swém wyznaniem niepojętości, męczącém ich. Zaraz to wi-

dać, czy kto prawdziwie czuje co, czy kłamie tylko to uczucie. Właśnie język ludzki tak jest szczęśliwie bogaty, że nie pozwala kłamać, i kłamstwo zaraz da poznać i wykryje.

Weźmy choć *np.* poezje *Tadeusza Łady-Zabłockiego.* W naszym niesentymentalnym wieku, i jak pamiętam, pod wpływem tylko co po drugi raz przeczytanéj powieści Sztyrmer: *Dusza w suchotach* wziąłem się za książki przysłane tego dnia. Było to zaraz po obiedzie, po kilku mych wizytach (było to w mieście) nie smutnych a żartobliwych, ba— może nawet sarkastycznych. Bardzo mało usposobiony byłem do czytania poezij, o które dziś tak trudno, że przestajesz nawet w nie wierzyć,— i spójrzawszy jeszcze na te wąsiska portretu autora pomyślałem: A!— cóś to zapewne jest z Marlińszczyzny kaukazkiéj lub biwakowéj estetyki, bo Zabłocki był dotąd znajomy dla mnie więcéj z ogłoszeń i z kilku wierszyków w almanachach. Krytyki żadnéj o nim nie czytałem. Czytam, i przyznam się, że zmuszony byłem zapomnieć, że wiele tam czuć Mickiewicza, Zaleskiego, Bohdana, a najwięcéj A. E. Odyńca,— gdyż tyle prawdziwego uczucia téj najświętszéj skarbnicy poezji znalazłem, że będę się dziwił, gdy czytającemu te poezje, łzy nie raz nie olśnią oczu i westchnienia nie podniosą piersi. Jak powiedziałem, byłem bardzo nie w sentymentalnym humorze, i mię częściéj wierszyki dzisiaj, gdy nierozgniewają lub uśpią, to rozśmieszą swą fanfaronadą lub kłamanem uczuciem. Ale tu poszło na przekor. Nieboszczyk Łada-Zabłocki był poeta! poeta uczucia. On mógł sprawiedliwie odezwać się:

Boże! Tyś mi dał serce czułe i pojętne."

bo jego serce pełne czystego prawego uczucia, acz bardzo jeno egotycznie objawiającego się. Wyobraźnia zaś, całkiem już nabyta, wyuczona na zimno. Pomimo opisy i jaskrawe opisy, ale te nie naturalne i nie dzieci samorodnéj wyobraźni. Jedno uczucie tęskne, bolesne i głębokie ale prawdziwe często z prawdziwym zapałem wyrażone. A wiele razy chce się autorowi być weselszym, to mu nie udaje się— wnet na ton żalu, tęsknéj troski, lira się jego nastraja i takież wydaje tony.

I proszę teraz, dla czego Zabłocki nawet nie skarży się na ubóstwo języka ludzkiego dla wyrażenia swych uczuć, choć przed poezjami 3-go okresu epigraf z Kraszewskiego położył?. A prawdę powiedziawszy, wiérsz jego nawet niezbyt kunsztowny acz rymowanie gładkie. Bo prawda i prawdziwe uczucie świeci mocno i pachnie mocno. Ich widać i czuć daleko. A że poeci, szczególnie młodzi, i mianowicie nasi wszyscy na smutną nótę odzywają

się, nie dziw. Bo nie wesoło ludziom, nie wesoło już każdemu nawet zaczynającemu żyć, gdyż złotą i młodą nadzieję, niepewność osobistych nawet losów, zawsze zapytująca,— co ze mną będzie? jak się i gdzie pokieruję?. smuci i zatruwa. Różnica tylko w stopniu uczucia tego i pojęciu swego stanu, tworzy poetów prawdziwych lub małp.

Kto potrzebuje duszę swą zbyt prozaiczną, światową odświeżyć, pożywić poezją serca, jakby grzeszną duszę komunją, niechaj przeczyta poezje Łady-Zabłockiego. Jego pisma nie darmo zowią się *poezje*.

Takiż sam dobroczynny skutek wywierają i wywrą na czytelnika pisma wszystkie niemal szacownego J. Korzeniowskiego. W nich cicha, spokojna, a mocna wiara w ideały ludzi i piękność świata i idealne szczęście w życiu. Korzeniowski wszędzie i zawsze uczeń Szyllera. Prócz *Spekulanta* i *Młodéj wdowy*, najwięcéj zbliżonych do pism odtwarzających świat rzeczywisty i ludzi takichże naszych— wszystkie inne pisma tego pisarza mi znajome, dramata, powieści, powiastki i poezje, są odbiciem duszy wierzącéj w wielkość moralną człowieka, wszędzie idealizującéj człowieka. Korzeniowski pisarz pochwalny, a nie satyryczny, zatém bardziéj jednostronny niżli satyryczny. U niego satyra nie udaje się. Czytając jego pisma, wszędzie widzisz ludzi i świat i okoliczności lepszych tylko, których nie można niekochać, nieszanować i niezbudować się z nich, ale świata rzeczywistego i ludzi z nich poznać nie można. Ideały— ideały i ideały. Takiemi są dwa tòmy powiastek, mianowicie z nich: *Wtorek i Piątek*, *Krzyż na Stepie*, *Exekwje*, *Podziękowanie i X. Gwardjan*— Dramata: *Izabella D'Ayamonte*, *Aniela*, *Klara*, *Dymitr i Marja* i wszystko prawie. Korzeniowski jest najlepszy kontrast z Kraszewskim. Jeden idealista i ma oczy tylko na wszystko najpiękniejsze— drugi satyryk wszędzie w historycznych, obyczajowych i fantastycznych utworach;— ideały Kraszewskiego zwykle chorowite.

Malczewskiego *Marja*, poemat wyborny. Korzeniowskiego dramat na tę samą temę «*Dymitr i Marja*" jest tylko poetyczny, lecz niéma prawdy moralnéj i psychycznéj w nim. W akcie IV. scena 3-cia i 4-ta wcale nienaturalne. Po co tam stary wojewoda w domku czy schronieniu Marji?.. żeby objawić dla niéj swój wyrok śmierci?. To nienaturalna wcale. Żeby wysłuchać cierpliwie od Marji taką błagalną prożbę i nieusłuchać jéj?. To jeszcze większy fałsz psychiczny. Zaraz tu przypomina się bezpotrzebna w lesie scena w «*Fiesko*" Szyllera, Verriny z Burgonionem dla objawienia zamiaru zabicia Fieski, gdy to na ucho można było po-

wiedzieć wszędzie i nie w lesie. Wojewoda więc w domku Marji wcale niepotrzebny, bo oprawcy, to sami bez niego mogli zrobić. Akt piąty bardzo poetyczny ale nienaturalny. Tam wszyscy odurzeni, i Dymitr i Cyganka i Wojewoda. Tam niéma prawdy i działania, a jest fantastyczność niby Szekspirowska *np.* te cienie Marji, cyganki i błąkanie się żebracze ojca Marji. To ostatnie, wierutny fałsz. Jeśli jego mająteczek i dóm spalili, u sąsiada kawał chleba i schronienie mógł dostać bardzo łatwo, a nieprosić go u Cyganki. Słowem Dymitr i Marja, jest poemat dramatyczny, ale nie drama. Scena spotkania się wojewody z Marją prześliczna, cudna. Te słowa wojewody do siebie: «Drżysz, czujesz wielkość swego przewinienia!" na widok Marji, wybornie po Szekspirowsku oddają przestrach zbrodniczy i walkę zbrodniczego zamiaru wojewody z sumieniem jego, na widok niewinnéj kobiéty.

Dramy i poezje Korzeniowskiego, jak *Torquato Tasso* Ed. Marjana, są pełne myśli, prawda, niegłębokich, a prędzéj zdań ładnych. U nich wszyscy niedziałają, a rezonują więcéj i prawią morały. Temat dla dramatu «*Dymitr i Marja*" narodowy, ale w dramacie nic narodowego niéma. Prawda, jest niestety!— i to wypadek zbrodniczy— bezkarnego spalenia domu ojca Marji, biédnego szlachcica przez Jaśnie Wielmożnego Senatora i Wojewodę!

Adolf z pod Bielska.

10. Września 1849.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

WIERSZE DO SZTAMBUCHÓW.

1.

Do H. S.

Gdy tak młoda w świat idziesz, przeczytaj na drogę
W kartę swego Albomu wpisaną przestrogę.
W świat wybieraj się z Bogiem! bo świat obraz morza,
Ma on swoje podwodne skały i rozdroża.
Tę żeglugę, rozumem naszym nie dościgłą,
Kieruj Wiarą, jak żeglarz magnesową igłą.
Lecz niech cię nie zastrasza ziemskich dróg zawiłość,
Wziąwszy dwie przewodniczki Pokorę i Miłość,
Łódką życia wesoło będziesz mknąć po fali,
Każdy dzień tobie słońce pogodne zapali.
Jak twoja myśl dziewicza niebo jasne, czyste
Ubierze się dla ciebie w gwiazdy promieniste:
A promień ich na ziemi— będzie ci koleją
To uśmiechał się szczęściem, to świecił nadzieją.
Lecz jeśli łódką twoją wstrząśnie burza nagle,
Niechaj powiew modlitwy rozdyma jéj żagle.
Płyń śmiało! Duch twéj matki z aniołów objęcia,
Wyrwie się i przyleci koić strach dziecięcia!
Na jéj znak niewidomy uciszy się burza,
Jakby była zaklętą przez Anioła Stróża.

III.

Do W. S.

Panna Wanda wciąż mię pędza,
Ciągle gwarzy mi do ucha,
Proźb i groźby nie oszczędza,
«Pisz Pan do mego Sztambucha!”

Ja się bronię, że mój Pegaz
Ma czterdzieści lat już z górą;
Że z kopyta nie tnie teraz,
Żem załamał moje pióro!

Gdzie tam? Pegaz mój, o cudzie!
Znów na Parnas rzesko kroczy;
A więc piszę!— Mówią ludzie,
Że masz ładne, piękne oczy,

Że z twych oczek dowcip strzela,
Że masz usta jak z korali,
A w uśmiechu blask wesela,
I tak dalej, i tak dalej!

Tyle pochwał, to już zbytek!
Zdradna słodycz ich cukrowa,
Bo dla ucha Adamitek,
To rajskiego węża mowa.

Krótko słyną wdzięki ciała,
Strój się w cnoty, radzę szczérze;
W co się dusza twa ubrała,
Z tego czas ją nie rozbierze.

Strojem jéj pokora cicha,
Miłość bliźnich, siła Wiary:
Próżność serca, myśli Pycha,
To Belzebub, nasz wróg stary!

Tak gdy zespolisz swe wdzięki
Z ukształconém sercem głową,
Powinszuję, kto z twéj ręki
Przyjmie gałązkę mirtową.

Gdy ten *ktoś* zchodząc z kobierca,
Nie w Sztambuchu literami,
Lecz myślami, uczuciami
Wpisze się do twego serca.

Wtenczas żyjąc w uczuć świecie,
Na rymowe dźwięki głucha,
Nie pomyślisz o poecie,
Ni o wierszach do Sztambucha.

Juljan Korsak.

WSPOMNIENIE

O SYLWESTRZE WĘŻYKU GROZA.

Szanowny i kochany Panie Redaktorze!

Nie dawno na równinach Wołynia urósł świeży wzgórek mogilny. Szczery żal kilku pokrewnych piersi rozniósł wieść zgonu poczciwego obywatela ś. p. Sylwestra Grozy. Obojętnie jéj przyjąć nie mogłem jako człowiek co chwilę poznania się z nim— zyskiem swojego życia dotąd nazywam. Poznać zaś i uszanować było to koniecznèm każdemu kto poznał ś. p. Sylwestra Grozę. Dopytałem się nieco ze szczegółów jego cichego, a pięknego życia i oto notatka. Komu? Późniejszemu pokoleniu, późniejszym dziecióm kościoła, późniejszym literatóm,— po krajowcu, katoliku, literacie nie dawno umarłym? Nie! po co tak pretensyjnie! Oto notatka do teki kochanego Pana, co nam starannie to z po nad Newy, to z Wilji nadbrzeża, oznajmiał i oznajmia czy co nam puścizną po zmarłych, czy ponętną obietnicą po rosnących jeszcze zdolnościach dostaje się. Oto notatka, w którą składam wszystko czegom się uśpiał dowiedzieć o Sylwestrze Grozie, nie kładnę tylko łzy mojej i gorętszych łez po nim innych, na które patrzyłem.

Urodził się ś. p. Sylwester Groza z Pawła i Teofili z Kopczyńskich Grozów, 7 Stycznia 1793 r. w Międzyborzu na Podolu. Dzieckiem był jeszcze, gdy w r. 1800 przeniosł się z rodzicami na Ukrainę do wsi Dzwiniacz w Taraszczańskim powiecie. W 1802 oddany do szkół utrzymywanych przez XX. Ba-

zylianów w Humaniu, zostawał tam przez lat ośm do skończenia wychowania. W 1810 wstąpił do Palestry w Winnicy, gdzie przez trzy lata pod okiem znakomitego w owych czasach mecenasa Zawadzkiego, w poczcie mnogiéj applikującéj się młodzieży pracował. Ztamtąd udał się do Kamieńca-Podolskiego i poznany ze zdolności, prawości i ochoty do pracy, poruczonemi sprawami (interessami) ubogich i możnych, kierował.

Coraz już bardziéj zmierzchają dla pojęcia postacie dawnych Patronów. Potrzeba już lat przynajmniéj trzydziestu, żeby przypomnieć o owéj lepszéj stronie tego oddzielnego niegdyś w naszéj społeczności stanu, do którego uboższa, wolniejsza, pełna ognia wchodziła młodzież i napełniała gwarem czynnego, towarzyskiego życia, sławką lub sławą mówczych swoich talentów i powszechniejszym sądem o godziwém i niegodziwém— też miasta, miasteczka, w których się dziś kryjomy zawiera wpływ na kierunek interessów, cichy wymiar sprawiedliwości, zdobywanéj niegdyś pośród szermierstwa wolnego słowa. Może nieco zła broiła, ależ i dobro robiła Palestra.

Jest-że stan, u któregoby progu nie pomarzył zacny młodzieniec? ś. p. Sylwester Groza z wszczepionemi od moralnych rodziców, z rozwinionemi potém przez kapłanów-nauczycieli instynktami cnoty, młodą wyobraźnią w tęczowe barwy przyszły swój zawód ubierał. Wiły się przed młodą myślą— to sierota, któréj prawa postawi i utrzyma przed sprawiedliwością,— to uciśniony, którego posługą swoją obroni, to.... ale przepraszam,— sny dumy szlachetnéj młodocianéj u progu obieranego zawodu, sny, które tak w szmaty rozdziera życie realne, może nie należą do ściśléj biografji? A jednak w pięknych rojeniach młodziana uderza złożony tam żywioł, i choć go cóś czasem przygłuszy, on się nie utraca ani na ciągle, ani na zawsze! P. Sylwester— i póki się trzymał prawnictwa, i gdy je zaniechał— ciągle urzeczywistniał szlachetne mary czy śluby swoje. Może się uląkł odwrótnéj strony professji swojéj, ale to przypuszczalne może, żeby czémś to wytłómaczyć: dla czego obrany zawód porzucił?

W jednym z rodzinnych domów poznał 14-letnią, piękną, niewinną sierotę,— Wincentę Odyńcównę. Poznał, ukochał, był ukochanym, więc się i połączył z nią sakramentem małżeńskim. Opuścił Kamieniec, osiadł na małéj dzierżawie we wsi Ryszkach, a potém w Kuryłówcach, powiecie Lityńskim na Podolu. Okres ten życia najszczęśliwszym nazywał. Przyjął opiekę nad 8-letnim bratem swojéj żony, którego fundusz usilném poświęceniem się, narażającém go na kilkunastorazowe podróże do różnych województw

Królestwa i do Warszawy, oczyścił— skarbiąc tem sobie dozgonną wdzięczność pupilla.

W 1832 r. za posag żony i własny szczupły kapitał kupił na dziedzictwo w gub. Kijowskiéj, powiecie Machnowieckim połowę wsi zwanéj *Bezimienną*. Tam już czysto własne wiódł życie, czas dzieląc między gospodarskie zachody, stosunki somsiedzkie i umysłową pracę. Tam doń zbiegały migotne szczęścia połyski, tam i niepowodzenia i nawet nieszczęścia. Bo tam mu z krótkiéj choroby w Wielki Czwartek 1846 umarła przywiązana towarzyszka życia. P. Sylwester był człowiek serca, z kim się już w imie Boga połączył, temu był wiernym— jak tylko wiernym być umie kto stale kocha. Zgon żony rzucił już na resztę dni jego jakąś ponurość,— tęsknił i cierpiał; proszę odczytać koniec wstępu do jego książki: *Powiastki i Wspomnienia*, płacze i pociesza się z Jungiem i Kochanowskim, jako relikwje przegląda i układa pamiątki żenine; może nie było jednéj do Machnówki przejażdżki, żeby się nie zawrócił ku jéj mogile, by ją— czy kwieciem osypać, czy polać łzami, tak śmierzył czy jątrzył swą bliznę— aż z żoną, z którą już życiem dzielić się nie mógł, śmiercią się podzielił. W 1849, w rocznicę jéj zgonu, jak zawsze długo się modlił na jéj grobowcu, jeszcze się do kościoła udał i już poczuł się słabym; w domu któregoś mieszkańca Machnówki rażony apopleksją, w połowie ciała paraliżem dotknięty, prędką pomocą na krótko ocalał, pamięć tylko straciwszy, we trzy jednak miesiące od wznowionego apoplektycznego uderzenia, po przyjęciu ŚŚ. Sakramentów, mimo najusilniejszych lekarskich zabiegów, na ręku braterstwa i krewnych życie zakończył 4 Sierpnia b. r., pogrzebiony na parafialnéj Machnówieckiéj mogile.

Oprócz artykułów do *Rusałki* redagowanéj p. P. Aleksandra Grozę, i do Athenaeum,— oddzielnie napisał i wydrukował:

1) *Myśli nad niektóremi zdrożnościami ludzkiemi.* 1840. Wilno.
2) *Powieści Podolsko-Ukraińskie*, 2 tomy. 1840. Wilno.
3) *Justynian żeniący się.* 1846. Wilno.
4) *Hrabia Scibor na Ostrowcu.* 1848. Warszawa.
5) *Pamiątki i Wspomnienia.* 1848. Wilno.

W rękopismach oprócz wielu interessujących notat, dopełnień do różnych artykułów cudzych i własnych, zostawił tom jeden pism rozmaitych wierszem i prozą, i 2 tomy powieści, mieszczące: a) Kompromis Braci Radowieckich, powieść około r. 1815. b) Ostatni Sejmik Winnicki, wyjątek z powieści *Przyjazd Podsędka*. c) Bankróctwo, powieść. d) Prządki Ukraińskie, powieści. e) Dwa

wyjątki z poematu Chataubrianda *Męczennicy*, przekład z francuzkiego.

Życie ś. p. Sylwestra Grozy odbiło się w pismach; z nichby się można domniemać ledwie nie wszystkich miejsc i stosunków w jakich zostawał; kochał ludzkość, społeczność swoją, pragnął jéj szczęścia, żył pobożnie, skromnie, uczciwie, a pisał jak żył, prosto, obywatelsko, serdecznie. Ściślejsze ocenienie jego talentu ustępuję krytykom. Życie zaś jego już Bóg osądził.

Póki się nie znajdzie jakiś pełniejszy ś. p. Grozy życiorys, racz Pan pobłażliwie przyjąć tę o nim pobieżną wiadomość, a sługę swojego w przyjaznéj chowaj pamięci *).

X. Al. z B.

19 List. 1849.

*) Umieszczamy powyższe wspomnienie jedynie na słowo zacnego i czcigodnego naszego korrespondenta, którego sposób widzenia i pamięć na nasze pismo,— wysoko cenimy i poważamy. Zgadzamy się też, że ciche cnoty domowe i dobroć serca, któremi się przez ciąg życia swego odznaczył od innych w okolicy swéj nieboszczyk, zasługiwały na obywatelską spominkę: jako wzór innym do naśladowania, przez co i po śmierci nie zaciera się człowiek taki w pamięci. Był w nim człowiek i obywatel. Od serca dziękujemy zacnemu korrespondentowi za te jego słów kilka, bo wysoko cenimy najmniejszą pracę jego, i jak najuprzejmiéj zapraszamy do spółpracownictwa nadal.— Co się zaś dotycze osobistego naszego zdania o *pracach ś.* p. Syl. Grozy tak nazwanych *literackich*, tych znaczenia nie widzieliśmy nigdy; posuwał się sobie ś. p. nieboszczyk żółwim krokiem na polu piśmiennictwa naszego i utworki jego uległy się same przez się na właściwém sobie miejscu w literaturze i opinji czytającego ogółu, nawet nie trącone dotąd przez wyższą krytykę literacką. (*Red.*)

KORRESPONDENCJA LITERACKA.

O WYDAWANIU PAMIĘTNIKA NAUKOWO-LITERACKIEGO.

II.

LIST ANTONIEGO SOWY

Do wydawcy Pamiętnika.

Z PRAWDZIWĄ przyjemnością otrzymałem list twój Panie Romualdzie z Wilna do mnie pisany. Radbym bardzo odpowiedzieć twojemu zaufaniu, lubo biorąc pióro do ręki dla wypowiedzenia myśli mojéj, tyczącéj się pism czasowych, nie tuszę sobie wcale nowe ci powiedzieć rzeczy. Lecz jeżeli przesłanych te słów kilka znajdą u ciebie współczucie i uznanie, prawdziwie cieszyć się będę.

Od lat kilkudziesięciu, jak nam wszystkim wiadomo, znaczenie pism czasowych stało się w całéj Europie przeważną dźwignią wszystkich społecznych interessów i dążeń, organem wszystkich budzących i rozwijających się idei w światach wiedzy i sztuki, niezmiernie bogatą karboną w świątyni postępu. Chiny w szczęśliwéj swojéj dumie hierarchicznéj mądrości, oprócz jednéj pekińskiéj gazety nazwanéj, zdaje mi się: *Poseł Stolicy*— mają zaledwie w całem niezmiernego obszaru państwie, ledwie parę jeszcze prowincjonalnych gazet dla urzędowych ogłoszeń. W Persji

tylko kiedy niekiedy pokazuje się gazeta w wypadkach nadzwyczajnych. Jest kraj za nadto znajomy w jeografji by go wspominać, którego licznéj massie mieszkańców jeden kalendarz wystarcza. Nie wątpliwie w miarę postępu i wykształcenia jakiéj bądź społeczności, rośnie potrzeba pism czasowych i współczucia dla nich.

Przedsięwzięcie twoje wydawania *Pamiętnika Naukowo-Literackiego* w Wilnie, nie może być obojętne dla miłośników literatury krajowéj; z utęsknieniem i współczuciem wyglądamy pomyślnego owocu trudów twoich i całém sercem zachęcamy Cię do wytrwania w tym zbyt trudnym u nas zawodzie.

Trzy są główne rodzaje pism czasowych— jeden poświęcony dziennym wiadomościóm politycznym, drugi— wyłącznie jakiejś nauce lub sztuce, trzeci łączący w sobie wszystkie potrzeby czasu i kraju. *Pamiętnik naukowy* do ostatniego należeć ma rzędu. Nie mogę zamilczeć o niezliczonych trudnościach, które to przedsięwzięcie na swojéj drodze spotyka przez brak kapitałów, któreby postawiły redakcją w możności stałego opłacania artykułów. Lecz na to najlepsze pojedyncze chęci z trudnością wystarczyć mogą. Tu potrzeba pogodzenia obywatelskich uczuć dla krajowéj literatury z umiejętném użyciem środków. Tu potrzeba byłoby nie kupca, nie żyda księgarza-przedsiębiercy, lecz przedsiębiercy-obywatela. W krajach, gdzie obywatelstwo nie ograniczyło się posiadaniem wioski i herbowych przywilejów, tam na takich przedsięwzięciach, niezmiernych dla kraju zasług, (a wszakże nie bez strat indywidualnych) nie zbywa.

Żadne pismo czasowe bez środków materjalnych nie może odpowiedzieć wszystkim domaganióm: rzecz bardzo naturalna. Ludzie oddani pracy umysłowéj, poświęcając czas i inne życia widoki, potrzebują znacznych nakładów i dla nabycia nauki i dla dalszego kształcenia się. Nie mówię o ulotnych drobnych pisemkach, o próbkach poczynających talentów, które zaledwo małą cząstkę pisma czasowego stanowić mogą, i o które zbyt łatwo u nas; lecz artykuły wysokiego wykształcenia, głębokiéj pracy, potrzebują osóbnych studjów, osóbnej biblioteki;— ktokolwiek zna życie umysłowe, kto zna prace głębokie i poważne, ten wie dobrze, że wiedza i nauka jak manna z nieba nie spada, że trzeba mozolnie ją zdobyć, troskliwie pielęgnować i życie dla niéj poświęcić. Gdzie wyroby umysłu nie znajdują,— że się wyrażę *językiem ekonomicznym*, odbytu, gdzie nie są potrzebą, koniecznością, gdzie nie budzą współczucia, tam najbujniejsza latorośl, musi zwiędnąć i zginąć dla braku uprawy. Pismo czasowe aby

odpowiedziało wszystkim potrzebom czasu i kraju— objąwszy wszystkie potrzeby społeczności, której ma być organem—powinnoj wiernie odpowiedzieć wszystkim rubrykóm, które zakreśliło. Ażeby wiernie tym wszystkim odpowiedzieć zadaniom, potrzeba stałych pracowników, którychby obowiązkiem, a zatem i prac celem, było to pismo czasowe. Potrzeba więc by redakcja miała tę siłę zobowiązującą, a tą siłą są najgłówniéj środki materjalne. Dorywcze, przez grzeczność literacką nadsyłane artykuły, nigdy ani trwałości, ani dobroci pismu zapewnić nie mogą. Niechże publiczność, surowiéj sądząca produkcje umysłowe niżli chęci swoje dla sprawy krajowéj literatury, uwierzy raz jeden w tę prawdę, że ta sama społeczność, a nic innego—jest właśnie tą niwą, na któréj rosną albo umysłowe— cedry, albo wycieńczona sosnina lub choina umierająca. Oby, mówiąc u nas językiem najuniwersalniejszym, t. j. *agronomicznym*, uwierzyli mieszkańcy naszego kraju, że urodzaje umysłowe są dowodem gatunku i wartości moralnéj kraju, tak jak urodzaje ziemne są dowodem gatunku i wartości ziemi; że każdy obywatel, każdy mieszkaniec kraju, jest moralną skibą, zagonem, którego pierwiastkiem składowym jest czarnoziem albo piaski i wydmy,— oby uwierzyli nakoniec, że wszystkie objawy literatury są tak koniecznym wypadkiem jéj żyżności i uprawy. Udział i spółczucie dla umysłowych objawów i wszystkich życia symptomatów w jakiéj bądź społeczności są, jeżeli nie dowodem gotowości, to niemylnie dowodem przygotowywania się do pojęć organicznych, których pierwiastki składowe mają zlać się w jedność pojmującéj się w sobie idei.

Odbiegłem może od głównéj kwestji; proszę to przyjąć przynajmniéj za dowód, że nie jest mi obcą trudność twojego zawodu i przedsięwzięcia. Lecz z drugiéj strony sprawiedliwość wszystkim oddać należy. Brak pożądanego udziału i interessu dla pism czasowych, czyż nie jest z drugiéj strony, winą tychże pism? Bez wątpienia. Sam zgodzisz się na to. Są to najczęściéj przedsięwzięcia lekkomyślnie poczęte, bez obrachowania sił i stosunku chęci do możności. Są u nas ludzie poczciwi co kochają i literaturę narodową i czują jéj konieczną potrzebę, i czują jéj głód, i którzyby to samo współczucie w innych obudzić pragnęli, i którzy nawet z cierpliwością i wyrozumowaniem wyższego wykształcenia nie zniechęcają się zawodami, jakich doznają. Nie zbywa nam, mówię na takich, lecz to przechodzi ich siłę, tę cierpliwość i wyrozumowanie wybudzić i utrzymać w innych, mniéj wyrozumiałych i cierpliwych. Tu potrzeba przyznania się wzajemnego do winy, a to będzie już krokiem naprzód, krokiem pojednania i ściślejsze-

go na przyszłość powinowactwa. Z książkami jest tak jak z ludźmi. Kochamy i szukamy tych, co nam przypadają do serca, co wnikają w nasze wewnętrzne potrzeby, co spółczują z nami, co nas odgadują,— tak równie jest i z książkami, których słowo łączy się z naszém sercem i myślą. Najtrwalsza miłości podstawa— to zasługa!

Wypada ztąd, iż pismo czasowe aby było ukochane i popularne, musi objąć wszystkie potrzeby czytającéj społeczności— musi *kazać się kochać*. Najpiérwszym więc warunkiem Redaktora jest zrozumieć i ukochać społeczność, dla któréj pisze i nie służyć— ani jednéj koterji, ani partji, lecz całemu ogółowi. Musi więc w piersi swojéj postawić zbiorowego, społecznego człowieka, z poczuciem wszystkich jego potrzeb i jego dobra. Poczucie idealne potrzeby i obowiązku, a możność zrealizowania tego poczucia, bez wątpienia wielka przedziela przestrzeń, lecz równie niewątpliwie, iż punkt wyjścia jest tu rzeczą,— gdy nie wyłącznie stanowczą, to pewno jedną z najważniejszych.

Zdaniem więc mojem pismo czasowe ma objąć dwie kardynalne potrzeby, moralną i materjalną,— społeczności. Najgłówniejszą zasadą czasowego pisma ma być odbicie czasu i wszystkich czasowych zagadnień. Wszystkie więc artykuły mają być żywém słowem społecznego życia. Badania i kwestje upłynionych czasów i *nie mających bezwzględnego z dzisiejszym stosunku*, jakkolwiek wielkie i zawsze interessujące być mogą, należą do osóbnych książek, lecz w pismach czasowych miejsca mieć nie mogą. Czas dzisiejszy ma być pisma czasowego z saméj już natury celem i odbiciem.

Ztąd pozwolisz sobie szczegółowo wypowiedzieć rubryki, które mi się koniecznemi zdają— z zupełną dowolnością zachowania im piérwszeństwa.

I. **Historja** najbliżéj dzisiejszego dotykająca czasu, lub w najbliższym z nim zostająca stosunku. Historja nie tylko swojego kraju, lecz i plemion pobratymczych. Również ogólny rys najważniejszych wypadków kultury i instytucij obcych krajów.

II. **Kwestje socjalne** z poglądem na życie wewnętrzne i stosunki różnych warstw społeczności, względem siebie i względem idei postępu. Tu kwestja wieśniaków,— ich stan materjalny i moralny, ich życie wewnętrzne, charakter, obyczaje, stosunki do klassy wyższéj etc.,— stanowi główną zagadkę.

III. Tuż za tém idą kwestje tyczące się bezwarunkowo **materjalnego bytu kraju.** Postrzeżenia miejscowe agronomiczne, technologiczne, handlowe, możebne ulepszenia wszelkiego rodzaju.

W tej rubryce dałyby się pomieścić wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, które są albo uderzającemi fenomenami odkryć nauki, albo dającemi się stosować na korzyść materjalnego bytu.

IV. **Filozofja praktyczna** czyli **Etyka**, gdzieby wyłącznie nie cudzoziemskie lecz narodowe rozwijały się ideje i pojęcia,— artykuły psychiczno-moralne.

V. Niezbędną rzeczą jest **Powieść obyczajowa i poezja**, w czém ścisły— dla najliczniejszéj u nas tego rodzaju produkcji— sąd by zachować należało.

VI. **Rozbiór** wychodzących książek w kraju, jak równie pojawiających się arcy-dzieł europejskich.

W tych rubrykach zdawało mi się zawrzeć wszystkie potrzeby zbiorowego naszego społecznego człowieka.

Zadziwi może to ciebie, iż żadnéj nie znajdujesz tu rubryki dla najwyższego i wszystkim przodkującego przedmiotu— Religji. Lecz ten przedmiot, zdaniem mojém, iżby mógł być poważnie traktowanym, osóbnego potrzebuje pisma. Lecz ducha Chrystjanizmu zasady i prawa Ewangelji— całego pisma mają być hasłem i sztandarem. I każda prawdziwie wysoka produkcja tego rodzaju sama przez się ma prawo do pierwszeństwa w tém piśmie.

Przesyłając ci tych kilka myśli, proszę mię przynajmniéj nie obwiniać o brak szczerych chęci, i proszę przyjąć wyznanie najlepszych moich nadziei, mojego spółczucia i szacunku" *).

Ant. Edw. Ż.

Marianpól. 1849.

---

*) Korrespondencja obecna równie jak poprzedzająca (*Alberta Gryfa*), i która się w następnych zeszytach pomieści (list *Michała Bohusza Szyszki* i t. d.) dowiedzie najlepiéj jakiego wykształcenia ludzie zajęli się przedsięwzięciem naszém, ze światłych porad których pilnie będziemy starali się korzystać. Takiego rodzaju krytyki oczekiwaliśmy od ludzi prawych, nie uwodzących się drobnostkowemi dziennikarskiemi namiętnościami, bo taka krytyka wskazując cele, dążnoście— doskonali dzieło. Prosiemy czytelników porównać te odezwy serc prawych do owych wyskoków drobnostkowego dowcipkowania, któremi nas spotkał pewien zawołany autor— kiedyśmy pierwszy raz *mieli śmiałość* ogłosić zamiar wydawania *Pamiętnika*. Dotykając osobistości, starał się nas okryć śmiesznością. Czyśmy zasłużyli na śmieszność? Niech osądzą czytelnicy, którzy już mają w ręku *cztery* zeszyty pisma naszego. Śmieszność nie dosięga sumiennie pracujących, a zwraca się na tych, co mają pretensje być jedynymi i *wyłącznymi* działaczami w rozwoju literatury, wówczas— kiedy ruch objawiający się ciągle w umysłach, rodząc nowe potrzeby, wywołuje nowych przedstawicieli. (*Red.*)

III.

LIST ZOFJI K* Z BRZOZÓWKI

Do wydawcy Pamiętnika.

„Czemu śpicie, wstańcie, modlcie się, gdybyście nie wpadli w pokuszenie."

Słowa powiedziane przez Chrystusa do uczniów swoich, gdy je znalazł śpiące w smutku; słowa, które mi się gwałtem z pod pióra wydarły, pisząc do ciebie szanowny Redaktorze, i dziękując za trzeci zeszyt *Pamiętnika* świeżo nadesłany; a najwięcéj za to: że nieustajesz w pracy, że nieśpisz, ale działasz i dajesz pole do działania drugim, otworzywszy karbonę wiedzy, do któréj każdy może grosz wdowi dorzucić,— grosz coby swym czystym dźwiękiem i z duszy ofiarowany, zbudził śpiące, oddalił od nich pokuszenie, zdjął z duszy drzémliwość i powołał do życia.

Słowa Chrystusa wyrzeczone przed wiekami do uczniów, czyż nie są słowami pisarzów, któremi winni przemawiać do ludzkości by zbudzić jéj myśl, wznieść potęgę uczuć, i utorować drogę do zbawiennéj przyszłości. Cześć i sława pisarzóm, co myśl, wiarę, rozum, uczucie, harmonizują z duszą społeczności— zléwają w jeden akkord z duchem postępu, i upowszechniają wyobrażenia jasne, proste, treściwe, z których wykwita kwiat w pełni i zdrowe daje owoce.

Szanowny Redaktorze Pamiętnika! gdy żądasz ode mnie szczérego zdania, wyznaję, że pragnę, gdybyś to wszystko mieścił

w swojém zbiorowém piśmie, co ma piętno życia, i pieczęć obecnego wieku, budzącego się z letargu;— bo najgłębsze pomysły, najkwiecistsze frazesy, skoro bez życia, zmarnieją, przewieją, bo nikt z nich nic nie wysieje, ani dla duszy, ani dla obecnych potrzeb. Czytałam niedawno *Felicytę*, ów drammat, który choć ślicznym napisany wierszem, wypada jednak z ram obecnego wieku i dążeń jego, będąc objawem ducha, co się zbłąkał w przeszłości i gdzieś w ognistych spopielał stosach. Widać, że usposobienie wewnętrzne autora *Felicyty*, nie zléwa się z usposobieniem obecnéj społeczności, która choć była i jest jeszcze w czyscowym ogniu życia,— nie śpiéwa dla siebie *memento*, ale usiłuje dopełnić życia,ześrodkować myśl, wolę, i czyn w wielkie rodzinne ognisko. *Felicyta* jest rozkoszą dla dylletantów, bo wiérsz piękny, atłasowy, strona artystyczna wybornie obrobiona, ale nim wydrukowano drammat, duch proroczy *Felicyty*— grubo się pomylił,— a świętość, którą ją autor namaścił i proroctwo, którém nawiedził,— nie stały się ciałem, niezamieszkały między ludźmi, lecz się rozwiały w nicość, to jest: wróciły zkąd przyszły *).

Wyznam szanownemu Redaktorowi, że czytam *Gwiazdę* z wielkiém upodobaniem; prawda, że wydawca onéj bywa często niegrzeczny, nie ubiéra w aksamit swojego języka, nie watuje łokci, ale bez ceremonji popycha niémi nikczemnych; ależ bo i wiek obecny nie bardzo grzeczny, odwraca się nieraz od tych, którzy na gwałt chcieli szacunku i sławy, i wypiéra z dawnéj dziedziny uzurpatorów cnoty i prawdy. Są tacy jeszcze, co zarzucają *Gwiaździe* niereligijność i pomiatanie przyzwoitością; prawda, że *Gwiazda* niéma zasad jezuicko-katolickich, nie konwencjonalna, często niegrzeczna, ale ma treść w sobie, krążą w niéj soki samodzielnego ducha, i nieraz iskra boża rozpłomienia się w po-

---

*) Drukując ten ustęp, pozwoli szanowna autorka zrobić uwagę, iż to z-ogulizowanie jéj sądu o *Felicycie*, jako wychodzące ze zbyt wyłącznego poglądu, wydało się nam za jednostronne. Uważamy utwor ten jako dramat religijno-duchowny— jak sam autor chciał go uważać. To jest jego wyłączna sfera— w téj sferze i na tych tylko zasadach, sąd o nim zawrzeć się powinien.

Z różnych odebranych odezw, widząc tylko rozbrat pojęć starszego pokolenia z młódszém, oczekujemy o tém dziele sądu od człowieka ożywionego głęboką miłością prawdy— nienależącego do żadnego stronnictwa literackiego— i w téj nadziei zwracamy się ku znakomitemu autorowi *listów* w 4-tym tomie *Gwiazdy Kijowskiéj*, P. *Wandalinowi Habdankowi*. (*Red.*)

żar, co musi pochłonąć grzeczność dworaków, któréj po niéj wymagają niektórzy. Każde nasze pismo powinno być przedewszystkiém własne, nie pożyczać nic od obcych, bo świętemi są słowa ś. p. Majorkiewicza: «*Że poty tylko wolno obcą naśladawać o-«światę, póki się naród nie poczuje na siłach i samodzielnie «rozwijać nie zacznie.*"

Otoż i w *Pamiętniku*, który wydajesz szanowny Redaktorze, na co nam cudza Kalifornija; my mamy swoje samorodne złoto, przez które przeprowadza się myśl społeczeństwa, prawdziwa Opatrzność tego świata. Obecnie w duchu miłości chrześciańskiéj, myślmy, piszmy, czyńmy to, co nadaje bujniejszy wzrost temu duchowi, garnąc coraz więcéj warstw społecznych pod sztandar Chrystusa, pod chorągiew Ewangelji, która jest naszą duchową Kalifornją. Może i ja niegrzeczną jestem mówiąc szczérze moje zdanie, ale wybacz szanowny Redaktorze, bo zamilczeć przez grzeczność można było *wczoraj*, a *dzisiaj*, a *jutro* to nie *wczoraj*;— my dzisiaj uobecniamy wiek, w którym Chrystus dał siebie ukrzyżować za prawdę, a gdyby był tylko grzeczny i przyzwoity, niebylibyśmy dotąd ani odkupieni, ani ochrzczeni!...

Słyszałam niedawno jak któś mówił, przeczytawszy w jedném zbiorowém piśmie pełen prawdy artykuł: «Jakiém to prawem mówić w oczy ludziom prawdę, to bardzo niegrzecznie." Wszak był już wiek grzeczny, perfumowali słówka, woniały niemi książki i języki pisarzów, cała ich istota zamieniała się w jeden panegiryk, i cóż ztąd wynikło? Róże opadły, aromat przeminął, ciernie tylko zostały, a odrodzić kwiat wieczno-trwały i ugodnić kolce, nie—grzecznością, ale tylko prawdą, można. Dość już nam drabinek, dość kurzu gabinetowego i duszności salonów, czas wyjść na obszérne pole, skupić myśl i czucie w jedno ognisko i na skrzydłach genjusza wiary, rozsyłać promienie onych aż do ciemni, u których progu są stróżami: przesądy, materjalizm, pietyzm, zamęt,— jak gdyby dzień siódmy stworzenia jeszcze nie nastał.

Nic niéma wyższego nad autora— kapłana, którego słowa wygłaszane z wewnętrznego *Ja*, stają się ciałem w duszy ludzkości; napróżno wyrzutki społeczeństwa chcą ich unicestwić, okryć śmiesznością, niepodobna! bo słowa stawszy się ciałem i krwią, wcielają się w jestestwa narodów, rozwijając w nich wolę i czyny. Płody konwencjonalne, w bawełnę obwijane, staną się nie zadługo takiéj wartości jakiemi są bajki o zaklętych królewnach, o srebrnowłosych królewiczach i tym podobnych bredniach, a wyobrażenia zwietrzałe nie tylko ckliwość już obudzają, ale i mimowolną zgrozę; bo retrogradyści chwytają za koło czasu, chcą

go przytrzymać— ale napróżno! koło ich miele, w prochy obraca, bo koło jest tém w czasie, czém życie w człowieku, prawica boża kieruje jego ruchem. Są jeszcze formaliści, co dla zewnętrznéj formy zabijają ludzką naturę w jéj archanielskim polocie. Są Japończycy, Chińczycy, którzy z całą przyzwoitością Europejczyków, zaciągają mur, stawiąc na nim krzyż pozorny, oddzielający ich od chrześcjańskiego postępu. Są durzyciele, którzy wkładają na słowa swoje maskę uróżowaną i plotą bajki, w których się odbija świat pogański i co najgorzéj, że nie pierwotny, ale chrześcjańsko-spoganizowany. Od tych wszystkich jak od zarazy chroń twoje pismo szanowny Redaktorze, pismo, które chwała Bogu— niéma dotąd żadnéj moralnéj skazy, lecz owszem z każdym zeszytem postępuje wyżéj; tylko przyjm przyjacielską uwagę i nie przyjmuj do swégo pisma utworów bez ducha, których udzielają ludzie grzeczni, chcący zadowolnić uprzejmego Redaktora. Drukuj lepiej choćby za-ostrą prawdę,— którą obskuranci stosując najczęściéj do siebie, gniéwają się za nią, z własnéj małości sądząc o autorze, który niepowinien nigdy mieć na celu osobistych uraz, wytykać błędy indywidualne, ale winien czynić wyznanie grzechów całych warstw społecznych, które jeżeli mają szczérą chęć poprawy, skorzystają z głosu co ich ze snu budzi. Są grzechy pod których ciężeniem gną się całe pokolenia, z tych lud się spowiada, krwią obmywając swoje odrodzenie. A za cóż warstwy społeczne nie pragną publicznéj spowiedzi, po któréj następuje oczyszczenie, ale nie złość do autora, co sam pełen skruchy błaga za siebie i za nich Boga i ducha swych przodków, prosząc o przebaczenie. Nie bez bolu serca mówi autor o grzechach pokoleń lub warstw społecznych; mówi z miłości, bo niéma ich jeszcze za umarłych, lecz budzi i woła do zmartwychwstania; a gdyby milczał przez grzeczność i przyzwoitość, byłoby to samo, jak gdyby chciał pożar w domu utaić, niechcąc zmartwić właściciela onego— i cóżby ztąd wynikło? Pożar wszystkoby w marny proch obrócił, a przyzwoitość i grzeczność— zatknęłyby na gruzach swój sztandar zniszczenia.

Prenumeruję *Bibliotekę Warszawską* i wyznać muszę, że niéma w niéj pulsu życia coby odtętniał w czytających sercu; lubym jéj kwiatem jest artykuł o zmarłym *Szopenie*; autor *Wspomnienia* wsnuł swą duszę w duszę zmarłego ziomka, śpiéw proroczy polskiego łabędzia odbrzmiał w każdéj czastce jego duszy; tyle z niéj łez spadło na mogiłę zmarłego, łez, którychbyśmy wylewać nie przestali w krynicę wiecznego żalu, gdyby nas nie koił w bolach, swym śpiéwem *Moniuszko.* Chluba ser-

cu i czuciom wzrosłym z życiem wieszcza-muzyka, chluba ojczystym iskrom, ożywiającym pismo, w którém się niekiedy pojawia tylko błysk przelotny, bo ogół jest bez wyraźnego dążenia.

Prenumerowałam i *Przegląd Naukowy*. Cześć jego wydawcy i współ-pracownikom pisma. Autorka *Książki Pamiątek* zasłużyła na wieniec z rodzimych bratków zwity; jest to kobieta-obywatelka; to słowo wszystko w sobie zawiéra. Dążność *Przeglądu* ma skrzydła, któremi się wznosi nad obczyznę i poziom. Pietyzm i materjalizm nie wyrwał ani po piórku ze skrzydeł, co się opiekuńczo wznosiły nad rodzinną dziedziną.

Dzwon Literacki ma takoż swoje zalety, nie zawiéra w sobie chińszczyzny; wydawca onego nie pęta swych opinji przeszłowieczną grzecznością, ale w swych *Ramotkach* i innych szkicach zaprzęga cztery konie zasłużonéj krytyce, pali z bicza nie ambarasując się, że klaska koło uszu próżnego i modnego świata, ruszając prostą drogą przez wszystkie ulice. A *Ferdynand Dworzaczek* doktor-poeta,—jaka jędrność w myślach, jakie obywatelskie poczucie obowiązków swoich, jakie bogactwo umysłu i serca! *)

A *Edmund Chojecki* to dziecię wieku, dziécię, co na majorat miłości u nas zasłużyło; jaki żywotny, sumienny, jaką nić trwałą i piękną przeprowadza przez płody swego umysłu i serca.

I tyleż innych mogłabym zacytować autorów, którym jeżeli co braknie, to pewno nie serca, przebaczmy sobie wzajemnie w miłości braterskiéj, oglądając się na naszych współplemiennych braci Czechów, co z żadnéj,— w lat czterdzieście— stworzyli u siebie powszechną literaturę, wzajemną tylko miłością, bez żadnych środków materjalnych, nawet bez żadnego genjalnego człowieka.

Nie mówię tego w interessie literatury, ani w interesie autorów. Literatura nasza już stanęła na Piotrowéj opoce, a szczytem w niebo sięga. Autorowie poświęceni w kapłaństwo nie potrzebują protekcji, a profanów własny grzech zabija pod każdą ścianą. Powtarzam tylko dla zbawienia odstępców prawdy, żeby nad sobą samymi płakali dla własnego tylko ratunku.

---

*) Mówi tu autorka o świetnéj rozprawie doktora Dworzaczka: *o atmosferze ziemskiéj*, którą czytał *D-or Rose*, na posiedzeniu Towarz. Lekar Warsz. d. 22 Stycz. r. b — rosprawie, a raczéj świetnéj improwizacji, w któréj podziwiano obok rozległéj nauki świetną imaginację, którą zapala wielkie drama natury, a która krasi i ożywia wdziękiem wysłowienia oschłość nawet i nagość przedmiotu. (*Red*).

Wartoby aby nasi *Panomanowie* i *Chłopomanowie* także zapłakali nad sobą;— po co dwa nieprzyjazne chcą stawić obozy,— czemuż się nie uścisnąć po bratersku? Chłopską dzikość, pańską zgniłość odrzucić, a wzajemne przymioty jedną miłością zespolić, i *zpanieć po chłopsku*, a *zchłopieć po pańsku*. Mówmy z *Wojskim Oniksztyńskim:* *)

«Pokój ludziom dobréj woli,
«Miłość wszystkim stanom,
«I plemionom co w niedoli
«I wszelkiej prawdy kapłanom.!!!"

Poczta na wybiegu, bądź zdrów Redaktorze, nie ustawaj w pracy, gdyby cię duch boży nie zastał śpiącego.

Zofja K z Brzozówki.*

28 Lutego 1850.

---

*) ***Wojski Onikszlyński*** **wyrzekł to w przypisku do** ***odpowiedzi Czesnikowicza*** **na** ***zrzędę Pana Stolnika*** **p. Innocentego Staruszkiewicza, umieszczoną w** ***Zeszycie*** **3-cim** ***Pamiętnika.*** (***Red.***)

ROZMAITOŚCI.

FENOMENA SOMNAMBULIZMU W WILNIE.

List do wydawcy Pamiętnika.

"Le vrai peut quelquefois n'être pas vraisemblable."
BOILEAU.

Łaskawy Panie!

Gościnność pisma pańskiego dla obchodzących jakąkolwiek miejscowość artykułów, każe mi się spodziewać, że kilka słów następnych znajdą w niém miejsce. Nie z chęci jakiegoś teoryzowania, lecz raczéj z dobrze zeznanéj potrzeby głośnego opowiedzenia tego, co się widziało, udzielam Panu sumienne, choć może pobieżne opisanie świéżo u nas wydarzonych somnambulicznych faktów. Przytém, gdy się buduje wielki gmach umiejętności, i podniesienie małéj cegiełki nie bezużyteczną jest rzeczą, nawet ku téj stronie, gdzie jeszcze i zarysów planu nie poczyniono.

W sztuce lekarskiéj somnambuliczne przepowiadanie przez cierpiących, zaradczych sobie środków, nazbyt się omija za naszych czasów. Z jednéj strony szarlatanizm, z drugiéj ciemność faktów odpychają wprawdzie sumiennego badacza. Lecz gdy te dwie ostateczności są usunięte, nie godzi się mało cenić fenomena, tak wystyrkające ze zwykłego, codziennego życia, tak wabiące ku so-

bie naukę. Zdaje się owszem, że całém posłannictwem sztuki lekarskiéj być by powinno baczne zapatrywanie się na fenomena, zrozumienie krzyku cierpiącéj ludzkiéj natury,— by instynktowie objawiające się środki zaradcze w brew nie przeczyły sztuce, by sama natura, cierpieniami rozbudzona, nie zadawała niekiedy fałszu uświęconym jéj dogmatom, by nareszcie nie darmo się ozywał w człowieku głos zwierzęcego życia dla ulżenia od bolów fizycznych, gdy znajome sposoby nie starczą. I czyliż sama sztuka, sama nauka, na doświadczeniach, na wnioskowaniu z fenomenów, nie urosła?— Przekręcać, hyperbolować fenomena jest zarówno błędem, jak je omijać z lekceważeniem. Śmiać się zaś z nich, potwarzać— jest to śmiertelnie grzeszyć przeciw ludzkości, jest to bowiem rodzić w kimś moralne bole, zamiast niesienia ulgi fizycznym, jest to powstrzymywać naukę na jéj filantropicznéj drodze,— stawać się jakimś Faringheą, zwolennikiem Bohwanny *), śród europejskiéj cywilizacji, w obec religijnego postępu naszych czasów. A przecież tak się dzieje... i gdzież jeszcze?— w Wilnie, w owym kiedyś rozsadniku światłych mężów, w grodzie, uświęconym tylu poczciwémi imionami,... i jeszcze, śród niby ukształceńszéj warstwy ludzi, któréj na imię: arystokracja....

Lecz wracam do rzeczy.

Korzystając z mego pobytu czasowego w Wilnie, odwiedzałem rodzinę państwa B—ch, spokrewnioną ze znaną w naszém piśmiennictwie rodziną Chodźków i domem naszego poety, pana Ant. Edw. Odyńca. Dwie panny B—skie, rodzone siostry, z przyczyny cierpień i właściwych sobie organizacij, stały się somnambulistkami, przeszło od sześciu tygodni. Starsza drugi rok jest cierpiącą, młódsza od siedmiu miesięcy. Nie będę techniczno-lekarskiémi nazwiskami chrzcił ich cierpień, bo te nazwiska były tylko zmiennémi szyldami, jakie podobało się lekarzom zawieszać nad chorobą,— i snać do niczego nie służyły, bo medyczne starania ni śmierci, ni zdrowia nie przyniosły. Ból nadzwyczajny po całéj kości pacierzowéj, a daléj w głowie, w piersiach, lewym boku,— oto początkowe cierpienia. Przy doskonale rozwiniętym nerwowym systemacie, pacjentki są krwiste i dobrze zbudowane. W wieku dziecinnym cierpiały na skrofuły, lecz szczodrze im się opłaciły rozmaitémi wysypkami, gruczołami, i t. p. I zdaje się, że dzisiaj, gdy starsza lat 22 sobie liczy, a młódsza rok 17, skrofuliczność ich nie należy do przyczyn choroby. Histeryczkami wcale nie są. Hemoroidalno-dziedziczne usposobienie daje się

*) Wiadoma osoba indjanina z romansu P. Sue: *Żyd wieczny.* (*Red.*)

w nich postrzegać. Gdy daremnémi się okazały wszelkie leki i zwykłe powierzchowne środki pognębienia choroby, przestano już się radzić medycyny, niechcąc powiększać sztucznémi cierpieniami i tak nazbyt wielkiéj dozy naturalnych. Oprócz bowiem wymienionych bolów, mianowicie w kości pacierzowéj, coraz częściéj zaczęły się objawiać konwulsyjne, jakby epileptyczne paroksyzmy, przeplatane ziębnięciem całego ciała lub członków, całkowitém lub cząstkowém zdrętwieniem organizmu, pogrążeniem się w pewien stan melancholji, bez czucia i uwagi na otaczające życie, lub nareszcie obłąkaniem. Paroksyzmy te, ze swémi przemianami, niekiedy trwały bardzo krótko, niekiedy zaś po godzin kilka i kilkanaście, wydarzając się o rozmaitéj porze i w nieoznaczonych okresach czasu— co dzień, przez dzień, co dni kilka i t. d. Modyfikowały się one coraz rozmaiciéj i nie powtórzyły się ani razu w jednostajnéj z poprzedzającémi formie. Przyczyny początkowych cierpień trudno oznaczyć. Zawierała się ona zapewne w samym organizmie pacjentek, a okoliczności zewnętrzne tylko rozwiły chorobę.

W początkach przeszłego miesiąca, (Listop. r. 1849.) postrzeżono w pacjentkach somnambuliczne jasnowidzenia. Powodem do tego było zapewne mimowolne namagnetyzowanie dotknięciem. Pan S. Ch., wuj pacjentek, najbliżéj ich chodzący podczas uprzednich kuracij dla wyexekwowania ściśle przepisów lekarskich,— razu pewnego, gdy starsza panna B—ska, po przecierpianych konwulsjach, nieruchomie siedziała, przyłożył do jéj głowy, powyżéj czoła, obie swe ręce, chcąc czémśkolwiek uśmierzyć jéj bole. Pacjentka głęboko westchnęła, silnie przez chwil kilka robiła płucami, jakby się starając z bolesnym trudem o wydobycie głosu z głębin swego ducha, i zaczęła mówić powoli, jakąś cichą, niezwykłą, gardłową intonacją. Obecni wnet poznali, że nie jest to wcale głos czuwającéj, lub, przy naturalném uśpieniu, w sennych marzeniach ozywającéj się osoby. Było to jasnowidzenie. Pacjentka w niém mówiła, że jéj cierpienia skończą się na przesilenie dnia z nocą, t. j. z 9 na 10 Grudnia (r. 49), byleby tylko wypełniano ściśle to, co zaleci,— że podobnież mawiać będzie przez dzień lub codzień, stosownie do potrzeby, zawsze o saméj 9 wieczorem,— że na kilka minut przed 9-tą, gdy w uśpieniu wyciągnie prawą rękę, pan S. Ch. powinien jéj podać swą prawą, poźniéj swą lewą rękę przyłożyć jéj do czoła, a gdy oznajmi porę przebudzenia, powinien odjąć nagle obie swe ręce. Zalecała, aby ją nigdy niczém nie irrytowano, owszem, aby starano się rozrywać ją rozmową, śmiéchem, czytaniem poezji, i t. p.,— aby przy ta-

kowém jéj mówieniu jak najmniéj było osób, aby żadnéj nie było kobiéty, aby w czasie paroksyzmów lub odrętwienia nikt się jéj nie dotykał, a najbardziéj matka. Przepisała sobie pewną ilość pjawek wzdłuż kości pacierzowéj, wezykatorje oznaczonéj wielkości na rękach, nogach, piersi,— do picia infuzję jakiejś officynalnéj rośliny, i t. p., co wszystko o wyznaczonéj porze najściśléj powinno się dokonać. Podobne jasnowidzenia powtarzały się rzeczywiście to co dzień, to przez dzień, zawsze o godzinie 9 wieczorem, i trwały przez cały miesiąc, t. j. od 5 Listop. do 4 Grud. Przepowiadała w nich pacjentka swe paroksyzmy, długość ich trwania, formę,— modyfikowała sobie lekarstwa, przepisywała olejek ricinowy, emetyk,— za napój rumianek lub wywar z jarzębiny, po jednym gorzkim migdale na czczo, wanny z kory sosnowéj, powiększenie ilości pjawek, lub wezykatorji, i t. p. Wymawiała za nieakuratność w wykonywaniu jéj zaleceń,— żądała mówić (w swém jasnowidzeniu) raz w tydzień, (co Czwartek) z panem *F. R—czem*, przyjacielem ich domu, zalecając podobnąż jak panu S. Ch. formalność. Na kilka minut przed 9-tą, gdy pacjentka w uśpieniu wyciągnie lewą rękę, pan F. R—cz powinien jéj podać swą lewą, późniéj dwóma palcami prawéj swéj ręki przycisnąć górną jéj wargę. Gdy pacjentka zacznie mówić, powinien odjąć od jéj wargi prawą swą rękę, a przy zbudzaniu odjąć swą lewą, lekko ścisnąwszy. W śnie somnambulicznym starsza panna B—ska zwała pana S. Ch. «prawym swym głosem,” a pana F. R—cza «lewym.”

Co do młódszéj panny B—skiéj, piérwsze jéj jasnowidzenie nastąpiło po silnym konwulsyjnym paroksyzmie, gdy tenże sam, pan S. Ch., chcąc bliżéj rozpoznać po oddechu pacjentki, był-li to jéj stan uśpienia, czy odrętwienia, mimowoli dotknął swémi włosami jéj czoła. Cierpiąca usnęła i podobnież jak siostra, po długiém wysilaniu się, zaczęła mówić cicho, gardłowie, częstszémi tylko i trudniejszémi oddychaniami przeplatając swe wyrazy. Mówiła, że za każdym paroksyzmem może cóś powiedzieć, że trzeba tylko, aby ktokolwiek ścisnął wówczas serdeczny palec jéj lewéj ręki dwóma swémi palcami prawéj, wielkim i małym,— że muzyka uśmierza jéj cierpienia,— że co Sobotę, przez tygodni 12, od godziny 11 do 12 w nocy, będzie miała silny konwulsyjny paroksyzm, przeplatany na moment osłabieniem, pół-snem, odrętwieniem,— że dla uzdrowienia siebie, co Sobotę, po takowym paroksyzmie, będzie musiała w półśnie chodzić bezustannie po godzin 10, zaczynając od 12 godziny w nocy,— że to chodzenie powinno być przy muzyce i w obecności najmniéj 12 męż-

czyzn. Mówiła dalćj, że po każdém takowém sennėm chodzeniu będzie odrętwiałą lub osłabioną przez 2 godziny, po których ma przepisywać sobie lekarstwa. I rzeczywiście w następującą Sobotę, t. j. dnia 5 Listopada ziściło się wszystko, co przepowiedziała. Odbył się jednogodzinny silny paroksyzm, od 11-stéj do 12-stéj w nocy, składający się z okropnych konwulsij i krótkich momentów pół-snu, w którym pacjentka improwizowała jakieś warjacje na fortepjanie, śpiewała dość czysto jakimś dziwnym, minorowym głosem włoską arję, zapewne kiedyś w życiu słyszaną. (Trzeba wiedzieć, że pacjentka nigdy się nie uczyła śpiewów). Odbyło się potém 10-godzinne bez przerwy chodzenie w półśnie, od 12-stéj w Sobotę w nocy do 10-téj rana w Niedzielę, daléj dwógodzinna odrętwiałość, nareszcie somnambuliczne uśpienie. Mówiła w niém, że to chodzenie przy muzyce zbawiennie wpłynęło na jéj zdrowie, że z téj przyczyny stopniowo się pomniejszy liczba godzin tych sobotnich paroksyzmów, tak, że w następną Sobotę chodzić będzie tylko godzin 9, daléj 8, 7, 6, i t. d. W owych niedzielnych jasnowidzeniach po każdym sobotnim paroksyzmie, w obecności zawsze licznych świadków, pacjentka zalecała sobie pewną ilość pjawek, wezykatorje, napój, lekarstwa, i t. p., przepowiadała na cały przeciąg tygodnia stan swego zdrowia, paroksyzmy, długość ich trwania, formę, środki uśmierzające,— mówiła, że obecność matki przy jéj cierpieniach jest szkodliwą, i t. d.

Oprócz przepowiedzianych paroksyzmów i jasnowidzeń, zdarzały się one u obu pacjentek i przypadkowie z powodu ich czemś z-irrytowania, lub uchybienia przepisom,— czego, pomimo całéj troskliwości familji, nie podobna było się ustrzedz. Jasnowidzenia wówczas były krótkie i nie tyle czyste. Środki rozbudzające z uśpienia, zalecane wówczas przez młódszą pannę B—skę, nosiły na sobie cechę jakiéjś dziwaczności, i według mniemania niektórych osób, jakiejś cudowności. Np. w rzędzie tych rozbudzających środków, jakiémi były: włożenie do ust jéj kilka ziarek prostego pieprzu, lub jednego gorzkiego migdału, lub natarcie skroni rozwiedzionym krochmalem,— zdarzały się następne: przynieść mi listek téj a téj rośliny, znajdującéj się w takim-to wazonie, na takiém-to oknie, w takim-to domu,— lub podać mi chustkę, znajdującą się w kieszeni takiéj-to osoby, i t. p. Powiadają, że w podobnych, krótkochwilowych jasnowidzeniach, pacjentka zgadywała, że w takim-to, wymienionym przez nią domu, gra muzyka, że w takiém-to miasteczku (Borysowie) w téj chwili odbywa się zabawa tańcująca, i t. p. W somnambulicznėm zaś u-

śpieniu, które następowało po sobotnich paroksyzmach i półsenném chodzeniem przy muzyce, pacjentka mówiła bez tych nadzwyczajności, jaśniéj, i tylko o swojéj kuracji. Snać ruch i muzyka, a może i obecność licznych osób, magnetyzując ją, daleko czystszémi robiły jéj widzenia.

Oto są krótko zebrane z ust wiarogodnych fakta,— resztę ich (od 19 Listopada do 26 Grudnia), jako naoczny świadek opisuję. Nie można na to się nigdy zgodzić, aby jasnowidzenie, objawiające się samo przez się u niektórych osób, lub wywołane magnetyzowaniem, t. j., aby somnambulizm i sen magnetyczny, były jakimś supernaturalnym stanem człowieka,— stanem w którym dusza, czy też indywidualny duch człowieka, wyzwolony na czas z pod warunków materji, posiadał niby jakąś własność proroczą, jakąś cudowną wszechwiedzę, bez poprzedniczych zasobów nauki i sztuki. Nie można wierzyć, aby w udoskonalonym stopniu jasnowidzenia, ów duch ludzki mógł wybiegać za granice czasu i przestrzeni, znać wypadki, dziejące się gdzieś za morzami, lub rozpowiadać dokładnie o jakiémś przyszłém wydarzeniu, wynikłém ze zbiegu okoliczności i krzyżujących się z sobą rozmaicie ludzkich czynności. Świat duchów jasnowidzącéj z Prevost, mistyczne powieści Kernera, szarlatańskie fakta dzisiejszych francuzkich magnetyzmofilów słusznie do bajek *tysiąca i jednéj nocy* zaliczają. Od protoplasty Mesmera do PP. Dupôtet i Testa, nikt z nich nie mógł przekonać zdrowo myślące głowy o supernaturalizmie jasnowidzeń i snów magnetycznych,— o stanie ducha, wyzwolonego z pod warunków materji. Lecz oprócz supernaturalistów, bajaczów o jakichś stopniowo rozszérzających się okręgach istnienia, po których szczeblując duch ludzki, przechodząc niby od życia czysto-źwierzęcego do prawie-boskiego, nabywa na ostatnim szczeblu własność proroctwa i wszechwiedzy,— są ludzie, którzy, chociaż w cudowną nadzwyczajność nie wierzą, łatwo jednak do rzędu supernaturalistów zaliczyć się dają. Są to, że tak nazwę, ultranaturaliści. Oni dowodzą, że cały świat umysłowy i uczuciowy, całe pasmo wypadków dziejowych, bez względu na przeszłość i przyszłość, wszelka czynność pojedyńczych istot, jest następstwem uharmonizowanéj przez siłę życia materji. Stąd wszystko, co się działo, dzieje i dziać będzie wszędzie i na każdém miejscu, znajduje się w ścisłym, koniecznym, jakby fatalicznym związku z organizmem wszech-świata, a zatém i z organizmem każdego pojedyńczego człowieka, owym dziwnym mikrokosmem. Myśl więc pojedyńczego człowieka, jako najsubtelniejszy rezultat najdoskonalszego, skoncentrowanego organizmu, mo-

że niekiedy, w skutek owego związku, mieć zdolność wszechwiedzy, bez względu na czas i przestrzeń, t. j. może posiadać własność prawdziwego prorokowania o wszystkiém, wiedzenia co się wszędzie dzieje i działo. Nie będę tu wcale zbijał mniemania ani tych, ani owych amatorów proroctwa i wszechwiedzy. Zapytam tylko, jak u tych ludzi pojmuje się zło i dobro, zasługa pojedyńczego człowieka, jego wola, jego samodzielność?—jak się pojmuje postęp ludzkości?— Bo przypuściwszy możność wiedzenia ze szczegółami odległéj przyszłości,— trzeba przypuścić koniecznie, że ta szczegółowa przyszłość już jest fatalicznie przedpisaną, już nieodmiennie tak, a nie inaczéj ziścić się mającą.

Lecz u nas mało jest super- i ultra-naturalistów. U nas jest druga, inna ostateczność. U nas szczególniejsza panuje niewiara w oczéwiste fakta, a jakaś warjacka extazja nad cudownością tam, gdzie najprostszy zdrowy rozsądek wcale jéj nie postrzega. U nas jest razem wiele głów przemądrych i niedowarzonych, zgadzających się z sobą wszakże na też same dążności, bo idea rubla kulminuje na ich wspólnym, umysłowym horyzoncie. Gdzie się nie święci jego przyjście, tam nie cierpienie, ale szarlatanizm,— nie instynktowe wołanie o zaradcze środki, ale rozmarzona wyobraźnia się widzi.... Nadzieja pożądanego skądkolwiek rubla każe jednym zamiast lekarstw przepisywać jakąś kolory-zowaną wodę, drugim lać obficie swe łzy na bruk miastowy, chodzić kolanami w około zwyczajnego muru,— innym drukować jakieś chińskie dramata, innym jeszcze, széroko rozprawiać o bogobojności, świątobliwości, duchowości, nosząc ciało nie duchowie się wypuklające....

Trzeba raz na zawsze odróżnić magnetyczne sztuki, należące do rzędu przedstawień Cagliostro, Pinetti, przy których zdumiona publiczność nie odgaduje, jakim sposobem przed jéj oczyma się dzieją nadzwyczajności, a przecież żadnéj im cudowności nie przyznaje,— potrzeba rozróżnić, powiadam, od prawdziwych somnambulicznych *) fenomenów, gdzie organiczna siła pacjenta, w skutek samejże choroby, bez— lub przy pomocy magnetyzowania, jako

*) Pod wyrazami *fenomena somnambuliczne*, *sen somnambuliczny*, rozumiemy, dla uniknienia powtarzań i— *jasnowidzenie*, *objawiające się bez obcych wpływów* i— wywołane magnetyzowaniem, t. j. *jasnowidzenie w śnie magnetycznym*, bez względu na to, jest-li ono jasnowidzeniem najczystszém, najbardziéj doskonałém (clairvoyance), czy tylko tak zwaną przez doktora Franka *somniacją*.

dzielna przeciw niej reakcja, występuje zaradczo. Osoba cierpiąca, egoistycznie swemi bolami oddzielona od spraw zewnętrznych i w sennem marzeniu widząca tylko swą chorobę, instynktowie stara się ją uleczyć za pomocą kiedyś słyszanych, znanych, a teraz wspomnionych środków. Widzimy, jak zwierzęcy instynkt psa *np.*, w razie jego gastrycznych cierpień, każe mu jakby machinalnie szukać uleczającej rośliny. Podobnież i człowiek może niekiedy nabywać jakieś instynktowo-lekarskie dla siebie przeczucie. Za pomocą mowy udziela jego innym, bo ma dar słowa i bez pośrednictwa innych, nie mógłby sobie zaradzić, przeczuwszy nawet ku temu sposoby. Stąd pochodzi ta różnica snu zwykłego od somnambulicznego. W pierwszym bywają senne widzenia, utwory tylko pamięci, fantazji, wyobraźni *),— w drugim obrazy siłą instynktowego przeczucia stworzone, a cierpieniami organizmu wywołane,— i razem chęć wypowiedzenia ich czuwającym osobom. Stąd to w śnie somnambulicznym wysilanie się na mowę, bo we śnie jakiegobądźkolwiek rodzaju, gdy strudzone wypoczywają zmysły, niezmiernie trudno zbudzić choć jeden z nich ku działalności, bez zewnętrznych wrażeń, samą tylko wolą śniącego **).

W uśpieniu somnambulicznem, zapewne z przyczyny nienormalnego stanu nerwów, czy jak niektórzy twierdzą, z przyczyny nie normalnego krążenia po organizmie toków elektro-magnetycznych, (która to nienormalność przy magnetyzowaniu bardziej się powiększa, bo wtedy dwóch organizmów toki, t. j. magnety-

*) Wyrazy te przyjmujemy tutaj w znaczeniu popularnem, nie określając je ściśle naukowie, psychologicznie. Objętość bowiem i cel niniejszego artykułu nie dozwala zbytnie się rozszerzać.

**) Np. we śnie zwyczajnym, gdy przerażeni jakiemś strasznem marzeniem, chcemy krzyczeć lub uciekać,— ni głos, ni nogi nam nie służą, bo zdrowy, choć znużony nasz organizm, nie słucha sennej naszej myśli. Przeciwnie w lunatyzmie, czyli tak zwanym *noktambulizmie*, senne widzenia, owe utwory pamięci, fantazji, wyobraźni, przy doskonałem uśpieniu innych władz człowieka mocą choroby, oblekają się w jakieś pewne, porządne formy i jakby przeobrażając się w rozumną myśl człowieka, imponują jego organizmowi,— a oszukany organizm, jak gdyby wiedziony rozumną wolą, czystą myślą, posłusznym jest sennym rojeniom. Że u lunatyków widzimy jakąś nadzwyczajną zręczność *np.* łażenia bez szwanku na wysokoście, nic dziwnego. Przy doskonałem uśpieniu władz innych, usilona pamięć i samozachowawczość zwierzęca, strzegą go w niebezpieczeństwach

zującego i magnetyzowanego, razem jedno-krążenie odbywają),— spoczynek zmysłów jest zupełnie różny, jak we śnie zwyczajnym, a zmysł dotykania, zastępując inne, doskonalszéj działalności nabywa. Ta nowo nabyta własność dotykania rozciąga się po całéj powierzchni ciała, koncentrując się w dołku podłyżkowym. Chociaż na pannach B—ch, prób pod tym względem nie robiono, z obawy narażenia ich na bolesne paroksyzmy, mieliśmy jednak zręczność zauważania niektórych fenomenów, potwierdzających powyższe uwagi. Podczas paroksyzmów pacjentek, mianowicie podczas interwallów między epileptycznémi konwulsjami zapełnionych kataleptycznem zdrętwieniem, lub jakąś bezczuciową melancholją, lub obłąkaniem, przy głośnym spazmatycznym śmiechu, płaczu, lub łkaniu, one nic nie słyszą, nic nie widzą, mając nawet oczy otwarte. Klaskanie lub głośne wołanie nad uchem, nagłe zbliżanie świécy lub jakiegoś przedmiotu do oczu, żadnego na pacjentkach nie robiły wrażenia, a przecież czuły one obecność wszystkich w pokoju znajdujących się osób, prawie znały ich chęci,— niekiedy rozumiały, nie słysząc, co mówiono, i wiedziały, nie widząc, co robiono do koła. Powonienie również było uśpionem. Dym od cygar działał przez skórę zarówno narkotycznie na każdą część ciała, gdy ammonjak, podniesiony do nosa, nie robił żadnego wpływu. Po bezpośredniem dotknięciu się z kimkolwiek, nawet po dotknięciu się za pośrednictwem przedzielającego powietrza, pacjentki, mając nawet zamknięte oczy, poznawały osobę. Stąd czuły one natychmiast choćby najcichsze wejście matki,— a dotknięcie się jéj nawet sukni do pacjentek, sprawiało konwulsyjne drżenie. Możnaby więc wnosić, że inne zmysły traciły własność udzielania mozgowi zewnętrznych wrażeń i wyręczały się zmysłem dotykania, wysilonym po całéj powierzchni ciała.

W uśpieniu somnambulicznem do jasnych, czystych widzeń, wszakże nie supernaturalnych, mogą się mieszać ślady fantazji, nałogów, upodobań śniącéj osoby,— może się mącić myśl natężona, przy tylu przeszkodach od warunków materji. Nie dziw więc, że w przepisach jasnowidzenia często się postrzega jakaś dziwaczna mistyczność, jakaś— uśmiech wywołująca, formalność. *Np.* młódsza z panien B—ch, zalecała pewnego razu, aby o 12 godzinie któś z bliskich osób lewą swą ręką rozkroił winne jabłko na 4 części,— to jabłko ma być gotowanem w kwarcie wody przez godzin 4, a wywar ten ma być pacjentce dawany za napój. Widzimy tutaj, że krojenie lewą ręką i o 12 godzinie, dziwaczném jest zaleceniem, gdy o wielkości jabłka, zdaje się, dość ważnym

warunku, jasnowidząca nic nie wspomniała *). Podobnież starsza niekiedy objawiała w swych przepisach jakąś mistyczną formalność. *Np.* trzymała się w nich stale upodobanéj przez się liczby 8, prostéj, lub dzielonéj, mnożonéj przez jaką inną. I tak zalecała dozwolić jéj po paroksyzmie 8 minut pauzy, późniéj trzeć jéj przez 16 (8 X 2) minut ręce i nogi 4-m osobom (jak się wyrażała: połowie ośmiu), postawić na lewym boku 48 (8 X 6) pjawek, włożyć w prawą kieszeń jéj sukni, przed konwulsjami, 8 ziarek prostego pieprzu, dawać jéj za napój wywar kwarty wody z 1 łyżki żyta, 1 łyżki pszenicy, 1 łyżki owsu i 1 figi, razem gotowanych, i t. p. Podobne leki niktby nie poczytał za zbawienne, gdyby ich użycie przez pacjentek nie okazywało się na

*) Napój ten był zaleconym przez młódszą pacjentkę d. 4 List., z zastrzeżeniem, aby ostatnie 3 łyżki tego napoju zachować na dzień następny. W chwili zdrowéj przytomności, gdy pacjentka go piła, ktoś z obecnych dla próby ją upraszał, aby nic nie zostawując, wszystko wypiła. Żadnym sposobem nie chciała na to się zgodzić. Pozostały napój dziwnym trafem na 3 tylko łyżki starczył, jak gdyby pacjentka przy piciu mogła tak akuratną ilość umyślnie zostawić. Przez niewiadomość służącéj ta resztka napoju była precz wylaną, o czém pannie B—skiéj nie wspomniano wcale. Nazajutrz, podczas piérwszego sobotniego paroksyzmu, pacjentka odezwała się w półśnie: „Dla czegoście nie zachowali napoju? Te 3 łyżki jego, com „zostawiła, potrzebnémi byłyby jutro dla zbudzenia mnie. Przedłu„żacie tém mój paroksyzm. Niech więc teraz ktokolwiek rozpuści „szczyptę soli w szklance wody zimnéj i da mnie jutro jéj się na„pić, gdy oznajmię porę zbudzenia.” Do dziwaczności, a razem jakiejś supernaturalności zaleceń pacjentek, którą uważać należy tylko za traf, zgodny przypadkowie z przepisem,— odnosi się następna okoliczność. Starsza panna B—ska przepisywała niekiedy sobie za napój infuzję z pieczonych poziemek, bez innych formalności. Pewnego zaś razu dodała, aby tylko na 16 jagód nalać wrzącéj wody jedną szklankę i dawać jéj to do picia w oznaczonych porach, mianowicie o 8-miu minutach po 3-ciéj, po 6-téj, po 9-téj, po 12-téj godzinie. Przez zapomnienie, poziemki za nazbyt długo się piekły i prawie na węgiel się obróciły. Lecz dziwnym zdarzeniem z kwarty prawie tych spieczonych jagód, ucalało ni mniéj ni więcéj jak 16, t. j. tyle, ile było potrzeba. Zdziwieni tą fataliczną przypadkowością, bacznie przebieraliśmy wszystkie poziemki. Żadnym sposobem, choćby na największą potrzebę, ani jednéj już więcéj ucalałéj jagody nie mogliśmy wynaleść.

fakcie skutecznem i gdyby nie sprawdzały się co do joty ich przepowiednie co do paroksyzmów. Szarlatanizmu, udawania nie było tu żadnego. Bo i cóż byłby za cel szarlatanienia dwóm młodym, dobrze wychowanym osobom, tak męczenia siebie okropnie lekami, które przepisywać nie każdyby się lekarz odważył? Niezmierna ilość pjawek, zalecana przez pacjentki, nabawiała nawet lekarzy obawą, aby nie zrodziło to suchot. Co za cel ściągania na siebie rozmaitego rodzaju gawęd salonowego i brukowego gminu, co szkaluje bolejącą rodzinę? Co za cel zwracania na się uwagi miejscowéj władzy, narażania siebie na wielkie wydatki?— O, kto raz widział długie, okropne sceny paroksyzmów, a wie, jak cierpiące były osłabione ciągłą djetą i ciągłém krwi upuszczaniem,— kto raz był świadkiem ich jasnowidzeń;— ten pewno się przekonał o prawdzie i ze współczującém sercem nad cierpiącémi, uznał całą potęgę dziwacznéj naszéj natury, całą niemoc sztuki, całą nikczemność potwarców.

Dla udoskonalenia widzeń somnambulicznych, dla nadania im czystszéj jasności, lub dla wprowadzenia cierpiących nie-somnambulistów w ów stan nienormalny, a razem zbawienny, umiejętne magnetyzowanie ważną jest rzeczą. Lecz gdzież szukać téj umiejętności?— Fizjologja odpycha od siebie badanie nad somnambulizmem, zwąc go stanem chorowitym,— patalogja, albo do kuglarstw go zalicza, albo, widząc niezaprzeczone fenomena, chrzci go jakimś zapaleniem, irrytacją nerwów, cierpieniami mozgu, i t. p.,— terapja o magnetyzowaniu ani chce nawet słyszeć. Magnetycznym zaś specjalnym teorjom, co chwila budowanym, i co chwila wywracanym, nie podobna zaufać. A życie wciąż płynie, nie bacząc na kursa akademickie i księgi uczone, płynie tajemniczym swym korytem, co raz nowémi połyskując fenomenami.... Być może, trzeba wiele jeszcze pracować nad elektro-galwanizmem, nad życiem organiczném, by tak zwany zwierzęcy magnetyzm wznieść na stopień teorji. Być może, wszelkie dziś kuszenie się ku temu jest zawczesne. Proby takich teorji, dzisiaj, przy nadzwyczajnych pracach nad fizyką, chemją organiczną, fizjologją,— niżéj nawet stoją od uczonych fantazji Poszmana, Hufelanda, de Reder, etc.,— fantazji, improwizowanych przed 30 laty. Drogą zaś sumiennego Franka mała liczba myślących chce chodzić. Lecz wróćmy do faktów.

Panny B—skie, w chwilach swych wolnych od cierpień, nic wcale nie pamiętają, ani o paroksyzmach, ani o jasnowidzeniach. Otaczający nie namieniają im o tém z obawy ich smucenia, lub narażenia na nowe paroksyzmy. Zapewne pozostają w ich pa-

mięci jakieś mdłe o tem ślady. Pacjentki ulegały przepisanemu przez siebie leczeniu, poddając się żądaniom troskliwéj rodziny z jakiémś dziecinném bez zeznania zgadzaniem się. Starsza niekiedy nie chciała być posłuszną swéj kuracji,— a gdy przez jéj upor zaniedbaném cóś było, gorzko się żaliła w jasnowidzeniu na nieczułą opieszałość blizkich jéj osób. Łagodne i wyrozumiałe w normalnych swych chwilach, cierpiące w czasie paroksyzmów lub jasnowidzenia, stawały się egoistycznémi, jak dzieci. Tłómaczyły się w somnambulicznym śnie językiem czystym, wyrażeniami rzewno-prostémi, bez wszelkiéj przesady, pomimo powtarzań niektórych wyrazów. Nazywają osoby zaimkowie: *ty*, *on*,— a nigdy po imieniu lub nazwisku. Nie wybiegają nigdy po za-granicę swéj wiedzy, swych wiadomości. Przepisy ich nie wykazują wcale cudownéj jakiejś znajomości materji medycznéj lub receptury. Ograniczają się środkami, zapewne słyszanémi kiedyś w życiu. Na pytania, nie tyczące się ich cierpień, nic nie odpowiadają. W postępkach i słowach pacjentek podczas paroksyzmów i jasnowidzeń, przebija się religijne wychowanie. Muzykę obie lubią namiętnie, a mianowicie młódsza, zalecająca ją sobie, jako najważniejsze lekarstwo w swéj chorobie,— chociaż starsza zna muzykę daleko lepiéj od swéj siostry. Przepowiadane przez pacjentek paroksyzmy sprawdzały się jak najakuratniej. Nie przepowiedziane trafiały się z powodu ich z-irrytowania, lub zaniedbania jakiegoś z ich przepisów. Stąd nie było jednego prawie dnia, wolnego od cierpień dla panien B—ch, wolnego od niepokoju dla całéj rodziny. Mianowicie nocy były trudniejszémi do przebycia. Paroksyzmy pacjentek składały się głównie z konwulsij epileptycznych, t. j. wyprężań się, łamań całego ciała, z przyczyny niezmiernego bolu w kości pacierzowéj. Pauzy zaś między takowémi konwulsjami w coraz rozmaitszych formach się przedstawiały. To osłabienie, ta kataleptyczna odrętwiałość, to jakaś cicha melancholja,— to długi, krzykliwy śmiech spazmatyczny, to płacz, bez żadnego głosu, w obfitych łzach się objawiający, to jęki bolesne, to nareszcie wesołe obłąkanie, w którém dowcip, dar poznawania charakterów, antypatja do niektórych osób, siła fizyczna, nadzwyczajnie się powiększały;— oto były fazy interwallów między konwulsjami. Być może, młódszéj panny B—skiéj boleści były większe, lecz okazywała się daleko cierpliwszą od siostry. Przy somnambulicznem uśpieniu starszéj, bardzo mała liczba osób mogła być obecną, a w dniach ostatnich tylko PP. S. Ch. i F. R. Młódsza zaś przeciwnie, usypiała i mówiła w jasnowidzeniu przy licznych świadkach; można było wnosić, że gwar, szum towa-

rzystwa w czasie jéj paroksyzmów, a mianowice muzyka, śpiewy, sobotnie chodzenie, usposabiały ją do wyższych jasnowidzeń. Stąd somnambulizm starszéj panny B—skiéj, zdaje się, nie bywał tyle doskonałym, co młodszéj. Tamta nie tyle się wysilała na mowę w uśpieniu, więcéj dziwactwa było w jéj przepisach, więcéj egoizmu i niesprawiedliwości w wymówkach, czynionych za nieakuratność, więcéj antypatji do niektórych osób w chwilach obłąkania. Antypatię zachowywała nawet w stanie zdrowym ku tym, którzy mimowoli czémś jéj się narazili podczas paroksyzmów,— sama nie wiedząc dla czego. Nareszcie u młodszéj nie było wcale uporu w przyjmowaniu lekarstw,— zgadzała się chętnie na wszelką kurację *).

De supernaturalizmu możeby kto zaliczył odgadywanie przez pacjentek czasu co do minuty, nie widząc zegarka;— poznanie w przybyłym, nieznanym dotąd gościu— lekarza, (co się zdarzyło za wejściem miastowego doktora pana Poznańskiego, a drugi raz za przybyciem Inspektora miejscowego lekars. zarządu, pana Powstańskiego, chociaż ani jednego, ani drugiego pacjentki nigdy w swém życiu nie widziały);— zgadywanie myśli cudzych;— w żartach wykazywanie doskonałéj znajomości charakterów;— sprawiedliwa antypatja do niektórych ludzi, etc.,— co wszystko rzeczywiście miało miejsce podczas chwil obłąkania panien B—ch. Lecz, co się tyczy czasu, samo cierpienie, liczące, być może, co do sekundy upływające chwile, łatwo ten fenomen odgadnięcia tłómaczy, przytém zegary bijące wciąż oznajmują godziny. Co do poznania lekarzy w nieznanych gościach, drobne, niepostrzeżone okoliczności zapewne pomocniczémi się stały, *np.* szepty czyjeś w przedpokoju, że ten a ten przyszedł, mogły dolecieć do uszu pacjentek. A jeśli to się zdarzyło podczas pół-somnambulicznego ich snu, nic dziwnego, że one za pomocą nowo-rozwiniętego zmysłu, który zastępował wszystkie inne, słyszały nawet najcichsze mówienie w odległym pokoju, co zdrowym osobom niepodobieństwem się zdaje. Zgadywanie myśli cudzych z rysów fizjognomji; poznanie czyjegoś charakteru z głosu, chodu i całéj powierzchowności;— nareszcie antypatja, mimowoli się rodząca ku osobom,

*) Starsza zalecała w swém uśpieniu, aby podczas jéj paroksyzmów i jasnowidzeń zwierciadła były zakryte. Młodsza nie wymagała tego; lecz w paroksyzmie, skoro tylko w zwierciadło się zapatrzyła, natychmiast słabiała. Snać dwojenie się w niém przedmiotu, rozbudzało w niéj uśpioną zdrową myśl i nagle przerywając stan somnambuliczny, przyprawiało o słabość.

zasługującym na nią;— to wszystko zdarza się codziennie i zwyczajnym ludziom. Tylko przyzwoitość, grzeczność i inne społeczne warunki potłumiają w nas ten instynkt człowieczy. Być może on się doskonali w somnambulizmie, jakby w zamian utraconych na czas tylu władz innych, któremi człowiek normalny się szczyci.

Jasnowidzenia starszéj panny B—skiéj odbywały się, jak mówiłem wyżéj, o godzinie 9 wieczorem. W jedném z nich, czuła się słabą, dotkliwie wymawiała panu S. Ch. (chociaż niesłusznie), że nic nie jest troskliwy o jéj zdrowie, że każde z zaniedbań kuracji ją gubi, że choroba się przez to przedłuża, że straszna przyszłość ją czeka, jeśli daléj podobnież nie będą spełniać jéj zaleceń, że na przesilenie dnia z nocą (t. j. z 9 na 10 Grudnia) dom cały będzie świadkiem jéj okropnych cierpień, i t. p. Daremno pan S. Ch. powiadał jéj, że wszelkie zaniedbanie w kuracji pochodzi jedynie z jéj uporu w przyjmowaniu lekarstw,— pacjentka nic nie odpowiadała. Drugiego razu, oprócz zwykłych dla siebie zaleceń, pacjentka tak mówiła w uśpieniu do pana S. Ch.: «Jesteś osłabiony i masz na twarzy wysypkę,— to od znu«żenia, niepokoju wewnętrznego i od małego przeziębienia. Ale «nie lękaj się,— mnie to nic nie szkodzi. Będziesz zdrów za dni «5. Powinieneś tylko nie wychodzić z domu, częściéj leżeć, za«chować ścisłą djetę, pić za napój rumianek,— a po jakimś cza«sie na parę tygodni wyjechać na wieś.” I rzeczywiście po 5 dniach, przy zastosowaniu się do tych przepisów, pan S. Ch. zdrów był zupełnie. Oprócz zwykłych, o 9 godz. wieczorem, co dzień lub przez dzień, starsza panna B—ska miewała jasnowidzenia i w innych porach, w skutek paroksyzmów.

Lecz nie mogę się powstrzymać od szczegółowego opisania jednego z jéj paroksyzmów.

Dnia 20 Listopada, o wpółdopiątéj wieczorem pacjentka pogrążyła się w pewien rodzaj melancholji i przez 2 godziny, nie mówiąc do nikogo ani słowa, trwała w tym stanie. O wpółdosiódméj odrętwiała. Nogi i ręce zziębły, twarz przybrała jakiś bolesny wyraz, oczy wpół-zakryte, osłupiałe. Wszelkie ocierania rąk i nóg nic nie skutkowały. Ammonjak, wielokrotnie podawany, nie działał na powonienie. I tak, jakby martwa, więcéj dwóch godzin siedziała na łóżku w swoim sypialnym pokoju. Spodziewano się, że za nadejściem saméj 9-téj musi mieć jasnowidzenie. Odbywało się ono zawsze w przyległym pokoju na sofie. I rzeczywiście, o 50-ciu minutach na 9-tę cierpiąca głęboko westchnęła i zamknęła oczy. Wyraz twarzy złagodniał,

ręce i nogi pocieplały. Pacientka wstała i z zamkniętémi oczyma przeszła do drugiego pokoju. O saméj 9-téj zaczęła, jak zwykle, mówić w somnambuliczném uśpieniu. Długo przepisywała sobie rozmaite leki, nakoniec powiedziała, że wnet po zbudzeniu się będzie miała 8-godzinny paroksyzm, że przez cały ten czas powinno być w pokoju 8 mężczyzn, oprócz pana S. Ch., — że nikt, prócz niego, niepowinien jéj się dotykać, choćby padała i uderzała się, że będzie miała epileptyczne łamania wszystkich członków, w pauzach zaś będzie zziębniętą, odrętwiałą, lub obłąkaną. Żeby ją «na miłość Boga" niczém nie irrytowano, bo inaczéj, oprócz tego, będzie musiała przecierpieć wciąż przez godzin 16 jeszcze większe, okropniejsze męczarnie. Po upływie tych 8 godzin, dla zbudzenia jéj z odrętwiałości, powinni wszyscy obecni dotknąć się do niéj jednocześnie prawémi swémi rękami: jeden do ramienia prawego, drugi do lewego, trzeci do prawéj ręki, czwarty do lewéj, i t. d. do kolan, do stóp. Po takowém przepowiedzeniu, pacjentka się ocknęła i zdziwiła niezmiernie, gdy bez jéj zapytania, 8 osób, oprócz pana S. Ch., weszło do pokoju. W téj liczbie, prócz blizkich krewnych, znajdował się odstawny półkownik pan Jasieński, major P. Mokrzycki, radca kollegialny *Feliks Rumbowicz* i inni. Paroksyzm się zaczął od obłąkania. Z niezwykłą siłą, nieodpowiednią swemu osłabieniu, cierpiąca zaczęła szybko chodzić po pokoju, porządkując meble, wyrzucając za drzwi dość ciężkie sprzęty, sadzając gwałtownie na krześle każdego, co powstał, i t. p. Późniéj odbierała od wszystkich zegarki, pierścienie, obrywała guziczki od maniszek, nic metalowego nie cierpiąc. Porwały ją potém epileptyczne konwulsje i przez półgodziny wyprężała się, łamała z bolesnym jękiem. Nie podobna opisywać wszystkich okropności tego jéj 8-godzinnego paroksyzmu,— wszystkich przejść, jak przepowiedziała, od gwałtownego obłąkania, do konwulsij, wyprężań się, drętwień, padań na ziemię. Sympatyzując ze stanem pacjentki, byliśmy naprzemian to przerażeni jéj boleściami, to uweseleni aż do pustego śmiechu jéj dowcipnémi, lecz trafnémi żartami do obecnych osób, podczas cichszych chwil obłąkania. Następna okoliczność rozstroiła nas zupełnie. Dwie nowo-przybyłe osoby, chcąc zamienić obecnych, weszły do pokoju. Ubiór ich, z przyczyny wojskowéj służby, lśkniący się jaskrawie, okropne wrażenie zrobił na cierpiącéj. Krzyknęła przeraźliwie i uciekłszy do sypialnego pokoju, z jękiem konwulsyjnie wyprężać się zaczęła. Przybyłe osoby wyszły i jedna z nich, przebrawszy się po cywilnemu, weszła znowu dla proby. Cierpiąca po konwulsjach i następującém po

nich odrętwieniu, powoli weszła także; lecz zaledwo spójrzała na tęż samą osobę, krzyknęła znowu i padła na ziemię. Sądziliśmy zatém, że nie odzienie jaskrawe, lecz jakaś antypatja była powodem powiększonych cierpień, bo chociaż zmieniały się dotąd obecne osoby przez inne, a podobnych następstw nie było. Po niejakim czasie weszła jeszcze nowa osoba, nieznajoma cierpiącéj. Powstał ten-że sam krzyk przeraźliwy i podobneż konwulsje. Postanowiono więc nie zmieniać się obecnym *). Po kilku minutach cierpiąca odezwała się do pana S. Ch. z bolesno-gorzkim wyrzutem: «I ty mnie chciałeś probować!" **) Potém, załamawszy ręce, z jękiem zawołała: «O Boże! szesnaście godzin cierpienia!" Ta dotkliwa wymówka przeraziła nas wszystkich, a mianowicie tego, do kogo była zwróconą. Lecz pan S. Ch. wziął cierpiącą za rękę i głosem męzkiéj pewności przemówił: «Bądź spokojną,— być nie może, abyś jeszcze 16 godzin tak cierpiała,— wszyscyśmy przekonani, że to być nie może. Miéj ufność, wzmocnij ducha, zwróć się ku Bogu, pomódl się do Niego!"— I cierpiąca machinalnie usiadła na sofie, załamała ręce, wzniosła w górę wzrok błagalny i nieruchoma ciałem, uleciała gdzieś duchem wysoko.... Uroczystą była ta chwila. Tęskne światło lampy, osłonionéj ciennikiem, w półmroku pogrążało cały pokój. Tajemniczéj ciszy nikt z obecnych nie śmiał przerwać nawet oddechem. Cierpiąca— w czarnéj sukni, z wierzchu cielistym pudermanem okryta, wydawała się jakimś antycznym, marmurowym posągiem. Bo zdrętwiałe jéj ciało— swą letargiczną nieruchomością i jakby skrystalizowanym wyrazem postawy, oczu, liców,— kazało nam mniemać, że widzimy tylko kamienny jakiś posąg, wyobrażający bolejącą modlitwę, a duch znajoméj nam dziewicy ulatuje po nad nami.... Chwil kilka przeszło i cierpiąca ozwała się swym cichym, somnambulicznym głosem: «Klęknijcie!" i sama klękła. Wszyscyśmy uchylili kolan i ten-że sam głos, dziwnie, na nerwy nie przywykłych, działający, zabrzmiał następną modlitwę: «Panie Boże, któryś tak ukochał ród ludzki, wybaw mię od tych 16 godzin męczeństwa!" Mimowoli u wielu obecnych łzy w oczach stanęły. Cierpiąca wstała, długo chodziła po pokoju, po

---

*) Niekiedy starsza panna B—ska do takiego stopnia posuwała w paroksyzmach swą antypatję do niektórych osób, że kazała im wychodzić, lub gwałtownie pochwyciwszy, sama wypychała z pokoju. Dotknięcie się do fotelu nawet, na którym niecierpiana osoba siedziała, przyprawiało pacjentkę o konwulsje. Pewnego razu porwała taki fotel i z nadzwyczajną siłą cisnęła go za drzwi.

**) «I tyż, Brutusie, przeciwko mnie?" (*Red.*)

raz ostatni konwulsyjnie się wyprężyła i upadłszy— zdrętwiała. W tym stanie przetrwała minut 16. O saméj prawie 6-téj zrana, według jéj przepisu, obecni dotknęli się rękoma jéj ciała i cierpiąca zbudziła się zupełnie przytomną. Nie mając najmniejszego zeznania, co się działo przez godzin 13½, mocno była zdziwiona tą obecnością kilku osób o niezwykłéj porze, uskarżała się na słabość i już dzień cały podnieść się z łóżka nie mogła.

Ostatnie somnambuliczne uśpienie starszéj panny B—skiéj bez magnetyzowania, było 4 Grudnia, o godzinie 6-téj zrana. Po kilkugodzinnych cierpieniach i długim letargu, pacjentka pogrążyła się w somnambulizm. Lecz zamiast przepisywania sobie leków, użalała się tylko na niepilność pana S. Ch., który zniecierpliwiony nareszcie niesprawiedliwémi wymówkami, zawołał: «Porzuć te kaprysy,— bo i cóż po twoich radach, kiedy ich na jawie żadnym sposobem nie chcesz spełniać." Na co pacjentka cicho odpowiedziała w uśpieniu: «Rozbudź mię,— to raz ostatni mówiłam— więcéj już mówić nie będę." Od téj chwili nie wiedziano co począć, bo pacjentka już nie usypiała jak zwykle o 9 godzinie, a paroksyzmy, mianowicie chwile obłąkania, co raz silniejszémi się stawały,— cierpiąca prawie do szaleństwa w nich dochodziła. Pewna okoliczność domowa powiększyła to obłąkanie. Było to ubycie z domu jednéj osoby, która— przez swą troskliwość przy chorych, prawie niezbędną się stała. Chociaż pannom B—skim nie mówiono o tém wcale, jednak starsza przeczuciem odgadła, co się z tą osobą zrobiło,— i w chwilach obłąkania chciała uciekać z domu, by się z nią widzieć,— pisała listy do tych, którzy mogliby to widzenie się ułatwić,— zamierzała jechać,— ubierała się, i t. p., obchodząc się gwałtownie z każdym, co się sprzeciwiał jéj chęciom. Być może, nie było to wcale somnambuliczne przeczucie, lecz tylko zwykły domysł o wypadku, zrodzony z poprzedniczych okoliczności. Takie domysły i u ludzi zdrowych, normalnych się trafiają. Dziwném jest wszakże, że cierpiąca traciła ten domysł w chwilach zdrowéj przytomności i wierzyła małym zmyśleniom, którémi otaczające osoby chciały ją uspokoić, bo rzeczywisty wypadek dosyć był smutnym.

Tymczasem zbliżał się stanowczy dzień przesilenia dnia z nocą, i panowie S. Ch. i F. R. postanowili naprzemian magnetyzować starszą pannę B—skę, by sztucznym sposobem zbudzić w niéj przeszły dar swego leczenia. I tak, dnia 6 Grudnia, pan S. Ch. poprobował ją magnetyzować po raz piérwszy, używając najprostszego sposobu prowadzenia rękami wzdłuż ciała. Po ośmiu minutach takiéj manipulacji, pacjentka usnęła, i piérwszym jéj wy-

razem było: «Zbawiłeś mię!" Mówiła daléj, że będzie najświęciéj słuchała i przyjmowała lekarstwa, że sama już nie jest w stanie usypiać, że trzeba ją koniecznie magnetyzować. Wyznaczyła ku temu godzinę, ze szczegółami zainformowała, jak to się ma odbywać, przepisała lekarstwa, napój, ocierania, i t. p. Podobne magnetyzowanie odbyło się dnia następnego przez pana S. Ch., a 8-go Grudnia przez pana F. R., i podobneż somnambuliczne mówienie z niejakiémi odmianami miało miejsce. Pacjentka mówiła, że po raz ostatni trzeba ją będzie magnetyzować o 16 minutach po 12 godzinie w nocy z 9-tego na 10-ty Grudnia, i że wtedy opowie wszystko, jak należy. Usypiała ona niekiedy i w chwilach paroksyzmowego obłąkania, za przeprowadzeniem tylko przez pana S. Ch. ręką po jéj czole, lecz widzenia jéj wówczas były mętne i miały na sobie ślady przeszłego stanu. Powtarzała też same, nie dające się nigdy wykonać projekta, jakie będąc nieprzytomną robiła;— co się tyczy zaś swéj kuracji, zalecała też same środki, jakie w jasnowidzeniu czystém, w skutek regularnego magnetyzowania, przepisywała. Przeciwnie, w czystém jasnowidzeniu, nic a nic nie wspominając o owych projektach, ograniczała się tylko swą kuracją. Jest to jednym z dowodów, że przepowiadanie sobie zaradczych środków w uśpieniu somnambuliczném wynika jedynie z instynktowo-źwierzęcego przeczucia, co się w człowieku siłą cierpienia rozbudza,— nigdy zaś nie powinno być uważaném za jakiś supernaturalny, uduchowniony stan człowieka.

Nastał nareszcie dzień 9 Grudnia. Starsza pacjentka czuła się mocno słabą, jęczała lub wpadała w odrętwienie. O saméj prawie 9-téj wieczorem zaczął się straszliwy konwulsyjny paroksyzm i trwał prawie bez żadnéj przerwy do saméj 12-téj. Cierpiąca z najokropniejszym jękiem wyprężała się, łamała, tarzała się po ziemi. Nadzwyczajna boleść w przerażające ruchy wprawiła cały jéj organizm. Domowi, świadkowie dwóletniéj choroby panny B—skiéj, przyznali, że ten paroksyzm przewyższał wszystkie poprzednie swą okropnością. Kilkunastu doktorów, cały kwiat wileńskiéj medycyny, przypatrywało się tym męczarniom. Rzecz jednak dziwna, że jeden z widzów nie tylko w somnambulizm, lecz nawet w cierpienia te nie wierzył. I aż trzeba było późniéj opatrywać osłabione ciało pacjentki, by nowych Tomaszów wyprowadzić z wątpliwości. Liczne sińce i i świeże blizny po całém jéj ciele, przekonały przecież, że paroksyzm nie był udawaniem. O saméj 12-téj pacjentka zdrętwiała i 16 minut znajdowała się w tym stanie. Gdy pan S. Ch

(według zalecenia) zaczął ją magnetyzować, usnęła natychmiast, lecz nie odpowiadała na żadne pytanie. I magnetyzowanie przez pana F. R. nic nie pomagało. Lekarze wezwali nowo-przybyłego pana M—go, aby jeszcze sprobować magnetyzowania, bo PP. S. Ch. i F. R. nazbyt byli znużeni. Po kilku minutach wodzenia rękami w zdłuż ciała pacjentki, w odległości na kilka cali, pan M—ski zapytał: «Co ci mówić przeszkadza?"— «Ty «i inni świadkowie,"— odpowiedziała. «Rozbudzić mię dotknięciem, «a po 48 minutach od téj chwili niech mię tylko (t. j. PP. S. «Ch. i F. R.) magnetyzują bez świadków— będę mówiła wten-«czas." Po zbudzeniu czuła się bardzo słabą i wkrótce w kataleptyczny stan się pogrążyła. Po upływie 48 minut, w skutek zaleconego przez się magnetyzowania, pacjentka mówiła w uśpieniu témi słowy: «Ja nie mogłam przedtém mówić dla tego, że «mię męczono okropnie. Tym, co chcą wiedzieć, udzielcie co «mówię. Magnetyzowanie już mi teraz nic nie pomoże, bom «mocno osłabiona. Paroksyzmów konwulsyjnych, przynajmniéj «tak wielkich, nie będzie,— chyba mię bardzo czém zirrytują. «Tylko będę często nieprzytomną— smutną— odrętwiałą. Nie-«kiedy będę się śmiała niezmiernie,— wówczas niech mię pil-«nują, bo będę uciekała z domu. Dziś było przesilenie choroby, «od dnia dzisiejszego miałam być zdrową, lecz kuracja zle się «odbywała, często z moich, często z waszych uchybień, i dla te-«go się przedłuża. Sobie radzić już nie mogę. Niech mię le-«czą doktorowie, trzymając się moich przepisów, a 4-go Marca «mogę być zdrową. Do 4-go Marca nie będę w stanie powstać «z łóżka. Niech moim ordynatorem będzie *on*, pod dyrekcją «*dwóch doktorów* *). Niech w swych zaleceniach zachowują stale «liczbę 8. Naprzykład, jeśli będzie potrzeba stawienia pjawek, «to ni mniéj, ni więcéj, jak 48 na lewym boku, 64 wzdłuż ko-«ści pacierzowéj, za uszami po 16, na skroniach po 8, pod no-«sem 4. Po 64 dniach od dzisiejszego dnia zrobić mi trzy za-

---

*) Na zapytanie: kto ten *on*? i jacy są ci *dwaj doktorowie*?, pacjentka milczała. Trzeba było wyliczać nazwiska znanych lekarzy i przy każdém nazwisku pytać: czy nie ten? Na wszystkie inne milczała, na trzy zaś nazwiska odpowiedziała: *tak*. Doszli takim sposobem, że ordynatorem ma być pan Poznański, pod dyrekcją PP. Powstańskiego i Rymkiewicza. We śnie somnambulicznym i w pauzach między konwulsjami, t. j. podczas półuśpienia, pacjentki traciły pamięć nazwisk. Oznaczały osoby albo zaimkowie, albo przymiotnikowie, np. o slugach mówiły: niech przyjdzie ta wysoka, ta niska, i t p."

«włoki, które powinnam nosić do 4 Marca,— jednę na patelicy, «drugą na piersiach, trzecią na lewym boku. Przeciągać je «w dwa dni. Wszystko, co ma się robić ze mną z rady leka-«rzy, niech się robi zawsze o 16 minutach po jakiejkolwiek bądź «godzinie. W lecie, przez jeden miesiąc trzeba mi wód siar-«czanych,” Na zapytanie: czy Stokliskich (w powiecie Trockim, gubernji wileńskiéj)? odpowiedziała: «Dobrze. Liczba wanien,” mówiła daléj: «picie wody, i t. p. zależeć będzie od lekarzy. «Nie irrytować mię niczém, broń Boże, bo od tego choroba i jéj «kuracja się przedłuży.” Na zapytanie: jaka jest przyczyna two-jéj choroby? pacjentka milczała. Na powtórzenie pytanie ode-zwała się: «Powiedźcie tylko doktorom, że główném mojém cier-«pieniem jest okropny ból szpiku w kości pacierzowéj. Niech «się starają, aby ten ból nie przeszedł do mozgu,— wówczas «zostałabym obłąkaną na zawsze.” Na zapytanie: jak twoję sio-strę leczyć potrzeba?— odpowiedziała: «Siostrze nic radzić nie «mogę. Rozbudźcie mię.”

Od tego czasu pacjentka zostaje pod troskliwą kuracją pa-na Poznańskiego. Miewa niekiedy, jak sama przepowiedziała, chwile nieprzytomności, w których albo jest pogrążoną w głę-bokim smutku, albo dziwnie wesołą, śmiejącą się bez przyczy-ny i razem chcącą jakimkolwiek sposobem wymknąć się z do-mu. W krótką katalepsję wpadała razy kilka. Wyjąwszy te chwilowe paroksyzmy, jest słabą i powstać z łóżka nie może.

Młodszéj panny B—skiéj przepowiedziane sobotnie paroksyz-my, chodzenia senne przy muzyce, odrętwiałość i potém jasno-widzenia, odbywały się rzeczywiście. Miało ich być 12, lecz z przyczyny wypadku, o którym niżéj powiémy, było ich tylko 6. Stopniowo o jednę godzinę ukrócały się senne chodzenia. I tak, 5-go Listopada chodziła pacjentka godzin 10, 12-go Li-stopada godzin 8, 26-go List. godzin 7, 3-go Grudnia godzin 6. W nieprzepowiedzianych paroksyzmach, co się wydarzały od zirrytowania, za ściśnięciem tylko przez kogokolwiek jéj ser-decznego palca, pacjentka usypiała i mówiła somnambulicznie. Lecz to mówienie wówczas zawsze było krótkie i słabe.

Podczas jednego z jéj paroksyzmów, pan Prz—ski, kandydat filoz. peters., uniw., by uśmierzyć cierpienia pacjentki, zaczął ją lekko magnetyzować, używając sposobu, zwanego: *uspokoje-niem.* Panna B—ska usnęła natychmiast. Później otwarła oczy w uśpieniu, przyciskała ręce pana Prz—go do swéj głowy, tar-ła je w swoich rękach, jakby chcąc pożyczyć u niego jakąś ilość elektryczności. W krótkich pauzach jasnowidzenia mówiła

cicho, że o saméj 12-stéj w nocy (było wtenczas 13 minut na 12-stą) będzie mówiła wyraźniéj i dłużéj, bo teraz jest za słabą,— że będzie miała konwulsyjne paroksyzmy o wpół do 1-széj, o saméj piérwszéj, o wpół do 2-giéj, i że o saméj 2-giéj one ustaną. Zaleciła, aby ten-że sam pan Prz—ski, dla uciszenia jéj bolów, brał ją wtedy za ręce, uściskał głowę, ocierał jéj ręce kolońską wodą i t. d. Gdy zapytano, jakiego zegarka trzeba się pilnować przy wypełnianiu jéj zaleceń, odpowiedziała, że zegarka pana R—cza. Przed samą 12-tą ktôś głośno się odezwał, że już pora mówienia: «Jeszcze za półtory minuty,” przemówiła pacjentka, mając wciąż oczy zamknięte. I w istocie, zegarek pana R—cza wskazywał to samo. O saméj 12-téj powstała i jakby nabrawszy świéżéj siły, stanęła wyprężona przy stoliku, obrócona ku północy. Postawszy 5 minut, sztywno i powoli obróciła się na zachód i 2½ minuty postała,— potém na południe i podobnież 5 minut zatrzymała się,— nareszcie obróciła się na wschód i również 2½ minuty stała. Znalazłszy się na piérwszém położeniu, t. j. ku północy, kazała przyzwać matkę i— nad spodziewanie obecnych, wzięła ją za rękę. Dotknięcie się bowiem do pacjentki, podczas paroksyzmów, jakiéj kobiéty, a najbardziéj matki, choćby tylko suknią, wprawiało ją zawsze w konwulsje. Snać siłą woli zmusiła się do tego kroku, bo widać na niéj było jakieś boleśne wysilenie się i drżenie całego ciała. Upadła nakoniec u stóp matki i cichym, somnambulicznym głosem, przerywanym ciężkiemi oddychaniami, podobnémi do łkań bez płaczu, trzymając wciąż rękę matki, błagalnie mówiła: «Niech mama «raczy darować— niech mama nie bierze tego za zło, że jéj o«becność przy naszych cierpieniach jest bardzo szkodliwą. Bo «nikt z otaczających nas osób nie jest tyle do nas przywiąza«nym,— nikt tyle nie czuje, nie cierpi nad naszą chorobą, ile «mama. Widok więc mamy tak zgubnie na nas wpływa.” Rozrzewnił nas wszystkich, ten nad moc organizmu, akt dziecięcéj miłości. Po tém wysileniu się pacjentka osłabła, a paroksyzmy w przepowiedzianych przez nią porach co do sekundy się ziściły. Pan Prz—ski zrobił uwagę, że gdy dla uśmierzenia konwulsij cierpiącéj trzymał ją za obie ręce i potém przypadkowie dotknął swémi włosami jéj czoła, objawiło się jednocześnie w obu organizmach wstrząśnienie. Objaśniał on fenomen ten następnie. Po połączeniu rąk, w dwóch organizmach tok elektromagnetyczny jedno krążenie odbywa, i stąd kierunek jego w jednéj osobie jest przeciwny kierunkowi swemu w drugiéj. Przy dotknięciu się włosów jednéj osoby do czoła drugiéj, przeciwne kie-

runki toku zlewają się w jeden, krążenie nagle się przerywa sprawia wstrząśnienie, t. j. nagły powrót do normalnego stanu.

W Niedzielę rano, dnia 27 Listop., po 7-godzinném sóbotniém chodzeniu, jak zwykle zaczynającém się po konwulsjach o 12 godzinie w nocy,— po następnéj 2-godzinnéj odrętwiałości, młódsza panna B—ska, przepowiadała w jasnowidzeniu, że przez cały następny tydzień będzie wolną od cierpień, że ją tylko napadać będą perjody obłąkania, że wtedy trzeba ją rozrywać muzyką, że w przyszłą Sóbotę, gdy tylko 6 godzin chodzić będzie, opowié najdokładniéj ostateczną swoją kurację, i t. p. I w rzeczy saméj przez kilka dni następnych miewała obłąkanie. Były to jakieś ciche, bez żadnéj myśli, czynności, lub żartowanie z obecnych, trafne pod względem charakterów, lub niekiedy ciąganie kogoś po pokoju, obracanie na wszystkie strony. Objawiała się w niéj wówczas nadzwyczajna siła. Niekiedy, jakby dla nabycia elektryczności, tarła swe ręce o czyjeś ramiona. Im kto był zdrówszym i silniejszym, tym częściéj podlegał takowym operacjom. Niekiedy obłąkana śmiała się krzykliwym, długim, podobnym do głośnego łkania śmiechem. Paroksyzmy te kończyły się zwykle nagłém uśnięciem. Po kilku minutach przebudzała się zupełnie przytomną i widząc się ocknioną w obecności kilku osób, pogrążała się w jakąś wstydliwość dziecięcia, co przypadkiem zasnąwszy u stołu, zbudzi się nagle i postrzeże swój błąd mimowolny. Nie raz ta rzewna wstydliwość łzy z jéj oczu wyciskała. W chwilach-to obłąkania młódszéj panny B—skiéj, zauważaliśmy ową somnambuliczną bezwładność zmysłów, wyjąwszy zmysł dotykania, który w zastępstwie innych, nabierał jakiéjś cudownéj własności.

W oczekiwaną Sóbotę, dnia 3 Grudnia odbył się zwykły konwulsyjny paroksyzm. Daléj, po 6-godzinném wpółsenném chodzeniu przy muzyce, i 2-godzinnéj odrętwiałości, pacjentka mówiła w somnambulizmie. Zaleciła jeszcze przedtém, aby dla jéj zbudzenia, kiedy skończy mówić, 12-stu mężczyzn dotknęło się jednocześnie do jéj głowy, ramion, rąk i stóp. Nigdy mówienie pacjentki nie było tak dokładném i wyraźném, jak tą razą,— trwało ono 25 minut. Oto są prawie dosłówne jéj odpowiedzi na zapytania pana Prz—go. «Co ci robić należy?”— O. «Potrze«ba mi w Poniedziałek postawić po 10 pjawek na skroniach, po «14 za uszyma,— a we Wtorek 64 po obu stronach kości pa«cierzowéj. Lekarstw żadnych nie dawać.”— «Jak długo trwać «będzie twoja choroba?”— O. «Do 4-go Listopada następnego (t. «j. 1850) roku. Oprócz pozostałych jeszcze 6-ciu sóbotnich pa-

«roksyzmów, przez te 6 tygodni w inne pory paroksyzmów nie «będzie. Tylko bardzo często będę smutną, lub nieprzytomną. «Muzyka lub śpiewy byłyby wtedy bardzo mi pomocne. Po u-«pływie tych 6 tygodni, paroksyzmy przypadać będą w coraz «większych odległościach, t. j. co dwa tygodnie, daléj co 3, co «4, co 5 i t. d. Ostatni będzie 4-go Listopada— bardzo lekki. «Zirrytowanie się jednak może mię narazić na konwulsje. Do «4-go Listopada nie powinnam jeść mięsa, a bardzo rzadko co «kwaśnego i to w małéj ilości. Przez 2 miesiąca letnie, Czer-«wiec i Lipiec, trzeba mi brać wanny siarczanne."—«Do jakich «wód powieść cię należy?"— O. «Do jakichkolwiek, byle tylko «siarczannych." Tu z najmniejszémi szczegółami opowiedziała ile brać wanien, o jakiéj porze, przez ile minut,— ile i jak pić wodę siarczanną, ile i kiedy używać przechadzki, etc. «Jaka jest «przyczyna twoich cierpień?"— O. «Mocne zirrytowanie się. «Wspomnienie nawet o tém teraz bardzo mię przeraża. Są tu «niektóre osoby, co wiedzą o téj przyczynie. Niech tylko dzień «24 Czerwca przypomną. (Wypadek ten wiadomy jest tylko ro-«dzinie państwa B—ch.) Byłabym zdrową wcześniéj, lecz czę-«ste z-irrytowania się powiększyły chorobę, mianowicie w dzień «4-go Listopada." (Było to przypadkowe spotkanie się z siostrą, gdy ta w chwili paroksyzmu biegła obłąkana. Wzrok siostry tak ją przeraził, że dostała natychmiast konwulsij. Zdarzenie to usposobiło ją do perjodycznych sobotnich paroksyzmów i do następującego zawsze po nich jasnowidzenia). «Czy nie możesz «czego starszéj siostrze poradzić?"— O. «Jak ja jéj, tak również «ona mnie— radzić nic nie możemy. Ona zapewne sama siebie wy-«leczy, przytém jéj cierpienia są daleko słabsze od moich. Co «do najmłodszéj, wody siarczane bardzoby jéj pomocniczémi by-«ły." (Trzeba wiedzieć, że najmłodsza panna B—ska, która liczy lat 10, znajduje się teraz na wsi. I ona zaczyna już poczuwać niekiedy ból w kości pacierzowéj, lecz o tych jéj początkowych cierpieniach nic a nic obie pacjentki nie wiedziały, mówiły przecież o tém w jasnowidzeniu). «Czego ci więcéj jeszcze potrzeba?"— O. «Powinnam w czasie kuracji czegoś się bardzo «przelęknąć lub nadzwyczajnie uradować, byłoby to niezmiernie «skuteczném."— «Jakże ciebie przelęknąć?"— O. «Nie— to nie «od was zależy. Powiedziałam tylko, że byłoby to skuteczném." Po wielu jeszcze drobnostkowych zaleceniach pacjentki, obudzono ją, według przepisu, dotknięciem się do niéj 12 osób. Ocknęła się zupełnie przytomną, nie czując się nawet słabą.

Przez całą Niedzielę i Poniedziałek młodsza panna B—ska

była prawie zdrową. Zdarzały się tylko czasem krótkie chwile jakiegoś rzewnego zadumania. Lecz w Poniedziałek wieczorem (5 Grudnia) uległa ona okropnemu przypadkowi. Starsza siostra była w paraksyzmowym obłąkaniu. Przeraźliwy krzyk jéj doleciał do uszu młódszéj. Trafiło się naówczas, że przy młódszéj znajdowała się tylko jedna służąca, która nie mogła się spodziewać, aby nieprzytomny stan jednéj siostry mógł się sympatycznie udzielić drugiéj. Na zapotrzebowanie przez pacjentkę wody, służąca wyszła. Korzystając z nieostróżności całego domu, młódsza panna B—ska, już w stanie obłąkania, szybko wyskoczyła z pokojów. Przebiegłszy całą galerję, przeszło sto kroków, długą,— o ciemnéj porze i nie znając miejscowości, trafiła w swym biegu na wschody. Spadnięcie po nich z piętra musiało być okropne. Znaleziono pacjentkę leżącą na śniegu w odrętwieniu. Przyniesiona do pokoju, okazała czucie, lecz była bardzo słabą. Nie mogła się poruszyć, a każdy oddech był jakby konającéj jękiem. Po takim stanie następowały czasem chwile paroksyzmowe. To zrywała się z łóżka, chcąc biegać po pokoju, to bezprzytomna śmiała się, żartowała z obecnych, to wyprężała się konwulsyjnie. Rzecz dziwna, że po tak bolesném spadnięciu, po zbiciu całego ciała, czego dowodziły mocno poczernione od sińców plecy, bok cały, zranienie ramion,— pacjentka tyle siły życia okazywała w paroksyzmie. Niekiedy w przelotnych chwilkach pół-przytomności, pół-snu somnambulicznego, żałośnie skarżyła się na swoje cierpienia,— wątpiła, aby żyć mogła,— błagała z dziecięcém przymilaniem się, aby nie dawać jéj żadnych lekarstw, nie stawić pjawek, aby ją raczéj dobić, skrócić męki, i t. p. Stan taki trwał do 7-méj godziny wieczorem we Czwartek (dnia 8 Grudnia). Zebrani na konsyljum liczni wileńscy lekarze przypatrywali się cierpiącéj, brali za puls i nic nie uradzili. P. Poznański przepisał był anti-hemoroidalne proszki, lecz stan pacjentki nie dozwalał żadnych lekarstw przyjmować. Zalecone przez nią w niedzielném jasnowidzeniu pjawki nie podobna było stawić. Nakoniec we Czwartek wieczorem odzyskała przytomność, cóśkolwiek zjadła po trzech dobach cierpień, żaliła się na bole od zbicia się, i t. p.

Jak widzimy, spadnięcie ze wschodów nie było przepowiedzianém przez pacjentkę. Bo trafy, przypadki, ze zbiegu okoliczności się zdarzające, nie mogą być objęte instynktowo-źwierzęcém przeczuciem, którém zowiemy przepisywanie sobie kuracji w uśpieniu somnambuliczném. Tak i lekarz, dobrze przeświadczony o skuteczności jakiego lekarstwa, przepisuje je choremu, nie mo-

gąc wcale przewidzieć tych przypadków, jakie przyjęciu lekarstwa przeszkodzą.

Nazajutrz zrana, (dnia 9 Grudnia) pacjentka mocno cierpiała jęcząc. Obecni zauważali, że daje się w niéj postrzegać usposobienie do magnetyzowania, gdyż przyłożona do jéj czoła czyjaś ręka uciszała na moment bole. Pan Prz—ski, jakby instynktem wiedziony, zaczął ją magnetyzować o godzinie 11-téj zrana. Pacjentka usnęła natychmiast, lecz mówić zaczęła aż po 14-stu minutach magnetycznéj operacji. Mówiła więcéj półgodziny. Powtarzamy tu bez najmniejszéj zmiany jéj słowa.

P. «Mów, czego ci potrzeba.” O. «Ja nie będę dziś mówiła «przez dzień cały. Będę zdrętwiałą lub słabą aż do 12-téj go«dziny w nocy. Dziś przesilenie dnia z nocą— pora bardzo sta«nowcza. Jeśli dożyję do 12-téj w nocy, czego się nie spodzie«wam, to wyzdrowieję. Żadnych mnie lekarstw już nie dawać.” P. «A później, co z tobą robić?”— O. «Kiedyż ja do 12-stéj po«dobno nie dożyję!”— P. «Ale mów koniecznie, co z tobą ro«bić, jeśli dożyjesz do 12-stéj.” (Po pauzie.) O. «Po 12-stéj «przez 5 minut ocierać mnie stopy i ręce pieprzowym spirytu«sem z flanelą, przez jedną minutę krzyż. Jutro o 12-stéj w dzień «postawić z jednéj strony kości pacierzowéj 30 i z drugiéj 30 «pjawek. Paroksyzmów sobotnich więcéj nie będzie, bo z po«wodu mego spadnięcia choroba się przesilała i zaczął się inny «kierunek leczenia. Będą się zdarzać lekkie paroksyzmy od każde«go z-irrytowania się. Będą to momenta nieprzytomności,— wów«czas będę chciała wychodzić i uciekać z domu.”— P. «A jak «znowu spadniesz?”— O. «Nie spadnę— możecie mnie pilnować, «ale nie przeszkadzać wyjściu i nie sprzeciwiać się. Przez 6 ty«godni trzeba co poniedziałek lub co sobotę stawić po 60 pjawek, «rozliczywszy je tak, aby za każdym razem starczyło na posta«wienie za uszami, na petelicy i na krzyżu. Po 6 tygodniach «postawić wezykatorję na kości pacierzowéj, szérokości twoich «dwóch palców, długości ćwierć łokcia. 1-go Maja będzie bar«dzo silny paroksyzm, trwający dzień cały.”— P. «Jakież będą «symptomata tego paroksyzmu?”— O. «Najrozmaitsze. Od dnia «24 Czerwca trzeba mi silnych wód siarczanych przez miesiąc, «a przez drugi— morskich. Doktor (pan Poznański) przepisał mi «lekarstwo. Ono jest bardzo dobre i trafne, ale ja go przyjmo«wać nie będę, bo przeszła pora przyjęcia. Pjawkami i muzyką «siebie uleczę. Jeżeli co zmienić kiedy będę chciała, to— gdy «będę w pół-śnie, przyłożysz mi lewą swą rękę do mego czoła, «a ja powiém wówczas. Wczoraj byli tu doktorowie. Oni chcieli

«z pulsu poznać moją chorobę. Oni albo nie wierzą, albo śmie«szne i najrozmaitsze kładą mych cierpień powody. I nie dziw, «nic takiego nie widzieli, a słyszeli tylko, że kiedyś było cóś «podobnego. Mianowicie jeden... ten jeden najmniéj rozumie i naj«mniéj wierzy.” (Nie można było się domyśleć, o kim to mówi «pacjentka.” Nie chciano dla zadowolenia próżnéj ciekawości męczyć ją pytaniami). «Powiedz im, że jak ród ludzki ciągle się «doskonali, tak również i cierpienia coraz dziwniejsze przybie«rają formy. *Np.* za lat 2,000 cierpienia ludzkie tak się odmie«nią i urozmaicą, że ani podobnémi będą do dzisiejszych i poja«wiać się będą tylko na kobiétach. Im również wierzyć nie bę«dą. Niech ten, co był wczoraj (zapewne pan A—w) pod żadnym «względem mię nie dotyka. Do lata trzeba mię w chwilach nie«przytomności rozrywać, bawić,— a w chwilach zdrowych nie «irrytować niczém, bo to może mię narazić na boleśne konwul«syjne cierpienia. Przy wodach będę prawie zdrową, bardzo «rzadko nieprzytomną. Po wodach pojechać na wieś. Mama dzi«siaj do 12-stéj w nocy niech będzie łaskawą nie wchodzić tu«taj,— późniéj, jeśli przeżyję 12-stą, można się będzie ze mną «widywać. Ja to wymogłam na sobie, bo mi było daleko bole«śniéj i szkodliwiéj wiedzieć, jakeście wmawiali mamie, aby na «jakiś czas wyjechała i jak ona się sprzeciwiała temu.” (Rozmowy téj żadnym sposobem nie mogła słyszeć pacjentka). «Kto «nie wierzy w moje cierpienia, niech nie przychodzi, mianowicie «tamten, o którym mówiłam. Starszéj siostrze nic radzić nie «mogę, a ona, mówiąca często, radzi sobie za słabo.” (Chociaż pannom B—skim, przebywającym w oddzielnych połowach mieszkania, pozwolono niekiedy widywać się z sobą na chwilę w przytomności innych osób, nigdy one jednak nie rozmawiały z sobą o swych paroksyzmach lub jasnowidzeniach i posłyszeć o tem żadnym sposobem nie mogły). «U najmłódszéj będą silne cierpienia, «ale nie trzeba nic robić,— tylko nie trzeba dawać herbaty aż «do lata. Kąpiele siarczanne będą jéj pomocne.”— P. «I ty się «mylisz niekiedy w swoich zaleceniach. Dla czego mówiłaś wczo«raj, aby ci nie stawić pjawek, któreś sama zaleciła w Sóbo«tę?”— O. «Ja się nie myliłam, ale byłam słabą i jasno nie wie«działam, co mi potrzeba. Lecz gdybym pozwoliła postawić pjaw«ki, jak zaleciłam w ostatnią Sóbotę, dostałabym okropnego szu«mu w głowie.”— P. «Czego ci więcéj potrzeba?”— O. «Często «mi potrzeba świeżego powietrza— przejażdżki— a po Maju, jak «można najwięcéj chodzenia; 4-go Listopada będzie paroksyzm lekki, «ostatni. Są tacy, co nie wierzą, dla czego dzień 24 Czerwca

«i 4 Listopada były ważnémi w mojéj chorobie. Niektórzy i te«mu nawet nie wierzą, że trzeba mię trzymać za palec, kiedy «mówię;— lecz ty zapewne wiész, dla czego to się robi."— P. «Spadnięcie ze wschodów czy ci mocno uszkodziło?"— O. «Że «spadłam, to źle i dobrze razem. Lecz więcéj dobrze, bo cho«ciaż się niezmiernie zbiłam, ale przelękłam się bardzo i wstrzę«słam wszystkie żyły, co mi było potrzeba, jak mówiłam w prze«szłą Sóbotę. Nie sprzeciwiać się mnie i nie obchodzić się ze «mną ostro, jeśli chcecie, żebym żyła i nie cierpiała. Obudź «mię położywszy lewą swą rękę na mojém czole."

Od chwili obudzenia się aż do w pół do 11-stéj wieczorem pacjentka była wciąż słabą. Nieruchomie leżąc, jęczała tylko. Od w pół do 11-stéj do saméj 12-stéj w nocy była prawie konającą. Obecni stracili prawie nadzieję jéj życia. Wybiła 12-sta i po otarciu pacjentce, według zalecenia, rąk— stóp— krzyża pieprzowym spirytusem, nagle jak gdyby ożyła, potém jadła, rozmawiała i nazajutrz wstać mogła. Przez cały następny tydzień była prawie zdrową.

Godném jest uwagi odgadnięcie przez pacjentkę, w czasie snu magnetycznego, pory przesilenia dnia z nocą. Gdy bowiem powiadano jéj nazajutrz, że to przesilenie wczoraj miało miejsce i że lękano się stąd wielkiego wpływu na jéj chorobę, zapytywała, co to znaczy przesilenie dnia z nocą, i żądała drobnostkowego objaśnienia. Nie wiedziała wcale daty dnia, bo jéj trzydobowy paroksyzm po spadnięciu, wydawał się jéj jakimś tylko snem krótkim. Te trzy doby były jakby cudownie wyrwane z jéj życia. Wszelkie poprzednie paroksyzmy podobnież snami się wydawały. Stąd może pochodzi dobry humor pacjentek i pozór ich zdrowia w chwilach normalnych, bo o przebytych cierpieniach one nie mają żadnego wspomnienia.

Od Sóboty (17 Grudnia) młódsza panna B—ska miewa prawie codzień chwile nieprzytomności i pół-sen somnambuliczny. Żali się czasem na bicie serca, ból głowy, i t. p. Konwulsij nie było. W Poniedziałek (19 Grudnia), podczas lekkiego paroksyzmu, składającego się z żartobliwego obłąkania, półsennego chodzenia po pokoju,— za przyłożeniem ręki do jéj czoła przez pana F. R—cza, na chwilę usnęła i mówiła somnambulicznie, że co poniedziałek będzie podobnyż paroksyzm. Na zapytanie, czy pjawki, przez nią zalecone 9-go Grudnia, trzeba stawić, odpowiedziała: «Trzeba, po 60 co tydzień, przez 4 tygodni;— bo «przepisałam wówczas, aby przez 6 tygodni co Sóbotę stawio«no po 60, a dwie takie Sóboty już przeszły." Poczém zbu-

dziła się, nie pamiętając, że przed chwilą mówiła, jadła, chodziła, i t. p.

Oto są fakta, których naocznym byłem świadkiem. Ogłaszam je dla sprostowania przesadzonych wieści i potłumienia, o ile można, potwarzy, co się złośliwie rozszerzyły po Wilnie. Pożądaną byłoby rzeczą, aby kto z lekarzy, patrząc z punktu naukowego, opisał treściwie historję choroby i kuracji pacjentek. Lecz ni ciekawość, ni nauka nie przywabiała lekarzy.... Zaledwie wtedy, gdy Rząd miejscowy opiekuńczo wglądnął, cała prawie wileńska medycyna pofatygowała się ku cierpiącym, lecz zapewne dla tego tylko, by popatrzeć i uczenie się uśmiechnąć.... Zacny tylko pan Hubczenko, Radca Stanu, Główny Lekarz Wojennego Szpitalu, raczył często być świadkiem choroby i jasnowidzeń, nigdy swoich rad nieodmawiając. A gorliwy młody lekarz miastowy, pan Poznański, w ostatnich czasach, wszystkie swe chwile, wolne od służby, poświęcił cierpiącym pannom B—skim.

Mniejsza o to, że opisane tu fenomena porodziły w mieszkańcach Wilna jakąś niewiarę, żartobliwe uwagi i t. p. O tém bowiém, czego się nie widzi, jak chcąc można sądzić. Krewni tylko i znajomsze osoby były świadkami prawdy i więcéj bolały nad cierpieniami panien B—skich, jak zdumiewały się nad somnambulizmem. Dokoła zaś śmiano się ochoczo jak z cierpień, tak i z instynktowéj kuracji. Nie trzeba się temu dziwić. Już się należy z tém oswoić, że skrzywiona fałszywą cywilizacją natura ludzka bardziéj do drwiącego śmiechu, niż do współczucia, do litości— jest skłonną. Widzimy przecież codzień, jak się ludzie ochoczo śmieją, gdy kto pośliznąwszy się upadnie i boleśnie się skaleczy,— śmieją się, nie zaś żałują i biegą z pomocą. Dziki człowiek rzadko się śmieje, a więc śmiech, jak niektórzy twierdzą, musi być wyrażeniem postępu i przeto szkodliwym być nie może.

Lecz nie podobna przebaczyć tym, u których w duszy, zamiast współczucia i litości, nie śmiech, lecz jakaś zjadliwa złość się wyradza i rozlewa széroko w szkalujących domysłach, potwarzach. Przebacz, łaskawy panie, że nie mogę się powstrzymać w oburzeniu. Mimowoli przychodzą mi na myśl słowa naszego wieszcza, który zapewne do takich to ludzi, wykrzyknął z boleścią: «Nie mam na was hańby słowa, Nie— że język mój «ubogi,— Lecz, że czystą nasza mowa, Nadto piękna, nadto święta, Jak z niebieskich krain wzięta,— By was nazwać po imieniu!”.... Jak bowiem nazwać po imieniu te osoby, co wykwint-

nie popatrzywszy przez szkiełka jakąś chwilkę na cierpiące, odzywają się potem po salonach: «*C'est un scandal!* widziałem, jak «jedna, nie wyglądająca wcale na chorą, wsparta na ramieniu «młodych mężczyzn, używała kilkogodzinnej przechadzki po po«koju,— jak drugiej mężczyzni tarli stopy rękoma."... Jak bowiem nazwać po imieniu tych, co to kiedyś, przed potopem, w owe błogosławione czasy, zasłużywszy na jakąś tam rozgłośną sławę, odpoczywają teraz (według wyrażenia pana Kraszewskiego) jak psy na wyleżałem, ciepłem miejscu i burczą na wszystko, co im się dziwnem wyda,— którzy radzą bibliją leczyć cierpiące, a do rozdziawionych swych czcicieli odzywają się na ucho: «To zapewne cóś tam kommunistycznego się święci... to ja«kaś socjalistyczna sekta"..... O ludzie!— wam się wszystko wyda kommunizmem, bo nic wspólnego już z żyjącymi ludźmi nie macie! Wam się już nie dzielić z nikim ani sercem, ani boleścią, ani myślą, ani nauką.... Lecz dosyć o nich.

Odtąd, jak świadkami paroksyzmów i jasnowidzeń panien B—skich zaczęły być takie osoby, jaką jest naprzykład: znany ze swéj uczoności pan Mikołaj Malinowski,— professor b. Wileńs. Uniw. pan Hryniewicz,— Doktor Hubczenko i inni, nie podobna już i najzłośliwszym ludziom, dla rozmaitości rozmowy po salonach wileńskich szydzić i potwarzać oczewiste fakta. Lecz i najwiarogodniejsze osoby nie zdołają zawiązać usta gminowi, co nędzotę swego serca i swéj głowy dobrym bytem i powierzchownym polorem okrywa.

Przyjm, łaskawy Panie, wyraz należnego szacunku, etc.

Walerjan Kępis.

1849 r. Grudnia 26 dnia. Wilno.

ale pomiarkowawszy przez [illegible] jakim [illegible] na [illegible] od-
[illegible] się jednym [illegible]. Cóż [illegible] tak
[illegible], nie [illegible]. Wsparta na [illegible]
[illegible] się po-
[illegible] — Już [illegible]" [illegible] Jak ko-
[illegible] od tej Alcidy, przed potęgą
[illegible] na dziś [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] — [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible] — [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]

Wilhelm Kaja.

[illegible]

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO

LITERATURZE, UMIEJĘTNOŚCIÓM I SZTUCE

Poświęcone.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

ZESZYT V.

TOM II.



WILNO.

Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1850.

Drukować pozwolono z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy. Wilno dnia 17 Lutego 1850 roku.

Spraw. Obow. Cenzora Radźca Kolleg. i Kaw.

A. Muchin.

PRZYGODY CZŁOWIEKA,

KTÓRY SPRZEDAŁ SWÓJ CIEŃ.

POWIEŚĆ

FANTASTYCZNO-KALIFORNIJSKA.

(*Dokończenie*).

V.

Było jeszcze rano, kiedy głosy osób sprzeczających się w przedpokoju, rozbudziły mię. Zacząłem się przysłuchiwać. Bendel nie wpuszczał do mnie Raskala, który klął się, że rozkazu od równego sobie słuchać nie będzie, i upierał się gwałtem wejść do mojego pokoju. Poczciwy Bendel zrobił mu uwagę; że może stracić miejsce, jeżeli się ja o tém dowiem; Raskal odgrażał się użyć siły, jeżeli będzie mu dłużej przeszkadzał.

Na pół odziany, z gniewem otworzywszy drzwi, rzuciłem się do Raskala.

—«Czego chcesz, hultaju?"

Odstąpił na dwa kroki i z krwią najzimniejszą wyrzekł: «najpokorniej upraszam Jaśnie Oświeconego Księcia i Pana, pokazać mi choć raz cień swój,— a teraz właśnie słońce tak ślicznie świeci."

Zatrzymałem się jak piorunem rażony, i długo słów znaleść nie mogłem: nareście rzekłem: «jak śmiesz, służalcze, do swojego Pana....” On z miną najobojętniejszą przerwał mi: «sługa może być człowiekiem uczciwym, i nie chcieć służyć panu pozbawionemu cienia.”— Cóż było robić? musiałem go zaciąć z innéj strony.— «No Raskalu, poczciwy mój Raskalu, kto ci podał tę myśl, zkąd ci to do głowy przyszło?” Tymże co uprzednio tonem, rzekł on daléj: «są ludzie, którzy utrzymują, że Pan nie masz własnego cienia: albo proszę pokazać go, albo— uwolnić mię od służby.”

Bendel blady i drżący, ale przytomniejszy ode mnie, dał mi znak migiem, abym się udał o pomoc do złota. Napróżno— i ono straciło całą swoją potęgę;— Raskal rzucił mi trzos pod nogi, rzekłszy: «od człowieka bez cienia, ja nic nie przyjmuję.”— Potém odwrócił się i powolnym krokiem, z kapeluszem na głowie, gwiżdżąc głośno, wyszedł z pokoju. Jak skamienieli staliśmy z Bendelem, i w milczeniu, nieruchomie poglądaliśmy za nim. Z ciężkiém westchnieniem, ze śmiercią w sercu gotowałem się wziąść nazad dane słowo i jako przestępca jawić się w ogrodzie ojca mojéj Minny. Wszedłem do cienistéj altanki, nazwanéj mojem imieniem, w któréj mieli mię oczekiwać. Matka spotkała mię z radością. Minna siedziała tamże, blada i śliczna jako śnieg poranny, który w jesieni przyprusza ostatnie kwiatki, i zaraz się w gorzką wodę zamienia. Staruszek z zapisanym papierem w ręku, chodził wzruszony tam i sam,— i zdawało się, że usiłował cóś w sobie zatłumić. Ale twarz jego zwykle nieruchoma, na ten raz zdradzała go— to niezwykłą bladością, to nagłym rumieńcem. W chwili mego wejścia, szybko zwrócił się ku mnie, i przerywanym głosem żądał pomówić na osobności. Miejsce, do którego wzywał, było otwarte i oświecone ze wszech stron od słońca. W milczeniu padłem na krzesło.

Nastąpiło długie milczenie, którego nawet dobra staruszka przerwać nie śmiała.

Staruszek nierównemi krokami biegał wzdłuż altanki i nagle stanąwszy i spójrzawszy na papier, który trzymał w ręku, rzekł do mnie z badawczém spójrzeniem: «Panie Hrabio, czy nie znajomy z Panem niejaki Piotr Szlemil?” Milczałem.— «Człowiek z wyborną duszą i niepospolitemi talentami?...” Oczekiwał odpowiedzi.

—«A jeżeli ja sam jestem owym człowiekiem?...— «Który— dodał, szybko, cień swój utracił?...”— «O przeczucie, przeczucie! zawołała Minna, tak, oddawna już wiedziałam o tém, że on niema cienia!” Rzuciła się w objęcia matki, która przestraszona przyciskała ją

do łona, mówiąc: dla czegoś tak długo skrywała tę tajemnicę?— A Minna, podobna do starożytnej Aretuzy, zamieniła się w źródło łez, które biło bystrzej przy dźwięku głosu mojego i wrzało burzliwiej kiedym się przybliżył.— «I Pan, rzekł znowu z gniewem starzec, miałeś czoło oszukiwać i mnie i to biedne dziecie— z niesłychaną zuchwałością upewniać o miłości i uczynić ją tak nieszczęśliwą! Ciesz się i nasyć się teraz jej cierpieniem. O, jakże to jest okrutnie i nielitościwie!”

Tak się zmieszałem, że jakby w gorączce zacząłem mówić: «wszak w gruncie rzeczy— jest to nic więcej tylko brak cienia,— czyż nie można obejść się i bez niego? a robić tyle hałasu z powodów tak błahych— nie warto.” Wszakże sam głęboko czułem bezzasadność moich dowodów,— nie otrzymawszy odpowiedzi, zamilkłem i dodałem tylko: że co raz się utraciło, to nie idzie zatém, ażeby po raz drugi nie dało się odzyskać.

Lecz on oburzył się na mnie:— «Przyznaj się Pan, przyznaj, jakim sposobem utraciłeś swój cień?”— Musiałem znowu udać się do kłamstwa:— razu jednego jakiś człowiek nastąpił mi na cień, ale tak niezgrabnie, że zrobił w nim wielką szczerbę,— oddałem więc go do naprawy: za złoto, jak Pan wiesz najlepiej, wszystko na świecie zrobić można. Czekam go dopiero z naprawy; obiecano go na wczora.”— A to ślicznie, rzekł starzec, bardzo ładnie! bierzesz się do mojej córki, gdy są i inni, co mają też same zamiary; ja— jako ojciec, powinienem dbać o los jej, więc daję Panu trzy dni czasu: odbierz z naprawy swój cień, jaw się z nim razem przedemną; lecz pomnij— aby był jak raz w porę do Pańskiej postaci: a wtedy— będę rad Panu. W przeciwnym razie daję ci słowo honoru, że za cztery dni córka moja będzie żoną innego.— Probowałem powiedzieć cóś Minnie, lecz ona zapłakała rzewniej i przycisnęła się do matki, która dała mi znak w milczeniu, abym się oddalił. Wahającym się krokiem odszedłem; zdało się mi, że cały świat zamykał się za mną na wieki!

Wyrwawszy się z pod troskliwej opieki Bendela, biegłem na oślep przez pola i lasy; zimny pot kroplami spadał z czoła, głuche jęki dobywały się z piersi; byłem bliski obłąkania.

Nie pomnę jak długo byłem w tym stanie, kiedy nagle na oświeconej polanie, ktoś schwycił mię za rękę. Stanąłem, obejrzałem się,— za mną stał człowiek w szarej kapocie... Zdawało się, że ledwie ducha nie wyzionął goniąc się za mną. I wręcz tak do mnie mówić zaczął:

«Przyrzekłem stawić się przed tobą dnia dzisiejszego, ale ty

nie miałeś cierpliwości doczekać się do końca. Jeszcze nie wszystko stracone: posłuchaj méj rady,— wymienisz swój cień, który zawsze gotowy na twoje usługi i powrócisz natychmiast do swojéj belli. Stary leśniczy rad będzie, z reszty się naśmieją— i koniec. Raskala,— który cię zdradził, a teraz chce się żenić z twoją narzeczoną,— ja biorę na siebie; rozprawię się z nim należycie, bo już nabroił nie mało— i dawno mu pora!”

Stałem jak odurzony: «przyrzekł stawić się dnia dzisiejszego?...” powtórzyłem. Porachowałem czas,— on miał racją: w rzeczy saméj omyliłem się dniem jednym. Zacząłem ręką szukać sakiewki w zanadrzu— lecz on zrozumiał myśl moją i odstąpiwszy w tył na dwa kroki—

—«Nie, Panie Hrabio, zatrzymaj ją przy sobie,— jest ona w bardzo dobrych rękach.”— Patrzyłem z podziwieniem, wparłszy weń nieruchome oczy. Człowiek w kapocie rzekł daléj: «o bagatelkę poproszę go na pamiątkę dla mnie: oto— połóż swój podpis na tym skrypciku.”

Na pargaminie, który mi podał, był następny napis:

«*Własnoręcznym i dobrowolnym podpisem moim przekazuję we władanie na wieczne czasy objawicielowi niniejszego skryptu— duszę moją, po naturalném rozłączeniu się jéj z ciałem.*”

Z niemém podziwieniem poglądałem to na kulasy cyrografu, to na szarego przybysza. On tymczasem umoczył świéżo-zatemperowane pióro w kropelce krwi mojéj, ciekącéj z zadraśniętego palca, i podał mi.

—«Któż jesteś?” spytałem go wreszcie.— «Na co się to zda?” odpowiedział. Czyż tego nie widzisz z méj powierzchowności? Ot sobie biedak, cóś nakształt filozofa, mędrca lub fizyka, co za swoją umiejętność odbiera tylko niewdzięczność od ludzi, i ma jedyną przyjemność na świecie, robić eksperymenta na ludziskach. Ale podpisz się, oto w tém miejscu na prawo: *Piotr Szlemil.* Potrząsłem głową i rzekłem: «wybacz mi Pan Dobr. ale ja tego nie podpiszę!”— «Nie podpiszesz?— zapytał z podziwieniem, a to dla czego?”

—«Widzisz Pan Dobr. mnie wydaje się rzeczą trochę niebezpieczną zamieniać duszę na cień.”— «Tak, tak!” powtórzył: «niebezpieczną!”— i głośno się rozśmiał.— «A za pozwoleniem pańskiem, co to za klejnot tak nieoceniony, ta pańska duszeczka? czy widujesz się z nią kiedy, i co myślisz z nią robić, po swojéj śmierci? Według mnie, powinieneś się mieć za szczęśliwego, że się znalazł amator, który za odtrąconą przez ciebie isto-

tę nieznaną, będącą dla ciebie X-em, za tę galwaniczną siłę magnetycznego działacza— albo jak tam sobie chcesz, nazywaj go— płaci tobie realném, to jest własnym twoim cieniem, który może ci przynieść w korzyści rękę twéj ukochanéj, i posłużyć do spełnienia najgorętszych twych życzeń. Czyż zgodzisz się ustąpić tę niewinną Agnieszkę podłemu oszustowi, jakim jest Raskal? Wreszcie trzeba abyś ją widział własnemi oczami: dam ci *kapelusz cudowny*, który cię uczyni niewidzialnym— tu wyjął cóś z kieszeni— i za jego pomocą, od nikogo nie widzialni, udamy się do Leśniczego. Muszę wyznać, że wstyd mi było zostać wyśmianym przez tego człowieka. Nienawidziałem go z głębi méj duszy i sądzę, że ta instynktowa odraza więcéj niż nabyte wyobrażenia i przesądy wstrzymywały mię od nabycia za cenę cyrografu, tak gwałtownie potrzebnéj mnie rzeczy. Sama nawet myśl przechadzki w jego towarzystwie, była dla mnie nieznośną. Serce moje buntowało się na samą myśl, że ten płaz obrzydliwy, ten duch potępieńczy stanie z szyderstwem pomiędzy mną i moją ukochaną, pomiędzy dwóma oblanemi krwią, rozłączonemi sercami. Uważałem ten wypadek za przeznaczenie losu i odwróciwszy się do szaréj kapoty, rzekłem: «Mój Panie, przedałem mój cień za tę— nader ładną i bez tego, co w niéj jest wewnątrz, sakiewkę— i bardzo żałowałem tego. Jeżeli naszą umowę można zerwać— to Pan Bóg z nią!— Szara kapota potrząsła głową i zrobiła karykaturny grymas. Ja ciągnąłem daléj: a więc ja ci nie sprzedam więcéj nic ani na włos z mojéj własności, nawet za cenę cienia mojego i w żadne podpisy wchodzić nie będę. A ponieważ w skutek téj propozycji przechadzka ma być więcéj przyjemną dla pana niż dla mnie, więc pozwól rozstać się z sobą. Do nóg upadam! do nóg upadam!”

—Bardzo żałuję, Panie Szlemil, że się upierasz, i wypuszczasz z rąk dobrowolnie interesik, który ci po przyjacielsku proponowałem. Zresztą, może innym razem lepiéj mi szczęście posłuży, Do miłego widzenia się? *A propos*, pozwól mi przekonać siebie. że u mnie rzeczy nabyte nie pleśnieją, a chowam je w poszanowaniu i czci.

I wyciągnął z kieszeni cień mój i zręcznie go rzuciwszy po ziemi, rozesłał u nóg swoich, ze strony oświeconéj od słońca tak, że się znalazł pomiędzy dwóma cieniami posłusznemi sobie; gdyż i mój cień musiał mu służyć i zgadzać się ze wszystkiemi jego ruchami.

Kiedy po tak długiem niewidzeniu postrzegłem znowu mój cień, uniżony do tak nikczemnéj posługi, i w chwili, kiedy tak

pragnąłem go posiadać, serce moje pękało z boleści i gorzko zalałem się łzami. Nikczemnik pysznił się z wydartéj zdobyczy i bezczelnie znowu powtórzył mi swoją propozycją:— «Możesz go odebrać nazad,— jeden tylko przycisk pióra,— i ocalisz biédną, niewinną Minnę z pazurów niegodziwca, mówię ci,— jeden tylko rzut pióra.” Łzy polały się znowu potokiem;— ale się odwróciłem i dałem znak aby się oddalił.

W téj chwili przybył Bendel, który z niewypowiedzianą troskliwością wyszukiwał mię wszędzie. Kiedy ten wierny i poczciwy sługa postrzegł mię zalanego łzami, i cień mój, który poznał natychmiast, w posiadaniu szaréj kapoty,— postanowił natychmiast choćby gwałtem powrócić mi moją własność.

Nie wiedząc sam co robić w rzeczy tak delikatnéj, napadł na kapotę i bez ceremonji kazał mu oddać moją własność. Ów zaś, zamiast odpowiedzi, zimno odwrócił się od Bendela i poszedł swoją drogą. Bendel szedł za nim krok w krok, i ciągle nagląc do oddania mi cienia, dawał mu poczuć cały ciężar swéj żylastéj ręki, niezmordowanie pracując na karku nieznajomego, swoją sękowatą pałką. Ów zaś, jakby uzwyczajony do podobnego traktamentu, pochylił naprzód głowę, wygiął grzbiet swój, i w milczeniu, powoli, szedł sobie daléj drogą, ciągnąc za sobą i mój cień, i mego wiernego sługę. Długo stojąc w tém pustém miejscu, słyszałem daleki, głuchy odgłos uderzeń, aż póki nie zamilkł zupełnie.

I znowu sam jeden, jak wprzódy, zostałem się z moim nieszczęściem.

VII.

Zostawszy sam jeden w pustéj okolicy, dałem swobodny bieg łzóm moim, przynosząc tym ulgę strapionemu sercu memu. Nie widziałem ani końca, ani granicy mego nieszczęścia i w męczącéj gorączce upajałem się nową trucizną, którą wlał w moje serce ów nieznajomy człowiek. Kiedy wyobraźnia wyzwała obraz Minny, i ulubione, miluchne jéj lica przedstawiły się mi zbladłe i we łzach, jak je widziałem raz ostatni w chwili mego poniżenia,— znowu nienawistne widziadło Raskala stanęło pomiędzy nami z zuchwałém i złośliwém szyderstwem. Zakryłem twarz moją i biegłem na oślep po pustéj okolicy,— lecz nie było ratunku od groźnego widziadła; pędziło za mną wszędzie i ciągle, aż póki nie upadłem na ziemię i nie zrosiłem ją łzami mojemi.

I wszystkie te cierpienia z powodu utraty cienia! A jednym zamachem pióra mogłem odzyskać upragnioną stratę! Rozważałem w myśli propozycją nieznajomego i moją odmowę. Pusto było w méj duszy. Nie byłem już w stanie ani zdania utworzyć, ani dać sobie rady.

Tak przeszedł dzień cały. Zaspokoiłem głód dzikiemi owocami, pragnienie w blizkim ruczaju; noc nastała i ległem pod drzewem. Chłod poranku obudził mię z ciężkiego snu, w którym zdawało mi się słyszeć jakoby przedśmiertne chrapanie. Bendel zapewna stracił ślad mój, i rad byłem z tego. Nie chciałem już wracać do towarzystwa ludzi, od których uciekałem jako lękliwa antilopa gór. Tak przeżyłem trzy dni bolesne.

Czwartego dnia rankiem, znajdywałem się na piasczystéj dolinie, na obłamku skały, oświeconéj promieniami słońca; lubo mi było teraz nasycać się dawno niedoświadczaną przyjemnością grzania się promieniami słońca. Serce w milczeniu tonęło w rozpaczy.

Nagle przeraził mię lekki szelest. Gotując się do ucieczki, obejrzałem się naokoło: nie było nikogo. Lecz mimo mnie przesunął się po złotym piasku cień człowieczy, dosyć podobny do mego; przechadzał się sam jeden i zdawało się, że się zbłąkał od swego pana.

Nagle powstało w głębi méj duszy silne uczucie. «Cieniu zbłąkany! pomyśliłem sobie, ty szukasz dla siebie pana? Otoż ja cię przywłaszczę sobie.” I rzuciłem się ku cieniowi, sądząc, że jeżeli się uda tak trafić na nogi jego, że te jak raz przypadną do moich, to na nich się utrzyma, i z czasem zupełnie przypadnie.

Jak tylko się poruszyłem, cień zaczął uciekać, a ja musiałem rozpocząć mordującą pogoń za tym lekkim zbiegiem. Silna żądza wyrwania się z okropnego położenia, dodała mi sił potrzebnych do takiéj pogoni. On biegł ku lasowi dość oddalonemu wprawdzie, lecz w cieniu którego mogłem go stracić zupełnie. Widziałem to i strach przeszył me serce, rozpalił chęć moją, dodał skrzydeł pogoni i widocznie zacząłem naścigać go coraz bliżéj. Coraz więcéj i więcéj nacierając, dopadłem go nareście. Ale nagle stanął— i zwrócił się ku mnie. Jako lew na zdobycz, rzuciłem się nań wielkim skokiem— mocne, niespodziane uderzenie o jakieś ciało,— wstrzymało mię. Niewiedzieć zkąd posypały się gradem na plecy moje straszliwe razy, jakie kiedykolwiek zdarzyło się odebrać człowiekowi na ziemi.

Pierwszą czynnością przestrachu było: objąć i ścisnąć konwulsyjnym uściskiem niewidzialną istotę. Istota ta uprzednio niosła, a dopiero rzuciła *niewidzialne ptasie gniazdo*, które czyni

niewidzialnym trzymającego je w ręku, ale nie osłania cienia jego. Zacząłem szukać naokoło oczami i wkrótce postrzegłem cień samego *ptasiego gniazda.* Rzucić się i pochwycić nieocenioną zdobycz, było dziełem jednéj chwili. Niewidzialny i bez cienia!, trzymałem mocno gniazdo.

Szybko powstawszy ów człowiek, zaczął szukać szczęśliwego zwyciężcę, lecz na obszernéj, światłéj równinie nie mógł dostrzedz ani méj postaci, ani cienia, których wyglądał z przerażeniem. Postrzedz uprzednio że jestem bez cienia, on nie mógł— przypuścić, że nie mam go,— było nie podobna. Kiedy się przekonał, że wszelki ślad przepadł, w szalonéj rozpaczy podniosł nad sobą ręce, i zaczął rwać włosy na głowie. Mnie zaś skarb zdobyty pozwalał wrócić znowu pomiędzy ludzi. Nie łamałem sobie głowy nad usprawiedliwieniem się przed sobą samym z niesłusznéj grabieży cudzego dobra, nie czułem wewnątrz siebie potrzeby tego i unikając nawet podobnéj myśli, szedłem sobie naprzód, ani dbając o skrzywdzonego. Smutne jego jęki długo dolatywały do mnie. Tak przynajmniéj mnie się zdawało. Pałałem niecierpliwością dostać się do ogrodu rodziców Minny i przekonać się czy prawdą jest, co wyrzekł mój prześladówca; lecz nie wiedziałem sam gdzie byłem. Dla obejrzenia okolicy wszedłem na bliski pagórek. Z wierzchołka postrzegłem niedaleko, u samego podnoża góry, miasteczko i ogród leśniczego. Silnie zapukało me serce i oczy zalały się łzami tak rzewnemi, jakich dotąd niedoświadczałem nigdy;— miałem ją znowu obaczyć! Ściskająca serce tęsknota, przyśpieszyła kroki moje; spuściłem się na dół po najbliższéj ścieżce i niewidzialny wyminąłem kilku wieśniaków, powracających z miasta. Mówili o mnie, Raskalu i leśniczym;— ale nie chciałem słyszeć niczego i śpieszyłem daléj.

Z trwogą niepewności w sercu wszedłem do ogrodu; jakiś głos zdawało się mi słyszeć na przedzie; zadrżałem, obejrzałem się do koła, ale nikogo nie było. Poszedłem daléj,— ludzkie kroki dawały się słyszeć, ale nie było widać nikogo— wziąłem to za złudzenie słuchu. Było jeszcze rano. W altanie Hrabiego Piotra, ani żywéj duszy: sad był pusty; błądziłem po znajomych alejach, aż póki zbliżyłem się do mieszkalnego domu... Wciąż tenże sam szelest prześladował mię aż tutaj— i jeszcze wyraźniéj; ze ściśnionem sercem siadłem na ławeczce, stojącéj na odkrytém miejscu, naprzeciwko drzwi domu; zdawało się, jakoby jakiś niewidzialny, szyderczy duch usiadł był przy mnie. Klucz pokręcił się we drzwiach, otworzyły się— i wyszedł leśniczy z papierami w ręku. Uczułem, że ktoś nakrył mi głowę jakby mgli-

stym obłokiem— odwracam się— i o dziwo!— przy mnie siedzi człowiek w szaréj kapocie i pogląda z satanicznym uśmiechem. Przykrył mię swoim *cudownym-kapeluszem*, a tymczasem u nóg jego spokojnie roskoszowały się na murawie, rozciągały się jeden obok drugiego dwa cienie. Gdy leśniczy zajęty papierami chodził po altanie, nieznajomy ukłonił się mnie i szepnął:

—«Wybornieś zrobił żeś przyjął moje zaprosiny, oto— jesteśmy dwie głowy pod jedną szlafmycą! Wybornie, wyśmienicie! Oddajże mi teraz *ptasie gniazdo*, ono ci niepotrzebne; ty przecież jesteś człowiekiem uczciwym, nie zechcesz zatrzymać cudzéj własności; dziękować zaś za nie masz potrzeby, bo proszę wierzyć, że z duszy i z serca pragnąłem cię niém utraktować.”

Tu, bez najmniejszego z méj strony sprzeciwienia się, wziął z rąk moich gniazdo, włożył do kieszeni i znowu się zaśmiał, ale tak głośno, że stary leśniczy obrócił się. Siedziałem jak skamieniały.

—«Zgodzisz się sam, rzekł daléj, że w takim kapelusiku daleko ci jest wygodniéj. Przykrywa bowiem nie tylko człowieka, ale i cień jego; i to nie jeden, ale tyle ile się mu mieć ich podoba. Oto widzisz, mam ich dziś dwa.” I znowu się zaśmiał. «Zanotuj to sobie, panie Szlemil, że na co dziś dobrowolnie zgodzić się nie chcemy, na to jutro— *musiemy*. Mojem zdaniem: lepiéj kupić sobie rzecz potrzebną i zdobyć kochankę, bo pora jeszcze nie minęła,— a Raskal potańcuje na szubienicy, jeżeli konopi nie zabraknie na świecie; ale to fraszka! nie o tém teraz. No, słuchaj, oto i kapelusz cudowny masz w dodatku!”

Gdy to mówił— wyszła matka i zawiązała się następna rozmowa:— «Co robi Minna?— «Płacze”— Biedne dziecię, łzami nie pomoże biédzie.” To prawda: ale tak prędko wydawać ją za innego! O! ty jesteś okrutny, mój mężu, okrutny dla własnéj córki!”— Mylisz się, kochanko, mylisz, jeżeli ona wypłakawszy się dowoli, podziecinnemu, ujrzy się nagle żoną bardzo bogatego i poważanego człowieka,— to rychło wytrzeźwi się ze swego smutku, pocieszy się i będzie błogosławić Boga— i nas— obaczysz.”— «Dałby to Bóg!”— Posażek jéj wprawdzie nie lada, ale narobiła hałasu ta jéj historja z owym awanturnikiem; nie prędko znajdzie się teraz dla niéj partja przyzwoitsza od Pana Raskala. Czy wiesz jaki majątek u P. Raskala? Oto— nie daleko w naszéj okolicy kupił dobra ogromne, i zapłacił gotówką za nie sześć miljonów; nigdzie nie założone, czyste jak ziarno pszeniczne; sam we własnym ręku trzymałem dokumenta sprzedaży,— a przy tém w jego pugillaresie będzie na jakie trzy miljony wexlów na różnych

bankierów.— Być może— że porządnie gdzieś nakradł się, bo mu cóś zle z oczu patrzy...— «A to co znowu? skrzętnie się zapewne uwijał, gdy inni trwonili. Ot i wszystko!”— Ależ, mój mężu— człowiek, który chodził w liberji....— «Głupstwa pleciesz moja ty głupia połowico, rzecz główna, aby miał cień własny, któremuby nikt ani słowa zarzucić nie mógł!”— Masz racją, mój ty przemądry jędorze,— ale zawszeż....”

Szara kapota uśmiéchała się złośliwie i poglądała na mnie. Drzwi się otworzyły i wyszła Minna... Wspierała się na ręku pokojówki; ciche łzy spływały po prześlicznéj, bladéj twarzy. Ojciec posadził ją na krześle przygotowaném dla niego pod lipą, a sam usiadł przy niéj na stołku. Wziął ją za rękę— dziewczyna zapłakała rzewnie, a ojciec ze wzruszeniem mówić zaczął:

—«Dobre, miłe dziecie moje, Minno ukochana! bądź rozsądną, nie zasmucaj mię starego, który pragnę dla ciebie szczęścia. Pojmuję cię moja miła: ciebie strasznie wstrzęsło to nagłe wybawienie od nieszczęścia!— Zanadto lubiłaś niecnotę, pókiśmy niedowiedzieli się o jego podłém oszustwie. Widzisz Minno, ja wiém o wszystkiém, i nic nie będę ukrywał przed tobą. Ja sam, ja sam, moja kochana, lubiłem go dopóki sądziłem, że jest znakomitym panem. A teraz sama widzisz, jak się to wszystko przemieniło. Jakoż, w rzeczy saméj, każde stworzenie— pies nawet ma swój cień,— a narzeczony jedynaczki miałby być bez niego? ty pewno sama już nie myślisz o nim! Wszak prawda?— A teraz, Minno, słuchaj,— udaje się do ciebie człowiek, który się nie lęka dnia słonecznego; człowiek poważany, który chociaż nie jest księciem, ale ma dziesięć miljonów gotówką,— tysiąc razy więcéj niż ty, moje lube dziecie,— jednem słowem, człowiek, który może cię uczynić szczęśliwą. Nie sprzeciwiaj się, bądź mi dobrą, posłuszną córką: zostaw troskliwemu ojcowi opiekę nad twoim losem,— osusz łzy twoje. Daj mi słowo Minno, że oddasz rękę Panu Raskalowi. Powiedz, obiecujesz?— Co?... zamierającym głosem odpowiedziała Minna: «ani woli, ani chęci, nie ma już dla mnie na ziemi. Niech się więc spełni nademną wola rodziców!” W téj chwili anonsowano P. Raskala, i on wszedł z miną zuchwałą. Minna zemdlała.... mój nienawistny towarzysz spójrzał szyderczo na mnie i szybko szepnął do ucha: «i ty możesz to przenieść na sobie? powiedz, co płynie w żyłach twoich, bo widać, że krwi w nich niemasz? Lekkiém uderzeniem zadrasnął mi rękę niby niechcący,— z otwartéj ranki kropla krwi spłynęła. On rzekł tymczasem: w saméj rzeczy, co ja

widzę — wszak to krew, czerwoniutka krew! Więc co tu marudzić— podpisuj się co żywo!"

Pargamin i pióro były w mojém ręku.

VIII.

Otoż kochany Adalbercie, poddaję się z całą pokorą sądowi twojemu, i nie będę się wywijał z pod całéj jego surowości ubocznemi wybiegami. Długo sam siebie poddawałem własnemu, bezstronnemu sądowi; długo żywiłem w méj piersi robaka zgryzoty. Ważna ta chwila życia mojego ciągle ważyła się w mojéj duszy; w zwątpieniu i żalu zaledwo śmiałem zastanowić się nad sobą. Kochany przyjacielu, kto raz lekkomyślnie prześliźnie nogą za prostą ścieżkę, ten niechybnie zbije się nie zadługo na błędne manowce, które go zawiodą na rozdroża, coraz daléj i daléj. Napróżno widzi w niebiosach migocące gwiazdy— dla niego już nie ma przewodniczki, niewstrzymanie pędzi z góry na dół— i sam z siebie przynosi ofiarę dla groźnéj Nemezydy. Lekkomyślnie wyparłszy się siebie i ściągnąwszy przekleństwo, miłością swoją zaburzyłem spokój drugiéj istoty: cóż mi pozostawało, jeżeli nie ślepo rzucić się dla zbawienia téj, któréj nieszczęść byłem sprawcą, i która miała prawo oczekiwać ode mnie pomocy? Zbliżała się ostateczna chwila. Nie sądź, Adalbercie, abym był podłym— żadna ofiara nie byłaby dla mnie za drogą. Wierzaj mi, Adalbercie, że dusza moja pałała nie pokonaną zemstą ku owemu włoczędze po rozdrożach życia... Może być, że byłem niesprawiedliwym względem niego, ale wszelkie spólnictwo z nim oburzało mię do żywego. I w tym razie, jak już nie raz w mém życiu, i w ogólności tak często w historji narodów,— nieprzewidziany wypadek, zastąpił miejsce obmyślonego zamiaru. W późniejszym czasie pogodziłem się z samym sobą i nauczyłem się ulegać konieczności, a dokonany postępek, fakt spełniony, czémże są innêm, jeżeli nie wynikiem konieczności fatalizmu? Nauczyłem się też uważać ten fatalizm, jako mądrość przeznaczenia, obawiającą się w ogromnéj machinie, w któréj my wszyscy jesteśmy jako obracające i obracające się kółka; co ma być, to musi się spełnić; co miało być, to musiało się spełnić, i spełniło się w skutek tego przeznaczenia, które nauczyłem się nareście uważać tak we własnym mym losie, jako i w losie tych, którzy byli jednymże losem połączeni ze mną.

Nie wiém, czy mam przypisać wytężeniu memu pod naci-

skiem tylu silnych wrażeń, wysileniu się moich sił cielesnych, osłabionych niezwykłemi cierpieniami w dniach ostatnich, czy nareście zgubnemu wpływowi, który wywierała na całéj mojéj istocie blizkość tego szarego potworu, ale właśnie w ową chwilę, kiedy trzeba było podpisać cyrograf, zostałem bez czucia, i długo leżałem jakby w objęciach śmierci.

Tupanie nogami i przekleństwo— były piérwsze wrażenia, które uderzyły uszy moje po powrócie do zmysłów. Otworzyłem oczy, było ciemno, nienawistny towarzysz z gniewem krzątał się koło mnie.—«Czy to nie babstwo! no, powstań prędzéj i dokonaj, na cóś się już zryzykował! Alboś może rozmyślił, i wolisz sobie całe życie ciągnąć uciążliwą lamkę nędzy?"—Z trudnością powstałem z ziemi, i w milczeniu poglądałem w około. Było już późno wieczorem: w jasno oświeconym domie leśniczego rozlegała się wesoła muzyka, pojedyncze gruppy przechadzających się gości błądziły po allejach. Czuła para zbliżyła się do ławeczki i zajęła to miejsce, które zajmowałem nie dawno. Rozmawiali o zawartém małżeństwie bogatego Raskala z córką właściciela domu. A więc już było po wszystkiém.

Zrzuciłem cudowny-kapelusz z głowy w tejże chwili zniklego kompana, i kierując się w cieniu drzew, w milczeniu przeszedłem mimo altany Hrabiego Piotra, dążąc do bramy ogrodu. Ale mój dręczyciel niewidzialnie mię ścigał, wyrzucając mi złośliwie: «Taka to jest wdzięczność twoja, za to, że cały dzień przewałęsałem się za tobą; nerwy twe osłabły;— a my oba na dudków wykierowaliśmy się! Niech i tak będzie mój ty czci-godny panie, upieraj się, uciekaj sobie gdzie chcesz; my zawsze będziemy razem!... U ciebie moje pieniądze, u mnie twój cień; to nam obu nie da spokoju. Niesłyszana to rzecz, aby cień opuszczał swojego pana! Twój będzie iść wszędy za mną, aż póki się nie zlitujesz, i nie wykupisz go sobie. Czego nie chciałeś uczynić dobrowolnie, to uczynisz *mimowolnie*. Życie ci będzie obrzydłem bez niego! Przeznaczenia swego nikt nie uniknie!" I ciągle mówił w tymże tonie; napróżno uciekałem od niego, on gonił za mną, powtarzając ciągle o złocie i cieniu. Nie byłem w stanie wyprowadzić z siebie żadnéj myśli. Przez puste ulice biegłem do swego domu. Zaledwo go poznałem: za pobitemi oknami nie gorzała ani jedna świéca. Drzwi były zaparte i ani jeden sługa nie krzątał się wewnątrz. Szary głośno zachichotał przy mnie. «Tak, tak, oto jak bywa na świecie! ale Bendela znajdziesz w domu,— nie dawno przywieziono go tak zmęczonego, że sądzę, iż jeszcze nie może wyjść z domu." I znowu zachichotał.

«Będzie miał co opowiadać! Ale na ten raz dosyć; dobréj nocy, mój Panie, do miłego widzenia się!”

Długo dzwoniłem, nareście pokazało się światło i Bendel zapytał zewnątrz: «Kto tam?” Kiedy ten poczciwy sługa poznał głos mój, radość jego nie miała granic; drzwi szybko się otworzyły i rzuciliśmy się w objęcia jeden drugiemu. Był on nieźmiernie zmieniony, słaby i blady: co do mnie— wszystkie włosy posiwiały.

Przeprowadził mię przez puste pokoje do oddalonéj komnaty, która ocalała od powszechnego zniszczenia; przyniosł posiłek; usiedliśmy i Bendel znowu zalał się łzami. Opowiedział mi, jak spotkawszy niedawno chudego w szaréj kapocie człowieka z moim cieniem, dopóty pędził się za nimi i bił go kułakami, aż póki sam nie upadł; potém, nie znalazłszy mię, powrócił do domu, a tymczasem z namowy Raskala lud zbiegł się na ulicy, powybijał okna, i zburzył całe mieszkanie.

Tak odpłacono dobroczyńcy. Słudzy moi rozbiegli się. Miejscowa policja, jako człowiekowi podejrzanemu, dała mi rozkaz wyjechać z miasta i okolicy— we dwadzieścia cztéry godziny. Bendel wiele mi jeszcze mówił o szlubie i bogactwie Raskala; człowiek ów, przyczyna całego mego nieszczęścia, zapewna z samego początku dowiedział się o mojéj tajemnicy; chciwy złota od pierwszych dni swéj służby starał się posieść moją ufność i dobrawszy się do szafy, wykradł skarby. Teraz już nie chciał mieć więcéj złota.

Opowiadanie swoje Bendel przerywał obfitemi łzami; potém zaczął płakać z radości, że znalazł, że odzyskał swego pana, i że po tylu obawach coby się stać mogło ze mną— widzi, iż z rezygnacją i spokojnie znoszę los mój. I w rzeczy saméj, rospacz moja przybrała spokojny pozór. Widziałem cały ogrom, i całą niemożność zmiany mego nieszczęścia; wypłakałem wszystkie łzy moje,— boleść moja nie była już w stanie wyrwać z piersi mojéj ani jednego jęku; obojętnie, i z zimną krwią poddawałem się przeznaczeniu memu.

—«Bendelu, rzekłem, ty wiesz położenie moje, ciężka kara spada na mnie nie bez winy. Ty zaś, człowieku niewinny, nie związuj swego losu z moim: ja tego nie chcę. Téj nocy chcę wyjechać— osiodłaj mi konia, ja pójdę sam jeden,— ty zostaniesz, ja chcę tego! Tu powinno być jeszcze kilka kufrów złota, weź je sobie.

«Sam jeden, bez rodu i domu, będę się błąkał po świecie; lecz jeżeli kiedy znowu uśmiechnie się do mnie szczęście, w uroczą

godzinę przypomnę ciebie, żem płakał na wiernéj twéj piersi w dniach żalu i smutku.” Z rozdartém sercem poczciwy sługa słuchał ostatniéj woli pana, któréj w duszy obawiał się najmocniéj: ale byłem głuchy na jego prośby, ślepy na łzy jego. Wyprowadził mi konia;— raz jeszcze przycisnąłem płaczącego do piersi, wskoczyłem na siodło i pod całunem nocy oddaliłem się od grobu mojego życia, nie dbając jaką drogą uda się koń mój. Ani celu, ani woli, ani nadziei nie było dla mnie na całym przestworzu ziemi.....

VIII.

Wkrótce zdybał się ze mną jakiś człowiek pieszo idący. Przeszedłszy czas niejaki obok mojego konia, prosił mię, że jako droga nasza jest spólną, czy nie pozwolę mu położyć swego płaszcza z tyłu za siodłem. W milczeniu zgodziłem się na to. Z niewymuszoną grzecznością podziękował mi za to, pochwalił konia, przeszedł potém do pochwały szczęścia ludzi bogatych; i nie pamiętam zresztą jakim sposobem zaprowadził rozmowę, w któréj byłem tylko słuchaczem.

Wyłożył swój sposób widzenia życia i świata, i nie długo przeszedł do metafizyki, w któréj chciał znaleść słowo, rozwiązujące wszystkie zagadki bytu. Nader jasno określił swe zagadnienie i przystąpił do rozwiązania onego.

Tobie, mój przyjacielu wiadomo, że odkąd porzuciłem filozoficzną ławkę, przekonałem się mocno, że wcale nie mam powołania do filozoficznego myślenia i ostatecznie dałem mu za wygranę. Odtąd wiele rzeczy zostawiłem na stronie, nie mogąc ich pojąć i niedopytując się ich przyczyny; i zawierzając więcéj, podług twéj rady, moim przyrodzonym uczuciom, szedłem po własnéj méj drodze, ile mogłem za wewnętrznym głosem méj duszy. Teraz zaś zdawało się mnie, że ten człowiek tak biegle rozumujący, wznosił trwały gmach, powstający na własnéj podwalinie, i trzymający się wewnętrzną koniecznością. Wszakże w jego systemacie zgoła nie widziałem tego, czego życzyłem, a przeto cały ten gmach jego, wydał się mi dziełem sztuczności, podobający się zewnętrznemu oku, dobrze rozporządzonym całokształtem. Zresztą z uwagą słuchałem wędrownika, który wymową swoją na chwilę dał mi zapomnieć moje utrapienie, i byłbym mu zupełnie zaufał, gdyby potrafił tyle pociągnąć duszę, ile zajął umysł.

Tymczasem upływały godziny i zorza zaczęła się ukazywać na horyzoncie; przyszedłem do siebie i przeląkłem się, postrzegłszy, że wschód zaczynał się barwić jasnemi kolorami, posłańcami słońca. O téj godzinie w całej swéj okazałości, zaczynają z zmroku występować cienie, a tu na miejscu otwartém, ani dachu, ani zasłony od promieni słonecznych! I byłem nie jeden! Spojrzałem na towarzysza i znowu się przeląkłem— był to bowiem nie kto inny, tylko człowiek w szaréj kapocie!

Uśmiéchnął się widząc moje zdziwienie i niepozwalając mi gęby otworzyć, sam mówić zaczął: «połączmy na chwilę wzajemne nasze interessa; rozstać się będzie nam jeszcze czasu aż nadto. Droga nasza wzdłuż góry, chociaż jeszcze nie pomyśliłeś o tym,— jest jedyną, którą ci rozsądek wybrać pozwala,— gdyż na dolinę spuścić się nie możesz, a udać się w góry, zkąd przybywasz, zapewna sam nie zechcesz;— a ta droga jest właśnie i moją. Dla spólnéj podróży, udzielę ci cienia twojego, a ty za to pozwolisz mi być twoim kompanem. Ponieważ zaś nie masz przy sobie Bendela, to może ja przydam się do posługi. Nie lubisz mię— bardzo mię to smuci. To jednak nie powinnoby przeszkodzić korzystać ze mnie; djabeł nie tak straszny, jak go malują. Wczora rozgniewałeś mię wprawdzie, lecz ja nie będę się mścił dzisiaj; jednak zgodzisz się ze mną, żem potrafił cię trochę zainteresować w drodze. No, poprobuj-no swego cienia."

Słońce weszło; po drodze przewijali się ludzie, i ja, z wewnętrzną odrazą, zgodziłem się na propozycją. Z uśmiechem spuścił mój cień na ziemię, który w tejże chwili zajął swoje miejsce na cieniu konia i wesoło przebiegł obok mnie po drodze. Dusza moja była w dziwnym stanie. Wyminąłem tłum wieśniaków, którzy ustępując mi drogę, kłaniali się z uszanowaniem jako dostojnemu człowiekowi. Jechałem daléj; serce mi mocno biło: chciwie poglądałem z konia na ten niegdyś mój własny cień, a teraz wzięty na kredyt, u obcego, u wroga.

Nieznajomy szedł obok mnie i gwizdał piosenkę. On pieszo, ja konno;— zaćmiło się w oczach moich; pokusa była nader wielką... Nagle ściągnąłem lejce, uderzyłem nogą konia i puściłem w galop w bok po ścieżce. Ale cień nie poszedł za mną; na zawrócie zeskoczył z konia i oczekiwał prawego swego posiadacza na drodze. Ze wstydem musiałem zwrócić się nazad, szary doświstawszy swéj piosenki, pożartował ze mnie, znowu przyprawił mi jak należy, cień mój, i powiedział, że cień wtedy tylko powróci i szczélnie przystanie do mnie, kiedy nabędę *prawnie* prawa do niego. «Trzymam cię mocno na cieniu jak na linie, dodał, ode-

mnie nie uciec! Człowiekowi tak bogatemu, jako ty jesteś, cień koniecznie potrzebny,— już to taki zwyczaj na świecie; tobie należałoby dać upomnienie za to, żeś tego uprzednio pojąć niechciał.”

Jechałem dalej tąż samą drogą. Wszelkie wygody życia, nawet zbytek znowu pojawiły się w około mnie. Mając cień choć pożyczony, mogłem lekko i swobodnie ruszać się i wszędzie obudzać należne bogactwu uszanowanie; ale w sercu mojém śmierć gościła. Mój dziwny kompan, który sam siebie wydawał za niegodnego sługę najbogatszego w świecie człowieka, był nader usłużny, wprawny i zręczny; słowem, typ kamerdynera wielkiego pana. Nie odchodził na krok, i ciągle wpadał na mnie z pewnością, że zgodzę się wykupić cień, choćby dla tego tylko, aby się odeń wybawić. Jego kompanja była dla mnie równie uciążliwą jak obrzydłą; zacząłem się go lękać, wziął nademną zupełną górę i krótko mię trzymał, zmusiwszy mię znowu do uciech tego świata, od których uciekałem dotąd. Musiałem słuchać jego wymównych argumentów, i często zdawało się, że ma racją. Człowiekowi bogatemu cień jest konieczny; a tymczasem widziałem przed sobą tylko jedną drogę, dla utrzymania roli, którą znowu przyjąłem na siebie, mimowolnie wciągniony jego natarczywością.

Lecz postanowiłem mocno, wyrzekłszy się miłości i wszelkich powabów życia, za nic w świecie nie zaprzedać duszy mojéj; lecz jaki tego wszystkiego miał być koniec,— powiedzieć nie mogłem.

Jednego razu siedzieliśmy przy wejściu do pieczary, którą zwykle zwiedzają podróżni odwiedzający te strony. Z nieprzejrzanéj okiem głębokości, dochodzi z podziemi głuchy szum wód kipiących; zdaje się, że żadne dno nie wstrzymuje rzuconego w głąb' kamuszka. Kompan mój, jak zawsze, z całém bogactwem fantazji i całym wdziękiem barw najświetniejszych, przedstawiał widoki najpiękniejsze tego, co mógłbym zrobić na świecie za pomocą złota, jeżelibym odzyskał nazad cień mój. Oparłszy się łokciami na kolana, zakryłem oczy rękami i słuchałem chytrego ducha; serce wahało się między pokusą i silną wolą. Nie byłem w stanie przenieść dłużéj téj walki duchownéj i rozpocząłem stanowczą bitwę.

—Zapominasz, zdaje mi się, że pozwoliwszy ci pod pewnemi warunkami znajdować się przy mnie, zostawiłem jednak dla siebie zupełną wolę.

—«Jeżeli tak jest, zabiorę się zaraz z moim mantelzakiem!”— Przeklęty kompan chciał mię ustraszyć,— i zaczął cień swój zwijać:

czułem, iż zbladłem, lecz poglądałem nie mówiąc ani słowa. Nastąpiło długie milczenie. On pierwszy przerwał je:

—«Pan łaskawy wściekasz się na mnie, nienawidzisz mię,— ja to wiém dobrze; ale za cóż? Czy nie za to, żeś napadł mię na publicznéj drodze, aby mi wydrzeć moje *ptasie gniazdeczko;* albo za to, żeś po zbojecku chciał mi mój cień wydrzeć, kiedym go pożyczył Panu, spuszczając się na pańską uczciwość i słowo? Z mojéj strony wcale nie myślę gniewać się na Pana, bo podług mnie, to rzecz bardzo naturalna, żeś użył wszelkich środków siły i podejścia dla odzyskania cienia swojego. Że Pan jesteś surowych bardzo zasad i myślisz jak sama poczciwość, to też jest błąd wielki,— ale się to do mnie nie tycze. W rzeczy saméj ja nie jestem tak surowy, ale za to— postępuję zgodnie z pańskiemi zasadami. Czyż ja napadałem kiedy na Pana z nożem, aby wydrzeć jego szanowną duszeczkę? Nigdy! A wszakże ona się mi bardzo podoba! ale ja kroków żadnych dla porwania jéj nie przedsiębiorę. Wszak nienasyłałem na Pana mego sługę, aby ci odebrać zamienioną kiesę, by z nią późniéj uciec? Wszak prawda?"— Nie było co mówić, i on ciągnął daléj:

—«Zgoda, zgoda! Mości Panie. Pan mię nienawidzisz, ja to bardzo pojmuję; i nie roszczę za to pretensji; powinniśmy się rozstać, to rzecz jasna; mnie też zacząłeś już nudzić. A przeto aby się jak najprędzéj uwolnić od mego towarzystwa, które Pana zawstydza, radzę ci raz jeszcze: oto nabądź tę bagatelę."— Podałem mu kiesę i rzekłem, czy nie za tę cenę?— «O! Nie!"— Westchnąłem głęboko i zawołałem: «Cóżkolwiek bądź, żądam koniecznie, abyś rozstał się zemną. Nie zachodź mi nigdy w drogę na ziemi, która jak sądzę, dosyć obszerna dla nas obu."— Uśmiéchnął się tylko i rzekł:— «Idę, idę, łaskawco mój, jednakże nauczę jak masz zadzwonić, kiedy przyjdzie ci do głowy chęć zobaczenia się z twoim najuniżeńszym sługą. Trzeba tylko potrząść kiesą, aby zabrzęczały dukaty, ja natychmiast stanę przed tobą. Na świecie każdy myśli tylko o swéj korzyści: ja zaś, jak widzisz, dbam i o twoję, odkrywając przed tobą jeszcze nową potęgę. O! to osobliwsza kiesa! Jeżeliby nawet mol zjadła cień twój, to nawet i wówczas kiesa ta utrzymywałaby silny związek pomiędzy nami. Dość tego że pieniądze moje u ciebie, ja do ciebie należę, możesz mi rozkazywać nawet nieobecnemu. Wiesz, że i dla drugich jestem arcy-usłużny, osobliwie dla bogatych— widziałeś to na własne oczy. Ale cień swój,— zauważ to mój łaskawco sobie dobrze,— otrzymasz nie inaczéj, jak tylko pod jednym warunkiem."

Wspomnienia przeszłości błysnęły w méj duszy. Pośpiesznie zapytałem go: czy miałeś cyrograf Bankiera Sobka?— Uśmiéchnął się i odpowiedział:— «O! nie, z tak bliskim przyjacielem, to niepotrzebne."— Gdzie on jest dopiéro, powiedz mi, dla Boga— chcę o nim wiedzieć— Powoli zapuścił rękę do kieszeni, i za włosy wyciągnął sobowtór bladego, zmiętego Sobka. Zsiniałe usta Sobka poruszyły się i wybękały znaczące słowa: «*Justo judicio Dei judicatus sum; justo judicio Dei condemnatùs sum.*" Zadrżałem,— i rzuciwszy brzęczącą sakiewkę w przepaść, zawołałem doń te ostatnie słowa: «Straszliwa istoto! w imieniu Boga Wszechmogącego zaklinam cię, zgiń, przepadniéj i nie jaw się przedemną!" Duch posępnie podniosł się do góry i zginął po za-dzikiemi skałami, otaczającemi puste, samotne miejsce, gdzie znajdywałem się wówczas....

I tak— zostałem się bez cienia i bez pieniędzy: ale ciężkie brzemię spadło z méj piersi: znowu odzyskałem humor wesoły. Jeżelibym zarazem nie stracił mego uczucia, albo nie czułbym przynajmniéj siebie winnym w utracie onego, mógłbym być prawie szczęśliwym. Jednakże nie wiedziałem co począć. Opatrzywszy swoje kieszenie, znalazłem w nich jeszcze po kilka czerwonych złotych; policzyłem je i zaśmiałem się. Koń mój był na dole, w hotelu; wstydziłem się tam wracać; należało się przynajmniéj doczekać zachodu słońca, które było jeszcze dość wysoko. Położyłem się w cieniu poblizkiego drzewa i spokojnie zasnąłem.

Miłe obrazy w powietrznym orszaku splotły się w sen pocieszający. Minna z wiankiem na głowie przeleciała nademną i uśmiéchnęła się uprzejmie. I poczciwy Bendel, uwieńczony kwiatami, z przyjacielskiém pozdrowieniem, mignął przedemną. Widziałem jeszcze wielu innych, i zdaje się nawet ciebie, mój kochany przyjacielu, w dalekiéj ciżbie ludu: jasne światło błyszczało do koła, ale od nikogo cień nie padał,— i rzecz dziwna! wyglądało to wcale nie źle! kwiaty i pieśni, miłość i wesołość błyszczały i zlewały się w gajach palmowych! Nie mogłem ani zatrzymać, ani objaśnić sobie tego powietrznego, miłego, obrazu— wiedziałem, że to był sen i przebudzić się nie chciałem, a ocknąwszy się długo nie otwierałem oczu, aby dłużéj zatrzymać ulatujące z duszy méj te sny błogie.

Nakoniec otworzyłem oczy: słońce było na niebie, ale już na

wschodzie: przespałem noc całą. Postanowiwszy więcej nie wrócić do hotelu, chętnie wyrzekłem się tego, com tam zostawił, i piechotą puściłem się po drożynie, w dół lesistego wzgórza, zostawując losowi spełnienie mego przeznaczenia. Nie oglądałem się po za-siebie, i chociaż mogłem udać się do Bendela, którego wzbogaciłem,-- lecz nie chciałem ani na chwilę pomyśléć otém. Zacząłem obmyślać nowy rodzaj życia jaki rozpoczynałem. Ubiór mój był nader skromny: miałem na sobie czarną węgierkę, którą nosiłem kiedyś w Krakowie, która nie wiedzieć jakim sposobem wpadła mi pod rękę dla téj podróży. Prócz tego miałem na głowie podróżną czapkę, i parę starych butów na nogach. Powstałem, wyciąłem sękowaty kij na pamiątkę odrodzenia i puściłem się w podróż.

W lesie spotkałem się z wieśniakiem; ukłonił się mi grzecznie i rozpoczęliśmy rozmowę. Jako ciekawy podróżny, rozpytałem się naprzód o drodze, potém o kraju i jego mieszkańcach, o płodach strony i tak -daléj. Dzielnie i ochoczo odpowiadał na moje pytania. Zbliżyliśmy się do łoża górnego potoku, burzliwie rozlewającego się w lesie na wielkiéj przestrzeni. Na widok odkrytego miejsca, wewnętrzny dreszcz przejął mię na wskróś, dałem miejsce wieśniakowi przed sobą. Ale w samem najniebezpieczniejszém miejscu, stanął i obrócił się do mnie opowiadając jakieś wydarzenie; i natychmiast dostrzegłszy czego mi brakuje, nagle uciął rozmowę: «Ale cóż to, mój panie, nie masz widzę swego cienia!"— Tak, przyjacielu, nie mam! nie mam!— odpowiedziałem z westchnieniem,— od ciężkiéj, długiéj choroby, wylazły u mnie włosy, paznogcie i cień. Patrz, bracie, w moje lata włosy odrosły białe jak puch łabędzi, paznogcie króciutkie, a cień ani na włos nie wyciąga się daléj.— «Oho— odrzekł starzec kiwając głową, być bez cienia!— a to cóś nie dobrego.... Zła była u ciebie panisko, choroba!" Przestał mówić i przy piérwszym zawrócie, nie rzekłszy ni słowa, poszedł sobie na stronę. Gorzkie łzy polały się mi z oczu i znowu samotny zostałem na drodze.

Z boleścią w sercu szedłem daléj postanowiwszy uciekać towarzystwa ludzi. Ukrywałem się w zaroślach i czekałem po kilka godzin, aby oko ludzkie nie przeszkodziło mi przebiedz oświecone miejsce. Wieczorami szukałem schronienia po wioskach, dążąc do podziemnych kopalni, gdzie chciałem dobrowolnie się ofiarować na pracę. Do tego pobudzały mię nie tylko konieczność utrzymania exystencji, ale i 'własne przekonanie, że tylko usilna praca może mię zachować od myśli światowych.

Kilka mglistych dni ułatwiło mi drogę, ale zniszczyło z kretesem moje buty, których podeszwy były przeznaczone dla Hra-

biego Piotra, nie zaś dla robotnika idącego pieszo. Szedłem więc boso; trzeba było dostać nową parę. Z wielkim rozmysłem wziąłem się za to nazajutrz, na jarmarku w pobliskiém miasteczku. Wszedłem do kramiku napełnionego staremi i nowemi bótami. Musiałem sobie odmówić jednéj pary nowych butów, które mi się podobały; zastraszyła mię ich wysoka cena. Trzeba było przestać na parze podnoszonych, dość przyzwoitych, i siako tako trzymających się na nogach. Przystojny, jasnowłosy chłopczyk, przedający w kramie, ustąpił mi je za gotówkę taniéj, uśmiéchnął się i życzył mi szczęśliwéj drogi. Obułem się natychmiast i wyszedłem przez północną bramę miasteczka.

Nie troszcząc się dokąd kierowały moje nogi, szedłem myśląc o kopalni, do któréj miałem nadzieję dostać się tegoż wieczoru, chociaż nie wiedziałem jeszcze do kogo się tam udać. Nie uszedłszy dwiestu kroków, postrzegłem żem się zbił z drogi. Zacząłem jéj szukać: dokoła mnie dzika, posępna puszcza, do któréj jak się zdawało— nie dotykał się topor. Postąpiłem kilka kroków naprzód, i ujrzałem się pośród skał samotnych; śniegiem i lodem pokryte polany rozciągały się pomiędzy niemi, a wiatr ostry, zimowy dął do koła. Obejrzałem się nazad,— lasu już za mną nie było. Stąpiłem krok jeszcze— dokoła śmiertelna cichość: lód ciągnie się przedemną na niezmierzonéj okiem przestrzeni, nademną unosi się gęsty tuman, a na krańcach horyzontu, krwawa kula słoneczna. Chłód stawał się nie do wytrzymania. Nie pojmowałem co się ze mną działo: skrzypiący mróz zmuszał mię przyśpieszać kroki i wkrótce dał się słyszeć szum wód oddalonych, krok jeszcze naprzód— i ujrzałem się na wybrzeżu Lodowatego Oceanu! Niezliczone stada foków na mój widok rzuciły się w bałwany morskie. Zacząłem biegać po brzegu; widzę, znowu nagie skały, ziemię, brzozy, lasy sosnowe; biegę jeszcze dwie minuty, upał staje się nieznośnym.— Oglądam się do koła i widzę, że się znajduję pośród drzew morwowych, pośród uprawnych pól, ryżem zasianych. Usiadłem w cieniu, spójrzałem na zegarek: jeszcze nie upłynęło kwadransa, jak opuściłem miasteczko! Zdało mi się, że śnię. Uszczypnąłem siebie, aby się obudzić, ale w rzeczy saméj nie spałem: zamknąłem oczy, aby się zebrać z myślami, i wnet usłyszałem dziwne, piskliwe odgłosy. Spójrzałem— przedemną stało dwóch Chińczyków,— nie mogłem się mylić, nawet gdybym nie uwierzył ich odzieży,— azjatycki typ wyraźnie odznaczał ich fizjognomje— mówili cóś do mnie, kłaniając się ze zwyczajnemi sobie grymasami. Wstałem i odstąpiłem dwa kroki. Chińczyki znikli— a mnie otoczył wcale inny widok.

Drzewa i lasy zamieniły pola ryżowe. Zacząłem rozpatrywać krzewy i rośliny kwitnące w około. Niektóre z nich znane mi, należały do południowo-wschodnich, azjatyckich rodzajów. Chciałem zbliżyć się do jednego drzewa, stąpiłem— i znowu wszystko się zmieniło. Jak młody zaciążnik na mustrze, stałem i poruszałem się maszynalnie. Przed zdziwionym wzrokiem moim rozwijały się i zmieniały się cudownie widoki, pola, niwy, góry, stepy, pustynie. Nie mogłem wątpić dalej— miałem na nogach— *Chodaki - Skorochody*....

W kornem milczeniu padłem na kolana i wylałem łzy wdzięczności Przedwiecznemu. Cała przyszłość moja wnet mi jasną stanęła przed oczami. Odrzucony z towarzystwa ludzi za błąd mój przeciwko niemu— dopiero pojąłem daną mi naukę: wrócić do natury, którą tak kochałem kiedyś, a której zaparłem się dla świata....

Badanie natury w ziemi, danej nam jako sad roskoszny, odtąd będzie jedynem mojem przedmiotem i dźwignią całego żywota, a celem jedynym życia mojego— Nauka!

Od tej pory cichą, surową i niezmordowaną pilnością starałem się postępować podług nakreślonego mi planu życia, który się rozkrył przed moim wewnętrznym wzrokiem. Odtąd stopień wewnętrznego zadowolenia mego, zależy od większej albo mniejszej zgodności postępowania mojego *Ja*, sobowtóra z rzeczywistego świata— z prototypem mojej jaźni. Powlokłem okiem po obszernem polu, na którem w przyszłości miałem uzbierać żniwo. Pod nogami memi były wyżyny Tybetu; słońce przed kilką godzinami zaledwo weszłe dla mnie, w tej chwili widziałem skłonione ku Zachodowi. Przebiegłem całą Azją od wschodu ku zachodowi, doganiając samo słońce w biegu, i wstąpiłem na ziemię Afryki. Z ciekawością obejrzałem ją razy kilka we wszystkich kierunkach. Kiedy w Egipcie,— od stóp starodawnych piramid i świątyń, spójrzawszy w pustynie stobramych Teb,— ujrzałem pieczary,— niegdyś pobożne pustelnie pierwszych chrześcjańskich męczenników— w głowie mojej zrodziło się mocne postanowienie, że tu powinien być mój dom, tu moja siedziba, tu kres mojego żywota. Wybrałem sobie jedną z najskrytszych obszerniejszą od innych jaskiń, jako uchronę przed szakalem, i zanotowawszy w pa-

mięci miejsce— puściłem się jako *Żyd wieczny tułacz*, dalej i dalej, naprzód i naprzód!...

U Herkulesowych słupów dałem skok do Europy i obejrzałem północne i południowe prowincje onej; po lodach polarnych przeszedłem na brzegi Grenlandji i Ameryki; przewędrowałem wzdłuż i poprzek oba lądy stałe,— lecz zima, która zaścigła mię na krańcu południowym, rychło wygnała mię z przylądka Horna nazad ku północy.

Zaczekawszy, dopóki nie rozświtało we wschodniej części Azji i odpocząwszy nieco na górach Himalaju ruszyłem dalej, trzymając się w obu Amerykach łańcucha gór, przedstawującego największe znane ludziom nierówności ziemnego globu; powolnie i ostróżnie stąpałem ze szczytu na szczyt to przez buchające wulkany, to przez wieczne śniegi, gdzie chłód tamował mi oddech, aż póki nie wstąpiłem na górę Ś. Eljasza i dałem skok przez ciaśninę Berynga do Azji. Idąc po nieskończonych wklęsłościach wschodniego jej brzegu, z uwagą przypatrywałem się wyspom po drodze leżącym. Z półwyspu Malaki, Chodaki-Skorochody przeniosły mię na Sumatrę, Jawę, Borneo. Lecz ile razy probowałam, nawet z niebezpieczeństwem życia, odkryć sobie drogę ku północno-wschodniej stronie, przez ogromne zatoki Hudson i Regenta, nie mogłem nigdy tego dokazać i musiałem wreście wyrzec się tego przedsięwzięcia. Usiadłem na ostatnim krańcu zatoki Regenta, poglądałem na wschód i południe, i gorzko zapłakałem, jako jeniec, przy kracie więzienia, żem tak skoro znalazł granice dla siebie. Pełna cudów natury, i tak koniecznie potrzebna dla poznania globu ziemskiego z jego zwierzchnéj, utkanéj z kwiatów szaty, roślinnego i żwierzęcego państwa,— *Nowa Hollandja*, jak również i cały południowy Ocean, ze swemi wyspami,— koralo-zoofitami, zostały dla mnie niedostępnemi. A więc zaraz na początku, to com powinien był poznać i odtworzyć w nauce— musiało zostać tylko w odłamku. O mój Adalbercie, czémże są nasze wszystkie bezsilne usiłowania!

Ileż razy wśród najstraszniejszéj zimy w południowéj półkuli, usiłowałem przebić się przez polarne lody od przylądku Horn ku zachodowi— przestrzeń dwiestu kroków, dzielącą mię od Nowéj-Hollandji i ziemi Van-Diemen. Nie myśliłem czy powrócę, lub czy— jak wiekiem grobowém— zostanę przywalony od reszty świata;— ze ślepą odwagą stąpałem przez lodogóry i walczyłem z falami oceanu. Ale napróżno— dotąd nie byłem w Nowéj-Hollandji. Za każdym razem wracałem na Horn, siadałem na krańcu

onego, poglądałem na południe i wschód, i gorzkiemi zalewałem się łzami, jako więzień u kraty więzienia.

Wyrwałem się nareście z tego miejsca, i znowu wdrapałem się na wysokoście środkowéj Azji; przeszedłem się raz jeszcze po całéj Azji w ślad za zorzą poranną i było jeszcze ciemno na ziemi, gdym dostał się do obranéj pieczary w Tebajdzie.

Gdym trochę odpoczął, a w Europie zupełnie już rozświtało, piérwszém mojém staraniem było zrobić zapas wszystkiego, co potrzebne było dla życia, a naprzód kupiłem hamulec na nogi, doznawałem bowiem wielkiéj niedogodności, nie mogąc inaczéj miarkować moich kroków dla przypatrzenia się bliskim widokóm, jak zdejmując z nóg chodaki. Para nadzianych na nie pantoflów, uśmierzyły pęd onych. W późniejszym czasie zwykle miewałem przy sobie dwie pary, gdyż zdarzało się często, że zrzuciwszy jedną parę, nie miałem czasu zabrać jéj z sobą: zdarzało się to w pustyniach, kiedy herboryzując bywałem nagle napadany przez lwy, tygrysy i szakale. Wyborny mój zegarek w czasie szybkich przechodów, służył mi za wyborny czasomiar (chronometr.) Prócz tego, miałem przy sobie *sekstant* i niektóre inne fizyczne narzędzia.

Korzystając z mglistéj atmosfery, kilkakroć chodziłem dla nabycia potrzebnych mi narzędzi, do Paryża i Londynu. Wypotrzebowawszy resztę czarodziejskich pieniędzy, w zamian ich—na zapłatę przynosiłem, bez trudu znajdywaną Afrykańską kość słoniową; wybierając zęby najmniejsze, aby nie utrudzały mię w podróży. Zrobiwszy zapas i opatrzywszy się we wszystko, co mi było potrzebne, rozpocząłem nowy rodzaj życia: życia ustronnego mędrca.

Krążyłem po ziemnéj kuli, rozmierzając wysokości gór, temperaturę źródeł i powietrza, to obserwując źwierzęta, to badając naturę roślin; biegłem od równika do biegunów, z jednéj części świata do drugiéj, zbliżając z sobą i porównując zdobyte doświadczeniem prawdy. Jaja afrykańskiego strusia albo północnych morskich ptaków i owoce, osobliwie tropikowych palm i bananów, służyły mi za pokarm zwyczajny. *Nicotiana* *) była dla mnie surrogatem szczęścia, a przywiązanie wiernego pudla, strzegącego moją Tebańską jaskinię, wystarczało mi za towarzystwo i spółczucie ludzi. Wesoło łasząc się do mnie, gdy wracałem z nabytemi skarbami, on mi dawał poczuć, że nie jestem sam jeden na ziemi.

Jedno zdarzenie zbliżyło mię raz jeszcze do ludzi....

---

*) *Nicotius* był lekarzem króla franc. i piérwszy zaczął używać tytuniu za lekarstwo, ztąd roślina ta nazwana *Nicotiana*. (*Red.*)

XII.

Jednego razu, zbierając w zahamulcowanych chodakach mchy na brzegach Groenlandji, ujrzałem nagle pokazującego się z po za skały białego niedźwiedzia. Zrzuciwszy pantofle, chciałem przeskoczyć przez środkującą skałę, na przeciwległą wysepkę. Jedną nogą stanąłem mocno na skale, drugą podniosłem, i— buch!— upadłem w morze; jeden pantofel nie ostróżnie został na nodze.

Z trudnością wydobyłem się z niebezpieczeństwa: ale silne przeziębienie przejęło mię na wskróś. Dostawszy się na brzeg, całemi nogami rzuciłem się do Libijskiéj pustyni, aby się rozegrzeć na słońcu. Słońce takim upałem zaczęło mi palić w odkrytą głowę, że zupełnie wybity z sił, skierowałem się znowu do Europy. Siląc się nagłemi ruchami przynieść sobie ulgę, biegałem chwiejącemi się krokami od zachodu ku wschodowi i od wschodu na zachód, przechodząc na przemian z dnia do nocy, z chłodu do ciepła. Jak długo wałęsałem się tak po ziemi, sam nie wiem. Silna gorączka paliła moje wnętrzności, ze strachem poczułem, że choroba moja jest niebezpieczną i że zaczynam tracić przytomność. Jak na moje nieszczęście zdarzyło się mi w omackach komuś nastąpić na nogę i zapewna nie nader delikatnie, bo dostawszy porządnego kułaka, sam upadłem bez zmysłów.

Kiedy przyszedłem do siebie, postrzegłem, że leżę na porządnie zasłaném łożu, stojącém razem z wielą innėm w obszernéj sali.

Ktόś siedział u węzgłowia; po sali przechadzali się ludzie, chodzili od łóżka do łóżka, podeszli i do mnie, i zaczęli z sobą rozmawiać. Mówili o mnie i nazywali mię N. 12. A tymczasem na czarnéj marmurowéj tablicy na scianie,— to nie było złudzeniem,— wyraźnie wyczytałem złotemi literami wypisane moje imie: *Piotr Schlemihl - Skorochod.*

Na tablicy pod nazwiskiem napisane były jeszcze dwa wiersze, ale byłem zanadto słaby, abym je mógł wyczytać i znowu zamknąłem powieki.

Głośno i wyraźnie cóś przeczytali o Piotrze Schlemilu, ale ja nie zrozumiałem ani słowa. Odemknąwszy oczy, ujrzałem przy sobie grzecznego mężczyznę i kobiétę niepospolitéj piękności, odzianą w żałobę. Twarze wydały się mi znajome, ale gdzie je widziałem, tego przypomnieć nie mogłem. Wiele czasu upłynęło, nim do sił powróciłem. Zawsze mię nazywano *N. 12*, i chociaż ja,— *N. 12*,— z powodu długiéj brody uważany byłem za żyda, wszakże z niemniejszą troskliwością obchodzono się ze mną.

Że *N 12* nie posiadał cienia o tém, zdawało się, nikt nie wiedział. Upewniano mię, że chodaki i wszystkie rzeczy, które przy mnie znaleziono, są schowane, i zostaną mi wydane za powrótem do zdrowia. Miejsce, w którém leżałem, nazywało się *Schlemihlium;* co czytano codziennie o Piotrze Szlemilu, było poleceniem modlitwy za duszę jego, jako fundatora tego dobroczynnego zakładu. Grzeczny mężczyzna, którego widziałem przy mojém łożu,— był Bendel, a prześliczna niewiasta,— była Minną.

Wróciłem do zdrowia od nikogo nie poznany, i sam dowiedziałem się jeszcze więcéj. Znajdywałem się u rodziny Bendela, gdzie on za resztę nieczystych moich skarbów, ufundował szpital dla ubogich chorych, pod mojem imieniem, w którém cierpiący, codziennie błogosławią pamięć moją. On sam był opiekunem tego *Domu Ochrony.* Minna została wdową: nieszczęśliwa sprawa kryminalna pozbawiła Raskala życia i większéj części jego majątku. Rodzice Minny już nie żyli; a ona była wdową, dobroczynną i wylaną dla pociechy spółbliźnich.

Jednego razu rozmawiała z Bendelem przy łóżku N. 12.

—«Czego się Pani narażasz tu na zaraźliwe powietrze? Czyż los Pani jest tak okrótny, abyś dobrowolnie się chciała zabijać?"

—«Nie, panie Bendel, odkąd skończył się długi mój sen cielesny, i ja przebudziłam się w duchu, odtąd czuję się lepiéj i ani żądam, ani lękam się śmierci. Poglądam dopiéro jaśniéj na przeszłość i przyszłość. I czyż nie z podobném uspokojeniem i szczęściem w duszy oddajesz dopiéro usługę takim poczciwym sposobem swemu przeszłemu panu i przyjacielowi!"

—«Tak pani, masz słuszność, i ja stokrotnie zanoszę dzięki Najwyższemu! Dziwnym był los nasz, piliśmy nierozważnie z pełnego kielicha słodyczy i goryczy. Spełniliśmy go do dna. Wszystko zda się, było tylko próbą i chyba dopiero, zapasłszy się w mądrość nie ziemską, rozpoczniemy rzeczywistą czynność żywota. Czynność ta nowa, spokojna; nie żądamy wrócić przeszłości, a radzi jesteśmy,— że ona była taką, a nie inną. Czuję cóś w duszy swéj, co mi mówi: że przyjaciel nasz teraz szczęśliwszy niż był kiedykolwiek."

—«I moje serce mówi toż samo!" rzekła prześliczna wdowa. Oboje odeszli od mojego łóżka.

Rozmowa ta uczyniła na mnie głębokie wrażenie; sam nie wiedziałem, czy mi odkryć się przed niemi, czy odejść od nich niepoznanym. Wreszcie zryzykowałem się, kazałem podać papieru i ołówek, i napisałem:

—«Wasz przyjaciel dopiero szczęśliwy: cierpienia jego są cierpieniami pojednania.”

Potém poprosiłem, aby mi dano moje odzienie. Przyniesiono klucz od komody, stojącéj przy mojém łóżku, w któréj znalazłem wszystkie swe rzeczy w całości. Odziałem się, zawiesiłem przez plecy na czarnéj węgierce botaniczną kobiałkę, w któréj znalazłem jeszcze mchy północne; wdziałem skorochody, położyłem bilecik na łóżku; a równo z otworzeniem drzwi, byłem na drodze do mojéj tebańskiéj jaskini.

Śpiesząc po brzegu Syryjskim, po którym ostatni raz oddalałem się z domu, postrzegłem bieżącego ku mnie wiernego psa— figaro. Stęskniwszy po mnie, sam jeden w jaskini, biédne zwierzę wyszukiwało śladów moich. Zawołałem po nazwaniu. Z hałaśném szczekaniem i skomleniem nieuhamowanéj swéj radości, rzuciło się do mnie poczciwe psisko! Wziąłem go pod pachę i zaniosłem do jaskini.

Wszystko było w dawniejszym porządku. W miarę wzmagania się sił, zaczynałem znowu dawniejsze zajęcia i dawny porządek życia. Wszakże w przeciągu całego roku nie śmiałem narażać się na poddmuchy północy— stały się one dla mnie nie do zniesienia...

I teraz żyję takim sposobem, kochany mój przyjacielu. Skorochody moje są nieznoszone, chociaż polegając na zdaniu pewnego uczonego naszego archeologa, trochę lękałem się o nie. Są one zawsze mocne, lecz moja własna siła słabnie. Jedna pociecha została się dla mnie, że utraciłem tę siłę, tę potęgę dążąc do jednego stałego celu, w jednym raz obranym, kierunku... Głębiéj, niż ktokolwiek przedemną, badałem naturę ziemską tam, gdzie była dostępną dla moich chodaków; badałem jéj kształty, wysokość, temperaturę, przemienność jéj atmosfery, zjawiska magnetycznéj siły, i wszystko co na niéj żyje, a w szczególności moje ukochane rośliny. Najdokładniejszym sposobem i w jasnym porządku wyłożyłem fakta w kilku dziełach i zlekka wyłożyłem w kilku rosprawach moje wnioski i mniemania o nich. Prócz tego dokładnie oznaczyłem jeograficzne położenie środkowéj Afryki, północnych podbiegunowych stref, wewnętrznéj Azji i wschodnich jéj brzegów. Moja historja korzeni roślinnych obu światów (*Historja stirpium utriusque orbis*) jest częścią Flory powszechnéj ziemskiéj (*Flora universalis terrae*) i wchodzi w skład mojéj *Systema naturae.* Sądzę, że nie napróżno pomnożyłem liczbę wiadomych gatunków roślin więcéj

niż o część trzecią; zrobiłem też cóś i dla systematu jeografji roślinnéj. Obecnie zajmuje mię moja *Faunia*.

Przed śmiercią postaram się oddać me rękopisma Krakowskiemu Uniwersytetowi. A ciebie, kochany mój Szamisso, wybrałem na depozytora mojéj cudownéj powieści. Niech posłuży, kiedy już mnie nie będzie na ziemi, za przykładną naukę dla ludzi tego świata! Żyjąc pomiędzy ludźmi, naucz się przedewszystkiem, mój przyjacielu, cenić cień swój nasamprzód, a potém złoto,— jeżeli zaś chcesz żyć tylko dla siebie jednego,— rada moja na nic się tobie nie przyda!...

E x p l i c i t.

«Niech zrozumie, kto zrozumieć może!" *).

. . . .

Romuald Podbereski.

Petersburg.

---

*) Myśl powyższéj powieści wziętą jest z fantastycznéj powieści niemieckiego poety *Adalberta von Szamisso*. Jakkolwiek niektórym dobrodusznym czytelnikom może się ona wydać tylko czysto-fantastyczną, napisaną bez dążności, jedynie w celu zabawienia próżniaczéj gawiedzi,— zawiera jednak głęboką prawdę, sercem poety przeczutą, odgadniętą, a oku pospolitemu niedostępną. Pewne powody wynikłe z wyłącznego położenia na świecie, z którém się tak zlewały myśli, uczucia i okoliczności w pewnéj epoce życia mojego, były przyczyną do obrania treści téj powiastki.... Dla tego mniéj od innych znajduję w niéj rzeczy nieodgadnionych. Strata drogich osób, tęsknota za swemi, dotknęły czułą stronę serca... Proszę więc nie brać tego poetycznego utworu za prostą powiastkę dla ubawienia dzieci dorosłych, napisaną. Zaraz na początku widzimy obraz, jak biedak w zetknięciu się z bogaczem, utraca uczucie indywidualności, mimowolnie wyzuwa się z osobistości,— a z czasem może przyjść do zatraty zupełnéj osobistéj godności— aż do zaprzedania jednego ze swych ludzkich przymiotów. Człowiek prawy, z przejętém miłością dla ludzi sercem w tém zetknięciu się tracąc swoją niezależność, staje się bezrozumnym bałwanem, traci samodzielność myśli i charakteru, z istoty samoistnéj, pełnéj ducha i zapału, staje się bierną maszyną.

Wszystkiemu co żyje i co nie żyje, a co exystuje pod słońcem,— Bóg dał cień— własność— bez któréj nie może się obyć żaden przedmiot w naturze stworzonéj. Kto ją straci, kto jéj zaprze się lub poświęci innemu, traci swoją osobistość, traci prawo, które odebrał razem ze wszystkiemi tworami na ziemi. Poeta w obrazie zmysłowym przedstawia do czego dowodzi człowieka wyrzeczenie się jednego z najmniejszych attrybutów człowieczéj natury: co w świecie fizycznym toż samo i w moralnym... Po wycierpianych mękach zaparcia się, bohatér przychodzi do stanu istnienia cicho-skromnego, niezależnego i dalekiego od ludzi. Smutne doświadczenie uczy go, iż rzadko oklask i fawory tłumu są nagrodą talentu, zasługi i prawdziwéj a ukrytéj cnoty,— że gawiedź ugania się często, nawet prawie zawsze, tylko za pozorem cnoty— tylko za *cieniem*....

PANI KAZNACZEJOWA.

Miasto W........ w głównych atlasach
Nie wielkim krążkiem narysowane,
Bo nie wiedziano, że w naszych czasach
Będzie to miasto powszechnie znane;
Że kurjery, pocztyliony
I z depeszami sztafeta chyża,
Będą przewozić tędy ukłony
I do Berlina i do Paryża,
I że telegraf mrugać tu będzie
W prawe i w lewe świata krawędzie.

Niegdyś tam była warownia stara,
W judejskim stylu żydowska szkoła,
Nie tynkowana na górze fara,
I zrąb drewniany w roli kościoła;
Karczma przy karczmie, kramki, towary,
Żydów bez liku, błota bez miary.

Dzisiaj W........ jest wcale inny—
Szose przechodzi prosto w Stolicę,
Dwie brukowane są tam ulice,
Handel korzenny i handel winny;

Nawet cukiernia, bo na pół ściany
Ogromny biszkokt wymalowany.
Jest tam kwartalny, dwie czy trzy budki,
Z halabardami para budników,
Jest też rogatka, kabak dla wódki,
I ze sztęflami kilku strażników.
Nawet latarnie, co od południa
Raz w rok się palą, w początkach Grudnia.

Lecz dawniej nuda wiecznie gościła,
Chociaż bywali tam fanfarony,
I tak jak wszędzie stare matrony,
I brukozboje i głupców siła,
I modne damy w czepkach, burnosach
Z rekuzą w oku, z muchami w nosach,
Srogie Djanny z postawy, z miny,
Przy nich strach było myśleć co złego,
Bo myśl w lot złowią i niewinnego
Gotowe upiec za sprośne czyny,
A komeraże, intrygi, plotki,
Bez miłosierdzia siały dewotki.

W takim był stanie komplet dworzański,
Którego dzieje chcemy malować,
Gdy przyszły wieści, że pułk Ułański
Wkrótce ma przybyć i tam zimować.
Dobre nowiny— Ułani chwaty,
Półkownik pewnie ich nie żonaty,
A Pan Jenerał konnéj brygady,
Musi też dawać bale, obiady.

Kontente z tego matki i córy,
Lecz niespokojni starzy mężowie,
Ruch w całym mieście,— skąpi ojcowie,
Także swe siwe skrobią fryzury,
Bo wiedzą jak też szable, ostrogi
Na woskowane szkodzą podłogi.

Tymczasem sobie pewnego rana
Nim się Aurora zarumieniła,
Nim gawiedź miejska jeszcze zaspana
Nawet szynkowni nie otworzyła,
Ułani strojno, po sześciu w zwodzie,
Wstąpili w miasto,— a na ich przodzie
Trębacze drzemiąc zwolna jechali,
I marsz z Opery *dwóch ślepych* grali.

I któżby słysząc tentent, parskanie
Tak pożądanych jezdców i koni,
Nie chciał porzucić miękie posłanie?
I czyjeż serce tu nie zadzwoni
Przy słodkiéj myśli, że w tym orszaku,
Może kochanka, męża dostanie,
Bo jednym męże już nie do smaku,
Inne znudziły w panieńskim stanie.

A więc rzucając ciepłą pierzynę
Ta woła Basię, ta Katarzynę.
Dawajcie żywo chustkę, trzewiki
Jednéj szlafroczek, drugiéj spodnicę,
I przecierając senne powieki,
Każą otwierać wnet okienice,
A tam zaspany Maciek lub Janek,
Mrucząc z pośpiechem bieży na ganek,

Przez zapotniałe szyby— przez szpary,
Każda ciekawém już okiem mierzy
Okrytych pyłem młodych żołnierzy,
A któż w mundurze brzydki lub stary?
Spójrzyj kuzyno! ten brunet z boku,
Major być musi— patrz jak przystojny,
I wąsik czarny i figiel w oku;
A ten na lewo blądynek strojny,
Rotmistrz zapewna— jednak niestety!
Byli to junkry albo kornety.

I tak pułk przeszedł, a za nim tłumem
Miejskie szubrawcy, żydki, bochury
Bose i brudne, z hałasem, z szumem,
Biegli rzucając czapki do góry,
I na ulicach zostały ślady
Kawalerzyjskiéj prrrromenady.

W bliskości fary, w sławnym hotelu
Kwaterowało Ułanów wielu,
A na przeciwku, był domek skromny
Wcale nie nowéj architektury,
Nie symetryczne zdobiły mury.
Dwie obłupione z frontu kolumny,
Na których balkon trzymał się krzywy,
I dach zarosły w mech i pokrzywy.

Jednak przed gankiem cztéry topole,
Okienka światłe, białe firanki,
Klatka z kanarkiem, z kwiatami szklanki,
Dawały świéżą domowi rolę,
I widać było, że tam się kryje
Istotka, w któréj serduszko bije....

Właściciel domku człowiek nie młody,
Niski, pękaty i z łysą głową,
On tu oddawna z summą skarbową
Miał do czynienia— i jéj dochody
Umiał pogrążać w księgi i szczoty,
A przez rachunku ciemne otchłanie
Kassę w kwitnącym przedstawiał stanie,
I wynagradzał swoje kłopoty.

Jednę miał słabość— któż bez słabości!
Często wieczorkiem po dziennym trudzie,
Żeby zapobiedz powszechnéj nudzie,
Zakładał banczek dla miłych gości,

Lub poniterkę— sam na pewnika
Czasem postawił; a w każdym razie
Ściągał talary od przeciwnika,
I lubił pączyk przyprawiać w wazie.

On nieprzyjaciel uczonéj klassy,
Zręcznie do siebie zwabiał młodzików,
I ich dochody z owsa, indyków,
Nie raz wsiękały do jego kassy
Sposobem prostym;— bo w jego stronę
Zawsze padały karty znaczone.

Sprawnik, Sztab-lekarz i Horodniczy
Składali kadryl u gospodarza,—
Kapitan-Sprawnik, jak to się zdarza,
Był człek dowcipny, pełen słodyczy,
Przy tém służbista,— jego rozmowa
Choć trywialna, wszystkich bawiła,
I tylko często Kaznaczejowa
Po białka oczu się rumieniła.

Tutaj to właśnie wiedzieć należy,
Że nasz Kaznaczéj młodą miał żonę—
Łagodną, skromną, pięknie stworzoną,
Słowem— skarb istny dany mu z nieba.
Pan Rubłołowiec człek finansowy,
Na czyste grosze żonę szacował,
I znając wartość skrzętniéj ją chował,
Niż stotysięczny bilet bankowy.

Nie wypisywał wprawdzie z stolicy
Czepków i strojów dla połowicy,
Lecz nie zaniedbał dać jéj nauki
Jak oczkiem mrugnąć, słówkiem zabawić,
I ponitera w niebaczność wprawić,
By artystowskiéj nie dostrzegł sztuki,
A sam tymczasem człek doświadczony,
Z oka nie spuszczał skinienia żony.

I w saméj rzeczy— Kaznaczejowa
Była kobiétka wielce powabna,
Biała jak cukier, figurka zgrabna,
Oczki błękitne, pierś łabędziowa,
Perłowe ząbki— i doskonale
Miłe usteczka jakby korale.

Więc upojony tylu wdziękami,
Stary Kaznaczéj topił swe oczy
W alabastrowéj ramion przezroczy,
Z jéj jedwabnemi igrał włoskami...
Lecz to był słaby miłości datek,
Bo z téj pieszczoty nie było dziatek!..:

Tu znowu muszę wyznać nawiasem,
Że jedna młoda jéj koleżanka
W półku Ułanów miała kochanka,
Bo mąż był stary— i ona czasem
Kaznaczejowéj, dobréj kobiécie,
Opowiadała o tem w sekrecie.

Jeśli się komu słyszeć zdarzyło
Z za-parawana lub z za-firanki,
Jak się zwierzają dwie koleżanki,
Co kiedy z niemi ma być lub było?
To musi wiedzieć jak też kobiéty
Traktują zcicha mężczyzn zalety.

Z takim przykładem— Kaznaczejowa
Pomimo skromność i zalet krocie,
Mimo gruntowną zasadę w cnocie,
Poromansować była gotowa;—
A na pokusę z łaski szatana,
Vis- à vis były okna Ułana.

Sztab-rotmistrz zajął myśl jéj niestety!
Z czarnym wąsikiem i z gęstą miną,

I z kędzierzawą czarną czupryną,
Słowem—ideał w guście kobiety;
Ze mną oddawna był on znajomy,
Przetom żywota jego świadomy.

Majątek ojców on w półku stracił
Będąc kornetem— odtąd swą dolę
Jak lesny ptaszek na Bożą wolę
Musiał powierzyć— długow nie płacił,
I nigdy nie zwykł utrudzać głowy
Gdzie ma się podziać w czas obiadowy.
U Półkownika i z kolegami
Albo w gościnie do stołu siadał,
Często w hotelu na kredyt jadał,
A brzęcząc szablą i ostrogami,
Pozwalał pisać najdłuższe szczoty,
Których wypłacać nie miał ochoty.

Bywało jemu fortuna błyśnie,
Gdy za remontem na wpół pijany,
Jeździł pomiędzy żydki i pany,
I gdy podradczyk bumażkę wciśnie
Wówczas gotówkę stawiał na asa,
A gdy as przegra znów pusta kasa.

Wszystko na świecie mając za fraszki
W każdém zdarzeniu sobie poradził,
Dwa pojedynki miał dla igraszki,
Mówią, że komuś kulę w łeb wsadził,
Zresztą żartowniś— wesoły, żywy,
I że tak powiém— żartem poczciwy.

Umiał płci pięknéj grzecznie, układnie,
Wydemonstrować swe sentymenta,
Umiał serduszka uławiać zdradnie,
Wprowadzać w romans młode dziewczęta,
Zrywać trofea,— słowem— w miłości
Mógł zakasować mnie i waszmości.

Taktyk we wszystkiém— więc na kwaterze
Wraz statystyczne pozbierał wieści,
To przez faktorów, to w traktyerze
O różnych plotkach, intrygach w mieście,
O pannach, wdowach,— kto jak bogaty,
I gdzie mieszkają swachy lub swaty;
Ale najbardziéj los go obchodził
Młodéj sąsiadki— i był w kłopocie,
Że ciężko zgrzeszy przeciw swéj cnocie,
Jeśliby losu jéj nie osłodził;
Bo czyż się godzi, aby dziad łysy
Pożerał wdzięki pięknéj huryssy.

Raz— ledwie Febus w złotym rydwanie
Nad W......... wjechał kominy,
Gdy Morfeusza leniwe syny
Drzemiąc tonęli w miękie posłanie,
I kiedy jeszcze zrana po bruku
Nie słychać było pojazdów stuku,—
Ułan się zbudził i wstał;— tymczasem
Termałamowy archałuk wkłada,
Myckę z rzęsistym złotym kutasem,
I tak w negliżu przy oknie siada,
Wziął dla effektu swój cybuch długi,
Ozdobny w bursztyn i tkań z paciorek,
I jak trzytulny w Stambule turek,
Puszczając z dymu kółka i strugi,
W słodkich marzeniach śród rannéj doby
Zaglądał w okno do garderoby.
Przeszło chwil parę i postać miła
Mignęła w oknie raz— drugi— trzeci...
I bliżéj okna profil jéj świeci,
Nareście furtka się otworzyła.

Nadobną główkę wsparła na dłonie
I wzrok powiodła po nieboskłonie

I po obłokach— a potem niżej
Po nad błyszczące kościołka krzyże,
Po dachach, gzemsach— i zadumana
Spójrzała jakoś w okna Ułana...

Jak elektryczną iskrą trącona
Cofnęła główkę, zakryła oczy;
«Ach Święty Jacku!" krzyknie strwożona
I od okienka żywo odskoczy;—
A strach był wielki— każden to przyzna;
Gdyż bez halstucha siedział mężczyzna.

Rotmistrz co prędzéj z krzesła się chwyta,
Wdziewa swój mundur i epolety,
Lecz już firanka w oknie zakryta,
Bo tak kazała skromnosć kobiéty;—
On kręcąc wąsa, myślał w ufności,
Że już początek jest znajomości.

Parę dni furtki nie otwierała
Gniewna sąsiadka; lecz na dzień trzeci
Znowu jéj biała sukienka świeci,
I znowu w oknie się ukazała,
I już tą razą Rotmistrz mógł zbadać,
Że chciała strojom powabu nadać.

Gdy tak się święci tryumf Ułana,
On z powodzenia rad pokryjomu,
Choć z żalem serca— wyjechał z domu,
I nie powracał do jutra rana;
I potém jeszcze— by łacniéj zwodzić,
Dwa dni do okna nie chciał podchodzić.

Taka to była piérwsza osnowa
Małéj niezgody,— potém przymierza—
Daléj się wszczęła oczów rozmowa,
A ta rozmowa do celu zmierza.

O oczy, oczy! źwierciadło duszy
Tłumacze uczuć— jedno spójrzenie,
Łacniéj wyraża serca skinienie,
Łacniéj miłości strunę poruszy,
Niżeli wszelkie kwieciste frazy,—
W ich heroglifie piszą się słowa
Którym nie zrówna żadna wymowa,
I nie określą żadne wyrazy.

Komuż nie znany język miłości,
Język cudowny! któż w młode lata
Od nieczułego okrążon świata
Nie przelał wzrokiem swych namiętności
W serce kochanki?.. i jéj spójrzenia
Komuż nie wlały w duszę zbawienia!..

Krócéj więc powiém: przez dni niewiele
Sztab-Rotmistrz wiedział wszystkie zwyczaje
Swojéj sąsiadki— o któréj wstaje,
Co potém robi— kiedy w kościele
I w jakim będzie,— a głównie wiedział
Kiedy Kaznaczéj w domu nie siedział.

Przeto na spacer i do Kościoła,
Czy to wieczorem, czyli też zrana,
W ślad za nią wionie postać Ułana,
Jak opiekuńcze skrzydło Anioła,
I rozżarzone jak węgiel oko
Wnika do czułéj duszy głęboko.

Wszak bez miłości życie na świecie
Zimne i nudne— jest to grób żywy
Pochłaniający wdzięki kobiece—
A jakaż miłość tam gdzie mąż siwy?.
Więc nie zbaczając od naszéj treści—
Tak się ma dalszy ciąg téj powieści.

Jak w oblężonéj twierdzy na wałach
Śród kłębów dymu, Sztab-Rotmistrz siedział,
I o niebieskich marząc migdałach
Gdzie miał jeść obiad— jeszcze nie wiedział;
Aż człek w rejtfraku listek przynosi
Od Kaznaczeja— z przeprosinami,
Że sam zajęty interesami
Nie mógł przyjechać— lecz bardzo prosi
Dzisiaj na obiad i bal z tańcami.

Pan Rublołowiec był z rzędu sknerów,
Jednak na żony swéj imieniny,
Zwykł był zapraszać gubernskie czyny,
A teraz spraszał i oficerów.
Zatém nasz ułan w mundur odziany
Leciał o trzeciéj jak opętany.

Stół był nakryty, desert wspaniały,
Porozstawiane wazy na stole,
Rumiane jabłka z nich wyglądały,
I w symetryczném zebrane kole
Dla dam karmelki, tudzież łakocie,
A dla płci grubéj kieliszków krocie.

Wydano hasło— a więc na przedzie
Jenerałowę pod rękę wiedzie,
Sam pan gospodarz,— a daléj pani
I z nią jejmoście, panny, ułani;
Za stołem gwiazdą świecił Brygadny,
Przy nim Marszałek— daléj panowie
I Sztab i Ober-Oficerowie,
Na każdym błyszczał mundur paradny,
I Damy strojne w blądy i kwiaty,
I świec dwanaście pośród komnaty.

Gdy tak zasiedli panie i pany
Pośród widelców, talerzów dzwonu,

I chór trębaczy zagrzmiał z balkonu,
Aż się zatrzęsły okna i ściany;
Pod szum, swobodniej poszły uciechy
Czułe wyznania, żarty i śmiechy.

Przy gospodyni siadł Rotmistrz boku—
Nie wiém— umyślnie czy też przypadkiem,
I kręcąc wąsa patrzał ukradkiem
Na pierś lubieżną, pełną uroku,
I przez gazowe gorsu pokrycie
Liczył westchnienia i serca bicie.

Tymczasem jakoś z nieostróżności
Ostrogą nóżka była dotknięta...
Stąd przeproszenia i komplementa,
Daléj rozmowa pełna czułości,
Tkliwe spójrzenia— i naostatek
Dobrych skłonności piérwszy zadatek
W ściśnieniu ręki;— wy rozumiecie,
Co znaczy skłonność w młodéj kobiécie!

Bal opisywać nie mam w zamiarze,
Dość, że był świetny— i wieczór cały
Amury stale asystowały;
Dzisiaj przygasły już ich ołtarze
I połamane kupida strzały,
Tylko Wenery godła zostały.

Tak więc po balu— Kaznaczejowa
Gorąc w nieznanych dotąd płomieniach
Ledwie zasnęła— w sennych marzeniach
Słyszała słodkie Rotmistrza słowa,
I czuła słodkie ściśnienia ręki,
I posrzebrzanéj ostrogi dzwięki.

Nazajutrz— późniéj jak zwykle wstała,
I z krosienkami przy oknie siadła,

Przez zapotniałe szyby spójrzała,
Ranek pochmurny— senne widziadła
Snuły się ciągle przed nią na jawie,
Bo Mefistofel działał w téj sprawie.

Mąż, jak zwyczajnie, służbą zajęty
Wyjechał z domu na cały ranek,
I nic nie wiedział, że już kochanek
Zapalił w żonie ten płomień święty,
Którego dawno on nie rozumiał,
I sam tem bardziéj wzniecić nie umiał.

A ona jedna, w porannym stroju,
Pieściła przedmiot swéj wyobraźni,
W tém drzwi skrzypnęły od przedpokoju,
Lekki szmer kroków ucho jéj drażni,
«Kto tam?" zapyta— «czy ty Michale?"
I stanął przed nią nie Michał wcale.

Kto był tym gościem, nie trudno zbadać
Choć to za rychło i nie dość grzecznie,
Samotną damę zrana napadać,
Jednak zważywszy, że dostatecznie
Ułan nasz czekał,— a czas uchodzi—
Ze srogim sądem wstrzymać się godzi.

Zbliżył się do niéj— zlekka się skłonił
Sentymentalnie przymróżył oko,
Wąsa pokręcił, szablą zadzwonił,
Westchnął głęboko, westchnął széroko,
Chwilkę pomilczał— i przytłumionym,
Pełnym słodyczy przemówił tonem:

—«Ja widzę Pani! tyś nie czekała
Mego przybycia, może się mylę
W słodkich nadziejach? tyś nie doznała
Miłośnéj męki— nie wiész jak chwile

Długie, nieznośne,— gdy oddalony
Tęskne swe myśli zwracam w te strony.

Otoż ja teraz przed tobą staję,
I tutaj moich przeznaczeń meta—
Gorącą miłość tobie wyznaję...
Jam gotów umrzeć od pistoleta!..
Lecz ty się trwożysz?. powiedz dla Boga,
Czyliż mię kochasz?... ach wyznaj, droga!

Ona milczała— on jeszcze krokiem
Bliżej postąpił, i ośmielony
Na pół namiętném zmierzył ją okiem,
Szepnął słów parę,— a ona drżała,
I Rotmistrz myślał uszczęśliwiony,
Że już tryumfu chwila nastała....

I już był gotów... w tém nadspodzianie
Kaznaczejowa wstydem spłonęła,
A chcąc hamować zamiar w Ułanie,
Silnie go ręką od siebie pchnęła,
I rzekła: «niech pan zapał ostudzi.
Albo zawołam na pomoc ludzi."

Rotmistrz się zdumiał,— widzi nie żarty,
I że to nie jest farsa udana,
Kobiecy kaprys niech wezmą czarty!
Lecz cóż tu robić?— padł na kolana.
Klął się na bomby, szable, sztylety,
Błagał litości,— albo inaczej
U nóg okrótnej skona kobiety....
Aż na tę scenę— wchodzi Kaznaczej.

Ponuro sobie w oczy spójrzeli—
Lecz groźna burza przeszła bez gromu.
Słowa do siebie nie powiedzieli—
I powędrował Ułan do domu;

Krew miał wzburzoną, więc dla ochłody
Wypił dwie szklanki krynicznéj wody,
Do pistoletów dwie kule włożył,
I paląc fajkę spać się położył.

Za godzin parę Rejfrak przynosi
Jakąś zapiskę— skąd? od sąsiada—
To jest: Kaznaczéj na wiska prosi...
Cóż się to znaczy? Zapewna zdrada,—
Więc niespokojny i zadziwiony
Czeka wieczora— wieczor nadchodzi.
Patrzy przez okno— dóm oświecony,
I pełen gości— więc iść należy,
Lecz na przypadek wziąść nie zaszkodzi
W kieszeń pistolet— bo któż zawierzy
Aby po takim sliskim uczynku,
Mogło się obejść bez pojedynku:
Poszedł rad nie rad, choć nie bez trwogi,
Pełen otuchy w tchórzostwo męża,
I licząc na to, że bez oręża
Do łyséj głowy przyprawi rogi!
O *preterita!* i jam też bywał
Czasem w opałach— lub laury zrywał.

Wchodzi do sali— Kaznaczejowa
Sama spotyka— oczki spuszczone;
Ciche westchnienia w piersiach stłumione,
O wydarzeniu ranném ni słowa;
To o znajomych, to o pogodzie,
To o jutrzejszym w półku rozwodzie;
Znudzony wreście i na w pół gniewny,
Nie chcąc z damami gwarzyć o strojach,
Zwrócił ku oknu krok swój nie pewny,
Potém po dalszych poszedł pokojach.

Ja żyć śpieszyłem pókim był młody!
I życie było pełne wydarzeń,
I niebezpieczeństw i słodkich wrażeń...
Dzisiaj już nie to, co było wprzódy—
Świat nie tak piękny— zwątlone siły
Czarownych uczuć pryzmę rozbiły!
Ach, już nie wróci ten wiek szczęśliwy,
Gdy dusza pełna mocy— zapału—
Śród młodzieńczego igrając szału,
Wszędzie znalazła powab i dziwy.
Słodkie marzenia! bo któż zaprzeczy,
Że nic nad młodość— wszyscy to wiecie,
Dosyć więc marzyć, wracam do rzeczy.
I tak nasz Ułan już w gabinecie;—
I tutaj cudo! bo nadspodzianie
Gospodarz grzeczny biegł na spotkanie,
I czule ściska i siedzieć prosi,
I sam szampana kielich podnosi.
A Rotmistrz widząc gości gromadę
Pomyślał sobie: pewnie na zdradę
Judasz sprowadził— lecz zamiar próżny!—
Szabli nie zrzucał i był ostróżny.

Tymczasem goście wszyscy pospołu
U zielonego bawili stołu,
Sam Rublołowiec banczek założył,
W prawo i w lewo karty roskładał,
I krédką pisał i złotko składał,
I już sto czystych w kieszeń położył.
Gdy więc zajęty wieczora tego
Gospodarz z gośćmi musi się bawić,
Proszę pozwolić bym ja za niego
Miał honor świetne grono przedstawić:

Tu Pan Marszałek pierwszą grał rolę,
Schowany w halsztuch po same uszy,

Frak miał do pięty, sam dobréj duszy,
I z tabakierą złotą na stole;
Potém Prokuror— stojąc na straży
U wrót Temidy— dukaty waży,
O artykułach, Ukazach prawi...
I na waleta do banku stawi
Dwa kulifony;— dalej surowéj
Słuszności Patron— z czérwonym nosem
Siedział Sowietnik Izby Skarbowéj,
I na bumażki patrzał ukosem,
A znając kurs ich wówczas nie stały,
Po kilka sunął na martyngały.

Był tu i Sprawnik— sprawca porządku
Wczoraj ze śledztwa tylko powrócił,
Gdzie mu ktoś w kieszeń rulonik wrzucił—
Lecz tego znacie już od początku;
I w modnym fraczku sperfumowany
Fircyk ze szkiełkiem poniteruje,
I szampańskiego strumieniem zgrzany,
Z każdą przegraną stawkę dublûje;—
I jeszcze były tam facjaty,
Co posuwały karty, dukaty,
I wszystko wrzało śród gry odmętu.
Lecz dosyć o tém— daléj iść pora.
Bom uniesiony lekkością pióra,
Płynnością myśli i atramentu,
Pozwalam sobie zbaczać za wiele,
Prawiąc odrębne wam ceregiele.
Grali zawzięcie i tu niektórzy
Klnąc siebie samych i los uparty,
Hałasowali i darli karty,—
Drudzy spokojnie pośród téj burzy
Z wybladłém licem tylko siedzieli.
I swéj przegranéj zliczyć nie śmieli.
Inni nareście fortuny kołem,
Tocząc pomyślnie— banki zrywali.

I krotochwilnie szumiąc za stołem,
Kielichy szczęścia tuż wypijali.
Lecz Rublołowcem igrały losy—
On— co z początku garnął talary,
Teraz wypróżnił wszystkie swe trzosy,
A nawet przegrał domek swój stary;
Drążki, koczobryk i parę koni,
Kolczyki żony i co miał sprzętu,
I już ostatkiem fortuny goni—
Słowem Kaznaczéj zgrał się do szczętu!
I siedział blady, i pot strumieniem
Biegł po łysinie— północ wybiła,
Swiece już gasły,— w tém z podziwieniem
Wszystkich obecnych, w nim się zrodziła
Myśl tak szkaradna, że włos się zjeżył
Starym i młodym— kto w cnotę wierzył.

Piekielném sknerstwem serce rażone
Było bez uczuć— i on objawił
Że chce odegrać wszystko co stawił,
Albo nareście przegrać i żonę!!..
Na taki projekt zrobił się kweres,
Czy nie opętał go Lucyferes?..

Jakby ukropem te jego słowa
Wszystkich zwarzyły,— pięknaż nadzieja!
A jakże mogła Izba Skarbowa
Takiego dotąd mieć Kaznaczeja?
Aż Pan Sowietnik krzyknął: «kamracie,
Ty zrobisz hańbę całéj Pałacie!"

Natenczas Rotmistrz z zimną rozwagą
Podszedł— i krzepiąc zamiar zbrodniczy,
Bez uniesienia, rzekł mu z powagą:
«Niechaj tam sobie jak kto chce krzyczy.
My grać będziemy— proszęż waszmości
Najsprawiedliwiéj stasować karty,

I pomnąc sobie, że to nie żarty,
Grać bez kręcielstwa, mieć się w baczności,
I według reguł rozkładać stosa,
Bo szablą utnę połowę nosa."

Gdybym mógł pędzlem Hogarta władać,
Lub wypić wiadro wód Hypokreny,
Gdybym Pegaza umiał dosiadać,
I galopować z natchnieniem weny,
Wtenczasbym może przedstawić umiał
Obrazy godne flamandzkiéj sławy,
Wtenczas mój rumak chociaż kulawy,
Biegąc na Parnas muzę by zdumiał;
Lecz żem nie zyskał tych darow nieba,
Przeto wam samym przedstawić trzeba,
Jak między graczów i świec dwie pary
Usiadł Kaznaczéj z wielką łysiną,
I jak z skrzywioną uśmiechem miną,
Lśniły mu oczy i okulary;
A przed nim stojąc z poniterkami,
Z najeżonemi Ułan wąsami,
Wołał co abcug to «mości panie!"—
Pikowe Damy, Asy i Króle
Pozałamywał w różne parole,
Grożąc, że banku wkrótce nie stanie.

Na dopełnienie tego obrazu
Siedziała w krześle prześliczna żona—
Jéj twarz jak oczy chameleona
Zmieniała barwę i treść wyrazu,
To śnieżno-blada— jak kwiat lilija,
To znów czérwona— jak piwonija.

Co się w jéj sercu działo w tę porę
Tego powiedzieć ja się nie biorę,
Bo któż kobiece serce mógł zbadać,
Jakiém uczuciem bywa wiedzione?

Przeto też nie wiem na czyją stronę,
Chciała wygranej kierunek nadać.

Nie długo trwała walka zacięta,
Rubłołowcowi los już nie sprzyjał,
Ułan widocznie banku dobijał...
I już się stało— forteca wzięta.

I cóż myślicie?.. że płacze, żale
I na złośliwą fortunę skargi
Te koralowe roniły wargi?...
Nie— ani łezki nie było wcale,
I tylko piękna Kaznaczejowa,
Podeszła płynnym do męża krokiem,
I obojętném spójrzała okiem,
I nie wyrzekłszy ani pół słowa,
Rzuciła na stół ślubny pierścionek,
By wziął go nazad stary małżonek.

Zakryła oczy swą śliczną dłonią,
Coraz się chwieje... pewnie zemdlona...
Lekki wykrzyknik piersi jéj ronią...
I na Rotmistrza pada ramiona.

Ułan syt sławy i rad z wygranéj,
Drogi ten ciężar w objęcia chwyta,
Żadnych rachunków więcéj nie pyta,
Wszystko zostawia do odegranéj:
Zapomniał nawet szablę, giwery,
I niosł co prędzéj ją do kwatery.

Nazajutrz wieść ta rozbiegła wszędy,
I już gadano po całém mieście
O tém zdarzeniu— ależ nareście,
Wszystko ma koniec— i te gawędy
Dziś w zapomnienia grzebią się fali,—
I ja sam nie wiem co było daléj...

Bo czas, niszczyciel wszystkich pamiątek
Pochłania dzieje— i kronikarze
Zgubili dalszy tych dziejów wątek—
Skądże więc czerpać mam komentarze?
I któż mi prawo na to dać zechce?
A wreście wyznam— że i sam nie chcę.

Taki więc finał tej filo-dramy,
I tutaj punktum (.) mojego śpiewu,
Nie było zgonów, ni krwi rozlewu.
Niech mi przebaczą szanowne Damy
Gdym cierpliwości waszej nadużył,
Jakem potrafił— takiem usłużył,
A kto był łaskaw czytać bez gniewu,
Snadnie to widział do czegom zmierzał,
I jak mój pegaz kulejąc szłapał,
I nie bez trudów krzepiąc swój zapał,
Do Helikonu stajni dobieżał.

A. Kl.

Petersburg— 1848 r.

PAMIĘTNIKI JÓZEFIKA.

II.

OLESIA-NASTUSIA.

(**Pamiętnik VI.** *)

«A chaque occasion de périls, le médecins ont quelques anecdotes à raconter."
Mme de Saint Surin— (*le miroir des salons*).

1.

«Największa liczba sennych marzeń, nawet tych, których za ocknieniem się znajdujemy w sobie ślady, są jakby niewyraźném echem, jakby ostatniém brzmieniem obrazów najmocniéj w czasie czuwania nas zajmujących"— powiedział Fr. Szlegiel w swéj *Filozofji życia.*

Nie ręczę za dosłówność— ale Debay twierdzi, że gatunek elektryczności z naszych nerwów, w skutek życia zewnętrznego mianowicie, ciągle się wydobywa na zewnątrz, i nadmiar straty téj elektryczności wyniszcza nasze nerwy i sprowadza *sen.* Jeśli jeden lub kilka organów umysłowych (mózgu) są mniéj wy-

*) Jest to szósty wyjątek z *Pamiętników Józefika*, którego cztéry piérwsze udzielone zostały przez autora do *Gwiazdy* i *Dzwonu Literackiego*, 5-ty będzie w następnym, a 7-my, 8-my, 9-ty i t. d. w dalszych zeszytach *Pamiętnika.* (*Red.*)

niszczone od innych, wtedy po uśpieniu tych innych, tamte jeszcze działają, a po odnowieniu sił nerwów przez sen i karmienie, człowiek znowu przebudza się.— Nim atoli całkiem się przebudzi, zaczynają się widzenia senne i takie, których organa mózgu pierwiéj się odnawiają w swych siłach. Jeśli organa pamięci, rozmysłu, wyobraźni są w równym lub bliskim tego stopniu odnowienia swoich sił, rodzą się widzenia jasne i mocne, bo siła uśpionych organów, przychodzi na pomoc mniéj uśpionym, i wówczas człowiek widzi i rozumuje we śnie lepiéj niżli na jawie. Gdy zaś powstaje zamieszanie w działaniu organów mózgu, czy w skutek przyczyn mózgu, czy piersi czy żołądka, rodzą się widzenia ciemne, straszne zmory.

«Myśl o organiźmie samym, rodzi już w nas pojęcie o sile organicznéj. Ona zatém niezbędnie jest złączona z organizmem, i wszystkie przeciwniki organizmu już działają przez to i na siłę organiczną, osłabiając i niszcząc ją— i rodzą sen”— pisał do mnie młody student medycyny, i jak widać z zakroju przyszły kandydat do pisania fantazji poetycznych lekarskich,— których schorzały i trupi zapach i materjalny, waryacki idealizm, mają podnosić ducha czytelników do nieba— z podłego błocka rzeczywistego, nie chorego życia.

Ja zostawuję moim Panom dowoli, zgodzić się lub niezgodzić z tém zdaniem— przestać na określeniach snu powyższych, lub zgodzić się ze zdaniem Szansopansy, który napisał: «błogosławieństwo Boga na tego człowieka, co wymyślił sen! on okrywa człowieka jak opończa.”— To określenie tak jasne, tak po sercu, powiada Stern, że wszystkie rosprawy uczonych o tym przedmiocie, nic nie warte przy niém. Albo swe nowe lepsze w czasie marzeń półsennych tworzyć, krytykując myśli i określenie o tém wszystkich fizijo-patologów— jak kto chce, powiadam,— bo mnie któregoś swobodniejszego wieczoru, więcéj zajmowały opisy jeno czarnéj *vulgo* ujemnéj strony naszego towarzystwa, opisy uczciwych nie tylko Kraszewskich lecz i Bleponskich i Wilkońskich i t. p. niżeli teorje snu i snów. Smutno jakoś zrobiło się mi, prawdziwie jak na lekcji patologji z historyjkami chorych, gdy to wymówny professor wykłada— że zdaje się, iż cały świat, całe życie jest tylko jednym smutnym, boleśnym stanem— chorobą, i wszyscy ludzie— chorzy.— I tuż młody studeński umysł nastrojony patologizmem, wnet z boleśném jakiémś zwątpieniem, zaczyna śmiało zaprzeczać stan fizjologiczny— zdrowy w naturze, że istotnie zdrowia prawdziwego niéma a tylko jedne choroby.— Smutno, powiadam, jakoś na mnie działały tego wieczoru opisy

tych powieściarzy obrazujących nasze towarzystwo na każdym kroku, na każdym stopniu dostojeństwa— słabe tylko, ułomne. A nigdzie prawie, gdzieby obrazek zdrowia, prawdziwego szczęśliwego życia, pocieszył duszę! Smutno! Czyliż tego zdrowia w saméj rzeczy zgoła niema w towarzystwie?.. czyli tylko my zobaczyć jego nie chcemy, czy nie umiémy?.. Z tego względu daleko weseléj czytać acz studeńskie obrazki przyszłych Oczapowskich, Wilkinsów, Teerów i t. p. obrazki dobrych obywateli rolników i ludzi przemysłu w Kaliszskiém i innych (opis podróży po kraju odbytéj przez 12-stu uczniów agronomji i t. d.) niżli wiele, wiele, z talentem napisanych powieści.

Wiatr na dworze hucząc po szybach i okienicach, także stękał jak kapryśny a jeszcze mocny, chory pieszczoch. Prawdziwie niejakiś pozostały pseudoromantyzm stukał się do drzwi moich i pomrukiwał jakieś skargi od ludzi— czytelników przyszłych tych oto pamiętników, że ich autor nie lepszy a nawet gorszy od drugich pisarzy, bo tylko wady i słabości ludzkie zajmują go, i po prostu czerni biédne ludziska, smuci, zamiast coby miał uzdrawiać i pocieszać.

I inne różne (mnie się zdaje bardzo nierozumne) myśli i dumy pełzały po głowie jakby u dziéwczyny, którą zawodzące ciągle nadzieje już spleniczką zrobiły; albo może były podobne myśli myślom przy pustym żołądku, przy pustszéj kieszeni i t. p.— jednóm słowem, prawdziwie nie tylko głupie ale wcale nie poczesne. Bo nazwać je niewesołemi— mało.

Jednakże, musiało to wszystko pochodzić ze skupienia się wielkiego czarnéj krwi do saméj papki mózgu, jak bywa u niektórych cichych, melancholijnych pijaków, jak bywa zawsze u trzech moich znajomych, którym trzeba tylko położyć głowę, iżby już i zasnąć, żem i ja prędko zasnął.— O! gdybym tak mógł prędko zawsze— gdy trzeba, zasypiać! wtenczas— o! wtenczas..... jabym nie był jakim jestem— to jest ze wszystkiego najpewniéj, iż prędko zasypiałbym, i nie bardzo bym się lękał i krzywił, że mię rozbudzą.— Lecz tą razą chociem spał mocno, ale zbudziłem się prędko i całkiem się zbudziłem.— Co to znaczy? spytałem siebie leżąc z otwartemi oczami.— Naturalnie znaczy, że już wyspałem się, że ta czarna krew przestała naciskać mój mózg.— Ale tak prędko wyspać się?... I drugie dziwaczniejsze tłumaczenie i odpowiedź przyszły do głowy— i musiałem się cierpko i kwaśno skrzywić— bo zimny wiatrzysko sobie huczał i huczał,— a pomyślałem (bo jakie myśli nie przyjdą w takim czasie i położeniu?)— oj— żeby tylko komu nie zechciało się mię wyciągnąć z łóżka! I gdym jesz-

cze przebierając myślą swych pacjentów, którzyby tyle mógł być niegrzeczny?— cieszył siebie nadzieją, że zostanę spokojny— ażno mój prawdziwy budziszek— piesek warknął, zaszczekał i zadzwonił swym cieńkim głoskiem, ogłaszajac i prawdziwie łając, że niegodzi się dobrych ludzi w taką porę budzić i kłopotać. Ale swary te nie pomogły— trzeba było wstawać.

Panów psychologów prosiłbym i ten wypadek (o innych kiedybądź indziéj) przyjąć na uwagę— i rozwidnić to ciemne, wątpliwe zagadnienie, dla czegom się zbudził w niezwykłą porę? i wytłumaczyć to wszystko choćby z przybliżeniem do prawdy przez źwierzęco-ludzki magnetyzm.

—Co za kobiéta!
—Kobiéta.
—A co za dziewczyna!
—Jak dziewczyna.—

Pospolicie mniemają i sam Józefik jest nie od tego, że dla idealnéj piękności, konieczny jest smutek i cierpienie. Rozumie się, że tu mowa o piękności wysokiéj estetycznéj kobiét.— Kobiéta ze łzą w oku, z włosem rozrzuconym, błagająca czy tylko smutna, czy mocno cierpiąca moralnie, zawsze jest piękniejszą od wesołéj i zwierzchnie szczęśliwéj kobiety.— Kto prawdziwego na praktyce nieszczęścia nie widział i nie widzi często, a tylko zna to wszystko z teorji i ze swéj wyobraźni,— to nie przeczę, że cierpienie i niedola mianowicie w kobiécie, może się podobać jemu, i téj kobiety podwoi wdzięki, budząc w sercu widza litość— współczucie ludzkie. Taka kobiéta jest kluczem drugim na świecie prócz złotego, którym się zawsze otwierają najzawarowańsze, najbardziéj zardzawiałe zamki serc ludzkich.— Lecz komu Opatrzność naznaczyła widywać często te płaksiwe krasy kobiet i w ogóle stan niedoli i chorobliwy człowieka,— to wierzcie mi panowie, że ta płaksiwa piękność nie jest tak piękną a przynajmniéj pożądaną i zachwycającą— i nie raz wolisz nie tylko widzieć kobiétę co ze łzą w oku już osychającą, uśmiécha się do szczęścia i nadziei, ale nawet wolisz widzieć wesołutką rzeźwą a nawet filuterną trzpiotkę.— Bo tu rodzi się w tobie pocieszająca myśl, że Opatrzność za prawdę stworzyła nas nie jeno dla łez i cierpienia, ale była litościwszą trocha niżli podoba się nie-

którym panom— karmiącym się najczęściéj łzami ludzi,— wyobrażać sobie i ogłaszać światu, że szczęście tylko po śmierci dla człowieka— a tu zgoła go niema, i niepowinien on mieć do tego najmniejszéj pretensji, nieobrażając już przez to Najwyższą mądrość. Takowi estetycy płaksiwéj piękności, bądźcie panowie pewni, że niewiele widzieli lub i zgoła nie poznali i nie poczuli, co to łzy i cierpienie. Gdyż poznawszy, przestaliby się niemi zachwycać.— Bo o wyrodkach ludzi— prawdziwych tygrysich naturach, co bez krwi, bez rospaczy drugich żyć nie mogą, tu nie mówię.— To należy do psychologji, lub gdzie się podoba komu odnieść podobne roztrząsania i śledzenia nad naturą ludzką.

Jednakże u autora Pamiętników nieciekawych, nie wiele, niestety! jest w zapasie obrazków wesołych, którymi by on chciał podzielić się z czytelnikiem, a będzie starał się wybierać z okropnych i smutnych, najmniéj smutne.— Proces konania w gorączce z maligną i bredzeniem, czy ze spokojnym i przy całéj pamięci umysłem, czy w okropnie bolesnych konwulsjach i chrapiącém chwytaniu najtrudniéj kropelki powietrza zepsutemi naniwecz płucami, proces rozdziału całkowitego ducha i duszy z ciałem, z témi oczami zapadłemi, wywróconemi, co to świécą cynowemi już białkami, któreby nie jednéj z was panie, na długo spać nie dały spokojnie— och! panowie, to poezja dobra i może bardzo piękna w książkach, lecz w rzeczywistości życzę wam ją widzieć jak najrzadziéj. W praktyce— jest to czysta, okrutna proza. Gorsza nawet jak wszystko, jak najprozaiczniejsza proza!

Jakkolwiek bądź, ja wam pokażę młodziutką dziewczynę, a jeśli się podoba— pannę, a grzeczniéj mówiąc, panienkę, lub jeszcze lepiéj— dziewicę.

Lecz trzeba wam wiedzieć gdzie ją zobaczycie? oto w niedalekim zbyt domu odemnie. W tym domu ojciec, matka i pięcioro dzieci; dosyć sług, wiele książek, dość rozumu, wiele cywilizacji i dobrego wychowania i nie widać niedostatku.

Wyobraźcie mnie otwierającego drzwi z przedpokoju do gabinetu gospodarza domu, którędy jedna z dwóch dróg do sypialnych i wnętrznych pokojów, i wyobraźcie przedemną 17—18 letnią brunetkę wysoką, strojną z najszlachetniejszém białém obliczem choć nie idealnéj piękności, z długim czarnym i rozrzuconym włosem, u któréj na oczach łez nie było, jak na ciele nie było nic więcéj prócz niezbędnéj bielizny nocnéj; bo to trzecia godzina po północy, bo ta dziewczyna zerwała się z pościeli na krzyk siostrzyczki choréj i omdlewającego w stękach i jękach od strachu ojca,— i wyobraźcie ją taką, podtrzymującą swą słabą

siłą już siwego ojca, obróconą do mnie pół bokiem i więcéj twarzą i wołającą: ojcze! co tobie! co tobie? ach uspokój się! Boże mój! papeczko, usiądź, usiądz, upadniesz, ja cię nie podtrzymam i t. p.— Ona nie słyszała i nie widziała kiedym wszedł i pomógł jéj starego ojca posadzić na kanapie.

Panowie estetycy! proszę was zgadnąć, co ja będę mówić daléj? a ja będę pisać co było i jak było w istocie. Proszę was, jak myślicie, co nastąpiło, co zrobiła moja 17-letnia Olesia zobaczywszy mię?.. Ta Olesia tak prawdziwie ładna i piękna w téj chwili, zaiste niemniéj jak dziesięć razy ładniejsza, niż gdy w resursie ustrojona jak wszystkie w jéj wieku panny, tańczy z jakim nieproszonym kawalerem?..— Ona nie krzyknęła ze strachu i kokieterji i nie uciekła, ale zapłoniona i dziewiczym wstydem i radością żem przyszedł do omdlewającego ojca jéj; tak wymównie a bez słów, powiedziała oczami prawdziwéj córki: weź Pan i ocal nam ojca,— i wówczas wybiegła do matki siedzącéj przy łóżeczku choréj małéj siostry w sypialni, i narzuciła na się ranną bluzę i chusteczkę na szyję i znowu weszła ze słowy: papeczko! jak tobie?.— Olesiu, wyciągając ku niéj ręce, duszko, nie lękaj się! idź sobie, mnie lepiéj,— odrzekł ojciec. I uścisnęli się i ucałowali ojciec z córką.

—Bądź pani spokojna— rzekłem. Panu Janowi nic się nie stanie, trzeba wyjść tylko do korytarza odetchnąć zimném powietrzem i wnet się orzeźwi; już to ja zrobię bez pani i zaraz wrócę do siostrzyczki Elżbiety.

Podziękowała mi jak każda kobiéta, jak każda córka podobna Olesi umie dziękować— mową bez mowy i słów, i wróciła do matki. Jam wyprowadził Pana Jana do sień zamkniętych i tam on wkrótce się orzeźwił.

Piękne przeciwniczki Józefika! co nieraz może rozgniewałyście się na niego czytając pamiętniki nieciekawe— gdybyście mogły wiedzieć, jak on umiał ocenić w swéj duszy całą dziewiczość, całą prawdziwą skromność, całą miłość synowską i piękność w téj chwili Olesi; jak on umiał w niéj ocenić i uwielbić prawdziwą kobiétę— córkę, i że ten obrazek nie jest jego idealny wymysł jakąby on chciał widzieć i znać kobiétę, a mówi co widział rzeczywiście, jaką ona, ta kobiéta bywa;— nie wątpię, że w tym Józefiku nie widziałybyście swego potwarcę i wroga, nie widziałybyście także i zakochanego już przez to w Olesi. Nie, on wie, zna i przypuszcza, że kobiéty są Balzakowskie, i zna podobne dziewice Olesi i podobne matki jak jéj szanowna matka; i zna takie

prawdziwe kobiety żony, o jakich być może, wam nie jednéj nie śniło się, i czytać w romansach nie zdarzyło się.— Ale o tém potém.

—Mnie lepiéj, kochany doktorze, powiedział P. Jan, idź prędzéj, zmiłuj się, do Helżusi.— Ach Boże mój! jaki ja słaby.

—Cóż ci jest Panie?

—Alboż nie znasz moich nerwowych spazmotycznych piersi i gardła?. Biedna żona usłyszawszy jęki Helżusi przybiegła do mnie ze świécą. Jużem spał. Powiada, że trzeba posłać po doktora. Biegę, patrzę: dziécko w konwulsjach bez zmysłów. Mnie i oddech przerwał się; zaledwom wrócił do gabinetu, głowa się zakręciła i sam nie wiém co było. Przybiegła Olesia.— Ach! dziękuję żeś prędko przyszedł.

I znowu mało nie upadł.

—Ale cóż tam strasznego tak? rzekłem. Dziécko w konwulsjach— nie wielka rzecz. Dzieci z lada przyczyny dostają konwulsji, które w kilka minut przechodzą. Jestże czego lękać się Panu?—

—Ach, tyś młody doktorze, a ja stary i ojciec dzieci.—

—Ja wiém o tém, lecz zaiste i zaręczam, że upadać duchem i dostawać zawrótu głowy, niéma panu dziś od czego.— Pawle, podaj-no jeszcze zimnéj wody na głowę Panu Janowi. Ot— tak, i wąchadeł żadnych nie trzeba. Od nich jeszcze gorzéj; a wciągnij pan jeszcze kilka razy mocno zimnego powietrza w siebie, i krew się rozweseli i będzie dobrze z tymi prawdzie głupiemi nerwami.

—O bodajcie Pan Bóg kochał, doktorze! — jak ty zimno i mądrze rezonujesz, kiedy my głowę zgoła tracim.—

Wszedłem do sypialni.

Tu jak w każdéj sypialni kilka łóżeczek dziecinnych. Na jednéem dziewczynka ośmioletnia ładna, biała, w białym nowym czepeczku pod białą kołderką, a przy niéj na krzesełku w rannéem ubraniu matka; tuż niańka jedna i druga. Olejek miętowy i anodyny ze swemi zapachy.

–Jak się masz Helżusiu? spytałem przywitawszy jéj szacowną, za 40 lat matkę.

—Co za nieszczęście doktorze! rzekła matka. Jużem podejrzywała od kilku dni, że ona nie zdrowa i szczególnie te jéj konwulsje mię straszyły, poczynające się zwykle u niéj od bolu kolan.— Ale nie chciałam bez widocznéj przyczyny cię fatygować.— A dzisia, a raczéj wczora była ona u państwa Z. Tam ją okarmili karmelkami, cykatą i biszkoktami w dodatku, a po nich zawsze mi ona odchoruje. I teraz już kilka razy były u niéj kon-

wulsje, ale tak straszne, jak nigdy nie bywały. Skarży się na brzuch i ból głowy. Cała zimna i nudzi ją ciągle.— Jużem sama nie wiedząc co robić, dała kilka kropel anodynów i pieprzowego olejku na cukrze. To ją trocha rozgrzało. I ciepłą serwetą obłożyłam jéj dołek podpiersiowy— Helżusiu, pokaż serce, swój język i t. d.

—Wszystko to pani, dobrze, odpowiedziałem, ale widać tego mało za te łakome grzechy wczorajsze dla panny Elżbiéty.— Anusiu, poszukaj nam starego muślinu i sarepskiéj gorczycy— samowar już kipi. My obłożym brzuch naszéj swawolnicy synapizmem i napoim pieprzową miętą, i przez godzinę będziemy spać spokojnie.

—Oj! panie, jam nie chora, płaksiwie mówiła Helżusia.

—I ja mówię że niezbyt jesteś chora i bez potrzeby nastraszyłaś papę i wszystkich, i żeby to naprawić, trzeba trocha pocierpieć, czy zgoda?.

—Dobrze, dobrze, odpowiedziało dobre dziécko.

Za to matka i ojciec ją ucałowali zaraz. Lecz znowu rznięcie powiększone i zemdlenie, skróciły pieszczoty. Trzeba było prędzéj działać synapizmatami. Pana Jana odprowadziłem z Olesią do jego gabinetu. Tam oni znów, jak wnosić trzeba było z chlipań P. Jana, ściskali się i całowali, siwy ojciec z ukochaną córką.

Na drugiém łóżeczku, nie nakryty, rozrzucony, spał prześliczny aniołek dwuletni Jaś. Tuż przybiegła i Olesia spytać o cóś matkę dla ojca. Jam się lubował patrząc na Jasia, prawdziwy różowy, biało-włosy, tłusciuchny aniołek spał snem dziecięcia w jednéj koszulce, nie nakryty, rozrzucony. Olesia spójrzała na mnie i na braciszka i z prawdziwie nie kokietki skromnością, kochanki Emila J. J. Russa, chciała go nakryć muślinowym woalem co wisiał na parawanie, lecz matka rzekła: niebudź go Olesiu,— i obracając się do mnie, dodała usprawiedliwienie: on nie lubi spać nakryty, zawsze roskryje się całkiem i przebudza się tylko od nakrywania.— Co papeczka, Olesiu, jak się ma? spytała córki.

—Nic, dobrze mameczko. Lulkę zapalił, dodał Leonek 11-letni syn. Chora od mięty i synapizmatu który zaczął szczypać, uspokoiła się.

—Co, szczypie gorczyca? spytał drwiący Leonek.

—A co, czy niechcesz jegomość sprobować sam? spytałem jego, po cóś ty wstał i po cóś się odział, czy i niekładł się jeszcze?.

—A to zwyczajnie Frydryk wielki, rzekł wchodzący ojciec— jemu wszędzie trzeba nos wściubić. Co Helżusiu, lepiéj ci?.

—Ech, ona zupełnie zdrowa, wrzucił znowu Leonek.

—No, to panie Frydryku Wielki idź spać, gdy odpowiadasz kiedy się ojciec nie pyta. Bo to nie frydrykowski koncept, choć ty masz wielką pretensję być choć małym Frydrykiem.

—Leonek zawsze naśmiewa się, rzekła broniona przez ojca Helżusia.

—Frydryk Wielki lubił książki i uczył się, a ty mały Frydryku boisz się ich jak rózgi, a psikusy płatać, zapewne uczysz jeszcze swego nauczyciela.— Idź waść spać, a jutro raniéj mi wstać.

—Widzisz Leonku, rzekła matka, jak to nie ładnie.

Olesia wyszła do swego pokoiku za parawan.

—Mameczko, już bardzo szczypie synapizm,— płaksiwie rzekła chora.

—Niech szczypie, odpowiedziałem, drugich nie trzeba za to będzie przykładać, a zdjąwszy go posmarujem oliwą i założym watą, to prędko przestanie świerzbieć.

—Olesiu, znowu odezwała się Helżusia, przynieś mi książkę moją, ja będę czytać.

—A to na co? spytał ojciec.

—Na jutro będę się uczyć.

—No, no, jutrzejszego jutro się nauczysz, rzekli w jeden głos rodzice. Bogu dzięki, kiedy tak, rzekł Pan Jan, widać że jéj już lepiéj. Ale otóż natura ludzka— na minach brata bliźniego zaraz swój pałac buduje. Ucz się Helżusiu tylko codzień dobrze, a będzie dość z ciebie. A że połajano Leonka, to tobie nie przystoi jego uniżać. Czy widziałaś kiedy żeby Olesia tak robiła?.. Oto mój najlepszy bohatyr— i zaczął żegnać krzyżem Śtym śpiącego Jasia, potém Helżusię i w trzecim łóżeczku Marylkę.— Ale tu ja swą lulką dymię,— pocałował chorę i wyszedł.

—Otoż, rzekłem żartując, i chora już prawie nie chora, na jutrzejszy resurs będzie gotowa.

—Ach tak, śmiejąc się także odpowiedziała matka. Jeszcze nam trzeba siedzieć w domu.— A pan czy będziesz? spytała mię, boś przeszłego razu nie był.

—I zapewne jutro nie będę.

—A to dla czego?—

—Bo przyznam się, nie chce się. Wszyscy i wszystko już mi znajome i wiadome— nie bawi.

—A to pięknie tak mówić o naszém towarzystwie! zarzuciła mi z grzeczną, śmiejącą się wymówką.

—Istotnie pani, nudno tam bywa, odrzekłem. A pani jutro jak myśli?.

—Ja sama nie wiém jak moja chora pozwoli?.

—Co do choréj, zaręczam że pozwoli.

—Cóż Olesiu, chcesz? to pojedziemy.

—A nowa sukienka.... wrzuciła Helżusia.

—Będzie dobra i ta co przeszłą razą miała. Każ tylko Olesiu ją wyprasować i inne falbonki jutro przyszyć, to w moment zrobi Anusia. Cóż ty milczysz, Olesiu?..

—Mameczko, już my dwa razy byłyśmy.

—Oto prawdziwa flegma, was tylko z doktorem pożenić,— żartując mówiła matka. Dla niéj wszystko jedno, czy jechać lub niejechać; wszak prawda Olesiu?..

—Nie wierzę, rzekłem.

—Prawda mameczko, mówiła z za parawanu Olesia. A jeśli mameczka chce, ja pojadę i w nieprasowanéj sukience.—

Zaśmiałem się.

—Cóż ty znowu Olesiu! dziécko maleńkie czy co?..

—Bo dla mnie wszystko jedno, mameczko,— odrzekła z cichym stłumionym wyraźnie smutkiem, przez który dziecinna szczerota przeglądała.

—Och! kochana panna Alexandra, rzekłem do matki. Nie przyszła jeszcze godzina, ale tém straszniejsza im opóźniona więcéj.

—Zmiłuj się doktorze, nie strasz nas.

—Ja się nie boję, wesoło za parawanem odrzekła Olesia.—

—Ja i nie straszę, ale mówię na co i mama się zgodzi, bo to w porządku rzeczy.

—Nie wiém prawdziwie, mówiła matka, ale ona cóś mi bardzo flegma, ni do tańca ni do rożańca.

—I nie dziw, odpowiedziałem, bo teraz słowniki tylko Boiste'a, gramatyki Medingera i Kotszula i z wyjątkami Walter-Skot, i historja i jeografja, i mama i ojciec, i brat i siostrzyczki.

—I doktor i pan Michał, i państwo Piotrowie, dorzuciła matka.

—Choć i drugich jeszcze tyle dorzucić, mówiłem, nie zachęcą do resursów. Lecz przyjdzie i do nich ochota. Ale! panno Alexandro, ja spodziéwam się, że mama pozwoli pani przeczytać powiastkę jedną— a prześliczna. Tam uczucie braterskie cudnie odmalowane. Pani, nie wątpię, że się podoba. I jeśli pozwoli panna, ja przyniosę którego dnia.

—Bardzo dziękuję— ja nie wiém jak mameczka?

—Przynieś doktorze, ja twemu słowu wierzę i sama przeczytam.

—A czyja to powieść?

—Pleszczejewa, nazywa się *żarcik.*

Synapizm już zdjęty.

—Co, Helżusiu, czy nie chcesz spać?

—Nie, jeszcze nie chcę.

—A głowa nie boli cię?.

—Nie boli, tylko spać nie chce się.

—Rozgadaliśmy się, odrzekła matka. Leonku, ty ciszéj, rozbudzisz Jasia i Marylkę.

—A pan doktor jutro do nas przyjdzie? spytała Helżusia.

—A co jutro można będzie jéj jeść? spytała matka.

—Mameczko, mówiła z za parawanu Olesia, jutro u nas będzie szczaw'.

—Ot widzi pan doktor, podchwyciła Helżusia, trzeba koniecznie przyjść na ulubiony szczaw'

—Papeczka zdaje się zapowiedział szczaw' kucharzowi, dodała Olesia.

—O, nie prawda, nie prawda, mówił z za drzwi Leonek, jutro będzie rosół *à la tortue*.

—O niegrzeczny a prawdomówny Leonku! rzekłem— Dla czegoż pannę Alexandrę robisz uprzejmym i grzecznym kłamcą?. A w którój to gramatyce pani wyczytałaś....

—A, Olesiu! z żartem macierzyńskim przerwała mię matka. Zresztą dobrze kochanko zrobiłaś mię wyręczając, bom i zapomniała doktora prosić jutro na obiad i zobaczyć Helżusię.— A może namówim jego i na resurs.

—I książkę proszę przynieść, dodała Helżusia.

—Książkę przyniosę, a cukierków nie przyniosę.

—Bóg z niemi, rzekła matka. Już długo pewnie nie będziesz ich jadła, mówiła do Elżbietki.

—Dobrze mameczko, całując w rękę matki, odrzekła nasza chora.

—Dobréj nocy! powiedziałem, ale jeszcze nie żegnam, bo zaczekam na wszelki przypadek w gabinecie pana Jana. On zapewne spać nie będzie.

—Bardzom wdzięczna ci kochany doktorze.

—Mameczko!— odezwała się Olesia, a Piotrowa?.

—Ale, otóż i zapomniałam ze starą pamięcią.— Mój doktorze, bądź łaskaw jutro pozwolisz do siebie przyjść matce naszéj Anusi. Ona dawno już nie zdrowa. Ja jéj powiedziałam, żeby się do ciebie udała.

—Najchętniéj pani, najchętniéj. A pannie Alexandrze tak dobréj, ja od siebie dziękuję bardzo, za jéj dobrą, litośną pamięć o biédnéj choréj.

Tutaj nic się nie odpowiedziało ze strony Olesi ani matki. To bardzo naturalna, mój czytelniku. Bo widziałem tylko radośny cichy, dziękczynny uśmiéch dobréj matki, który odpowiedział na mój komplement.— Dziękujem, dziękujem ci doktorze,— a co mówiły oczy i dusza Olesi?— parawan skrył nazawsze,— a wyobraźnia może skłamać, a ja tylko to com widział i słyszał, wam opowiadam.

Gdybyście wy znali, moi panowie, Olesię, jak ja znam ją, nie byłby zagadkowym dla was jéj charakter, jak się zapewne wydaje. Że ona jeszcze nie kochała nikogo prócz matki, ojca braci i Boga, tego jestem prawie pewny. Ale jak ona gorąco, namiętnie a głęboko i boleśnie będzie kochać gdy pocznie kochać! To tylko kto zna ją i zna cokolwiek człowieka, może pojąć. A dzisiejsza ta jéj obojętność niezwykła i wcale nieudana na świat i jego uciechy, obojętność zakrawająca nawet na rospacz cichą, ma swoje przyczyny, które Olesia bardzo pojmuje, a o których długoby wam tu gadać. Kto będzie czytać *pamiętniki zamogilne* Szatobrjana, w charakterze Lucylly jego siostry, przypomni Olesię.— Dla niéj z taką prześliczną duszą, z takiém dobrém wychowaniem, z takiém przyzwyczajeniem do wygód, trzeba męża bogatego, także jak ona wychowanego, i wiele jeszcze drugich ważniejszych przymiotów i warunków mu trzeba.— Bo inaczéj, może on odezwać się do niéj prawie słowy Hafeda do Hildy w wybornym przekładzie A. E. Odyńca.

«Obym ja nigdy, nigdy nie znał ciebie!" i t. d.

—Co za słabota ten uczciwy Lamartin!— spotkał mię temi słowy pan Jan w swym gabinecie. Jemu tylko pisać marzenia nad melancholiczném jeziorem, podróżować po wschodzie i poetyzować historję Żyrondystów, a nie rządzić narodem jakim są Francuzi. Już to odwieczna prawda, że poeta-literat może pisać mowy Napoleonowskie i swoje dla pieniędzy *Konfidencje*, ale być nawet Miuratem— nie tylko kimś lepszym, nigdy nie może.— A Izrael— Izrael jak idzie w górę w tym wieku! Wszyscy ministrowie! Ja tego pojąć nie mogę. Jaki tam u djabła Chrystjanizm jest dzisiaj! Niby to filantropizm, niby to czysta ludzkość, miłość i równość. Już nam starym tego nie pojąć, a nie pojąwszy, to można tylko drwinkować. Najlepiéj, podług mię zrobił Meternich wyjechawszy do Johanisbergu swego. Jednę tylko omyłkę zrobił, że mię z sobą tam nie wziął. Czysty Johanisberg! Oto mi postęp— i tam właśnie miłość, i jaka ludzkość! gdy do tego są jeszcze trufle i ostrygi i Angielskiéj królowéj biwsztyk.— Co to

za chwaty ci Anglicy— oto lubię, oto mi wdzięczność! Pilowi za prawa zbożowe trzy-wiorstowy pirog pasztetowy ofiarowali w podarunku. (Pan Jan dowcipnie lubił przesadzać).— Już pewno Lamartin nie dorobi się tego u swoich Francuzów, jakkolwiek on tam stara się ich czmucić i mydlić im oczy paradami i procesja-jami, prawda, oni to lubią, ale pamiętają póki parada się nieskończyła, a wieczorem naplwają na tego, któremu zrana krzyczeli:— «niech żyje!"— A Niemcy to, Niemcy— ha?. piwowary, kartoflniki i professorowie i t. d.— A Emil Żyrarden?— rozumna kanalja! Jego trzeba zrobić im było ministrem, i t. p. mówił Pan Jan trzymając numer *pressy* w ręku. Pan Jan był polityk i gastronom zawołany, ale lepszy gastronom. Jeść i pić umiał, nie objadał się i nie upijał ale roskoszował się łechcąc podniebienie swe wyszukanemi potrawami i winem. Po zapachu gatunek jego poznawał. Umiał na pamięć historję wszystkich w Europie gastronomów i ich kucharzy.

Wesoły, bardzo nie głupi, więcéj po francuzku (stare przyzwyczajenie się) niż rodowitym językiem mówił, i wiele czytał. W jego gabinecie prócz kilku *revue* i gazet i książek i mapp dla wychowania dzieci, stały dwa globusy, stolik z szafką dla tytuniu i fajek; kilka portretów i lanszaftów i spora szklanna szafa z książkami w ozdobnéj oprawie. Pan Jan nie wszystkie je czytał, ale lubił je mieć jak inni i on sam lubił mieć kilkanaście porządnych koni któremi nie jeździł, kilka swór psów gończych i smyczy chartów, choć nigdy nie polował. W jego bibliotece były: cały Szekspir i Walter-Skot po francuzku, Molier, Lamartin, Kornel i Rassyn, w części Wolter i J. J. Russo, de Maistre, Degerando, Lacretelle, Toqueville, Laharp, Boileau, Adam Szmid, Say, Herodot, Xenofont, Tacyt, Salustjusz także z textem francuzkim i wiele innych. Teatr niemiecki, włoski i hiszpański we francuzkim przekładzie. Pan Jan znał te obie literatury nieźle.— Na stole stał w bogatéj oprawie portret młodziuchnéj i prześlicznéj mężatki. Patrząc nań P. Jan często płakał, nie dla tego że łatwo płakał zawsze, lecz że to był portret zmarłéj starszéj córki jego. Krajobraz pięknéj roboty przypominający Neapol i morze, wisiał na ścianie w drogiéj oprawie. To rysunek olejny, roboty jego córki, zdjęty z natury. Tejże ręki obraz Zwiastowania Matki Boskiéj w bawialnym pokoju i cały zbiór familijnych portretów. Pan Jan był znajomy i spokrewniony tylko z hrabiami i książęty.

Biedna Olesiu!

Już była 5-ta godzina. Już wszyscy spali w sypialni albo u-

dali że już spali, gdym pożegnał P. Jana. Zasnąć już nie mogłem. Za to spodziewam się że czytelnik mój— (co za wypłowiały domysł!) słodko uśnie, jak..... (ale najlepiéj bez porównań) jak— przeczytawszy ten pamiętnik.

NB. Psychologóm pomogę w odpowiedzi, dla czegom się był rozbudził? Rozbudziła mię, jakem się dowiedział, wola silna matki i żony, bym prędzéj przybiegł do jéj córki i męża. Ja pozwalam po części na to, bo takich matek i żon z latarnią po świecie trzeba szukać. I tu właśnie może być sprawiedliwem francuzkie przysłowie: «czego kobiéta chce— Bóg chce tego.”

Chciałybyście moje panie faktycznie o zaletach pani Janowéj przekonać się?— Ja wam powiém, że najchętniéj tobym uczynił, lecz nie wszystko się robi, coby się chciało i jakby się chciało.— A Pan Jan może zawołać z Goetzem Getego.— «Mój Boże! każdemu kogo kochasz, daj taką żonę!”

2.

«Gdyby nie sentymentalność a mniéj romansowości i zakochania się samego autora w Julji, byłoby dobrze.”

Te słowa przez kogoś napisane ołówkiem w «*Obrazach*” W. Pola pod jego powiastką: *Karusia*— nie wiém ile są zdaniem prawdziwem i oto sprzeczać się nie będę, ale gdy pomyślę, że po przeczytaniu powyższego obrazku «*Olesia*”— chłodny i rachunkowy czytelnik, może toż samo z innym niepochlebnym dodatkiem napisać pod nim: że dziś wszystko co pachnie sentymentalnością, tak się podoba jak piżmo lub jedlinka, zwykle uważane jako znamiona i godła agonji i pogrzebu,— i pamiętnik «*Olesia*” będzie się podejrzywać, że nie jest naturalny, a tak sobie napisany lancetem idealizmu, maczanym w sympatycznym atramencie— to....—

To— moi panowie, co to za przykra nuda, gdy przeszkadzają pisać, kiedy właśnie głowa do pisania usposobiona najlepiéj! Ja nawet jestem gotów pomyślić, że żadna książka ani powieść ani powtarzane przeprosiny nie więcéj sprowadzają nudoty na nas, jak przerwy w pisaniu dla piszącego. Więc chcąc niechcąc jeszcze raz muszę cię mój czytelniku przeprosić że porzucam pisanie, bo trzeba pamiętać ci, kiedy miałeś już to nieszczęście, wziąść się za pamiętniki te, «iż tego piosenkę śpiewaj na czyim wozie jedziesz.”

III.

«Panie doktorze, tylko pięć minut życia... więcéj nie proszę... błagam cię, tylko pięć minut...”
Łażeczników. *Córka Żyda.*

Była niedziela i piękny wieczór letni. Całe miasteczko (a czemuż i nie miasto?) ruszało lub myślało wyruszyć w dzień świąteczny, kto i gdzie mógł za miasto.— Siedzieliśmy w pokoju herbatnim. Gospodarz namawiał i mię jechać po herbacie za miasto. I już mieliśmy wyjeżdżać, gdy młodziuchna gosposia z gracją uderzyła siebie dłonią po czole wymawiając: jakżem rostrzepana! Ciotuniu, przebacz mojemu rostrzepaniu.

Na te słowa, stara matka gosposi także jakby się spochwyciła, ale to jasno było, że tylko dla podziału i przyjęcia na się części winy zapomnienia ukochanéj córki.— O miłości macierzyńska!— «Magdziu, duszko, to ja stara winniejszam od ciebie, bo mnie należało więcéj pamiętać o tém. Oh, Boże! odpuść mnie grzesznéj. Oto— doktorze, w czém rzecz. Siostra moja więcéj jak od pół roku choruje. Leczyły ją z początku proste kobiéty, bo nie chciała z tém zwierzać się doktorom. Potém zmuszoną była i im się odkryć. Lecz jeden wyjechał, drugi po którego kilka razy już przez dwa tygodnie posyłała, obiecuje odwiedzić a nieprzyjeżdża. To bądź łaskaw: my obie z Magdzią prosim; zrobisz dla nas największą przysługę, zobacz naszą chorę.”

Tu gosposia swemi błękitnemi oczami tak pięknie prosiła wyrażając razem szczérą skruchę, że przez kilka już dni, zawsze zapominała mi powiedzieć prożbę swéj cierpiącéj ciotki— że trzeba było jakiego malarza-artysty, a miałby gotowy obrazek proszący się sam pod ołówek lub pęzel, obrazek pokornéj młodéj ciepłéj prożby i żalu, nad któremi unosiła się myśl: kiedy nam dobrze i żyjemy w dostatku, och! jakże nam łatwo zapomnieć i nawet niewierzyć, że wiele drugich cierpi i nie wszystkim tak dobrze jak nam!

Gospodarz dopijając herbatę spostrzegł sam toż samo, popieścił swą Magdzię i ucałował, dodając swą prożbę do mnie, do prożby kobiet.

—Jak, doktorze, nie kochać takich oczu i nie zrobić dla nich czegokolwiek, dla tego dobrego choć zapominającego dziecka!

—Choć zobacz tylko ją doktorze, będzie jéj lżéj, dodała stara. Ona tak prosiła, tak żąda widzieć ciebie! Twoja jedna obecność już będzie lekarstwem dla niéj.— Ale Bóg wié, co jéj jest takiego i czy można jéj pomódz! Ona wprzódy nie śmiała pana prosić.

—Nie śmiała prosić? spytałem.

—Tak, bo może niémasz kiedy— i w istocie kiedyż wszystkim wystarczyć?

Nie śmiała prosić cię Józefiku? pomyślałem. A— to nie dobrze, to nie pochlebnie dla ciebie, kiedy biédna kobiéta nie śmie cię prosić. Cóś tu jest.— Alboś ty winien, albo niedorozumienie jakie. Lecz zgaduję. Ci ludzie zapewne sami nie wiedzą, czy zaliczyć się do biédnych i śmiało prosić, czy do nie biédnych— a ci najnieśmielsi. I tak jest w rzeczy saméj. Oh! nie zawsze to i złoty środek— mierność mienia dobra. A gdy dodasz jeszcze przesądy nieoświecenia, będziesz miał jawną przyczynę, dla czego chora nie śmiała cię prosić.

—Już od dni kilku, mówiła stara, Nastusia tylko i spodziéwa się że matka umrze. Dzisia przychodziła, płakała, płakała.

I staruszka sama poczęła płakać.

—O cóż więc idzie? spytałem. Jam gotów, konie państwa gotowe, więc jedziemy, bo ja nie wiém gdzie mieszka siostra pani.— Panie Lucjanie, mówiłem do gospodarza, tobie trzeba zaczekać jakie pół godziny, ja wrócę i zawsze pojedziem za miasto posłuchać muzyki, a za nami i Panie pośpieszą. Zgoda?—

—Zgoda.—

Kobiéty w karjolce, ja swoją doróżką w kilka minut stanęliśmy przed skromnym drewnianym domkiem.

Była niedziela— prześliczny letni wieczor— i każda i każdy strojni jechali lub szli z pyłu miasta oddychać czystém, wonném kwiatami, powietrzem. Skromny domek choréj stał przy wielkiéj ulicy. Trzy pokoiki i przedsionek; ubóstwo i czystość największa, bijąca swym blaskiem zaraz w oczy.

W środkowym pokoju, w salce na piernacie rozesłanym na podłodze białéj, najczystszéj, pod futrzaną z białych zajęcy kołdrą, z głową na kilku poduszkach, leżała cierpiąca, którą przywykłe do chorych oko, od razuby osądziło i zaliczyło bez pomyłki do mieszkańców nie ziemskiego już świata.

Jam widział ją więcéj niż przed pół rokiem— i była to kobiéta za lat czterdzieści, rumianna i dość pełna. Dziś trzeba byłoby przypominać długo, gdziem widział ją i kto ona?..

Nie z większém oczekiwaniem i radością spotkała Ś-ta Anna

prorokini Zbawiciela, ujrzawszy go w kościele, jak ta nieszczęśliwa cierpiąca, spostrzegłszy mię wchodzącego. Podniosła oczy do nieba, i nie mówiąc ani słowa, poczęła wychudłą kościstą ręką żegnać się krzyżem świętym i modlić się w duchu.

—O mój dobrodzieju! rzekła po chwili.— Niech cię Bóg nagrodzi za to, że ja cię widzę u siebie! Zbaw mię, ocal mi życie dla téj (pokazując na swą córkę Naścię) siéroty!

Mój czytelniku! Takie sceny są nie rzadkie u nas, ale ja ci nie powiém i dotąd nie umiém powiedzieć, co się we mnie działo w téj chwili. To opisywać napróżno. To scena Faustowska.—

«Szyderstwem dzisiaj brzmią pochwały gminu,
«Gdybyś mógł zajrzyć teraz w duszę moją!" i t. d.

Kto zdolen uczuć to, ten i wyobrazi i choć w części odgadnie tę scenę widzialną i drugą niewidzialną, która odbywała się w duszach tu przytomnych i szczególnie w duszy lekarza, który mógł tylko westchnąć pod całą pokrywą nierostkliwienia się ani rospaczy, i posłać błagalne, korne pytanie Twórcy: dla czego ja nie jestem w mocy usprawiedliwić tę wiarę i nadzieję choréj w lepszy jeszcze stan i w pomoc lekarską?!— Bo tu na twarzy żółtéj ziemisto-zielonéj, pół-zbrzękłéj, pół-zwiędłéj i wychudłéj, była jasno bardzo napisana dla przywykłego oka ta choroba. Do zadeterminowania jéj, prawie nie potrzeba było kilku słów uprzednich, jeszcze w domu siostry téj choréj.

Po rospytaniu się szczegółowém, domysł ten stał się pewnikiem— a nazajutrz przysłana akuszerka, to jeszcze potwierdziła.

—Pić się mi chce! pić i pić!— język zasechł, całe wnętrzności zdają się spalone, zjedzone robakiem jakimś; snu ani spokoju od bolów nie tylko w brzuchu ale w całém ciele niémam. O! mój dobrodzieju! wybaw mię od tego! ocal mię, jeden Bóg za to nagrodzi!!

Pocieszyłem jak umiałem cierpiącą i przytomnych, szczególniéj dziewiętnasto-letnią córkę Nastusię, która wierzyła już więcéj w swoje siéroctwo jak w nadzieję. Tuż maleńki chłopczyk jéj brat, ojciec pijak i okrutnik, starszy brat łajdak i włoczęga, nie byli przytomni. Zwoływać radę lekarską i probować téj choroby krwawą operacją, któréj, roczniki chirurgji praktycznéj, jeden tylko przykład szczęśliwie ukończony, dokonany w Kazaniu, zapisali,— przy takiém wycięczeniu choréj, przy takiéj wielkości i objętości choroby, byłoby to napróżno i wcale nierozważ-

nie. Zostawało tylko nieść ulgę chwilową w cierpieniach chorej, leczyć symptomatycznie, zmniejszać pragnienie, bole i bezsenność. Na to ma medycyna, siako tako odpowiadające celowi, opjum, gaz kwasu węglowego, węglan żelaza i t. d.

Rozweseliwszy i pocieszywszy jak się mogło, chorę i przytomnych, zostawiłem radę co robić. Kazałem otworzyć okno, położyliśmy chorą na łóżko przy oknie, żeby cieszyła się jeszcze jakiś czas światem i światłem i powietrzem czystém, a nie jakie bywa przy téj chorobie w pokoju chorego,— wyjechałem.

A był wieczor letni prześliczny, i pod oknami lud wesoły i strojny szedł i jechał za miasto, uciekał z pyłu i od domowéj biédy. Co za kontrasty na świecie!

Ale to poetóm i niepoetóm dawno wiadomo.

Pożegnałem chorę nie zapomniawszy najsprawiedliwiéj pochwalić Nastusię za jéj gospodarność i czystość w domku ich nie zwykłą, przy całéj troskliwości jakiéj wymagała choroba prawie opuszczonéj od wszystkich matki, prócz jednéj dobréj Nastusi. Jéj porządek w pokoikach, jéj najświeższe kwiaty w wazonikach i wszystko, wszystko, godne pochwały.

—Nie opuszczaj mię dobrodzieju! mówiła za mną wychodzącym chora.

—Nie opuszczę, odpowiedziałem, i przez dzień będę odwiedzał Panią. Przez dwa tygodnie coraz większych choć na chwilę zmniejszających się cierpień choréj, jéj chorowitych kaprysów, jéj modłów, jéj, pod koniec, upadku ducha zwykłego u takich chorych, jéj bolesnéj śmierci, jéj pożegnań z krewnymi, obojętności pijanego męża, łez Nastusi -- nie będę wam opisywał,— bo moje czytelnice tak wesołe, tak lubiące radość, i ja im tak życzę radości i szczęścia, że nie radziłbym nawet tego czytać, cóm napisał. To okropne! bo prawdziwe.

—Naściu, ja proszę cię córko kochana, nie zapomnij o małym twym bracie! Proszę cię. Bóg cię nagrodzi za to i za twą troskliwość o mnie! Naściu, nie zapomnij i ojca, szanuj go i kochaj! Naściu, ja cię proszę, wywzoruj poduszkę dla dobrodzieja doktora, co nas nie opuszczał,— mówiła chora już umierająca, błogosławiąc dzieci i żegnając się z siostrą i krewnemi.

«Komik uszczęśliwiwszy swego bohatyra, a tragik wrzuciwszy go w piekło nieszczęść, mniemają obaj, że swego dokazali”— powiada ironiczny Filding.— Ja nie wątpię, że według wielu, tu właśnie miejsce i pora, postawić obok Nastusi złotych, starych rospustników, starego jakiego lichwiarza i wierzyciela jéj matki i t. p. i zacząć bardzo dramatyczne romansowe sceny i wiele walk

jéj dziewiczości i cnoty z pokusą i występkiem, wreszcie upadek. Lecz jak na toż samo dla tych panów, nic podobnego tu się niezdarzyło, i autor *volens nolens* (chcąc niechcąc) musi powiedzieć tylko— że na dobrą, gospodarną i troskliwą Nastusię, błogosławieństwo matki— uprosiło błogosławieństwo Boże. Ona wczora wyszła za mąż, za prostego ale pracowitego i uczciwego człowieka. Nie tańcowała jednak na swojém weselu.

Gdybym chciał uchodzić za sènsata i nudnego moralistę, mówiłbym tu przy zdarzeniu, nawet przykłady prawdziwe przytoczyłbym, o błogosławieństwie, i często acz mimowolnych ale w gminie i nie gminie zdarzających się złorzeczeniach, nawet najlepszych, najwychowańszych matek dla swych dzieci, i ztąd zawsze o dobrych i złych niechybnie potém opłakiwanych skutkach dla dzieci.— Ale to wszystko kazalnicze morały, zawsze bardzo piękne i niebezpożyteczne, ale przytém, jak powiadają dzisiaj— najnudniejsze.

Weselcie się i bądźcie zdrowi moi czytelnicy!

Józefik.

24 Stycznia 1849 r.

FILOZOFJA POPULARNA.

RALPH WALDO EMERSON

POETA-MYŚLICIEL AMERYKAŃSKI.

AMERYKA północna, kraj handlu i przemysłu, przedstawia nam widok nie tylko silnie rozwijającej się potęgi materjalnéj ludu, ale też starcie się i rozjaśnienie wyobrażeń religijnych, politycznych, wreście metafizycznych i humanitarnych. Obok ludnych, kwitnących miast i okiem nieprzejrzanych łanów, są tam wioski zasiedlone cichémi, oświeconymi mieszkańcami, którzy śród miłéj, wesołéj, łubo nie zawsze wspaniałéj i groźnéj przyrody, poświęcają swe życie nie gorączkowéj chciwości zbiorów, ale religijnéj kontemplacji i ścisłemu wypełnieniu obowiązków. W jednéj z takowych wiosek, zwanéj *Concord*, leżącéj w prowincji Stanów Zjednoczonych: *Massachusetts*, mieszka *Ralph Waldo Emerson*, nazwany przez wielkiego naszego poetę *Sokratesem Amerykańskim.* Angielski wydawca dzieł jego, *Tomasz Carlyle* *)

*) Zob. I. *Essays; two series.— Nature and Lectures on the Times.* London. 1846.— II. *Poems.* London. 1847.

i recenzent jego francuzki *Emil Montégut* *) nie wiele podają nam szczegółów o jego życiu i stosunkach społecznych, więcéj o duchu jego dzieł i dążności jako moralisty i poety.

Ralph Waldo Emerson należał do sekty Chrześciańskiéj *Unitarjuszów*, najświętszéj i najniepodleglejszéj w protestantyzmie. Z powodu jednak różności w pojęciu *Wieczerzy Pańskiéj*, odłączył się od swego kościoła, lubo zachował śmiałe dążenie tych sektarzy i nie skorą uległość jakiejkolwiek bądź powadze. Jest majętnym, a przynajmniéj ma byt niezależny, i podobno wdowcem. W Bostonie, centralnym punkcie i stolicy Unitarjuszów, Emerson miał kilka mów pełnych talentu, o *dążnościach współczesnych*. W 1844 wydał pisemko: *O usamowolnieniu negrów w osadach angielskich Indji Zachodnich*. We dwa lata późniéj wydał dzieło filozoficzne pod tytułem: *Essays*; a w następnym, swoje *poezje*. Zresztą wydaje pismo perjodyczne pod tytułem: *the Dial*.— Dzieła jego przypominają charakter i dążność pism francuzkiego filozofa *Montaign'a*, którego dzieła, jak sam powiada, przez czas długi wyłącznie zgłębiał, nim uwielbienia swojego nie przeniósł późniéj na *Szekspira*. Wpływ Emersona na społeczeństwo amerykańskie nie jest jeszcze znaczny; przyczyny tego szukać należy w duchu przemysłu i dążności materjalnéj tego kraju. Był on ostro krytykowanym od swych ziomków, i nie dziw! każdy co zaczyna wywierać wpływ, jest krytykowanym, pozostaje tylko wiedzieć czy ten wpływ stopniowo powiększa się lub zmniejsza? W dziele *Margieryty Fuller: o literaturze i sztuce*, znajdujemy odpowiedź na to zapytanie: «Wpływ Emersona, powiada ona, nie rozciąga się jeszcze daleko; jest on zanadto wyższym od swoich ziomków i swojego czasu, żeby być natychmiast i zupełnie zrozumianym; ale ta filozofja czerpa głęboko i z każdym rokiem coraz szersze tworzy koło. Emerson jest prorokiem lepszych czasów. Prędzéj lub późniéj wpływ jego musi być koniecznym.” Wtedy gdy wyższość Emersona powszechnie będzie uznaną, gdy liczba jego gorliwych stronników powiększy się, musi zajść wielka zmiana w obyczajach, zwyczajach i dążnościach Amerykanów. Wtedy ci co mało cenią literaturę i sztuki przekonają się jak mędrzec i poeta przyczynia się wiele do zmiany natury ludzkiéj i do ulepszenia stosunków społecznych.

Przed Emersonem, filozofja Szkocka, któréj, *Dugald Stewart*, potém *Tomasz Broun* nauczali w Edymburgu, znana i u nas

*) *Revue des deux mondes*. 1847. Août 3. livr.

z pism *Jana Śniadeckiego*, liczyła najwięcéj stronników w Stanach Zjednoczonych. Szkoła Szkocka, któréj ojcem był Hume, cała polemiczna, nie mająca w sobie ducha ożywiającego, bardziéj ku materjalizmowi skłonna, nie mogła w zupełności zadowolić przedsiębierczego ducha Amerykanów. Bo istotnie czegoż mogła ich nauczyć filozofja Szkocka? Że ludzie wierzą bez rozumowania w bytność materji? oni o tém sami dzięki Bogu, bardzo dobrze wiedzą. Z drugiéj strony, eklektyzm nie jest nauką właściwą dla ludów młodych. Eklektyzm może tylko tam się zjawić gdzie wiele myślano, gdzie wiele jest systematów filozoficznych, Amerykanie zaś dotąd nie mieli żadnego. Emerson piérwszy zaczął kopać w rodziméj ziemi, ażeby z niéj wydobyć nowe źrzódła filozoficzne.

Zastanowimy się tu pokrótce jakie miejsce zajmuje Emerson jako mędrzec i poeta, oraz jaką naukę wyciągnąć można z pism jego. Emerson jest raczéj badaczem bez końca, niżeli filozofem dogmatycznym. Takiémi badaczami byli: Montaigne, Charron, Szekspir. Nie budowali oni żadnego osóbnego systematu, lecz badali ciągle naturę ludzką i coraz nowe prawdy na jaw wyprowadzali. Niéma w nich sztuki i metody, mało subtelności metafizycznych, ale wiele krytyki zasad, wiele myśli o naturze czynów ludzkich, myśli uderzających trafnością i prawdą. Często znaleść można w ich pismach sprzeczności, to prawda; ale to nie ujmuje bynajmniéj ich wartości. Nie formułują oni dogmatów, systematów, ale wyrażają uczucia, wyobrażenia, opinje, jako wątpliwości powstałe w ich umyśle. Przeto gdy filozof dogmatyczny dopuszcza się sprzeczności, cały systemat jego musi runąć, cała praca życia jego wniwecz się obraca, mędrzec zaś w badaniach swoich chwyta się często sprzecznych zdań, bo nic z pewnością nie twierdzi, ale tylko opinjuje, wnosi. Kartezjusz, Lejbnitz, są, że tak rzec można, prawodawcami prawdy, którzy wynaleźli zasadę i formułują prawo; Montaigne zaś, Charron, Emerson, są prawnikami i krytykami prawdy; przymierzają oni nie ugiętą i nie zmienną prawdę do działań ludzkich i biorą ztąd pochóp do tłómaczenia zasad, konwinkowania czynów moralnych, szukania coraz nowych prawd; są oni krytykami zasad; to prawdziwe powołanie mędrca.

Metoda mędrca jest prostą, zależy ona na ufaniu w swą myśl i swą naturę. Chwilowy popęd przodkuje u niego przed rozwagą. Nie brak to wychowania i kultury umysłowéj spowodował u niego tę rzutkość pojęcia. Jest to skutkiem ciągłego nałogu myślenia. Wtedy wyobrażenia gromadzą się tłumnie i bez usilności

opierają się one jedne na drugie, na pozór bez logiki, ale w istocie z połączeniem tém naturalniejszém, że jest owocem długiego ciągu rozmyślań. Roślina bez przerwy wydaje liści, pączki i kwiaty, gdyż czerpa swą siłę i soki w żyżności ziemi, którą jéj praca ogrodnika zapewniła. Takim rozumiem być mędrca; do rzędu takich należy Emerson.

Emerson ma wszystkie przymioty mędrca: oryginalność, chwilowy popęd *), ducha obserwacji, delikatną analizę, krytykę, brak dogmatyzmu. Krytycyzm, główny przymiot mędrca, w wysokim stopniu znajduje się u Emersona. Powiada on w jednêm miejscu: «Homeopatja jest nic nieznaczącą jako sztuka leczenia, ale wielkiéj wagi jako krytyka hygjeny i praktyki medycznéj naszego czasu. Toż samo można powiedzieć o magnetyzmie, swedenborgizmie, furjeryzmie. Są to wszystko biédne uroszczenia, ale dobre krytyki nauki, filozofji i wyznań dzisiejszych." Podobnież dzieła Emersona są godne uwagi, nie tylko przez wysoką filozofję jaką w sobie zamykają, ale nadto przez krytykę naszych czasów. Jeśli nasze systemata polityczne pogrążają pojedyńczego człowieka w łono mass, Emerson powstaje i śmiało broni praw osobistości ludzkiéj. Jeśli egoizm coraz się więcéj upowszechnia, jeśli bogactwo i ambicja ogarniają człowieka: Emerson obraca się do niego i powiada: «Wierz w twą myśl." Jeśli przemysł zabija idealność, i przebiega świat głosząc go swą zdobyczą, Emerson wyrzuca mu brak miłości i zapowiada prędki mu koniec, jeśli nie wypędzi egoizmu z łona swego. Wleczémy się śladami dawnéj sztuki; nie ośmielamy się myśleć sposobem oryginalnym, piszymy tylko biografje i krytyki; Emerson gorzko na to narzeka. «Dla czegożbyśmy mieć nie mieli sztuki oryginalnéj filozofji, raczéj z intuicji niżeli z tradycji wypływającéj? Ojcowie nasi patrzali na Boga twarzą w twarz, a my za pośrednictwem ich oczu. Słońce świeci jeszcze dzisiaj." Powtarza on niekiedy

*) *Chwilowy popęd*, wprawdzie nie dokładnie tłómaczy wyraz francuzki *spontaneité*, ale wyrazu odpowiedniego w naszym języku nie znajduję. Jest to jakby *dobrowolność*, *pośpiech*, z którym pomysł przechodzi w czyn. Król Prorok w Psalmie LI. w. 14. błaga Boga o udzielenie mu takowego przymiotu ducha: *Spiritu spontaneo confirma me.* W Hebr. רוּחַ נְדִיבָה תִסְמְכֵנִי gdzie wyraz: נְדִיבָה oznacza dobrowolność, ochoczość do dania, udzielenia czego. I dla tego w innêm miejscu tenże sam wyraz przełożono *Voluntarie*: *Voluntarie sacrificabo tibi.* Ps. LIV. 8. (*Przypis aut. art.*)

zdania, które rzekłbyś, że wyszły ze szkoły Portyku, jak to naprzykład: «Czyń zawsze to, czego się lękasz czynić,"— albo z ogrodów Akademji, jak to zdanie: «Przyjaciel jest człowiekiem z którym zawsze mogę być szczerym." Co się tycze jego samego, zna on obowiązki filozofa i powtarza często sam sobie słowa Sidney'a: «Zstąp do swego serca i pisz."

Emerson przeto pod pewnym względem należy do rodziny mędrców starożytnych; podobnym jest do nich przez swą śmiałość, czyli raczéj przez swą potęgę skoncentrowania myśli, przez swój charakter. Nie pisze on dla tego żeby się pochlubić swoim rozumem i nauką, nie zwierza się tylko z swémi myślami ale z całym swoim charakterem. Łączy on przenikliwość krytyka, roztropność moralisty z wytrwałością Apostoła i śmiałością mówcy purytańskiego. Jest razem moralistą i twórcą filozofji moralnéj. Przez swe podobieństwo z podobnego rodzaju umysłami jak Montaigne, jest moralistą, na podobieństwo z mędrcami starożytnymi dąży on do utworzenia ze swych rozmyślań nauki, do wydobycia z nich pewnego rodzaju filozofji moralnéj. Ażeby rozróżnić te dwa charaktery talentu Emersona, należy ściśléj oznaczyć znaczenie filozofji moralnéj i moralności. Filozofja moralna stara się ustanowić niezmienność w tém co jest zmiennem, wieczność w tém co jest przemijającém, nadać pewne prawa śród anarchji namiętności ludzkich; podnosi życie ludzkie do wysokości absolutu, czyni z mądrości naukę życia. Moralista przeciwnie ma na widoku szczególniéj to co jest znikomém i przemijającém, zwraca uwagę na tę nieskończoną rozmaitość słabości i żądz ludzkich, bada, wyjaśnia i poszukuje najmniejsze wady serca, najtajniejsze męki duszy, jéj niezliczone usterki; takiémi moralistami są: La Rochefoucauld, La Bruyére, Addison. Emerson ma w sobie wiele z przymiotów moralisty, i jeśli godzi się stanowić w rzeczach tak niepewnych jak przekształcanie się talentu, należy wnosić że w Emersonie filozof ustąpi kiedyś zupełnie miejsca moraliście. Już w ostatnich jego pismach przekształcenie to bardzo jest widoczném.

Jeżeli jako filozof, Emerson należy do rzędu moralistów tegoczesnych i mędrców starożytnych,— jako pisarz, jest jednym z tych umysłów rzadkich, które zjawiają się w pewnych epokach, już to w zastępstwie gienjuszów twórczych, już jako ich pomocnicy i otwierający nowe drogi. Jedną z ich najgłówniejszych zalet jest, że mogą tworzyć i myśleć sposobem oryginalnym obok ludzi gienjalnych— i po nich. Utrzymują oni w narodzie życie intellektualne; na tym zależy ich prawdziwa chwała. Takim był w wieku Woltera i Jana Ja-

kuba, Diderot, jeden z tych rzadkich umysłów, który przyłożył się nie mało do chwały filozoficznéj XVIII. wieku; takiémi są Henryk Hume i Tomasz Carlyle, z których jeden utrzymuje ruch poetyczny i polityczny w Niemczech, drugi przechowuje *humour* i ducha protestańskiego w Anglji; takim jest u nas P. Kraszewski, wywierający wpływ tak znaczny na naszą publiczność czytającą.

Tego rodzaju talenta, do rzędu których policzamy i Emersona, nie posiadają wprawdzie wymowy, która wypływa z myśli silnéj i głębokiéj; ale mają wymowę instynktu, wymowę, że tak rzekę, samopas bujającą. Są to błyski, ale błyski ciągłe, które się rodzą jedne z drugich, podsycane gorącą wyobraźnią. Można powiedzieć że elektryczność panuje u nich przed innémi czynnikami życia. Ulegają oni popędowi myśli, własna wymowa porywa ich, ale przytém nie tracą z oczu celu do którego zmierzają, ani przebieżonéj drogi. Takim jest Emerson. Myśl jego wznosi się stopniowo, bez przymusu; nie postrzeżesz kiedy staje się wymównym, szczytnym. Wzniosłszy się do pewnéj wysokości, zatrzymuje się i przestaje w jakiejś krainie pośredniéj pomiędzy światem widzialnym a nieskończonością; przeto filozofja jego rozumu daleką jest od usterków mistycyzmu, jak od kommunałów moralności zwyczajnéj. Z góry spogląda na ludzkość, przysłuchuje się ostatnim odgłosom ziemi, które stają się czystszémi w miarę jak się wznoszą i śmiałym okiem wpatruje się w światło niebios. Powtarza on często w swoich *Zarysach*: «Wierzę w wieczność.” I istotnie pisma jego noszą na sobie piętno téj wiary; światło z góry pochodzące oświeca jednostajnym blaskiem wszystkie ich części. Miejsce jedno o *piękności moralnéj*, wyjęte z pisma jego pod tytułem: *Natura*, da najlepsze wyobrażenie o wzniosłości i surowéj godności jego myśli, równie dalekiéj od spospolitowania jak od nadętości.

«Obecność pierwiastku duchowego nie odbicie jest potrzebną do doskonałéj piękności natury. Wysoka i boska piękność, która może być kochaną bez zniewieściałości, jest ta, jaką znajdujemy w połączeniu z wolą ludzką i która od niéj nie może być odłączoną. Piękność jest piętnem, które Bóg kładzie na cnotę. Każde działanie naturalne jest pełne wdzięku. Każdy czyn bohaterski jest nadto pełnym wzniosłości i rzuca blask na miejsce gdzie jest dokonanym, oraz na wszystkich obecnych. Wielkie czyny uczą nas że świat jest pod tym względem własnością każdego pojedyńczego człowieka. Wszelkie stworzenie racjonalne ma naturę całą za swoje państwo. Natura należy do człowie-

ka, jeśli on tego chce. Może się odłączyć od niéj, może się zagrzebać w cieniu i zrzec się swego panowania, jak wielu ludzi to czyni, ale przez swój wewnętrzny układ jest przywiązanym do świata. Pociąga on świat do siebie w stosunku energji swojéj woli i swojéj myśli. «Wszystkie rzeczy za pomocą których ludzie żeglują, budują i pracują, posłuszne są cnocie,"— powiada jeden starożytny dziejopis. «Wiatry i fale są zawsze na korzyść bieglejszego żeglarza" powiada Gibbon. Toż samo powiedzieć można o słońcu, księżycu i wszystkich gwiazdach nieba. Kiedy czyn szlachetny dopełniony jest przypadkiem, śród przyrody nacechowanéj wielką pięknością; kiedy Leonidas i jego trzystu współbraci, trawią cały dzień na umieraniu, a słońce i księżyc spoglądają jedno po drugiém na nich w ciasném przejsciu Termopylów; czyż ci bohaterowie nie przydają piękności sceny do piękności czynu? Kiedy łódka Kolumba zbliża się do brzegu Amerykańskiego, kiedy nad brzegiem morza kupią się dzicy wychodzący z swych chałup ze trzciny, kiedy morze rozciąga się z tyłu i góry purpurowe archipelagu indyjskiego w około, możemyż oddzielić człowieka od żyjącego malowidła? Czyż nowy świat swojémi gajami palmowémi i swojémi sawanami nie otacza go jak piękną draperją? Zawsze tymże samym sposobem piękność przyrodzenia zdaje się ozdobiać wielkie czyny. Kiedy Harry Vanne był sprowadzony do wieży Londyńskiéj i siedział na taczce mając ponieść śmierć za obronę praw Angielskich, jeden z gminu zawołał: «Nie miałeś nigdy siedzenia tak wspaniałego!" Śród najohydniejszych przedmiotów, czyn prawdziwy lub bohatérski zdaje się przyciągać ku sobie niebo jak swą świątynię, i słońce jak swą pochodnię. Natura rozszerza swe ramiona dla uściśnienia człowieka, byle tylko nasze myśli były równéj z nią wielkości. Chętnie ona sypie pod jego stopami róże i fijołki, i zaokrągla linje swojéj wielkości i swojego wdzięku dla ozdoby swego ukochanego dziecięcia. Człowiek cnotliwy zostaje w ścisłém połączeniu z obyczajami przyrodzenia i staje się środkową postacią świata widomego. Homer, Pindar, Sokrates, Focjon stają wnet w naszéj pamięci, gdy czytamy opisanie położenia i klimatu Grecji. Niebiosa widzialne i ziemia sympatyzują z Jezusem. W życiu pospolitém, ktokolwiek widział człowieka potężnego charakteru i szczęśliwego gienjuszu, zauważył z jaką łatwością przyciąga do siebie rzeczy które go otaczają;— osoby, opinje, czas, natura, stają się sługami człowieka.

Emerson nie mniéj wysoko się wznosi, gdy mówi o historji: «Duch ludzki pisze swoją historją i powinien ją czytać. Sfinx

powinien rozwiązać swą własną zagadkę. Jeśli cała historja jest w jednym człowieku, może być ona wyjaśnioną przez doświadczenie indywidualne. Jest pewien stosunek pomiędzy godzinami naszego życia a wiekami czasu. Jak powietrze którém oddycham, wypływa z ogromnych magazynów natury, jak światło które pada na mą książkę, pochodzi od gwiazdy odległéj na sto miljonów mil, jak ciężar mojego ciała zależy od równowagi sił odśrodkowych i attrakcyjnych, tak godziny powinny być nauczone przez wieki, a wieki wyjaśnione przez godziny. Każdy człowiek pojedyńczy jest wcieleniem ducha powszechnego. Wszystkie własności tego ducha zgadzają się w nim. Każdy krok w istnieniu pojedyńczego człowieka rzuca światło na to czego dokonały wielkie massy ludzi, i stanowcze chwile życia odpowiadają stanowczym chwilóm narodów. Każda rewolucja była naprzód myślą prywatnego człowieka, i kiedy taż sama myśl przedstawi się drugiemu człowiekowi, znajdzie on klucz wieku. Każda reforma była naprzód opinją pojedyńczą, i kiedy znowu stanie się ona opinją pojedyńczą, rozwiązanie zagadnienia nastąpi. Wypadek opowiadany powinien znaleść cóś odpowiedniego we mnie, żeby być podobnym do wiary albo przynajmniéj zrozumiałym. Kiedy czytamy, powinniśmy stawać się Grekami, Rzymianami, Turkami, kapłanami, królem, męczennikiem, katem; powinniśmy odnosić te obrazy do jakiéjś rzeczywistości skrytéj w naszém doświadczeniu tajném, inaczéj nie zobaczémy nic, nie nauczémy się niczego, nie zatrzymamy nic. To co się przytrafiło Asdrubalowi i Cezarowi Borgia jest wyjaśnieniem potęgi i skażenia umysłu, równie jak to co się nam samym przytrafiło. Każde nowe prawo, każdy ruch polityczny ma swoje znaczenie w sobie. Rozpatrz każde z tych praw i powiedz: «To jest jedna z moich myśli. Pod tą maską fantastyczną, nie namiętną lub miłą, ukrywa się moja Proteuszowska natura." To zaradza niedogodności nadto wielkiego zbliżenia naszych własnych czynności i ukazuje je w pewnéj odległości. Jak rak, koziorożec lub waga, tracą swą poziomość gdy są zawieszone nad naszemi głowami jako znaki zodjaku, równie mogę widzieć bez namiętności moje własne wady w oddalonych osobach Salomona, Alcybiadesa i Katyliny."

W Emersonie przebija się wszędzie głębokie uczucie piękności przyrodzenia; ale to uczucie jest raczéj sympatją niżeli miłością. Kiedy wchodzi w cienie gajów, to dla odwilżenia swojego czoła i roztargnienia myśli. Te przechadzki, te kontemplacje zdają się mu być zbawczémi kąpielami duszy i ciała, które się orzeźwiają na świeżém powietrzu i odzyskują pod gołém niebem

energję straconą w walce codziennej. Strona to religijna natury go przyciąga i dla tego to spotykamy w nim obrazy biblijne nieco złagodzone. W jednėm miejscu powiada: «Jeśli człowiek żyje z Bogiem, głos jego stanie się tak miłym jak szmer strumienia i kołysania się fal zbożowych.” Wszystko co natura ma w sobie niematerjalnego, wdzięk, świeżość, woń, harmonją, Emerson to czuje żywo i w pismach swoich ślad tego zostawia. Zdaje się że szłyszėmy w nich szmer zboża chylącego się pod wiatrem, woń smolnėj jodły, brzęczenie owadów. Znajduje się tam istotnie uczucie oryginalne; kontemplacja jest dla moralisty Amerykańskiego *hygjeną duszy*. Ta religijna sympatja Emersona dla natury daje się widzieć szczególniėj w jego poezjach. Wydobywa się z nich jakby woń kwiatów polnych. Czasem, ale to rzadko, myśl jego unosi się z wiatrem, błąka się w przestrzeni i szuka w dalekich krainach upajającėj woni Hafiza i Saadi, albo gwałtownych wichrów równin północy. Zwyczajnie wiersze jego tłumaczą tylko jedno uczucie, jedną cześć, uczucie i cześć samotności. Osoby rozmawiające z poetą Amerykańskim są drzewa, skały, obłoki, które zdają się mu opowiadać dzieje czasów upłynionych. W cieniu tych drzew mędrzec znalazł swoje Elyzjum, purytanin swój Eden biblijny. W jednym ze swoich najśliczniejszych wierszy, maluje on portret człowieka, który żyje jakby w ścisłėj zażyłości z naturą i tym sposobem daje nam uosobiony obraz swėj muzy.

«Nauka którą ten człowiek poczytuje za najlepszą, zdaje się być w oczach innych ludzi fantastyczną. Wielbiciel wszystkich rzeczy żyjących, dziwi się wszystkiemu co napotka, dziwi się nadewszystko sobie samemu. Kto może mu powiedzieć czėm on jest, i jakim sposobem w tym karle ludzkim, spotykają się wieczności przeszłe i przyszłe.

Znałem jednego takiego człowieka, proroka lasów, śpiewaka rozlicznych zmian roku, wróżka wiosennego, mądrego wieszcza sfer i wpływu gwiazd, prawdomównego kochanka, który umiał na pamięć wszystkie radości jakich użyczają doliny śród gór. Zdaje się że natura nie mogła wydać rośliny w tak tajemnem miejscu, w urwisku zaniesionėm piaskiem, na wzgórku śnieżystym, pod murawą okrywającą brzegi ruczaju, pod śniegiem, pomiędzy skałami, na polach wilgotnych, znanych tylko od lisa i ptaka, ażeby nie przybył tam w tę właśnie chwilę kiedy otwiera swe łono dziewicze. Rzekłbyś że promień słońca ukazał mu to miejsce i opowiedział mu długą genealogją rośliny. Zda się że powiew wiatru go przyniósł, że ptaki go wyuczyły i że znał przez

tajemną intuicję gdzie na dalekiém polu rośnie orkisz. Wiele jest rzeczy śród pól, które są zakryte przed okiem pospolitém; wszystko to natura odkrywała dla przypodobania się temu mądremu samotnikowi w jego przechadzkach i dla przyciągnienia go do siebie. Widział jak kuropatwa robi hałas w lesie, słuchał hymnu porannego bekasa, dziki jastrząb zbliżał się ku niemu. To co inni ludzie słyszą tylko w pewnéj odległości, co mogą dójrzeć przez zasłonę splątanych gałęzi, odkrywało się oczóm filozofa i zdawało się być posłusznem na jego skinienie.”

Nie podobna lepiéj podchwycić wszystkich tajemnic samotności, lepiéj wyrazić uczucie swobody które obudza. Musimy jednak wyznać że w tém opisaniu piękności przyrodzenia, czegoś braknie; jesteśmy jakby niespokojni z powodu długiéj nieobecności. Brak jaki uczuć się daje, jest to brak życia ludzkiego i rzeczywistości. Bez wątpienia to uczucie samotności pochodzi z serca przejętego ludzkością, bez wątpienia ta natura jest pełną prawdy; ale to uczucie pochodzi z serca dla złożenia swéj władzy, ta natura nawet idealizuje się w porządku metafizycznym, rozwiewa się w obłok mistyczny, oczyszcza się dopóty, aż nie zostanie z niéj nic więcéj jak woń i harmonja. Wtedy domyślamy się dla czego natura pociąga do siebie Emersona: oto że może pośród niéj myśleć i marzyć według upodobania, że lubi przenikać jéj tajemne prawa, rozważać nad przyczynami które ją utrzymują i ożywiają. Charakter poezji Emersona jest metafizycznym czyli raczéj symbolicznym. Dopóki skłonność do samotności towarzyszy mu w jego przechadzkach, jest poetą; ale skoro znajdzie miejsce dość ustronne i dogodne dla spoczynku, wnet powraca filozof i rozważanie zajmuje miejsce hymnu.

Porównywają niekiedy poezję symboliczną do poezji allegorycznéj; porównanie to jest fałszywém. Poezja allegoryczna przyodziewa ciałem myśl oderwaną i zdoła tylko utworzyć automat. Symbol przeciwnie— jest ciałem, formą, zewnętrznym objawem myśli nieznanéj. Te zewnętrzne objawy migają przed oczyma naszémi świetne i różnobarwne jak złudzenia, a umysł goniąc za niemi, gubi się w przypuszczeniach o téj myśli, o téj rzeczywistości tajemniczéj i ukrytéj. Przeto poezja symboliczna ma jakby charakter tajemny i kabalistyczny. Dwie prześliczne strofy Emersona pokażą jak umie symbolizować ideę metafizyczną. Chce on okazać że każdy przedmiot jest nierozdzielnie połączonym z całą naturą, że każdy pojedyńczy człowiek jest związanym z całą ludzkością.

«Myślałem że zstąpiła z niebios nuta małego ptaszka co śpié-

wał z wschodzącą jutrzenką pod gałązkami wierzby; ku wieczorowi uniosłem ptaszka z jego gniazda do mego mieszkania. Śpiewa on jeszcze tęż samą piosenkę, ale dzisiaj już ona mi się nie podoba, gdyż nie mogłem przynieść z sobą rzeki i nieba. On śpiewał do mojego ucha, lecz tamte śpiewały do mojego oka. Delikatne konchy brzeg okrywały, piana ostatniéj fali rzucała świéże perły na nadbrzeżny piasek i huk dzikiego morza winszował im że się mnie dostały. Podniosłem te rośliny morza, otarłem je z piany i przyniosłem do domu te skarby morskie; ale są to teraz biédne przedmioty ohydne, na które przykro patrzeć. Zostawiły one swą piękność na brzegu, ze słońcem, piaskiem i dzikim hukiem fali.

«Kochanek spozierał ukradkiem na swą pełną wdzięku narzeczonę, gdy się ona skrywała w tłumie dziewic swych towarzyszek; nie widział że to co go najbardziéj pociągało w jéj piękności, zostawało w połączeniu z tém gronem białém jak śnieg. Nareszcie, jak ptaszek z lasu przechodzi do klatki, młoda dziewica poszła zamieszkać swą ustroń, ale wesołe oczarowanie znikło; jest to piękna kobiéta ale już nie czarująca wróżka.''

Rozważywszy w ogólnych zarysach fizjonomję mędrca i poety, zbadajmy dopiéro naukę, jaka się kolejno wyświetla u Emersona już to pod formą liryczną, już w swobodnéj prozie filozoficznéj.

Jedno jest tylko zagadnienie, do którego rozwiązania zmierzają wszystkie dzieła Emersona. Zagadnieniem tém jest: jaki udział w społeczeństwie mamy zostawić osobistości ludzkiéj? Rozwinięcie, wychowanie, prawo pojedyńczego człowieka, należny mu wpływ na społeczeństwo, oto cała filozofja Emersona. Odnosi on wszystko do indywidualnego człowieka; dla niego to poezja splata wieńce; dla jego zdrowia i rozweselenia jego oczu, natura rozkłada swe różnobarwne skarby; dla jego sławy i pokoju ludzie piszą, walczą i stanowią prawa. Posunął on aż do ostateczności tę zasadę, tak dalece, że zamknąwszy książkę zapytujemy siebie, na jakim autor wreszcie zakończy systemacie? Dwie obok niego są skały: mistycyzm i panteizm. Zdołaż ich zawsze uniknąć? Może wpaść w mistycyzm przez tę rozciągłość daną rozwinięciu indywidualnego człowieka, które znosząc naturę i ludzkość, pozostawia człowieka jednego z *duszą najwyższą* (over soul) pośród złudzeń świata. Będzież on zawsze purytaninem, albo jak Faust Goethego wywoła-li wieki przeszłe i przeniknie-li tajemnice natury ażeby nasycić się widokiem życia powszechnego?

Ale zresztą zasada sama przez się jest wyborną, i Emerson z trzech powodów musiał ją przybrać: 1-ód z powodu osobistego

myślenia; 2-re z powodu stanowiska religijnego Stanów Zjednoczonych, 3-cie z powodu rządu Amerykańskiego.

Z powodu osobistego sposobu myślenia, powiedzieliśmy: jakież są opinje polityczne i religijne Emersona? do jakiego stronnictwa należy?

«Z dwóch stronnictw politycznych, powiada, które teraz rozdzielają Amerykę, jedno ma lepszą sprawę, drugie ma lepszych ludzi. Filozof, poeta, człowiek religijny życzyłby wotować z demokratą za wolnym handlem, ogólném głosowaniem, zniesieniem okrucieństw prawnych, i za ułatwieniem wszelkiemi sposobami młodym i biédnym przystępu do źrzódeł bogactwa i władzy; ale rzadko mogą przyjąć jako reprezentantów tych zasad osoby, które nie przedstawia stronnictwo ludowe. Nie mają oni na widoku tych celów do jakich cnota przez demokracją dąży. Duch naszego radykalizmu Amerykańskiego jest niszczący i bez wyższych popędów, niéma on miłości, niéma celów boskich i zaziemskich, jest tylko niszczącym bez nienawiści i egoizmu. Z drugiéj strony, stronnictwo zachowawcze (conservateur), złożone z ludzi najumiarkowańszych, najukształceńszych, najzdolniejszych w narodzie, jest bojaźliwém i przestaje na tém tylko że jest obrońcą własnym; nie ubiega się za utrzymaniem żadnego prawa, nie dąży do osiągnienia żadnego dobra rzeczywistego, nie okrywa hańbą żadnéj zbrodni, nie wprowadza żadnéj kontroli zbawiennéj, nie buduje, nie pisze, nie lubi sztuk, nie ożywia uczuć religijnych, nie zakłada szkół, nie zachęca nauk, nie oswabadza niewolników, nie łączy się braterstwem z biédnym Indjaninem lub emigrantem. Od żadnego z tych stronnictw, gdyby zostało przy władzy, nie można oczekiwać jakiego dobrodziejstwa odpowiednego zasobóm narodu dla nauk, sztuk lub ludzkości.''

Oto wytłumaczenie się otwarte, bez wybiegów, które odłącza Emersona od obu stronnictw zarazem. Wierzy-li on więcéj w filantropją? «Ulegam często, powiada, i daję mój dollar, ale jest to tylko zły dollar.'' Wierzy-li w towarzystwo religijne? Odpowiedź na to łatwa: odłączył się od swojego kościoła; a co się tycze *martwych towarzystw biblijnych*, jak je nazywa, za nic je poczytuje. Jest to człowiek który nie należy do żadnego stronnictwa, do żadnego kościoła, do żadnéj opinji upowszechnionéj w Ameryce. Ztąd jego sposób myślenia jest zupełnie jemu właściwym, indywidualnym. W co więc i komu wierzy? W siebie i sobie. Ze stanowiska więc jakie zajmuje pośród stronnictw i systematów amerykańskich, musi wyniknąć cała jego filozofja. A ponieważ nie należy do żadnego stronnictwa, ztąd następstwo

naturalne, że musi stanąć w obronie pojedyńczego człowieka przeciw massóm.

Drugi powód który skłania Emersona do podniesienia indywidualnego człowieka nad społeczeństwo, jest położenie religijne Ameryki. W Stanach Zjednoczonych niema religji któraby łączyła z sobą massy. Protestantyzm rozkładając się na mnóstwo sekt, dąży coraz więcéj do tworzenia wyznań, będących tylko religją niewielu pojedyńczych osób. Ale jest pewien związek łączący wszystkie te sekty, a tym związkiem jest duch purytański. Tam uczucie religijne panuje wspólnie nad sercami, lubo wierzenia wewnętrzne są odrębne i opinje dogmatyczne z sobą różniące się. To samo serce, lubo artykuły wiary różne, oto jest ideał purytanizmu; to równie ideał Emersona.

Czyniąc z rozwinięcia i wychowania indywidualnego człowieka zasadę swéj filozofji, mówiąc do niego: «wierz w siebie," Emerson przychodzi, może bez samowiedzy, do téj saméj zasady co Kartezjusz, do uznania powagi pojęcia indywidualnego. Kartezjusz i Emerson nie mają wprawdzie żadnego z sobą powinowactwa; ale są w témże samém położeniu. Emerson jest piérwszym filozofem Amerykańskim, jak Kartezjusz, można powiedzieć, piérwszym filozofem nowożytnym. Kiedy Kartezjusz budował system swéj filozofji, usunął wszystkie książki, odrzucił wszelkie podania; on także wierzył w siebie. Miał on do czynienia ze scholastyką; nie chciał przyjąć jéj wyjaśnień przedmiotów fizycznych, ani też wywodów logicznych. Emerson ma także do czynienia z pewnym rodzajem scholastyki. W kraju jego znajduje się mnóstwo sekt, mających rozmaite wykłady Pisma, rozmaite dogmata, śmieszne kommentarze, często dziwaczne liturgje. Pośród takich scholastyków religijnych, jakąż inną filozofję Emerson mógł utworzyć, jeżeli nie filozofję moralną?

Trzeci powód który mógł skłonić Emersona do wyboru jego nauki, jest sam rząd Stanów Zjednoczonych. Dążenia Emersona są zapewne demokratyczne; przekonanym on jest że demokracja jest rządem najwłaściwszym dla Ameryki. Zastanawiać przeto nas powinna ta filozofja utworzona jedynie na korzyść człowieka indywidualnego. Ale rozważmy głębiéj położenie tego kraju. Pośród tych sprzecznych, krzyżujących się z sobą interessów i namiętności, oko badacza niéma gdzie spocząć. Pośród tego zgiełku trudno nam znaleść serce spokojne. Na jakiejże pewnéj zasadzie budować filozofję dla tłumu? Massy są szczytne bez wątpienia, kiedy działają zgodnie, bo wtedy działają jak jeden człowiek; ale czyż zawsze one tak działają; gdzież zasady ich prze-

konać? Emerson miał przed oczyma ludzkość, niepewne miotania się tłumu i postanowił pisać dla indywidualnego człowieka.

Emerson obraca się tedy do człowieka i powiada mu: «wierz w siebie.” Wierz w siebie z siłą woli męża i zaufaniem dziecięcia. Nie pogardzaj samym sobą, nie lękaj się, nie ślęcz napróżno nad dziełami innych. Nie przyjmuj od kogo innego twego przekonania. Czy się lękasz odosobnić od innych ludzi? Ależ wierzyć że to co jest prawdziwem dla mnie, jest prawdziwem dla każdego innego, jest to posiadać gienjusz. Nie naśladujmy więc nigdy, gdyż *nic nie jest świętszego jak niezależność własnego naszego umysłu; to nam właśnie jedna oklaski świata.* Nagrodą tego zaufania w sobie są oryginalność i uczciwość, gdyż im kto więcéj jest oryginalnym, tém jest szczérszym, im mniéj kto naśladuje, tém jest uczciwszym. Zachowując niepodległość naszego umysłu, jesteśmy nieprzyjaciółmi kłamstwa, i ludzkość wtedy właśnie ciebie zacznie szanować, gdy nie będziesz składać hołdu żadnemu człowiekowi w szczególności. Mówić tak żeby nie doznać sprzeciwieństwa, pisać tak żeby uniknąć krytyki, jest smutną rzeczą. Jest to licha umowa zawarta z ludźmi, gdy ustępujemy im część swego przekonania, żeby nie być dręczonym względem reszty. Myśl nie jest daną człowiekowi na to żeby się podobać myślom drugiego i głaskać jego nawyknienia.

Zaufanie w sobie jest więc zasadą moralności Emersona. Ale jakaż jest władza, która nadaje to zaufanie w sobie? Czy to wola? czy też rozum? Bynajmniéj. Jest to podług Emersona, instynkt, chwilowy popęd. To zaufanie w sobie nie jest siłą nadającą kierunek, jest raczéj falą którą pociąga, gdyż co to jest instynkt, chwilowy popęd (spontaneitas)? Są to siły najtajniejsze naszéj istoty, te których źrzódła tajemnicze wytryskają w chwili najmniéj oczekiwanéj, któréj analiza dosiądz nie potrafi. Tak więc, to zaufanie zrodzone z chwilowego popędu prowadzi nas prosto do intuicji. Tłumaczy to nam wszystkie teorje Emersona. Przy tajemniczém świetle myśli nagle poczętéj, ukaże się przed nami natura, jako ciąg nieskończony obrazów i symbolów, ludzkość z swojémi dziejami, następstwem bajek miłych lub przerażających. Każdy człowiek przychodzi tym sposobem do objawienia indywidualnego. Jestże to panteizm? jestże to mistycyzm? Teorja ta zbliża się razem do jednego i do drugiego. Jednakże mistycyzm Emersona jest mistycyzmem czysto purytańskim. W mistycyzmie katolickim ten rodzaj intuicji jest skutkiem łaski boskiéj, nie zaś dopełnieniem obowiązku względem moralności i ludzkości. Oddalony od zgiełku, w głębi celi lub pustyni, duch wznosi się

w uniesieniu i dosięga nieskończoności, źrzódeł bytu; jest to łaska która zstępuje z wysokości, działa na duszę i podnosi ją. W Emersonie przeciwnie człowiek idzie w pośród tłumu; ma obowiązek do wypełnienia; tutaj więc obowiązek względem społeczeństwa zastępuje miejsce łaski boskiéj. Człowiek opierając się na tym obowiązku dosięga nieskończoności. Oto w czém ta teorja różni się od mistycyzmu zwyczajnego i w czém się zbliża do purytanizmu. Purytanin wierzy tylko w Boga i w siebie; wypełniając swój obowiązek zbliża się ku Bogu. Emerson staje, jak purytanin, między stoicyzmem i chrystjanizmem. «Spełniaj prawa, mówi Stoik, a będziesz równym Bogóm.” «Spełniaj prawa, mówi Chrześcijanin, a kiedyś znajdziesz twojego Boga.” Ale purytanin zgięty pod ciężarem swego obowiązku, sądzi przytém że liczyć na przyszłą nieśmiertelność, jest to prawie poniżać się; mówi on z Emersonem: «wypełniając me prawo, staję się już bliskim Boga.”

Lecz na to zgodzić się nie możemy, co Emerson na zasadzie swego systematu dowodzi, że wszelkie wychowanie jest niepotrzebném. «Nasze najlepsze wychowanie, powiada, wypływa z chwilowego popędu, i nasza natura jest często skażoną przez wolę.” Zawistny praw indywidualnego człowieka, Emerson nie chce żeby ktokolwiek zbliżał się do niego; chce żeby on sam wyrobił w sobie nie tylko swoją godność i wdzięk, ale jeszcze rozwinął swoje pojęcie. Dla tego zaleca mu ufać swojemu instynktowi; ale instynkt jest władzą równie skłonną do złego jak do dobrego; obudza on w sercu uczucia równie najsłodsze jak najdziksze. Kiedy wychowanie, a przedewszystkiém wychowanie religijne, oczyści obyczaje i rozum z ciemności wydobędzie, wtedy dobrze jest zaufać swemu instynktowi, i wtedy potrzeba tyle mocy być mu posłusznym pośród społeczeństwa ile poskramiać go w dzieciństwie i młodości. Stanowi on w początkach sam grunt natury ludzkiéj, prawdziwy chaos gdzie są zrzucone bez ładu namiętności, wady, cnoty i władze umysłowe. Późniéj instynkt staje się tylko pobudką, natchnieniem właściwém charakterowi i gienjuszowi człowieka; wtedy staje się owym wyższym przewodnikiem tak wymównie zalecanym przez Emersona. Tym czasem potrzeba uporządkować ten chaos instynktu piérwotnego i wychowanje tylko może tego dokazać, wychowanie domowe a szczególniéj religijne.

Instynkt i chwilowy popęd są więc władzami przyprowadzającémi nas do Boga. Jakiż jest Bóg Emersona? Nazywa się on *over soul*, dusza najwyższa. Człowiek czuje zawsze swoje myśli

wpływające weń, jest on jakby spektatorem zdziwionym, nie wie gdzie jest źrzódło tych myśli. To źrzódło— jest dusza. Dusza, pierwiastek myślący, jest zewnątrz człowieka. Jest jedna tylko dusza, nią jest Bóg. «Jest to ta dusza, która jeśli tchnie przez nasz rozum, nazywa się genjuszem, jeśli przez naszą wolę— cnotą, jeśli przez nasze uczucia— miłością. Wszystko zdaje się nam wskazywać że dusza nie jest organem, ale przyczyną która ożywia organa; że nie jest władzą ale posługuje się władzami jak rękami i nogami.” Bóg to więc działa przez umysł i w nim człowiek ma wszelką wolę, i wszelką myśl. Dalej Emerson dodaje: «Nie masz w duszy kamiennej przegrody, gdzieby człowiek-skutek ustawał, a Bóg-przyczyna poczynał się.” Kiedy Bóg czyli dusza najwyższa nas odwiedza, widzimy wszystkie jego przynależytości: sprawiedliwość, miłość, potęgę, swobodę. W nim poznajemy wszystkie rzeczy. Każde nowe odwiedziny duszy najwyższej podnoszą nas wyżej w nieskończoności i usuwają przed nami skończoność. Skoro zacznie czcić duszę najwyższą, światło zaczyna oświecać człowieka, czasy nikną, i w miejscu przeszłości i przyszłości mamy tylko teraźniejszość wieczności. Cóż to jest entuzjazm, natchnienie? Jest to hołd, przerażenie umysłu za zbliżeniem się Boga. «Wstrząśnienia Sokratesa, złączenie Plotyna, widzenie Porfirjusza, nawrócenie Pawła, jutrzeńka Boehm'a, konwulsje Jerzego Foxa i jego kwakrów, illuminizm Swedenborga, są tego rodzaju.” A zatem mamy popaść w mistycyzm? Emerson zatrzymuje się na brzegu. Te odwiedziny Boga są według niego tylko nagrodą, którą Bóg udziela człowiekowi mądremu; to objawienie indywidualne jest łaską którą zsyła duszy prostej i prawdomównej, dopełniającej swego obowiązku bez względu na zwyczaje świata; czyli innemi słowy: jest to sankcja religijna tej filozofji. Pod tym względem nauka Emersona jest piękną i godną podziwu. Człowiek przeniesiony w nieskończoność przez obecność Boga nie jest poetą, ani filozofem, ani człowiekiem religijnym; jest więcej jak tem wszystkiem: jego czyny, jego myśli, jego życie całe jest napiętnowane charakterem wieczności *sub spem aeterni*, jak powiada Spinoza.

Prawdziwe znaczenie tego objawienia indywidualnego jest, że się staje nagrodą życia moralnego; ale ma także swój początek historyczny, ma swoje źrzódło w protestantyzmie. Cóż jest zasadą Chrystjanizmu? Oto objawienie pierwotne uczynione przez Boga ludziom. To objawienie przyjęte utworzyło dogmata i artykuły wiary składające religją; uwieczniło się ono przez tradycję i ustaliło przez powagę. Protestantyzm, usunąwszy tra-

dycję i odrzuciwszy powagę, podkopał zasadę chrystjanizmu, objawienie pierwotne. W miejsce tego objawienia, przyjmuje inne zupełnie indywidualne, które mówi ciagle do człowieka i nadaje kierunek nie tylko jego życiu religijnemu, ale nadto jego życiu towarzyskiemu. Ztąd wielka różnica zachodzi pomiędzy mistycyzmem katolickim a mistycyzmem protestanckim, szczególniéj purytańskim. Mistycyzm katolicki szuka miłości, mistycyzm purytański ma na celu przedewszystkiém prawdę. Ma dążenia nie tylko filozoficzne, ale polityczne. Ten to mistycyzm purytański natchnął Emersona; oświecony przez to objawienie indywidualne rozstrzyga on kwestje najrozmaitsze z dziedziny sztuki, polityki i nauk.

Panteizm zresztą nie mały ma udział w nauce Emersona o duszy najwyższéj, przynajmniéj tak jak on ją podaje; może dla tego że autor nigdzie zupełnie swéj myśli nie formułuje. W dziele Emersona *Essays*, wiele jest myśli o *over soul*, które mają wielkie podobieństwo z myślami Novalis'a. W téj naprzykład myśli: «Człowiek jest frontem świątyni w któréj wszelka cnota i wszelkie dobro mieszka; nie człowieka szanujemy, ale duszę któréj jest organem, duszę przed którą padlibyśmy na kolana gdyby się nam ukazała przez czynności ludzkie;" spotyka się Emerson z Nowalisem, który takoż wahał się między chrystjanizmem a panteizmem. Marzyciel niemiecki wyrzekł: «Kiedy dotykam się ręki ludzkiéj, dotykam się nieba. Jest tylko jedna świątynia w świecie, a tą jest ciało człowieka; uchylić czoło przed człowiekiem, jest to oddać hołd temu objawieniu ciała." Emerson waha się widocznie pomiędzy panteizmem a purytanizmem mistycznym. Z resztą, zdaje nam się, że jeśli jest panteizm u Emersona, to panteizm Malebransza. U jednego jak u drugiego panteizm przebija się raczéj w uniesieniach serca, niżeli przez rozumowanie. Emerson widzi jak Malebranche wszystkie rzeczy w Bogu; w nim to poznaje wyobrażenia. «Dusza najwyższa, powiada Emerson, jest ziemią wspólną wszystkich naszych myśli."— «Bóg, powiada Malebranche, jest miejscem pobytu duchów, jak przestrzeń jest miejscem pobytu ciał."

Jednakże panteizm, nie już Malebranch'a ale Spinozy, przebija się w jednem miejscu w téj nauce. Kiedy Emerson powiada: «Wszystko nam pokazuje że dusza nie jest władzą, ale posługuje się tylko władzami jak rękami i nogami; że nie jest rozumem ani wolą, ale panią rozumu i woli," nie postrzega że nie określa władzy stanowiącéj osobistość człowieka, jego *Ja*, i że przez to przychodzi do zniszczenia identyczności człowieka któremu tyle

udzielił. Kiedy się zastanawiamy nad sobą, widziemy działające różne władze; ale jakaż jest władza kierująca innémi? Nie można jéj łatwo dostrzedz. Musi być jednakże jedna władza panująca nad innémi, czyli jedném słowem, dusza władz umysłowych. Że się wyrażę językiem filozoficznym, jakaż jest władza która stanowi *moje Ja?* Czy to wola? czy to rozum? Według Emersona, władza pierwotna jest zewnątrz człowieka, nasze władze są tylko rękami i nogami. W rozdziale *o pojęciu*, powiada: «Człowiek jest równie w swoich pojmowaniach jak w swoich chceniach.” Spinoza jest tegoż zdania, gdyż robi uwagę że są myśli i działania, które można odnieść już to do woli już do rozumu, nie mogąc ściśle oznaczyć władzy do któréj się odnoszą. Ztąd tedy rezultat bardzo prosty. Jeśli niéma władzy stanowiącéj wyłącznie *Ja*, człowiek niéma prawdziwéj identyczności; jeśli przyczyna wszystkich naszych działań, władza twórcza wszystkich naszych myśli jest zewnątrz nas, całe nasze istnienie jest tylko następstwem pojawień i faktów, których wprawdzie znamy wiedzę, ale nad któremi nie mamy żadnéj władzy. Człowiek jest niczém więcéj jak teatrem, gdzie mówią te natchnienia, gdzie się tworzą te przekształcenia, gdzie przechodzą te pytanie znikome. Autor jest z resztą nieznany i tajemniczy, autor bezimienny który wynalazł sztukę i rozdał role. Jeśli człowiek niéma prawdziwéj identyczności, istność jego nie ma pod sobą stałego gruntu, życie jego będzie ciągłém przekształceniem. Człowiek który nie zna sam siebie, który nie wie zkąd mu przychodzą jego myśli, jest wtedy pogrążonym w istność powszechną i ślepą, która też nie więcéj zna siebie i zamyka w sobie wszystkie istności pojedyńcze.

Według systematu Emersona, natura równie jak historja służą tylko dla wychowania człowieka. Zjawiska natury są symboliczne, ale te symbole mają stosunek z naszą istotą. Człowiek powinien starać się odkryć znaczenie tych symbolów za pomocą władzy którą Emerson nazywa *roztropnością*. Rostropność jest cnotą zmysłów, nauką pojawień. «Stara się ona razem o zdrowie ciała zastosowując się do praw fizycznych, i o zdrowie duszy zastosowując się do praw umysłowych.” Roztropność więc jak ją Emerson opisuje, będzie nauką życia, nauką stania się mądrym.

Zupełne władanie sobą pośród tego mnóstwa obrazów i symbolów, które gromadnie krążą koło nas, stanowi— rostropność. Natura otacza nas złudzeniami, ale człowiek roztropny umie ich unikać. Silny zaufaniem w siebie, ocenia charakter natury przez swój własny. Fichte mówił: «moje *Ja* tworzy świat;” Emerson mówi: «Świat jest takim jakim człowiek chce żeby był.” Praw-

dziwy mędrzec, człowiek roztropny nie zważa na powierzchowne zjawiska, dąży wprost do rzeczywistości. Ta rzeczywistość, jest to prawo, którego każdy obraz w naturze jest symbolem. Symbole mają trzy stopnie: pożyteczności, piękności, prawdy. Również są trzy stopnie roztropności: roztropność która się przywiązuje do symbolu dla jego użyteczności, roztropność która się przywiązuje do piękności symbolu, i nakoniec roztropność która się przywiązuje do prawdy, do istoty rzeczy przedstawionej przez symbol. Emerson dzieli ludzi na trzy kategorje, według tego jak szukają w symbolach użyteczności, piękności i prawdy. Prawdziwa roztropność jest ta, która wyszukuje w symbolach prawdę jaką zamykają i prawo które jest im wspólne.

To co mędrzec robi dla prawdy, sztukmistrz robi dla piękności. Utrwala on zjawiska przyrodzenia które się mu zdają być najpiękniejsze. W krajobrazie malarz powinien omijać szczegóły a oddawać wrażenie, myśl, którą im krajobraz nastręcza. W portrecie charakter a nie rysy powinien malować. Sztukmistrzem jest ten który umie najlepiéj uogólnić przedmiot szczególny, utrwalić na zawsze rzecz chwilową, odkryć pośród pojawień przemijających rys przodkujący, charakter istotny, rzeczywistość wieczną.

A więc według Emersona wszystkie rzeczy tego świata, tak co się tycze natury jak i naszego umysłu, nasze myśli, uczucia, wrażenia, są tylko powierzchownémi zjawiskami; przychodzą, mijają i znikają. Wszystko w świecie zewnętrznym i w naszém sercu jest podległe tym nieskończonym przekształceniom; ale mędrzec poznaje że to wszystko są widma rzeczywistości: zatrzymuje na nich wzrok pewny, rozróżnia zjawiska zwodnicze od symbolów prawdziwych, uznaje pojawy pożyteczne, uśmiecha się do widma piękności i posługuje się témi zjawiskami świetnémi jak stopniami w dążeniu do prawdy. Kiedy rozpoznał w naturze pojawienia boskie, przyodziewa je w ciało, jeśli jest sztukmistrzem i utrwala je na zawsze. Jeśli jest mędrcem używa tych symbolów za narzędzie do kierowania czynnościami swego życia. Cnota i gienjusz należą od tych poszukiwań.

To są główne rysy filozofji Emersona. Zebraliśmy tu w jedno ognisko treść pomysłów rozrzuconych w licznych rozprawach, składających jego *Essays*. Nie będziemy się zastanawiać poosobno nad témi rozprawami, z których każda zawiera głębokie prawdy i świetne obrazy, musimy jednak zwrócić uwagę czytelnika na jedną z najpiękniejszych rozpraw, pod tytułem: o *miłości*. Na tych zachwycających stronnicach więcéj jest świeżości niżli namiętności, więcéj czułości niż ognia. Emerson wskazuje wszyst-

kie stopnie uczucia miłości, jak piérwéj opisał stopnie przyjaźni. Bierze zakochanego jeszcze w szkole; uważa postępy dziecinnéj zażyłości pomiędzy Edgarem, Jonaszem i Almirą. Wkrótce dziécię staje się mężczyzną; Emerson śledzi za nimi we wszystkich słodkich szaleństwach miłości, i dla ich odmalowania znajduje barwy *Jak się podoba*— Szekspira. Miłość nie jest już namiętnością gorącą i straszliwą; jest to tęcza, która się wznosi nad burzami życia. Przedmiot ukochany nie wznosi się już jak piękny posąg, zamieszkał on czarodziejskie krainy chmur oświeconych zachodzącém słońcem; późniéj pomału marzenia nikną, nie oznaczona i bezosobista miłość ulatuje, uczucie wznosi się do wyżyn platonicznych, i kochanek stawszy się mężem porównywa kobiétę ukochaną do typu doskonałości który wymarzył. Wtedy to porównanie typu idealnego do istoty cielesnéj sprowadza odkrycie nowych niedoskonałości i wad nieznanych. Mąż przywiązuje się wtedy do żony, i wtenczas są tylko dwie ludzkie istoty jedna naprzeciw drugiéj; tu już koniec miłości. Obraz Emersona staje się smutnym. Wchodzimy z nim do mieszkania dwójga małżonków i siadamy przy smutnem ognisku purytańskiem. Jednostajne słodycze nawyknienia zastąpiły miejsce natchnienia i marzenia; dwaj kochankowie wzięli się za ręce patrząc w niebo, ale pomału ich wzrok zniżył się ku ziemi; jednak jeśli miłość uleciała, obowiązek pozostał: prawidło bez ponęty. Gdy przeczytaliśmy to zakończenie surowe, z większą skwapliwością wracamy się do piérwszéj części rozprawy; chcemy odczytać szczególniéj tę stronnicę zachwycającą, gdzie Emerson z natchnieniem opisuje piérwszy perjod miłości. «Żaden człowiek nie zapomni nigdy odwiedzin téj potęgi, która w jego sercu i jego mozgu stworzyła tyle rzeczy nowych, która była w nim jutrzenką muzyki, poezji i sztuki, która czyniła naturę jaśniejącą światłem purpurowém, i zapełniała noce i ranki różnémi czarodziejstwy; epokę w któréj sam tylko dźwięk jéj głosu mógł przyśpieszyć bicie serca i w któréj okoliczność najbardziéj błaha tycząca się pewnéj osoby, była złożoną w przybytku pamięci; kiedy byliśmy całkiem okiem gdy ona była przytomną i całkiem pamięcią skoro się oddaliła; czas ten kiedy młody człowiek staje się stróżem okien, dozórcą rękawiczki, zasłony, wstążki, kół pojazdu, gdzie niémasz żadnego miejsca tak samotnego i tak cichego w którymby, pośród swych innych myśli, nie znajdywał liczniejszego towarzystwa i milszéj rozmowy, nad towarzystwo i rozmowy swoich dawnych przyjaciół, nawet najlepszych i najnieskazitelniejszych; gdyż rysy, ruchy, słowa przedmiotu ulubionego, nie są jak inne

obrazy rysowane na wodzie, ale jak powiada Plutarch, malowane w ogniu i będące przedmiotem dumań północnych.

W południe i ku wieczorowi życia, z rozkoszą wspominamy te dni w których szczęście nie było dosyć szczęściem, i musiało być zaprawione bojaźnią i troską (gdyż odkrył tajemnicę miłości kto wyrzekł: że wszystkie rozkosze nie są warte jéj udręczeń); w których dzień nie był dość długim a noce upływały w przenikających wspomnieniach; w których głowa pałała na poduszce szlachetnego czynu o którym zamyślała; w których blask księżyca był lubą gorączką; w których gwiazdy były literami a kwiaty cyframi; w których powietrze było napełnione śpiewem, w których wszystkie sprawy ludzkie zdawały się być krzywdzącém uroszczeniem, a mężczyzni i kobiety błąkające się tu ówdzie, prostémi malowidłami. Namiętność przerabia świat dla młodzieńca; nadaje każdéj rzeczy życie i znaczenie. Natura nabiera czucia; każdy ptaszek śpiewający w gałęziach drzewa mówi do jego serca i do jego duszy; jego noty dają się prawie oznaczyć. Obłoki przybierają fizjonomję, gdy na nie patrzy; drzewa lesne, zielona murawa, rozwijające się kwiaty, stały się pojętnémi; lęka się prawie powierzyć im tajemnicę, któréj zdają się u niego dopytywać. Natura się złagadza i staje sympatyczną. W zielonéj samotni młodzieniec znajduje milszy pobyt jak pośród ludzi.

Spójrzyj na pięknego szaleńca pośród lasów! rozpływa się, we dwójnasób jest człowiekiem. Biega z podniesionémi rękami, sam do siebie przemawia; to zwraca mowę do murawy i drzew; czuje w swoich żyłach krew fijołka, lilji i polnéj trawy; gawędzi z strumieniem który liże stopy jego.

Michał Bogusz Szyszko.

Wilno 1850. Maj.

W ogrodzie Botanicznym.

PROROK.

(z Lermontowa).

Odkiedy z niebios wyroku
Duch proroczy we mnie gości,
Wyczytuję w ludzkiém oku
Same występki i złości.

Przerwałem moje milczenie
Głosząc wzniosłych cnót przykłady,
Lecz zewsząd dla méj zagłady
Ciskano wściekle kamienie.

Głowę'm posypał popiołem,
Uciekłem od miast daleko,
I żyć w pustyni zacząłem
Jak ptaki Bożą opieką.

Praw świętych strzegąc jak oka,
Głos mój zwierzęta tu znają,
Mnie gwiazdy nawet słuchają
Radośnie patrząc z wysoka.

Lecz gdy przebiegam z pośpiechem
Gród ludny w wędrówkach moich,
Słyszę jak starcy z uśmiechem
Wołają do dzieci swoich:

«Patrzcie, ten człowiek zbyt dumny,
Żyć zgodnie z nami nie zdołał,
Chciał nam wmówić, bezrozumny!
Że Bóg jego usty wołał.

«Patrzcież dzieci— dziś na niego:
Jak on blady i znękany!
Patrzcie, jak nędznie odziany,—
Wzgardą płacą dumę jego."

Mirosław Mołczanowski.

Hołochwasty.
1844 r.

GAWĘDA

KRYTYKO-LITERACKA.

N. 4.

—Kto tam?!... zawołał P. Tomasz chodząc po pokoju wielkimi kroki, gdyśmy z P. Bartłomiejem w sieniach otrząsali się ze śniegu. A!— witam, witam szanowny sąsiedzie, i razem rekomenduję ci niezłego podsłuchywacza nas obu. Oto! ukazując na mnie, dodał: ten kawaler jest tym podsłuchywaczem.

Obaśmy z P. Bartłomiejem nie pojęli od razu, o czém P. Tomasz mówił.

—Niby to nierozumiesz, panie kawalerze, odezwał się do mnie. Hm—hm. Coś się święci— coś się święci. Dobrze— dobrze, ale nie ze wszystkiém. Siadajże P. Bartłomieju, zaraz wam tę zagadkę rozwiążę. Proszę— podając 4-ty N. *Gwiazdy* P. Bartłomiejowi, dodał:— Przeczytaj, i pogadamy o tém.

I znowu począł chodzić wielkimi kroki, rzucając czasem oko na czytającego P. Bartłomieja. Ja stałem, i jużem się trocha domyślał o co rzecz idzie.

—Ja powinienem ci P. Adolfie podziękować za cześć jaką mnie i P. Bartłomiejowi robisz, odezwał się wreszcie P. Tomasz, że przywiązujesz jakąś cenę do naszych zdań i sądów literackich, i że te zasłużyły nawet na druk w Gwiazdzie. To dla nas bardzo zaszczytnie. Ja przynajmniéj nie myślałem o sobie tak wiele. Nieźle— bardzo nieźle, że P. Adolf w stosunkach z dobrymi ludźmi literatami, i nie idzie koleją wielu próżniackiéj

młodzieży, a stara się być pożytecznym dla ludzi. Tylko bądź łaskaw P. Adolfie lepiéj wsłuchaj się w nasze zdania, i nie przekręcaj ich, a swoich nam nie przypisuj. I proszę starać się lepiéj kopjować styl i naszą mowę, bo my obaj trocha inaczéj mówim jak się wydrukowało. Nie źle tam— może dla kogo nawet lepiéj, tylko że to nie po naszemu. Nas samych nie wiele tam widać. Tych Mości Dobrodziejów, tych *bowiém*, *jakoż*, téj łaciny, tego— jednèm słowem książkowego, poprawnego stylu, w naszéj ustnéj mowie, zdaje się, nie słychać,— a w druku dość gęsto. To jedno,— a drugie, że jest wiele dodatków i przeinaczeń, jak rzekłem, do których ja i zapewne P. Bartłomiéj nie łacno się przyznamy. Powinieneś był te dodatki sam od siebie porobić, a nam w usta ich nie kłaść. To źle. Za to nie chwalę, i uprzedzam P. Adolfa, że gdy jeszcze raz podobne rzeczy się powtórzą, będę musiał przekrócić z Panem znajomość. Przykro trocha— ale spójrzawszy na mnie, wraz dodał:— No, nie lękaj się kawalerze, i podał mi przyjacielską rękę. Bądźmy i daléj przyjaciółmi, mówił,— a co się wyrzekło, trzeba było powiedzieć. Bo inaczéj mógłbyś zajść i bardzo daleko, a wówczas zapóźno byłoby zrywać znajomość i stosunki.

Stałem.

—I ja od siebie dziękuję, odezwał się P. Bartłomiéj, że P. Adolf cenisz moje zdania, ale razem gotów jestem powtórzyć to samo, co dopiéro powiedział P. Tomasz. A prócz tego, proszę bardzo, gdy jesteś w stosunkach z Dołęgą, załączając mój szacunek jemu, napisać: że ja kalumnji na kogobądź mówić wystrzegam się, i zdaje się, nie mówię. I com powiedział o redakcji «*Pism rozmaitych*" zgoła nie jest kalumnią. Owszem, jest tylko nieprzesadnèm zdaniem i szacunkiem dla autora «*Genjusz wieku*",— jest prawdziwym o nim sądem. P. Dołęga, nie myślę, iżby go znał. Ja zaś szczyciłem się jego znajomością. Widziałem i czytałem tylko co z pod pióra wyszłe jego rękopisy z témi licznemi kasowaniami ich, jakie był zwykł robić znamienity nasz mówca. Znałem go, znałem nieźle, i powiém zawsze, że to był znamienity mówca, często poeta-mówca i uczciwy człowiek, ale w poezjach swych poeta żaden, a redaktor wątpliwy. Po co te idealizowania ludzi— te prawdziwe ich fałszowanie?! Jaka stąd i dla kogo korzyść?.. Owszem, chyba ztąd nie mała strata szacunku dla tych ludzi, co zwykle po lepszém poznaniu i rozczarowaniu się następuje u młódszych. Bo przez to młodzi zaczynają nawet wątpić w prawdziwe zasługi i zalety starszych i godniejszych od siebie.

P. Tomasz. Moje zaś zdanie o profesorach-kobietach, przerobiłeś P. Adolfie, i zasłużyłem przez to u Dołęgi na sprawiedliwy zarzut. Może inną razą kiedym się pomylił mówiąc o nich— ale tu, dobrze pamiętam, że powiedziałem to inaczéj (Bo czas nam już wymagać po sobie, żebyśmy pisali dobrze i drukowali tylko dobre. A profesor lub kaznodzieja w spodnicy, to cóś podobnego zawsze do karykatury, i przypomina mi odpowiedź Napoleona na zapytanie Pani Staël: «która jest wielka kobieta?”— Rozumie się, odrzekł, która najwięcéj dzieci urodzi i dobrze wychowa). Takie jeszcze zdanie na zarzuty nie zasłuży, a wydrukowane mogło zasłużyć. A dokądże P. Adolfie?— nie wstydź się.

Przez pięć minut przybiegłem z moim rękopisem, mówiąc do P. Tomasza, proszę przeczytać lub wysłuchać mego czytania i porównać z drukiem, a potém mię łajać.

—Lubię— dziarski, i wierzę, że nie tyle winien, ileśmy nagadali biédakowi.

Przeczytawszy P. Tomasz odezwał się:— Przepraszam, przepraszam P. Adolfie. Nie wiedziałem zwyczaju redaktorów. Ale gdy oni wszyscy mają chętkę i pretensję tak przerabiać pisma swych korespondentów bez tych pozwolenia, zacierać ich przyrodzony wyraz fizyonomji, to zmniejszam moją wiarę w jednozgodność współpracowników i prawdziwy wielki pożytek wszystkich publikacji, nawet nie zawsze bym się zgodził być kolaboratorem. Bo kolaborator u nich jest materjał, z którego oni i pod którego imieniem robią według swego widzimi się nagany, pochwały i w ogóle zdania i sądy o ludziach i rzeczach. Dziękuję za to— dziękuję!

P. Bartłomiéj. A czytałeś cały N. 4-ty Gwiazdy, P. Tomaszu?—

P. Tomasz Przeczytałem. I szanownemu Dołędze zawsze muszę podziękować za nią, choć widzę bardzo mylną jego stronę. Lecz szacunek mój dlań i dla Gwiazdy nie zmniejsza się— bo mniémam, że jéj niedostatki są mimowolne i pochodzą z przekonania się, że tak jest lepiéj, jak się w niéj robi. Może być Dołęga, słysząc mój sąd o nim, rozgniewałby się na mnie, bo słyszy od drugich jedynie dla siebie pochwały. Ale wątpię— gdyż dowodziłoby to jednéj jego gniewliwości i pretensji na nieomylność, że Dołęga jest naszą wyrocznią. A tymczasem ja sumiennie przekonany w moich szlacheckich zdaniach, że one są nie złe i pożyteczne dla naszego piśmiennictwa i dla nas, zostanę przy nich, póki mi czas albo jaki uczciwy i światlejszy człowiek nie dowiedzie przyzwoitą drogą, że mylę się i powinienem się poprawić.

Za to ja naprzód temu dobrodziejowi już serdecznie dziękuję— i oto go proszę.

Pan Tomasz zamilkł na chwilę; potém— zawsze chodząc, znowu się odezwał:

—Duch Gwiazdy zawsze ten sam, uczciwy, przeciw-jezuicki i prawdziwie obywatelski. Z listów *Wandalina Habdanka*, trzeci o poezji jest najlepszy. Z autorem na wszystko podpisać się można. Ale najlepsze jego zdanie estetyczne— dla mnie,— gdyż prawdziwie moje— jest w liście piérwszym na karcie 272. «Twór imaginacji nie oparty na niczém realném, faktyczném, zawsze nazwę kłamstwem. Prawda jest najszczytniejszą poezją i najokazalszym artyzmem." Tak, zgoda— ja zawsze tego zdania jestem, że dziecinna idealizacja jak podobnaż nagana ludzi i rzeczy— jest sfałszowaniem tylko i ludzi i rzeczy. Czysta, prawdziwa rzeczywistość, jest najlepszą nauką i poezją. To Wandalin Habdank daléj wyjaśnić starał się, mianowicie mówiąc o Kraszewskim, jako o satyrycznym pisarzu życia rzeczywistego. Autora określenie poezji schodzi się prawie z określeniem moralnéj filozofji, bo tylko samą czystą moralność i Chrystjanizm uznaje za poezję, co u nas J. Korzeniowski, a za nim Adam Pieńkiewicz przed laty chcieli upowszechnić, nie uznając prawie za poetę Bajrona. To jest przesada. Pojmuje to sam autor Habdank, dla tego dzieli poezję na czystą, prawdziwą, chrześcjańską i zmysłowo-pogańską. Tak?— Zgoda. Obiécany traktat pochwalny o kobiétach tegoż autora, jest dla mnie ciekawy i pożądany. Przypisek 5-ty o tém pokazuje, że autor może mówić o kobiétach bez zbytnich pochwał i zachwytów dzieciukowatych.

Niedostatki Gwiazdy. «*Fragment estetyki narodowéj*" artykuł Dawida, zawiéra myśl już dawniéj przez nieboszczyka M. Polewego objawioną, że Sławianie przeznaczeni są Opatrznością materjalizm skojarzyć z duchem i marzeniami niemieckiemi, odkryć i już odkryli czystą, prawdziwą drogę w filozofji i poezji— drogę rzeczywistego życia, i być nauczycielami wschodu i t. d.— Ale to, coby w krótkich i jasnych, nie nadętych, wyrazowym jeno filozofizmem lub poetyzmem, słowach— mogło się wyrazić, i dla niewiadomych rzeczy tych mogło być pożyteczném, staje się zamaszystą a niezrozumiałą im gadaniną— o *jaźniach, kojarzniach, myśłach* i t. p. Pod piórem T. B. to bardzo dobrze, ale u drugich,— nie tak. Popularności— popularności! a nie mydlanych bąbli i pedantyzmu. Takim językiem rzecz najlepsza psuje się, i odstręcza się od niéj pospolity a potrzebujący nauki czytelnik. I Redaktor nawet w przypisku swoim, uznaje język taki za konieczny!—

Wątpię. Redaktor tu myli się, jak myli się przerabiając styl potocznéj mowy swych korespondentów na swój styl dobry, polski ale książkowy i ciężki lub deklamatorski dla ogółu czytelników. Dla czego Gwiazda, książka z dobrym kierunkiem i artykułami, nie wiele liczy prenumeratorów? bo nie umie poważnych rzeczy jasno i zajmującym, potocznym i czystym polskim językiem wyłożyć, lub tylko nie chce— bez tych łacińskich i francuzkich wstawek i wyrażeń się. Czytając Gwiazdę zaraz można poznać że redaktor dobre artykuły dobrze i jasno napisane, przerobił na swój język i krój,— widzisz ile gdzie dodał swego, bez czego te artykuły zapewne nicby nie straciły, a może nawet wygrały. Taka droga w redakcji Gwiazdy jest mylna i do dobrego i pożytecznego istotnie jéj nie poprowadzi. Nie na tém jednakowość i dobroć ducha czasopisu lub książki składkowéj zależy. Duch u wielu pisarzy może być jeden, ale wyraża się on po swojemu, ma swój styl i wyrazistą fizyonomję— żywą fizyonomję. Takiego żywego rzeczywistego człowieka-pisarza zacierać i przenaturzać redakcja niéma prawa bez pozwolenia, bo takiém przerobieniem, dla niéj piszący, staną się jacyś oderwani, nie istniejący w rzeczywistości ludzie, lub automaty, a ich utwory dla czytelników takiemi karykaturami jak składane powieści i romanse— bez sensu i życia. I nie przemówią one do ludzi żywych żywym językiem, a zostaną dla nich obojętną, martwą gadaniną, ileby tam redaktor kurczowych, galwanicznych ruchów swemi przerobieniami im nie nadawał. Będą to zawsze tylko ruchy, porywy, chwilowy zachwyt, ale chwilowy, bo bez rzeczywistego swego życia.

Zostaw i oddaj każdemu swoje. Przydatków swych do nagan dla niektórych pisarzy nie robić ani ich zalet nie przemilczać. Bo inaczéj, będzie to stronnictwo ducha, a nie sprawiedliwości i prawdy. Lepiéj niech redakcja nie drukuje nie po swéj myśli pism, albo swoje własne do nich przypiski robi, jak *np.* o zdaniu M. Grabowskiego na *Kollokację*, za co ja szczérze dziękuję,— a nie kładnie swych zdań w cudze usta, z czego zaraz się zdaje, że się ona wstydzi lub boi sama to powiedzieć.

Fanfaronada. Zganiono sprawiedliwie chwalenia się i komplementa wzajemne u piszących do *Tygod. Peterzburskiego*, a sami Gwiazdziarze nie lepsi. Nie wątpię, że K. Kaczkowski zasłużył na miłość i pochwały swoich znajomych, że Dołęga uczciwy i dobry obywatel, lecz po cóż ciągle się chwalić z tego? To czytelnika nudzi i śmieszy. Zostawić te pochwały dla ustnych rozmów lub dla nekrologów. Będzie skromniéj, przyzwoiciéj i le-

piéj. Bo tu właśnie potrzeba mieć na myśli — cnota dla cnoty — a nie dla przechwałek i fanfaronady. Te są niedostatki tej uczciwéj w duchu Gwiazdy. Niedostatki, zdaje się, małe, a w gruncie swoim ogromne. Poproś P. Adolfie Dęłęgi, aby pomyślał o tém i poprawił się. Inaczéj — będzie niedobrze.

P. Bartłomiéj. Masz szczęście P. Tomaszu, że niema tu méj żony, ona znowu by cię nazwała rygorystą za twój rygor — i uciekła.

P. Tomasz. Rygorysta! Tożto i biéda, że nas trzeba gładzić zawsze po główce, chwalić i dać pierniczka jak małym dzieciòm — a inaczéj my przestaniem dobrze robić i myślić i czuć. — Dla tegoż i chwalim filantropję, ten poganizm i karykaturę miłości chrześcjańskiéj; dla tegoż robim składki dla biédnych, chciałem rzec, bale robim na korzyść biednych, dla tego robim dobrze, lecz chcemy koniecznie, żeby nasz dobry uczynek gazety i pisma rostrąbiły po świecie. — Można tę wadę i słabość ludzką cierpieć — ale chwalić? nigdy! — I ja proszę was od duszy, jeśli mam te wady, które teraz sam ganię, lub zostanę tak słabym, iż na nie zezwolę, proszę — nie dziesięć ale sto razy to mi przypomnieć i wytknąć, choćbym ile człowiek — i rozgniewał się za to, i za mój gniew mię strofujcie i na gniew nie zważajcie — a może da Bóg, nie będę tyle głupim, iż pogardzę waszą sumienną, uczciwą przestrogą.

Zamilkł P. Tomasz — ale wkrótce się odezwał: Szacowna autorka z Brzozówki, w odezwie swéj na *Hubińską krytykę* czyli na powrót Kraszewskiego do Tygodnika, pięknie po swojemu mówi, (widać i redaktora styl), robi zarzuty Kraszewskiemu niebezzasadne i nie bez przyczyn. — Lecz zaraz widać, że Kraszewski dla tego nie zawsze dobry, że nie zawsze i nie za wszystko nas chwali — a tego nam bardzo chce się — że Kraszewski bez serca, i choruje na krytykę. — Czemuż nie na satyrę? bo satyra i krytyka trocha się różnią od siebie. Satyra widzi tylko złe, jak widzi zwykle Kraszewski, a krytyka widząc złe, stara się i dobre pokazać. Więc Kraszewski choruje na krytykę. Cóżby już Szanowna Zofja z Brzozówki powiedziała o mnie, gdyby przypadkiem jakim nieszczęśliwym, usłyszała i słuchała mię cierpliwie, jak robi często twa żona, P. Bartłomieju! Podobno niedaleko byłoby od nazwania mię wrogiem, i bodaj nie *ultra* — Bejłą! albo pisarzem niemogącym się cierpieć w żadnym czasopisie. — Nie przeczę, że na pierwszy rzut oka, jest coś podobnego we mnie. Szanowana Zofja z Brzozówki obstaje za P. Podbereskim, redaktorem *Rocznika literackiego*, którego zganił Kraszewski. Tu, zgoda moja z szacowną Zofją. To bardzo dobrze. Lecz gdyby mię kto się zapytał, powiedziałbym me zdanie inaczéj

trocha; szczególniéj niepochwaliłbym redaktora za redakcją *»Listów »z Syberyi.«* Ja wiem z pewnych źródeł, że autorka tych listów nie jest i nie chce być fanfaronką, — a redaktor chcąc się przysłużyć dla Pani T. B. przez wysoki, może, dlań szacunek, zmylił się, bo nieposzczędził najwyższéj zasługi i cnoty ludzkiéj i kobiecéj — skromności *). Autorka pisząc listy do krewnych, mogła tak pisać, mogła wymienić w nich niektóre żyjące osoby i kobiety z niekorzystnéj dla nich strony; ale wiem dobrze, że tego dla wszystkich objawiać nie chciała, jak niemyślała się chwalić ze swoich dobrowolnych cierpień i przykrości przed publiką. — Wszystko toby uszło, i dla mnie nawet byłoby dobrem, gdybym się nie lękał złych ztąd skutków, t. j. tego małpiarstwa u naszych dobrych polek, że wiele z nich zechce być panią T. B., ale jedynie dla tego, żeby paradować w książce z obrazkami. Za tę cnotę — dziękuję. Nie jest to występek, lecz nie jest i cnotą, a czysty szych — i nieuskramiana, może być występkiem.

Przedmowa do 2-éj części *»Jordana«* jak z wyjątku widać, jest dobra jak każda przemowa i teorja nasza. Bo przedmowa jest teorją czynu czyli swego pisma, a ludzkie teorje wszystkie lepsze są od ich praktyki. Daj Boże — daj Boże! nam wielkich poetów i pisarzy. Lecz póki nie ujrzę téj wielkości zawołanéj *Jordana* w 2éj jego części, to i jam gotów się zgodzić z jakimś niedowiarkiem doktorem, co nazywa 1-ą część Jordana, tylko *próbą pióra dobrego atramentu.* — U wielu naszych sędziów nieumiejących się hamować, ani w pochwałach przesadnych, ani naganach, nie wiele trzeba czasu i atłasu, iżby zasłużyć na wielkość. Trzeba tylko kilka niezłych, dobrych myśli napisać w formie Fausta lub Dziadów. — I dość. Charakter takich sędziów, nie jest czysto słowiański — rozważny, a francuzko-niemiecki, gdzie zachwyt,

---

*) Jakkolwiek jest to ostry i gorzki zarzut, przyjmuję go z wyrozumiałością, bo naprzód ma względną słuszność, — powtóre: pochodzi z prawdziwie życzliwego serca. Wszakże szczerze pragnąłbym wiedzieć jaśniéj, do czego zmierza zarzut P. Tomasza: może to co się wydaje mu *obrazą*, pochodzi z uprzedzenia, które się rozprasza za powiewem zdrowego rozsądku?.. Czyżby podług swéj teorji, zacny P. Tomasz — gospodarz gdzieś na Podlasiu (naturalnie jako sąsiad P. Adolfa), miał być czcicielem (jeżeli się nie mylę do czego zmierza zarzut jego) — etykiety dworu hiszpanskiego, która skazała na wygnanie pewnego hidalga za to, że śmiał podać rękę upadającéj z konia jakiéjś królowéj hiszpańskiéj, u któréj odsłoniona w upadku amazonka, pozwoliła widzieć nogę wyżéj podwiązek?! . . . (*Red.*)

zapał chwilowy mieniają się z takiemiż wykrzyknikami oburzenia. —

Dziękuję ci P. Bartłomieju za przysłany Tygod. Petersburski. Pisałeś do mnie o sojuszu Kraszewskiego z Tygodnikiem. Byłem rad temu i zawołałem w głos nasze: *kochajmy się!* Ale czytając na ten sojusz objaśnienia w 2ch artykułach wyd. Tygodnika, muszę się przyznać do wyroku wyd. Tygodnika: że niefortunni zoile najwidoczniéj pokazują, że nie rozumieją tego, co krytykują. — Gdyż ja po jednorazowém przeczytaniu, parafjańskim mym rozumem, mało mogłem pojąć, co się tam objaśnia, — choć Mikrosa, Bomby, J. Przecławskiego, Emanuela Herbu G. i wydawcy Tygodnika, dla mnie styl był dotąd jasnym. — W 30 N. zaś tegorocznego Tygodnika pokazało się, że u niego jest swój *methodus filozofandi*. — On — jak widać, chce dowieść, że wierzył i wierzy w coś, choć mu jego przeciwnicy mówią: że on w nic nie wierzy, przynajmniéj w nic szlachetnego. Nieznając zblizka ani wyd. Tygodnika, ani jego przeciwników, trudno mi odgadnąć, kto tu prawdziwszy i szlachetniejszy, a kto więcéj jest hypokrytą lub niepozwalającym tylko garłaczem? — Bo jak sobie tam chcecie, moi PP., a ja acz widocznie przychylniejszy dla Gwiazdy, nie mogę sumiennie potępić i Tygodnika, bo dla mnie wiadome tylko zarzuty robione Tygodnikowi, a nie jego usprawiedliwiania się. Przecież prócz dumnego milczenia i wiadomych mi zalet jego, musi być w istocie nie tak on złym jak go wszyscy a w dodatku i ja — opisujemy. — Przynajmniéj chciałbym, iżby tak było. —

Wydawca Tygodnika chce rozłożyć fakt psychologiczny, t. j. niezgodę swą i sojusz z Kraszewskim na zasadowe pierwiastki, i przez tę swoją analizę psychologiczną, gdy się nie mylę w jego metafizyce, chce pokazać, że człowiek może bardzo często wierzyć święcie i niepokalanie, ale przytém postępować i tę wiarę pokazywać w swych uczynkach może tak, jak osądzi dla siebie za lepsze i korzystniejsze *). — Taki wywod wcale nie zadziwiający, bo nie nowy, a jeszcze wszystkich, — ja myślę, mniéj razi, komu wiadomo że wypływa jedynie z logarytmicznéj religji tego autora. Bo przecież kto czytał J. Przecławskiego, wie, że są ludzie na świecie, co religji swéj i jéj zasad nauczyli się w arytmetyce. Jeśliście nie zrozumieli mię teraz, może lepiéj zrozumiecie i mi objaśnicie tę rzecz w objaśnieniu wydawcy Tygodnika, choć dla mnie to objaśnienie wydało się nieobjaśniającém, a zaciemniającém, i to pono dla tego, że adwokatować za prawdę niepewną zbyt i podejrzaną,

*) To wielka prawda! szczególniéj w tém zastosowaniu . . . (*Red.*)

nie tak można łatwo i dobitnie — a tak sobie, żeby niby coś powiedzieć tak górnie i mądrze, coby przekonywało jak talmudyczna mądrość.

Wydawca Tygodnika odzywa się, że oppozycja Gwiazdy Kijowskiéj przyniosła mu wiele kolaboratorów, a co jeszcze większa i prenumeratorów. Dla czegoż i nie tak? Tylko jeśli to prawda, to nie współczucie z zasadami Tygod. petersburskiego zrobiło to, a prędzéj wypadki polityczne zachodniéj Europy, o których nie jednemu zachciało się wiedzieć, a polityczne wiadomości Tygodnika acz krótkie i zbyt zwięzłe, ale dla nas hreczanych polityków wystarczające.

Jednakże ja *Tomasz niewierny* wątpię w przybytek prenumeratorów dla Tygodnika, a wątpię dla tego że przypuszczam, iż jego wydawca człowiek przy zręcznym praktycznym rozumie, jeszcze powinien być grzecznym i wdzięcznym. — I czemuż więc miałby uchybić swym przeciwnikóm, i niepodziękować im acz najsarkastyczniéj za uczynioną mu usługę ich niemowlęcém i niedołężném dąsaniem się na tego redaktora — lwa?.. (*). Dla mnie — i myślę dla was — równych mi parafiuszów, to jeszcze jeden fakt nie dość pojęty w zadziwiających i pamiętnych fazach tygodnikowego życia i postępowania.

Przypominam jeszcze, że wyd. Tygodnika w odezwie swéj o sobowtórze Mikrosie (N. 9ty) obiecał, że Mikros ma dla nas jak najwięcéj myśli zawsze nowych przysyłać. Ja z méj strony, bardzo o nie proszę, choć wątpię w ich nowość — bo to pono zaliczamy do nowości dla wszystkich — co dla nas jednych jest nowością. W téjże odezwie wydawca Mikrosowi przypisuje dobrą wiarę — tylko niewiadomo w co? i pierwiastek uczuciowy i sumienność pisarską. Lecz wszystkie te zalety Mikrosa dla mnie wiadome *a priori* więcéj — jak faktycznie. — Pora byłaby już to udowodnić. —

Och! jakie mię zwątpienie obsiada dokoła, moi Panowie, po czytaniu podobnych obietnic i nie spełnieniu ich! — albo téj zarozumiałości naszéj Tytanicznéj — to prawdziwie aż słyszysz jak w duszy twéj odzywa się ponury dzwon, że dzisiaj wiek pauperyzmu na wszystko i zwątpienia! — I niedziw, że ci do głowy podobne wyrażenia się i porównania z fałszywéj poezji lazą. —

Nie dziwię się i P. Grzegorzowi, co niedawno był do mnie

(*) To zdanie Szanownego P. Tomasza właśnie podzielamy i my z całą naszą publicznością i radzibyśmy wreście usłyszeć ową przeciw-argumentację dumy staro redaktorskiej na płytkim gruncie wybujałych fluktów, których przykłady mieliśmy już w *Tygod.* nie raz. (*Red.*)

rozpisał się nawet wierszami. — On to pisał z powodów trocha rozleglejszych niż wydawanie książek i gazet. —

»Nadzieja mię dzisiaj niełudzi —
I śmiesznie, boleśnie mi, gdy patrzę na ludzi.
Przebaczam im i milczę — bo gardzę dziś niemi! — «

Zaraz widać, że był P. Grzegorz idealista. — Tak przebaczać, jest to po ludzku — lecz nie pochrześcjańsku. Trzeba ludziom przebaczać z miłości dla nich a nie wzgardy. Prawda, nie obejdzie się tu bez wymówek, ale lepsze to będzie przebaczenie niż z jenéj wzgardy.

Dalszą rozmowę przerwał nowy gość. —

Adolf z pod Bielska. —

29 Listopada 1849 roku.

TREŚĆ I-go TOMU DZIEŁA POD TYTUŁEM:

FILOZOFJA DZIEJÓW PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

ALBERTA GRYFA *).

Część piérwsza zawierająca PRZYGOTOWANIA,

Składa się z następnych Zarysów:

Zarys I-szy. Życie ludzkości; jego fazy w historji rozwinięcia; Egipt,— Indja— Grecja— Rzym— Chrystianizm. Przebudzenie samopoznania; duch twórczy, świadomy i absolutny. Rytm rozwoju. Fakt historyczny i fakt myśli i słowa. Zjednoczenie się obójga w filozofji wiedzy. Co jest narodowa filozofja?— Co jest filozofja dziejów pismiennictwa pewnego narodu?— Zdania

*) Jest to treść I-go Tomu dzieła: *Filozofja dziejów piśmiennictwa polskiego*, przez *Alberta Gryfa*, przygotowanego do druku: przedstawiamy tu na sąd światlej publiczności w odczytach, czyli— jak je sam autor nazywa,— *Zarysach*, treść I-go Tomu zawierającego same tylko *Przygotowania* (prolegomena) do całego dzieła— treść,— jak widzą czytelnicy, uniwersalną, bogatą, obejmującą niebo i ziemię,

Bakona. Moralność w politheizmie i moralność w Chrystjanizmie. Strony i elementa narodowego życia. Narodowa fizjognomja w literaturze. Bibliografja i historja literatury. Bentkowski, Juszyński, Jocher, M. Wiszniewski, Wojcicki, Majorkiewicz. Filozofja literatury jest żywą nauką. Określenie dziejów wedle *Szatobrjana*. Filozofja dziejów i filozofja literatury. Walter-Skott. A. W. Maciejowski. Kraszewski. Francuscy, niemieccy i angielscy historycy. Nauka scholastyczna i nauka żywa. Idea narodowa i ciało narodowe. Postęp. Odbicie socjalne. Zdanie de Bonalda. Jak rozumie autor literaturę *nadobną*. Poezja. Ideał moralności. Samodzielność i wpływy obce. Ruch—jako oznaka życia. Ludy izolowane, odcięte od cywilizacji. Zdanie de Bonalda, J. de Maistra, Jarosza Bejły. Wpływ oświaty na pokolenia dzikie. Życie ich fiziologiczne. Dzicy ludzie są-li odpadli od cywilizacji? Rzut oka na mappę świata. Plemiona przedhistoryczne i wyraz ich myśli. Zabytek scytyjskich usypów. Zabytki ludów czuchońskiego plemienia. Pomniki Cymmeryjskie i mogiły Ukrainy. Budowania cyklopiczne. Ruiny na wyspach Oceanji. Troglodyci.— Słowo. Płody pismiennictwa do czego służą?— Krytyka i literatura historji. Majorkiewicz i jego sąd o dziełach. Wyjątki z jego historji literatury i jego refutacja. Podział filozofji dziejów pismiennictwa polskiego na okresy.

Zarys II-gi. Usprawiedliwienie potrzeby traktowania rzeczy z daleka. Cele istnienia człowieka w stosunku do boskiéj Opatrzności. Stworzenie, jako środek objawu idei ludzkości. Natura. Zaprzeczenie swobody; rozumno-celowe rozwinięcie idei kreacji. Kosmogonia i Scologia. Formacja lądów i powstania łańcuchów gór. System El. de Baumont. Ostateczny zarys lądów odpowiada celóm wychowania rodu ludzkiego i postępowi cywilizacji. Stosunek świata do człowieka. Zdanie Karola Rittera. Azja i Europa. Skala starożytnéj cywilizacji. Zadanie cywilizacji wschodniéj i cywilizacji europejskiéj. Dogodność Europy dla rozwinięcia potęgi cywilizacji. Azali Europa jest ustalonym punktem, na którym skupiła się potęga ducha ludzkości? Rozwiązanie za-

---

ludzkość całą— za nim określiły się cele rodu i narodu, cele człowieka zawiniętego w ideę, która długo się uwijała po obszarze świata, za nim skupiła się w soczewce ducha ludzkiego. Zalecamy uwadze powszechnéj ten pomysł, jakiego przykład raz tylko mieliśmy w dziejach naszéj literatury i to na mniejszą daleko skalę, w dziele X. Hugona Kołłątaja p. t. *Stan oświecenia w Polsce.* (*Red.*)

gadnienia. Zdanie botanika Meyera i akademika Bära. Przyszłe losy ziemi. Gruppowanie się ludów pod jedność idei cywilizacji. Grecja. Rzym. Dwa języki, jeden na wschodzie, drugi na zachodzie. Zdanie Augustyna Ś. Ucywilizowane narody starożytne wytępiają barbarzyńskie obyczaje. Idea jerozolimskiéj świątyni. Hebreje. Chrystianizm. Narody izolowane. Celty. Germanowie, i— *Słowianie.* Ich pojawienie się u łoża konającego Rzymu. Kwestja dotycząca rass ludzkiego rodu. Systemata Camper'a, Blumenbacha, Pryczarda, Cuvier'a, Jehana, Virey'a i t. p. Pytanie o jedności rodu; jak pojmowano dawniéj i jak autor dzisia rozumie tę jedność. Autorytety *pro* i *contra.* Objaśnienie powstania rass. Dwa gatunki rodzaju ludzkiego wedle Vireja.

Zarys III-ci. Idea Ethnografji. Pochodzenie familij europejskich ludów ze wschodu. Starszeństwo Azji od Europy. Dowody w geologji i dziejach o zalaniu europejskiego lądu wodą potopu. Początek człowieka i mowy. Zdanie Russa i Lamarcka, de Bonalda i Al. Humboldta. Kwestja o mowie pierwotnéj. Anton. Groppius, Bakon. Filologia porównawcza. Jaki kierunek daje jéj Leibnitz. Początek ethnografji. Zatracony koniec mów indo-europejskiego szczepu. Kwestja powstania rozmaitych języków i kwestja powstania z plemienia ludów. Jaki może być powód migracji ludności. Objaśnienie zagadnień. Idea symbolu wieży Babel. Rola ziemi i kraju w wychowaniu ludności. Familje europejskiéj ludności: 1) indo-grecka; 2) indo-latyńska, 3) indo-celtycka, 4) indo-germańska, 5) indo-słowiańska, 6) indo-litewska. Familje indo-azjatyckie. Zdanie Jakóba Grimma. Porównawcza gramatyka indo-europejskich języków professora Boppa. Pomyłka uczonych. Objaśnienie jedną mową, tajemnicy mowy drugiéj, co prowadzi do uznania ducha zatraconéj całości i jedności lingwistycznéj. Przykłady. Hammer, Purgsthal, Joeckel, Pinkerthon, Funecius, Gilchrist, Dankowski i t. d. i t. d. Porównawcza tabella indo-europejskich, indo-azjatyckich języków. Porównanie polyglotyczne pierwszéj osoby czasu teraźniejszego, trybu oznajmującego słowa *być.* Zamiana spół-głosek. Porównanie mowy słowiańskiéj z Samskrytem, Zendem, wyjaśnieniem stosunku ducha mowy Słowian z duchem hellenizmu, latynizmu, germanizmu, lettyzmu, celtyzmu.

Zarys IV-ty. Pobudki migracji ludów. Idee religijne i polityczne. Zdanie T. Narbutta o Buddaizmie. Święte rzeki. Co wskazywało wędrownym ludóm drogę na zachód? Narody wędrowne musiały wieść wprzód w stepach Azji życie koczownicze. Dowody. Przybycie Słowian do Europy. W jakim okresie

czasu? Zdanie Lelewela nie rozwiązuje pytania. Słowianie są-li autochtonami? Przeciw tego zdania są niemcy. Hypperborejczykowie: ich ofiary do Delos wysyłane. Hipoteza Kołłątaja o narodzie Bohów. Jego tłumaczenie słowiańskie wyrazu *amazonka*. Hippotezy Micka. Nazwy Słowian słowiańskiej miejscowości u pisarzy greckich i rzymskich. Kto tacy byli Skitowie? Zdania Szafarzyka, Gallinga. Wykład Skitji wedle Horodota; co w księdze Greczyna można znaleść dobrego do miejscowości Ukrainy dzisiejszéj i do ducha narodowego Ukraińców? Eksplikacja powstania wałów wedle Herodota. Parna bania. Apostół Jędrzéj podług Nestora. Bajki scytyjskie u Herodota prawie też same, co się dziś prawią u naszego ludu. Sąsiednie ludy ze Skitami. Plemie czudzkie i jego gałęzie. Cymerowie są ludem Celtyckim. Gotowie czarnomorscy. Świadectwo o Słowianach Jornandesa, Prokopa, tudzież Maurycego i Konstantego Cesarzów Greckich. Religja. Mithologia Słowian. Uczty ofiarne. Obchody religijne. Obchody pogrzebowe. Łzawnice. Mogiły. Potworne żwierzęta w bajkach ludu. Słowo *wyréj;* jego czysto-samskryckie pochodzenie. Obyczaje słowiańskiéj społeczności,— prawa, przemysł, handel.

Zarys V-ty. Słowo jako główny objaw ducha i warunek narodowego istnienia. Myśl J. Nep. Kamińskiego o *sławie*. Stosunek słowa do dziejów narodu. Zdanie Briere'a; myśl Kaz. Brodzińskiego. Kwestja o jednéj powszechnéj mowie słowiańskiéj. Polewoj. Głagolew. Azali djalekta wychodzą z jedności, czyli też jedność jest następstwem dziejowéj roboty pławiącéj szczegóły w ogólnym duchu. Zdanie orjentalisty Józefa Sękowskiego. Zdanie autora. Rozumna dusza mowy jako objawa potęgi duchowéj; gramatyka jéj powszechna. Wschodnio-południowa i zachodnia Słowiańszczyzna; granice jednéj i drugiéj; ludność. Dziesięć znamion Józefa Dobrowskiego. Wostokow i M. Maxymowicz. Narzecze ukraińskie jako węzeł pomiędzy zachodnią i wschodnią Słowiańszczyzną. Podanie o Dunaju u Nestora. Cytata pieśni o Dunaju u Wiszniewskiego. Powstanie oddzielnych narodowości i narzeczy w Słowiańskiéj mowie. Stosunek języka polskiego do cerkiewnego; stosunek do czeskiego; do wielkoruskiego; porównanie z dawno-saską mową; stosunki nad Łabą,— ich odbicie wyraźne pod względem leksykografji w języku angielskim. Stanowisko Słowian.

Zarys VI-ty. Stan polityczno-religijny Słowiańszczyzny w czasy historyczne. Logiczny pochód dziejów ludzkości. Wędrówka ludów. Upadek Zachodniego państwa; duch konstytucyjny Chry-

stianizmu i Germanizmu. Papież i Cesarz niemiecki. Historja powstania obudwóch władz. Konieczność takowego objaśnienia. Wschodnia i zachodnia djecezje. Illiryk. Spory pomiędzy papieżami i patrjarchą carogrodzkim. Słowianie na wschodzie i ich wpływ na Grecją; ich Kościół; odpadanie biskupstw do djecezji zachodniéj i upadek na powrót do pogaństwa. Ś.Ś. Cyryl i Methodiusz. Biografja obydwóch braci. Wynalezienie alfabetu i tłumaczenie Pisma ś. na język słowiański. Chrzest Borysa, Króla Bółgarów. Morawja i jéj dzieje. Panonia. Moimir i Prywina. Rozosław czyli Ruścisław. Wezwanie dwóch braci ŚŚ. do Morawji. Ich powołanie do Rzymu przez Papieża Mikołaja I. Dysputa w Wenecji. Przyjęcie Słowiańskich Apostołów przez Papieża Adrjana II. Śmierć Konstantego. Polityka rzymskiéj katedry. Kocet powołuje Metodego do siebie. Potwierdzenie panońskiéj djecezji, odpadającéj do Rzymu wraz z obrządkiem Słowiańskim. Swatopłuk. Chrzest Borzywoja Ks. Czeskiego. Jan VIII. Papież i biskup nitrawski Wiking. Jan IX. papież. Sobór w Thessalonikach; dwa w Dalmacji zabraniają Słowiańskiéj liturgji i objawiające uroczyście Metodego za heretyka. Uwagi ogólne o władzy papieża, usiłującéj wziąść przewagę nad władzą swiecką. Stanowisko jakie zajmują Słowianie w dziejach. Zamknięcie tomu I-go, stanowiącego prodrom do Filozofji dziejów literatury.

Zarys VII-my. Przypisy i objaśnienia do tomu wstępnego.

WSPOMNIENIE

O IGNACYM JAKOWICKIM *).

NIEZBĘDNĄ śmiertelności koleją ujęty, zszedł z tego świata na dniu 28 grudnia 1846 roku zasłużony w naukowym i lekarskim zawodzie Ignacy Stanisława syn, Jakowicki, kollegialny Assessor, Adjunkt b. Mediko-Chirurgicznej Wileńskiej Akademii, a ostatecznie lekarz-Ordynator przy Wileńskim szpitalu u ś. Jakóba. Urodzony r. 1794 w Mińsku, po ukończonych z korzyścią w kwitnącém naówczas gymnazium Mińskiem naukach, przybył do uniwersytetu Wileńskiego 1813 roku, d. 1 września, i w poczet uczniów jego zapisany, oddał się z zamiłowaniem i uniesieniem fizycznym i matematycznym naukom; obdarzony jednak uczuciami i czynną imaginacją, nie był na poezją obojętnym, i przeto na wykład lekcji wymowy i poezji, oraz łacińskich autorów, nie omieszkał niekiedy przychodzić. Ztąd to pochodziła w nim ta łatwość, dokładność i czystość ustnego tłumaczenia się, ta wyborność pisania, przez które i dobrym stał się opowiadaczem powierzanych sobie nauk, i zapragnął wynikające z nich korzyści przez wydawane dzieła obszérniéj rozpostrzeniać. Pilność jego i usiłowania zostały po ukończonym roku szkolnym uwieńczone w oddziale nauk fizyczno-matematycznych stopniem kandydata filozofji r. 1814, d. 20 czerwca. Po przepędzeniu trzech lat na naukach, czując w sobie wewnętrzne powołanie do dalszego w nich

*) Napisane wnet po jego zejściu ze świata, teraz do druku, do *Pamiętnika Naukowo-Literackiego* podane. (*Aut.*)

doskonalenia się i udzielania drugim, wszedł roku 1816, dnia 15 września, w liczbę kandydatów do stanu nauczycielskiego, których uniwersytet Wileński wybierając z uczniów nauką i obyczajami celujących, po 20 ciągle utrzymywał. W rok potém, 1817, 1 września w czasie chodzenia jeszcze na lekcje, przeznaczony w pomoc professorowi mineralogji w utrzymywaniu gabinetu, poczytał sobie za ścisły obowiązek, szczególniéj się badaniu téj gałęzi nauk przyrodzonych oddać.

Tak, siódmy już rok pobytu swego w uniwersytecie licząc, przeznaczony został do dawania tymczasowie matematyki w gymnazium wileńskiém, d. 1 stycznia, 1820 roku, a 15 maja tegoż roku stopień magistra filozofji otrzymał. Po téj półroczněj wysłudze potkało go stałe przeznaczenie na nauczyciela fizyki i matematyki w szkole powiatowéj w Mołodecznie, gdzie od 20 września tegoż 1820 roku przez lat więcéj 4 pracował. Ztąd do Krożskiego gimnazium na nauczyciela matematyki d. 13 lutego 1824 roku, a wnet do gymnazium Wileńskiego w tymże obowiązku, d. 12 września, tegoż 1824 roku powołany; i wreście po dokonanym rocznym biegu nauk, dnia 5 sierpnia, 1825 r. miał sobie poruczony wykład mineralogji w b. Wileńskim uniwersytecie, obejmując przez to posadę dla adjunktów przeznaczoną, i stając przecież u kresu dawnych i usilnych swoich życzeń.

Gorliwość jego i sumienność w pełnieniu obowiązków, nie dopuszczając mu przestawać na samym tylko wykładzie nauki, wiodła go jeszcze do przelewania nabytych wiadomości i pomysłów na pismie. Rozpoczął swoje pismienne prace od krótkiego wykładu oryktognozji i geognozji drukowanego r. 1825; toż samo potém rozszérzył, i w pomoc słuchaczom do lekcji przez się dawanych, powtórnie ogłosił drukiem r. 1827, co mu zjednało r. 1828, d. 15 maja, wstęp do *Moskiewskiego towarzystwa badaczów przyrody;* po dwakroć sporządził wydanie krótko ułożonéj mineralogji do użycia po szkołach, roku 1827 i 1829; naostatek, towarzysząc professorowi b. uniwersytetu Wileńskiego *Eichwaldowi* w podróży w południowe i zachodnie strony kraju, dla badania płodów przyrody, postrzeżenia swoje nad powierzoną sobie częścią historji naturalnéj o istotach kopalnych opisał i do druku podał r. 1831; zebrane zaś przezeń ciała kopalne właściwe Litwie, Rusi, Podlasiu, Wołyniowi i Podolowi, bardzo znacznie powiększyły gabinet kopalnych istot przy b. Uniwersytecie Wileńskim, który jego także pracą nie tylko starannie utrzymywany, lecz też porządnie spisany został.

Ale jednak idąc na przestrzeni swego życia po twardéj na-

der kolei, całą takich zasług nagrodę miał w sumnieniu, a osłodę w naukach i pełnieniu obowiązków. Dopiero w 1830 roku, dnia 28 grudnia N. Cesarz raczył gorliwą jego służbę pieniężną nagrodą zaszczycić.

Gdy przy zamknięciu Wileńskiego uniwersytetu, wyrodziła się zeń mediko-chirurgiczna Akademia, znajomość mineralogji niezbędnie w niéj była potrzebną; i przeto Jakowicki w tejże Akademji umieszczony r. 1832, dnia 1 września, nie przerwał wykładania obranéj przez się nauki przez następnych lat nie spełna 10. Tu dopiéro przez Ministra Spraw wewnętrznych utwierdzony na adjunkta akademji r. 1834, dnia 18 czerwca; za wysłużeniem lat po dwakroć otrzymał znaki niepokalanéj służby, raz 1834 za lat 15, potém 1840 za lat 20; w 1837 dnia 4 marca za dawanie, oprócz mineralogji, poruczonych sobie przez akademją nauk weterinarji, znowu pieniężną summą wynagrodzony; w rok późniéj, 1838 d. 4 marca, otrzymał rangę kollegialnego assessora; 1840 roku, d. 14 października, po raz trzeci pieniężną nagrodę odniósł za dawane nad obowiązek lekcje.

Był albowiem Jakowicki i w pracy nie znużony i do nabywania coraz większego światła zawsze ochoczy. Gdy się ujrzał przeto w akademji mediko-chirurgicznéj pośród osób jaśniejących odmiennego rodzaju wiadomościami od tych, jakie dotąd uprawiał, wnet zapragnął do jednego się z nimi umysłowéj uprawy poziomu zrównoważyć; idąc za duchem ustaw, obok dawania mineralogji, stał się oraz w tejże akademji uczniem nauk lekarskich, w których tyle postąpił, że naprzód po wytrzymanym examinie roku 1835, d. 28 czerwca, został weterinarzem I-go stopnia, a 1839, 14 czerwca, lekarzem także 1 stopnia. Poruczyła mu więc akademja do dawania, oprócz mineralogji, naprzód r. 1836, 20 stycznia, fiziologją źwierząt, potém 1838, dnia 11 listopada, patologją źwierzęcą. Odtąd rozdzielając swe prace na wykład lekcyj i na lekarską usługę cierpiącym i niemocą złożonym, gdy przeszło 20 lat w nauczycielskich trudach przepędził, zakroczyły nowe co do akademji mediko-chirurgicznéj urządzenia, przy których z dożywotnią i jednorazową roczną pensją od służby uwolniony, zaczął wieśdź pośród kochanéj i kochającéj rodziny domowe życie, niósł w słabościach wzywającym go— lekarską pomoc, jednał sobie serca znajomych i bliższych, a u wszystkich szacunek, tym rodzajem w piękną miarę ujętego życia, jakie zwykle bywało wyrobem umysłowéj i obyczajowéj uprawy uniwersytetu Wileńskiego: skromny, łagodny, grzeczny, każdego uprzedzający, trzeźwy, bez gry, bez nałogów, we wszystkiém umiarkowany,

w domostwie rządny, w towarzyskiém obejściu się miły i rozsądny, każdego sobie zniewalał.

Lecz nie przestajac nigdy być czynnym, wyjednał sobie obowiązek ordynatora przy wileńskim szpitalu u Ś. Jakóba 1846 roku, dnia 7 czerwca. Rzucił się w ten nowy zawód uzdrawiania chorych i niemocnych z nadzwyczajną usilnością i zapałem; ale, w rychle upadając na siłach, sam nakoniec zwątlony słabością po dziewięcio-niedzielnych piersiowych cierpieniach, domierzywszy 52 lat wieku, odszedł od nas, zostawując po sobie w kraju pamiątkę zasług, w literaturze dzieła, w przyjaciołach żal i miłe wspomnienie, a krewnym, owdowiałéj żonie, sześciorgu dzieci, dwóm synom i czterem córkom, sierotom— boleść.

Nazwania dzieł Ignacego Jakowickiego:

1) *Krótki wykład oryktognozji i geognozji podług ostatniego układu Wernera.* Wilno 1825 8vo.
2) *Wykład oryktognozji i początków geognozji.* Wydanie drugie poprawione i znacznie powiększone. Z tablicą na miedzi rzniętą. Wilno, 1827. 8vo mj.
3) *Mineralogja zastosowana do sztuk, rzemiosł, fabryk, i rolnictwa, ułożona dla klassy III szkół powiatowych.* Wilno, 1827. 8vo.
4) *Mineralogja...* (jak wyżéj) Wydanie drugie, przejrzane i poprawione. Wilno, 1829. 8vo.
5) *Obserwacje geognostyczne w guberniach zachodnich i południowych Państwa Rossyjskiego.* Wilno, 1831. 8vo mj.

Zygmunt Bartoszewicz.

Wilno. 1846.

ROZMAITOŚCI.

MATERJAŁY DO BIOGRAFJI X. KLUKA, NATURALISTY.

O Pomniku X. Kluka *).

Czasy nasze odznaczające się wdzięczném przypomnieniem przeszłości, obdarzyły Polskę w roku zeszłym nowym pomnikiem. Jest to pamiątka na cześć zasłużonego botanika Krzysztofa Kluka, przez rodaków poświęcona w miejscu jego urodzenia— Ciechanowcu, nad granicą rossyjską. Pomnik ten jest wyciosany z piaskowca, ma 10 łokci wysokości. Podstawa jego 6 łokci wyniosła, w kształcie sześćścianu, z gzymsem jońskiego porządku. Na przedniéj stronie sześć-ścianu jest napis:

Memoriae Christophori Kluk, qui A. D. MDCCXXXIX in hoc oppido lucem conspexit. Huic Ecclesiae summa cum dignitate perpetuo praefuit operibusque suis quibus primus Polonorum historiam naturalem egregie illustrando patrium sermonem ditavit, Famam immortalem nactus A. D. MDCCXCVI obiit.

---

*) Wiadomość tę odebrała Redakcja wraz z listem Profes. *Wolfganga* poniżéj załączonym od szanownego Dra *Juljana Moszyńskiego*, autora *Podróży do Pruss, Saksonji i Czech* w r. 1839 odbytéj, w któréj uczyniona wzmianka o pomniku Kluka, wywołała powyższe objaśnienie. Składamy podziękowanie zacnemu doktorowi, i życzymy aby przykład jego był naśladowany przez innych posiadaczy pamiątek krajowych. (*Red.*)

Wieniec oddziela ten napis od górnéj części podstawy, na któréj w płaskorzezbie wyrażone są godła stanu duchownego. W równéj wysokości jak napis, na trzech innych stronach sześć-ścianu wyrobione są w płaskorzeźbie godła ulubionych jemu przedmiotów. Na piérwszéj stronie wyobrażone rolnictwo, na drugiéj ogrodnictwo, rybołostwo i pszczelnictwo, na trzeciéj metallurgja i górnictwo. Nad każdą z tych płaskorzeźb są ozdoby wyobrażające narzędzia posługujące do zatrudnień w tych przedmiotach.

Na tak ozdobionéj kolumnie wznosi się posąg na cztéry łokcie wysoki. Wyobraża on czcigodnego tego męża w ubiorze duchownym, przypatrującego się najpierwiéj przez siebie odkrytéj roślinie, *Scabiosa inflexa* *), *Dryakiew pogięta*— zwanéj, którą trzyma w prawém ręku, a w lewém na w pół otwartą księgę. Układem i wykonaniem tego pomnika zajmował się Warszawski rzeźbiarz *Tatarkiewicz*. Wzniesiony został kosztem terazniejszego właściciela Ciechanowca *Stefana Ciecierskiego*.

Wyjątek z pisma: *Botanische Zeitung 6te Jahrg. 31 März 1848 Bejlage. Stück 13.*

Przypis Dra Jana Wolfganga b. Professora Farmacji w Uniwer. Wileńs.

Krzysztof Kluk, proboszcz Ciechanowiecki, ur. w *Ciechanowcu* **) 1739 r. umarł tamże 1796. 2 lipca. Był on Kanonikiem Inflanckim i Dziekanem Drohickim ***).

---

*) Pospolicie nazywają tę roślinę *Scabiosa Australis*, według Wulfena (1805), Kluk atoli opisał ją o wiele lat wprzódy 1788, pod nazwiskiem *Scabiosa inflexa*, jak o tém wiedzieć daje Eichwald, w dziełku: *Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien, in geognostischer, botanischer und zoologischer Hinsicht entworfen von Edouard Eichwald etc. Wilna 1830. p. 151 in d. Anm.*

Nota tł. Mertens i Koch z rośliny téj nowy utworzyli rodzaj pod nazwaniem *Succisa Australis. Koch. Syn. Florae Germanicae vol. 1. p. 377.* (*Aut.*)

**) Pomnik wzniesiony pamięci X. Kluka w Ciechanowcu, staraniem i kosztem *Stefana Ciecierskiego*, Obyw. Pt. Bielskiego (czy Drohickiego? podług nowego podziału). Ciechanowiec jest dziedziczne miasteczko rodziny Ciecierskich, położone nad Bugiem w tém miejscu, gdzie rzeka ta rozgranicza Polskę od Rossji. (*Red.*)

***) Mich. Baliński i Lipiński: *Starożytna Polska*, 1844. Tom II. str. 1284. (*Red.*)

Dalsza obszerniejsza wiadomość o X. Kluku znajduje się w dziele: *Podróż do Prus, Saksonji i Czech p. D-ra Medycyny Juljana Moszyńskiego*, wydaném w 1844 w Wilnie. T. 1. na str. 25. Do téj wypadałoby dodać rok urodzenia i dzień jego śmierci. Sprawdzić by wypadało czy był *Kruszwickim* czy też *Inflanckim*. Przydaćby trzeba, że otrzymał od Króla Stanisława medal *merentibus* i dalsze odznaczenie, jak czytać można w opisaniu roślin *X. B. S. Jundziłła* ed. piérwszéj, we wstępie, na str. 49.

List D-ra Jana Wolfganga.

Szanowny Panie!

«Czytając w dziele Pańskiem wzmiankę o czcigodnym a piérw-«szym w całém znaczeniu tego wyrazu botaniku polskim Krzy-«sztofie Kluku, uradowałem się szczérze z jéj napotkania. Wy-«wdzięczając się za to miłe uczucie, przesyłam Panu nawzajem «dla umieszczenia w jakiemkolwiek pismie czasowém wiadomość «wyczerpniętą o pomniku na cześć tego znakomitego męża wznie-«sionym, z pisma perjodycznego niemieckiego. Żył on i praco-«wał zacnie blisko naszych czasów, a ile mi wiadomo, biografja «nie oświadomiła nas dostatecznie ze szczegółami życia tego czci-«godnego męża, którego ciche cnoty i zasługi— wdzięczność ro-«daków wiekom przekazać powinna.

«Dołączam tutaj tytuł jego znajdujący się w dosyć już rzad-«kim dykcyonarzu roślinnym 1788 roku wydanym; dla tego że «w niektórych szczegółach różni się z napisem na trunie umiesz-«czonym, który Pan przytaczasz w dziele swojem, a wskazuje, «że do naszego okręgu naukowego należał:

«Krzysztof Kluk, Nauk wyzwolonych i Filozofji doktor, Ka-«nonik Katedralny Inflantski, dziekan drohicki, proboszcz Ciecha-«nowiecki, szkoły głównéj W. X. Litewskiego towarzysz.

«Że otrzymał order zasługi (*merentibus*) znajduje się wzmian-«ka w piérwszéj edycji dzieła X. Jundziłła: Opisanie roślin «w prowincji W. X. Litewskiego rosnących, 1791 roku wydanéj «str. 49, gdzie i niektóre dzieła jego są wymienione.

«Szczegóły te mogące być jakąkolwiek skazówką do obszer-«niejszego zbioru wiadomości o życiu tego męża, przesyłam Pa-

«nu jako gorliwemu miłośnikowi naukowéj części powołania zac«nego, któremu Pan życie swoje poświęciłeś, a którego botanika «tak ważną stanowi gałąź.

«Zapewne w któremkolwiek piśmie czasowem polskiem musi «być wzmianka o tym pomniku, ale że jéj nigdzie mi nie przyszło «się napotkać, przeto ją przesyłam przełożoną z niemieckiego: «w prawdzie to jakby trochę było ze wstydem dowiadywać się «od zagranicznych co się dzieje we własnym kraju, ale jak mówi «dawne przysłowie: *lepszy rydz jak nic.*

«Proszę wierzyć wyznaniu wysokiego szacunku i prawdziwéj «życzliwości i t. d." *).

Jan Wolfgang.

PAMIĄTKI PRZESZŁOŚCI.

Obraz duszy ś. p. z Przebędowskich MATUSZEWICZOWÉJ,

przez męża jéj opisany **).

Zniknęła z oczu moich ta, co była jedyném szczęściem życia mojego; nie pozostał mi inny jéj obraz, prócz tego co w sercu mojem jest wyryty. Ręka moja pędzlem władać nie umie, pióro sprobuje skréślić słowami jéj postać, charakter i cnoty, — będzie to zabawą mojéj boleści, będzie hołdem czci i wdzięczności dla téj, któréj prawa do serca mego z życiem jéj nie zgasły, będzie wzorem najbliższym i najlepszym, w który dzieci moje wpatrywać się będą powinny, będzie dla nich jakąkolwiek nagrodą téj krzywdy, którą przydaje czas do

---

*) Obszerniejszą wiadomość o dziełach i pracach naukowych X. Kluka przyrzekł nam szanowny P. *Zygmunt Bartoszewicz* udzielić do jednego z następnych zeszytów *Pamiętnika*. (*Red.*)

**) Dziękujemy zacnemu P. Ignacemu Z. za udzielenie nam tego *obrazku* tak żywo przypominającego nam wszystkim— cnoty naszych prababek; podobne pamiątki żywo przemawiają do serca naszego, mamy też obietnicę dalszych tego rodzaju historycznych lub obyczajowych pamiątek, ze starodawnego archiwum JW. Referendarza M. Z. w powiecie Trockim znajdującego się. (*Red.*)

ich nieszczęśliwego sieroctwa, zacierając w ich niedojrzałéj pamięci wyraz twarzy— ich najczulszéj, najrozsądniejszéj matki; będzie nakoniec mogło służyć za upominek dla tych których serca— utraconéj przyjaciółce pamięć i czułość nieodmienną, zachować umieją. Samo zaś przez się nie będzie niczém inném jak tylko wierném i prostém prawdy opowiedzeniem; nigdy wymowa, nigdy pomoc sztuki, mniéj nie były potrzebne. Wzrost nieco od miernego niższy, kibić kształtna i udatna, włos jasny, oczy błękitne, płeć gładka i żywa, usta świéże, zęby białe, drobne, równe, twarz okrągława nieco, u spodu trocha przykrótka, szyja doskonałéj piękności, noga i ręka, miarą i kształtem odpowiadające wzrostowi. Taka była jéj powierzchowna postać.

Nazwisko pięknéj służyć jéj nie mogło, nigdy nie szukała za taką uchodzić, i nigdy nie była w przypadku zastanowienia się,— czyliby potrzebowała być piękniejszą; droższy i trwalszy powab służył jéj i towarzyszył nieodstępnie; w jéj twarzy, wejrzeniu, uśmiechu— malowała się słodycz co składała istotę jéj charakteru, czystość i zacność co zdobiła jéj duszę; cisza i pogoda, w któréj spoczywało jéj sumienie, czułość i dobroć— którą tchnęło jéj serce,— wszystko w niéj było naturalne, prawdziwe. Pobożność gruntowna była rozkoszą jéj duszy nieskażonéj, była źródłem w którém czerpała słodycz pociechy i nadziei. Cnota strzegła postępków jéj i myśli; cnota miała w niéj tę doskonałości cechę, iż gdy pełnienie jéj okazywało się niekosztowném, nieprzymuszoném, nietrudném,— w naśladowaniu także wydawało się łatwém. Rozsądek trafny bronił jéj zdania od błędu, czy to o ludziach czy o rzeczach sądziła: rozum czysty ozdobiony nauką i wiadomościami, któremi go starowne wychowanie ubogaciło, które się codziennie pomnażały ćwiczeniem; światło jego nie raziło żywością blasku, ale mgłą najmniejszą nie było przyćmione, i jeśli bystrością dowcipu nie wzniecała podziwienia, niosła za to w społeczność tę łagodną przyjemność, tę szczérą wesołość, tę właściwość tonu— co wszystkim podobać się muszą— jak wszystkim podoba się naturalność. Zacna i szlachetna bez dumy, uprzejma bez przysady, czuła bez wymyślnych uniesień, skromna bez dzikości, bez płochości wesoła, zawsze jednostajna, zawsze swoja. Zdrój czysty i cichy— co chłodem rzeźwi powietrze, co nie rwie brzegów, ale ich zieloność żywi, co go mróz nie skrzepi, upał nie wysuszy, wicher nie łatwo wzburzy, co szumem nie ostrzega o sobie, ale przy którym przechodzień zastanowi się z ochotą i chwil upływających liczyć zapomni,— zdrój taki być może niejakim jéj cha-

rakteru obrazem; niewidziano jéj czoła zachmurzonego tém umysłu zasępieniem, co je złym humorem nazwano, i wtedy nawet kiedyby gniewać się miała prawo, smucić się tylko umiała.

Czas zdawał się bieg swój zwalniać dla niéj, a raczéj ona nie dawała mu ulatywać daremnie; powinności religij i nieustanna staranność o dzieci, rząd domowego gospodarstwa, regularne pisywania do osób, którym względy uszanowania lub przyjaźni należały od niéj, ćwiczenie się w naukach, językach, talentach, roboty ręczne, które wśród zabawy i społeczności nosić z sobą była zwykła, wszystko to mieściło się snadnie w ciasnym dla innych dnia jednego zakresie, wszystko szło szykownie nie spychając się, nie zawadzając sobie, i nic zaniedbaném, nic długo opóźnionem nie było; gdziekolwiek przydłużéj zabawić miała, naznaczała zaraz podział godzin i zatrudnień swoich; rzadko ją widziano tak zajętą aby się zabawie udzielić wzbraniała, owszem (co może jest najpewniejszym pracowitości dowodem) pospolicie zbywało jéj czasu na zabawę, a ta była tak łatwą dla umiejącéj lada fraszką rozerwać się, jak nudzenie się było niepodobném dla nieumiejącéj nigdy próżnować. Język francuzki posiadała gruntownie i doskonale, niemiecki ile go do potocznego użycia było potrzeba, włoskiego, angielskiego— własną pracą i ćwiczeniem się nabyła tyle, iż czytała i tłómaczyła z łatwością.

Kilka ksiąg wypisów jéj ręki z dzieł przez nią czytanych, i gdzieniegdzie przyłączone własne jéj uwagi, świadczą czystość jéj smaku i trafność rozsądku; liczne roboty miniaturą widzieć dają, iż talent ten nad inne w niéj upodobany, dalej posunęła niż zwykł bywać u tych, co z niego zabawy tylko szukają; w rachunkach, papierach, sprzętach utrzymywała i zostawiła zupełny porządek; wydatki swoje zawsze do miary sposobów stosować gotowa, nie znała wymysłów kosztownych, a coby na nie użyć mogła, na oporządzenie przystojne mieszkania obrócić wolała. Dom jéj był domem pokoju: strofowania służących większą dla niéj były przykrością, niż dla innych karą: bojaźni wiele nie wrażała, była przecie słuchaną: bo nie kochaną być nie mogła. Serce jéj nie znało wzburzeń gwałtownych, bez słodkich uczuciów obejść by się nie mogła.

Taką była córką, żoną, matką, przyjaciółką, iż dla osób temi związkami z sobą spojonych nie było ofiary, któréj by nie była gotowa rada uczynić. Czemuż powiedzieć tu nie mam,— z sprawiedliwszą jeszcze wdzięcznością myśleć mi się godzi,— żem pierw-

sze w jéj sercu posiadał miejsce? obok ze mną (ona sama— zdaje mi się, dodać mi to każe) w témże sercu pomieszczone były Puławy; to cnoty, czułości, światła, przymiotów wszelkich siedlisko—zamykało w sobie drogie składy i cele jéj przywiązania i szacunku, jéj najdawniejszéj, najpoufalszéj przyjaźni, od dni dzieciństwa aż do dni ostatnich;— chwile tam przepędzone między najmilsze liczyła, tam to nie inaczéj tylko jak córka i siostra widzianą była; tam imie jéj nie zaginie pewnie, i w każdém wspomnieniu ze czcią i czułością, święcone być nie przestanie. Jéj czułemu przywiązaniu, jéj cnocie łagodnéj, jéj niezmiennéj słodyczy winienem, żem skosztował roskoszy najczystszéj, którą ścisły tylko serc zgodnych związek uczuć daje; jéj winienem, że o szczęściu jakie znaleść się może na ziemi, z doświadczenia sądzić mogę: i lubo w ciągu życia mojego nie jedną drogą stratę opłakać, nie jedno srogie zmartwienie wytrzymać mi przyszło,— jéj dopiero utrata dała poznać duszy mojéj całą ostrość boleści, całą gorycz smutku i całą trudność znoszenia takiego ciosu z cierpliwością i męztwem.

Korrespondencja uboczna.

Łaskawy Panie Redaktorze!

W naukowéj sprawie i naukowym sposobem wezwany, mam też prawo naukową drogą wzywającemu mię odpowiedzieć; a środków uiszczenia się łacniejszych dla siebie nie widzę, jak przy doznanéj Pana Dobr. uprzejmości uczynić to przez jego *Pamiętnik*. Rzecz jest taka.

P. Wincenty Smokowski, równie dzielny pisarz jak genialny malarz, w piśmie swojém podaném do Athenaeum r. 1847, pod napisem: *Do wspomnień o szkole malarskiéj Wileńskiéj Adama Szemesza wiadomość dodatkowa*, gdy wylicza kilku znakomitych téj szkoły artystów, a między tymi znakomitego rysownika i oraz pisarza o dziełach pęzla, *P. Michała Czarnowskiégo*, objawia oraz swoje życzenia, aby P. Czarnowski nie zaniechał swoich wiadomości o tejże szkole,— któréj dosyć odległych czasów pamięcią swoją sięga,— do wiadomości powszechnéj drukiem podać; a w przypisie obowiązek na mnie wkłada, iżbym tę myśl jego, P. Smokowskiego, objawił P. Michałowi Czarnow-

skiemu. Zapóźno wprawdzie to miłe polecenie dawnego spół towarzysza nauk do méj wiadomości doszło; ale po przeczytaniu wnet się udałem do P. Czarnowskiego, który z wielką wprawdzie skromnością to wezwanie przyjął, ale przekonany, że nabytych wiadomości nie należy czytelników pozbawiać, przystał wreście na żądanie P. Smokowskiego drukiem ogłaszać swoje wiadomości o dziejach Wileńskiego malarstwa. Ojciec PP. Czarnowskich znał się w Rzymie ze Smuglewiczem, P. Michał Czarnowski oddany przez ojca troskliwości Smuglewicza, przez rok pod okiem jego przebywał. Oto już jest dobry początek rzeczy przez Pana Smokowskiego pożądanych.

Wywiązując się z zaufania P. Smokowskiemu, odpowiadam mu niniejszym listem, który życzyłbym sobie wydrukować w *Pamiętniku*, i o tę uczynność do grzeczności Pana Dobr. się udając zapewniam, iż zawsze jestem z rzetelnym szacunkiem

powolny sługa
Zygmunt Bartoszewicz.

1850, 24 Marca,
Wilno, u Ś. Jana.

Zauważywszy w pismach publicznych i korrespondencjach prywatnych tylokrotne wezwania Szanownego P. *Smokowskiego* o udzielanie mu wiadomości miejscowych o malarzach i przedmiotach sztuki rozrzuconych po kraju, nie możemy nie przyjąć udziału w jego szlachetnych przedsięwzięciach i usiłowaniach; ofiarujemy się przeto z miłą ochotą z naszéj Wileńskiéj miejscowości zaspokajać jego żądania, jeżeli się zechce udać z niemi wprost do Redakcji *Pamiętnika*, wyrażając o co mu przedewszystkiem chodzi. Redaktor Pamiętnika chciałby choć tą małą posługą okazać wdzięczność zacnemu P. Smokowskiemu za tylokrotną chlubną o nim wzmiankę. (*Red.*)

Odkrycia w naukach przyrodzonych i ścisłych *).

Wiadomość o pracy P. Roger, nad zbadaniem temperatury ciała dziecinnego.

Coraz nowe fakta, nowe doświadczenia rozszérzają dziedzinę fizyologiczną; — niema dnia prawie, w którymby pracujący świat uczony zachodniéj Europy nie zrobił chociażby jednego kroku na téj prawie dziewiczéj roli, nie przyłożył choć jednéj cegiełki do zbadania téj wiélkiéj zagadki, jaką jest natura człowieka. — Nasza tylko biedna Litwa, nie tylko że niema sumiennych pracowników w gałęzi nauk ścisłych, ale nawet może i nie wie o nowych odkryciach, które z pierwszego rzutu oka nie mają wprawdzie całości, — są to oderwane materjały, drobnostkowe analityczne doświadczenia, najrozmaitsze fakta — które czekają geniusza z takim poglądem coby je ugrupował i związał węzłem teorji. — Do takich odkryć możemy policzyć i pracę P. *Roger*, zawierającą w sobie sumienne i liczne badania — przy najrozmaitszych okolicznościach i w rozmaitych czasach.

Oto niektóre fakta, które podaje Pan Roger, oparte więcéj jak na tysiącu doświadczeń.

Przy urodzeniu temperatura ciała dziecinnego dochodzi do 40 stopni — t. j. ma temperaturę łona matki, w którém dziecię żyło pierwéj; — w kilka dni po urodzeniu temperatura spada do *minimum* t. j. do 35 stopni; — dalej znowu się podnosi i waha się między 35° i 39°.

*) W każdym zeszycie *Nowego Oddziału* Pamiętnika będziemy się starali zamieszczać wiadomości z *nauk przyrodzonych i ścisłych*, których niniejszy artykulik jest słabą tylko zapowiednią. (*Red.*)

W stanie patologicznym organizm musi koniecznie odbiegać od zwyczajnéj normy; — Pan Roger podzielił choroby na dwie gruppy — w jednéj z nich temperatura ciała się podnosi, w drugiej zmniejsza. — Wyliczać wszystkich nie możemy, ani czujemy potrzeby — bo nie mamy na celu wyłożenia całego processu pracy — ale tylko powtórzenie tego co już jest zrobione, jak można najkróciéj.

Najbardziéj się podnosi temperatura i to nie chwilowo, ale przez cały czas choroby w gorączkach zgniłych, w których ona dochodzi do 42°,5. — W innych zaś gorączkach ledwo dochodzi do 39°,9 — i zmienia się jednoczasowie z periodami choroby. W zgniłéj zaś gorączce, zawsze bywa prawie jednakową, chociażby obieg krwi był najpowolniejszy. — Jeszcze przed P. Roger robione były doświadczenia przy chorobie dziecinnéj (l'endurcissement du tissu cellulaire) *stwardnienie tkanki komórkowatéj* i widziano że wtenczas temperatura ciałka dziecinnego dochodzi do swego *minimum*, doświadczenia zatém w téj gałęzi P. Roger chociaż nie wykazują nic nowego — nie rzucają nowego światła na patologiczny stan organizmu — dla swéj sumienności i ścisłości godne są jednak przytoczenia, bo potwierdziły dawniejsze odkrycia niemające stałych zasad, i opierające się tylko na małéj liczbie doświadczeń. — Przytaczamy tu niektóre.

U 19 dzieci termometr przyłożony w dółku podłyżkowym podniósł się ledwo do 33°, u 7 innych spadł niżéj jak 26° — u 2 do 23° — u 1 do 22°. — Różnica zatém dochodzi do 15° — między stanem fizyologicznym i stanem wyżéj wymienionéj choroby. To oziębienie czasami się zaczyna zarówno z chorobą, czasem ją poprzedza, czasem się póżniej objawia — zawsze jednak jest odpowiednie stopniowi rozwijania się choroby. — Wiele innych faktów Pana Roger mają wartość jedynie tylko z punktu widzenia medycznego i dla tego przytaczać tu ich nie mamy zamiaru.

Maciek Matewka.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Użycie kosy amerykańskiéj zamiast sierzpa.

O nic tak nie starano się w ostatnich czasach w dziennikach techniczno-gospodarskich, jak o zamianę sierzpa na kosę. Ze wszystkiego co napisano o tym przedmiocie, możnaby zrobić tom nie mały. Powstały między gospodarzami partje tak nazwanych *sierzpistów* i *kosynjerów*. Użycie *Kurlandzko-belgijskiéj* kosy z krukiem, nie przynosi korzyści. Długa kosa w Rossyi nazywana *Murawjowską*, też nie daje korzyści. Rzecz dziwna że chwytając wszystko co jest łepszego za granicą, dotąd nikt nie pomyślił wprowadzić u nas w użycie tak nazwanéj *kosy amerykańskiéj* dla koszenia żyta, która już dawno w Stanach Zjednoczonych i angielskich fermach rozstrzygła spór o sierzpie, i wygnała go zewsząd. I w saméj rzeczy, nie może być nic dogodniejszego jak użycie téj kosy, mającéj niezaprzeczoną wyższość nad wszystkiém co dotąd w tym rodzaju wymyślono. W ruskiéj gospodarskiéj gazecie wydawanéj pod nazwiskiem *Ekonoma* (N. 29 i 30) znajduje się opisanie dokładne tego narzędzia przez człowieka znającego się na rzeczy. P. *Burnaszów*, oddawna zajmujący się praktyczném gospodarstwem i redaktor kilku dzienników w Rossji, widział działanie téj maszyny w *udzielnéj rolniczéj Szkole* pod Petersburgiem i uderzony doskonałością kosy amerykańskiéj tak ją opisuje. »Proszę sobie wystawić zgrabną, széroką, długą, stalową, pięknéj roboty kosę, osadzoną na długiém wiązowém kosowisku, trochę zgiętém; i na żelezcu cztéry delikatne długie zęby, też na wpół-przegięte, podtrzymywane delikatnemi metallicznemi podstawkami. Żelezce zębów jest

ostre jak brzytwa i nie jest wybijane młotkiem, lecz wytoczone na toczydle. Przestrzeń mającą półtoréj dziesięciny, i zarosłą dosyć gęstą jarką, zaczęło trzech kosarzy kosić o drugiéj godzinie po południu, i bez najmniejszego utrudzenia, niby bawiąc się, przekosili godzin ze cztéry i pół, t. j. do godziny siódméj z przestankami, które zajęły około półgodziny, i skosili zupełnie — robiąc na przestrzeni sążnia po cztéry zwroty kosą. Zwykle zarzucają kosie, że zbyt mocno wstrząsając osypuje ziarno; w tym przykładzie przy najusilniejszéj baczności niedostrzegłem ani jednego upadłego ziarnka na ziemię, chociaż zboże było zupełnie dojrzałe. Okazało się że kosa amerykańska zastępuje miejsce dwunasta do czternastu sierzpów. Korzyść ztąd ogromna, osobliwie zważywszy, że od sierzpa wiele zboża osypuje się, i że robota sierzpem zbyt uciążliwą jest dla człowieka. Tu zaś przy pewném nawyknieniu, praca odbywa się nader lekko i szybko, bez uciążliwości dla kosyniera i bez straty ziarna, co zawsze było powodem sporów o kosie i sierzpie. — Wprowadzenie w użycie u nas *amerykańskiéj kosy* dla zbioru zboża, przyczyniłoby się nie mało od podniesienia naszego wiejskiego gospodarstwa — jak równie i wprowadzenie angielskiego pługa i płużka, amerykańskiéj wiejałki i młocarni. Wprowadzenie tych sposobów przynosi znaczną ulgę w pracy naszemu chłopkowi i wielką korzyść na czasie gospodarzowi, osobliwie pod czas pory dżdżystéj lub upalnéj i suchéj, kiedy od straty czasu, zboże samo się na pniu osypuje *).

Dodamy do tego wykaz *korzyści* zbierania zboża za pomocą kosy w porównaniu z sierzpem, który sprawdził pewien wiarogodny gospodarz. Wymłóciwszy żyto zebrane w sześciu rozmaitych miejscach, połowę zżętego i połowę skoszonego, oceniwszy stratę ziarna skoszonego zboża i porachowawszy go w przybytku słomy i liczby robotników, okazało się, że czysta korzyść ze zboża skoszonego na trzech dziesięcinach była *sześć* r. i 80½ kop. sr. Rzeczą jest nader pożądaną, aby podobne doświadczenia były powtórzone, iżby ostatecznie rostrzygnąć to ważne pytanie: co jest korzystniejszém w znaczeniu ekonomiczném — żąć albo kosić żyto?

*) Zupełny egzemplarz takiéj kosy, bez przesyłki i upakowania, kosztuje na miejscu w stolicy 10 r. sr. a zaś bez kosowiska z dodatkami — tylko r. sr. 6. Można wypisywać z kantoru komissionera Lubawina (H. K. *Любавинъ*) w Petersburgu, na Newskim prospekcie, pod N. 7. *Нюрембереския лавки*, który wypisuje z Londynu ryczałtem te dobroczynne kosy. (*Aut.*)

Doświadczenia czynione nad moczeniem i ulepszeniem nasion.

Przedstawiamy tu wiadomość znanego w Rossji gospodarza P. *Ławrentjewa* o robionych przez niego doświadczeniach nad moczeniem i usiewem nasion niektórych gospodarskich roślin. — Nasiona moczą się albo w czystéj wodzie, albo z dodaniem istot organicznych, które udzielają ziarnu pokarmu dla zarodku: robi się to dla napojenia ziarna wilgocią aż do napęcznienia, dla przyśpieszenia obejścia, i dla dania mu więcéj sposobności nasycenia obficiéj zarodku właściwym mu pokarmem. Wiadomo że ziarno, dopóki nie wypuści rostka i kiełka, aby te mogły wciągać w siebie pokarm z powietrza i ziemi — dopóty obie te części zarodka karmią się wnętrznościami ziarna; ale przypuszcza się, że nie jest dostatecznie tego pokarmu, aby ziarno mogło samo karmić rozwijający się zaród o tyle, o ile potrzeba do pierwotnego onego utrwalenia. Ztąd pola nasze często okazują się słabemi w obejściu usianego zboża; bywa też, że ziarna długo leżą w ziemi nie obchodząc, a tymczasem dokoła obficie podnosi się pasożytne zielsko. Niewiadomo od jak dawnego czasu zaczęto używać moczenia nasion. Zapewne sposób ten ulepszenia nasion wyszedł od ogrodników; w tej gałęzi gospodarstwa już oddawna nasiona różnych roślin bywają moczone, a szczególnie te, które trudniej pękają przy obejściu. Wymysł ten ztąd zapewne miał początek, że w ogrodach i rozsadnikach pasożytne zielsko silnie rozrasta się i bujnością swoją ukrywa w cieniu inne rośliny na grzędach. Pleiąc je łatwo dają się wyrywać, a słabe obchody roślin posianych zbyt mocno upulchniają ziemię, czynią ją zbyt dziurkowatą i przez to gubią te nasiona, które jeszcze nie obeszły. Moczone zaś nasionka wschodzą daleko prędzéj, a przeto trawsko nie jest już wtedy tak dla nich szkodliwém.

»Z roślin ogrodowych, mówi ów gospodarz, — doświadczyłem w tym roku moczenia sałaty, pietruszki, kapusty, rzerzuchy, radysy, szpinaku, selerów, grochu, bobu, fasoli, ogórków, harbuzów, melonów; także moczyłem cebulę i w ogólności bez moczenia siałem bardzo małą ilość nasion roślinnych. Kiedy ziemia była suchą, to przed usiewem dobrze ją wilgociłem, a ziarna, które siałem nie moczone, kładłem do jamek polanych wodą. To dało mi wyśmienity urodzaj; obchody ukazały się szybko i to upewniło mię na kąto obejścia nasion w czasie suszy; polawszy je potém w miarę potrzeby, w moim ogrodzie stan roślin był najpożądańszy. Moczenie nasion za naszych czasów wprowadzono w użycie

i co do roślin polowych. W gubernji Kurskiéj, gospodarze dawno używają tego sposobu podając za przyczynę: że groch bez moczenia powoli wschodzi; — że dla jego napęcznienia potrzeba wiele wilgoci w ziemi, i że on z niedostatku koniecznéj dla jego rostu mokrości, zamiera; ztąd wielka część groszyn przepada na darmo, i ztąd obchody bywają rzadkie. Spiesznemu wzrostowi grochu moczonego to sprzyja, że groch, jako bujne ziarno nie lęka się niepogody, i że się sieje pod sochę: takim sposobem głęboko do ziemi rzucony, z łatwością znosi chłody, i od upałów się ukrywa. Ale usiewać pola moczonemi nasionami wszystkich rodzajów zboża byłoby nader trudno, z powodu wpływów atmosfery i własności ziemi, z powodu niejednostajności pory usiewów i dobroci samych nasion. Prócz tego usiewy niemoczonemi nasionami nie są tyle wątpliwe w obchodach, bo chociaż nie pędzą szybko, lecz nie ulegają tyle suszy, wilgoci i zimnu. Przy suchéj pogodzie i w suchéj ziemi, rozpęcznione ziarno może zaschnąć — przy mokréj — rozeprzeć, a przy zimnéj — może utracić soki i zamrzeć. Przeto trzeba być nader ostróżnym z moczeniem.

Że zaś głównym celem moczenia nasion jest nadanie obfitszego ziarnóm pokarmu, przeto dodają się organiczne cząstki sposobne rozpuszczać się w wodzie, które stanowią przegnoj.

Przegnój ten robi się następującym sposobem: trzeba wykopać w ziemi podłóżny kanalik w kształcie skrzyni, półtora arszyna głębokości, dwa szérokości i trzy sążnie długości mający. Tam nakłaść pognoju prosto ze stodół, mieszając z marglem i drobno porąbanym torfem. Jeśliby pognoj wyschł, oblać go wodą a jeszcze lepiéj ociekiem pognojowym. Napełniwszy jamę, pokryć ją zlekka ziemią i zostawić dopóki nawóz zupełnie nie zginie.

Nasiona moczyć należy w obszérnych cebrach, do których powinny być dorobione krany dla wypuszczenia wody, kiedy nasiona dostatecznie rozpęcznieją. Przed wsypaniem nasion do cebra, trzeba na dnie położyć pewną ilość nawozu, zmoczyć go wodą, i kiedy zwilgotnieje, wsypać nasiona i wodą nalać.

Jak długo nasiona mają moknąć, zależy to równie od ciepłości powietrza jako i od własności nasion; przy ciepłéj pogodzie dla nasion szybko pęczniejących, trzeba mniéj czasu, — i przeciwnie: baczyć tylko należy aby ziarno nie rozmokło zanadto.

Prócz moczenia na wolném powietrzu, probowałem wilgocehnia ic w ziemi; część ogórkowych nasion położyłem do jamki i pokryłem ziemią napoiwszy je wodą; za dwa dni rozpęczniały i wyglądały nader świeżo. Moczenie nasion w ziemi odbywa się powoli.

Mocząc nasiona trzeba zachować następne prawidła:

1) Namoczone nasiona wyjmować zrana albo wieczorem i natychmiast zabronowywać albo zaorywać sochą.
2) Starać się siać je przed deszczem albo zaraz po deszczu.
3) Nie siać podczas chłodnéj pogody albo surowego wiatru.
4) Nie sypać wiele ziarna do worków.
5) Dobrze przygotowywać ziemię.
6) Nie przemaczać zanadto nasion; lepiéj już nie domaczać.
7) Większe nasiona lepsze są do moczenia, niżeli drobne.
8) Dobierać zręcznych siewców, gdyż moczone nasiona nie łatwo rozsypują się.

Nawet przy zachowaniu tych wszystkich przepisów, nie spodziewam się jednak aby można było uniknąć wszystkich niepowodzeń moczenia, daleko jest lepiéj korzystać z wczesnych usiewów i dżdzystéj pory, niżeli moczyć nasiona. Wszakże korzyść z moczenia nasion ogrodowych i sadowych, może być uważana za niechybną.

Obywatel-Ziemianin.

Nowo-utworzone pomocnicze Towarzystwo Gospodarstwa Wiejskiego.

Towarzystwa zawiązywane w celu podniesienia Wiejskiego Gospodarstwa, przyniosły nie małą korzyść w ulepszeniu bytu gospodarskiego, upowszechnieniem zdrówszych pojęć o głównych i najpiérwszych zasadach gospodarstwa— pracy i kapitale, oraz wprowadzeniem doskonalszych technicznych sposobów. Dla tego ze skwapliwością udzielamy czytelnikom *Pamiętnika* wiadomości o nowo-założoném pomocniczém Towarzystwie Wendeńsko-Wolmarsko-Walskiem w mieście Wendeniu, w Kurlandji, mając zamiar zwrócić uwagę naszego Obywatelstwa na cel, dążność i korzyści z zawiązywania podobnych Towarzystw wypływające, z gorącém życzeniem natrącenia myśli, zaprowadzenia i u nas czegoś podobnego; dajemy tę dorywczą wiadomość tymczasem, póki z postępem dzieła naszego nie rozwiniemy obszerniejszych pojęć o tego rodzaju zakładach.

Oto są główne zasady Ustawy tego Towarzystwa:

1. Wendeńsko-Wolmarsko-Walskie Towarz. Wiejsk. Gospodar. ma na celu rosprzestrzenienie udoskonalonego, właściwego

miejscowości— gospodarstwa, i spółdziałania w tém Kurlandskiemu Ekonomicznemu Towarzystwu.

2. Towarzystwo składa się z członków czynnych, honorowych i korrespondentów.

3. Czynni członkowie wybierają się szczególnie z mieszkańców miejscowych gubernji, znanych ze swoich prac i wiadomości gospodarskich i przemysłowych.

4. Wszyscy czynni członkowie Towarz. obowiązani są spólnemi siłami pomagać postępóm Towarz. swemi wiadomościami i nabytem doświadczeniem; a przeto: a) wypełniają poruczenia przez Towarz. na nich włożone; b) przedstawiają piśmiennie albo ustnie wiadomości o swoich doświadczeniach i postrzeżeniach, które się zapisują przez Sekretarza Tow. do osóbnego protokułu; również weryfikują doświadczenia innych w różnych gałęziach gospodarstwa, a przedewszystkiem w tych, których rozwoj— Towarz. obrało za główny cel dążenia swego; c) udzielają Towarz. wiadomości o nowych wynalazkach i udoskonaleniach w gospodarstwie wiejskiém i domowém; dostarczają też w dwóch exemplarzach swoje rosprawki lub wypisy z dzieł przeczytanych o tych przedmiotach, oraz rozpatrują dzieła przedstawione do uwagi Towarz. przez inne osoby; d) zajmują się udoskonaleniem jednéj jakiéj wyłącznéj gałęzi gospodarstwa wiejskiego, np. podniesieniem uprawy farbierskich, lekarskich, fabrycznych i handlowych roślin; e) udzielają Towarz. swoje meteorologiczne postrzeżenia i statystyczne wiadomości w różnych gałęziach wiejsk. gospod., wskazując zarazem środki dla podniesienia onego; jednèm słowem: o ile możności usilnie przykładają się do dopięcia głównego celu przez Towarzystwo obranego.

5. Każdy czynny członek Towarz. obowiązany udzielać swych książek dla korzystania wszystkim czynnym członkóm Towarz.

6. Towarz. obowiązane jest zbierać w swoim okręgu najdrobniejsze wiadomości o stanie miejscowych gałęzi wiejskiego gospodarstwa i przemysłu.

7. Stosując się do stanu różnych miejscowych gałęzi wiejsk. gospodar. i przemysłu, Towarz. wyszukuje środków dla dalszego rozwinienia i ulepszenia w ogólności wiejskiego gospodar. a w szczególności tych gałęzi, które są z natury najwłaściwsze dla téj miejscowości.

Uwaga. W ogólności środki dla rozwicia jakiéj gałęzi gospodar. mogą się zawierać a) w ogłoszeniu rozpraw i wyznacze-

niu do nagród zadań, mających za przedmiot kwestje gospodarskie; b) w zbadaniu doświadczeniem i wprowadzeniu w użycie udoskonalonych gospodarskich metod i rolniczych narzędzi, uznanych szczególniéj za użyteczne okręgowi Towarz.; c) w urządzeniu wystaw płodów rolniczych; d) w ukształceniu dobrych gospodarzy w téj części gospod. rozwicie któréj, sądząc z miejscowych potrzeb, Towarz. uzna za najkorzystniejsze; e) w rozdawnictwie darmo albo za nader małą opłatą nasion, roślin, zwierząt dla płodu, narzędzi i t. d. f) w nagradzaniu z sum Towarz. pieniędzmi i medalami tych osób, które się odznaczyły udoskonaleniem jakiéj części gospodarstwa wiejskiego. (*Red.*)

KORRESPONDENCJA LITERACKA.

O wydawaniu Encyklopedji i Pism zbiorowo-encyklopedycznych u nas.

LIST WYDAWCY PAMIĘTNIKA

Do Walerjana Kępisa.

Znalazłszy w ostatnim liście Pańskim do mnie kilka myśli rzuconych nawiasem o wydawaniu u nas Encyklopedji oraz *pism zbiorowych encyklopedycznych* na większą skalę, załączam tu z méj strony, jako mający niejakie doświadczenie w dziele redagowania, kilka uwag, które się mi w chwili wzięcia pióra do ręki nasuwają i które może posłużą Panu za temat do dalszego rozwinienia w pańskiéj korrespondencji, tego tak ważnego dla nas w obecnéj chwili przedmiotu.

Nie ma co mówić o korzyściach i konieczności wydawania u nas dzieł *encyklopedycznych* dających pojęcie o nauce spółczesnéj, (w całéj obszerności tego słowa), i *specjalnych*— dających pojęcie o wyłącznéj jakiejś naukowości. Podobne dzieła przedstawiając same rezultata nauki, wyłożone popularnym sposobem, są przeznaczone dla wszystkich stanów i klass narodu. Celem ich jest— rozprzestrzenienie oświaty w narodzie. Oświata i uczoność— są to dwie rzeczy wcale różne: różnica tak jasna, że nie potrzebuje objaśnienia. Narody młodzieńcze na drodze cywilizacji czują niezbędną potrzebę dzieł podobnego rodzaju. U nas dotąd wszelkie proby dzieł takich nieudały się wcale; pochodzi to z dwóch przyczyn: naprzód— wydanie dzieła encyklopedycznego

jak np. Encyklopedja przedsięwzięta kiedyś w Wilnie, wymaga wielkiéj liczby uczonych, zajmujących się wyłącznie naukami specjalnémi,— powtóre: wielkich kosztów, które są koniecznemi aby się dzieło okupiło i przyniosło korzyść przedsiębiercy. Piérwsza z tych przyczyn u nas podobno jeszcze jest ważniejszą od drugiéj, choć i ta nader ważna. U nas jest mało literatów; prawie wszyscy z nich zajmują się literaturą *wolnym czasem*, który im pozostaje od obowiązków publicznych, gospodarskich interessów i domowych kłopotów. Właściwie uczonych— u nas prawie nie ma. Jakże więc u nas zebrać większe koło ludzi dla dokonania przedsięwzięcia, wymagającego jednego kierunku w myślach i usiłowaniach? Sam ten brak pracowników jest niepokonaną przeszkodą dla dokonania u nas dzieła takiego jak *Encyklopedja*. Niektórzy upatrują winę w duchu partij, dzielących literatów naszych, i widzą w tém wiele złego. Sądzilibyśmy inaczéj. Partje— nie są złém, lecz owszem— dobrem, gdyż dowodzą obecność myśli, zdań, przekonań. Szkoda tylko że nasze partje nie są czém innćm tylko— *Koterjami*. Jeżeliby nawet wszystkie połączyły się jednozgodnie, to i tak nie uczyniłyby znacznéj massy pracowników, a każda wzięta oddzielnie, nie ma żadnego znaczenia. Kojarzyć zaś sposobem zewnętrznym to co rozdziela się wewnętrznie— jest niepodobieństwem. A przeto u nas tak bywa: że dla przedsięwzięcia jakiegoś pisma— zbiorą się, pogadają, podadzą plany, zapiją węgierskiem lub *limonadą gazową*, a w końcu rozejdą się bez skutku. Tego mieliśmy świéże przykłady.... Zwykle kwestje nie sięgają daléj nad wybor głównego Redaktora. Powinien nim być człowiek nietylko z różnostronném ukształceniem, ale jeszcze posiadać niezależne zdanie i sąd w literaturze i towarzystwie, człowiek,— któregoby osobisty charakter mógł natchnąć szacunek i ufność we wszystkich partjach;— do takiéj roli nie każdy się zda. Potém, prócz głównego Redaktora są potrzebni redaktorowie w każdéj osóbnéj gałęzi nauk. Prócz uczoności, talentu i znakomitości imienia w pismiennictwie, każdy z nich powinien być człowiekiem umiejącym się rozporządzić, umiejącym przybrać dla siebie spółpracowników i pobudzić ich do pracowania. Co do rozdzielenia się piszących na partje, to zależy nie od saméj tylko różnicy przekonań i dążeń, lecz od różnicy wieku i pochodzącéj ztąd różnicy oświecenia. U nas są literaci i uczeni, należący do wieku przeszłego: jakże ich pracę połączyć z pracą ludzi młodych, tylko co wyszłych z uniwersytetów i często przekonanych w głębi ducha, że od nich dopiero się poczyna era nauki i prawdy! Są to dwie ostateczności; ileż więc pomiędzy niemi przyczyn

do rozbratu i bez tego nie licznéj i nie spójnéj massy naszych literackich i uczonych prawników?

Kwestja o środkach pieniężnych nader jest ważną w każdém literackiém przedsięwzięciu, wymagającém z góry znacznych nakładów— tém ważniejszą jest w takiém przedsięwzięciu, jak wydanie różnostronnego pisma zbiorowego. U nas w ogólności niemają najmniejszego pojęcia o literackich przedsięwzięciach, a przeto— lękają się ryzykować kapitału; chcieliby zrobić rzecz ważną małemi środkami i dla tego nie udaje się u nas żadne przedsiębierstwo. Jeżeliby za artykuły wybornie opracowane podług pojęć nauki spółczesnéj, płacono u nas tylko dwa razy więcéj niż płacą gdzieindziéj za artykuły dziennikarskie, wszyscyby wykrzyknęli z radości na taką liberalność. Ale toby dowiodło tylko nieznajomości rzeczy: w rzeczywistości byłaby to nagroda tak umiarkowana, iżby nikt nie zamienił dla niéj pracy dla zwyczajnego dziennika na pracę dla Encyklopedji, gdyż tamta byłaby korzystniejszą. Nie trudno dowieść tego. Wezmijmy np. pracującego wyłącznie nad historją. Może on bez trudności, w kształcie oddzielnych rozpraw, traktatów, monografij, krytyk, recenzij i t. p. napisać dla pisma czasowego ze 20 arkuszy w ciągu roku. Encyklopedyczne słówniki wydają się zwykle w wielkim formacie, drukują drobnym i ścisłym drukiem, że arkusz ich zawiera najmniéj dwa arkusze zwyczajnéj wielkości pisma zbiorowego. Przeto płaca za nie zmniejsza się o połowę płacy dziennika. Porównawszy sam rodzaj zajęcia, to pokaże się praca dla dziennika daleko korzystniejszą od słownika encyklopedycznego. W pracy dla dziennika pisarz jest wolny w wyborze przedmiotów, a często zgoła nie bywa związany. Pracując zaś dla encyklopedycznego słównika zupełnie zależeć musi od alfabetu, wskazującego mu co zrobić, czém się zajmować. Zdarzy się niekiedy podług alfabetu napisać artykulik z kilku lub kilkunastu wierszy, jakie pół arkusza do całego tomu; ale rzecz ważna, że dla tego pół arkusza— trzeba pokopać się całe tygodnie i miesiące w źródłach, robić porównania, weryfikacje i t. d. i t. d. Wszakże płaca podniesiona od arkusza słównika encyklopedycznego, wyrzeczona głośno na zgromadzeniach naszych przezacnych akcjonarjuszów, ustraszyłaby ich z pierwszego abcugu, i pewnoby uciekli kędy kozy gnano— z mocném postanowieniem nie wracania nigdy. To dowodzi, że jeszcze u nas nie przyszedł czas na wydawanie *encyklopedycznych słowników*, i że ten czas jest jeszcze bardzo daleki!...

Romuald Podbereski.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI,

PISMO

LITERATURZE, UMIEJĘTNOŚCIÓM I SZTUCE

Poświęcone.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

ZESZYT VI.

TOM II.



WILNO.

Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1850.

Drukować pozwolono z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy. Wilno dnia 8 Kwietnia 1850 roku.

Spraw. Obow. Cenzora Radzca Kolleg. i Kaw.

A. Muchin.

NAZWISKA OSÓB,

którym Redakcja **Pamiętnika naukowo-literackiego** składa podziękowanie w imieniu sprawy publicznéj za spółczucie i pomoc okazaną w zebraniu prenumeraty.

PP. Napoleon Klimański,— Franciszek Salezy Siedlecki,— Jan Buttler,— Ks. Al. z B.— Jan Hryncewicz,— Karol Kruzer,— Konstanty Urbański,— Felix Maruszewski,— Leon Janiszewski,— Edward Mejsztowicz,— Aleksander Jurkowski,— Jan Kondratowicz.— Kamilla Narbutt.

Przytém Redakcja żałuje że nie może wymienić osób, które na piérwszą wieść o wydawaniu Pamiętnika, nie tylko że przysłały natychmiast z góry prenumeratorskie pieniądze za *oddział piérwszy*, ale i na rok następny, za *oddział drugi*. Ten dowód ufności dla rospoczynającego zawód literacki i który nie zawsze (wyznaję w szczérości ducha) *mógł być* akuratnym na termin, obowiązuje wydawcę do szczególnéj wdzięczności i przykro mu jest że musi pokryć milczeniem imiona osób, które *czynem* a nie *słowami* dowodzą, jak zwykle bywa u innych,— swéj gorliwości dla pismiennictwa. Zasługują oni na podziękę nie tylko samego wydawcy lecz tych wszystkich, którzy trwanie Pamiętnika nie uważają za rzecz bezużyteczną dla ogółu.

Aby zaś zapleśniali rozprawiacze nie uważali wypisanie imion za próżną rodomontadę, którą chcielibyśmy pociągnąć prenumeratorów, to musiemy im objaśnić dzisiejsze znaczenie prenumeraty i nikt nas w tém lepiéj zastąpić nie może, jak zacny nasz spół-kolega w pracy, poczciwy, P. *Klemens Protasz*, który z téj okoliczności tak rzecz prowadzi:

,,Duch tworzy,— lecz tylko materja czyni dostępnymi i upowszechnia znajomość utworów ducha. Umysłowość materjalności,— materjalność umysłowości— powzajemnymi i niezbędnymi sobie są żywiołami. Równą jest przeto zasługa obydwóch. Oświata jest najdroższym darem, największém dobrem, duszą ludzkości. Pismiennictwo jest duszą oświaty; druk jest duszą pismiennictwa,— a duszą druku są— czytelnicy, kupujący jego wyroby. Lecz główną zasługą kupujących nie jest jeszcze— kupić wydrukowane już dzieło. Główną zasługą— dostarczyć środków wydrukowania dzieła. To jest właśnie, co zwiemy— *mecenasostwem*. Ztąd nie pożyta zasługa i chwała— **Mecenasów**. Oni są filarami pismiennictwa, a tém samém— oświaty, a tém samém i dobroczyńcami ludzkości.

I rzecz dziwna! w kraju naszym takimi **Mecenasami** nie są ludzie możni, mający zbytkowne od swych potrzeb dostatki, ale są to zwykle lubownicy literatury krajowéj, ludzie pomiernéj fortuny, potulne dzieci pracy, w pocie czoła dla utrzymania siebie i swoich rodziców, pracujący.

Wykazem rzeczywistych mecenasów naszego pismiennictwa, są spisy nazwisk prenumeratorów. Nie daje się przypuszczać, ażeby bodźcem tego *mecenasostwa* była próżna chluba widzieć wydrukowaném swoje nazwisko i zwracać tém na siebie uwagę publiczną. Częstokroć wydawcy nie zamieszczają tych spisów, a prenumeratorowie bardzo dobrze wiedzą, że czytelnicy obojętném okiem spisy ich nazwisk przebiegają,

że nawet nie umieliby może dać sprawy, co powodem jest ogłaszania tych nazwisk. Otoż my obwieścim ten powód: jest nim wdzięczność autorów za dostarczenie sobie tą przedwczesną ofiarą środków wydania dzieła, wdzięczność wynurzająca się jawnie i temi ogłoszeniami wskazując publiczności— **Kto są rzeczywiści mecenasi naszego pismiennictwa**. Na naszym ziemskim padole, życiem jest połączenie duszy z ciałem,—śmiercią— rozdwojenie tych dwóch pierwiastków. Autor jest duchem; mecenasi przyoblekając tego ducha w ciało— dawcami są życia pismiennictwu. Powinniby więc odtąd czytelnicy miłujący pismiennictwo i dbający o wzrost oświaty odczytywać uważnie spisy nazwisk prenumeratorów i wbijać sobie w pamięć nazwiska najczęściéj tam wzmiankowane. Niech stają się uczęstnikami wdzięczności autorów, a tém samém, wdzięczności naszego pismiennictwa i oświaty, uzupełniając tę wdzięczność— wdzięcznością publiczną. Nie jeden może rękopis pięknego i użytecznego dzieła, takowe mecenasostwo, zatracie wydarło.

Za wymówkę nieprenumerowania posługuje zwykle przytaczanie doświadczanych w prenumeracie zawodów. Ale cóż tych zawodów główną przyczyną? Zapewna nie zakrój uwiedzenia publiczności, gdyż wiadomo że każdy autor pragnie najgoręcéj być wydrukowanym, nie poci się i nie mozoli nad napisaniem dzieła dla tego, aby jego rękopis mole stoczyły. Okrom wielu zdarzających się przeszkod wydrukowania dzieła poszukującemu, jest zbyt szczupła liczba prenumeratorów. Tym więc jest większa zasługa i chluba dla miłośników pismiennictwa, którzy niezrażeni zawodami w prenumeratach doświadczonymi, rzucają przecież, w widoku dobra publicznego na *ryzyko*, grosz wdowi w skarbonkę naszego ubogiego pismiennictwa. Jowisz, mówi starożytna bajka, w nagrodę ugoszcze-

nia siebie przez Filemona, przemienił jego chatkę w złoty pałac. My— nie Jowisz, ale oby pióro nasze stało się czarnoksiężką laską, któraby moralnie skromne strzechy naszych *Filemonów* w złote przedzierzgnęła pałace!..."

Kończymy z poczciwym Protaszem życzeniem, aby dobra i szczera chęć *ubogich mecenasów* naszych została uwieńczoną pomyślnym skutkiem i posłużyła za dowód: że nie brakowi dobréj chęci i woli publiczności, ale brakowi kollektorów nieudawanie się prenumerat przypisać raczéj wypada. Początki zawsze trudne. Daj Boże pomyślny koniec!

SPIS PRENUMERATORÓW

Pamiętnika na r. 1849.

(Załączają się tu nazwiska tylko tych osób ktore się podpisały wprost w Redakcji lub ktorych kollektorowie nadesłali).

Adamowicz Adam, b. Profes. Un. Wil. Doktor Med.
Andrzejkowicz Michał, Por. Art. na Kaukazie.
Andrzejkowicz Ant. Prez. i Kawaler.
Armatowicz Tomasz w Niżgorodzie.

Berezowski Joachim Ob. Pt. Czehryń.
Butler Jan, Ob. Pt. Wiłk.
Butler Tadeusz, Ob. Pt. Wiłk. Kapitan Inż.
Borzęcki Józef, Ob. Pt. Grodz.
Bartoszewicki Marjan, Ob. Pt. Lipow.
Bażeński Adam, Ob. Pt. Poniewież.
X. Baranowski Jan, Proboszcz.
Benisławski Adam, Ob. Pt. Lucyńsk.
X. Bąkowski Ign. w Białym-Stoku.
Bielikowicz Antoni, Ob. Pt. Dzisn.
Bohomolec Ignacy, Ob. Inflanc.
Bohdaszewski Ignacy, Marsz. Pt. Mińsk.
Bortkiewicz Karol, Major w. pol. Kaw. Legji Hon.
Bijejko Felix.
Białłozor Wincenty.

Borch Michał, Hrabia.
Boufał Jakób, Sędzia.
Brunak Jan Ob Pt. Starokonst.
Brochocka z Kostrowickich Kazimira.
Bujnicki Kazimierz, Ob. Infl.
Bujkowa S. Sędzina Pt. Wiłk.
Buttowt Michał na Kaukazie
Bułharyn Ludwik Por. w. ros. Ob. Pt. Słuck.
Bykowski-Jaksa Wikt. St. Un. Mosk.

Czapski Adolf Hrabia, Marsz. Pt. Telsz.
Czapski Emeryk Hrabia, Człon. rzeczywisty *Towarzystwa Badaczów Natury* w Moskwie i innych uczonych towarzystw.
Czarniawski Bolesław.
Chaborski Feliks, w Humaniu.
Cherasko Grzegorz, Ob. g. Podol,
Chojnowski Bonifacy, Sędz. Pt. Upick.
Chlewiński Ildefons, Ob. Pt. Wiłk.
Chludzińska Marja z Hrabiów Mohlów.
Chrapowicki Ignacy, Ob. Infl.
Cichocki Ignacy, Ob. g. Podol.
Cytowicz Józef, Skarbnik Brzeski.
Czyżewski, Podpor. na Kaukazie.

Danilecki Albert, Urz. w Grodnie.
Dawid Wincenty, w fortecy *Groźnéj*, na Kaukazie.
Dałmatów Dmitry, Uczony Kap. Korp. Les. w Permie.
Djakowski Eljasz, Ob. g. Podol.
Dłużniewski Juljan, Ob. Infl.
Drucki-Lubecki Edwin, Stud. Petersb. Un.
Dybowski Jan, Ob. Pt. Mińsk.
Doktor w Taszliku.
Dunin Andrzéj.

Francuzowicz, Ob. Pt. Wiłk.

Giedrojć Hypocentaurus Adolf, Książe.
Gierłowicz Wincenty, Marsz.
Girkont Zenon, Ob. Pt. Telsz.
Giżycka z Hrabiów Kolumna-Walewskich Józefina.
Gazdzicki Wincenty, Ob. g. Witeb.
Giejsztor Jakób Kazimierz, Kand. Pet. Un.
Głowacki Grzegorz, Rad. Hon. w Chocimie.

Gorska, w Birżanach.
Gorski Karol, Adjut. 1-széj Dyw. 1-go Korp.
Grzymała, Dokt. Med.
Groza Aleksander Ob. Podol.
Gromnicki Piotr Ob. Podol.
Grużewski Emiljusz, Ob. Pt. Kow.
Grużewski Hippolit, Ob. Pt. Wiłk.
Grużewska Chorążyna, Ob. Pt, Wiłk.
Grudziński Kazimierz b. Sędzia.
Gurski Aloizy, Ob. Pt. Wiłk.
Guttorowicz Feliks, z Kaukazu.

Horwatt Otton, Marsz. g. Mińskiéj.
Horwatt Stan. Prezydent w Mozyrzu.
Horwatt Alexander.
Horain Juljan, Ob. Pt. Słuck. i Mińsk. Student Mosk. Un.
Halkiewicz Józef, Ob. Pt. Zasławskiego.
Hryniewicz Feliks, Sędzia Pt. Nowo-aleks.
Hryncewicz Jan, Sztab-Rotmistrz.
Hryncewiczowa z Miłaszewiczów Kamilla, Ob. Pt. Wiłk.
X. Hryncewicz Justyn, Dziek. w Smilgach.
Hulanicki Cezary, Ob. Pt. Hajsyńsk.

Janczewski Karol, Ob. g. Wil. Sędzia.
Janiewicz Aleksy, Ass. budown. Kom.
Jarzembski Leontyn, Ob. g. Kamien. Podol.
Jarzembski Agaton.
Jaworski Eust. Ob. Pt. Lipow.
Jaszczyński Jan, Lustrator.
Janiszewski Leon w Tyflisie.
Jentkiewicz Teofil, w Bałachnie.
Jentkiewicz Włodz. w Bałachnie.
Jelenkowski Juljan, Ob. Pt. Lipow.
Jełowicki Adolf, Ob. g. Wołyń.
Jurkowski Aleks. Pref. Szk. Szawel.
Jwanowski Michał, Ob. Pt. Grodz.
Jwanowski Winc. Joz. Urz. osób. por. przy Cywil-Gub. Wil.
Jodko Ksaw. Ob. g. Wołyń. Maj. w. ros.
Jwaszkiewicz Franc. Rad. rzecz. gub.
Jwański Adam, Ob. Pt. Taraszczańs.
Jundziłł Jan, Ob. Pt. Słonim.
Jundziłł Adam, Ob. Pt. Słon.

Jurewicz J.
Jżycki Doktor Medycyny.

Kaszyc Konst. Ob. Pt. Nowogr.
Kamiński Józef, D-or w Olwiopolu.
Karczewski Józef, Ob. Pt. Oszm.
Kieniewicz Jadwiga, Ob. Pt. Mozyrsk.
Klimańska Zofja, Ob. Pt. Nowoaleks.
Kłodnicki Grzegorz. Sędzia Brasławski.
Kostrowicka Marja, z Hornowskich.
Kościelski Ludwik, Marsz. Pt. Latycz.
Kościałkowski Romuald, Ob. Pt. Nowoaleks.
Kościelski Bonawentura, Ob. g. Podolsk.
Korbut Józef, Koll. Ass.
Korsak Józef, Kurator Magaz. Pt. Oszm.
Korsak Hugo, z Kaukazu.
Kotowicz Chryzolaj.
Kiełłpsz Cezary, Por. pułku Tobolsk.
Kondratowicz Jan, Sekr. Powiat. zarządu w Suszy, na Kaukazie.
Kondratowiczowa Elżbieta, Ob. Pt. Mińsk.
Konopacki Szymon, Ob. g. Woł.
Kostkowa Onufrowa, Ob. Pt. Wiłk.
Kossakowski Franciszek, Hrabia.
Kossowski Józef, Ob. g. Woł.
Komarowa z Mejsztowiczów Rachela.
Komar Antoni, Ob. Pt. Wiłk.
Komarowski Jan, Ob. g. Witeb.
Kozłowski Stanisław, b. Adw. Pt. Lipow.
Koczarowski Antoni.
Kontrym Feliks, Kol. Registr.
Kownacki Marszałek.
Kupść Nikodem, Ob. Pt. Kow.
Kułakowski Dyrektor Inst. panień. w Białymstoku.
Kowalnicka Helena.
Kulczykowski Tomasz, Ob. Pt. Mohyl. Podol.
Kulikowska Anna, Por. w Kamieńcu.
Kreutz Cyprian.
Kruszewski Tytus, Porucz. w Szkłowie.
Krzyżanowski Leon, Kap. b. w. polsk.
Kraszewski Jastrzembiec Antoni, Ob. g. Wołyń.
Kruzer Karol, Ob. Podol.
Krzyżanowski J. Kol. Registr. w Słonimie.

Ledochowski Józef, Hrabia.
Leśniewski Wincenty.
Lubecki Grzegorz w Berdyczowie.
X. Lipiński Antoni Prob. Białopolski.
X. Lachowski Feliks, Prob. Machnowiecki.
Lewicki Aleksander, Rad. Honor.
Lipnicki Stanisław, Ob. Pt. Bielsk.
Limpicki Franciszek, Porucz. Lesn. Korp.
Lemieszewski, Ob. Pt. Wil.
Leszczewski Ludwik, w Zasławiu.
Landsberg Wincenty, w Poniewieżu.
Luboszyc Ajzik, Kupiec 3-ciéj Gildji.

Łukomski Leopold, Kol. Ass.
Łowicki Maciéj, Doktor.
Łopatto Otton, Porucznik Estl. pł.

Mejsztowicz Edward, Marszałek Pt. Poniewieżsk. Kawaler.
Morykoni Lucjan Hrabia.
Morykonina Ludwika, z Hrabiów Ledochowskich, w Sołach.
Marszycki Ksawery, Szamb. Dworu i Kaw. Kur. Inst. Nauk. w Kijowie.
Mostowski Edward, Hrabia.
Maruszewski Feliks, Naucz. w Kownie.
Malczewski Zenon.
Malecki Karol, Ob. Pt. Wiłk.
Maleczyński Józef, Ob. g. Woł
Makowiecki Stanisław, Ob. g. Podol.
Makarewicz Jan, Prez. Sąd. Pt. Lidzk.
Markowski Bolesław, Komornik.
Magnuszewski Feliks, Ob. Pt. Nowogrodzk.
Montowicz Rudolf, Ob. Pt. Grodz.
Moszyński Juljan, Dor Medyc.
X. Moszyński Antoni, Zgr. Ks. Pijar. w Lubieszowie.
Moczarski Aleksander, Ob. g. Wołyńsk.
Mikulski Florenty.
Mikulicz-Radecki Edmund, Ob. Pt. Wiłk.
Mierzejewski Kazimierz, Ob. Pt. Nowogr.
Mielecki Józef, Ob. Pt. Nowoaleks,
Miładowski Jan, Rad. St. i Kawaler.
Milanowski Józef, Sędzia w Kownie.
Moro Aleksander, Sekr. Pt. Szawelsk.
Moraczewski Aleksander, Marsz. Pt. Lidz.

Narbutt Kamilla, Ob. Pt. Lidz.
Narwojsz Marcelli, Ass. Ob. g. Kijowsk.
Newliński Karol.
Niesłuchowski Lucjan, Sekr. b. Tryb. w Mińsk.
Niezabitowski Konstanty.

Ogińska Kunegunda Księżna z Hrabiów Platterów.
Ogiński Ireneusz Książe, w Retowie.
Orda Edmund, Stud. Un. Petersb.
Ostrowski Mirosław z Kaukazu.
Ostaszewski Eljasz, Ob. g. Woł.
Osztorp Leon, Marsz. Gub.
Obodowicz Adam, Ob. Pt. Ihumeńsk.
Offenberg (*von*) Cezar, Ob. Pt. Ihumeńsk.
Okraszewski Wład. Ob. Pt. Lipow.
Okraszewski Kazimierz, Ob. g. Kijowsk.
Omieciński Marszałek Pt. Żytomirsk.
Okuniewicz Feliks, Sekr. w Kutajsie, w Gruzji.

Przeciszewska Józefa, Ob. Pt. Rosieńsk.
Przeciszewski Amilkar.
Piskorski Teodor, Ob. Pt. Lipow.
Piłsudzki Piotr, Sędzia Pt. Rossieńsk.
Pietkiewicz Benedykt, Marszałek.
Pietkiewicz Antoni.
Piotrowski Leon.
Perocki Józef. Ob. Pt. Grodz.
Podhorodeński Hier. Ob. g. Podol.
Pawłowicz Józef, Ob. Pt. Telsz.
Pawłowicz Hieronim, Sekr.
Paszkiewiczowa, Kapit. w Janowie.
Pietraszkiewicz Edmund, Ob. g. Woł.
Pietraszewski Faustyn.
Pieńkowski Ludwik, Ob. g. Podol.
Plater Hrabia Kazimierz, w Pojurzu.
Pruszyńska Aniela z Semenowa, Ob. g. Woł.
Pruszyńska Olga, Ob. g. Kijowsk.
Prusinowski Jan, Kand. Mosk. Un.
Pruszanowski Eugeniusz.

Radziwiłł Książe Konstanty.
Radziwiłł Książe Wilhelm, Stud. Mosk. Un.

Römer Seweryn, Marszałkowicz.
Ryniejski Daniel, w Tambowie.
Rosnowski Marcin, z Kaukazu.
Rosnowski Adam, Ob. Pt. Humańsk.
Rojecki Władysł. Ob. Pt. Zwienigrodzk.
Rudominówna Temira, Ob. Pt. Nowoaleks.
Reutt Gozdawa Wincenty, b. Marsz. Pt. Połock.
Rzewuski Romuald, Kapitan.
Rdułtowski Konstanty, b. Marsz. Pt. Słuck.
X. Roubicki, w Pow. Wiłk.
Roubowa, Sędz. Pt. Wiłk.
Romanowicz Ferdynand, Ob. Pt. Wiłk.
Romanowski Feliks, Sędzia Pt. Nowoaleks.
Roszkowski Juljan, z Kaukazu.
Rönne Eugeniusz, Baron Ob. Pt. Telsz.
Rożycki Zygmunt, w Ostrogu.
Rozen Ignacy.
Rozen Michał w Olhopolu,
Raczko w Czerdyniu, g. Permskiej.
Raczkowski Apolinary, b. Podkomorzy.
Romański Feliks, Ob. Pt. Kowień.

Sniadecka Antonina z Sulistrowskich.
Sajewicz Maciej, z Kaukazu.
Sasulicz Edward, Ob. g. Grodz.
Sakowicz Józef, Własc. Apt. w Mohyl. Podol.
Sawaniewski Józef b. Major.
Skalski Ignacy.
Skarbowski Konstanty, Komis. w Oszmianie.
Skawroński Juljan, w Petrozawodzku.
Skorupska Antonina, z Kossakowskich Ob. Gub. Wołyń.
Sianożęcki-Wojnicz, Otton. w Homlu.
Siedlecki Franc. Salezy, Por. b. w. pol.
Siwicki Józ. Ob. Kurlandzki.
Sidorowiczówny Panny.
Słomski Karol, w Białowieży.
Sołtan Hrabia Stanisław.
Sołłohub Doktor w Zasławiu.
Sobolewski Wiktor, Rad. Dw. Kawal.
Strzelnicki Józef, Kapitan.
Stankowicz Doktor.
Stankiewicz Ass. Sądu Pt. Szawelsk.

Staniszewski Feliks, Ob. g. Podol.
Statkowski Apolinary.
Stefanowicz Lojola Ignacy.
Straszyński Józef, Ob. Pt. Skwir.
Studziński Półkownik.
Symonolewicz Domin. Rotmistrz.
Szczytt Justynian, Ob. g. Witeb.
X. Szymański Dziekan.
Szelęgowski Jan.
Szadurska z Szumowiczów Katarzyna.
Szadurski, Okr. Naczel. w *Ochańsku.*
Szaniawski Kasper Dor w Tomsku.
Szyszko Józef, Stud. Pet. Un.
Szawłowski Porucz.
Szymański Korwin Ign. w *Imeretji.*
Szostakowski Michał, Ob. Infl.
Szklennik Mich. w Mińsku.
Szymkowski Jan, Rotm. gwardji Ob. Pt. Trock.
X. Szwołbun Jędrzej, Wikarjusz w Krożach.
Swaryczowski Tomasz.
Swidziński Konstanty Hrabia.

Tyzenhauz Hrabia Konstanty.
Tatur Chryzostom, Ob. Pt. Ihumeńsk.
Titjus Juljan, Doktor Med.
Tokarzewicz Aleks. Kol. Ass.
Toplicki Jan, Ob. Pt. Wileńsk.
Trzecieski Leopold, Sekr. Rz. Gub.
Trzciński Karol, Ob. g. Podol.
Trzciński Prandota Aleks. Lesn. w Krasnoufimsku.
Turowicz Kajetan w Białocerkwi.
Turski Ksawery, Ob. Pt. Lidzk.
Tukałło Konstanty, Ob. Pt. Mińsk.
Tubanowski Konstanty, Kand. Praw.
Tyszkiewicz Karol Doktor.

Urbański Konst. Ob. Pt. Winnick.
Uścimowicz Justyn, Ob. Pt. Ihumeńsk.

Walewski-Kolumna, Hrabia Antoni.
Walewski Okr. Rewiz. w Permie, w Kamyszowie.
Walicki Leopold, Ob. g. Grodz.

X. Warchowski Kan. Łucki.
Wańkowicz Zygmunt, Ob. Pt. Mińsk.
Wańkowicz Karol, Sędzia Pt. Ihum.
Ważyńska-Skarbek Hrabina.
Waryński Sewer. Okr. Naczel. Pt. Winnick.
Wejssenhoff Aleks. Marszałkowa.
Wieliczko Bolesław.
Wolski Stanisław w Tambowie.
Wolska z Mirskich Prezyd.
Waskowska Kazimiera, Ob. g. Woł.
Wojtkuński Stef. Ob. Pt. Trock.
Wołkowicki Marszałek Pt. Grodz.
Wołkowicki Por. w Permie.
Wilamowski Juljan, z Kaukazu.
Wykowski Józef.
Wolmer Stanisław, Ob. Pt. Telsz.

Zaleski Porucz. Odesk. Pł. Strzelc. zarządz. bibliot. półkową.
X. Zaleski Kazimierz, Prob. Ostrobramski.
Zaleski Ant. Rad. Koll. Ob. g. Kijowsk.
Zaleski Wincenty, Por. Gwar. Ob. g. Kijowsk.
Zaleski Ignacy, Ob. Pt. Trockiego.
Zagrajski Ferdyn. Sekret. w Zwienigorodzce.
Zabłocki Konst. Ob. Infl.
Zabiełło Helena, w Tyflisie.
Zawadzki i Węcki.
Zawadzki Józef.
Zeldowicz Hirsz, Kup. 3-ciej Gildji.
Zeldowicz Uself, Kup. w Berezynie.
Zienowicz-Despot Stanisł. Ucz. Un. Mosk.
Zieliński Orest, Ob. g. Podolsk.

Żemojtel Marcin, w *Minegrelji*— na Kaukazie.
Żołądź Cezary, Mag. Ob. Praw.
Żyliński Jan, Pułkownik.
Żyliński Antoni, Por. Inż. w Kowrowie.
Żagiellowa, Sędzina w Powiryńciach.
Żukowski Stefan, Adw. we Włodz. Woł.
Żukowski Ludwik.
Żukowski Józef.
Żuchowiecki Romuald Dor Med. w Żytomierzu.

Zacni prenumeratorowie Pamiętnika nic nie stracili na opóźnioném wydaniu ostatnich zeszytów, które poszło z przyczyn od redakcji nie zależnych. Sama bowiem przewlóka w czasie dała możność redakcji zamieszczenia artykułów później przybyłych, których wartość okazała się wyższą od uprzednio zapowiedzianych.

Czując sama niedogodność i aby nie nadużywać ciekawości czytelników, Redakcja nadal będzie się starała nie rozdrabiać artykułów i umieszczać je mniej więcej we 3-ch zeszytach, aby każdy *Tom* stanowił pewną całość.

Poprawki.

Zeszyt IV. T. II. str. 93 wiersz 11 z góry w *Gawędzie Ad. z pod Bielska*— zamiast *więc bierze*— popraw: *więc bierne.*

Tamże na str. 84, w odsyłaczu, mówiąc o romansie *Dżenni Ejr* powiedziano iż autorem nie jest kobiéta, lecz niejaki P. *Kerren-Bell.* Długa niepewność o autorze w saméj Anglji była powodem téj omyłki. Romans ten wydany pod pseudonymem *Korrer-Bella* (nie zaś *Kerren*) jest pióra młodéj panienki— *Szarlotty Bront*, autorki *Szerleja* (*Charléj*). Miała dwie siostry które sobie zarobiły na dobre imie w literaturze, jedna Emilja pod pseudonymem *Ellis-Bella*, druga— *Akton-Bella.* Obie umarły z suchot w młodym wieku.

W zeszycie V. na str. 102, w przypisku ostatni wiersz u dołu zamiast: *Stan oświecenia w Polsce*,— popraw: w *Listach w przedmiotach naukowych.*

W tymże zeszycie w spisie treści na okładce zamiast: *Cud. Kapel.* popraw: Pamiętniki Józefika— i Ralph Waldo Emerson, poeta i myśliciel amerykański.

Zesz. VI. str. 102, u góry wiersz 13. zamiast *od* poprawić: do.

— VI. str. 105, u dołu wiersz 13. po wyrażeniu: ojców i dziadów— położyć *srednik* (;) a odrzucić *przecinek* (,) po wyrazie: *niedołężnych.*

Zesz. VI. str. 16. ostatni wiersz u dołu w odsyłaczu: popraw: dzieła Protasza nie drukują się w Wilnie.

TREŚĆ TOMU II^go.

1.

POEZJA.

2.

LITERATURA POWIEŚCIOWA.

3.

BADANIA I PAMIĄTKI HISTORYCZNE.

4.

FILOZOFJA HISTORJI.

5.

FILOZOFJA POPULARNA.

6.

EKONOMJA POLITYCZNA.

Uwiadomienie o *biciu cegieł z ziemi*. Zesz. VI. str. 144.
Wiadomości dla domowej gospodyni: *o bieleniu płótna*. i t. d. Z. VI. str. 142.

12.

ROZMAITOŚCI.

Fenomena Somnambulizmu w Wilnie, przez **Walerjana Kępisa**. IV. 123.
Obraz duszy ś. p. z Matusewiczów Przebędowskiej, przez jej męża opisany. Zesz. V. str. 113.
Nowe dzieło przez **Alex. Jurkowskiego**. Wstęp do *historji Jezuitów*. Zesz. VI. str. 152.
Pielgrzymka do Kalwarji, wspomnienie ś. p. **Wawrzyńca Puttkamera**. Zesz. VI. str. 146.
Odezwa do Prenumeratorów. Zesz. VI. str. v.
Lista prenumeratorów. Zesz. VI. str. VIII.

Pomimo zapowiedzenia dawania Zeszytu od 6 do 7 ark. druku, Redakcja dała w 1-szym Zesz. ark. $8\frac{1}{4}$, w 2-gim 9, w 3-cim aż $12\frac{1}{4}$, w 4-tym ark. 11, a w 6-tym ark. $11\frac{1}{4}$ formatu tak ścisłego, że każdy Zeszyt mieści w sobie prawie **dwa tomy** zwykle u nas wydawanych pism zbiorowych (prócz **Gwiazdy Kijowskiéj**). Zdaje się że pod tym względem spełniła aż nadto swoje zobowiązania się i przyrzeczenia. Co się zaś dotycze zmiany formatu,— ta jest **pozorną**;— z przyczyny braku papieru w Wilnie uprzednio użytego, trzeba było użyć niniejszego formatu; wszakże rozmiar druku pozostał zupełnie tenże sam,— że introligator może Tom 1-szy zarówno razem z 2-gim oprawić.

Redakcja składa wyłączne podziękowanie tym osobóm, które przy piérwszém ogłoszeniu nie tylko przysłały natychmiast prenumeratorskie pieniądze **z góry** za **Oddział Piérwszy**, ale i na rok następny za **Oddział Drugi**. Ten dowód ufności dla rozpoczynającego zawód literacki, i który nie zawsze mógł być akuratnym na termin, obowiązuje wydawcę do szczególnéj wdzięczności, i przykro mu jest, że skromność tych osób — które dowodzą czynem — a nie słowami, jak bywa zwykle u innych, gorliwości swéj dla pismiennictwa — nazwisk ich wymienić nie dozwala. Zasługują oni na podziękowanie tych wszystkich, którzy losy Pamiętnika i trwanie jego nie uważają za rzecz bezużyteczną dla ogółu. Cała zasługa za podtrzymanie materjalne tego pisma do nich jako do najgorliwszych Kollektorów należy. Cześć i pokłon ludziom dobréj woli!...

Pozwala się drukować. Wilno, 11 Lipca 1850 r. *Cenzor* K. Pawłowski.
WILNO.— Drukiem Józefa Zawadzkiego.—1850.

OGŁOSZENIE PRENUMERATY.

Nakładem **B. M. Wolffa w Petersburgu** wyjdą pierwszych dni Grudnia i PP. Prenumeratorom wysłanemi zostaną:

PISMA

Henryka hrabi Rzewuskiego,

7 tomów w 8ce, ozdobionych portretem Autora.

Cena przedpłaty **R. sr. [illegible]**, która z dniem 1 Grudnia zostanie **[illegible] R. sr.** podwyższoną będzie.

Tom 1 i 2 zawierać będą: WĘDROWKI UMYSŁOWE.
— 3 i 4 — — TEOFRAST POLSKI.
— 5, 6 i 7 — — ADAM ŚMIGIELSKI, Starosta Gnieźnieński. Romans historyczny.

Prenumeratę przyjmują i za akuratne dostarczenie Prenumeratorom całego dzieła ręczą Księgarnie:

W Petersburgu: *Книжн. Магазинъ въ Гостиномъ Дворѣ N. 23.*

W Wilnie: *Józefa Zawadzkiego, Teofila Glücksberga i Rubena Rafałowicza.*

W Kijowie: *Józefa Zawadzkiego i Teofila Glücksberga.*

W Berdyczowie: *Franciszka Szczepańskiego.*

W Kamieńcu: *Izrael Lech.*

W Białymstoku: *J. M. Rabinowicza.*

W Dubnie i Łucku: *Goldfarba.*

Wszelkie zlecenia od PP. Księgarzy jak od osób życzących wprost u Wydawcy prenumerować, winny być nadsyłane przed 1 Grudnia pod następującym adresem: **Господину Б. М. Вольфу въ магазинъ Гостинаго-двора Линія Невская въ С. Петербургъ.**

Pozwala się drukować. Wilno. 11 Lipca 1850 r. Cenzor K. Pawłowicz.
WILNO. — Drukiem **Józefa Zawadzkiego.** — 1850.

GAWĘDA

KRYTYKO-LITERACKA.

N. 5.

(*Poezje* **Hieronima Marcinkiewicza.** Literatura *ludowa*, rękopis „**Barwy**"— *Powieści* **Józefa Dzierzkowskiego**, zdania o nich **M. Gr.** i **Majorkiewicza**— jego krytycyzm; Trzeci tom *Bigosu* **Bieporiskiego**; Pamiętniki *Seglasa* Hr. **Skarbka**; przesadzone pochwały dla Xięcia Józefa. Broszurki **Marcyanny** o *Kobietach i Mężczyznach*. Odezwa o pismach **Protasza.** Kilku naszych pisarzy lepszych z ostatniego piętnastolecia; *Podróż uczuciowa* **Joryka**; zdanie o **M. Grabowskim**; życzenie mieć krytykę literacką z 10 lat ostatnich. Fanfaronada i pretensje na oryginalność. Sztuka-zabawą li tylko?. Estetyczna-manja i fanfaronja; moda francuska na krytykę).

—Co za zwierzę krytyk?
—«Zębate—
—«Owszem, wcale niewinne.
—A która najlepsza krytyka?
—«Nie kąsająca się a łaszcząca.
—«Przeciwnie, ganiąca wszystko i wszystkich.
—Bardzo więc dobrze, moi Panowie, będę was chwalił i ganił, ile umiém— najsprawiedliwiéj.
—«A kto Pana o to prosi?
—Wasze wady i zalety, i taka już moja natura.—

Według nieustającéj dotąd mody i zwyczaju na epigrafy, napisawszy wam, moi panowie, powyższy epigraf, dopotopowego humoryzmu zabytek, bez żadnych dalszych wstępów i ceremonji, proszę przeczytać stenograficzną kopję następnéj gawędy w domu P. Bartłomieja.

P. Tomasz. Poezje Hier. Marcinkiewicza bardzo młode i poezji w nich prawie żadnéj. Pierwszego tomiku zaleta wielka że wierszyki w nim krótkie, bo dłuższe t. j. poemata— przez takich pisarzy pisane, czytaćby się niemogły. Wiérsz gładki i dość łatwy. Nie są to poezje i nie natchnione poetyzmem prawdziwym wiérsze, a tylko kilka jednotonnych, młodzieńczych, zwykle o miłości— uczuć; trocha myśli i marzeń zachwyconych gdzieś i podsłuchanych— o ludzkości, o społeczności, ale, jak zwykle bywa, niema jeszcze pisarz o nich żadnego pewnego przekonania.— W 1-m tomiku najlepszy wiérszyk z taką myślą pod nazwą: «*W imionniku A Kow*...... Dzieciństwo swoich wierszy czuł al-

bo raczéj *przeczuwał* sam autor, i wyraził to w przedmowie,— ale drukować te dziecińslwa, ojcowskie przywiązanie mu kazało. Drugi tomik we trzy lata potém, bo w 1848 r. wydrukowany, powinien być dojrzalszy. Ale w tém tylko postąpił ten tomik, że zawarł w sobie już cóś niby na poemat—nakształt Manfreda,— zakrawającego, i rozumie się, tchnący socjalistyką, poemat. Lecz to zawsze tak młode, że znając H. Marcinkiewicza z jego rosprawki w *Dzwonie literackim*, i dla tegoż wypisawszy te jego poezyjki, trocha mi trudno jest zgadnąć, wiele lat wieku i nauki w autorze? Bardzo młodo.

Zakończony ten tomik słabemi tłómaczeniami z Lermontowa. I to dobrze że nie z frazera Benedyktowa, rodzonego brata z tego względu— Marlińskiego, lub jeszcze jakich słabszych, co nasi młódsi i starsi tłumacze nie raz robią, pokazując swym złym wyborem i swą bezdarność i nieznajomość ruskiéj literatury. Tłumaczenia te Marcinkiewicza jak i samorodne wiérsze, że niepisane z namiętności i natchnienia prawdziwego, są słabe. Lermontowa «*dumę*" trzeba lepiéj przetłómaczyć. Z tych atoli poezji widać, że Marcinkiewicz acz nie jest poetą, ale nie bez zdolności młodzian. To pokazuje rosprawka o któréj rzekłem.

P. Bartłomiéj. Ja nie dawno przeczytałem w grudniowym N. 1849. r. *Sowremiennika* *), powieść D. Grygorowicza «*Cztéry pory roku*"— powieść z bytu czysto-ludowego, które najlepiéj temu młodemu pisarzowi udają się. I ta powieść jest prawdziwym artysty utworem. Nic tam zanadto, niczego za mało. Szkoda wielka że u nas dotąd nie zjawił się pisarz podobnie głęboko-ludowy jak D. Grygorowicz. Kraszewski w swych szkicach tego rodzaju, zawsze jest więcéj satyryczny albo idealista, jak jeno samym obrazującym rzeczywistość artystą. Wilkońskiego próbki są względnie do Grygorowicza za słabe, zanadto ogólne i tylko rzutowe. O innych mi wiadomych niéma co i mówić. A rezonujących u nas o ludzie jest wielu, lecz jak się pokazuje, tylko rezonujących jak echo, a nie samoistnie znających ten lud, nie spokrewnionych duszą z ludem. Dla tegoż niéma u nas i artysty pisarza jak Grygorowicz **). Ale przypominam teraz i z żalem przy-

---

*) To jest: *Spółcześnika*; jest to najlepsze z pism perjodycznych w bieżącéj literaturze rossyjskiéj. (*Red.*)

**) W rossyjskiéj bieżącéj literaturze objawiły się dwa sposoby przedstawiania bytu ludu prostego, a mianowicie: *Dala* i *Grygorowicza*. Piérwszy z nich (znany pod imieniem *Kozaka ługańskiego*) jest nader zwięzłym w swych opowiadaniach: obrawszy jakiś wypadek

pominam, że przed 11 czy 12 laty czytałem rękopis pod nazwą «*Barwa*.» Był to poemat w 2-ch częściach i dość spory. Ten poemat był i w ręku A. E. Odyńca, i nawet zdaje się, był przeszedł przez cenzurę, ale gdzieś zaginął lub poszarpany dotąd wałęsa się lub leży w zapomnieniu. Tam, ile dziś przypominam, młody autor szczególnym instynktem, bo nie myślę żeby z rozmysłu estetycznego, potrafił odtworzyć rzeczywisty świat podlaskiego ludu z jego zwyczajami i życiem. Zdaje się tylko że ten poemat napisany był cóś nakształt zajazdu szlachty litewskiéj. Ale w tém nic złego.— Pod jesień kobiéta z mężem jedzie na *praźnik* (odpust) do jakiegoś cudownego miejsca z jedynakiem maleńkim synkiem. W takich miejscach zwykle bywają jarmarczki. Rodzice zostawiwszy dziécko na wozie, zagawronili się. Przychodzą i nieznajdują swego syna a natomiast cudze dziec-

---

malujący wybitnie jaką stronę bytu ruskiego wieśniaka, niby mimojazdem tylko nakreśla wszelkie poboczne epizody i szczegóły. Główną u niego rzeczą jest— wypadek— i mówiąc prawdę— wypadek ten jest zawsze zręcznie pochwycony z rzeczywistego życia i bardzo umiejętnie po artystowsku oddany.

P. Grygorowicz trzyma się innego systematu: nie rozpraszając swoich postrzeżeń nad bytem ludu wiejskiego po dalekich od siebie scenach, z tychże postrzeżeń i szczegółów, pozornie nic nieznaczących,— tworzy zawiązkę powieści, która unosi czytelnika równie wewnętrznym interesem jak zewnętrzném wykonaniem.

Jest jeszcze trzeci pisarz, P. Lwów mający na celu także byt ludu. Szkoda tylko że u niego ginie całkiem interes psychologiczny; opowiadania jego są— idyllą, w któréj wszystko się poświęca przedstawieniom miłości— jak gdyby miłość była wyłączném zajęciem się u ludu prostego— co— jak wiadomo światu całemu, tak nie jest. Zaraz widać że autor nie oswojony z życiem ludu prostego i że z nim nigdy nie bratał się. Lud jego albo milczy, albo mówi pospolitości; autor sądzi, że rozmowy ludu zawsze krążą około przedmiotów nader błahych: sądziemy inaczej: nic nie masz w życiu ludzkiém błahego, wszystko ma swój interes (wyjąwszy rozmowy salonowe i *bezbarwne* powiastki). Wniknąwszy w życie powszednie wieśniaka (jak to czyni P. Grygorowicz w przytoczonéj wyżéj powieści *Cztéry pory roku*) znajdujemy przymioty do dramatu daleko żywsze i stosowniejsze, niżeli owa naciągana do sentymentalizmu— miłość. Do P. Lwowa raczéj porównałbym P. Kraszewskiego w jego *ludowych* powieściach, jeżeli jego bezbarwne wyroby godzi się tak ochrzcić. (*Red.*)

ko, i nie chłopca a dziewczynkę. Poszukiwania nadaremne. Syn ich przepadł. Matka strapiona przywyka do cudzego dziecka i wychowuje Barwulę za swą córkę. Po latach kilkunastu Barwula wychodzi zamąż za Hryhora, chłopca prawie jéj wieku, i zdarza się tak, że chłopiec ten jest synem jéj przybranych rodziców. Ale nikt o tém nie wié. Dotąd idą opisy często bardzo dobre i piękne— żniwa, dożynek z piosnkami, wiosny, sianożęcia, a sprawiedliwiéj sianokosu, polowania, rybołówstwa, rojenia się i osadzania pszczół, święta Wniebowzięcia (*N. P. Zielnéj*), zabaw przytém niedzielnych wiejskich i karczmy z arędarzem i humorysty chłopa starego, burzy, pogrzebu, chrzcin, zimy, jesieni, wesela z piosnkami.— Wszystko to na swojém miejscu i ustępami.

W drugiéj części, jeśli się nie mylę, jest opis karczemki w lesie. W niéj siedzą dwaj czy trzéj chłopi przy piwie, kiedy stary żyd boruchy odprawia. Chłop jeden opowiada drugiemu swój sen o skarbie widzianym. Trzeci podsłuchuje, i tym trzecim jest Hryhor. Stary uląkł się że i trzeci został świadkiem tego skarbu sekretnego, stara się Hryhora w rekruty oddać. Hryhor ucieka i długo bawi w lesie u osóbno mieszkającego strzelca. Tu znowu opisy zimy czy jesieni i bytu podobnych strzelców. Ale zjawia się żyd kramarz z tłómokiem na grzbiecie, który znał Hryhora. Żyd przedaje pieprz, tasiemki, paciorki za skórki zajęcze, lisie i t. p. Hryhor nie dowierza żydowi i opuszcza swe schronienie pod wiosnę. Tu prześliczny opis wiosny. Hryhor mieszka w lesie z pastuchami i pasie bydło. Opis zabaw pasterskich i t. d. Młody chłopiec pastuszek wygadał się o Hryhorze, i Hryhor złapany i w rekruty oddany.— *Barwa* na grzybobraniu zbiéra na listek pianę żmii czy padalca, i na dzień śmierci swego ojca zaprasza Korniła starego, który postarał się że jéj Hryhora oddali w rekruty. W wódce daje mu wypić pianę żmii. Korniło poczyna chorować, schnąć, rospaczać, i nareszcie wiesza się na belce w stodole, bo nawet skarbu spodziewanego nie znalazł. I z wytrzeszczonémi oczyma, co po śmierci jeszcze skarbu szukały,

Na belce wisząc, kołysze się, słania,
Jak sroka w stajni, co djabłów odgania.

Ale i na Barwę troska i skrucha przyszły. Poczęła schnąć po śmierci swéj matki i sama umiéra. Przed śmiercią radziła się wróżki. Ta jéj odkrywa przyczynę, że ją Bóg skarał za jéj matkę, która ją porzuciwszy, ukradła u drugiéj chłopca, a kra-

dzione wszystko się lepiéj wiedzie. Bo rodząc jedne tylko córki i gdy te umiérały, zachciała syna, i ją przemieniła na chłopca. Po Barwie zostaje więc jeden tylko jéj dzieciak i pusta chata, w któréj nikt mieszkać nie chce. Podwórko zarosło piołunem i trawą, w okna zagląda pokrzywa ciekawa, i djabeł świszcząc w nocy przysiudy tańcuje.— W tém opowiadaniu musiałem wiele ustępów i miejsc opuścić. Bo dwu czy trzy-razowe przeczytanie przed 12 laty, wiele w pamięci nie mogło zostawić. I teraz to przypomniałem czytając Grygorowicza wyborną powiastkę pod względem artystyki «*cztéry pory roku.*"— Ile przypominam teraz i widzę, młody autor Barwy w swoim czasie napisał rzecz dobrą. Szkoda, że to się zatraciło. A w naszéj literaturze właśnie powieści ludowéj brak zupełny, bo ani *Kaniowski Zamek*, ani *Zawerucha*, nie są tém, czém «*Barwa*" i powiastki Grygorowicza *).

Teresa. (przychodząc z drugiego pokoju)— A cóż Tomciu, warte czytania te powieści Dzierzkowskiego?.

Tomasz. A! te powieści które autor nazwał z życia towarzyskiego? Jeśliś ciekawa i cierpliwa, to gotów jestem opowiedzieć ich szczegółową treść.

Teresa. Nie, tego niechcę— to nudno. Ale powiedz, złe czy dobre?

Tomasz. I złe i dobre.

Teresa. Ech! Boże mój, z takiemi odpowiedziami! Ja pytam czy warto je czytać?

Tomasz. Prawdziwie nie wiém co odpowiedzieć. Dla kogo warto, dla kogo nie.—

Bartłomiéj. Bez sprzeczek, opowiedz lepiéj o nich dla mnie sąsiedzie. I żona posłucha.

Tomasz. Bardzo chętnie— proszę o cierpliwość.—

Piérwsza powieść *Brat.*— Z téj powiastki widać że autor pisał i może pisać,— ale deklamacja, fantastyczność, romantyczność nawet, więcéj robią tę powieść podobną do poematu pisanego na krój francuzkich romansów, niżli do powieści z życia towarzyskiego.— Satyra— nie satyra, fantazja— nie fantazja, a nie wiadomo co.— A dla czego? Bo niéma tu prawdy ani moralnéj, ani estetycznej, ani żadnéj, a marzenia i fantastyczność i sa-

*) Do tego rodzaju należą opowiadania *J. Barszczewskiego* p. t. *Szlachcic Zawalnia* w Petersb. we 4 ch tomikach wydane. (*Red.*)

tyra na wymarzone charaktery osób i uczynki ich. Nikogo z nich pokochać czytelnik nie może, nawet Wacława, bo żadnéj z nich niéma prawdziwéj i żywéj, a urojone tylko. Niby to wielki świat, według autora. Język galicyjski, ten francuzko-polski, także razi uszy, choć to niby i powieść z wielkiego świata, w którym mówią takim językiem,— ale sam autor mógłby nie pisać *łzów*, *uczuciów* i t. p. a łez, uczuć.— 2) *Obrazek Hogartowski.* Zakrawa na humoryzm, ale prawie indyczéj ruchawości i polotu jak wszystkie prawie nasze humorki. Ten obrazek jest drugą częścią *Wieczoru literackiego* Bejły. Dzierzkowski opisuje w nim towarzystwo karykaturyczne sześciu literatów pijaków obywateli, sąsiadów między sobą. Dowcipu mało, a humoryzmu żadnego. Ciężko i chropawo. Przytém autorowi podobało się w celu zapewne dowcipowania powtarzać bardzo często— *aha!*— które wcale nie śmieszy i nie nadaje potocznéj naturalności rozmowóm osób działających w tym obrazku.— 3) *Płacz i śmiech.* Znowu powiastka z życia towarzyskiego i wielkiego świata. Lecz przeczytawszy ją, pomimo łzy Leontyny i sardoniczny śmiech, pomimo krzyki i pijatykę szulerów i balu, najnaturalniéj czytelnik z małym Alfredkiem spokojnie zadrzémie. Ogólniki, ogólniki pospolite i próżna gadanina, bez wykrycia sprężyn życia.— 4) Następuje fantastyczny obraz «*Uśmiéch szyderczy.*" Czy nie lepiéj się to uda? pomyślałem zaczynając czytać. I tak jest— bo to łatwiéj, dla tego nie dziw.— Tu nie potrzeba wiele znajomości ludzi i świata i artyzmu w pisarzu, dość trocha marzeń, liryzmu i fantazyjki młodéj, bujnéj, i zawsze jakaś miłośna czy warjacka czy upiorowata napisze się fantazyjka, od któréj nikt niéma prawa wymagać niczego prawie, bo tu wszystko wolno, prócz nieznajomości gramatyki. W tym obrazku opisuje się jakiś opolszczony francuz manjak. I tyle. Otoż i 1-szy tom *powieści towarzyskich.*— W nich można było postrzedz tylko jedno, że Dzierzkowski liryk i kobiet innych nie znał jak słabych i uwodzonych lub kokietek zalotnych. Oto— jaki świat wielki dał się mu poznać! 5) Nareszcie dobiéramy się do *Pamiętników Bolesty* i *Zemsta Bolesty.* Przypominam że gdzieś czytałem pochwałę czy cóś nakształt pochwały dla tych pamiętników, czy tylko nie mieszam te pamiętniki Dzierzkowskiego z pamiętnikami o *Boleście* w Ateneum r. 1843? Zupełnie pomięszało się mi w głowie. Ale jakkolwiek bądź, pamiętniki o Boleście udały się Dzierzkowskiemu nieźle. Nawet dwa ostatnie 5-ty i 6-ty rozdziały z *Zemsty Bolesty* pokazują, że Dzierzkowski acz nieoryginalny a naśladowniczy, może być pisarzem powieści, lecz zawsze tylko uczuciowych, ego-

tycznych, pamiętnikowych. Bo to łatwiéj dla pisarza— jak Dzierzkowski— tylko liryko-romantyka. Gdyż wybrany tu przedmiot jest jak raz w duchu Dzierzkowskiego, i takiéj formy powieść, którą nazywają poetyczną albo poematem w prozie.— Autor,— kto wie? czy nie siebie tylko opisuje, opisując tu i dość analitycznie życie poety romantyka-egoisty.— Choć prawdę mówiąc, tacy pisarze i ludzie z takim charakterem i usposobieniem, nie warci zwać się poetami, a poprostu marzycielami i pustakami.— Bo są do niczego na bożym świecie. Wszędzie z nimi i dla nich biéda i kłopot. I Dzierzkowski, charakter takiego marzyciela w osobie Bolesty czyli Bolesława wytrzymał i określił dostatecznie ale niedokończył. W *pamiętniku lekarza* (1-sza część Bolesty) niéma charakterów osób, ale są dwa typy ogólne— marzyciela młodego Bolesty u którego głowę zastępuje serce, i człowieka już bez serca a jedynie z głową i szyderstwem dla wszystkich uczuć— Doktora Szmytjana. Szkice charakterów Maryi i jéj matki są za ogólne i pospolite.— W *Zemście Bolesty*, jak rzekłem, obraz Bolesty samego jest dostateczny, tylko bez potrzeby autor zgodnie z ogółem nazywa Bolestę poetą. Poeta jest to człowiek pełen życia, człowiek czynu— nie tylko jednéj myśli lub uczuć z wyobraźnią,— a wszyscy Bolestowie jeśli mogą nazwać się poetami, to chyba poezji marzeń i samolubnych urojeń, wygodek i roskoszy próżniackich,— tak samo jak filozofowie— według zwykłéj nazwy którą nazywają ludzi bez wiary, *bez przesądów*— jak się mówi, ale razem i bez niczego dobrego i lepszego, jak z wiarą w życie zbyt materjalne, dzienno-doczesne, epikurejskie. To są mniéj jak półpoeci i półfilozofowie, są to półgłówki, półludzie. I dla tego najlepiéj zrobił Bolesta, że popalił stosy swych wiérszy, a według mylnéj autora pisowni— *wiérszów*, i że więcéj sobie na zdrowie marzył, niż pisał dla ludzi.— Bo według zapewnienia autora, te pamiętniki mają być napisane z prawdziwie istnącéj osoby. Trzy rozdziały są dość— nawet zbyt— nudne. Czwarty— *Odwiedziny*— najnudniejszy i najmniéj naturalny. Bo przyszedłszy do uwięzionego Bolesty Zofja siostra Amalji wykradzionéj, z zapytaniem gdzie on podział jéj siostrę? czytelnik zamiast odpowiedzi na to, musi wysłuchiwać rosprawę o miłości— co to miłość? i co to jest kochać po *Bolestowsku*, a co znowu w Zofji rozumieniu?. W rozdziale piątym rysy Polesia i poleskiego starca, ożywiają te pamiętniki,— a ostatni szósty rozdział, acz bardzo mi przypomniał Balzaka ustęp z *La peau de chagrin*,— gdzie zjawia się znowu Dr Szmytjan ze swą ironją nad światem a mianowicie nad marzeniami Bolesty ale udał się Dzierzkowskiemu pokazawszy, że Dzierzkowski mo-

że napisać cóś i dobrego, tylko nie powieść z życia towarzyskiego i rzeczywistego t. j. opisującą zwykłych ale prawdziwych ludzi.—

Ale co to za nudna rzecz czytać aby krytykować, moja kochana Teresiu! Tylko dla ciebie jednéj mogłem doczytać te powieści. A gdybyż przyszło się robić to dla jakiego czasopisu, za pieniądze— i jeszcze na termin?.. Och, to zaprawdę, to samo co kopjować jakie rachunkowe rejestra lub kancelarskie papiery.— A tymczasem zostaje jeszcze jedna powiastka *Jutro.*—Nowa powieść! zobaczym a raczéj zobaczysz kochana siostro, jeśli zechcesz czytać te długie a nudne powieści, że to *Jutro*— jest przedłużeniem pamiętników Bolesty, tylko już tam Pan Bolesta ubogi marzyciel i pustak romantyczny, który postrzegł że bez złota niéma dla niego szczęścia na świecie, dostał wreszcie i to złoto sposobem prawdziwie *montekrystowskim*, t. j. znalazł skarb na Polesiu według wskazania starca poleskiego, i nazwany tu został przez autora *Adamem Dobkiem.* Teraz Pan Bolesta stetryczały i znudzony swoją pustotą— chudy pachołek romantyk, przekabacony w zużytego i stetryczałego miljonowca Adama Dobka, mając za jedyny cel życia— użycie— sam nie wié czego już użyć. Literatura, sztuki i bale sprzykrzyły się mu do splinu. Porzuca więc Kraków i wyjeżdża pod włoskie niebo i do Szwajcarji szukać rozrywek z przyjacielem młodym Wacławem, który na ostatnim balu Dobka zakochał się w młodéj i ładnéj Ludwice, a ta poczęła marzyć tamże o Panu Adamie. Lecz to w sekrecie. Adam z Wacławem jadą do Włoch, i w Szwajcaryi pod Monblan tajemniczo (zawsze romantycznie) spotykają się, a mówiąc nie polskim a francuzkim językiem Dizerzkowskiego— *zdybują się* (on to słowo bardzo polubił, i używa go najniestosowniéj i najnieumiejętniéj) z doktorem starym Szmytjanem przechrzczonym na Pana Widmota. Ten radzi choremu Dobkowi także użycie świata (jakby dotąd nie używał?) i radzi jechać do Paryża. Jadą. Paryż wkrótce staje się kością i ckliwicą w gardle Dobka. Nowa rada podana przez Wacława— zakochać się. Jakby Bolesta niekochał się i nie był kochany! Ale Dobek przypomniał Ludwiki współczucie i litość ku niemu, i mówi, że chce pokochać i ożenić się z Ludwiką. Wacław przeto zakochany sam w Ludwisi, lecz przez romantyczną przyjaźń, stara się porzucić Dobka i tym sposobem odstąpić mu swą kochankę. Zdaje Dobka na ręce Widmota, sam udaje się do Algieru, a Dobek z Widmotem do Krakowa.— Żeni się z Ludwiką zgoła jéj nie kochając i przeżywa ją, bo wyssawszy z niéj życie upiora sposobem (to wyrażenie się

autora), sprowadza na nią anewryzm serca według wymarzonéj medycyny Dzierzkowskiego, przeżywa Ludwikę— powiadam, a sam nie umiera, na nieszczęście czytelników, bo zapewna autor obdarzy ich powieścią nie jedną, w któréj będzie najnudniéj ciągnąć się to chorowite, fałszywe, romantyczno-wymarzone życie i figura P. Bolesty i Adama Dobka.— Szmytjan także żeni się. I na têm się kończy to— *Jutro*— i drugi tom powieści Dzierzkowskiego.

Jest tu idea pokazać— że człowieka pustaka nic na świecie zadowolnić nie zdoła, on wiecznym będzie marzycielem męczennikiem. Gani więc niby tym sposobem Dzierzkowski wychowanie romantyczne, jakie u nas przed laty 20 usposobiało młodzież do życia pustackiego, marzycielskiego, robiąc ludzi wielkich do małych albo i do żadnych rzeczy.— Ale autor tak nudnie i rozwlekle to przedstawia w obrazkach swéj fantazji romansowéj, że nikt zapewne drugi raz jego powieści przeczytać nie zechce i nie będzie miał sił.— A nazywają się powieściami z *życia towarzyskiego!*— Dzierzkowskiego towarzystwo i ludzie, są jego wyrobu i głowy romantycznéj a nie rzeczywiście jakie są na świecie. Opisuje niby świat wielki arystokratyczny, ale on widział ten świat wielki we snach swych lub wieczorem przez okno, stojąc na podwórzu. Język jego dowodzi że wiele czytał po francuzku i mówi po francuzku,— jednak to jeszcze nie rękojmia, żeby Dzierzkowski znał nie tylko świat i ludzi arystokratycznych ale jakich bądź, i umiał ich odmalować i opisać prawdziwie po artystowsku, a tak sobie opisuje niby poetycznie, t. j. pisze powieści poetyczne albo poemata prozą,— lecz z mniejszym talentem jak Marjan w *pamiętnikach swych przyjaciół*,— bo utwory tych obu pisarzy bardzo do siebie podobne.— Koniec. Innych powieści tego autora— jak «*Dla posagu*” i t. d., żeby one były i z jakiegobądź życia nie tylko z towarzyskiego, nie łatwo mi będzie wziąć do czytania, chyba w ostatecznym głodzie, lub jaka druga Teresa mię o to poprosi.— A przecież ktoś je chwalił! Jeśli się nie mylę M. Gr.— Ale nie. Owszem, jak teraz przypominam M. Gr. powiastki te i pierwiéj i późniéj nie chwalił, i przechwałek Dzierzkowskiego o swym talencie jak nowelisty nie pochwalił.— Choć w Warszawie krytyka zawsze wątpliwéj wartości, ale według zdania Biblioteki Warszawskiéj (T. I. 1848 r.) zgoła nie lepszą jest powieścią tegoż Autora «*Salon i Ulica.*”— Urojenia, naciągane charaktery do autorskiego widzimi się— i tyle,— choć chęci autora i cel, niby to są dobre ale i u Jezuitów miał cel być także dobry, tylko środki i drogi do tego celu nie

zawsze sumienne. Jezuityzm widać, że jest wszędzie, nawet w literaturze postępowéj. A tymczasem w sztukach dobry cel,— rzecz nie główna i nie jedyna.— Trzeba szczególnie prawdy moralnéj i artystycznéj, obrobienia dojrzałego na prawdopodobieństwie życiowém opartego. Wówczas i ten cel pożądany przez autora, prędzéj będzie dopięty. Inaczéj skończy autor na próżnych dziecinnych deklamacjach, w które nikt nie uwierzy, choćby i sto powieści nabazgrał— że szewc jest ideał cnoty, a panicz i pani salonowi, łotr i rozpustnicy. I niech sobie kto chce z szacownym i nieodżałowanym J. Majorkiewiczem powiada i pisze, że J. Dzierzkowski kilku swémi powieściami stanął na równi z piérwszymi powieściarzami,— trudno mi z nim się zgodzić, gdym przeczytał sam. Jak nieboszczyk Majorkiewicz, tak jego zdania estetyczne i krytyczne były jeszcze bardzo młode. Według nich, główna rzecz *idea.* Dla sztuki, powtarzam, i literatury— tego za mało. Idea— to połowa rzeczy. Idea— ideą, a sztuka— sztuką. Im wyższa idea, tém dójrzalszego obrobienia potrzebuje, by ku sobie pociągnąć i wpływ zbawienny na czytelnika czy widza, czy słuchacza wywrzeć, a nie odrazę i śmiech pogardy w nim zrodzić dla artysty, a stąd i jego idei.—

Bartłomiéj. O tém już nie raz mówiliśmy, kochany sąsiedzie, i jeśli zechcesz, jeszcze potwierdzisz swoje zdanie przeczytawszy 6-ty rozdział 3-go tomu *Bigosu hultajskiego.*

Teresa. (przerywając) Ach Tomciu! przepraszam cię za nudy jakich doświadczyłeś czytając powieści Dzierzkowskiego. Inaczéj wynagrodzić ci tego nie potrafię, jak radząc przeczytać 3-ci tom kochanego u nas i nieoszacowanego *Bleponsia.* Może on dla drugich kobiét za nudny, za uczony i za wielki gaduła, ale dla mnie,— nie. Choć i ja chciałabym więcéj akcji jego osób, jak opowiadania i rospraw autorskich,— ale co do ciebie Tomciu, ty z rozkoszą czytając go, nie weźmiesz innéj książki w ręce długo. To książka w naszym, a mianowicie w guście was obu.— Jakże tam wszystko naturalne choć idealizowane charaktery osób!

Tomasz. Zapewne jest kobiéta podobna do ciebie Teresiu, co to pół-uczona, zawsze rozsądna, gospodyni i kobiéta w całém znaczeniu— wszędzie?...

Teresa. Ty się śmiejesz z nas, ale istotnie czytając, nie raz chciałam być w stanie majętnéj Heleny i być do niéj, rozumie się po mojemu, podobną. Nie prawdaż Bartku, że ty nie Alfred, a ja nie całkowita marzycielka Helena, i my potrafilibyśmy lepiéj żyć i być użytecznymi.

Bartłomiej. Zaczekaj, nie śpiesz. Jeszcze nie wiémy czem autor skończy, i co każe robić Helenie i innym osobom swego rosprawowego romansu? bo to są rosprawy pod formą romansu raczéj, niżli romans.

Teresa. Nie, nie zupełnie. Prawda, że rosprawy wyborne tam przemagają, ale osoby działające oznaczone dobitnie, wyraźnie i jak naturalnie! Ta Helena, ten Alfred— jéj mąż pustakowaty, ten uczciwy i zawsze z młodym exaltowanym literackim duchem Bardon, co tak dobrze duch ocenił i oznaczył niemców i t. d. Ten szanowny jenerał Walnicki, co tak wyborną nam rosprawę o arystokracji powiedział! To są, Bartku, typy ludzi nie wymarzonych ale żyjących u nas, albo najpewniéj mogących się wkrótce zjawić.— Sam Książkowicz, nie wiém kogoby on tam nie wyobrażał, ale prawdziwy, choć ze Stołkowiczem trocha mniéj raźnie określeni. Wracają znowu i Wiercicka i Julja i Pięknogórski. Ach! mój Tomciu, ty nie będziesz spać kilka nocy czytając ten 3-ci tom. Co to za książka!

Tomasz. Już kiedy tak chwalisz i chwalisz swego *Bleponsia*, to muszę koniecznie zacząć me pierwsze czytanie od niego. Ja i tak bardzo wysoko tego pisarza cenię, a po twych pochwałach...

Bartłomiéj. Maniera Blepońskiego— rozumować więcéj jak działać, trocha przypomina przedmowy Fildinga w jego *Tom Dżonie.*

Tercia. Otoż zaraz ze swą uczonością! Wy mężczyźni rozczłonkujecie, porzniecie, to stąd, to stamtąd wzięte. U nas, gdy dobre, tak dobre i kochane. I ja o nic więcéj nieprosiłabym widząc się z Blepońskim, jak żeby on swój Bigos ciągnął dla nas na tomów przynajmniéj dwanaście— bez końca! I jak chce niech ze swemi działającemi osobami postępuje; co chce, niech każe im robić. On bez rady czytelnika, o którą prosi, sam najlepiéj rozporządzi się niémi i ich postępowaniem. A w przemowie i w ciągu, jaka szlachetna, wyrozumiała wszędzie odezwa o Hr. Rzewuskim i krytyka jaka własnych jego i przyswojonych zdań! Cudowny, nieoszacowany Blepoński! oby on nam żył i pisał tak najdłużéj, jak dotąd pisze! —

Tomasz. Pochwały kobiéce.— Ale, kiedy jest podobieństwo, jak powiadasz sąsiedzie, w przemowach i ustępach Blepońskiego— z Fildingiem, to czy niéma— i pod względem tego złotego a zawsze w dobry humor wprawiającego dowcipu i żartu Fildinga?—

Bartłomiéj. Nie, zgoła nie. Humor nie nasz pierwiastek. Prawdziwie nie wiém zkąd, ale było i u mnie mniemanie, że

Pamiętniki Seglasa Hr. Skarbka są utworem żartobliwym i przytem najlepszym z tego rodzaju pism szanownego Skarbka. Dla tego byłem ich bardzo ciekawy, podobnie jak i ty, sąsiedzie. Lecz pokazuje się przeciwnie.— Żartu w nich nie ma zgoła a zwykła tylko Skarbkowi obywatelstwa i autorska uczciwość.— Bo są to po prostu szacowne pamiętniki z samego końca zeszłego i początku teraźniejszego stulecia, wiernie obrazujące zwyczaje, obyczaje, cnoty, wady, rozsądek i głupotę szlachty i chłopów polskich pod panowaniem Prusaków zostających, smutną fizjonomję ówczesnéj Warszawy, jéj towarzystwo francużące się i zachowujące narodowość,— teatr, Księcia Józefa Poniatowskiego z tą słynną, dumną zalotnicą Panią Vauban, Napoleona i t. d. Wszędzie tam prawda i uczciwość autorska widać— tylko nie zgodzę się, i my się obaj niezgodzim z szacownym Skarbkiem, na pochwały i przechwały zwykłe i upowszechnione dla księcia Józefa.— Czyliż niéma u nas ludzi daleko zasłużeńszych, prawdziwych przedstawicieli Polaków, co zawsze i wszędzie wytrzymają najsroższą krytykę jako obywatele polscy?. Ale o nich cudzoziemcy lepiéj i sprawiedliwiéj mówią, nie raz ze słuszną przyganą dla nas,— a nam język i głowy zawrócił ładny i mężny Ks. Józef. Tych przymiotów jednak dla takich popularnych pochwał i ciągłych wspomnień, jakie prześladują księcia Józefa, dalipau za mało. W moich oczach, to nie zaleca naszego sądu krytycznego. Pustacy my— pustacy. Łysk szychowych cnót nas więcéj i dłużéj zachwyca, jak czyste złoto.

I machnął ręką P. Bartłomiéj, i mógłbym z Malczewskim powiedzieć, że on *czapkę na swą głowę wzniesił, i dumom niewesołym ciężką głowę zwiesił,*— żebyšmy siedzieli pod lipami jak miecznik z córką, i gdybym dosłównie pamiętał prześliczny i obrazowy dwówiersz poety.— A tak, przepraszam, żem sfałszował.— A szczególnie winien temu P. Tomasz, który swą żartobliwością natychmiast całe to upatrzone podobieństwo zniszczył, odezwawszy się:

Tomasz. To jest, mówiąc po twojemu P. Bartłomieju, masz chętkę powiedzieć o tych pochwałach dla księcia Józefa— że nie miała baba co chwalić, to białą kurę?. Tak powiedzieć jednakże nie można o nas i księciu Poniatowskim. Ma on swoje zasługi u nas...

Bartłomiéj. Chciałbym tylko wiedzieć, który z naszych Gawłów i Maćków nie był zdolen tego dokazać i niedokazałby co książe Józef, gdyby był na jego miejscu?..

Teresa. Mniejsza o to— niech będzie po twojemu, tylko pro-

szę was Panowie moi, nie opiérać swych zdań i nie upiększać ich żadnemi porównaniami i przysłówiami o kobiétach. Już widzę, że ja was od tych żartów sama oduczyć nie mogę. Prosiłabym przypomnić co napisała o kobiétach Marcjanna.— I ty Bartku, cóś mi się roskaprysił.

Tomasz. (zawsze żartując) Sługa uniżony naszéj mentorki, jutro przyrzekam nieodmiennie po rannéj modlitwie, przebiedz powtórnie to kazańko. Lecz i tak nie wywietrzało ono mi z głowy.

Bartłomiéj. Jam się roskaprysił?

Tomasz. Tak i nieinaczéj, i zapewne tego przyczyną zawiedziona nadzieja, żeś w pamiętnikach Seglasa chciał znaleść żartobliwą zabawę, a znalazłeś dla siebie zły humor— t. j. po prostu— niehumor.

Bartłomiéj. Ech! nie to. Humoru w nich żadnego prócz jednéj uczciwości pisarza, a dowcipu i humoru daleko więcéj już w Faustynie Dodosińskim.— Ale nie to mię gniéwa.

I znowu głowę zwiesił. A Pan Tomasz chcąc tę chmurę rozpędzić i od Teresy ją oddalić, odezwał się zwykłym swym tonem:—

Tomasz. Szacowna Marcjanna autorka książeczek o *kobiétach i o mężczyznach*, powinna być u nas i wszędzie szanowaną. Bo przy swéj całéj kobiécéj skromności i wyznaniu, że niéma pretensji i zamiaru nauczać i kazań pisać,— lecz nic więcéj nie robi jak naucza, i dwa kazańka napisała. Kazania bardzo nie bezużyteczne dla czytelnika. Tylko to smutno że tych czytelników musi być u niéj nie wiele, kiedy przez lat cztéry drugiego wydania jéj kazańka nie doczekały się. We Francji broszurka Guizota o *Demokracji*, Cadiot'a *tabliczki rewolucji* i t. p. po kilka razy na rok przedrukowują się,— choć niby to treścią swoją zastosowaną do potrzeb czasu, przewyższają treść o kobiétach. Ale i traktat o kobiétach dla nas nie mało ważny, i kazańko Marcjanny, mianowicie o swych siostrach, jest dobre,— bo podnosząc godność kobiéty na sprawiedliwie pojętych celach i przeznaczeniu kobiét: wychowywać pierwiastkowie rod ludzki moralnie i wykształcić serca dzieci na ludzi uczciwych, religijnych,— z prawdą się nie rozminęła, za wiele obowiązków na barki kobiét nie zwaliła.— Owszem to — moje panie, wasz główny obowiązek i przeznaczenie, a z niego dalsze błogie następstwa w świecie towarzyskim i przez szanowną Marcjannę wskazane, zawsze pójdą.— Sprawiedliwie bardzo autorka nie zachęca kobiét do głębszych męzkich nauk, bo dla kobiety takie wychowanie nie potrzebne, a nawet staje się nie raz szkodliwe. Kobiéta głęb

széj nauki nie przeniesie. Każdą nową ideę będzie tylko łakomie połykać a nie strawi jéj—i stanie się ta idea dla niéj—a przez nią i dla społeczności — wcale bez użytku. Czy prawda, kochana siostro? Prawda.

Teresa. A niedawno umarła Adelajda Szopenhauer?.

Tomasz. Słyszałem o niéj, ale o dobrych skutkach jéj uczoności nie wiém. Mnie się zdaje, że pozostanę zawsze tego powszechnego mniemania, które stary La Bruyère wyraził w porównaniu uczonéj kobiety do ładnéj rzeczy lub meblu gabinetowego, które atoli do niczego nie służą, a są tylko nieszpetną rzadkością. Marcjanna nie powiedziała nic nowego, czegoby przed nią drudzy nie powiedzieli, ale to nie ujmuje zgoła ceny jéj odezwie do kobiét. — Broszurka o mężczyznach napisana niby jako wynagrodzenie dla mężczyzn, za jakieś ich upośledzenie w traktacie o kobiétach, jest słabszą. I nie dziw. Bo kobiéta mężczyzn nie tyle zna, ile swe siostry kobiéty. Szczególnie odezwa że mężczyzni łatwo zabiérają i zrywają z sobą przyjaźń, jest wierutnym fałszem. Stokroć więcéj widziałem całujących się najpodejrzańszych przyjaciółek, jak przyjaciół. Ona musiała to napisać patrząc na zwyczaje staréj daty szlachty, co jeszcze pamięta bizunowanie najprzewielebniejszych ojców, albo na bezczelnych oszustów. U tych— to prawda, że jest dotąd zwyczaj każdego ściskać za kolana i całować gdy nie w twarz to w ramiona i ręce, a czasem i brzuch, u kogo duży.— A o małżeństwie, pocóż takie wykrzykniki u szanownéj Marcjanny jak *np.* »Małżeństwo... pióro z ręki wypada... małżeństwo nie może być bez męża, (i ja tak myślę) a gdzież są mężowie?.” Co do tego, to już ciebie, Panie Bartłomieju, spytam się — co na to powiész?..

Teresa. Och, już kontenci że znaleźli jedną omyłkę, jedną przesadę, to i radzi nią potępić całe najlepsze pisemko. A lepsza dla mnie Marcjanna od waszego zawołanego *Protasza.* To paszkwilista. . .

Tomasz. Przeciwnie, kochana siostro. Ja nie potępiam czcigodnéj Marcjanny a oddaję pełną jéj sprawiedliwość; — przesady tylko nie pochwalam, i żałuję, że musi być mało czytaną, kiedy dotąd u Zawadzkiego jest dosyć piérwszego wydania jéj traktacików. A porównanie twoje Marcjanny z Protaszem wcale niestosowne. Marcjanna napisała dwa kazania — o kobiétach i o mężczyznach; Protasz zaś obraz i w wielu względach bardzo prawdziwy i sumienny, obraz złych i źle wychowanych i niedolę sprowadzających w towarzystwie i domowém pożyciu, kobiét. Tam gorzka i słona prawda, ale prawda.

Teresa. Przecież Kraszewski nie bardzo chwali téj Protasza przygany kobiétóm. .

Tomasz. Kraszewski — Kraszewski! U niego swoje powody są nie chwalić, a u mnie niéma tych powodów nie chwalić, a owszem podziękować Protaszowi. A jego krytyczny rozbiór o Bejle, któregośmy nie zły urywek czytali?. Daj Boże nam więcéj takich Protaszów! I dzięki Bogu żeśmy niepozbawieni pisarzy, co zdolni są widzieć i drugim pokazać świat, rzeczy i ludzi z ich prawdziwéj złéj i dobréj strony. Ciekawym niezmiernie końca téj krytyki i dalszego ciągu pism Protasza *). — Może tam znajdą się miejsca, i zapewne znajdą, które będą mi niedosmaku i przekonania, wtenczas ja to dla ciebie zganię siostro, niegorzéj ód Kraszewskiego, a teraz powinienem chwalić i chwalę.

Bartłomiéj. I ja powiém z tobą sąsiedzie: Chwała Bogu! że u nas niezbywało i niezbywa na ludziach i pisarzach ze zdolnością i wiadomościami, gdy niezawsze — nauką. Ale gdy wglądam w biografię lepszego pisarza teraźniejszego, zawsze trzeba dowiedzieć się że on już niezbyt młody.

Tomasz. To bardzo naturalna, bo dzieci w kolebce nigdzie dobrych książek nie pisali i nie piszą.

Bartłomiéj. Ale nie o tém rzecz, sąsiedzie. Ja chcę mówić że przez lat ostatnich dwadzieścia, nawet siedmnaście, na palcach jednéj ręki dadzą się przeliczyć nasi lepsi pisarze co w tym czasie ukształcili się i wystąpili na popis przed czytelnikami. Mówię o tych kilku pisarzach co niewidzieli ani Warszawskiego, ani Wileńskiego Uniwersytetów, nawet Krzemienieckiéj szkoły, a wykształcili się w zakładach wyższych naukowych zagranicznych. — Takich pisarzy, gdy się nie mylę, jest tylko czterech, a raczéj było czterech, bo ze zgaśnieniem Ed. Demb. berlińskiego ucznia, i Majorkiewicza moskiewskiego, zostaje się A. Gryf i Antoni Sowa. Ostatni, zdaje się, w Dorpacie douczał. A gdzież więcéj tych młodych zdolnych pisarzy?. Chyba zaliczyć tu St. Lachowicza, De Perthesa. . .

Teresa. Niegrzeczny jesteś Bartłomieju, bo zapominasz, a przez to krzywdzisz pisarzy zdolnych kobiét, *np.* Gabrjelę, Felińską.

---

*) Zgadzamy się zupełnie na to zdanie o Protaszu, i z serca życzymy aby u nas pojawiało się jak najwięcéj książek tak *śmiało rznących prawdę w oczy*, tak dzielnie i otwarcie napadających na wady ogólnie zakorzenione, tak dowcipnie, z tak miłym humoryzmem i z tak głęboką znajomością serca ludzkiego i świata — pisane. T. 2 gi wyszedł z cenzury i drukuje się w Wilnie.

Bartłomiéj. O kobiétach ja tu nie chcę mówić, bo one należą do drugiego rodzaju pisarzy, do pisarzy — u których nie głowa, a więcéj uczucie i fantazja dyktują. A potém Felińskiéj sam prawie nieznam, i ona do młodych już nie należy. Ja zaś mówię o młódych pisarzach mężczyznach zdolniejszych, do których chyba jeszcze zaliczyć można, powiadam, De Perthesa, Wolskiego, Lenartowicza, Norwida, Marcinkiewicza Hieronima?. co dali siakie takie próbki lepszych zdolności swych i ukształcenia — co zapowiadają iż ich talent i literaturyzm nie skończą się na napisaniu wierszyków do jakiéj E. E. — Z. Z. i t. p. lub najrospaczliwszéj elegji jednéj, drugiéj, przeklinającéj z oburzeniem się całego młodego poetyzmu *alias* szału, świat i ludzi, co nie chcą z nimi współczuć i myślić i ich niedowarzonych i niestrawionych i przez nichże samych niepojętych, myśli ich pojąć. — Nawet Edwarda Maryana, Skimborowicza i pono R. Podbereskiego tu liczyć nie można. — Bo dwaj piérwsi uczyli się w Krzemieńcu pod J. Korzeniewskim, potém Skimborowicz w Wilnie pod L. Borowskim, a Ed. Maryan sam się kształcił daléj *). — Tak samo Ludwik z Pokiewia jest uczniem Borowskiego.

Teresa. (uśmiechając się) a nasz P. Adolf?.

Bartłomiéj. A jeżeli chcesz i jego tu zaliczyć — to on jest uczniem sam swoim i świata. Dla tegoż i taki żółty, że podobniusieńki do wycięczonego genjuszka lub wyciśniętéj cytryny.

Tomasz. Prawda — prawda P. Adolfie. Choć bardzo pochlebne listy odbierasz od swych literatów-korrespondentów, choć wiemy że oni pochwałami przesadnemi cię zbałamucić niezdołają, ale warto ci odpocząć, a pochwałom literatów zgoła nie wierz, bo redaktorowie do wszystkich korrespondentów, to samo i tak samo piszą co tobie.

Teresa. Jak przyjdzie wiosna, ja zajmę się twoją kuracją i oderwę cię od zbytnich książek.

Tomasz. Ot, szczęśliwy! ma gotowego już lekarza, i jeszcze jakiego lekarza!

Bartłomiéj. Nasze widać już takie szczęście, t. j. nieszczęście z tymi literatami, że oni nie umieją harmonijnie i duchem i ciałem

*) Do tejże kategorji pozwoli zaliczyć szanowny P. Adolf i *pokornego swego podnóżka* samego wydawcę jego *Gawęd*, którego tak poziomo wystawił — a który rospocząwszy kursa jeszcze w b. Uniwersytecie Wileńskim, dosłuchał ich w Uniwersytecie Moskiewskim i jako amator, z własnéj ochoty przysłuchiwał się studjom przelotnie w Uniwersytecie Kijowskim i Petersburskim. (*Red.*)

żyć i rozwijać się. Zawsze nadużyją te skorospiałki życia duchowego, — i tak rychło, dawszy tylko błyskotne nadzieje z siebie, — giną marnie i prawie bez pożytku dla literatury, zostawując jedyny po sobie żal, że nic nie zrobili choć mogliby zrobić, gdyby pozostali przy życiu. Tak i nie u nas bywa, a wszędzie. I szacowny Albert Gryf jak słychać, już chyrla *). Szkoda, szkoda, i żal mi szczéry tych naszych skorośpiałek genjuszków.

I znowu nie wesoło P. Bartłomiéj głowę zwiesił.

Tomasz. Trzebaż dzisia takiego nieszczęścia, szanowny sąsiedzie i kochana siostro, żeby wszystko nie wesołe materje nasuwały się na myśl P. Bartłomieja i psuły jego humor. Przejrzyjmyż choć *Révue comique*, lub co lepiéj, podróże starego Joryka, a humor się twój naprawi. — Zresztą to obowiązek żony, kwaśny ten humor zamienić na smak i zapach różowych lodów.

Teresa. Prawdziwie tyś nie zdrów Bartłomieju. Co ci jest takiego?

Bartłomiéj. A ona już i wierzy! Co wam się ubzdrało żem w złym humorze? Jam gotów nietylko przejrzeć, ale i bez przejrzenia napisać drugą podróż Joryka.

Tomasz. Ba — ba! Pisz, zmiłuj się, sąsiedzie. Panie Adolfie, prędzéj pióro i kałamarz nieś, ja podam stół z papierem, a Teresia będziesz łaskawa te szczęśliwie zabawne uczucia Jorykowskie w swym mężu utrzymać choć na kilka godzin, by się nierozleciały i nieuleciały.

Teresa. To jest, jorykowsko-trzpiotalskie? . Bardzo dziękuję za dobrą radę! *Bartłomieju*, nie bądź Jorykiem.

Tomasz. Nie lękaj się siostro, nie będzie, — bo napisać drugą podobną podróż do jorykowskiéj, — oj, P. Bartłomieju, coś mi się w to niełatwo wierzy. — Stern był jedyny w swojéj nawet Anglji nietylko gdzie indziéj, gdzie o prawdziwy żart jego tak trudno, — a u nas, podobny żeby się urodził, bardzo niełatwo. Trzeba na to i nieba angielskiego i okoliczności dla szczęśliwego bez żółci i zjadliwości a z trochą trzpiotalstwa humoryzmu. Nasz humorek dotychczasowy jest prędzéj podobny do niemieckiego t. j. książkowy i bardzo mizerny dla ogółu czytelników, humorek nie światowy, który niezawsze będzie pojęty i prędko ustarzeje. — U nas mogą być pisarze bardzo dowcipni, satyryczni i fantaści, ale na prawdziwy angielski humor, pono się nie zdobędziem. — Czy on potrzebny dla nas lub nie? to drugie pytanie, ale póki niemamy go, ja będę o nim wątpić. I Krasicki był żartobliwy, i Rej i Kochanowski, i dzisia jest tylu probujących, ale to swego rodzaju humorek,

*) Dla poratowania zdrowia wyjechał do Krymu (*Red.*).

często bardzo — z przeproszeniem PP. humorystów, cielęcy wybryk — tyle. Ruskiego pisarza *np.* Weltmana fantastyczny żart i najpocieszniejsze, najżartobliwsze kłamstwa i dziwaczenie się w jego dziwacznym romansie, a z wielą częściowemi zaletami — »*Salomea i Dziwak*" pokazują talent oryginalny, śmiały, na znajomości ludzi i swego ruskiego świata, — mianowicie klasy średniéj i niższéj, — oparty, ale talent nie angielski.

Teresa. Tém lepiéj że nie cudzy a swój. Kiedy tak jest jak mówisz, ja chciałabym iżby u nas podobny pisarz zjawił się.

Tomasz. Mało czego namby się chciało! Ja *np.* w téj chwili bardzo mało chciałbym, bardzo mało, bo ani stu tysięcy, ani nawet ładnéj kochanki (przepraszam za otwartość), ani samemu zakochać się, co zdaje się najłatwiéj i nic nie kosztuje — a chciałbym jeszcze mniéj, a mieć jednak nie mogę. Bo chciałbym wiedzieć i poznać co się dzieje w świecie literackim naszym poznańskim i w Galicji? Jacy tam nowi jenjusze tworzą jenjalnę nowe twory? ale to do naszego zakątka dotąd dolecieć nie może.

Bartłomiéj. A czegoż chcesz? Z katalogów księgarskich widać, że Libelt wydał swéj estetyki część.

Tomasz. Czy prawda tylko? Dawnom jéj oczekiwał więcéj jak Chłapowskiego »*o Rolnictwie*" — ale powiadasz, tylko część, może tyle tylko, co było w Bibliotece Warszawskiéj?.

Bartłomiéj. A już tego niewiem, bom téj książki dotąd niewidział. — M. Gr. wydał trzecią część nowych *korespondencij literackich.* A trzecia nowość, że szanowny Kremer swych *listów z Krakowa* daléj nie chce drukować. Prawdę powiedziawszy, zbyt skromnie on swą estetykę nazwał. — To jéj rospowszechnieniu szkodzi. — Bo któż się domyśli, żeby »*listy z Krakowa*" były estetyką i do tego nie złą estetyką nie taką, jak się podobało zawsze z wyższych jakichś poglądów sądzącemu Ed. Demb. o niéj zawyrokować, że prawie nic nie warta. A co do mnie, już prócz innych zalet jéj, byłoby i to wielką zaletą, że w niéj poraz pierwszy znalazłem był sprawiedliwą i zgodną z moją oceną krytycyzmu M. Grabowskiego. — Tego M. Gr. u nas sądzą i cenią bardzo różnie i zawsze prawie niesprawiedliwie, bo mieszają w nim razem i estetyka czystego i krytyka, i socjalistę-arystokratę, i Jezuitę. Prawda, że on sam często wyjeżdża na tych wszystkich konikach w swych zdaniach. Lecz co do mnie ja w jego — acz instynktowy i nie zawsze wyrozumowany sąd czysto literacki jeno, ale wierzę. — Tam gdzie trąca on inne rzeczy, nie łatwo z nim zgodzić się, nawet co do walterskotyzmu, że to jest jedyny dzisia rodzaj pisania, także za stara już idea. A co do reszty, Pan M. Grabowski ma logikę.

Tomasz. Ale odrzuciwszy to, w czém się z nim nie zgadzasz, cóż zostanie, na cobyś zgodził się? Prawie nic?

Bartłomiéj. To ostateczność P. Tomaszu. Jak to nie? albo innych rodzajów beletrystyki nie mamy, nie mówiąc już o innych rodzajach literatury, prócz historycznego romansu, prócz jezuitów filozofji i zasad czysto arystokratycznych, o których M. Gr. swe zdania objawia?

Tomasz. Nie wieleże naliczysz tych innych rodzajów o których on pisał, i gdziebyś mógł z nim zgodzić się co do joty.

Bartłomiéj. Zupełna zgoda! A gdzież ona jest? My z tobą dwaj, każdy z nas z sobą samym, nie zawsze zgadzamy się,— a ty chcesz, żebym z M. Gr. albo on ze mną wszędzie mógł zgodzić się?. Jemu albo mnie, czegoś a może i wiele różnych wiadomości,—nie mówię już o nie jednéj klepce w głowie—niedostaje do zupełnéj naszéj zgody.

Teresa. Ale zapominasz Bartłomieju o głównych zasadach, na których opierają się zdania ludzkie i wasze.—To jak niebo i ziemia. Jakaż więc może być zgoda u was? i co za zgoda, że na dębie i sośnie liście?... ale jakie podobieństwo tych liści i natury tych drzew?.

Tomasz. Oto lubię, i szczérze dziękuję ci siostro, żeś tak dowcipnie i zręcznie odpowiedziała za mnie P. Bartłomiejowi. Bo ja lepiéj niepotrafię odpowiedzieć, na upatrywaną zgodę sądów M. Gr. i P. Bartłomieja, jak równając ich do podobieństwa choć *np.* wilka z kozą.

— P. Bartłomiéj siedział z opartą głową na dłoni i nic nie odpowiedział na to. P. Tomasz znowu przerwał milczenie.

Tomasz. Niechce się mi zgadywać co wydrukował M. Gr. w swych nowo-wyszłych krytycznych artykułach? czy powtórzył to wszystko, cośmy czytali w Tygod. petersburskim i po noworocznikach, czy całkiem co nowego?. Ale bardzoby nieźle zrobił, gdyby pomieścił tam przegląd naszéj literatury z 1840 roku po dziśdzień. Jakiby tam pogląd jego nie był, religijny, arystokratyczny, czy czysto kunsztowy, lecz taki przegląd naszego piśmiennictwa z ostatniego lat dziesiątka, jest bardzo pożądany i konieczny. Bo z 1830 po 1843 rok, był za mą radą napisał Hip. Sk. nawet z kalendarzykiem wszystkich pisarzów i artystów nowych. Szkoda tylko że trzy tomiki tego pisemka, dotąd niewydrukowane. Prawdę mówiąc, ja tego przeglądu literatury naszéj z lat ostatnich dziesięciu, chciałbym od Gryfa, od Szulca, a jeszcze lepiéj od Wandalina Habdanka, co to nam pokazał tyle wyrozumiałéj i obszernéj znajomości naszych pisarzy i literatury w swych trzech

Listach konwersacyjnych *). Bo na to wszystko trzeba] prócz zdrowego sądu, jeszcze zręczności i możności wszystko przejrzyć co się u nas drukowało i wydrukowało, a tym trzem pisarzom, gdy się nie mylę, to najłatwiéj zrobić.— Nawet nieszkodziłoby gdyby za wspólném uprzedniém porozumieniem się, wzięło się za to kilku pisarzy rozdzieliwszy między sobą przedmioty dla przejrzenia. Bo jednemu to zrobić dobrze, za trudno. W innych literaturach są każdoroczne ogólne sprawozdania, nawet każdomiesięczne z bieżącéj literatury, u nas choćby z dziesięciolecia mogło się ukazać, i to byłoby bardzo nieźle.

Bartłomiéj. (jakby przebudzony) Wilk i koza! a którego z nas nazwiecie wilkiem a którego kozą, P.P. sędziowie?.

Teresa. Co tobie Bartłomieju? Ty niesłyszałeś zgoła o czém Tomasz mówił dopiéro,— co ci jest w głowie?

Bartłomiéj. Owszem, słyszałem bardzo dobrze, nie lękaj się Tereso. Lecz z waszém zdaniem i niegrzeczném porównaniem, ja zgodzić się nie mogę. Bo ja każde i każdego zdanie i sąd— nie tylko M. Gr.— nie lekce ważę, choć one z mojemi są w stosunku wilka do kozy, byle pochodziły z głębokiego przeświadczenia się pisarza o tych zdań prawdziwości i użytku dla literatury i w ogóle— ludzi.— A przeświadczenia się tego, pomimo od wielu zaprzeczeń, ja u M. Gr. widzę dosyć. Wy z P. Tomaszem chcecie należyć, choć wiém że nie należycie, do tych P.P. sędziów i krytyków, u których skala i łokieć estetyczno-krytyczny, jest bardzo prosty i krótki.— Do tych *np.* którzy, gdy znajdą w jakimś wiérszu lub powiastce czy rosprawçe wyrazy: lud, ludzkość, nadzieja, świta słońce, pal go djabłu z gnębicielem, i t. p. widzą w tym pisarzu już ogromny, olbrzymi postęp, i wieńczą go liściem dębu. zapisując w poczet jenjuszów, choćby pisma jego z innych względów były takie, jak *np.* wierszyk w *Biruty* Części II. «do Mojéj" i t. p.— Albo, którzy za pjetyzm i mistycyzm a w dodatku walterskotyzm choć najgorzéj, bo historycznie tylko wzięty, ogłaszają pisarza z pisemkiem za najgłębiéj poczuwającego dzisiejsze potrzeby prawdziwe wieku i ludzi.— Albo, do jakich poczęści my zaliczamy się, gdy znajdziem pisarza, co patrzy, widzi i opisuje świat i ludzi praktycznie jak są lub byli rzeczywiście, radujem się więcéj, niżli z pisarzy choć dobrych ale satyryków tylko lub *szylerujących* po swojemu t. j. najpodejrzaniéj, i t. p. i t. p. Wszystkim oświeceńszym ludziom powinno być wiadomo, że estetyczna krytyka jest bardzo nie łatwa i śliska. Tu w przesadną jedno-

*) W Tomie IV. *Gwiazdy Kijowskiéj.* (*Red.*)

stronność wpaść nie trudno najostróżniejszemu, najobszerniejszemu i najwyrozumialszemu umysłowi. Przecież Maur. Mochn. zaprzeczył był daru poetyckiego wszystkim Stanisławowskim pisarzom? M. Gr. nie mógł go znaleść ani odrobiny w A. E. Odyńcu, który swemi przekładami z angielskich poetów zadał fałsz największy sądowi M. Gr. o nim. Bo tak tłumaczyć może tylko poeta prawdziwy.— I zdania o M. Grabowskim z małym bardzo wyjątkiem, są wszystkie, szczególnie Warszawskie, nadużyte, przesadzone, bo wyszły z jednéj tylko idei ludowéj, posunionej często do dziecińśtwa, naciągania i sofizmatu. Nie, mój sąsiedzie, ja nie potępiam i nie czuję się wolnym i dość uczonym na to, aby lekceważyć jak inni M. Gr. Po co grzeszyć? Czyśmy wszyscy od niego mało się nauczyli?. albo przynajmniéj, czy nie pomógł on nam nasze samorodne większe i mniejsze myśli oświetlić i ułożyć w pewniejszy i więcéj harmoniczny z prawdą porządek?.

Teresa. Zapewne wypisałeś już i myślisz przystąpić do czytania romansów Tarszy?

Tomasz. Tylko co chciałem toż samo powiedzieć.

Bartłomiéj. Zabawny wasz zarzut. Nieczytałem ich wszystkich, bo nie zdarzyło się, a kupować umyślnie, to wiecie, że wszystkiego nienakupisz. Lecz nowo wyszły tomik krytyki M. Gr. jużem wypisał.—

Tomasz. Dobrze zrobiłeś, boś mię w tém wyręczył.

Teresa. Ty na nas gniéwasz się Bartłomieju?.

Bartłomiéj. (uśmiéchając się) Co wam się podobało dzisia we mnie widzieć? Jam dziś jak zawsze, a wy sami zaczynacie dziwaczyć.

Teresa. Ktoś dzisiaj nam szyki popsuł.

Tomasz. (weseléj). Przy zupełnéj zgodzie— jedno nudne milczenie siedzi, a mnie nie chce się milczyć mrukiem, a mówić i żyć.

Teresa. I proszęż jego! On umyślnie sam sobie sprzeciwia się, aby miał potém co zbijać Bartłomiéj. Nierozumiem.— Jakbyście wczora z sobą tylko się poznali.

Tomasz. Nasza kochana mentorka, prawdziwa mentorka, bo zaczyna już gdyrać.

Teresa. (grozi palcem Tomaszowi). Lecz takim sposobem Bartłomieju zjeżdżasz na człowieka bez swojego stałego i wyrozumowanego zdania, na czystego gméracza, którego grzeczniéj nazywają *eklektykiem*, a jakim jest— *Biblioteka Warszawska.*

Tomasz. Co Panie sąsiedzie? jakie pytanko?..

Bartłomiéj. Pytanie Panie Tomaszu takie, jak wiele dzisiejszych waszych i nie waszych pytań i zarzutów skaczących i ergo-

tyzujących niedość celnie. Że ja Pawła i Gawła pochwalę albo zganię, choć oni podobni do siebie jak para twoich koni, P. Tomaszu, wrony i bułany, to już mam być bez gustu, bez zdania i eklektykiem, t. j. człowiekiem zgoła nie mogącym samodzielnie myślić?— Jeszcze to żaden dowod. Ale ty, widzę, dziś aby sprzeczać się. Czy nie pora nam przekąsić czegokolwiek Teresiu?..

Teresa. Zaraz podadzą.

Bartłomiéj. A potém niezbyt i ja lubię dzisiejszych fanfaronów i niewierzę im, co to koniecznie silą się wmówić sobie i drugim, że oni mają swoje wyrozumowane stałe zdanie życia i sąd krytyczny czy estetyczny pożycia, a z nim rozumie się— i literatury. Gdzież takich mędrców prawdziwie postępowych nabrać? i gdzie ich było kiedykolwiek do tyla jak zeszłego lata gruszek, co niewidzieliśmy gdzie ich podziać! Nie zawsze zły i eklektyzm i ci gméracze, jak Teresa zowie, a ja przynajmnniéj ich cenię i szanuję za ich otwartą skromność, że nie myślą świata i ludzi w dzień na inny kopył przerabiać, i to jeszcze jak bardzo sprawiedliwie P. Tomaszu powiadasz o większości dzisiejszéj młodzieży, nie podług głębszego poznania świata i życia i potrzeb ich przerabiać, ale według swych młodych niedopieczonych fantazyjek nachwytanych albo z książek albo tak sobie, mimolotem, choć przy zielonym stoliku, które to fantazyjki ladadzień i doświadczenie, zamienia drugiemi i na biédę, nie zawsze lepszemi.— Literatura prawdziwa powinna być obrazem rzeczywistego życia a nie przelotnych urojeń, i nie z nich a z głębokiego zastanowienia się nad prawdziwém, praktyczném życiem świata i ludzi, powinna się rodzić.— Prawda, że to stara już pieśń o tém gadać dzisia, ale jéj nigdy napowtarzać się nie mogę, skoro tylko w rozmowie do tego zbliżę się.

Tomasz. Zbliża się, zbliża do nas poezja i ogień życia, prawdziwy *ignis* a nie *aqua vitae* (służący przyniosł przekąskę).

Bartłomiéj. I potém prawie każdy z takich literatów i postępowców, zasłania się swojemi najlepszémi chęciami. Zawsze im gotów jestem powiedzieć, że nikt o ich dobrych chęciach i nie śmiał wątpić,— ale tego na dzisia zamało. Trzeba dobrych i na pewno dobrych uczynków, a nie tylko domniemanie dobrych a w istocie najgłupszych i najgorszych, bo nie mamy uzdolnienia prawdziwie dobrze robić. Tym panom trzeba zawsze pamiętać o tym niedźwiedziu, co bardzo chciał zabić muchę kąsającą śpiącego człowieka, i zamiast muchy, zabił swą łapą ochranianego człowieka. Chciał on bardzo wiele, ale zrobił najgorzéj.

Tomasz. Zgoda— zgoda szanowny sąsiedzie. Lecz dla mnie żal i bolesny żal, nie mówię już— próżnującej i nawet łotrującej młodzieży, ale gdy który z lepszych pisarzy żyje i pisze więcéj oglądając się tylko na sztukę i dla saméj sztuki, niżli dla praktycznego, społecznego życia. On samolubnie sieje tylko dla swéj sławy na przyszłość,— lecz na dzisia, dla swych współczesnych braci— jest próżną, obojętną cacką, prawie martwym kamieniem, choć nie raz bardzo zgrabnie oszlifowanym.

Teresa. A co jest sztuka?

Tomasz. Zawsze tylko bawidełkiem, rozrywką, może rozumną rozrywką, ale nic więcéj jak rozrywką. Ona potrzebna jako przydatek i uprzyjemnienie życia, bo przez to ogólna oświata rozwija się, ale nie tyle co nauka życia potrzebna t. j. to samo prawie, co samo życie.

Teresa. Albo sztuki nie mogą być razem i nauką życia, i czy nie budują nieraz moralnie nas?

Tomasz. One pomagają tylko nauce, a same jedne, to... to kogo zdołają zbudować i zrobić lepszym?— Kto jest już nie złym, a przynajmniéj nie mało wykształconym moralnie i umysłowo. A dla reszty— dla ogółu są bawidełkiem, upiększeniem tylko istoty człowieka i życia a nie podstawą życia i samém życiem. I z tego względu, kochany sąsiedzie sądząc, trzeba nie raz uniewinić i pobłażliwiéj krytykować młodych i starych, co chcą według swego widzimi się więcéj *nauczać żyć*, jak *bawić* tylko.— Oni mogą się mylić, ale któż ma prawo rzucić na nich kamieniem?. Kto i kiedy nie błądził i nie zbłądził?. Wszakżeśmy sami nie od razu tak myśleli i mówili, jak dzisia mamy przyjemność siedząc przed tą poważną tacą. Przecudowne masło, kochana siostro! Panie Adolfie, ja ci pozwalam choć Dr niepozwala. Proszę do nas bliżéj.

Bartłomiéj. Szkoda żeś nie dokończył sąsiedzie, méj myśli.

Tomasz. Myślałem że swego— kieliszka?

Bartłomiéj. Bom to samo chciał powiedzić Teresie z tym dodatkiem jeszcze, że co do mnie, bardzo staram się szanować i sprawiedliwie cenić artyzm i prawdziwych artystów,— lecz nie mogę dotąd dobrze pojąć téj ogólnéj— prawda nie nowéj, ale dziś szczególnie rozpowszechnionéj manji i czci pogańskiéj, szalonéj dla sztuk i artystów. Prawie każdego artystę, nie mówię już o wyższych i lepszych malarzach, muzykach, snycerzach, co przy swym artyzmie są nie raz ludźmi wyższych usposobień i zdolności umysłu, jak Petrarka, Torwaldsen, ale nawet tancerzy i tancerek nazywają artystami, noszą na ręku, osypują kwiatami i złotem, stawiają im ledwo nie pomniki.— I jakżeż nagrodzić można

i jak nagradzają się względnie do artystów, dobroczyńcy, zbawcy ojczyzny— ludzkości?!

Tomasz. Tym panom zostawuje się szukać dla siebie nagrody w sobie samych, w przyjemności spełnienia ich dobroczynnego czynu.

Bartłomiéj. Prawie na to wygląda.

Tomasz. I istotnie bez żartu, tu ludzie pospolici nie tyle winni jak się zdaje.— Owszem, oni swoją nicość i zmysłowość tak głęboko czują i uznają przed wielkością prawdziwie wielkich ludzi,— że powiadają im wprost: my was nie umiémy nagrodzić,— niech wam P. Bóg zapłaci.— I jeszcze dobrze, gdy się to kończy tak a nie gorzéj, gdy nie obwołają wielkiego człowieka warjatem i do Bonifratrów nie zapakują. A artyzm i każdy artysta, że działają więcéj na zmysły nasze, a te mniéj więcéj u każdego są więcéj rozwinięte jak umysł i duch— a przez zmysły namiętności nasze poruszają się,— więc bardzo jasno i sprawiedliwie, że każda tancerka stokroć więcéj hołdujących dla siebie zyskiwała i zyskuje, jak fizyk jaki, mechanik lub nawet wojownik. Dla tych dość orderu jakiego świętego— i t. p. Bo sprawiedliwie Wandalin Habdank powiedział, albo chciał zdaje się tak powiedzieć:— że poezja i sztuki są chrześcjańskie i pogańskie. Chrześcjańskie jeszcze nie w wielkiéj cenie i poszanowaniu, pomimo że dwa tysiące prawie lat nazywamy się chrześcjanami, a poganami t. j. czysto ludźmi a nie aniołami, byliśmy od stworzenia i będziem do końca bytu ziemskiego.— A potém, jak dziś nie mówić i nie zachwycać się artyzmem i artystami! To byłoby najgrubszém nieokrzesaniem.— Pojmujesz ich cokolwiek lub zgoła nie pojmujesz ani czujesz, lecz przez jedną fanfaronadę trzeba gardłować za artystami i sztukami. Bo tak świat uczony i nie uczony, a szczególnie salonowy— dzisia chce. Czy zgoda więc P. Bartłomieju?. Bo kochana siostra, wiém dobrze, że dawno ze mną zgodna, gdyż trocha operę lubi.

P. Bartłomiéj nic nie odpowiedział.

Przy rozstaniu się P. Tomasz odezwał się:

Tomasz. W tych dniach spodziewam się przysyłki *Pamiętnika Naukowo-Literackiego* i *Ateneum.* Którekolwiek z dwójga przyszlę tobie sąsiedzie, a sam może przeczytam drugie, i gdy będziecie u mnie wedle obiecania, zadam wam znowu wieczor najnudniejszy t. j. literacko-krytyczny.— Ale— ale. Powiém wam nowość, jeśli dla was to będzie nowiną.— Francuzi tak zmądrzeli, tak chcą z pustackich czytelników A. Diumasa, Eug. Siu i t. d. romansów, przerobić się na poważnych z angielską flegmą i rozmy-

słem krytyków literatury i życia, że najlepsze ich żurnały wypowiedziały w swym felietonie służbę wszystkim romansom, a natomiast oczyściły miejsce dla krytyki.

Teresa. A to dla czego?

Tomasz. Bo im się zdaje że czytanie romansów i próżniactwo przytém, sprowadziły rewolucję, a krytyka sprowadzi pokój i szczęście.

Teresa. Ależ to będzie nudota niezmierna bez powieści i romansu!

Tomasz. A ze złą powieścią i romansem było wesoło?

Teresa. Zawsze weseléj jak z najnudniejszą waszą literacką krytyką. A późniéj, cóż oni będą krytykować, gdy nie będzie powieści?

Tomasz. Krytykować będą nauki ścisłe, obyczaje i życie, jak robiły romanse obyczajowo-społeczne, tylko bez przenaturzania i sofizmów Pana Siu i Jerzego Sanda.— I tak więc, dziś krzyczą żurnaliści francuzi, rozumie się ci u których brak dobrego romansu dla felietonu— krzyczą: brawo! wiwat krytyka!— A ja dodam, *vivat krytyka*, tylko sprawiedliwa, prawdziwa, zdrowa i chrześcjańska! Ona prędko zamieni się w romans i pogadankę kominkową. To jest,— nie będzie ani romansu ani krytyki, a tak cóś pół psa pół kota; albo jeden spoważnieje, a krytyka zmięknie i szczebiotką się stanie. A zresztą, pożyjem— zobaczym. Moda na wszystko zmienia się z czasem. Tak i Paul de Kock znowu wejdzie w modę. Teraz do nóg upadam.

Bartłomiéj. Nie zapomnijże przysłać książki.

Tomasz. Nie zapomnę. I ja ci opowiém co sam przeczytam, a ty wywzajemnisz się mi podobną usługą.

Teresa. (u progu). To bardzo nudno, i dla mnie uprzednie czyjeś opowiadanie wiele uroku i ciekawości w czytaniu ujmuje.

Bartłomiéj. Bo czytasz nie tak jak P. Tomasz, a poczęści i ja. My nawet z większą przyjemnością i ciekawością wczytujem się w szczegóły i sposób oddania artystyczny pisma, gdy wprzódy dowiémy się o jego treści i idei.

Teresa. Nudziarze!

Tomasz. To można zastosować,— t. j. nie przymiot *nudziarzy*, ale przyjemność w rozczytywaniu się w szczegółach,— tylko do lepszych pisarzy. Przecież są tacy szczęśliwi autorowie, których im więcéj czytasz, tém bardziéj chcesz ich znowu odczytywać.— Ale bądźcie mi zdrowi! Gawędzie końca nie będzie. Do przyjemnego i szczęśliwego zobaczyska.

Adolf z pod Bielska.

1850 r. Lutego 1.

WYBRYKI DOBREGO HUMORU.

Do nieobecnéj.

POKOJE puste— jej nie ma!
Cóż począć z nudnym wieczorem?!
Szczęście że jestem autorem,
A nawet czuję się w wenie.
Rozgoszczę się w budoarze
I moję trzpiotkę ukarzę
Naprzód:— mocnym cygar dymem,
Potém— gdy służy natchnienie,
Długim, nieskończonym rymem
«Do nieobecnej"— a ona
Wichrem świata rozmarzona
Wróciwszy w domu zacisze,
Znajdzie listek zapomniany,
Żalem— tęsknotą owiany,
I póki ją sen uroczy
Falą marzeń ukołysze,
Może mrużące się oczy
Przez chwilkę na nim zatrzyma,
Słodkim uśmiechem przywita,
I dosyć... ah! ona więcéj

Spojrzeniem sennem wyczyta,
Lepiej głos serca zrozumie
Niż ty,— trzeźwemi oczyma—
Ślęczący zoilów tłumie!
By w nagim formy szkielecie,
Lub w zapomnianym średniku
Znaleść broń przeciw poecie
W wiecznie bluźniącym języku!
Nikczemni!... ale co słyszę?!
Bliski teatr zagrzmiał wrzawą:
«Fora, fora!— bravo! bravo!
«Smirnow! Smirnowa! Smirnowa!"
Przebóg! aż się kręci głowa!—
Ah! toż widowisko przecie
Nad które nie ma na świecie
Nic milszego, nic głupszego,
Gdzie człowiek przedrzeźnia człeka,
Bliźni szkaluje bliźniego,
Gdzie się fałszują uczucia,
Gdzie się trucizna zepsucia
Barwą zabawki powleka;
Gdzie zaciągnięte w gorsety
Grube, nieciosane pniaki
Nimf powietrznych grają role;
Gdzie komedjant ladajaki
Plecie plugawe androny,
A tłum widzów zachwycony
To się serdecznie rozczula,
To grzmi brawo i oklaski,
Że aż się trzęsie rajtszula,
Z opiekuńczej rządu łaski
Wymazana, wybielona,
W zgrabny teatr przestrojona.

I cóż jeszcze?— ah! czyż mało
Szumny Tyflis ma ponęty?

Patrz— jaką szopą wspaniałą
Plac Erywański zajęty!
A nad szopą maszt wystrzela,
Na maszcie sztandar z szkarłatu
Powiewa naszemu światu
Znamieniem uciech— wesela.
By ucieszyć myśl stroskaną
Ruszaj wprost do *bałaganu*.
Za rubelka— bagatela!
Ujrzysz jak skoczek na linie
Vis-à-vis pięknéj dziewczynie
Tańczy polkę doskonale;
Albo nareszcie w zapale
Po wszystkich cudach zręczności
Rzuca się— *salto mortale!*
Aż damy padają w mdłości.
Potém, widok inny znowu:—
Dzieci śliczne jak aniołki
To chodzą po ziemi głową,
To przewracają koziołki,
To prężą się— wyginają,
Iż rzekłbyś: że one mają
Połamane nogi, ręce.
Ah! to widok bardzo czuły
Zwłaszcza kobiecemu oku,
Gdy jak w konwulsyjnéj męce
Wyprężają się muskuły,
I gdy żebra trzeszczą w boku.

Lecz znów widok się przemienia.—
Cała jeźdźców kawalkada
Jak wicher na plac wypada!—
Naprzód tańce w konia biegu,—
Potém, zbrojni najezdnicy
Szereg przeciwko szeregu

Wiodą bój krwawy, zacięty,
Aż dusza ucieka w pięty.—
Wieleż grzmotu, kurzu, wrzasku!
Dym od prochu— pył od piasku—
Huk wystrzałów— szabel szczęki —
Że aż trzeszczą w szopie belki,
Ale przy tém Bogu dzięki—
Krwi rozlanéj ni kropelki!
Pa pa pa pa! jakie dziwy!
Wykrzyka Gruzin szczęśliwy.

Tam znów drugi teatr śliczny,
Tak nazwany: «mechaniczny.”
Gdzie ludzie z drzewa strugani,
Aktorowie zawołani,
Gdy ich sprężynka obudzi,
Rozumniejsi i zgrabniejsi
Od nas grzesznych żywych ludzi.

Przejdź ulicę— patrz na ściany
Gdzie afisze stoją szykiem.
Jeden z nich wierszem pisany
Rusko-niemieckim językiem,
Pełny świadectw patentowych
Od miast, zgromadzeń i dworów,
Gdzie słodziuchnemi wyrazy
Kunsztmistrz prosi amatorów
Odwiedzić za dwa *abazy*
Gabinet figur woskowych.
Za dwa abazy!— bez księgi
Tam się dziejów nauczycie,
Bo herold wprowadza gości,
I opowiada im życie

Owych olbrzymów potęgi,
Władzy, rozumu, wielkości,
Co teraz w sztucznéj skorupie
Stoją milczące— i głupie.—

Słuchajmy— herold zaczyna,
Publiczność nadstawia uszy:—
«Ot ten piérwszy— dobréj tuszy,
Jest to Alexander wielki.
Wojował, jadł i pił wiele;—
Codzień zjadał całe ciele
I wypijał trzy butelki..
«Czego?"— Ktoś z widzów zapyta—
«*Szwarcbier— fersztejtsich*"— i kwita.

. . . .

Oto podobne dwie pary:
Są to przeniewiercze żony;—
Eneasz od Putyfary,
Józef zmyka od Dydony.

. . . .

Proszę patrzeć!— widok czuły
Wszędzie publiczność zachwyca.
Ot stoi jedna wilczyca:
Ona karmiła bliźnięta,
Ale w drodze się zepsuły
Jak się wywrócił wóz z skrzynią.
A nie były to wilczęta,
Ale śliczne małe dzieci.
Mój gospodarz z gospodynią
Dzień i noc teraz pracują,
I prędko nowe zmajstrują.

. . . .

Oto dwie Rzymskie figury:
Ot ten— co stoi ponury,
To Tarkwinjusz król ostatni,
Za umizgi wpadł do matni.

A to August— Cesarz pierwszy—
Był wielki amator wierszy.

. . . .

To Rinaldo Rinaldini
Filozof najnowszéj szkoły—
Mieszkał w lesie lub jaskini,
Sam zawsze biédny i goły;
Po drogach z uczniami swemi
Odzierał bogaczów ziemi,
A biédnym dawał potrosze.
Tu już wszystko.— Teraz proszę
Moi państwo, pójdziem daléj
Do następującéj sali,
Gdzie prawodawcy, uczeni,
I sekt nowych tworzyciele;
A téj chałastry tak wiele
Aż niektórzy stoją w sieni.
Trzeci pokój— tam nie żarty!
Już same cuda i dziwy.
Pinetti grający w karty,
Trąbiący w trąbkę myśliwy;
Frydrych— gdy mu brodę golą,
I baba tańcząca solo.
Ale za to nowe dziwo—
Osóbno abaz na piwo."

Prawda, nie ma co powiedzieć!
Jak można w domu usiedzieć
Choćby z tym kogo kochamy,
Gdy takie widoki mamy!.
A tam wszędzie tłumno.. jasno..
Tyle blasku— życia tyle—
Że najmilsze szczęścia chwile
Niesione w darze kochaniu
Kiedy z niemi w porównaniu

Tysiąc razy znikną— zgasną.—
Oto uciechy— wesele,
I miła czasu utrata
Którego mamy tak wiele
W nasze nieprzeżyte lata!!.
Z tak przepędzonym wieczorem
Czyliż porównać się w stanie,
W samotnéj domowéj ciszy,
Bez świadków, bez towarzyszy,
Wzajemne uczuć wylanie,
I długa rzewna rozmowa,
W któréj dusza taje w słowa,
Któréj nie byłoby końca
Aż do jutrzejszego słońca!.

Szczęśliwy! dla kogo nieba
Takich roskoszy nie skąpią!
Komu tak snadno, tak mile
Podobnych rozrywek chwile
Domowe szczęście zastąpią.
Tam wielkich ofiar nie trzeba!
Tam jak na bazarnym targu
Potrzebne oczy i uszy;
A życie serca i duszy
W roskosznym drzemią letargu.

Lecz dla mnie słodsze ponęty
Ma domowy kątek święty,
I te ciche cztéry ściany
Gdzie sierota— zapomniany,
Moję tęsknotę samotną
W rzewném dumaniu wypłaczę;
I zkąd posyłam myśl lotną
Daleko.... w rodzinne strony,
Których więcéj nie zobaczę,
Burzą nieszczęścia pędzony!..

Bądź szczęśliwą i spokojną!—
Niech cię wszystko w świecie bawi
Niech się nigdy uczuć wojną
Twoje serce nie zakrwawi.
Niech ci jeszcze z wiosną nową
Skarby życia się otworzą,
I wszystko kwitnie w naturze;—
A gromy— pioruny— burze,
Niech się tylko pastwią, srożą
Nad biédną tułacza głową!—

Leon Janiszewski.

Tyflis 1846.

NB. Sprawiedliwość każe tu dodać że od 1846 roku w którym ten wiersz pisany, Teatr Tyfliski tak się ulepszył, że często przynosi widzom prawdziwą przyjemność,— a na placu Erywańskim, zamiast szopy dla akrobatów i woltyżerów, wznosi się śliczna ogromna budowa, na nowy obszerniejszy i lepiéj urządzony stały dla Tyflisu Teatr przeznaczona. (*Aut.*)

DO PANA JERZEGO.

Wiersz poświęcony Jerzemu Kobylińskiemu na pamiątkę wesołych chwil spędzonych w jego towarzystwie w Dobośnie w Listopadzie 1837 roku.

Panie Jerzy!
Życie bieży,
A śmierć w tyle;
I za chwilę
Tak znienacka
Da ci placka,
Że koziołka
Dasz do dołka,
Być pogrzeban.
I ksiądz pleban
U mogiły
Z całej siły
Ostateczne
Requiem wieczne
Dona ei,
Po kolei
Krzyknie tobie!..
. . . .
Może czyje
(Kto wypije)
Na twe deski
Spadną łezki!
Lub też może
Co daj Boże!
Choć łza jedna
Szczéra— biédna
W téj godzinie
Cicho spłynie!—
Tuż z łopatą
Za zapłatą
Dziad wesoły,
Twe popioły
Wraz zasypie.
A na stypie
Krewni bliscy,
Radzi wszyscy
Że pan Jerzy
W ziemi leży,
Wiwatują
Z całą szują

Sukcessorów,
I twych zbiorów
Gruppę ładną
W lot rozkradną!—
Kiedyś wreszcie
Wspomną w mieście
Sowietnika
Śród balika.—
Więc i krewni
W smutku rzewni
Co nie dawno
Ręką wprawną
Złota składy,
I szuflady,
I stoliki,
Kufry, bryki,
I szkatułki,
Szafki, półki,
I tam daléj
Rozdrapali;
Wreszcie sobie
I o tobie
Z żalem wspomną,
I nad trumną
Wspólną składką
Urnę gładką,
Bez roskoszy
Za sześć groszy
Zlepić każą,
I wyrażą:
«Tutaj leży
«Ś. p. Jerzy,
«Zmów kto mija,
«Zdrowaś Maryja."—
. . . .
Panie Jerzy,
Życie bieży!
Gdzież te czasy
Skąd zapasy
Wyśmienite
I obfite
Dykteryjek,
Historyjek,
Anekdotek,
Prawd i plotek?
I gdzież owi
Niegdyś zdrowi
Żwawi, żywi
I szczęśliwi
Których teraz
Mówisz nie raz
Dawne sprawy
Dla zabawy?!..—
Wiatr powiewa
I liść z drzewa
Sród zamieci;
Leci... leci
Gdzieś w przestrzenie!—
Jeszcze mgnienie..
Już go nie ma!..
To emblema
Dni człowieka!
Panie Jerzy,
Życie bieży,
Czas ucieka!
A więc żwawo
Z szumem, z wrzawą,
Z uciech chętką,
Żyjmy prędko!
Héj kto żwawy
I nie żwawy,
Do zabawy,

Do zabawy!
Precz— precz troski!—
Wiwat szklanka
I kochanka,
I xiążeczka,
I fajeczka,
I śród ściany
Zapomniany
Kord dziadoski!
Wiwat wszyscy
Duszą bliscy,
Choć w przestrzeni
Rozdzieleni,
I morzami,
I górami,
Bracia mili!
I w téj chwili
Wznieście flasze!
Dziś— dziś nasze.
Brevis vita
Z jutra kwita.—
Korek pryska,
Wino tryska,
Héj młodzieży—
Wiwat Jerzy!!..

Leon Janiszewski.

MATERJAŁY HISTORYCZNE.

PRZEDSTOLETNIE KALENDARZE *).

Po ŚMIERCI ośmdziesięcioletniéj Matrony w sąsiedztwie mojém ze świetnego rodu książąt *Ogińskich*, w zbiorze jéj książek znalazło się kilka przedstoletnich Kalendarzy. Z prawdziwym interesem wziąłem się do rozpatrywania tych jedynych niegdyś przewodników domowego życia naddziadów naszych. Było to ich *pismo perjodyczne roczne*, w którém znajdowali oni wszystko, co ówczesnym wyobrażeniom wieku odpowiadając, zająć ich umysły, i dać im na cały rok materję do codziennych rozwag, mogło.

Wyobraźmy sobie szlachcica, który w końcu Grudnia przywiozł sobie Kalendarz na rok nowy, a w nim: (tytuł) «*Swięta roczne,— i biegi niebieskie— aspekty— wybory— czas siania i szczepienia— krwi puszczanie— Lekarstw i purgansow zaży-*

*) Składamy podziękowanie szanownemu autorowi *Obrazów Litewskich* za udzielenie nam tego artykułu— wykazującego tak dobrodusznо-naiwne pojęcia przodków naszych,— oraz obietnicę dalszych, którémi zbiór nasz, zacny autor przyrzekł uposażać. Oczekujemy opowiadania historycznego opartego na faktach Kroniki szlacheckiego domu na Litwie w połowie XVIII. wieku. (*Przypis Red.*)

wanie— A nadto: konjektury, praktyki i prognostyki astrologiczne, uniwersalne— z przepowiednią dobréj lub złéj fortuny, dla wszystkich prowincij kraju— Deszczów i pogody— Urodzajów, zaćmieniów i skutków onych— dni feralnych i klimakterycznych— Z dwunastu asteryzmów i siedmiu planet niebieskich koncypowane." Na rok pański i t. d.— a to w części uczoną prozą, a w części wierszami ułożone.

Jakiż skarb szlachcic ten, jakąż mądrość wniósł do swego domu! Jakiego nauczyciela w gospodarstwie! Jakiego poradnika we wszelkich swych *imprezach*, w sprawach domowych i za domem! Czego my teraz w kilku i kilkunastu perjodycznych książkach, na ugaszenie nienasyconéj naszéj ciekawości i wiedzy, nie mamy, on to wszystko w jednym kalendarzu najdował: przestawał na tém i wierzył mu zapewna tém bardziéj, że wszystkie tam wyroki kończyły się zwykle radą ostateczną, zaufania w Bogu, jako we wszechwładnym *Ordynatorze* wszelkich nadziei i losów ludzkich.

Bo jak powiada: «Antoni Mikołaj *Krząnowski*, w przesławnéj Akademii Krakowskiéj nauk wyzwolonych i Filozofii Doktor— ordynarjiny Kursu Filozoficznego i Astronomii Profesor— Kollega mniéjszy— Geometra przysięgły"— a wydawca Kalendarza na rok 1738 w praktyce generalnéj:

«Choć się ułożą jak najlepiéj nieba,
«Przecież w to bardzo dufać nie potrzeba;
«Dopiéro każdy o swém szczęściu zgadnie,
«Gdy ten zezwoli, który niebem władnie."

«A zaś Stanisław z Łazów *Dunczewski*, w Akademii Zamojskiéj Processu Koronnego prawa Profesor— Matematyki Ordynariusz— Jaśnie Oświeconego trybunału Koronnego Geometra przysięgły." W kalendarzu na rok 1743 wydanym w Zamojściu, na czole *Praktyki Astrologicznéj*, oddaje hołd Chrystusowi Panu, jakby na dowód, że mimo wiarę w naukę z czarnoksięztwem w niejakiéj styczności będącą, jest on jednak gorliwym czcicielem syna Bożego i Jego przeczystéj Matki, tak się odzywa:

«*Sol Deus omnipotens, est virgo Luna Maria!*
«Szukajcie Astrolodzy planetów po niebie;
«Gwiazd szczęśliwych i znaków, dla inszych i siebie:

«Dosyć mi szczęśliwości znaleźć tu przy żłobie
«W stajni Księżyc i Słońce w człowieczéj osobie."

Lecz przejdźmy już do samych kalendarzy, ogólnym je zajmując przeglądem, składającym się jednak ze szczegółów i wyjątków, mających dać treścią i stylem powód do niejednéj myśli porównawczéj, i wniosku, ile jedno stólecie silném poparciém podniosło nas razem ze wszystkiemi ludami Europy, nad chmury przesądów i błędu— może za nadto wysoko nawet....

Piérwszy Kalendarz jest z roku 1738, a zatém lat mu 109— wydany w Krakowie, przez wyżéj wspomnionego Mikołaja *Krząnowskiego:* i następnie z kolei dochodzą one aż do roku 1749,— a kończy zbiór ten: «**Kluoz Prognostykarski**— *to jest: rzetelne objaśnienie słów i przezwisk niewyrozumianych, których Astrologowie w kalendarzach i prognostykach swoich używają i t. d.— za pozwoleniem Zwierzchności Duchownéj, znów przedrukowany— w Supraślu 1768 roku.*" Jest to— jak z tytułu nawet poznać można, Summaryusz kalendarzowych nauk, dziewiętnastu latami od ostatniego tu kalendarza późniejszy a dowodzący że nauki te, i na ten czas jeszcze powszechnie trwały.

Interesowaną byłaby wiadomość, w którym to roku, Panowie Astrologowie, widząc wiarę publiczną w ich konjektury i aspekta zniszczoną, a zapewna i sami się jéj odrzekłszy, wyrzucili je nakoniec z kalendarzów.— Data takowéj odmiany weszłaby zdaniem mojem bardzo pożytecznie, do ogólnego obrazu postępu w moralném kształceniu się naszém, oznaczając czas upadku długo panującéj błędnéj idei, któréj świat cały ulegał, i która z najgłębszą rozumu ludzkiego nauką złączoną była, nim od niéj jak żużla od czystego złota nie odpadła.

Rozmaici byli wydawcy Kalendarzów: wszyscy Profesorowie Filozofji, Medycyny— Botaniki— lub Matematyki i Astronomji w Akademji Krakowskiéj: a niektórzy przysięgli Geometrowie.— *Duńczewski*, o którego kalendarzach wspominki jeszcze za moich młodych czasów (przed laty 30) słyszałem, posiadał też same stopnie i obowiązki w Akademii Zamojskiéj i tamże kalendarze wydawał.— Dwa z nich, to jest na rok 1739 i 1743 mam przed sobą.— Innymi wydawcami są: M. L. *Sałtszewicz*— *Fran-*

ciszek Kanty Łuczyński— Jan Józef Przypkowski— Jakób Franciszek Niegowiecki— Ignacy Paweł Michałowski.

Niektórzy z nich obierali sobie Mecenasów, i do nich w duchu czasu owego i stylu, szumne wypisywali dedykacje. Tak *Krząnowski* uwenerował niejakiego Prałata Golańskiego, drzeworytem herbu jego (*Ślepowron*) i podpisaniem kilku wierszy łacińskich z różnych Rzymskich pisarzy wyjętych.— *Sałtszewicz* przesławnéj Akademji Krakowskiéj Astrologji Ordynaryusz, składa swe wota na rok nowy: «Jaśnie Wielmożnemu J. Xiędzu Adamowi z Stanwicz i Mokre *Kreczykowi* Kustoszowi Katedralnemu Inflantskiemu i t. d. Jego Królewskiéj Mości Sekretarzowi." Długi rym swój na cześć tego Mecenasa kończy on tak:

«I niech Kamena owszem w swoim rytmie
«Dank Ci na cały świat sarmatcki wytnie,
«Niech Adamowi najpiérwsze honory
«W najdłuższe lata przy fortunie mnoży
«Niebo, pomyślność niech increment spory
«Ma, niech najwyższy Jowisz wakans złoży
«U tego, który pobożności tory
«Idąc, o honor wierny zelant boży
«Jest, i na Boskiéj służbie poległ cały,
«Niech zdobią mitry, wesprą pastorały."

To przypomina:

«Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów
«Korab' mądrości chwieje się i wznosi *).

A dowodzi że Krasicki wiernie umiał amfigóryczną tamtoczesną estetykę.

Tenże *Sałtszewicz* we dwa lata późniéj obrał sobie innego protektora także herbu Slepowron, którego *insygnia* na piérwszéj karcie odbiwszy i kapeluszem je kardynalskim ozdabiając, tak do ich u spodu *alluduje:*

«*Asio quid gestet patriae, ac ominetur?*
«*Sunt documento: crux, annulus et solea.*

*) Krasicki— Monachomachia.

«Annulus adsponsat fortunam, ad cùlmina celsa
«Crux soleata viam prosperitate beat.»

Aby to zrozumieć, potrzeba wiedzieć że w herbie Ślepowron trzyma w dziobie pierścień a sam siedzi na krzyżu podkową wspartym. Następuje potym długa Łacińska dedykacija: «*Perillustri et reverendissimo Domino Gregorio Antonio de miroszewice Miroszewski— Coronarum Regni Custodi et cet. Domino Mecenati ac Protectori Graciosissimo.*»

Kalendarze wszystkie, Krakowskie czy Zamojskie lub Lwowskie, jednostajnego są z dzisiejszymi formatu, a dzielą się na pięć rubryk, to jest: *Święta polskie— Święta Ruskie— bieg Xiężyca— Aspekty i wybory— prognostyk codzienny*, *albo konjektura*, *albo dokument codzienny*.

Opuszczając dwie pierwsze, jako zwyczajne, i trzecią jako zawierającą i dziś powtarzane znaki zodijaku: zastanowiemy się nad czwartą i piątą, które razem z dopiskami ciągłemi u spoduo i z dodatkiem na końcu: «*Praktyki Astrologicznéj Uniwersalnéj*— lub *prognostyku Generalnego lub Konjektury Astrologicznéj z Gwiazd wyrozumianéj.*» Wzbudzają treścią i wyrażeniem szczególny interes i stanowią, że tak powiém, kurs nauki wieszczbiarskiéj, do codziennego domowego użycia.

Czwarta więc rubryka *Aspektów* i *Wyborów*, na tygodnie równie jak pierwsza podzielona, zapełniona jest cała Astrologicznemi hieroglifami, rozmaicie i na każdy dzień układanemi: dni jednak przy nich nie idą kolejną liczbą biegącą, lecz stosownie zapewna do kombinacji znaków niebieskich: przy niektórych tylko dniach między temi znakami znajdziesz wyraz *feralis.*— Ta rubryka byłaby niewyrozumiałą bez klucza, który każdy wydawca na początku lub na końcu kalendarza umieścił.

Przepisujemy tu jeden taki klucz z kalendarza na rok 1738 wydania Krząnowskiego.

WYROZUMIENIE I NAZWISKA ASPEKTÓW.

● Nów Miesiąca.	△♄ Potrójny Satu.	☍♂ Przeciwny Mar.	□☿ Kwadrat Merk.
☽ Piérwsza kwadr.	⚹♄ Szesny Satur.	△♂ Potrójny Mars.	☍☿ Przeciw. Merk.
☻ Pełnia miesiąca.	☌♃ Złączenie Jow.	⚹♂ Szesny Marsa.	△☿ Potrójny Merk.
☾ Ostatnia kwadra.	⚹♃ Szesny Jow.	☌♀ Złączenie Wen.	⚹☿ Szesny Merku.
⚹☉ Szesny (?) Słoń.	□♃ Kwadrat Jow.	⚹♀ Szesny Wen.	☻☊ Miesiąc w głowie Smoczéj.
△☉ Potrójny Słoń.	△♃ Potrójny Jow.	□♀ Kwadrat Wen.	
☌♄ Złonczen. Satur.	☍♃ Przeciw Jow.	△♀ Potrójny Wen.	☻☋ Miesiąc w ogonie Smoczym.
□♄ Kwadrat Sat.	☌♂ Złączenie Mar.	☍♀ Przeciw. Wen.	
☍♄ Przeciw. Satur.	□♂ Kwadrat Mar.	☌☿ Złączenie Merk.	

Ogólnie mówiąc wszystkie Aspekty czérwono pisane są dobre, wyjąwszy pełnią i ostatnią kwadrę, w które— bez potrzeby wielkiéj brać lekarstwa nie godzi się. Czarno zaś pisane, są złe, i do spraw różnych szkodliwe.

W szczególności zaś: ☌□☍♄ na, albo ♂ sa— do wszystkich spraw przeszkadzają.

⚹ i △ ♄ do siania, orania, budowania, do wszystkiego gospodarstwa dobre, rady zaciągaj,— Sędziwych i Przełożonych zażyjesz jako chcesz.

⚹△♂ sa osobliwie służą do kupowania koni i do dzieł, które się ogniem robią, także do szczwania zwierza, do Książąt i Chorągwie się zaciągaj. Gwarkowie i Alchimistowie Olkuscy czas mają dobry, jeżeli ☽ w ♉— Wszystkie Aspekty Jowisza i Wenery są dobre ☌ jednak ♃ wisza przeszkadza do lekarstw w trunku □ i ☍ trudni starających się o łaskę Pańską □ i ☍ ♄ ry psuje Afekt białéj płci, ⚹ △ ☿ sza do kupiectwa, rachunków, dzieci oddawania do szkół, pożyteczny jest: ☌ □ ☍ ☿ sza do wszelkiéj sprawy nie wiele przeszkodzi.

Gdy ☽ ☊ w Głowie Smoczéj do lekarstw, roli sprawowania, po wodzie pływania, jednym słowem do wszystkich spraw czas znamienity.

Gdy ☽ ☋ w Ogonie Smoczym, kto się może obejść, daj wszystkiemu pokój: bo ten dzień jest podejrzany.

WYROZUMIENIE KSIĘŻYCA BIEGÓW PRZEZ ZNAKI.

Znaki Nazwisko.	Znaki Nazwisko.	Znaki Nazwisko.	Znaki Nazwisko.
♈ w Baranie.	♋ w Raku.	♎ w Wadze.	♑ w Koziorozcu.
♉ w Byku.	♌ w Lwie.	♏ w Niedźwiad.	♒ w Wodniku.
♊ w Blizniętach.	♍ w Pannie.	♐ w Strzelcu.	♓ w Rybach.

KRÓTKA NAUKA O ZNAKACH NIEBIESKICH.

Znaki ogniste ♈ ♐ służą do lekarstw i krwie puszczania flegmatycznéj natury ludziom. Znaki powietrzne ♎ ♒ służą melancholicznym. Znaki ziemne ♉ ♍ ♑ służą do siania, orania, gruntów sprawowania, i do krwie puszczania ludziom krwie dosyć mającym. Znaki wodne ♋ ♏ ♓ osobliwie dobre i pomocne są do lekarstw w trunku, i do krwie puszczania Cholerykom.

Co chcesz prędko sprawić, zaczynaj, gdy ☽ w ♈ albo w ♎ albo ♑. Co chcesz aby długo trwało, zaczynaj, gdy ☽ w ♉ albo ♒: w ten czas fundamenta albo grunta budynków zakładaj.

Znak ♌ pożyteczny jest do sadzenia drzewa nie fruktyfikującego, i do polowania.

Pod znakiem ♊ krwie z rąk nie puszczaj.

Cokolwiek się tu namieniło o Znakach, masz rozumieć że się dobrze nada, jeżeli Aspekty będą na ten czas dobre, albo przynajmniéj przy jednym złym dwa dobre.

WYROZUMIENIE WYBORÓW.

Łaźnia z bańkami.	Krew puszczać dobrze.	Dzieci zostawiać.	Zwierza szcz.
Purgans w piguł.	Lepiéj.	Drzewo wycin.	Ptaki łowić.
Purgans w konf.	Najlepiéj.	Włosy strzydz aby rosły.	Ryby łowić.
Purgans w trun.	siać szczepić.	Włosy strzydz aby nie rosły.	

Ta linijka albo kreska przy dniach między aspektami znaczy południe. Więc aspekty Nowia, Kwadry, i Pełnie przy dniach, które się kładną przed tą kreską, znaczy że przed południem panują; które po kresce po południu.

Godziny które się kładą w Kalendarzu, mają się rozumieć na Półzegarzu.

Mając takie objaśnienie, każdy już mógł czytać i wyrozumiewać łatwo, rozpatrując czarne lub czerwone hieroglify, co mu każdy dzień wróży, i stosować do tego swoje czynności.

Piąta rubryka *prognostyków* czy *konjektur* codziennych, zawiera najprzód przepowiednie stanu Atmosfery: lecz każdy wydawca inne tu jeszcze kładł przestrogi i proroctwa, do wyrozumienia których, innego także, a to już *Prognostykarskiego* potrzeba było *klucza.* Widzieliśmy wyżéj z tytułu że w nim jest: «*Objaśnienie słów i przezwisk, których Astrologowie w kalendarzach używają.*" Musiał więc ten klucz być w każdym domu obok kalendarza, a przynajmniej jeden na parafję, do którego jak po słowa zagadki udawano się. Zagadka zaś zawierała się w tym: że każde proroctwo dla narodu, miasta lub kraju, wyrażano w kalendarzu przez nazwę tylko ich herbów: co je pewną tajemniczą okrywało zasłoną: a w Kluczu Prognostykarskim kilka kart zajętych jest alfabetycznym spisem herbów wszystkich krajów, miast i narodów Europy.

I tak naprzykład— gdy w Praktyce codziennéj stoi: «Lew żółty ze skrzydłami, w prawéj łapie miecz, a w lewéj otwartą księgę mający, pod biczem nieszczęścia ryczy."

Więc w Kluczu Prognostykarskim najduję, że taki Lew jest herbem Rzeczypospolitéj Weneckiej,— Statysta zatym tamtoczesny, zmiarkowawszy i zastosowawszy jedno z drugiem, mógł rzec z powagą, do zaufanych w jego zdaniu sąsiadów: «Mości panowie, kuso będzie koło Wenecij."

Albo wyczytawszy w kalendarzu: «Do wież siedmiu żółtych w czérwonym polu, Marsowa ręka głośno zamyśla kołatać." Znalazł w Kluczu, że to Mars Portugalij grozi.

Lub «Paw' okiem innych przenosi." Przepowiednia pomyślności dla Brandemburga i Saksonii i t. p.

Ztąd się pokazuje, że jak kalendarze uczyły Astrologii, tak Klucz Prognostykarski Heraldiczną zawierał naukę: i pod tym względem dzisiaj nawet Antykwarjuszom pożytecznym być może.

Lecz nie sami tylko statyści i politycy najdowali w téj rubryce Prognostyków, swéj troskliwości o losy narodów zaspokojenie; partykularny interes mógł się także do niéj udać po radę.

I tak naprzykład: Kawaler nie pewny serca swojéj damy, mógł wybrawszy przyjazne *Aspekta* wyczytać przy nich:

«Miej pieniędzy suplement,
«Nada ci się komplement."

Dama też szukająca środków podobania się ulubionemu, znalazła przy złączeniu ☉ z ♀ (Słońca z Wenerą) w konstellacii Kozierożca, taką radę:

«Poléj go wodą, potém daj mu co dobrego,
«Uznasz za taki *szmigus*, sobie przyjaznego."

Inni wydawcy obfitszéj widać poetyckiéj weny, całą rubrykę *prognostyków* i *wyborów* naprzemian wierszem i prozą stosownie do aspektów napełniają: a nawet szérokie u spodu marginesa znakami Astrologicznemi, któreśmy wyżéj przepisali, zajęli, mieszcząc przy nich wiérszem lub prozą proroctwa, sentencje, rady lub nauki.

Tak naprzykład w miesiącu Kwietniu, w którym przy Świętach Wielkonocnych, spowiedź się powszechna w Chrześcijaństwie odbywa: nie wielką nadzieję poprawy wróży grzesznikom kalendarz 1742 roku, mówiąc:

«Lubo tu każą wrócić na spowiedzi,
«Kto komu sprzątnął co bez opowiedzi:
«Jednak do tego nie tak przyjdzie snadnie,
«Nim piérwsze wróci to drugie ukradnie."

A obok prozą twierdzenie: «Dzieci które się rodzą pod Panną bywają dobre, rostropne, łaskawe, wesołe, nauki prędko pojmujące, do kupiectwa i Duchowieństwa szczęście mają. Dworu i wielkich Panów niech się strzegą.

Albo w miesiącu Wrześniu: «Zima się do nas przybliża, dla tego jaskułki w wodę się spuszczają. Dzieci które się rodzą pod znakiem Wagi bywają cudne, w naukach i Astrologji się kochające."

Inny znowu na każdy dzień prawie, zwięzłe obok Aspektów daje przepowiednie: *np.*

«Mądrzy się gryzą i wadzą
«I sekreta się wydadzą."

«Chcesz ujść guza, z mężem szkody,
«Nie zwady szukaj lecz zgody."

«Z prawdą ludzie się mijają,
«Księgi fałszywe powstają."

«Żeśmy zrodzeni do pracy
«Horujemy nieboracy."

«Sprawiedliwość, słuszność słynie,
«Oszust weźmie po czuprynie."

Pozostaje już teraz mówić o końcowym dodatku, zatytułowanym jakeśmy to wyżéj powiedzieli: «Praktyka Astrologiczna Uniwersalna— lub Prognostyk generalny z gwiazd wyrozumiany"— lub tym podobnie.

W tym oddziale najwięcéj się objawia wszelkiego rodzaju *erudycya* wydawców; nie tylko w Astrologicznych, lecz i w pomieszanych z niemi rozmaitych Scholastycznéj szkoły, przedmiotach. Znajoma to cecha pismiennictwa tamtoczasowego, wydająca się szczególniéj tam wszędzie, gdzie autor czy Orator głębokiéj swéj nauki chciał dać dowody; wyjątki więc następne dokończą krótkiéj téj charakterystyki, tak pojęć wieku jako i sposobu ich wyrażenia.

Każdy rok miał swego panującego planetę, czasami i kilka, pod któremi płynąc pory roku, kwadrowały ich przymiotóm. Nie można czytać bez uśmiechu ogłoszeń Astrologów, wprowadzających na niebiosa sejmiki, dla obrania rocznego tego pana. Oto jak się wyraża w téj okoliczności *Duńczewski.*

Pan doroczny,— Pokój czyli Wojna:

«Strutynowawszy wszystkich planetów władzę, z figur niebieskich wyliczoną, Jutrzeńka to jest *Wenera* w Dignitarskiéj Purpurze zajaśniała, jako mająca najwięcéj dla siebie *wotów:* że zaś niepoślednie na naszym horyzoncie *dignitates* otrzymał *Saturnus* i z *Marsem*, liczne *stellarum comitia*, przydały jéj za konsyliarza sędziwego *Saturna;* a dla obrony— Ognistego *Mar-*

sa.— Zaczym łaskawa Venus, i do tego zostający w znaku tutejszym minotaura Jowisz, miły nam deklaruje pokój z ukątentowaniem.— *Saturnus* jednak i z Marsem gdzieś narobią chałasów.— A nadto *Wenus* płci niewieściéj i wszystkich Dam *sygnifikatorka*, w znaku Zodyacznego *Byka* w domu zysku i bogactw w tym roku stanąwszy, skutkiem pożądanym *intenta* wszystkich Dam ukątentować zechce, i szczérą z honorami przyjaźń, według proporcji ich kondycji, obiecuje."

Przypkowski tak *rącznego Pana* ogłasza: «Chcąc na rok teraźniejszy 1742, zwyczajem pospolitym dnia 1 Stycznia, a według Astronomów, dnia 20 Marca o godzinie 7 minucie 27, po południu zaczynający się, o przyszłych, *ex superis rebus naturae*, *sive caelestibus causis*, (które daremne nie są, *cum Deus et natura nihil faciant frustra*) pochodzących, i na podmiesięcznym świecie oczéwiście wydatnych skutkach, astrologiczną, na fizycznych racji fundamencie ugruntowaną, uczynić konjekturę; nasamprzód do Elekcji rocznego udałem się Pana: i gdy *hoc in negotio* w Rewolucji rocznéj, częścią pozycją znaków Zodyacznych *in angularibus coeli domibus*, częścią *statum* konkurujących *per pluralitatem votorum* o tegoroczne *gubernium*, uważam *kompetytorów;* widzę że żadnemu z nich jednostajna na cały rok władza przyznaną być nie może, lecz każdego kwartału osóbni *eligendi sint* dispozytorami." etc.

Franciszek *Niegowiecki* rocznemu Panu *aplauduje* temi słowy:

»Nie tylko, jak widzę, u ludzi do wysokich honorów inklinacja, która za zdaniem *Salustiusza imperii avida* tak dalece: że w stanie niewinności dla owego powabnego słówka, *eritis sicut Dii*, do zakazanego drzewa przodkowie nasi, nie tylko myśl i serce, ale też i ręce pociągnęli, aby tylko w wysokiéj honorów *praeeminencji* partycypantami stać się mogli: toż i w niebieskim Elektoralnym siedmiu planet dzieje się kole; kiedy rzadki taki najduje się któryby *Sceptrorum imparem se esse sentiret;* bo jedni excepcye autorów *quantum ad dignitates et situm sui in figura revolutionis* przywodząc, tron roczny osięgnąć chcieli: inni *inter plures dominium* myśląc rozdzielić, do konstytucji Ptolomeusza, Halego, Gwidona, i innych *diffugia* czynili. Że jednak Mars *pluralitate votorum in dignitatibus essentionalibus*, nie tylko z 12-tu figur godniejszym, ale też *in qualibet quarta anni* mocniéjszym być się pokazał, więc jednostajnym

głosem za Pana całego roku przyznali go. Któremu nim na tron panowania zasiadł, w tym też (dla jego zapalczywéj żwawości) przymówić się nie zaniedbali owemi słowami zwyczaju Egipcjanów na tron królowi zasiadającemu, *votus es ut luceas*, *non ut occidas*. A wiedząc z experyencji że *multos*, *quos natura impedivit*, *consilium expedivit*, więc konsyliarzów *Merkuryusza z Saturnem* mu przydano" etc.

Po takiéj Elekcji rocznego Monarchy na niebie, następują jakby wyroki jego o losach ludzi na ziemi. To jest: wieszczby *o urodzajach— o zdrowiu i chorobach— o pokoju i wojnie*,— *o piorunach*, *pożarach*, *powodziach i gradach*.— Nakoniec *o zaćmieniach Słońca i Xiężyca i skutkach onych*.— Każdy tu prognostyk, równie jak i w rubrykach kalendarzowych z konstellacji i gwiazd wyciągnięty, obszérniejszym tylko oznacza się horyzontem i ogólniejsze daje wróżby: kończy się jednak każdy jednym wiérszem łacińskim i cztérma polskiemi.— Wypisywać już ich tu nie będziemy, bo jednostajnego są z powyższemi kroju.— Lecz co rozumiano natenczas o zaćmieniach, da poznać następny cudzysłów:

«Dwie w tym roku większych Luminarzów odprawi się zaćmienia.— Piérwsze słoneczne przypadnie dnia 23 Lipca (1748), którego początek będzie na krakowskim horyzoncie o godzinie 10, minucie 40 przed południem.— To zaćmienie trwać będzie godzin 3 i minut 21.— Prawie całe zaćmi się słońce i t. d.— Dostanie się to zaćmienie pod dyrekcją Marsa i Wenusa.— Kolor jego będzie czérwony z jasnym pomieszany. Cmić się będzie słońce na południowéj nieba części, w gradusie ognistego *Lwa*, w domu własnym i trojakości; w terminie *Merkuryusza*, w dziekanji *Jowisza*, w uszczerbku Saturna. Skutki jego trwać będą przez trzy lata i cztéry miesiące. *Proklus* (?) lubo osobom z dystynkcją śmiertelnemi grozi affekcjami,— Venus jednak *particeps dominii eclipsis*, złośliwego *Marsa* na dobroci nakłaniać będzie.— Według *Gwidona* skutki wydawać się będą tego zaćmienia, osobliwie w tych krajach, które są położone pod znakiem *Lwa*, jako to: we Włoszech, Sycylij, Apulij, Czechach, Turczech, Fenicji, Chaldejskiéj ziemi, w Damaszku, Syrakuzach, Rzymie, Ravennie, Kremonie, Pradze etc.— *Cardanus* pisze, iż zaćmienie w znaku *Lwa* pod rządem *Marsa* *): wojny, ognie, pioruny, wiatry burzliwe, frebry, śmierci nagłe, rozboje, zabójstwa, ominuje.

*) Wszystkie te nazwania znakami są pisane.

«Drugie zaćmienie Xiężyca przypadnie dnia 8 Sierpnia na pełni (po opisaniu tu szczegółów zaćmienia, czasu i pozycji Xiężyca i Gwiazd natenczas na niebie, jako wyżéj o Słońcu). Skutki jego pociągną się przez dwa miesiące i dni 9.— Jako to: frebry kwartany, katary, aerji, korrupcja z grubych humorów, wilgotnych i zimnych, śmierć ludzi w latach podeszłych, na morzu niebezpieczeństwa, rzek wylewania, grady, deszcze nagłe, a najbardziéj praktykować się będą w krajach Wodnikowi podległych— to jest: w Tartaryj większéj, Moskwie, w Szwecyj południowéj, Westfalij, Pedemoncij, Etiopij, Bawaryj, Medyj, Arabij, w Hamburgu, Trydencie, Salzburgu, Ingolsztadzie etc.

«*Cum res sunt trepidae, protunc reverentia Divum*
«*Nascitur, et rarae fumant felicius arae.*

STATIUS.

«Tyle przykładów, i z gwiazd prognostyków mamy,
«Bespiecznie na to śpiemy, bynajmniéj nie dbamy,
«A kiedy jaka na nas zkąd uderzy trwoga,
«Wtenczas się udajemy z modlitwą do BOGA.”

W każdym roku w którym zaćmienie przypadało, takie same niepomyślne zapowiadano skutki, i jakże go było się nie lękać?

Pod artykułem *o zdrowiu i chorobach*”, prócz ogólnych uwag względem stanu *aeryj i influencyów* niebieskich na ciało ludzkie, oprócz rad dla niektórych stanów w szczególności jak *np.:*

«*O Damach zamężnych i niezamężnych.* W zimie Mars niezdrowiem wam grozi, dla którego nie jedna z was w cholerę i gorączkę wpadnie; lecz się wystrzegajcie gniewu i uraźliwych słów w mowie. W lecie konkurentów dla siebie dosyć macie, gdy ten ów nie miawszy względu na złą drogę, do damy się śpieszy z Marsem, przy assystującéj wrodzonéj miłości.— Jesień nie uda się konkurentom, gdyż łaskawa Wenera pogląda na szczodrych i pieniężnych kawalerów, jednak nie szczéra, któréj się napisać może:

«Gdy nie masz szczęścia do damy udatnéj,
«Wolisz swe chęci mieć do nieprywatnéj,
«I téj się staniesz przyjemny kochanek,
«Gdy nie masz świece, dobry i kaganek.”

«Matronom zaś ciężarnym, te nie zdrowe upatruję czasy, jako to: Piérwszą kwadrę Kwietnia, Nów Sierpnia, piérwszą kwa-

drę Września, i ostatnią kwadrę w Grudniu;— więc jeżeliby w te czasy wasze przypadały połogi, tedy przestrzega *Saturnus*, *aby się oddać w opiekę Ś. Józefowi.*— Ale podobno nie jedna odważna odpowie: «*Niech tak bywa jak bywało* i t. d.”

Oprócz, mówię, takich po części poważnych, po części jowialnych admonicyj, znajdujemy jeszcze teorye że tak nazwę Lekarsko-Astrologiczne, które tu, jako próbę tamtoczesnéj medycyny popularnéj, ostatnim z kalendarzów zajmiemy wypisem.

O puszczaniu krwi.

»W puszczeniu krwi osobliwie na to potrzeba uważać, ażeby z tych członków, które są podległe znakom zodyacznym, a wtenczas Xiężyc się w nich znajduje, krwie nie puszczać. Dla lepszéj informacyj opisuje się którym członkom znak jaki panuje.— *Głowa* należy *do Barana— Szyja i gardło do Byka— Ramie i barki do Bliźniąt— Płuca, piersi i śledziona do Raka— Serce i żołądek do Lwa— Wnętrzności i wątroba do Panny— Nerki do Wagi— Uda i biodra do Strzelca— Kolana do Kozierożca— Golenie do Wodnika— Nogi do Ryby.*— Zaczém w kalendarzu przy aspektach, kładą się znaki, w których znakach znajduje się pod ten czas Xiężyc.— Racya zaś ta jest: że Xiężyc z natury zimny jest i wilgotny *), więc wtenczas te członki oziębia, którym znak panuje, a Xiężyc się w tym znaku znajdzie: do puszczenia bowiem krwie należy temperament, żeby nie zbyt było zimno, ani też zbyt gorąco.— Aspektów czarno pisanych wystrzegać się trzeba, te albowiem są albo *Saturnowe*, albo *Marsowe*, lub też *Merkuryuszowe. Saturnus* znacznie jest zimny— *Mars* gorący, *Merkuryusz* dobry z dobrym, zły ze złym. Kiedy Xiężyc *feralis* albo *vacua*, i tu bez potrzeby nie puszczaj krwie.— Xiężyc *feralis* jest ten czas, kiedy w znaku tym w którym zostaje żadnego z Planetami nie miała Aspektu.— *Vacua* zaś kiedy miała wprawdzie Aspekt z Planetą którymkolwiek; lecz ten aspekt na inszy przeniósł się dzień, i tego lekce nie ważyć; bo Xiężyc nie może takiéj uczynić influencyj, jak gdy ma Aspekt z Planetą jakimkolwiek, gdyż jest *zdebelitowany.*— Xiężyc gdy jest w Ogonie Smoczym podczas *lunacyj*, podczas *Solstitium*, *Aequinoctium i kanikuły*, krew puszczać źle, chyba tego gwałtowna po-

*) Mniemanie wprost przeciwne dzisiejszemu, które Księżyc cały w wulkanach być sądzi.

trzeba..... Krew od serca na wiosnę, od wątroby w lecie, z głowy w zimie, z nogi w jesieni puszczać trzeba. Według anatomistów żył w człowieku rachuje się *365;* więc wiedzieć potrzeba, na jaką affekcyę z któréj żyły krew puszczać należy."— I tak daléj następuje wyliczenie i nazwania żył i chorób główniéjszych, potém o *bańkach*, potém o *purgansach*, nakoniec o *łaźniach*, które cholerykom szczególniéj zaleca.

Nad *Kluczem Prognostykarskim*, o którym wyżéj kilkakrotną uczyniliśmy wzmiankę, rozwodzić się nie będziemy: bo xiążka ta nie czasowa jak kalendarze, i kilkakrotnie powtórzonego wydania, po wielu xięgo-zbiorach znajdować się może.— Wszakże proroctwo o papieżach, jako w dzisiejszym czasie szczególniéj interessować mogące, przepiszemy: z którego ciekawy czytelnik łatwo najdzie, jakie symboliczne imie Piusowi IX. przepowiedziane.

«Wiadomość, albo excerpt z proroctwa Ś. Melachiasza, arcy-Biskupa Ardyneńskiego w Hibernij.— *Ord. Cist. S. Bernardi, qui vixit Anno Christi* 1140.

«O Najwyższych Biskupach Rzymskich, którzy od czasów żywota jego (to jest od roku 1140) w przyszły czas następować mieli, których do teraźniejszego Piusa VI. *Visus Velox*, przeszło *92*.— Po nim zaś jeszcze ma być XVII, jako te symbola świadczą:

1. Peregrinus Apostolicus.
2. Aquila rapax.
3. Canis et coluber.
4. Vir Religiosus.
5. De Balucis Hetruriae.
6. Crux de Cruce.
7. Lumen in Coelo.
8. Ignis ardens.
9. Religio depopulata.
10. Fides intrepida.
11. Pastor Angelicus.
12. Pastor et Nauta.
13. Flos florum.
14. De medietate lunae.
15. De labore soli.
16. Gloria olivae.

«*In persecutione extrema Sanctae Romanae Ecclesiae sedebit 17 Petrus Romanus, qui pascet oves in multis tribulationibus; quibus transactis, civitas Septicollis diruetur, et judex tremendus judicabit populum.*"

A zatém wniosek oczéwisty, że skończenie świata nie dalekie.

Mógłbym teraz zakończyć rozbiór ten, może najwłaściwiej dwuwierszem kończącym także klucz prognostykarski:

«Nie gań, a że doświadczysz— bo też doświadczyli
«Ci którzy to podali, a przed nami żyli."

Lecz znalazł się w tych kalendarzach osóbny jeszcze zabytek obyczajów naszych naddziadów, a jakby umyślnie zostawiony na pamiątkę, nastręczać się mającą ku *wnioskom* i *porównaniom*, które każdy rozważający te kalendarze, utworzyć i rozwinąć mógłby.

Nie raz dziś, przy codziennych na upadek publicznego zaufania skargach, posłyszeć można jakby dawne podanie, że rzetelność i honor szlachecki u przodków naszych więcéj znaczyły, niżeli prawne opisy: że dowody zawinień i długów na kalendarzach, dla śmiertelności tylko, zapisywano; którym słówniéj i ściśléj czyniono zadość, niżeli najformalniejszym dziś obligom; do wypłacania z resztą których prawo już, bez względu na dobrą lub złą dłużnika wolę, obowiązuje.— Sprawdzenie takowego podania znalazło się w opisywanych tu kalendarzach, i z prawdziwą wewnętrzną roskoszą, je dostrzegłem.

Kalendarze te były jak widać ówczasową własnością Pana Hilarego Chomińskiego, Chorążego Oszmiańskiego (znalazły się nawet w majątku należącym niegdyś do téj dostojnéj i dziś trwającéj rodziny), który dla swéj domowéj wygody i gospodarskich notacyj, wklejał w nie czyste karty papieru.

Na jednéj z nich znajduje się własnoręczny oblig, lecz pocóż to prawne nazwanie? własnoręczne pismo Pana Piotra Komarowskiego: «Ja Piotr Ciołek Komarowski, wziąłem i pożyczyłem u W. Pana Hilarego Chomińskiego Starosty Ejszyskiego i Chorążego Oszmiańskiego, czerwonych złotych sto, którą pomienioną summę mam oddać w roku teraźniejszym 1744 w dzień Ś. Józefa, niczym tego terminu nie chybiając *pod sumnieniem i poczściwością szlachecką.*"

Darują mi czytelnicy ten jeszcze jeden cudzysłów, mniemam bowiem że powtórzenie téj ewikcji, okrywającéj równéj chwały wspomnieniem, tak opisującego jako i przyjmującego oną, konieczném było dla uzupełnienia komentarza mojego. Ktokolwiek bowiem chciałby zeń, jak to wyżéj napomknąłem, układać sobie obraz przedstoletniego świata naszego i wieku, i przedstoletniego towarzystwa,— obraz zaćmiony grubą mgłą niewia-

domości, błędów, zabobonów, i urojonéj nauki stosunków i wpływów gwiazd na przeznaczenie ludzkie: niech nań razem, jakby promień miłego dziennego światła, rzuci myśl, którą mu ten ostatni mój odpis do serca poda... wnet mgły i chmury się rozwidnią, a wyrażą się najdobitniéj rysy główne i charakterystyczne obyczajów i cnot naszych dawnych — wiary gruntownéj, i prostoty, przy których, we wszelkich stosunkach towarzyskiego życia, jak gwiazda promienista, *poczściwość szlachecka* przyświecała. — A natenczas przypatrując się porównawczém okiem obrazowi swojemu, skończyć może na wniosku; że my z postępem czasu i rozumu, otrząsając się z przesądów i ciemnoty, czyśmy się razem i z tego co zachować warto było, nie otrzęśli?..

Ignacy Chodźko.

KOŃCÓWKI.

I.

Przed pielgrzymką.

Nim wiek przeminę, pozwól mi Boże!
Oglądać jeszcze góry i morze—
Niech bliżéj westchnę ze szczytu góry,
Do méj niebieskiéj, górnéj ojczyzny—
Niech się w zwierciadle przejrzę natury,
Z téj zwierciadlanéj morza płaszczyzny.

II.

Rybaczka (*z Hejnego*).

Piękna rybaczko! tu do mnie
Zwróć czółno po srebrnéj toni—
Usiądź tu bliżéj koło mnie,
Z ustami usta, dłoń w dłoni.

Złóż główkę na sercu mojém—
Czyż to cię trwoży dziewczyno,
Gdy codzień tak życiem swojém,
Z tą morską igrasz głębiną?.

Me serce morzu podobne—
Ma przypływ i odpływ i burze—
I w niém są perły nadobne,
Jak w czystym wód tych lazurze.

III.

Entuzijasta.

Możem ja dziwak, możem ja dziecie,
Może się łudzę mojemi snami—
Może nie umiem żyć na tym świecie—
Lecz wy mnie wszyscy nie rozumiecie—
A ja z dnia na dzień żyć muszę z wami.

Może was śmieszy— że się nie wstydzę
Wzdychać za ową przeszłością starą,
Dla was bajeczną— że z niej nie szydzę;
I że na jawie słyszę i widzę
Duchy i widma— marę za marą?..

Może was śmieszy— że w mojém oku
Jeszcze łez kilka szczérych zostało—
I kilka uczuć z młódszego roku—
Że w łzach, w uczuciu szukam uroku—
Że mi dla świata nic nie zostało?..

Może was śmieszy— że jeszcze wierzę
We wszystko wzniosłe, szczytne i piękne—
Że idę prosto— i mówię szczérze—
Że wszystko prawdzie niosąc w ofierze,
Nigdy przed fałszem się nie ulęknę?..

Śmiejcie się sobie— ja wam przebaczę—
Ja się daleko skryję przed wami—
I nikt nie ujrzy kiedy zapłaczę.
Z mojemi łzami, z mojemi snami,
Stokroć mi lepiéj— niżeli z wami.

IV.

Żagiel (z *Lermontowa*).

Bieleje żagiel na wód głębinie,
W modréj tumanu osłonie—
Czego on w obcéj szuka krainie,
Co rzucił w rodzinnéj stronie?—

Szaleją wiatry, szaleją fale,
Maszt pryska— łoskot się szerzy—
Przebóg! on szczęścia nie szuka wcale,
I nie przed szczęściem znać bieży.
Pod nim lazuru płaszczyzna cicha,
Słońce pogodę mu wróży—
A on szalony, do burzy wzdycha,
Jak gdyby pokój był w burzy!...

V.

Kto pojmie.

Kto pojmie myśl dziewczyny— gdy śniąca na jawie
Duszą i sercem— u stopni ołtarza
Przysięgę wiary dozgonnéj powtarza!
Kto pojmie to *sam-na-sam* po weselnéj wrzawie?
I po sam-na-sam piérwszy sen— marzenie?—
I to westchnienie— i to zapłonienie,
Kiedy na piérwszy pożycia poranek,
Zbudzi ją pocałunkiem—już mąż— nie kochanek?

VI.

Z piosnki Szwedzkiéj.

Jeśli się szczęście twoje zamieni
W dolę złowrogą i ciemną—
Kiedy zaszumi wiater jesieni,
O! nie narzekaj daremno;
Tam za morzami— inna kraina
Wieczystą wiosną się śmieje—
Tam za morzami— inna kraina
Wieczystém szczęściem jaśnieje.

J. J. P.

OSTATNIA SPOWIEDŹ KOZAKA.

Hej wy łotry, wy młokosy,
Czego w koło mnie stoicie,
Pospuszczawszy na dół nosy?
Czego chcecie? Co widzicie?
Precz mi z oczu— szybko, żwawo,
Jak zwyczaje tam chcą nasze,
Przeżegnajcie w lewo, w prawo,
Kawał ziemi i pałasze,
I szczerbate gęby wasze—
I grób kopcie ostrzem stali.
Tylko prędzéj, tylko daléj—
Wasz brat w cerkwi, na rozboju,
Na wojaczu i w pokoju,
Niech przed śmiercią was pochwali.

Łepsko bracia! grób gotowy—
Potém kurhan mi wysoki,
Niby turban z baszéj głowy,
Nasypiecie pod obłoki.
Nieraz jeszcze zła psiawiara,
Najdzie na nas nawalnicą—
Lud się schroni od Tatara—
Mój grób będzie mu strażnicą,
Jak jarzącą błyśnie świécą.
Ale smutno będzie w grobie,

Cicho leżeć w owej dobie—
Gnić jak stary żupan w prochu,
I robactwu wciąż po trochu,
Dać po nosie igrać sobie!

Ależ rąbnął płasko-nosy!
Szabla ostra— ani słowa—
Jak niżowców naszych kosy.
Na cal jeszcze— a już głowa
Zeskoczyłaby mi z karku.
A tak w głowie szumi, kręci,
Jak w Piszczanie na jarmarku,
Pośród bójki i poswarku,
Że przyjść trudno do pamięci.
A krwi tyle— że choć czajką
Za pohańską gonić szajką.
Lecz— czyż dola to nie miła,
Komu w boju śmierć pokryła
Oczy— czérwoną kitajką!

Co u licha? Co to znaczą
Te szatańskie jakieś sztuki?
Po nademną krążąc kraczą,
Kracząc krążą czarne kruki.
Héj! kto żywy! do flintówki!
Kogo oko nie zawiedzie,
Kto przeniże krucze główki,
Na mym koniu w świat pojedzie,
W boju zawsze stanie w przedzie.
Cel— pal— chybna— wyżéj— górą—
Oho! łepskiś młody ciuro!
W lot dziesiątek— koń mój tobie,
Szablę moję weznij sobie,
I kalitkę znajdź pod skórą.

Ale szkoda! niéma popa—
Cóś moroczy mię i boli—

Oj to w duszy grzechów kopa,
Niby dropie w czarnéj roli.
Czy widzicie— ot tam bieży,
I przypadła jak przepiórka,
Jak śnieg biała lacka córka—
Przy niéj trup jéj ojca leży,
Jeszcze we krwi, jeszcze świeży,
Choć to dawno, dawno było!
Jam go zabił— zabrał złoto—
I to dziecko porwał siłą,
Choć od strachu ledwie żyło,
Choć grzech znęcać się sierotą.

A tam znowu hałas jaki!
Brudnych żydów cała zgraja,
I nieletnie szkolne żaki—
Każdy na mnie się zaczaja,
Do ócz skacze jak jaszczurka—
Precz odemnie, precz hołota!
Wszakżem nie brał od was złota!
Lecz ot znowu lacka córka,
Jęczy, płacze, że sierota—
Żem ją zgubił duszą, ciałem—
Znikła przecie— przeżegnałem.
Ale inne znowu duchy,
Których znałem i nieznałem,
Skaczą do mnie jak ropuchy.

Znikły przecie— pusto, cicho,
Nawet wiater nie zaśpiewa—
Ale w sercu nieśpi licho.
Oj ty moja czarnobrewa!
Ty zaśpiewasz mnie wieczorem,
Ty przytulisz mnie do siebie.
Héj! przez stepy— co ugorem
Stoją— odkąd Bóg na niebie—

Hej! przez stepy— w lot do ciebie,
Do północka na futorze—
A gdy nocne zbledną zorze,
Znowu w Siczy— bo ze świtem
Znów zatętni step kopytem,
Znów gdzieś pomkniem w imie Boże!

Pusto— cicho— tylko w dali
Cóś maniaczy przed oczyma—
To nasz futor— niech się spali!
Bo już matki méj tam niéma.
Matko moja! gołębico!
Tyś w ustroniu tém dalekiém,
Przyciśniona nędzą, wiekiem,
Wykarmiłaś mnie krwawicą,
Wykarmiłaś własném mlekiem.
A gdym na świat biegł przed laty,
Tyś zbolała, we łzach cała
Na podwórko wyszłaś z chaty—
Boś na zawsze mnie żegnała,
I przed śmiercią nie ujrzała!—

Ha! jak duszno— domy, dwory,
Całe miasta, białe sioła,
I kościoły i klasztory,
Wszystko gore do około.
Lubo spójrzeć! dym kłębami
Wali na nas z dołu, z góry—
Wy tu ze mną— a ja z wami!
Dalej chłopcy— hej! na mury!
Gdzie wysoko rzucić sznury—
Wyrzniem szlachtę, wyrzniem mnichy—
Oto złota kupa cała,
Złote czary i kielichy—
Lecz cyt— co to za jęk cichy?—
To znów Laszka zajęczała.....

J. J. P.

WYJĄTKI Z ROXOLANJI

CZYLI

ZIEMIE CZERWONÉJ RUSI *).

PRZEZ

SEBESTIANA KLONOWICZA Z SULMIERZYC.

przekład

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

XXV.

Do miast czérwono-ruskich.

Dotąd wam lasy snułem przed oczyma,
Teraz do miasta zabłądzić się musi—
Tutaj Lwów święty przodkowanie trzyma,
A wieże jego— to ojcowie Rusi.

*) Dla obznajomienia choć cokolwiek z tym poematem, wcale u nas nieznanym, przytaczam tu w krótkości treść onego.

Poeta odpowiadając na zarzuty obcych, że skrzepłe od mrozu kraje Sarmackie nie mogą wyrównać co do bogactw innym krajóm, stawi swój kraj ojczysty, *Ruś Czerwoną* i przedsiębierze opowiedzieć jego bogactwa, miasta, obyczaje. Pisze bardziéj dla obcych, niż dla swoich, więc pisze— po łacinie. Poemat około 12 arkuszy zajmujący, bez żadnych widocznych podziałów dzieli się rzeczywiście na trzy części— na opis darów natury, miast i obyczajów ludu. Wezwawszy muz Helikonu— ceremonjał niezbędny w ówczesnéj poezji— osa-

Witaj nam grodzie poważny a stary!
Miła w twych murach wypocznienia chwilka,
Od ciebie wieje namaszczenie wiary,
A bramy twoje zaparte od wilka;

---

dza je na górze Lwowskiej a sam idzie przeznawać swoję ziemię. Ta pierwsza część poematu jest najpiękniejszą, bo poeta— zamiast zimnego opowiadania o naturze i jej darach,— wszędzie maluje, a obraz swój ożywia obecnością człowieka-Rusina, jako ten korzysta z darów przyrody. Halicze za jego czasów było lesiste— idzie więc do lasu— i tu jak w kosmoramie przesuwa artystyczne obrazki. Słowik śpiewający, drzewo rzemieślnicze, sposób robienia narzędzi gospodarczych, socha a ztąd ustęp o rolnictwie, trzody mleczne które tylko na zimę do domów przychodzą, nabiał, zwierzęta leśne, są to pojedyncze ustępy po prostu ale wiernie i biegle skreślone. Poeta, to podnosi, to zniża ton swojego opowiadania. Czasem wpada w mniej interessujące drobiazgi, ale wnet ocyka się i dzielnieje. Cielica, którą wąż wysysa, niedźwiedź tańcujący, dykteryjka o człowieku co się za pomocą niedźwiedzia wydobył z pszczolnej kłody, są to obrazki czasem wzniosłe, zawsze wierne i naiwne. W pośrod najprozaiczniejszego opowiadania jak się sér w koziej skórze wyrabia, wtrąca parę wierszy gorzkiej skargi na oszczerców kraju, i wnet przychodzi do ironicznej sielanki nad rzekomo błogim a rzeczywiście opłakanym losem wieśniaków, nad zaniedbaniem jego oświaty i moralności. Mówi o chmielu, piwie i gorzałce, a słowa jego rozdzierające duszę, rodzą mimowolną uwagę, że to pisano jeszcze w 1584.— dla czego te obrazki wzięte z owoczesnego ludu tak dobrze przystają do dzisiejszego jego bytu i nałogów? i że trzy wieki postępu nie wywołały jeszcze we wszystkiem dobrego wpływu? Opisuje zamożność handlowego Lublina, który stał na drodze kupieckich europejskich stosunków— i tu znowu przychodzi nam gorzka uwaga: śpiewak bogactw ojczystego miasta umarł w niem styrany nędzą w szpitalu.

W drugiej części przebiega pokrótce miasta Czerwono ruskie: Lwów, Kijów, Kamieniec, Busk, Sokal, Bełżę, Chełmno, Horodel. Mówiąc o Krasnostawie twierdzi, że każdemu wolno łowić ryby w jeziorach i rzekach których nikt nie kopał. Jest to słowo słuszne ale za śmiałe, jeśli przypomnimy że było pisane w epoce monopolji szlacheckiej, wszystko przywłaszczającej z pokrzywdzeniem praw ludu.

Część trzecią, obyczajom ludu wyłącznie poświęconą, otwiera poeta prostym a wiernym obrazem głodnej matki usiłującej uspokoić zgłod-

Nigdy łupieżca haraczu nie bierze
Ze krwie i runa owczarnie téj ziemie,
Bo tutaj mają tron Arcypasterze *);—
Ich czujne oko nie łacno zadrzemie,
Oni starowni w służbach Zbawiciela,
Pilnują wiary i pokory serca,
Senat starunek pasterski podziela,
By niesiał jadu żaden nowowierca.

niale, kwilące niemowlę. Słowa jakiemi tu matka przemawia, i dziś jeszcze można u ludu posłyszeć. Chrzest dziecka, jego zabawy, religijność i posty ludu, piękny obyczaj zaprzysięgania Pobratymstwa w cerkwi, gusła i przesądy, kochanek— którego na zaklęcie wróżki szatan w postaci kozła przyniósł w objęcia stęsknionej dziewczyny, śmierć,— płaczki na pogrzebie, pismo do Ś. Piotra, jakie we wschodniéj cerkwi niekiedy kładzie się w rękę umarłemu, te są dalsze i końcowe ustępy poematu.

W ogólności Klonowicz kochał rodowitą ziemię, pysznił się z niéj, w poczciwém swém sercu, wierzył co wyrzekł we *Flisie*:

Że miła Polska na żyznym zagonie
Usiadła, jako u Boga na łonie;

że ziemia polska we wszystko bogata nic do życzenia nie zostawia, że można przy jéj błogich darach niewiedzieć o bogatych płodach innych stron świata; kochał lud i umiał poetycznie podpatrzyć i dobitnie skreślić jego obyczaje, a pomijając uprzywilejowane klassy narodu wśród których był nieszczęśliwym, kmiotka obrał za cel swoich opisów. Temi uczuciami tchnie jego narodowy, poemat *Roxolanja*.

*) Miasto Lwów stolica niedyś ziemi Halickiéj, dzisiejszéj Galicji, posiada Archi katedrę katolicką, która w 1364 założona w mieście Haliczu, w 1417 do Lwowa przeniesioną została. W senacie polskim Arcy-biskup Lwowski zasiadał wnet po Prymasie, a do duchownéj jego władzy należeli biskupi: Przemyślski, Chełmski, Kamieniecki, Kijowski i Bakonski na Wołoszczyznie. Archikatedra Lwowska pod imieniem *Wniebowzięcia* założona, miała 7 Prałatów i 15 Kanoników.

Oprócz Rzymsko-katolickiej, jest we Lwowie katedra Grecka od Włodzimierza W. założona, lecz od 1540 rzeczywiście istniejąca. Kolejno łącząca się z Rzymem albo z nim zrywająca, w r. 1588, to jest, w lat 4 po wydrukowaniu *Roxolanji* została przez *Michała Rohozę* połączona z kościołem rzymskim. Do zwierzchno-

Lwowie kamienny! nowość cię nie mami,
Nie daj się zachwiać jako wątłe ziele;
Wiekować tobie z twojemi basztami
Z twemi kościoły i krzyżem na czele;
I z twoją górą co ku niebu idzie,
Łatwo ją dojrzeć i z najdalszej strony.
Tuśmy gośc, dali Pierydzie,
Tu mieszka chętniej niż na Helikonie.

Jak gość odwiedza świątynie i bramy,
I woła głosem z płomienistą twarzą:
Lwowie! my ciebie z cześcią pozdrawiamy,
Bo losy świata w twych murach się ważą.
Inny kraj skarby pojedyncze liczy,
Tu wszystkie skarby gromadzą się cudnie;
Bo tu jest ziemia którędy graniczy,
Lodowa północ i wrzące południe.
Co rodzi ziemia na północnej osi,
Wiozą moskiewskie telegi i sanie,—
Co pod równikiem natura przynosi—
Tu idzie lądem i po oceanie.
Nad temi dachy złoty obłok płynie,
Wieżyce mglistą owionione szatą,
Zda się w niebiosach te wszystkie świątynie,
Co tak ozdobne, świetne i bogate.
Tutaj krom innych w cichym monasterze,
Są pracownicy Chrystusowej niwy;

ści Metropolity Rusko-Lwowskiego należały: Lwów, Halicz i Kamieniec-Podolski.

Jest jeszcze we Lwowie trzecia Archi katedra Ormiańska, kiedy ludzie tego narodu na Rusi się zagęścili w 1200 założona. Arcybiskup ormiańsko-lwowski był zwierzchnikiem 16 kościołów tegoż obrządku w rozmaitych stronach Podola i Galicji położonych. W chwili kiedy Klonowicz pisał Roxolanję, Ormianie nie trzymali z kościołem Rzymskim. W lat 22 po jego zgonie t. j. w 1630 dokonał zjednoczenia Ormian ze Stolicą Apostolską, Arcybiskup Mikołaj Torosowicz. *Nota Tłumacza.*

Prawo Bernarda wypełniając szczerze,
Wiodą ojcowie żywot wstrzemięzliwy.
Dalecy świata, zapomniawszy siebie,
W szaréj sukmanie— jak ustawa każe,
Żyjąc o kupnym lub żebranym chlebie,
Dzienne i nocne wymodlają straże.
Za nic im cisza, czuwanie i posty,
Nie straszna duszy bezsenna fatyga,
Każdy z nich ciału nie oszczędza chłosty,
I krzyż ubóstwa z dostojnością dźwiga.

Owo włosaci handlowni Ormianie,
Przywożą towar ze wschodu bogaty,
U nich tureckich kobierców dostanie,
U nich złotogłów i jedwab' na szaty,
Wonny cynamon co lubimy tyle;
Do ich towarów przywoźnych się liczy:
Pieprz, trzcina, imbier i słodkie daktyle,
Kwiat muszkatowy i szafran dziewiczy.
Tu porzuciwszy macierzyste progi,
Domem osiedli armeńscy mężowie,
Wznieśli swój kościół obszerny i drogi,
I swym obrządkiem modlą się Jehowie.
Tu grecki Rusin i domami żywie,
I grecką wiarę swobodnie wyznaje;
I swoje cerkwie buduje szczęśliwie,
I swojéj cerkwie pełni obyczaje.

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
Chałupy żydów, odartych nędzarzy,
Każdy jak kozieł oszpecony brodą,
Z wieczną bladością na ustach i twarzy;
Niesfornym krzykiem wre ich synagoga,
Wrzeszczą w sto głosów modlitwę szabatu;
Ich ślepa ciżba urąga się z Boga,
I prosi o to— co już dano światu.

Spytasz: przecz wilka wpuszczać do owczarnie?
Co tutaj robi ów chytry ród węży?
Nieprawe zyski najłapczywiéj garnie,
I srogą lichwą ubogich ciemięży.
Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
Lecz go na próchno przegryza pomału.
Jak rdza się pastwi nad twardém żelazem,
Mól szkodzi sukniom a pijawka ciału,—
Tak żyd włoczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpija się i wroście;
Nasze bogactwa pozrze i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłoście.
Obaczą króle zkąd szkodliwa rana,
Rzecz-pospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jéj ciała będzie już wyssana,
I wszelkie życie obumarłém zda się.

Zwróćmy oblicze od tego narodu—
Kląć się nie godzi— żegnajcie niewierni!
Wracajmy raczéj do pięknego grodu,
Co się zdaleka bieleje i czerni.
Pamiętne miasto, urzędy i prawo,
Wyniosłe wieże i wysokie bramy,
Sarmackich królów gościnna zabawo,
O święty Lwowie! gdzie chętni bywamy,—
Od twoich murów aż się mży powietrze,
Twe szyby błyszczą jak gdyby ogniska,—
Z twojemi baszty aż chmura się zetrze,—
A stopa twoja podziemie naciska,
A zegar dźwięczny, bijący na wieży—
Ciche godziny rozwlekle ogłasza;
Czas wzięty w kluby, skazówką się mierzy,
W koło go wprzęgła umiejętność nasza,
Młotek uderza po dźwięcznym metalu,
Echo powtarza po każdéj godzinie:

Minęła chwila!... o! warta jest żalu—
Bo czas szacowny bez powrótu płynie!

XXVII.

Stary Kijowie! starych Kniaziów dworze,
Co masz pamiątek z upłynionéj chwili!
Wieśniak je chyba na stepie wyorze,
Lub ktoś wykopie z gruzów i badyli...
Mówią o szczątkach starożytnéj Troi,
Ale ja basień kłamliwych nie chwalę.
Powiedź mi Xancie o przeszłości swojéj,
Gdzie owe łodzie co'ć barwiły falę,
Gdzie źródła Idy albo Samoenty,
Przy których stała Pergamu ruina?

Stary Kijowie! ja wierzę w twe szczęty,
To mi tatarską klęskę przypomina.
O! często wroga widziały twe wieże,
Niszczyli wioski łupieżcy dalecy;
Nie darmo oracz i na pole bierze
Pałasz do boku i kołczan przez plecy;
Krwią już przesiękła skiba na poparze,
Krew się rumieni na kłosach ze żniwa.
Nie raz gdy siądą południać żniwiarze,
Wróg uzbrojony obiad im przerywa;
Przebrzydły Tatar we zbojeckim tłumie,
I nasze wioski niszczy i zapala,
I Dnieprem przebrnąć i przepłynąć umie.
Co'ć fala Dniepru jako morska fala,
Wiąże we trzcinę, krępuje do łyka
Bezbronnych jeńców, a strzegąc swéj głowy
Przed zbrojnym mężem na koniu umyka,
Gdzie niesie noga i wicher stepowy.
Goloną głowę kosmykiem oszpeca,
Goloną szyją czerwienieją sprośnie,

Okrom czupryny wygolonéj nieco,
Na całéj twarzy żaden włos nie rośnie.
Niekiedy broda na ich twarzy dzikiéj
Stérczy obrzydle— lecz częściéj twarz naga—
Jako się z głowy wiją dwa kosmyki—
To jeszcze bardziéj straszyć dopomaga.

Na Czarnéj Rusi Kijów dla pielgrzyma
Jako Rzym dla nas— bo *świętym* się zowie,
Myślisz: na Rusi swoich cudów nie ma,—
O! są tu cuda we starym Kijowie;
Są tu pod miastem głębokie pieczary,
Gdzie dawnych Książąt drużyna spoczywa;
Proch wielkich mężów szacowny i stary,
Liczy za świętość wiara niewątpliwa;
Nic ich zgnilizna, nic czas nie odmieni,
Pod szkłem wiekują nieskażone prochy.
Takie są cuda pieczarnych sklepieni;
Kto je wykopał, kto wyrył te prochy?
A tak daleko ich pasmo się znaczy,
Że królóm kować niestałoby złota;
Ja za się wierzę twierdzeniu badaczy,
Że to, krom dziwów, natury robota.
W ziemi są rzeki jako pulsa w ciele,
Płyną w ich piersiach pieczarą ukrytą;
Jak rzeka u nas ma kierunków wiele,
Tak i podziemna zmienia swe koryto.
Tymczasem przejdzie wiek jeden i drugi,
Łożysko wyschnie i stęży się w ścianę,
Tak wiekuiste utworzą się cugi,
Jak gdyby lufta młotem wykowane.
Ruskie pieczary takiego są dzieła,
Które lud cześci poważnym obrzędem;
Niegdyś tu rzeka podziemna płynęła,
Dziś jeno lochy wyrwane jéj pędem.

XXVIII.

A ty Kamieńcu, słynny znakomicie,
Kto godnie twoję wyśpiewa pochwałę?
Kto cię osadził na twardym granicie?
Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę,
Nie z ręki ludzkiéj, nie z uczonéj karty,
Lecz na skinienie wszechmocnego oka,
Na jednéj skale cały gród oparty;
A całe miasto to jedna opoka.
Bóg nie zaś człowiek— wykował cię z głazu,
Bóg nie zaś człowiek— zdobędzie cię siłą.
Człek jest zrodzony— tyś stworzon do razu,
A stworzon piérwéj nim człeka nie było.
Gdy przyjdzie skonać zastarzałéj ziemi,—
Ty musisz skonać jéj urodzin świadku,
Lecz jakoś stanął przed miasty inszemi,
Tak i zaginiesz chyba na ostatku.
Nie bój się człeka, bo cię niebo trzyma;
Lecz gdy powstaniesz na ojca co w niebie—
Znajdzie się mściciel na miasto olbrzyma,
Ten co cię stworzył i w prochu zagrzebie.
Módl się do Pana— masz znaczne kościoły,
Masz tron pasterski— zkąd żegnanie bierzem;
Kiedy Łuck musi dzielić się na poły,
Ty sam Kamieńcu chlubnyś twym Pasterzem *).

XXIII.

Obfitość ziemi czérwono-ruskiéj.

Choć ruska ziemia niéma winogradu,
Za to nam pszczoły miód obficie wloką;
Dość jeno zajrzeć do lasu lub sadu,
Tam pełno plastrów z klarowną patoką.

*) Katedra Rzymsko-Kamieniecka założona w 1275 przez Ludwika króla Polskiego i Węgierskiego, miała Prałatów 7, Kanoników 15.
Nota tłumacza.

Rosa niebieska opada na kwiatek,
Ztamtad ją pszczoła pracowicie zgarnie,
W spróchniałych drzewach zamożny dostatek,
Drobne owady lepią gospodarnie.
Podkurzą ule kmiecie pracowici,
I biorą plastry u pszczelnéj budowy,
Miód z chmielną wodą kiedy się rozsyci,
Tworzy się napój posilny i zdrowy.
Włoski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
Co twoje wina przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistéj i szaréj,
Miód prosto z niebios spuszczonym być musi.
Miód, rosa niebios i manna jedyna—
Pszczołka cię zbiera do swego zacisza;
Miody sycone lepsze są od wina,
O ile Bachus niższy od Jowisza,
Jak wyższe niebo nad poziom ubogi,
Zkąd się wyradza winogronna trawa.
Miodem zaiste nieśmiertelne bogi
Kwitnąca Hebe w Olimpie napawa.
Bo żniwem Bogów są górne obłoki,
Człek żyje z tego co ziemia przysporzy;
Niech inszy w winie piją ziemne soki,
My Haliczanie mamy nektar boży;
Szczęsny Rusinie! od niebios masz wsparcie,—
Krople jutrzenki i wieczornéj tęczy;
Szczęsna twa ziemia, obfite twe barcie,
Starowna pszczółka wesoło ci brzęczy,
Gęstemi rojmi w wypróchniałym drzewie
Mnożą się pszczoły, zatrudnione pracą,
Często ukryte że i człowiek nie wie,—
Nikomu miodnéj daniny nie płacą.

XXIV.

Dykteryjka o człowieku w pszczolnéj kłodzie.

Chcesz czytelniku? mam powieść do rzeczy,
Wszak starych żarty wesoło bawiły—
Wielki mąż nigdy powieściom nie przeczy,—
Przyjm to za prawdę, czytelniku miły;
I królóm niegdyś baśnie spodobały,
Więc przebacz żeśmy łatwowierne żaki.

Stał sobie w lesie pień stary, spróchniały,
Zbiły go żółny, podgryzły robaki;
Tam kiedy światło słoneczne postraszy,
Do pustéj rdzeni chowała się sowa,
Snadź kiedy sejmik zgromadzi się ptaszy,
Wypaść z nienacka na zdobycz gotowa.
W końcu— i mieszkać sprzykrzyło się sowie,
Pień stanął pustką stoczony i zgniły,
Robocze pszczółki dostrzegły pustkowie,
I tutaj brzęcząc obóz założyły.
Swego monarchę przywiodły do ula,
Ten zajął państwo szérokie z roskoszą,
Zasnuły plastry i chatkę dla króla,
I zwolna miodem kryjówki zanoszą.
Zbierają plony co niebo dać raczy,
Gdzie żadna w ciszy nie zastraszy burza,
Nie płacą ludzióm corocznych haraczy,
Nikt nie podrzyna, nikt ich nie podkurza;
Rzeczpospolita gdy tyrana złoży
Zwykle silnieje i wzrasta zamożnie;
Chciwy poborca czynszem nie zuboży,
Wieśniak dla siebie swoje plony pożnie;
Stérczy dla niebios obfita stodoła
Ręczą się trzody, mnożą się owczarnie,—
Tak pszczółki człeka nieznające zgoła,
Pracują chętnie— bo nikt nie zagarnie.

Przez mnogie lata do kryjomych składów
Coraz bogatsze gromadzi się mienie,
To praca wnuków, tam praca naddziadów,
Plon z pokolenia idzie w pokolenie;
Cała rdzeń dębu plastrami zakryta,
Aż do wierzchołka stos miodu urasta.
Tak kiedy Króla pozbył się Kwiryta
Wnet uzamożnił mury swego miasta.
Zgłodniały niedźwiedź dopatrzył zdobyczy
I w starych plastrach pożywiał się dosyć;
Wkradał się często w otwór tajemniczy,
Głod go nauczył przeciwności znosić.
Nic mu sękata gałąź nad otworem,
Nic że od żądeł paszczęka opuchnie.
Tymczasem Rusin wędrujący borem
Obaczył pszczoły że lęgną się w próchnie;
Nie łacny przystęp, lecz warto zachodu—
Drzé się przez chrósty i widłate sęki;
Włazi na drzewo, widzi—pełno miodu,
Ale nie sposób ująć go do ręki.
Więc myśli w duchu: «Wnijdę do czeluści,
Tu mi nie będzie głębiéj jak po ramie."
I w środek dębu odważnie się puści;
Ciężarem woski ugniata i łamie;
Ale niestety! to zamiar nie wczesny—
Pierś dębu była próżną aż do ziemi,
Ugrzęza w miodzie jako ptaszek lesny
Schwytan na lepie sidły ptaszniczemi;
Jak owad w smole, tak Rusin w patoce
Tém głębiéj grzęźnie im w górę się bierze.
Więc ze szlochaniem rozwodzi się szczerze,
I wzywa Boga i mówi pacierze:
«Jak się wydostać z téj dębowéj ściany?
«Gdzie się nie ruszyć ni ręką, ni nogą,
«Jak skruszyć żółte, woskowe kajdany?
«Zbawiłby powróz— tu nie masz nikogo!

«Nikt mię powrozem w górę nie wywierci,
«Tu mię za morze miodowe niewola,
«Lecz mniejsza umrzeć — ale czekać śmierci
«W słodkiém ognisku— biednaż moja dola!
«Widzieć za życia że już po pogrzebie,
«Na śmierć powolną patrzeć lice w lice,—
«Jeśli jest jakie miłosierdzie w niebie,
«Wybaw mię Boże z miodnéj grzęzawice!
«O dolo moja! wzywam cię nieśmiele,
«O dolo moja! wyratuj mię z matni!
«Słodkie są miody! lecz ich tu za wiele,
«Kleją mi usta i oddech ostatni!
»Tu samo płynie, za usta się bierze,
«Nie trzeba zgoła trudnić się rękoma—
«Tutaj mój obiad, tu moja wieczerza,
«Już mi niestety, nie wieczerzać doma!
«Złodziej się dowie że gospodarz w kniei,
«Do mojéj chaty wnijdzie pokryjomu;
«Ja tutaj w sidłach— któż pojmie złodziei?
«Już mi niestety, nie wrócić do domu!
«Nie śmiem się spodziać, lecz jeśli z tych jarzem
«Raczysz mię wyrwać miłosierny Panie,
«Ślubuję złożyć przed twoim ołtarzem,
«Dary bogate na jakie mi stanie:
«Ślubuję przynieść woskową gromnicę,
«Grubszą i większą niż ten dąb na trawie;
«I tysiąc kadzi miodowych nasycę,
«I na tym miejscu świątynię postawię!”

Jeno się sądy uśmiéchnęły Boże,
Z kłamliwych ślubów w ocaleniu zdrowia,
Oto:— cóś ciemno w dębowym otworze,
I ryk straszliwy drgnął echem pustkowia;
Człowiek oniemiał, we dwoje się skulał,
Bo zwiérz kudłaty wpełza do zacisza.

Niedźwiedź przywykły wkradać się do ula,
Przyszedł— nie sądząc znaleść towarzysza.
Wyciąga szyję po plastr upatrzony,
Jako zwykł czynić borowy bandyta—
W złamanym wosku zatapia swe szpony,
Gdy człek z nienacka za łapę go chwyta.
Cofa się z ciemna przerażony srodze,
A Rusin widząc że mu szczęście płuży,
Krzepko uczepion na kudłatéj nodze,
Pomknął się w górę z gleistéj kałuży.
Człek łapę zwierza schwycił jak żelazem,
Zwierz by ją wyrwać wysilenie czyni,
Tak przerażeni wspinając się razem
Wyszli łupieżcy ze pszczelnéj jaskini.
Niedźwiedź ze strachu umarły na poły
Upadł na ziemię— Rusin go dogrzmota,
A on co stawił świece i kościoły,
Zapomniał Bogu poślubione wota.
Ubryzgan w miodzie i we krwi niedzwiedziéj,
Wymknął się z lasu jako mara blada,
Przyszedł do domu— zeszli się sąsiedzi,
A on im swoje dziwy opowiada *).

---

*) Są to wyjątki z tego wybornego przekładu, który wkrótce wyjdzie z pod prass Józefa Zawadzkiego i stanowić będzie ciąg dalszy *Przekładów poetów polsko łacińskich z epoki Zygmuntowskiéj*, którego początek stanowi *Klemens Janicki*, daléj idzie *Jan Kochanowski*, potém *Sarbiewski* i t. d. (*Red*).

EKONOMJA POLITYCZNA.

Z POWODU ORGANIZACJI PRACY.

Wieluż to niedorzeczności pod tą nazwą naczytaliśmy się od chwili, kiedy Fourier świat uszczęśliwiać zaczął, i jakiegoż to zarazem nie nawarzyły bigosu filantropijnego dwa te mistyczne słowa!— Dzisiaj, aby zostać ojcem ubogich i odrodzicielem świata, dosyć jest prawić o nędzy klass roboczych, zbytku bogatych, i wszystkim życzyć dostatków, jakich Bóg nie wszystkim udzielił, dość cytować pisarzy obcych, prawić, że się potrafi bicz z piasku ukręcić, piwo z trocin uwarzyć, a wielbią cię wszyscy głupsi od ciebie.

Ze stu nowoczesnych pisarzy niezawodnie dziewięćdziesięciu już *dzisiáj* czerpie z téj studni organizacji pracy popularność, oraz liczne bifsteki i wino dla siebie, nie mniéj ów nektar rozkoszy, jakim *późniéj* napawać mają pracujące klassy.

Nic nam nie wadzi popularność tych ojców ludu; co do nas, o popularność nie staramy się; być może, iż nie znając jéj, nie umiemy cenić i lubić; pojmujemy wszakże, iż mogą być tacy, którym ona przyjemność sprawia i korzyści nastręcza: lecz co nam zawadza, przeciw czemu zawsze powstawać będziemy, jest to: że ci panowie dla dobitniejszéj argumentacji przez pisma i dekla-

macje swoje codziennie, coraz bardziéj klassę roboczą z klassą roboty dającą— rozdwajają. Mniemają oni, że przyrodzenie więcéj daleko roskoszy dla ludzkości przeznaczyło, niż ich dotąd używa, i że pracę dający w zupełności takową dla siebie zagarnął, dla pracującego zaś pozostawiwszy tylko nędzę i pot z pracy. Daremnie zapewnia posiedziciel ziemi, właściciel fabryki, przełożony warstatu, iż nie tak się mają rzeczy, jak socjaliści prawią: napróżno dowodzi, że on tak dobrze zawisły jak i robotnik, że jego panami konkurencja i publiczność konsumująca, że stosunkowo zyski jego i roskosze nie większe jak robotnika: darmo....... Socjaliści nie wierzą, precież to jest jasno, iż każdy roboty dający nie jest niczém inném, tylko również robotnikiem, zamieniając tenże kapitał na innego rodzaju wartości, to jest: płody i wyroby przeznaczone na utrzymanie, polepszenie i uprzyjemnienie bytu wszystkich. W rzędzie pracę dających małą liczbę znajdziesz takich, którym przez wytrwałą pracę udaje się opierać codziennym troskom i mozołom; jak na wojnie zaledwie z tysiąca poległych jednemu uda się dostąpić marszałkowstwa tak też i w zawodzie rolniczym, przemysłowym, tudzież handlowym, wielu niszczeje, a bardzo mało szczęśliwszych, lub zręczniejszych, swobodnego i od trosków wolnego, doczeka się bytu. W każdéj prowincji, w każdém fabryczném mieście, mogą się socjaliści o téj prawdzie przekonać, jeżeli im o prawdę chodzi. W Anglji statystycznie dowiedziono, że majątek wielkich zakładników bardzo rzadko w ich rodzinie przez trzy generacje pozostał.

Ponieważ przy zwykłéj dzisiaj płacy robotników, ze stu posiedzicieli ziemi, fabrykantów i naczelników warsztatów, zaledwie kilku swobodne życie prowadzi, inni ode dnia do dnia się biédzą, a większa ich część zupełnego oczekuje upadku, jasną jest rzeczą, iż wymagane podwyższenie płacy robotników na nich ciężyć nie może, bez pewnego ich zniszczenia; dla tego, jeżeli zmuszeni zostaną drożéj robotników opłacać, nic im innego nie pozostanie, tylko płody i wyroby swoje sprzedawać drożéj. Żeby można było jednem pociągnieniem pióra zadekretować podwyższenie płacy robotników, bez podrożenia ceny płodów i wyrobów, zagadnienie byłoby rozwiązane; gdy to jednak nie podobne, a podrożenie płodów i wyrobów bezpośrednio uciśnie robotników jak i inne klassy, stan jego w niczém się nie polepszy; albowiem, każdy robotnik nie tylko jest producentem (twórcą wartości), ale i konsumentem koniecznie; grosz więc, jaki dziś więcéj za pracę otrzyma, jutro go wyda na żywność i inne potrzeby, które w tymże stosunku podrożeją, w jakim i jego praca podrożała; nie wię-

cėj zatém mieć będzie chleba, piwa, sukna i t. d., jak przed podwyższeniem swėj płacy. Przypuśćmy, że robotnik, który dotąd dziennie za 50 groszy pracował, dziś 2 zł. dostanie, a przytém stosownie do powszechnego dzisiejszego żądania robotników, zamiast dwónastu, dziesięć tylko godzin pracować będzie; widocznie praca jego przez te dwie zmiany o 50% droższą się stanie; a ponieważ niesprawiedliwością byłoby jednemu robotnikowi lub jednėj klassie robotników płacę o 50% podwyższyć, nie podwyższywszy jėj wszystkim robotnikóm krajowym, kiedy wszyscy zarówno pracują i równe mają potrzeby, praca zatém wszelkiėj roboty, a za nią i cena wszystkich płodów i wyrobów krajowych podrożałoby o 50%.

Zecerowie Wrocławscy otrzymali wyżėj wzmiankowane podwyższenie płacy, twierdząc, iż takowe o parę zaledwie fenigów druki droższemi uczyni; zapomnieli jednak, lub wygodnie im było zapomnieć, że gałganiarze, robotniki w papierniach, fabrykanci machin, introligatorowie, księgarze i ich pomocnicy i t. d. i t. d., równe jak oni prawo mieli do podwyższenia płacy. Twierdzą oni dalėj, iż podrożenie ich płacy w niczém nie zmieni ceny płodów pierwotnych. (Matiére premiére— Rohstof).

I w tém się mylą— płod jest to wyraz względny. W oczach wyrobnika rolnego, len już nie jest płodem, ale wyrobem jego pracy; przędzarz go nazywa płodem, a nici wyrobem, które tkacz dopiero na płótno wyrobiwszy, wyrobem mianuje. Krzyczącą to byłoby niesprawiedliwością, żeby biedny rolnik, którego stan pewno nie jest pomyślniejszym od miejskiego robotnika, nie miał mieć udziału w organizacji pracy; żeby i jemu jego kawałek ziemi mozolnie uprawiany nie miał 50% więcėj przynosić wtenczas, kiedy on przymuszonym będzie wszelkie wyroby miejskie o 50% drożėj kupować i on zatém o 50% cenę lnu podniesie.

Z tego podrożenia lnu konieczne następstwo, iż robotnik, który dotąd za swoją pracę dwónasto-godzinną 50 gr. pobierał, a za te pieniądze mógł 2 łokcie płótna kupić, dziś za 10-godzinną pracę, to jest za 2 zł., już nie 2 łokcie, ale tylko 7 ćwierci tegoż samego płótna dostanie.

Wprawdzie mógł on tych dwóch godzin niepracy— do wypoczynku, zabawy lub ku wykształceniu umysłowemu użyć, ale ściśle, rachunkowo rzeczy biorąc, te dwie godziny są dla niego i jego rodziny materjalną stratą. Strata czasu pracy pociągnie za sobą następstwa, nad któremi się dobrodzieje nasi zastanowić nie raczyli, a nadewszystko zmniejszy konsumcją krajową.

Płody i wyroby muszą podrożeć o 50$\frac{0}{0}$ naprzód, bo praca o 33$\frac{0}{0}$ podrożała; powtóre, bo dwie godziny, przez które nie pracowano, 17 procentów reprezentują.

Te 17$\frac{0}{0}$ są niczém nie wynagrodzoną stratą dla robotnika, uboższym się więc o 17$\frac{0}{0}$ staje, potrzeby swoje o 17$\frac{0}{0}$ ogranicza, a tém samém o tęż ilość konsumcją krajową zmniejsza.

'Nie bogatszym więc, ale uboższym uczynicie robotnika.

Tylko konsumcja wywołuje produkcją, bo nikt więcéj nie produkuje, tylko tyle, ile spieniężyć może. Zatrudnienie dla robotników w tym samym stosunku zmniejszyć się musi, jak konsumcja, to jest o 17$\frac{0}{0}$, a zatém jakżeż błądzą ci, którzy twierdzą, że przez zmniejszenie godzin pracy, większa liczba robotników pracę właściwą znajdzie.

Z téj to zasady wychodzą furmani, którzy protestują przeciw kolejom żelaznym, i szypry, nieprzyjaciele statków parowych. Jeżeli ta teorja górę weźmie, jeżeli na téj zasadzie idea socjalna się rozwinie, to nie długo parobcy wiejscy przeciw pługom protestacją zaniosą i rydlami ziemię uprawiać zechcą, a ich następcy i rydle porzucić i palcami ziemię grzebać zapragną.

Żeby robotnicy jak dawniéj dwanaście godzin pracowali i wyżéj wzmiankowane podwyższenie płacy otrzymali, natenczas cena płodów i wyrobów wprawdzieby się nie o 50$\frac{0}{0}$, ale tylko o 33$\frac{0}{0}$ podniosła, w takim razie jasném jest następstwem, iżby byt robotników aniby się pogorszył, ani polepszył, a to z powodu, iż wartość pieniędzy jest zawsze względną, nigdy absolutną.

Wystawmy sobie na chwilę, iż cała massa pieniędzy w kraju podwojoną została; cóż tego za bezpośredni skutek? nie inny, tylko ten, że cena wszystkich płodów i wyrobów w tejże saméj chwili podwojoną zostanie.

Ani o szeląg przez to bogatszymi nie będziem, bo nie pieniądze nam do życia potrzebne, ale chléb, bóty, odzienie, sprzęty i t. d.

Jak ilość płodów i wyrobów, do życia nam potrzebnych, nie powiększa się przez pomnożenie ilości pieniędzy i nabycie ich łatwiejszém się nie stanie, tak też podwyższenie płacy za robotę, a tém mniéj zmniejszenie godzin pracy, celu tego nie dopnie. Na téj drodze nie zyszczemy pewno więcéj bogactwa, to jest więcéj zboża, skór, wełny i drzewa.

Summa tych płodów, tego prawdziwego bogactwa, powiększyć się tylko może *przez pomnożenie produkcji*, ***ale nigdy przez kunsztowne pomnożenie pieniędzy, bądź to metalowych, bądź papierowych.***

Co do twierdzenia, jakoby przez zmniejszenie pracy więcéj się produkować miało, tego nam do końca świata i największy socjalista nie dowiedzie, choćby miał kałamarz jak ocean głęboki.

Weźmy piérwszy lepszy przykład— konsumcję mięsa.

Socjaliści lubią mięso, i wiele go światu obiecują, może dla tego, że mięsa bez krwi nie dostanie— tylko Schylock *) tego nie zrozumiał.

W państwie pruskiém, podług Ditricego, konsumuje jeden człowiek mięsa $33\frac{3}{4}$ funta rocznie, tę niezbyt wielką ilość jemy z *kapitału mięsnego*, *to jest*, *zmniejszając ilość bydła krajowego*. Jeżeli zatém kapitału naszego zupełnie zjeść nie chcemy, czyli wytępić trzody do szczętu, koniecznie nam piérwiéj o pomnożeniu bydła pomyśleć wypada, nim kommunistycznie wszystkich mięsem karmić zaczniemy.

Organizacja pracy— trzód nie powiększy. Aby je pomnożyć, trzeba ziemię płodniejszą przez dobrą uprawę uczynić, trzeba łąki tworzyć i te starannie polewać, jedném słowem, rozumnie i wiele pracować.

Wprawdzie zarzucić tu można, że te 540 miljonów funtów mięsa nie przez wszystkich poddanych J. K. M. w równéj ilości spożywane bywają, że bogatsi więcéj go zjadają jak ubożsi.

Tak jest w saméj rzeczy.

Ale zszedłszy z szumnego stanowiska teorji do liczb, które tak często nasze najpiękniejsze marzenia niweczą, przekonamy się łatwo, iż przez równy podział między wszystkich, małaby bardzo korzyść dla robotników wynikła.

W Prusiech, i to już wysoko liczemy, na 30 uboższych ledwo jeden majętny przypada, a zatém mamy ich 500,000 głów, czyli brzuchów. Niechże każdy z nich zamiast $33\frac{3}{4}$ ff., zje 150 ff., razem zjedzą 75 miljonów ff., a zatém rocznie 58 miljonów więcéj nad normalną ilość $33\frac{3}{4}$ ff.; podzielmy teraz tę ilość kommunistycznie na $15\frac{1}{2}$ miljonów resztujących Prusaków, a dostanie się każdemu z nich rocznie $3\frac{42}{100}$ ff., mięsa więcej jak go dziś zjada. Te go pewnie nie uszczęśliwią.— *Que de bruit pour une omelette.*

Jak z mięsem, tak i z innemi potrzebami życia, gdyż możność konsumcji w każdym człowieku ograniczona; niedorzecznością więc jest, albo raczéj złośliwém kłamstwem, kiedy komuniści, socjaliści, jak się ci wszyscy panowie zowią, majętnych jako Minotaurów wystawują, pożerających strawę klass biedniejszych.

---

*) Szajlok, osoba z Szekspira. (*Red.*)

Ze składu naszego społeczeństwa wypływa, iż liczba majętnych nigdy wielką nie będzie, a zatém ich większa lub mniejsza konsumcja nigdy znacznie na szali ogólnéj konsumcji nie zaciężу.

Jednem słowem: *tych bogactw, jakie ci nowi dobrodzieje świata ludowi obiecują, na ziemi niema; dopóki dwa razy dwa — pięciu czynić nie będzie, dopóty ziemia témi tylko darami człowieka uszczęśliwiać będzie, które on sam z niéj przez pracę swoją wydobędzie.*

Niech zbytni podatek robotnika nie uciska, niech rząd wychowaniem dzieci jego zajmie się szczérze, a szczęśliwszym on będzie nawet od największego socjalnego pisarza, bo przyjdzie do chleba nie przez kłamstwo, ale przez uczciwą pracę *).

---

*) Zwracamy uwagę czytelników na samodzielność poglądu w rzeczy przez naszych pisarzy prawie nie traktowanéj i oświadczamy podziękowanie nieznanemu autorowi, podobno uczniowi uniwers. dorpackiego, za nadesłanie nam téj rosprawki. (*Red.*)

KRYTYKA.

ODEZWA

o 1-szym Sposzycie *Dziejów literatury polskiéj* Wł. Syrokomli,— Komedjach Alexandra Fredry— „*Przy kominku*" Wincentego Kołłupajły; i innych rzeczach.

(Wyjątek z listu P. Tomasza Tuza).

«Rzecz ta przeto, kochany P. Adolfie, jeszcze wątpliwa.— Ale gdy papieru zostaje jeszcze dosyć, a duchy mędrców, jak powiedział *Henryk* Szekspira, żeby nie miały prawa śmiać się ze mnie patrząc z obłoków, że tu siedząc u Berka, próżnuję,— dla tego masz cokolwiek z ulubionéj tobie literatury.

Szacowny nasz poeta Syrokomla czyli *Ludwik Kondratowicz*, wypracował Historję polskiego piśmiennictwa, i wyszedł już jeden jéj sposzyt obejmujący czas do Władysława Jagiełły, czyli Piastów. Kondratowicz swą historję literatury podzielił więcéj stosując się do wypadków politycznych kraju niżli umysłowych, choć jego historja literatury zakrawa na historję oświaty w Polsce. Podzielił ją na pięć epok. Ostatnia obejmuje lata od rozbioru Polski aż do naszych czasów.— Zamiar autora bardzo dobry: *poznajomić ogół z biegiem i postępami literatury*, jak można najdokładniéj, najłatwiéj i najtaniéj. Bo wyjdzie całe dzieł-

ko we dwóch sporych tomach za cztéry i pół rubli srebrem. Autor niewziął na się odpowiedzialności zbytniéj za obrobienie swego przedmiotu,— bo chce tylko, jak rzekłem, opowiedzieć historję literatury polskiéj, ile mogąc, najłatwiéj i najprościéj, a nie krytycznie ją wyłożyć. Choćbyśmy czytelnicy, znający zdolność, wiadomości i dobre skierowanie tych zdolności i nauki Władysława Syrokomli, mogli spodziewać się po nim, że on napisze wyborną krytyczną, jaką dziś można tylko u nas napisać, historję literatury. I licząc na skromność autorską, trzeba się spodziewać, że mniéj więcéj tak będzie, bo piérwszy sposzyt to zapowiada.

Lecz głównem zadaniem Ludwika Kondratowicza będzie, jak się zdaje:— pokazać, że rozwijaniu się samorodnemu polskiego ducha i literatury, więcéj był na przeszkodzie germanizm z samych początków bytu polskiego, niżli łacina rzymska. Przeciwnie, ta będąc przeciwdziałaczem niemczyznie, była niejako zbawczynią narodowości polskiéj.— Gdyż będąc sama martwą istotą co do formy, nie mogła uszkodzić żywemu jestestwu ducha polskiego tyle— co giermanizm żywy i poniekąd mocniejszy już od polskiéj narodowości.

Epoka Piastów sprawiedliwie mówiąc, niéma literatury. Ta zaczyna się od Reja i Kochanowskich. Dla tegoż do czasów Reja historja literatury zawsze będzie więcéj historją polityczną i historją oświaty, niżli literatury piśmiennéj.— Bo za panowania Piastów kilku kronikarzy, prawników, pieśń «*Boga-rodzica*,” na śmierć Bolesława Chrobrego, pieśni i książki nabożne, najczęściéj nie przez polaków pisane i pieśni przytém doszłe do nas w łacińskich przekładach, nie są jeszcze obrazem prawdziwym ducha narodowego.— Ale o to mniejsza. Bo historji literatury od historji oświaty, trudno wyraźnie odłączyć. I krytyka przeto téj epoki literatury, więcéj może być krytyką chronologicznych wypadków i w ogóle historji, jak krytyką literatury. Dawać przeto sąd z piérwszego sposzytu, stanowczo nie można. Prócz tego, potrzeba na to zasobu materjałów historycznych, a u Pana Berki prócz biblji i trocha talmudów, nic nié ma.— Zobaczym, co koniec dzieła Kondratowicza pokaże?—

Syrokomla utrzymuje z większością, że rządy do-Piastowskie i Piastowskie były czysto-absolutne.— Ja zaś, ile mogę sądzić, myślę, że w Polsce nigdy nie było dobrze uorganizowanego rządu. I dla tegoż łatwo wyradzały się i zniżone znowu podnosiły się możnowładne despotyzmy, przewaga księży, i łatwo urodziło się rycerstwo czyli *gmin szlachecki.*— I dla tegoż jak w słabym i niepewnym rządzie, większości i słabszemu pospólstwu,

było zawsze źle, pomimo opiekowania się przez niektórych królów losem tego pospólstwa.

Ale jakkolwiek bądź, praca szacownego Syrokomli, nie tylko będzie ozdobą bibliotek uczonych i literatów naszych, lecz będzie przyjemną czytelnią i nauką ciekawych czytelniczek, bo do nich autor zalecając im modlitwy Ś. Jadwigi, pięknie i sprawiedliwie odzywa się. Dla tegoż stara się potocznie i czysto po polsku opowiedzieć historję literatury naszéj, przytaczając nawet prześlicznego swego tłumaczenia łacińskie pieśni i modlitwy z téj epoki. Bo dzisia jest czas potoczności, czyli popularyzacji, czyli najuczciwsze staranie rozlać oświatę we wszystkich oddziałach nauk, na ogół. Bo dziś rzadko już komu nie wiadomo, że szczęście ludzkie na ziemi, jest nierozłączne z oświatą— oświatą chrześcjańską. Dla tegoż, jeśli Kondratowicz uzupełni swój dobry zamiar, ogół jemu szczérze podziękuje— i ja piérwszy od siebie posyłając pieniądze na prenumeratę. Bo pochwały i podziękowanie za jego pracę bez rozkupienia jego historji literatury, pokażą tylko, że my chwalim autorów i swoją literaturę, powtarzając te pochwały jak dzieci pacierz za panią matką. My czytelnicy prosilibyśmy tylko szanownego Ludwika Kondratowicza, żeby on obraz piśmiennictwa ostatnich t. j. naszych czasów, niepokrótce i pobieżnie, jak inni, a obszerniéj wyłożył i nieposkąpił się na zdrową i dobrą krytykę. Bo on, że nie jest zbyt jednostronnym sędzią, jak *np.* Grabowski z kompanją i Majorkiewicz, to już widać z jego przemowy. Ale o tém pomówi zapewne zdrowa krytyka, któréj po wyjściu pisma Syrokomli, spodziewam się od specjalnie trudniących się u nas historją i literaturą—jak Szulc, Maciejowski, Wiszniewski, Kraszewski lub Wandalin Habdank. Krytyka ta zapewne napisze się z porównania historji Syrokomli ze wszystkiemi podobnemi u nas pismami,— bo takim tylko sposobem, może krytyka stać się krytyką pożyteczną dla czytelników i pisarzy krytykowanych.

Już chciałem P. Adolfie, list na tém skończyć— ale zamiast go zasypać, zakładając bibulastym kawałkiem druku— widzę, że to szpargał z komedji szanownego naszego Al. Fredry.— Tu mi zaraz przyszło na pamięć— że: *habent sua fata libelli.*— Tylko, że to *fatum* czyli przeznaczenie komedji Fredry, na ten raz, niezbyt wesołe. U nas Alexander Fredro, więcéj sławny jak znajomy, choć na teatrach jego komedje oddawna się grywają.— Co za szkoda! powiadają, że Bronikowski nie pisał po polsku swych romansów historycznych. Czytając zaś i przeczytując komedje Hr. Al. Fredry, pamiętam, że nie raz musiałem powiedzieć:— co za

szkoda, że Al. Fredro swych komedji nie pisał wprost prozą a wierszem! Przez zły, niełatwy, jedno-tonny wiersz, wiele tracą komedje Fredra. Dwie ostatnie: «*Zemsta*" i «*Dożywocie*" całkiem naśladują nie tylko Zalewskiego Bohdana lecz i Olizarowskiego wiersz— a taki wiersz jak jest dobry w ich poematach, tak nieodpowiedny (ciągły jamb) dla komedji, gdzie potoczność, naturalność i rozmaitość w wysłowieniu najpotrzebniejsze i konieczne. Z tego względu, lepsze są trajedje *Jana Maxymiljana Fredry*, choć jako trajedje— krytyki żadnéj nie wytrzymają— (*Dydona*, *Herald*, *Wanda*). Dzisiaj złe wiersze pisać, prawie niedarowana. Również, gdy cała zaleta na dobrym rymie, jeszcze to nie zasługa i nie patent na poetę.

Wincenty np. *Kołłupajło* w swych wierszach: «*Przy kominku*," pokazał się gładkim i zdolnym rymopisem— poetą zaś nie zbyt wysokim. I jego uczucia i myśli, są więcéj marzenia jeszcze i domysły, jak pewne siebie uczucia i myśli. Najlepszy jest obrazek szlachecki: «*Pan Chorąży*," bo widać, że to z naturą autora bliższe i więcéj sympatyzujące. «*Łukaszowie*" zaś, obrazek gminny, jest napisany prawie jak pisał Karpiński idealiczne sielanki— bo widać że autor tego przedmiotu uczył się na zimno, więcéj z teorji jak z natury żywéj. Romans *Doroty* z *Jankiem*, bardzo romansowy. Nasz gmin czuje i kocha, ale nie romansuje jak w drukowanych romansach i sielankach staréj daty. Szczerotliwa prostota jest cechą główną jego, jak każdéj nieoświaty. Żeby tę szczerotę i prostotę naturalnie wystawić, trzeba wielkiego artysty ludowego— a każdy inny będzie tylko sentymentalnym i często ckliwym. Romansowanie klassy oświeceńszéj od gminu— jak inni nazywają *zepsutéj* już sztuką światowego pożycia— zawsze będzie tylko sentymentalnością ckliwą, gdy zechce naśladować niewinną prostotę. A poeci zwykle nas tém karmią.— Nie pamiętam kto— może Szyller a może kto inny, o tém pisał— bo w téj chwili, coś nie poczuwam się, żeby to méj głowy był koncept i postrzeżenie.— Ale mniejsza o to, czyjeby to było *).

Obrazki atoli Kołłupajły są daleko wyższe obrobieniem od innych młódszych. W przedmowie on wprowadza skargę poezji i uczucia na dzisiejszy oziębły, rachunkowy rozum. Wiadome to już i spowszedniałe skargi, a nie wiele sprawiedliwe. Dla poezji nie tyle rozum krytyczny i przemysłowy szkodzą, jak fałszywa

*) Pisał Szyller i jego rozprawkę *o naiwnéj i sentymentalnéj poezji* załączymy w jednym z następnych zeszytów *Pamiętnika*. (*Red.*)

poezja i rymoklectwo. Czasem i sofistyczne prawdy i twierdzenia— są poczęści prawdami. Czyli inaczéj mówiąc, niéma tego fałszu, żeby w nim acz odrobiny nie było prawdy.— I przeciwnie. Ktoś to powiedział— zapewne kobiéta,— że prawdziwa miłość i uczucie— a zatém i poezja, jest pociągającéj natury siłą.— Kto sam kocha prawdziwie,— tego mają,— według tego sofizmu, wszyscy koniecznie kochać.— A kogo nikt nie lubi,— zapewne w nim serce metaliczne— i najgorszéj próby.— W tém jest poczęści prawda. Bo że jest fałsz, nie potrzeba daléj chodzić jak do Państwa N.N. On sam łotr i rozpustnik, a ona przepada za nim.— I Chrystus to kochał ludzi nie powszednią miłością, ale ta miłość nie przeszkodziła ukochanym przezeń ludziskom, ukrzyżować Go.— Jednakże ten sofizm, zawiéra i coś prawdy. Dla tegoż, powiadam ci P. Adolfie, że gdzie jest prawdziwa piękność i poezja, to zawsze pociągnie ku sobie czy widzów czy czytelników. Rymokleci więc, nie mają wiele prawa zanosić skarg swych uczuć na rozum.— Rozum nie fraszka. Prawdziwy rozum, żeby był powszechny na świecie, nie byłoby bezpotrzebnych skarg sercowych i uczuciowych, bo wówczas byłoby więcéj prawdziwego uczucia i miłości chrześcjańskiéj.— Rozum bez serca— jak serce bez rozumu— warte djabła.

Ale wracam do Fredra. Komedje Al. Fredra bardzo trudno pisać. Gdyż u niego charakterów prawie niéma, z wyjątkiem chyba *Krupkowskiego* w «*Dożywocie*,” *Łatki* lichwiarza, skąpego i chciwca. Wszystkie inne zaś wizerunki osób, są tylko karykatury śmiészne, najkomiczniejsze,— ale tylko omyłek rozumu, a nie złego serca. Charakter zaś, jak ci wiadomo P. Adolfie, jest wynikłością rozumu i serca czyli wolnéj woli, a nie jednego czego bądź. Prawdziwych całkowicie ludzi i rzeczywistego świata w komedjach Fredra niéma zgoła, jedne wyjątkowe karykatury. Jego komedja jest z rodzaju najwyższych. Jest tylko wyższą komedja *serio*, w któréj przy karykaturach i śmieszności osób, rozwija się prawdziwe życie lub wysoka idea.— Ale szkoda że Hr. Fredro nie pisał wszystkie komedje, jak *Jowialskiego*, prozą. Byłoby najlepiéj. Częste rymy— «*dobie*” «*sobie*”— jak bez braku kładzione wszystkim w usta wyrażenie się: *koniec końcem*, *hola* i t. p., zgoła niepokazują, że Fredry język jest naturalny, żywy, podsłuchany u prawdziwych ludzi, a swój, francuzko-polski. Fredry komedje są rzeczywiście żartem tylko i bardziéj humoryzmem, niż satyrą.— Dla tegoż i wyższe od zwykłych satyrycznych komiczności. On nikogo nie łaje, nie sztrofuje, a tylko ze wszystkich żartuje. Tylko Arystofanesa komedje

podobne do Fredry komedji *). Moliera *Sawantki, Szkoła kobiet*, i inne tu podchodzą. Dla komedji Fredra trzeba najlepszych aktorów lub czytelnika deklamatora. Inaczéj zawsze będzie najnudniéj, i powiedzieć musisz z jakimś dowcipnisiem na galerji wileńskiego teatru, podczas odegrywania Fredry: «*Szlubów panieńskich*"— że, *być na komedji wierszami, to Boże zmiłuj się nad nami!* Nie widząc ja w sobie dowcipu, chciałbym go wyprosić dla się gdybym powtórnie mógł się urodzić. Bo ani weź nie przystaje do mnie owe romantyczne twierdzenie, że dowcip jest zbyt podrzędną władzą umysłu i jest tą szkapiną na któréj djabeł człowieka najczęściéj wiezie do piekła. Gdyż zwykle utrzymują, że człek dowcipny aby mieć zręczność błysnąć tym ognikiem i prysnąć jak solą w oczy ludziom, gotów zawsze zapomnieć cnotę i każde szlachetne uczucie. Oj!— czy tak jest tylko? A jeśli i tak, to czyliż każdy zapaleniec i górnolotny pomysłowicz i najponurzéj głęboki pedant— grzeczniéj nazywany tylko *uczonym*,— niegotowi zawsze dla ulubionych sobie górnolotnych i najczęściéj pustobrzmiących fraz i najuczeniéj okrzesanych frazesów— przesadzając swym zwyczajem wszystko dobre i złe, wydealizować cnotliwych z ich cnotą do tego stopnia, że w końcu stają się oni występni, a cnota— niecnotą, a występni aż zbrodniarzami?! Gdzie niéma w niczém miary i cnoty w duszy, tam z dowcipem i bez niego, i z wychuchaném najgoręciéj uczuciem, nie wiele sensu i cnoty.— Satyra i krytyka, bez dowcipu prawdziwego obejść się prawie nie mogą. Kto nie lubi i boi się satyry i krytyki, ten odprawia każdy dowcip z djabłem. Pisząc do Mości Pana, jak ty kochany Adolfie, któremu zabił ktoś ćwieka w głowę, żem krytyk równie silny jak me nazwisko Tuz pokazuje,— powiém ci tu jednak, bo jeszcze papiéru kawałek zostaje, iż każdy Mości Pan wyobrażający się krytykiem, powinien przystępując do czytania każdego pisma— tyleż i zgoła niemniéj, mieć chęci pouczyć się sam od autora, ile i tego autora nauczyć.— Inaczéj on nie krytyk, bo niesumienny a zarozumiały osiołek.— «Uczyć się nie przestawaj" powiedział sprawiedliwy Kato.— I ja go posłucham.— I nim— da Bóg, poczniemy z P. Bartłomiejem gawędząc po swojemu krytykować dzieło szanownego Kondratowicza, nie zaszkodzi mi wprzódy u niegoż się pouczyć. I z nieboszczykiem M. R.— «przez bogi żywe! nie jam winien,"— zawołam— gdy spodziewanéj nauki nie znajdę tam dla siebie.

---

*) O komedjach Arystofana, ich znaczeniu w starożytnéj literaturze i treści onych, damy wkrótce obszérny artykuł. (*Red.*)

I proszęż! Jak się to myśli, i zkąd te myśli nasuwają się! Pani Berkowa, grzeczna i usłużna, i nieszpetna gospodyni dla swych gości, oznajmiona przez swą córeczkę że ja piszę, przyszła sama do mnie z arkuszem czystego papiéru pytając, czy nie zapotrzebuję go? Poprosiłem ją zostawić mi papiér.— Ale Pani Berkowa z całą skromnością, małżeńską cnotą i zalotnością dość ucywilizowanéj kobiéty, natychmiast wyszła. I taż P. Berkowa swém ułożeniem i usłużnością wzbudziła myśl we mnie o artyźmie i uczuciu piękności kobiét. Przypominam, żem mówiąc nie dawno z P. Bartłomiejem z powodu, zdaje się, Podbereskiego *Pamiętnika*— o sztukach *),— powiedziałem, że każda kobiéta z natury jest większą w duszy artystką od mężczyzny. I tak jest.— Ale teraz ci Panie Adolfie dodam, że ten artyzm kobiécy stosuje się tylko i prawdzi się— co do zmysłowéj, cielesno-namiętnéj poezji, podług określenia Platona, a nie do poezji wyższéj i najwyższéj— czyli czysto-umysłowéj, a według innych nazwania, filozoficzno-chrześcjańskiéj.— Ta kraina prawdziwéj poezji— najwyższa i najmniéj dostępna, wyłącznym prawie jest udziałem nas mężczyzn.— Przy wszystkich swoich umysłowych zdolnościach i moralnych cnotach, żadna kobiéta nic nigdy nie stworzyła wielkiego i pięknego prawdziwie. Jéj udział w tworzeniu, wszędzie— wszędzie jest więcéj bierny niż czynny.— Jak bywa nieraz mi śmiesznie i pociesznie, spotykać się z sądami ludzi o kobiétach. Jedni im zbyt wiele przypisują praw i zdolności wszystkich,— drudzy znowu ich krzywdzą. Tak i było nie dawno w jednym domu— gdzie spór zaszedł o tém między kobiétami i kilku mężczyznami.— I śmieszniejsza jeszcze, że tu jedna kobiéta bardzo rozsądna— zdawała się ujmować kobiétom, a przeciwnie— jeden mężczyzna, i oby tylko nie literat jeszcze,— zanadto ich siłę miłości i stałość wychwalał.— Ja w tym sporze, żeby grzeczniéj i mniéj gwarniéj skończyć, poradziłem mężczyźnie przeczytać choć Virey'a traktat o kobiétach— bo widziałem, że sąd jego na niczém pewném nie oparty.— Szkoda, że nie było tam Pani Bartłomiejowiéj, któréj, proszę cię P. Adolfie, zawieź mój braterski ukłon, i powiedź że postaram się koniecznie jéj poruczenie o włóczce spełnić, a miałaby ona dobrą rozrywkę podsłuchać i przypatrzyć się, jak śpierano się o przedmiocie blizkim dla niéj,— bo powtórzyć ten spór dla niéj, zapewne nie będę w stanie, gdyż przez miesiąc zapomnę jego zabawnych szczegółów.

W tymże domu, niejakiś Pan, przyjezdny z Wilna powiadał,

---

*) W 5-tym N. *Gwiazdy Kijowskiéj. Gawęda VI. Krytyko-literacka.* (*Red.*)

że Odyniec napisał nowy wiérsz do niejakiegoś *Syxtusa J**. Z opowiedzianéj treści— ma być to wiérsz moralny, prawie ascetyczny, a J*. oryginał— nazywany zwykle *warjatem.*— Literatura ascetyczna i jezuicka zawsze trwają. Dowodem służy piąte nowe wydanie Hr. Montalambera o *życiu Ś. Elżbiety Węgierskiéj*, na co czytałem w tych dniach recenzję Pelltana.— Sądząc z téj recenzji, musisz powiedzieć, że są przecież co piszą i rozkupują dzisiaj takie książeczki!—

Oryginalność Syxtusa J*., przypomniała mi podobny bardzo przykład półpomieszania z muzykiem młodym Floreńskim Karnavali, jeśli się nie mylę. On kochany i wzajem kochając Siniorę jakąś, po jedném wzajemném wyznaniu się w jéj buduarze, musiał porzucić Florencję, bo tak sama jego czysta miłość i cnota Siniory jako żony, chciały. Przy rozstaniu się muzyk oddał swéj Siniorze szkatułkę swą z piéniędzmi, prosząc— jeśli on umrze piérwiéj, żeby ona to wzięła jako spadek po nim, a gdy powróci, ona przechowawszy tylko, zwróciła szkatułkę z pieniędzmi jemu. Zakochana Siniora wziąwszy ze swych włosów łańcużek, zawiesiła go z kluczykiem od szkatułki na szyi swego kochanka.— Po latach pięciu, Karnawali wyczytawszy w Bostońskich gazetach o śmierci męża swéj ukochanéj Siniory, przyleciał jak szalony do Florencji, wziąwszy z sobą całą familję biédnego muzykanta w celu zapomodz go swym majątkiem. Wbiega do pokoju ubóstwianéj Siniory. Osłupieli oboje. Ona niespodzianém jego zjawieniem się, a on oziębłością swéj kochanki. Wnet przychodzą dwaj kawalerowie— i Siniora odparła się od miłości i od wzięcia pieniędzy biédnego entuzjasty. On z żalu i rospaczy przywdział na się ubiór podobny do ubioru J*; a przez dumę, że nie mógł w podłéj tak kobiécie zakochać się, nie chciał jéj niesławić, i w nędzy półwarjatem umarł.— Nie daj Boże tego z bohatérem owego wiérsza *)!

Jeśli otrzymasz piąty N. *Gwiazdy*, proszę cię, przyszlij mi.— Ale— ale. Jegomość chwalący zbyt kobiét— z czytania czy tylko ze słuchów o zdaniach Tygodnikowych, odzywał się o téj uczciwéj Gwiaździe, jako faryzeuszce, a jéj przyjaciołach jak o największych faryzeuszach. Winszuję ci więc P. Adolfie nowego przydomku, bo przecie korespondujesz z Dołęgą, z głównym faryzeuszem.— Takie zdania przewrótne pochodzą, rozumie się, z niewiadomości i czytania tylko z jednéj strony odezw.— Zbijać jego

*) Gdyby ów wiérsz nie był wycofany z naszego zbioru, sądzimy że kapryśny Tuz przeczytawszy go— dałby lepsze o nim zdanie. (*Red.*)

twierdzenia nie widziałem potrzeby— a tylko po radzie piérwszéj przeczytać Virey'a, prosiłem żeby zechciał przeczytać i kilka tomików Gwiazdy— dla lepszego o niéj zdania.— Łatwo mogłem zauważyć w tymże towarzystwie, że zdanie połowy przynajmniéj a mianowicie kobiét tam obecnych, było obojętne na pochwały i nagany dla Gwiazdy Kijowskiéj.— Przyczyny na to lepszéj nie można dać— jak że Gwiazda *nie czyta się*— bo dla ogółu zaciężka.— Ale o tém mówiliśmy z powodu N. 4. téj książki składkowéj— i choć mówiliśmy srogo,— lecz Dołęga, jeśliś doń pisał o tém, powinien pamiętać słowa: «karz mądrego, a będzie cię miłował," gdyż mówiliśmy sami z P. Bartłomiejem, pomnąc na tę prawdę.— Inaczéj nie warto byłoby i mówić o tém.

O tegorocznym Tygodniku Peterzburskim nic dla was nie piszę, bo dotąd nie miałem sam téj *przyjemnéj zręczności*, jaką zwykle komplementują się obojętni dla się wzajem ludzie, z tą gazetą spotkać się,— i dla tegoż nie wiém, czy jest co w nim o czémby wartało wiedziéć? lub zgoła niéma— co bywa z nim pospolicie.

Lecz o tém wszystkiém dosyć— nie zapomnij tylko, o com prosił cię jako rolnika— i bądź mi zdrów i wesół,— a gdy to dwoje jest,— zaprawdę dla człowieka tu dość nieźle.— Twój i t. d.

Zgodnie z oryginałem

Adolf z pod Bielska.

1 Marca 1850 r.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE.

SWAWOLA STUDENTÓW WILEŃSKICH.

(Wyjątek z Pamiętników Filona Osińskiego).

Roku Pańskiego 1644, Lutego 8 dnia, we Wtorek zapustny, Król Jegomość Władysław IV. wespół z Królową Jejmością Cecylją Renatą, raczył znajdować się w Wileńskim Kollegjum Akademickim Ś. Jana na dyalogu. Po piérwszem przedstawieniu widowiska bachusowego, Królestwo Ichmość odjechali do zamku, lecz dwór Królewski i wielu bardzo panów pozostało do końca dla słuchania mów, wiérszy i panegiryków zwyczajnych przy takich okolicznościach.

Ulica między bramą kollegjalną a pałacem biskupim była zawalona pojazdami i saniami osób dworskich, tudzież innych dostojnych gości. Studenci wychodzący tłumnie przez bramę, znalazłszy wielce utrudzone przejście, poczęli przeciskać się między powozami i końmi: jedni przełazili popod karety, drudzy powierzchu przez sanie i odkryte kolebki, inni z obu stron otworzywszy drzwiczki karet, przemykali się na drugą stronę ulicy. Zrazu było to krotofilne tylko widowisko, śmiech i oklaski wywołujące, lecz gdy się nie obeszło bez obelg i potrącań, podko-

niuszy nadworny królewski Butrymowicz, nie mogąc nic począć prośbą i łagodnemi słowy, kazał stangretóm użyć biczów. Odpędzeni ze wstydem i szyderstwem sług dworskich i widzów, uczniowie oburzyli się i jęli zgromadzać się tłumniéj; a było ich nie mało, gdyż nie tylko ze szkół i akademji jezuickiéj, ale też ze wszystkich zakładów naukowych innych nawet wyznań w mieście, zapraszano młodzież na takie widowiska. Zaczęto śnieżkami ciskać na stangretów, lecz bicze powtórnie odparły napastników do bramy kollegjalnéj.

Tymczasem jak raz w porę znalazły się na dziedzińcu kuchennym dachówki, pozostałe od naprawy dachów. Uczniowie uzbrojeni w ten rzutny oręż, znowu wystąpili na plac boju, i tak gęstym gradem przywitali czeladź dworską, że nie jeden ciężki raz odebrał; okna w karetach pobito, konie się poprzestraszały i w śród zamieszania unosząc pojazdy poroztrącały ludzi na ulicach: Butrymowicz ledwo z duszą umknął do pałacu biskupiego. Stało się to już w późny wieczór i tém większém groziło niebezpieczeństwem, że było bardzo ciemno, a latarnie i kagańce w téj części miasta potłuczone, zagasły. Hałas i bitwa zwiększone jeszcze zbiegowiskiem ludu, doszły właśnie do najwyższego stopnia, gdy goście wychodzili z kollegjum, śpiesząc do swoich pojazdów,— zamieszanie więc powstało straszliwe. Nareszcie ukazali się pachołcy i straż wojewodzińska; pochwytano wiele młodzieży i zaprowadzono do turmy miejskiéj. Bramy zamkowe zostały zamknięte, a silny patrol wojskowy dotarłszy do miejsca wypadku, ujął także niektórych uczniów biegących w tę stronę, i zabrał do więzienia zamkowego.

Mimo to jednak w tę noc, bachusowa wesołość, muzyka i śpiewy ożywiały całe miasto. Ludzie jacyś rozmaicie przebrani, w towarzystwie zamaskowanych niewiast, śpiewając i pląsając przybyli do kordegardy turemnéj i wciągnąwszy pachołków do swojéj zabawy, spoili do upadłego. Napoje musiały być zaprawione jakąś mieszaniną apteczną gdyż w okamgnieniu usypiającą okazały własność. Dwóch czy trzech ze straży przysięgło, że więcéj nad jedną szklankę miodu nie wypili, a przecież tak byli odurzeni i snem ujęci jak inni. Niektórzy z nich nawet powszechnie byli znani z trzeźwości, a przed wszystkimi Podolanin porucznik Stawiszewski, dowódzca kordegardy turemnéj, człowiek szlachetnego urodzenia, wojak sędziwy i zasłużony. Według jego zeznań, dama jakaś zamaskowana i ubrana porządnie, wyzwawszy go do pomówienia na osóbności, poczęła przekładać, iż ma ważną rzecz do powiedzenia; a gdy z nią odszedł na stronę, kilku mężczyzn napadło nań w ciemnym korytarzu, zatknęło

usta i uprowadziwszy na ulicę, związanego przez parę godzin trzymało w zakącie. Widocznie przeto była to sprawa nielada jakiéj zgrai, lecz silnego jakiegoś stronnictwa, mającego swoje widoki w takiem postępowaniu. Cóżkolwiek bądź, wiezienie znaleziono próżném, gdyż nie tylko uczniowie, lecz i istotni zbrodniarze ratowali się ucieczką.

Rzecz więc nie zakrawała na żarty; zaskarżenie było nie małéj wagi, ponieważ wielu panów dworskich, senatorów i wyższych urzędników poniosło szkodę w pojazdach i koniach, oprócz krzywd wyrządzonych ich sługom. Samo oswobodzenie więźniów z turmy miejskiéj stanowiło już rodzaj zbrodni.

Jezuici naczelne w zawodzie naukowym przywłaszczający sobie miejsce, ujrzeli się mocno skompromitowani; chcąc przeto ze wszystkiego umyć ręce, trafili do królowéj — a przez nią do króla. Utworzyło się nawet u dworu stronnictwo, które całą rzecz w dziecinną psotę obrócić chciało. Z témwszystkiém prawa litewskie na takie wypadki, w obec króla i władz sądowych zaszłe, surowe wskazują kary: nie można zatém było ujść sprawiedliwości. Nastąpiły badania uczniów w zamku uwięzionych, z których najstarszy nie miał nad lat piętnaście, i rozmaitych osób zamieszanych do téj przygody. Badania te i po uwolnieniu uczniów ciągnęły się jeszcze tydzień, ale na stronę oskarżonych nic korzystnego nie wykryły.

Tymczasem przybył z Warszawy ksiądz referendarz Isajkowski i gdy dość obojętnie dotknął się wytoczonéj sprawy, król inne powziął o niéj zdanie, zapewne oświadomiony lepiéj o istocie rzeczy, która poniekąd tyczyła się własnéj jego powagi. Zmieniono członków Kommissji śledczéj, w któréj tylko książe Albrycht Radziwiłł prezesem pozostał.

Wkrótce potém gruchnęła po mieście pogłoska, że za Rudnickiém przedmieściem stawiano szubienice dla wieszania uczniów, w skutek wyroku komissji, który lada dzień miał być potwierdzonym przez króla. Podówczas Magistrat w rzeczy saméj zaczął stawić jakąś budowlę za Rudnickiém przedmieściem: gdy więc uczniowie w celu sprawdzenia takiéj pogłoski, udali się za *mleczną bramę* *) i spostrzegli zwożone tam ogromnych rozmiarów belki, nie trzeba już było nic więcéj do uwierzenia w prawdziwość krążących wieści. Lubo wywiadywania się w ratuszu

---

*) *Mleczna* czyli *Brama Mleczarek* była murowaną i pod koniec zeszłego jeszcze wieku, choć w rozwalinach, istniała na końcu *Rudnickiego przedmieścia*, czyli *święto stefańskiéj* ulicy.

co innego okazywały i w komissji śledczéj żaden wyrok jeszcze nie zapadł, uczniowie jednak upatrywali w tém wszystkiém tajemne tylko działanie rządu, i przestrach paniczny ogarnął wszystkie zakłady naukowe. Był nawet domysł, że ktoś niewiadomy, umyślnie starał się wzbudzić powszechną obawę i większą jeszcze sprowadzić burzę; głoszono bowiem, iż lada dzień szkoły będą otoczone wojskiem, a uczniowie wyprowadzeni za Rudnickie przedmieście, zostaną *zdziesiątkowani* i dziesiąty z nich pójdzie na szubienicę. W zamku królewskim nie musiano wiedzieć o tém, gdyż zamiast uspokojenia płonnéj obawy, ksiądz Isajkowski z Tryzną w tym samym czasie zwiedzał zakłady szkolne, sprawdzając jakoby listę uczącéj się młodzi.

4 Marca tegoż 1644 roku, o świcie, uczniowie z całego miasta opatrzeni w broń sieczną i palną, na jaką się kto mógł zdobyć, zgromadzają się na placu przed bramą Rudnicką; poczém zaśpiewawszy pieśń jakąś nabożną, stosowną do okoliczności, tłumem przez ostrobramskie przedmieście pociągnęli za miasto. Tam po prawéj stronie gościńca jest góra, na któréj wieszają zbójców i przestępców osądzonych za zbrodnie. Na téj górze wzniosłszy cóś nakształt szubienicy, uczniowie zawieszają tablice z napisami imion i nazwisk komissarzy, do sądzenia ich sprawy wyznaczonych przez króla; ostrzeliwają plac i przybijają do słupa przy zagrodzie miejskiéj protestację przeciw wyrokowi jakoby tajemnie na nich zapadłemu. Król uwiadomiony o tém, wezwał rektora Akademji księdza Ugniewskiego jezuitę, i mocno zgromiwszy starca, rozkazał koniecznie skłonić uczniów do posłuszeństwa zwierzchności. Ksiądz Ugniewski z innymi przełożonymi udał się za miasto, ale wszelkie przemowy i napomnienia stłumione zostały wrzaskiem rozjątrzonéj młodzieży; ksiądz professor Stempkowski, do którego strzelono, omal co niepostradał życia; osoby zaś od dworu i magistratu z władzą szkolną przybyłe, obelżywemi znieważono słowy.

Wnet zatém cała czereda ruszyła wielkim gościńcem. Król w pogoń za nią posłał jenerała Stanisława Osińskiego z trzema rotami gwardji przybocznéj pieszéj, który doścignął zbiegów na rozdrożu traktów do Oszmiany, Nowogródka i Lidy wiodących, gdyż tu się oni zatrzymali dla pożegnania swych współtowarzyszów, którzy ztąd w różne strony do domu i rodziców rozejść się mieli. Wysłany parlamentarz z przełożeniem pokoju i zgody, gdy nazbyt długo zatrzymany został, jenerał korzystając z położenia miejsca, podzielił swe wojsko na oddziały, które manewrując po nizinach między wzgórzami będących, okrążyły nieznacz-

nie stanowisko rokoszan i zagrodziły im do wszystkich traktów przejście. Młodzież poznawszy ten wybieg wojenny, poczęła wydawać wrzaski, gdy jenerał na czele silnego oddziału piechoty, ze spuszczoną do ataku bronią, przy odgłosie bębnów posunął się naprzód. Rokoszanie tłumem rzucili się w prawo ku traktowi Raduńskiemu, ale i tam w dolinie spostrzegli zastęp gwardji z najeżonymi bagnetami. Jenerał kazał śpiesznie wzmocnić to stanowisko oddziałem z prawego skrzydła, sam zaś poskoczył bliżéj ku zmykającym i dając znak białą chustką, wołał aby się poddali. Niezważając na to ścigani, zwrócili się w inną stronę ku traktowi Lidzkiemu, i tu dopiero gdy gwardja dała do nich ognia, przestraszeni zatrzymać się musieli. Wówczas szyki wojska zewsząd ich otoczyły dokoła. Od padłych strzałów nikt jednak nie poległ ani ran odebrał, gdyż naboje były ślepe, ale postrach hukiem broni sprawiony, chwilowie podziałał na młodzież. Opamiętawszy się wszakże i nabrawszy śmiałości poczęli wołać: «Idźmy na przebój! Bóg z nami!” Lecz gdy wznowiony ze wszech stron przez gwardję ogień, powtórnie przeraził wołających, ścisnęli się i stali w milczeniu. Jenerał chcąc korzystać z takiego wrażenia młodzi, na czele swego oddziału zbliżył się i przemówił łagodnemi słowy: «Mości Panowie! dla Boga żywego, co robicie! upamiętajcie się i złożcie broń! ja was po przyjacielsku odprowadzę do miasta, a król Jegomość wszystko łaskawie przebaczy.” Słowa jenerała przerwane zostały krzykiem: «A szubienice za Mleczną Bramą dla kogo?” Jenerał chciał jeszcze bliżéj podjechać, zapewne ufny w umiarkowanie młodzi, bo dotąd ani jeden strzał z jéj strony nie wypadł, gdy w tém znowu wrzaśnięto: «Zdrada! pal! strzelaj!” I tu uczniowie zaczęli strzelać do jenerała i jego oddziału kulami, z odległości 50 kroków. Jenerał padł z koniem przeszyty pięcią strzałami i zaraz ducha wyzionął; żołnierzy z jego oddziału poległo 18, ranionych było 26.

Tak zuchwały krok rokoszan sprawił niejakie zamieszanie w wojsku które nie miało rozkazu zabijać dzieci. Oburzeni żołnierze zaczęli wołać: «Wiara! na bagnety! wykłóć tych gałganów co do nogi!” a Rotmistrz Pawłowski, gdy chciał przywrócić w szykach porządek i pohamować gniew swoich żołnierzy, ranionym od kuli został. Zrobiły się zatém przerwy w szeregach i uczniowie rozsypali się na wszystkie strony, a nawet i ci których miano już w ręku, zemknęli. W téj chwili nadbiegł Rudomina z rozkazem królewskim aby rozlewu krwi nie było.

Nastąpiły nowe śledzenia i nowe kroki prawne przeciw jezuitom i innym zwierzchnikom zakładów naukowych. Tymczasem

ksiądz referendarz Isajkowski, z powodu innych w kraju potrzeb, wyjechał z Wilna, a sprawa uczniów pozostała w ręku Tryzny, człowieka rozumnego i sprawiedliwego, lecz nazbyt powolnego charakteru, poszła opieszale.

Wkrótce potém zdarzył się nierównie smutniejszy wypadek. Podczas wielkich łowów w puszczy Rudnickiéj, na których królestwo znajdowali się oboje, ogromny niedzwiedź napędzony pod rusztowanie, na którém wznosiła się galerja dla królestwa i dam dworu, gdy podśtrzelonym został, z taką gwałtownością rzucił się na rusztowanie, iż wstrząsł całą budowę, wśpiął się na nią i dostawszy łapami niedźwiednię będącą pod nogami dam, ściągnął na ziemię. Królowa przelękła się okropnie, a że była przy nadziei już w piątym miesiącu, za powrótem do Wilna zroniła i na ósmym dniu, 24 Marca, w wielki czwartek o południu ducha Bogu oddała *). To jedno, tudzież wdanie się przyjaciół jezuickich w sprawę uczniów, puściło ją na zwłókę, a czas umarzający wszystko i tę przygodę umorzył. Jezuici szkoły swoje niższe i wyższe znowu dla młodzi świeckiéj otworzyli, a ruskie, dyssydeńskie i przykościelne katolickie szkoły i szkółki zamknięte w całém Wilnie zostały.

To, com opisał, zebrałem z ustnych opowiadań mojego wuja, który był naocznym świadkiem téj sceny.

Trudno z pewnością dociec istotną przyczynę tego smutnego wypadku, mówi daléj Filon Osiński, jednakże nie była to rzecz wprost trafunkowa. Za moich czasów mówiono jeszcze o tém, a nawet i sprawców złego wymieniano; wszelakoż nie tak dowodnie, aby się godziło ich wymienić w pismie, które czystą prawdę tylko zawierać powinno, nie plamiąc podejrzeniem osób znakomitego imienia. Godzi się wszakże wyjaśnić cel, jaki w tém ludzie upatrywali. Chciano zrobić jezuitom przekorę i przytrzeć rogi ich zrozumiałości, bo właśnie nie przestawali dążyć do zagarnienia pod swoję władzę wychowania wszystkiéj młodzieży, zacierali w kraju inne zakłady naukowe, a sami nie szli za postępem oświaty krzewiącéj się w Europie. Przekonani bowiem byli, iż rozpowszechnienie nauk zagraża czystości wiary rzymskiego kościoła, a mierna oświata moralniejszymi ludzi czyni. Czyli to przekonanie z krzywo pojętego dobra ludzkości powzięte, czy chytrze dla własnych widoków zmyślone było, zostawując sądowi

*) Na boku rękopismu dopisano: „Posłano po lekarza Cichockiego, który przybył zapóźno i nie poradził, bo doktor francuz, lekarz w modzie u dworu będący, cóś niestosowne choréj dał był lekarstwo."

bleglejszych od nas osób, powiémy tylko, że pobożni ojcowie zasłużeni wprawdzie na drodze prac apostolskich i gorliwi do zbawienia duszy przewodnicy, niezręcznie bardzo prowadzili ster nauk świeckich. Śmiało bowiem rzec można, iż truli najpiękniejsze lata młodzi zbyt częstém odrywaniem ją do ćwiczeń nabożnych, zawiłą łaciny nauką, a powierzchowném ledwie dotknięciem innych umiejętności; całą zaś sławę na retoryce zakładając, całą usilność do zgłębienia prawideł jéj zwracali, i jakby przymusem chcieli kształcić naturę ludzką, bo kto się nie urodzi na mówcę, nie da mu tego daru ani Arystotel, ani Kwintyljan, ani sam Demosten z Cyceronem. Słowem, psuli i psują młodzież, już tém, co się wymieniło, już pobłażaniem swawoli arystokratów, już przynętą pochlebstwa i omamieniem rodziców, którym synów na Demostenesów przyrzekają wyprowadzić, albo zrobić wodzami wolnego narodu. Tymczasem cel u nich zawsze jeden i jedna dążność: nagromadzenie bogactw jakim bądź sposobem, byleby się tylko pomnażały źródła dobrego bytu.

Wraz ze zgonem Zygmunta III. utworzyło się stronnictwo antijezuickie i już za Władysława IV. zakłady naukowe niezależne od jezuitów poczęły się podnosić do należytego znaczenia. Edukacja publiczna wiele bowiem zyskuje przez współubieganie się, gdyż nauki nie cierpią monopolicznego przymusu, jarzma i dyscypliny zakonnéj: nieścieśnione niemi, bujniéj rosną i kwitną i piękniejsze owoce przynoszą. Lubo stronnictwo, o którém namieniliśmy, działało w duchu tutaj wskazanym, z tém wszystkiém rzeczy poszły opaczniéj, niżeli przewidzieć można było. Zatarła się wprawdzie sprawa studeńska staraniem jezuitów i ich przyjaciół, wszelako odtąd wszystko więcéj niż kiedy skłaniało się do reformy naukowéj. Na nieszczęście król Władysław nie długo pożył i brat jego exjezuita tron posiadł. Nastały burze krajowe i srogie klęski, poczém gdy wszystko powoli dźwigać się ku lepszemu poczęło, jezuici odrazu stanęli wysoko, a może wyżéj jak przedtém. Cóż dziwnego, że oświecenie u nas dotąd się nie podniosło, mając za piastunkę regułę synów Lojoli, obcą narodowości, obcą wszelkiemu postępowi?

Ale wróćmy do naszych opowiadań. Wspomniałem o moim ojcu. Niech mu Bóg pokój wieczny dać raczy!.. Winienem i jego pamięci słów kilka poświęcić. Był on bratem rodzonym, młódszym o lat kilkanaście, poległego pod Wilnem z rąk studeńskich Stanisława Osińskiego, jenerała gwardji królewskiéj pieszéj, litewsko-szwedzkiego autoramentu; miał imie Janusz. Młodość przepędził przy księciu Jeremiaszu Wiśniowieckim, dawszy

się poznać z niepospolitéj waleczności i talentów rycerskich, co mu też zjednało rychło dostąpienie wyższych stopni. Jednocześnie ze zgonem króla Władysława dowodził już osobnymi oddziałami wojsk rzeczy-pospolitéj, a po nieszczęśliwych wypadkach pod Korsuniem i Piławcami, odznaczył się przeciw kozakom w randze półkownika. Już w podeszłym wieku pojął w małżeństwo Annę Sadowską, herbu Lubicz, spłodziwszy nas troje potomstwa, które w dzieciństwie zostawił. Przestał żyć docześnie roku 1696, jak Czarniecki na ręku kollegów żołnierzy. Dwie moje siostry starsze odemnie, poszły zamąż, a szwagrowie Romanowski i Paszkowski zabrali całą spuściznę po rodzicach, gdyż ja jakom się urodził, tak i wychował w obozie na opiece mego ojca chrzestnego i dobroczyńcy JO. księcia Michała Wiśniowieckiego. Pod bronią urosłem, pod bronią wiek mój pędzę na usługach miłéj ojczyzny.

Filon Osiński

Dziś 18 Sierpnia 1749 r.
Hasło: święty Agapit.

Uwagi ogłosiciela tego wyjątku.

Filon Osiński herbu Junosza, rotmistrz Jego Królewskiéj Mości, był dziedzicem, przez kupno od Giejsztoftów, wioszczyny *Szawry*, dziś do mnie należącéj, gdzie i umarł w roku 1756 pod koniec Maja. Między papierami miejscowymi dochował się zeszyt z napisem *Pamiętniki*. Rzeczy w nim zawarte ściągają się powiększéj części do rachunków pieniężnych, wypłat wojskowych i tym podobnych drobnostek życia żołnierskiego. Lecz obok tego znajdują się niektóre szczegóły historyczne, jako to: *opisanie swawoli studentów Wileńskich*, warte podania do wiedzy powszechnéj.

W tym wyjątku czytelnik znajdzie wszystko com mógł poczerpnąć z rzeczonych pamiętników; nic w nich ani dodałem ani ująłem. Poprawiłem tylko tok mowy; albowiem oryginał pisany stylem i wysłowieniem nieco zaniedbaném, (jak mówią *żołnierskiém*). Wstawek łacińskich bardzo mało, pisownia mniéj poprawna, chociaż w wyłuszczeniu rzeczy porządek i treściwość zachowana.

Co się tyczy historyczności wypadku tu opisanego, to się potwierdza wielu innemi źródłami, chociaż w skróceniu dotąd wia-

domemi. Ztąd widać prawdziwość mniemania naszego autora, niewymieniającego jednak dalszych szczegółów, zapewne przez wzląd na dobrą sławę znakomitych osób, a może i samych jezuitów tak wówczas przemożnych u nas. Pomiędzy źródłami drukiem ogłoszonemi, znajduje się o téj sprawie wzmianka w dziele Zeillera: *Neue Beschreibung des Königreichs Polen und Grossherzogthums Lithauen. Zweite Ausgabe. 1663. Ulm. 12. Anhang. p. 22.* Tam wyraźnie powiedziano o zabiciu jenerał-majora Osińskiego, pod wodzą którego było w działaniu 400 muszketjerów. Nakoniec Zeiller zsyła się na świadectwo dzieła: *Theatrum Europ. p. 291. T. V.*— P. Kraszewski (Wilno T. I. str. XXIV.) mieści Zeillera w liczbie autorów z których jakoby korzystał, pisząc historję Wilna; przecież ten fakt nader krótko przezeń wspomniany, i Osińskiego rotmistrzem tylko nazwał.

Teodor Narbutt.

Szawry
29 Września 1845 r.

NAUKI PRZYRODZONE.

KILKA SŁÓW O TEMPERAMENTACH.

Dziwnemi mi się wydają nieraz narzekania— jaki ten lub ów prędki, jaki maruda, jaki zjadliwy,— tak jakby ci ludzie mogli się zupełnie przerobić, i jak gdyby oni byli temu winni, że są takiémi a nie innemi; czemu nie napadacie na konia dla czego nie lata, albo na orła, że zamiast szybować na wyżynie— nie nurkuje jak szczupak; będą to równie logiczne zarzuty.

Każda władza, jak również każden organ drętwieje i traci swą siłę od bezczynności— a ztąd wyroby umysłu nie mając możności się przejawiać dla przyczyn leżących w organizmie, giną— i ginie zarazem i możność ich wyrabiania; jeżeli zatém widzimy dewiacje jakiekolwiek bądź w naszych postępkach— to szukajmy przyczyn tego w słabościach organizmu, a nie w niedołęstwie boskiéj części człowieka— bo dusza, jako cząstka bóstwa, nie może być ani lepszą ani gorszą— ale zawsze jest jednaką.

Widzimy taką rozmaitość w naturze— że nie tylko nie podobna spotkać dwóch ludzi zupełnie jednakowych— ale nawet w jednym i tym samym indywiduum— jedna ręka lepiéj się rozwija niż druga,— jedna cała połowa lepiéj zbudowana niż druga.— Cóż za przyczyna tego pokrzywdzenia?.— wszystko co istnieje musi mieć przyczynę swego bytu, a zatém i téj rozmaito-

ści są przyczyny, ale tak rozmaite, przypadkowe, nie zależne od nas— że nie mogą być podciągnięte pod ogólne prawa nauki.— Widzimy, naprzykład, że na drzewie wszystkie liście mają jedną formę ale każden z nich ma swoje indywidualne przymioty— bo jednego zawiązka rozpękła zrana, drugiego wieczorem, trzeciego znowu w innéj porze— i nie wszystkie podlegały jednakowym temperaturom przy swym zrodzeniu;— jeżelibyśmy te warunki przypuścili dla dwóch lub trzech liści, ściśle jednakowymi, co być prawie nie może, to znowu znajdą się inne przypadkowe wpływy,— mógł z powiewem wiatru najdrobniejszy pyłek osiąść na jednym listku— i tém uczynić jego rozwijanie się różném od drugiego i t. p.

W drzewie tylko wegetacja— a tak rozmaita! cóż powiedzieć o ludziach— gdzie przy wszystkich przyczynach fizycznych wpływających na organizm, od chwili poczęcia przez cały przeciąg życia, działają jeszcze przyczyny moralne?.

Pomimo téj rozmaitości, można cały ogół ludzi rozdzielić na kilka grup— nie z jednakowymi ale przynajmniéj z podobnymi temperamentami; każda z tych grup ma swą podstawę w sobie tylko właściwym składzie orgąnizmu— i wyłącznem odbywaniu się wszystkich processów podtrzymujących organizm.

Gruppy te są następujące: Fiziologicznych, flegmatyków, sangwiników, cholerików— i anti-fiziologicznych, albo jak jabym ich nazwał: niedołężnych.

W gruppie fiziologicznéj wszystkie processa odbywają się nadzwyczaj regularnie— cały organizm w równowadze, nie ma przewagi jednéj funkcji nad drugą.— I dla tego subjekta należące do téj gruppy bywają wysokiego wzrostu, z silnie rozwiniętémi kośćmi i muskułami, z karkiem jakby do pługa, z piersiami szérokiemi, z płucami jak miechy kowalskie— z twarzą rumianą i czerstwą— regularną, nieraz piękną, ale nie mającą nic indywidualnego, nic nazbyt charakterystycznego. Wyraz fizionomji spokojny, wykazujący pewność o swoje *ja*, nie lękający się nikogo, bo ufny w swoje żelazne ręce— ale i spokojność ta ma cóś w sobie dziwnie powszedniego.

Tacy ludzie więcéj zdolni do pracy fizycznéj niż do moralnéj— ale jak w organizmie nie ma żadnéj nadzwyczajności tak zarówniež i umysł ich jest nazbyt fiziologiczny; wystarcza na codzienne potrzeby ale twórczości tam nie szukaj.— Ci ludzie wytrwali jak woły co cały dzień w pługu chodzą— można by ich porównać do owych taranów, któremi dawniéj rozbijano mury;— jest siła fizyczna ogromna ale trzeba mechanika, coby téj siły użył;

są to potężne narzędzia dla innych co umieją ich podbić moralnie i pchnąć na poparcie swojéj idei.

W téj gruppie trudno spotkać złych ludzi— to się nie zgadza z ich organizmem.

Najwięcéj takich exemplarzy możemy spotkać między kowalami, cieślami, mularzami i między ludem rolniczym, co od urodzenia żyjąc z naturą— rozwija się równie silnie jak otaczające go dęby.

U flegmatyków najbardziéj się rozwija limfatyczny systemat, a z tego powodu wszystkie processa odbywają się nazbyt powolnie.

Tkanki komórkowate przepełnione wodą— dla tego że krew u takich subjektów jest wodnistą, mającą mało pożywnych części, chociaż co od ilości mają flegmatycy więcéj krwi niż ludzie innych temperamentów.

Proces trawienia także słaby— soki żołądkowe wodniste, mało zawierające kwasów, nie zdolne rozłożyć zupełnie spożytych pokarmów; żółć mało ma alkoholu, jedném słowem, życie u nich jakoś się ciągnie leniwo,— są to ludzie-ryby.

Ponieważ trawić dobrze nie mogą, muszą zatém przyjmować wiele pokarmów, by zadosyć uczynić potrzebom organizmu— i to bez wyboru, byle tylko się napchać; przyczyna braku gastronomicznéj wybrydności leży w tém, że ślina wodnista, nerwy języka nieczułe, a ztąd brak smaku— i złe przeżuwanie,— zle przeżuty pokarm wchodzi do żołądka, ale i tam dla słabości soków nie może być doskonale przetrawionym, i całemi, nieprzetartemi kawałkami wchodzi przez *pilorum* do kiszek, i zamiast pożywnego *chylus* wydziela tylko *limfę*,— tłuszcz, którym oblane są wszystkie organa flegmatyków.

Na rozwijanie się podobnych organizmów mają wielki wpływ pokarmy rybne, ponieważ warwol wchodzi w krew i osiada jak na muskułach tak i nerwach.

Przy takich warunkach życia musi na całym organizmie być odpiętnowana jakaś niezgrabność, brak energji, apatija do wszystkiego.

Subjekta, które można by do téj gruppy zaliczyć, mają zazwyczaj wzrost średni, muskuły słabe, koście wielkie ale niezgrabne, bez główek,— ścięgna słabe;— cały ich organizm jakoś dziwnie tchnie dysharmonją, podobny do grubo-skórnych (*pachidermata*).

Wyraz fizionomji— bezbarwność, na obwisłych, jakby nalanych jego policzkach, w zaspanych oczach nie szukaj myśli, nie szukaj zapału— jedno tylko wrażenie robią prawie na wszystkich a to—

trochę wstrętu.— Przy tak leniwém ciągnieniu żywota, tłuszcz nie leniwo się u nich wydziela, prawie każden flegmatyk za brzuchem swych nóg nie widzi;— moralna strona tych ludzi jest ujemną, brak uczuć, nic go nie może uszczęśliwić, ale nic też i zmartwić, nie przełamana apatija do wszystkiego.

Chętka do zbierania, by zasłonić swą ociężałość, i dla tego najwięcéj bywa pomiędzy niemi skępców.— Zdolni są do nietrudnych ale siedzących zajęć.— Bywają oni poczciwi, ale biernie tylko, nie robią nikomu złego— przez lenistwo, ale poświęcenia dla współbraci, nie mówię już o wielkich rzeczach, ale choćby nędznych kilku groszy— nie żądajcie; oni się trzymają téj maxymy: *każden dla siebie*, Bóg *dla wszystkich;* co go ma obchodzić, cudza nędza, niedola, cierpienia, cudzy głód, sieroty bez wsparcia, starce bez ochrony, kiedy on sam nie może czuć ani wielkich przyjemności, ani zmartwień.— Ci ludzie podobni z swych uczynków do owych nieczułych kamieni, leżących przy drodze życia narodu, co ani zawadzać ani pomagać nie mogą wędrowcom przyszłości;— i kiedy wszystko, co żyje prawdziwie, przedziera się przez ciernie, zawały i rowy, raniąc ciało, raniąc serce, rozrywając nieraz własne swe piersi dla dobra współbraci, oni spójrzą z usmiechem politowania na ustach, na tych— jak powiadają, szaleńców, ścisną ramionami— i znowu spokojnie trawią na dawném miejscu— a jeżeli który z wędrowców zetknie się z nimi— odskoczy obwiany chłodem mogiły i z boleścią zawoła: «Upiory! po co ludzi straszycie, na co odbieracie chęć życia, czas wam do grobu.”

U nas, ile mi się zdaje, prawie nie ma takich charakterów, chyba czasem w tych odwiecznych klasztorach, gdzie indiwidua zasklepione w swych celach jak żółwie w skorupach piją piwko, zajadają baranie pieczenie— wspominają dobrze strawione— a marzą o mających się strawić równie szczęśliwie, obiadkach.— A ogół— ogół pomija zagrody trawiących i rusza daléj życia koleją.

U sangwiników— przeważa w organizmie systemat obrótu krwi.— Silnie rozwinięte płuca— a ztąd doskonałe okwaszenie krwi, jędrność muskułów, i dobre rozwinięcie kości.

Między sangwinikami trzeba odróżniać dwie oddzielne gruppy. Wysokiego wzrostu, z wydatnemi piersiami, z cerą krwistą— najbardziéj zbliżają się do fiziologicznych exemplarzy, różnią się tylko prędkością obejmowania, szybkoscią ruchów, i niestałością jak w dobréj tak i w złéj sprawie.

Ci ludzie w chwili zapału na wszystko gotowi; ale przeszła gorączka— już wszystko się skończyło.

Organizm ich czynny i krwisty potrzebuje życia i użycia— i dla tego często indywidua podobnych temperamentów, jeżeli nie mają dosyć sił moralnych, czując potrzebę rozerwania się, rzucają się w świat zmysłowy, na łono błyszczących salonów, marnują piękne chwile na polkach i galopadach— a później zmęczeni fizycznie, zmęczeni moralnie, powstają na te zabawy gdzie nic dla myśli i nic dla serca, a jednak,— nazajutrz znowu idą tą samą koleją. Co najsmutniejsza, że tacy ludzie są prawi i godni z natury— gotowi pomódz cierpiącym, podzielić się ostatnim kęsem z zgłodniałym, czują że źle postępują— a jednak brną coraz dalej w błoto— dla braku woli, dla braku wytrwałości; gdybym miał taką potęgę głosu, coby się przedarł do ich uszu, pomimo uścisku kupionej kochanki, pomimo złotego cielca salonowych zwyczajów, pomimo wycia osowiałej chałastry, co dla kilku kupionych butelek wina podnosi ich pod niebiosa, pomimo wielu innych przeszkód— zawołałbym do nich głosem miłości: «Ocknijcie się bracia— bo będziecie marnotrawcami dobra publicznego; wasz czas, zdolności, środki materjalne— które posiadacie i wasza praca— są to kapitały całego społeczeństwa— a wy to społeczeństwo po czterykroć okradacie."

Biada temu kto jest trutniem towarzystwa, *bo kto nie pracuje, nie godzien jest aby spożywał*,— powiedział Chrystus.

Lecz ja nie winię tych ludzi, są to niewinne ofiary— sfery, w której się wychowali i w której żyją; zmień warunki istnienia, a będziesz miał najdoskonalszych ludzi.

Druga gruppa sangwiników, zawiera w sobie indywidua średniego wzrostu kształtnej postaci, wyrazistych rysów twarzy, biegających oczu, rozdętych nozdrzy, ruchów szybkich i zgrabnych— obejmujących wszystko nadzwyczaj szybko; energicznych w działaniu, łatwo się zapalających, ze szlachetném i wzniosłém uczuciem.

Dla nich ciężkiemi są więzy wszelkiego rodzaju, czują nadmiar sił żywotnych, i dla tego obok najszlachetniejszych czynów znajdziesz postępki czysto-zmysłowe; opierając się na podaniach historycznych, Alcybiades był prototypem podobnych charakterów, a z nowszych czasów Camil Desmoulin i wielu innych.

Rzadko się zdarzają indywidua należące jedynie do téj tylko gruppy— najczęściej noszą na sobie odcisk cholerików czyli żółciowych.

Ci ostatni żyją, że tak powiém *na kredyt*— bo sami siebie przetrawiają; charakterystyką ich olbrzymia działalność chemiczna,

żółci u nich najwięcéj rozwija się, wchodzi ona w krew—w mlïczko i nadaje kolor wszystkim częściom ciała.

Krew prędko przechodzi do płuc, prędko się okwasza—i wydziela pożywne części w całym organizmie.— Obrót krwi ich czysto-plastyczny—jak u ptaków, a ztąd rozwinięcie silnych ale drobnych kości— stalowych choć nie grubych muskułów, drażliwych nerwów, żelaznéj woli.

Każda myśl prędko się wyrabia i wyrabiając się porusza cały organizm do czynu, a ztąd nadzwyczajna ruchliwość fizionomji. Indywidua należące do téj gruppy rzadko bywają więcéj jak średniego wzrostu— z cerą śniadą, z cieńkiemi kośćmi, składną figurą, z charakterem nie ugiętym i złośliwym.— Oni rzadko mają przyjaciół, dla tego że dla nich ludzie są to pieszki, których oni usuwają lub używają jak maszyny stosownie do potrzeby.— Dla swéj idei, którą wypieścili w swym umyśle— oni poświęcają całe życie, żadna przeciwność ich nie zraża, wszystko dla niéj poświęcić gotowi— i najczęściéj są ofiarami téj idei— Najdoskonalszymi przedstawicielami podobnych charakterów byli Robespierre i Napoleon.— Jeden dla poparcia swéj idei— powołał tysiące pod gillotynę, choć wcale nie był krwiożerczego charakteru, nareście sam siebie poświęcił na plwanie brudu ulicznego, na pastwienie się całéj konwencji, na śmierć nawet.— A drugi— całe ludy wysyłał na rzeź z zimną krwią— wiedząc na pewno, że zginą ale o jeden krok naprzód posuną go do zamierzonego celu.— U cholerików przy nadzwyczajném wzruszeniu twarz blednieje, oczy błyszczą zabijającym ogniem, drży dolna warga. Smutno mi przystąpić do opisania téj ostatniéj gruppy, któréj prototypy często możemy spotkać w zniewieściałéj klassie naszych niektórych familij, smutno—bo jakoby pieczęć przeklęstwa leżała na nich przy urodzeniu, za grzechy ojców i dziadów u niedołężnych,— wszystko w miniaturze— główka malutka, wymuskana, szyja cieniuchna, włosy miękkie i gładko przystające do głowy— wypukłości na czaszce nie szukaj— chyba by kto nabił— muskuły słabe, piersi wklęsłe, postać pochylona lub skrzywiona jak znak zapytania.

Muskuły podtrzymujące pionowo szyję i głowę, słabe a ztąd opuszczona głowa naprzód, prawa strona lepiéj się rozwija niż lewa, i dla tego głowa przy pokorném swém położeniu, ma się więcéj ku prawéj stronie— ręce słabe i niedołężne i dla tego kiedy idzie nigdy nie macha rękami; siłą muskułów nie może podtrzymać siebie w równowadze, a ztąd nogi w kolanach i w udach zgięte— wyraz twarzy— niedołęzstwo. Moralna strona— tchórzowatość, brak energji, słabe pojmowanie, kiedy z nim kto roz-

mawia, to trudno mu zrozumieć odrazu myśli mówiącego, a dla braku cywilnéj odwagi, uśmiecha się i potwierdza niezrozumianą ideę.— Mają oni w prawdzie trochę przebiegłości ale i ta przebiegłość jakoś dziecinna— żyją tylko dla siebie— i nic dziwnego— przy takiém zobopólném i moralném i fizyczném niedołęzstwie— nie mogą nic zrobić dla drugich;— ze strachu usłużni, przyjacielscy nawet, ale cóż ztąd kiedy to parodia człowieka!..

Maciek Matewka.

KILKA SŁÓW O FRENOLOGJI.

Badając człowieka spostrzegamy w nim dwie strony: cielesną i psychiczną. Piérwsza składa się z części stanowiących jedną całość— organizm ciała; drugą, stanowią różne przejawy ducha.— Ciało i dusza tak dalece ścisłemi węzły z sobą połączone, iż niemożemy wyobrazić je rozdzielnie, izolacja materji i ducha jest niepodobną. Z tego nierozdzielnego ich połączenia, można za pomocą pewnych części ciała sądzić o duszy i przeciwnie, z danych przejawów ducha, odgadywać ciało.— Zeznanie téj możebności zrodziło systemata Kampera, Galla, Lawatera i Karusa.

Przy schyłku XVIII wieku za czasów Lineusza, Pallasa i Goetego,. zrodziła się myśl w zapatrującym się na włoskie malowidła hollenderskim uczonym Kamperze, iż z twarzy można o pewnym stanie duszy człeka, nie tylko o jego namiętnościach, lecz i o jego rozsądku—sądzić.— Według niego książką do tego jest skład twarzy; im więcéj ona otwarta, tém dusza znajduje się na wyższym stopniu swego rozwinięcia.— Kamper wprowadza kąt twarzy i powiada, że on tém większe psychiczne zdolności znamienuje, im się więcéj do kąta prostego zbliża; czém bardzéj zaś on jest ostry, tém dusza znajduje się na niższym stopniu rozwoju.— Ten kąt składa linija przeprowadzona od wyższéj części nosa do górnych zębów, i od górnych zębów do zewnętrznego otworu słuchowego kanału.— Stwierdzenie téj myśli znajduje Kamper w codziennem doświadczeniu, włoskiéj szkole malarstwa i greckiéj skulpturze.— Kąt twarzy Apollona Belwederskiego prosty, zbliżający się nawet nieco do tępego, i gdzie tylko Grek starał się upostaciować szlachetność i większą doskonałość duszy, tam zawsze prosty kąt twarzy napotykamy.— Tę myśl stwierdzają też i źwierzęta, im więcéj u nich pysk ściągły i naprzód wysunięty, tém życie ich bardziéj zwierzęce,

tém zdolności ich duszy mniéj są rozwinięte.— Co Kamper na źwierzętach, to Blumenbach na rodzie ludzkim stwierdził, udowodniając, że rozwinięcie się plemion rodzaju ludzkiego znajduje się w prostym stosunku do kąta twarzy.— Gall utworzył nowe pojęcie o stosunku duszy do ciała, rozpoznawawczą cechą— którego, jest czaszka.— Zacząwszy swą Kranoskopję od człeka on dochodzi w końcu i do źwierząt.— Podług niego dusza człowieka składa się z wielu elementów, a każdemu z nich odpowiada pewna część mozgu; i z tego to powodu on dzieli mózg na tyle części, ile głównych zdolności posiada dusza;— najprzód on go podzielił na 32 części a potém na 36.— Gall powiada, że im pewna część mozgu więcéj rozwinięta, im ona jest wydatniejszą, tém więcéj rozwinięty i odpowiedny jéj element duszy; a ponieważ czaszka pokrywa mózg, to rozwinięcie się jego powinno na niéj się wyrażać;— im jakie stawy czaszki wydatniejsze, tém więcéj rozwinięta odpowiedna im zdolność: u człowieka najbardziéj wydatne przednie, u źwierząt zaś tylne części czaszki.— Nie podobna przyznać systemat Galla, pomimo zasług jakie on okazał dla nauki; gdyż zasadniczy jego podział duszy na elementa (których jest aż 36), i wcielenie każdego z nich w daną część mozgu, jest jeszcze niczém niedowiedzioną hypotezą.

Lawater powiada, że jeśli człowiek składa harmonijną całość, jeśli wszystkie jego części ścisle z sobą połączone, to z najmniejszéj cząstki ciała możemy sądzić o duszy i przeciwnie. On głównie zwraca uwagę na twarz starając się w niéj wszystkie poruszenia duszy odgadnąć; najmniejsza część twarzy, najbladszy jéj odcień, mają u niego swoje znaczenie; w końcu dochodzi do tego, iż Chiromantii podstawę rozumu nadaje. Lawater powiada iż niepotrzeba człowieka, potrzebny tylko jego autograf, ażeby stan jego duszy poznać.— I w istocie kogoż z nas codzienne doświadczenie nie naucza, że częstokroć z twarzy, od piéwszego rzutu oku, możemy poznać człowieka, a przynajmniéj główne jego zalety lub wady?— Któż z nas nie wié że autograf kobiéty, o tyle się od autografu mężczyzny różni, o ile sama twarz kobiéty jest różną od twarzy mężczyzny? Lawater powiada: iż ponieważ dusza człowieka ma wiele elementów wspólnych z duszą źwierząt, to stopniowie, im mniéj człek posiada psychicznych przymiotów, różniących go od źwierzęcia, tém więcéj ona się do niego zbliża.

Rozpadanie czaszki wszystkich źwierząt na trzy części, zrodziło myśl w drezdeńskim uczonym Karusie, iż każdemu z tych trzech stawów czaszki odpowiada jeden z trzech przymiotów duszy, i że troistość mozgu jest przyczyną rozpadania czaszki na

trzy stawy.— Podstawa czaszki odpowiada podługowatéj części mozgu, średniéj jéj części t. j. ciemie— możdżakowi, a przednia część czaszki— przedniéj, czyli wielkim częściom mozgu;— co też nam udowodniają: porównawcza psychologja plemion rodu ludzkiego, stosunkowe rozwinięcie się żwierząt, porównawcza psychologja żwierząt i człowieka, porównawcza psychologja ludzi i żwierząt chorobą zległych i doświadczenia czynione nad żwierzętami.

Względnie pewnych elementów duszy rozwija się przednia, średnia lub tylna część mozgu.— Na wagę— Europejczyk i Amerykanin mają jednakową ważkość mozgu, lecz u nas bardziéj rozwinięte części przednie, a mniéj średnie i tylne; i w istocie zdolność czucia mniéj u nas rozwinięta niż u Amerykanina. U Afrykanina pojęcie mniéj jest rozwinięte niżli u Europejczyka. U Chińczyków i Mongołów najbardziéj rozwinięta tylna część mozgu, gdyż u nich najsilniejsza wola.— U kobiét nadewszystkim przeważa zdolność czucia,— średnie więc części jéj mozgu najwięcéj rozwinięte; u mężczyzn wydatne czoło, u kobiét— średnie stawy czaszki— Ryba mało zeznaje, niewiele czuje i w nieustannym ruchu się znajduje, tylne zatém jéj części najwięcéj rozwinięte. U żwierząt najwięcéj rozwinięte średnie części mozgu, gdyż w nich przeważa czucie; nakoniec u człowieka przednia część mozgu rozwija się ze szkodą średniéj i tylnéj.— W celu zbadania stosunku duszy do ciała, doświadczeniem nad żwierzętami zajmowali się Fluren, teraźniejszy sekretarz Akademji Nauk w Paryżu i Magendzie— Fluren zdejmując czaszkę królikom i gołębiom zauważał, że jeśli uszkodzić przednie części mozgu, to żwierze biega i czuje lecz traci zeznanie i pewność w ruchu, jeśli uszkodzić średnie części mozgu to ono nieczuje ni światła ni uderzenia, ni ukłócia, lecz biega, stara się skryć, ucieka, jeśli uszkodzić tylne części mozgu— to żwierze czuje, nie traci zeznania, stara się skryć, lecz niema pewności w ruchu, ruch jego konwulsyjny, nierówny, chce uciec od ognia i prosto nań się rzuca, chce ubiedz od noża i prosto o nóż się uderza— Doświadczenia Flurena powtarzali Bell w Anglii i Johann Müller w Niemczech.

Oni pokazali że jeśli zerznąć obie podłużne części mozgu, lub możdżek to żwierze natychmiast umiera.— Ostatnie zaś doświadczenia Flurena pokazały, że nie koniecznie zrzynać możdżek, dosyć jest znieść jeden punkt, znajdujący się tam gdzie się ósma para nerwów zaczyna, ażeby zabić żwierze.— Tutaj zatém napotykamy ten sam węzeł życia (*nudus vitalis*), jak i w roślinach.—

Jak roślina umiera od uszkodzenia tego węzła życia, tak też i źwierze od zniesienia punktu, gdzie się ósma para nerwów zaczyna, i wtenczas tylko następuje zupełna śmierć źwierzęcia.— Doświadczenia Bella pokazują, że jeśli przerznąć tylne nerwy, to źwierze nie czuje, jeśli zaś przerznąć przednie grzbietowe nerwy, to ono traci ruch.

Doświadczenia z siarczannym eterem i chloroformem toż samo stwierdzają.— Cyrulik Jonson piérwszy odkrył sposób odjąć— duszy samouznanie: zażywszy eteru więcéj, niż mu było potrzeba, on zauważał, że najprzód przytępia się zeznanie, potém czucie a w końcu wola.— Jonson zalecił dentyście, ażeby w ciężkich do zniesienia operacjach, siarczanny eter używał, który w istocie pożądane skutki okazał.— Fluren powiada: że jeśli dać źwierzęciu powąchać eteru, to ono traci zeznanie, powiększywszy dozę— źwierze traci czucie, a w końcu pewność w ruchu; i to przytępienie zdolności duszy, zupełnie się z doświadczeniami chirurgicznémi zgadza.— Jeśli dać choremu zażyć dość słabą dozę siarczannego eteru lub chloroformu i spytać po operacji co czuł? to on odpowie, że nic nie pojmował, lecz czuł cóś nieprzyjemnego.— Jeśli powiększyć dozę, to grzbietowe nerwy tracą czucie, jeśli dozę jeszcze powiększyć to się wszystkie zdolności duszy przytępiają.

Z tego krótkiego rysu pojmowania Frenologji widać jak bezzasadnie sądzą ci, którzy jéj wszelką wartość zaprzeczają, i z pracujących nad nią się śmieją.— Nauka się doskonali, nie dziwna więc, że się w niéj jeszcze wiele niezbadanego i nieobjaśnionego znajduje; a hypotezy, jakie w niedostatku faktów, dla łatwiejszego, chociaż niezupełnie dokładnego pojmowania rzeczy, godni poszanowania uczeni tworzą— czynią im zaszczyt, i bynajmniéj nie przeczą prawdziwości nauki, lecz są tylko względnego naszego stanowiska i szlachetnych usiłowań dla rozszerzenia kręgu naszéj wiedzy, dowodem.— W braku pewnych faktów, hypotezy zastępują ich miejsce i ich rozświetlenie przyśpieszają— Można o nie wątpić, lecz nie godzi się niémi pomiatać, i gardzić chociaż jeszcze niemowlęcą nauką, kiedy zasadnicza jéj myśl prawdziwa, gdyż, jak powiada jenialny nasz August Cieszkowski: «nie to czego nam jeszcze pod względem umysłowym braknąć może, ale to czegobyśmy uzyskać nie chcieli, mogłoby się stać zasadą skargi naszych następców.”

KORRESPONDENCIA LITERACKA.

LIST MICHAŁA BOGUSZA-SZYSZKI

do Wydawcy Pamiętnika.

Kochany Romualdzie!

Chlubne dla mnie wezwanie twoje żebym miał udział w wydawanym przez ciebie *Pamiętniku Naukowo-Literackim* skłania mię do objawienia ci myśli moich względem natury władz człowieka i kierunku, jakiby im nadać należało, dla wyższego udoskonalenia, ukształcenia jego istoty. Jeśli zasady te odpowiedzą twemu przekonaniu i zakresowi jaki zamierzyłeś twojemu pismu, będziesz mógł liczyć na mnie jak na ochotnym współpracowniku, który radby dorzucić grosz wdowi do skarbnicy wiedzy narodowéj. Pomysły te czerpane raczéj z własnego mojego ducha i sądu, niżeli z autorytetów naukowych i stosunków społecznych, może przyczynią się w czémkolwiek do rozbudzenia odrętwiałości umysłowéj. Jakkolwiek głównym przedmiotem moich badań aż dotąd były nauki teologiczne, dzieje kościoła i język dawnych Hebreów, to ruch społeczeński objawiony tak potężnie w ostatnich czasach, musiał jak każdą najsłabszą nawet, tak i moją wstrząsnąć organizacją i zachęcić do samodzielnego myślenia. Minęły te czasy, kiedy człowiek polegając na myśleniu i działa-

niu innych, gotów był zawsze *jurare in verba magistri*, i mierzył swą wiarę na liczbę i objętość ksiąg napisanych i głosów jedno i toż samo powtarzających. Każdy teraz nie mając bardzo na czém się oprzeć, bo wszelka powaga zachwiana, wszelka wiara ujęta w kluby i poszła pod nożyce zimnego a nielitościwego rozumu, musi czerpać z własnych zasobów, musi zdawać sobie rachunek co czuje, co myśli, i jak ma działać? Nie dość mu wiedzieć co uczuto, co pomyślano, co zdziałano w przeciągu wieków, trzeba mu żyć życiem własném, osobistém, a pochwyciwszy przędzę wieków, snuć dalej pasmo dla przyszłości, która też ma odwzorzyć kiedyś na tej tkance swoje wyobrażenia i fizjonomją.— Usiłowania rodu ludzkiego są jedne i też same od wieków, będą jedne i też same na wieki. Dąży on do prawdy, do pokoju, do szczęścia. Im więcej prawdy, tém więcej pokoju, tém więcej szczęścia. Jednakże różne są drogi, częstokroć błędne, częstokroć zgubne, któremi dąży do tego celu. Wyższy stopień oświaty, czyli tak nazwanej *cywilizacji*, otwierając coraz obszerniejsze pole działania, odkrywa też tysiące manowców, po których człowiek zbłąkać się może. Potrzeba więc teraz bardziej niżeli kiedy porachować się z własnémi siłami, poznać swoje władze, nadać im należyty kierunek. I serce nieraz się obłąkało, i rozum często blaskiem zwodniczym zaświecił i nauka pogrążyła się w ciemności bez gruntu, i sztuka skoślawiona nieraz zaprowadziła nad brzeg przepaści, gdzież więc ta kraina czarowna pokoju i szczęścia? kędy dójść do niej? Zamknąć oczy i iść na los szczęścia— nie sposób! Serce się wzdryga, rozum o niebezpieczeństwie ostrzega. Z jednej strony ostatnie zezwierzęcenie, z drugiej szał fanatyczny, zmusza nas trzymać się prostej a wązkiej drogi, bo *wązka jest ścieżka i ciasna droga która prowadzi do zbawienia*. I gdzież to zbawienie? już powiedziałem: w pokoju i prawdzie, w duchu i prawdzie, bo pokój tylko w oczyszczonym duchu, prawda tylko w czystém sercu mieszka.

Żeby więc niezboczyć z prostej drogi prawdy, rozumu i sprawiedliwości, trzeba się podnieść do poznania Boga, siebie i ludzi— swych braci. Bo poznawać, kochać, działać, jest to cały człowiek. Bez poznania Boga, nie poznasz siebie, bez poznania siebie, nie poznasz ludzi. Ale jakże dójść do poznania Boga prochowi ziemi, jak pojąć nieskończoność, istocie miejscem i czasem ograniczonej, jak pojąć wszechmocność istocie słabej? Nie inaczej jak przez wiarę. Rozum, ten dumny władzca rzeczy ziemskich, musi się tu ukorzyć przed powagą wieków i ludów. Bóg jest *duch*, Bóg jest *miłość*, Bóg jest *Słowo*, Bóg jest najwyższa mą-

drość, dobroć i sprawiedliwość, powiada nam Pismo Ś. Skoro uwierzymy że Bóg jest, że jest mądrym, dobrym i sprawiedliwym, że przyszedł na świat i umarł na krzyżu i zmartwychwstał dla zbawienia rodu ludzkiego, wiara oczyści ziemskie serce nasze, pokora otworzy nam drogę do Prawdy, prawda przyprowadzi do pokoju i szczęścia czyli życia wiecznego.

Potrzeba więc poznawszy Boga, poznać siebie samego. Ale któż zgłębi nieskończone skażenie natury ludzkiéj, kto zdoła wyplenić chwast złych skłonności, zagłuszający dobre plony serca? Oto i tu za przewodnictwem tylko wiary, wzywając Boga naszego *w duchu i prawdzie*, można nabyć istotnego poznania siebie. Rozważmy człowieka pod trojakim względem: jako *źwierzę*, jako *duszę*, i jako *duch*. Człowiek zmysłowy, źwierzęcy, posiada organa i odbywa funkcje wspólne z innémi źwierzętami. Niéma on pod tym względem nad niémi żadnéj wyższości, owszem pojedyncze rody źwierząt celują nad nim doskonalszą budową niektórych narzędzi zmysłowych i ich użyciem. Orzeł lepiéj widzi od człowieka, koń prędzéj bieży, pies lepszy ma węch i słuch i t. d. W tym stanie bytu źwierzęcego zostaje on pod wpływem natury i rządzi się instynktem dążącym do zachowania swojego bytu i wydania płodu. Tu niéma żadnego postępu, żadnego wyższego ukształcenia, żadnéj rękojmi przyszłości. Wszystko idzie dawnym torem, jak szło w piérwszych dniach stworzenia. I człowiek pozostał by wiecznie w tym stanie bytu źwierzęcego, gdyby Opatrzność prócz organów cielesnych, prócz instynktu, nie wlała weń *duszy żyjącéj*, to jest, poznającéj, kochającéj, działającéj. Ze źwierzęcia każdy człowiek staje się istotą wyższego rzędu, rozumną, *psychą*. Cóż to jest ta dusza, ta ψυχή? Zwróćmy oko na małe dziecko, wnet po urodzeniu. Zawieszone przy piersiach matki, jak każde z źwierząt ssących, odbywa ono tylko funkcje źwierzęce; powoli malutkie jego członki mężnieją, wzrok staje się pewniejszym, uśmiech osiada na ustach, władza znajduje się w rękach i nogach. Wtedy coraz wyraźniéj objawia *wolę*, lubo nie słowy jeszcze, ale wyrazem oczu, grą fizjonomji, gestami. Następnie słysząc niejednokrotnie też same wyrazy, powtarzane około siebie, lubo nie domyśla się jeszcze ich znaczenia, powtarza je i w tém powtarzaniu coraz więcéj ćwiczy swą *pamięć*. Wreście poznaje, domyśla się znaczenia wyrazów, zaczyna już rzeczy nazywać po imieniu i tworzy sąd swój o nich, czyli rozwija swój *rozsądek* albo raczéj *rozum*, bo rozsądek jak pojętność, jak przenikliwość, dowcip i t. d. jest władzą rozumu. Otóż te trzy władze: woli, pamięci i rozumu stanowią istotę du-

szy. Są jeszcze inne władze, które jednak niczém innėm nie są jak podścieliskiem, wzajemném połączeniem lub spotęgowaniem tamtych. I tak *czułość*, jest wolą ślepą, nie skierowaną do żadnego pewnego celu, lubo może mieć swój wyłączny przedmiot. Jak w czułości tak w woli jest zaród chęci, ale w pierwszéj objawia się ona przez łzy lub śmiech, w drugiéj przez działanie. Jednakże czułość, można powiedzieć, jest ogniskiem duszy, jest tém czém jest cieplik w tworach nieorganicznych a instynkt w zwierzętach. Im człowiek jest czulszym, tém może być doskonalszym, lepszym, bo tém większy skarb uczuć w sobie posiada. Bez czułości człowiek zawsze będzie poziomym, zwierzęcym:

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;—

powiada poeta. Tak jest! Ona przenika całą duszę, wszystkie jéj władze, jak słońce przenika, ożywia promieniem swoim świat materjalny. Czułość jeśli nie jest potęgą jak wola, to jest materjałem z którego wola się wyrabia.

Wyobraźnia niczém więcéj nie jest jak spotęgowaniem pamięci z syntezą rozumową. Obrazy przyrodzenia odbijają się w duszy i tworzą pamięć, wyobraźnia je oczyszcza, kombinuje, tworzy z nich typy i ideały. Wyobraźnia nie jest marzeniem; różni się tém od niego, że pracuje, przerabia, tworzy, wtedy gdy marzenie rozwiewa się w czczość. Wyobraźnia równie nie jest marzeniem, jak wola czczą chęcią, czyli raczéj chętną. *Chciałbym*, powiada człowiek słabéj woli,— *chcę*, powiada człowiek energiczny,— *pracowałbym*, żebym miał siły po temu, powiada marzyciel, *pracuję*, *tworzę*, powiada poeta. Wyobraźnia (imaginatio) nie jest to samo co *ideologja;* poeta wysnuwa z siebie, buduje na sobie, na swéj nieśmiertelnéj istocie;— ideolog buduje na nikłéj podstawie czasu i przestrzeni. Dla tego Napoleon ideologów nie lubił, poetów wysoko cenił.— Jak pamięć jest matką dziejów, tak wyobraźnia jest matką sztuki. Pamięć przechowuje to co było i jest, wyobraźnia sięga w przyszłość, otwiera pole możliwości, zdziera doczesności zasłonę. Bez pamięci człowiek byłby nieukiem, bez wyobraźni człowiekiem pospolitym, raczéj przeżuwającym zwierzęciem. Im bystrzejszy lot wyobraźni, tém wyższe uczucie, tém energiczniejsza wola. Poeta na skrzydłach wyobraźni podnosi się z ziemi, znika przed okiem tłumu, zasiada w radzie niebian, a człowiek powiada: warjuje!

Poezja jest najcelniejszą z tak nazwanych dawniéj *sztuk wy-*

zwolonych (*artes liberales*), późniéj z francuzkiego zwanych *sztukami pięknemi* (*beaux arts*), następnie obdarzonych mianem *kunsztów*, z niemieckiego *künste*, a które w przyszłości nie wiadomo jeszcze jakie będą nosić miano, gdyż w naszym staropolskim, zygmuntowskim języku, musi znajdować się na nie odpowiedni wyraz, chociaż dotąd nikt go nie odkopał. Otoż poezja, królowa sztuk, jak Matematyka królowa nauk, dzieli się na trzy wielkie działy: liryczną, epiczną i dramatyczną. Zastanowiemy się tu nieco nad tą ostatnią a szczególniéj nad *dramatem*, który, według wyrażenia jednego z naszych znakomitych krytyków, jest *koroną kunsztu, jak kunszt jest koroną intelligencji* *). Sztuka dramatyczna rozpada się także na trzy główne działy: *komedją, tragedją i dramat.* Komedja uważa i maluje człowieka z jego śmiesznéj strony, chwyta słabą i komiczną stronę charakterów; przedstawia oczóm obyczaje wieku; tragedja nurtuje głębiéj w sercu człowieka, wywodzi na jaw potężne i namiętne charaktery, passowanie się z losem i popędem namiętności, blask cnoty i hańbę występku; dramat stawia człowieka w zawikłanych, smutnych, często okropnych sytuacjach, wykrywa sprężyny działań ludzkich, bezsilne miotanie się przeciwko wyższym wpływóm lub pogodną rezygnację, słowem, maluje uczucia duszy, skądinąd pospolitéj, ale postawionéj w przykrém a nadzwyczajném położeniu. Nie potrzebuje on ani takiego zasobu dowcipu jak komedja, ani takiego zgłębienia wielkich charakterów jak tragedja; idzie tu tylko o *intrygę*, o zręczne jéj rozwiązanie, o wierne odmalowanie tych udręczeń serca, tego szarpania się wewnętrznego, którego człowiek najpospolitszy doznaje śród nawału nieszczęść. *Intryga* więc jest główną rzeczą dramatu, jak odmalowanie obyczajów wieku przedmiotem komedji, a wielkich charakterów i silnych namiętności przedmiotem tragedji. Niewiém przeto za coby drammat był koroną kunsztu, chyba że zawiązanie i poprowadzenie zręczne *intrygi dramatycznéj* poczytalibyśmy za najwyższy rozum i sztukę.— *Deus hoc avertat!*

To o sztuce; wróćmy dopiéro do naszego przedmiotu.— Władza *pojęcia* jest podścieliskiem rozumu, czyli tak nazwanego dzisiaj *umu* (*die reine Vernunft*). Pojąć cóś, jest to sobie przyswoić, zaszczepić w duszę, nie jest to jeszcze zrozumieć, czyli zważyć, ocenić; bo rozum jest władzą duszy, która przedmiot poznaje, to jest, rozróżnia od innych, postrzega stosunki rzeczy,

*) Albert Gryf w niewydanéj dotąd recenzji na dramat P. Odyńca *Felicyta* czyli *Męczennicy Kartagińscy*. (*Autor*).

ocenia wartość, nadaje imie, to jest: stempel duszy. Nasz wyraz *pojęcie*, jest to łacińskie *intelligentia*, franc. *intelligence;* niem. *verstand*, rozum; jest to: *ratio*, *raison*, *vernunft*. Przeto zdaje mi się że równie dobrze obeszlibyśmy się bez *umu*, jak bez tysiąca innych nowomodnych wyrazów, bo nie widzę czémby *um* różnił się od *rozumu*. A przekręcać wyrazy, jest to psuć naturę języka, ćmić charakter narodowy, odbity w słowie. Wyrazy języka nie są to sztuki monety, którą pod coraz innym stemplem wydać można. Za stolikiem, z piórem w ręku ich nie ukujesz: oni się rodzą z nami, z nami umiérają.

Ale na dzisiaj dosyć. Rozważyłem człowieka pod dwojakim względem, jako zwierzę i jako duszę, pozostaje poznać go jako *ducha*, gdyż Paweł Ś. wyraźnie na wielu miejscach rozróżnia duszę od ducha i w każdym znajomym mi języku noszą one odmienne miana; i tak w hebrajskim: נפש־רוח, w greckim: *ψυχή— πνεῦμα;* w łacińskim: *anima— spiritus;* we francuzkim: *âme— ésprit;* w niemieckim: *Seele— Geist*, i t. d.

Dalszy ciąg moich uwag, jeśli te łaskawie przyjmiesz, pozostawiam do następnego listu. Bądź zdrów.

Życzliwy i przyjazny Tobie
Michał Bohusz Szyszko.

5 Sierpnia 1849.

Z LISTU LEONA JANISZEWSKIEGO
do Wydawcy Pamiętnika.

Szanowny Panie Romualdzie!

Chcesz żebym ci doniósł o pracach naszéj młodzieży na Kaukazie, i spodziewasz się ich udziału w swoich publikacjach. Trochę zawcześnie ogłosiłeś rys naszego umysłowego i pisarskiego stanowiska przesłany ci niegdyś przez nieboszczyka Tadeusza *). Wiém że on tam jednym pióra pociągiem nastwarzał Historyków, Statystyków, Etnografów, Geologów, Orientalistów i t. d. i t. d.— Co do mnie, wyznaję z pokorą, że dotąd o wielu z tych uczonych mężów i dziełach ich, wiém nader mało. Co zaś wiém to po-

*) List *Tadeusza Łady-Zabłockiego*, w T. IV-tym *Rocznika Literackiego* na rok 1849. we *Wstępie*. (*Red.*)

wiém.— **Strzelnicki** umarł— talent wielki— prawdziwy poeta— pisarz wielkich nadziei.— Znasz jego prace, boś je pierwszy dał poznać w swoich *Rocznikach.*— Więcéj nic prawie nie zostawił.— *Mahmudek* najlepsza jego powieść, ale (szkoda) często przypominająca *Mułła-Nur* Marlińskiego, drukowaną była w *Bibliotece Warszawskiéj.*— Strzelnicki był wielkim czcicielem rossyjskiéj literatury. Marliński był u niego poetą i prozaikiem *nec plus ultra.* Ztąd to, nie wiedząc nawet sam o tém, przesycony czytaniem jego utworów, pisząc Mahmudka i pomysłem i obrazami w części stał się jego naśladowcą *). Ale za to w Mahmudku są ustępy

*) Szkodliwy wpływ fałszywego kierunku Marlińskiego okazał się więc i w naszéj literaturze. Strzelnicki nie był u nas jedynym, który mu uległ. A że u nas dotąd jest jeszcze wielu, którzy Marlińskiego uważają za *największego pisarza* w Rossji, korzystając ze zręczności, damy tu naszym czytelnikom rzeczywistsze, z dzisiejszego stanowiska uważane, o jego talencie zdanie.

Marliński pod wielą względami był pisarzem nader godnym uwagi w literaturze Rossyjskiéj. Nie wielu pisarzy miało tak obszerny krąg czytelników, tak rozgłośne imie. Każde ukazanie się jego powieści albo artykułu w dzienniku, było zawsze ważnem zdarzeniem w literaturze, wprawiało w ruch umysły czytelników. Marliński zwrócił na siebie uwagę od piérwszéj chwili wystąpienia na literackie pole. Odtąd rozgłos jego sławy rosł z potworną szybkością. Wreście genjalność jego była przyznaną przez wszystkich. Można było nie wierzyć w Puszkina, wypatrywać w nim wady, zaprzeczać nawet mu samodzielności talentu i wysokiego znaczenia w literaturze, ale podobna niewiara względem Marlińskiego— była rzeczą niepodobną. Miał on wpływ wielki na literaturę, stworzył całą szkołę naśladowców, która jeszcze podniosła jego rzeczywiste przymioty, bo przejęła i do ostateczności przesadziła jego wady. I oto cała ta ogromna sława upadła nagle, w całéj swéj świetności, w całéj swéj sile ... Tak często nagle pada człowiek najsilniejszy, w całém rozwiciu sił żywotnych... Zdanie publiczności rozpadło się na dwie ostateczne strony: jedni nie mogli w żaden sposób rozstać się z dawniejszémi pojęciami o Marlińskim, drudzy zaczęli w nim upatrywać błyskotnego frazeologa, umiejącego zręcznie podszywać się pod wyższy talent. Dziś już nie ma sporu o Marlińskim, nikt na niego nie napada, nikt go nie broni. W sporach o nowéj literaturze, poplecznicy starego porządku rzeczy, nie zsyłają się na Marlińskiego, nie chwalą go: jak gdyby zupełnie został zapomnianym. Przeleciał po nad rossyjską literaturą jako jasny

owiane rzewną tęsknotą, bolesnym humorem, właściwym jedynie naszemu nieodżałowanemu Władysławowi, i bez wątpienia wyrzec można, że prędko on otrząsłby się z przypomnień co go robiły mimowolnym naśladowcą i byłby naszym dzielnym, samoistnym pisarzem.

Zabłocki.— Znasz go, choć nie tak jak ja. Nie szukaj zdrowej, potężnej myśli ani w jego pismach, ani w jego życiu, ani w jego śmierci.— Wszędzie u niego myśl jest niewolnicą powierzchownej ogłady. Nakoniec i jemu samemu znudził się ten

---

meteor, który tylko przez chwilę oczy oślepił— i zginął nie zostawiwszy śladu po sobie...

Jednakże Marliński był pisarzem z prawdziwym talentem, mającym nawet pieczęć oryginalności. Świetny dowcip, różno-stronne ukształcenie, obznajomienie się z naukami— podwyższały jego wrodzone zdolności. Wszakże człowiek jest jako maszyna składająca się z wielu cząstek, z których każda wywiera pewien wpływ na drugą, sąsiednią, podnosząc się lub zniżając. Chętka błyśnięcia, oslepienia effektem— była naturą Marlińskiego, pozbawiła go zdolności wyższego rozwinięcia się, postępu naprzód i nadała cechę lekkości jego utworóm. Był to jeden z tych ludzi, którzy nie rzucą się w widoczne niebezpieczeństwo, ani go unikać będą, jeżeli śmierć ich ma być od nikogo nie widzianą; lecz niechże wiedzą że na nich tłum patrzy— wtedy nie masz dla nich nic— na coby się nie odważyli, rzucą się śmiało na oczewistą zgubę, byle tylko byli pewni że będą ich podziwiać, rozpowiadać o nich po śmierci.... To przebija się w każdym wierszu Marlińskiego. Treść przedmiotu, jego grunt i prawda nie zajmują go wiele: ugania się za formą zewnętrzną, która się naprzód w oczy rzuca. Jeden z naszych *zawołanych* powieściarzy ma w tem— jakże dziwne podobieństwo z Marlińskim!... Pozor, tertes i błyskotanie— były źródłami jego natchnienia. Wstrząsnąć z szybkością błyskawicy, porwać pędem potoku, nie dać czytelnikowi czasu przyjść do siebie i wyczuchać się— oto co było dla niego roskoszą. Działał na swoich czytelników nakształt kabardyńca lub czerkiesa,— znagła uderzał i porywał wprzód nim napadniony miał czas pojąć co się z nim dzieje. Lubił malować namiętności i uczucia pojęte od ogółu, i które łatwo każdemu rzucają się w oczy.

Literacki swój zawód rozpoczął szczęśliwie. Spójrzenia jego na literaturę odznaczały się dowcipem, przenikliwością, świeżością i poetycznemi porównaniami; pociągały żywym, wymównym stylem. Zaraz widać było zdolnego literata, z nauką, gustem i ukształce-

koncert na Eolowéj arfie— zachciało mu się wystąpić myślicielem— poetą... i napisał Kazbek.:. galimatją jak Kazbek kolosalną!— A grzech to na duszy *ojca Bronisława!!* Napisawszy Kazbek przyjął obowiązek dozorcy *Żup solnych* wkrótce przed śmiercią, i skończył życie nad rejestrami i rubryką!— *Vanitas vanitatis!!..*

Konstanty Zach, *secundum Thaddaeum orientalista.*— Prawda, znał języki: perski, tatarski, turecki: zabierał się całe życie pisać grammatykę perską czy tatarską, i był w stanie spełnić to przedsięwzięcie; ale skończyło się na projekcie.— Nie napisał nic oprócz tytułu grammatyki, i szczupłych historycznych o niektó-

niem; oprócz tego, człowieka dobrego tonu, obcego szkolnościóm i pedanterji. Najpiérwsze jego powieści i opowiadania były nadzwyczajnym zjawiskiem w ówczesnéj rossyjskiéj literaturze. Nie miały najmniejszego podobieństwa do dawniejszych prób w tym rodzaju, były pełne świeżości, nowości, oryginalności i odznaczały się taką naturalnością (rozumie się w porównaniu dawniejszych), że nikt wówczas nie był w stanie dostrzedz nadętości stylu, melodramatyczności, przewagi formy zewnętrznéj nad wewnętrzną treścią i poważną prostotą. Marliński mało przenikał w głąb przedmiotu, ale za to miał wiele ognia. Natura nie dała mu genjuszu, a jemu się chciało być— genjuszem. Uważcie, że to się stało z jednym *zawołanym* literatem i w naszéj literaturze! Taka rola zawsze zbija człowieka z drogi i niepozwala ani się rozwinąć przyrodzonym jego zdolnościóm, ani iść po właściwéj mu drodze. Z talentem, którym go obdarzyła natura, mógłby postąpić naprzód, powoli oddalić się od fałszywéj a pójść po prawdziwéj drodze. Ale wówczas nie było komu przestrzedz go, dać mu dobry przykład. Puszkin pisał wiersze a powieści lepszych od Marlińskiego nie było w ruskiéj literaturze. Mógł wszakże rozwijać się i postępować, lecz przeszkodziła mu skłonność do effektacji. Wiecznie wirował śród jednakich charakterów i jednakich pobudek. Dla tego bohaterowie jego do siebie podobni jak dwie krople wody. Ta jednostajność charakterów nudzi. Chęć błyszczenia zmuszała go wytężać przyrodzony dowcip, stawiać na szczudłach— namiętność i uczucie— wydymać z natury pstrokaty styl— słowem, wpadać we wszelkie ostateczności frazeologji. Lecz Marliński nigdy nie był wyziębionym i oschłym pisarzem. Zawsze w nim widać opowiadacza szczérego, pełnego życia, który nie łamał głowy nad perjodami, zaledwo miał czas wylewać je na papier, z szybkością maszyny parowéj. W uniesieniach jego, w effektowych obrazach, widać jakieś upojenie, prędzéj od dozy opjum, niżeli z natchnienia, pochodzące. Ztąd pomimo po-

rych prowincjach tatarskich, notatek.— Lecz przedewszystkiém był to *człowiek*, mąż wielkiego hartu duszy i najszlachetniejszych uczuć.— A mógłże on gryzmolić grammatykę biedząc się codziennie myślą o jutrzejszym chlebie?! Ta to potrzeba, pomimo zrujnowanego zdrowia, zagnała go powtórnie do służby wojskowéj.— Udawszy się na robotę drogi w górach, znalazł tam śmierć pod urwiskami skał i w falach górnego potoku.— Westchnijmy za poczciwego Kostusia— szkoda go więcéj aniżeli dziesięciu naszych braci poetów!!

Michał Andrzejkowicz jest to pracowity kompilator zbierający materjały ściągające się do Kaukazu pod wszelkiemi względami. Robiąc wyciągi z dzieł o Kaukazie w obcych językach pisanych, łowi bez rozbioru wszelkie wiadomostki o kraju. Gawędy krajowców dostarczają mu także obfitego materjału. Jednem słowem, on ciągle szpera i zbiera.— Co z tego stworzy— jednemu Ałłahu wiadomo!— Jak mi się zdaje, będzie to *Silva rerum petua* cudzéj erudycji i swoich spostrzeżeń— historycznych faktów i wielkiéj naukowéj pretensji,— a przecież u nas, jak wszystko o Kaukazie tak i to za dobrą przyjmą monetę, jako piérwsza o tych krajach obszerniejsza w naszym języku wiadomość, mogąca obudzić wielki interes ciekawości nie bez użytku dla tych coby

---

zornéj łatwości i potoczystości, zawsze w jego stylu widać nienaturalne wyprężenie.

Szczytem jego literackiéj wziętości był rok 1831, 1832 i 1833; drukowały się wtedy w *Moskiewskim Telegrafie* lepsze jego powieści, ale sam już był na schyłku swego talentu. Jeszcze około lat dwóch szumiał na polu literatury jak wicher ukraiński, lecz pojawienie się Gogola zadało raz śmiertelny jego retoryzmowi, effektacji, deklamatorstwu. Ujrzał się nagle z naczelnego miejsca strąconym do rzędu ciurów obozowych i pozostał tylko jako przedstawiciel konającéj romantyczności, zwalczony w męczącéj walce z wietrznymi młynami. Nakoniec w przed-ostatnich lat dziesiątku nowa krytyka zwalczyła go do upadłego i kolosalna sława runęła...

Sława jego i upadek niech posłużą za dowód, jak nie należy ufać chwilowym powodzeniom w epokach przechodowych literatury, że lekko jest wtedy odegrywać,— mającemu tylko mierny talent autorowi— rolę genjalnego pisarza, łatwo jest samowolnie usadowić się na rydwan mistrzowania swéj publiczności.... Przykładów tego szukać nie daleko w naszéj literaturze... Warto aby pamiętali o tém *zawołani* nasi powieściarze!... (*Redaktor Pamiętnika*).

umieli z zebranych w niéj materjałów korzystać.— Autor pracuje otoczony tajemnicą. Lubi on korzystać z cudzych materjałów, ale swoich nigdy nikomu nie wskazuje i nie udziela. Sądząc po czasie jaki ma w rozporządzeniu ten szczęśliwy człowiek, i po jego zapale do zbierania materjałów, powinien już mieć spisane całe tomy. Ale niestety! trudno będzie z nich korzystać. Słyszałem że mantelzak w którym wozi swoje szpargały oszacował nie żartem przynajmniéj na 40,000 rubli assygnacyjnych— to jest, tyle spodziewa się dostać od księgarza któremu honor drukowania swego dzieła powierzy.— Aby zaś nie pospolitować się przedwczesnemi artykulikami, postanowił nie udzielać wyjątków żadnemu pismu, aby potém zjawieniem się całego ogromu dzieła, jak maczugą Herkulesa, czytelników odurzyć.— Napiszę do niego w twojém imieniu; lecz przytém radzę ci samemu *tentować* szczęścia u tego Nababa kaukazkiéj starzyzny.

Z kolei idzie **Hugo Korsak.** Poczciwa dusza!— Nieboszczyk Łada chciał go gwałtem zrobić powieścio-pisarzem i tak odurzył poczciwca, że już zeszył kilkanaście arkuszy papieru, wystawił na piérwszym wielkiemi literami: *Kikoli*, powieść Gruzyjska przez H. K. i nawet zamalował stronic kilkanaście. Ale chwała Bogu! Hugo z natury i z nauki matematyk, chłopiec z wyższém naukowém wykształceniem a zdrowym rozsądkiem. Obejrzał się dość wcześnie, przeczytał mi początek swojéj powieści, naśmiał się ze mną serdecznie z swojego literackiego zakusu, czy zacieku, jakby się Jacek Przybylski wyraził, i podobno do tytułu dodał: «Powieść Gruzyjska do zapalania fajek,” co i rzeczywiście spełnił. I oto mniéj jednym zakaukaskim pisarzem. Ale za to dobre Hugonisko czyta choć nie pisze, lubi ojczyste pismiennictwo i z szczerą chęcią przynosi małe ofiary po jakie ono do nas rękę wyciąga.

O badaniach doktora **Jana Wierzbickiego** we względzie medycyny i historji naturalnéj Kaukazu, nic nie wiém. Lecz znają doktora jako człowieka pełnego prawych uczuć, wielkiéj energji, szlachetnych dążeń, zamiłowania nauk i wysokiego usposobienia, nie wątpię że gdyby podobną pracę przedsięwziął, wykonałby ją zaszczytnie.

Zacnego **Pietraszkiewicza,** inwalida z kulą w brzuchu, już dawno niéma na Kaukazie— wrócił do kraju, zajmuje się wychowaniem dzieci obywatelskich na Wołyniu podobno, i ile mu zdrowie pozwala, bez wątpienia pielęgnuje ojczyste muzy w domowém zaciszu.

Stanisława Winnickiego autora niedokończonego poematu *Artem Popowicz* nie poznałem, gdyż umarł przed moim na Kaukaz przyjazdem.— Oto i wszyscy o których wspomniał nieboszczyk Łada w liście do ciebie jako o piszących na Kaukazie.— A! zapomniałem o sobie. Wszak ja figuruję jako prozaik, poeta i muzyk w jego raporcie. Bo to prawdziwy kaukaski *raport* ten jego list— wszystko na wielką skalę!!... I cóż?— grzech zapierać się. Pisałem kiedyś i dużo poezji— pracowałem nad muzyką jako amator;— teraz nie piszę ani poezji ani prozy, a muzykę uprawiam jako rzemieślnik od 8 zrana do 8 wieczorem, codzień dając lekcje muzyki. Jużci o sobie mógłbym ci więcéj jak o drugich napisać— ale zbyt długa to legenda. Z resztą powiém krótko a stanowczo: jakie było życie moje taki i rodzaj natchnienia. Treść pism, to treść mojego więcéj niż burzliwego życia. Przeczytaj wszystko com napisał a dowiész się czém byłem, czém być chciałem, czém jestem, i czém zostanę pomimo cierpień duszy, utraty zdrowia, chylącego się wieku i ciężkiego wyrobnictwa. Nie wiele zyska literatura na ogłoszeniu prac moich— więcéj zyskałby człowiek myślący rozważając źródło natchnień i koleje jakiemi mnie Opatrzność prowadzi. Czytać mnie będą z przyjemnością z téj nieomylnéj przyczyny, że wszystko com pisał, pisałem w chwilach prawdziwego, serdecznego wzruszenia, gdy całe wezbranie serca, wiarą, nadzieją, miłością i szczęściem— rozpaczą, zwątpieniem, szyderstwem i niedolą przelewało się w głoski. O estetycznéj ogładzie moich utworów nie myślałem nigdy. Co się stworzyło, stworzyło się jak Pan Bóg dał. Chcecie drukować— drukujcie. Chcecie czytać— czytajcie. Tyle o sobie, i aż nadto. A więc *summa summarum:* Winnicki umarł na gorączkę— Strzelnicki na zapalenie kiszek i dyssenterją; Zach zginął uniesiony górnym potokiem i zawalony skałami; Zabłocki umarł z cholery; zostali z piszących na Kaukazie ile mi wiadomo: Andrzejkowicz o którym mówiłem— **Wincenty Dawid** niegdyś nauczyciel z Królestwa, znany już dawniéj w naszéj literaturze z wielu wyjątków wierszem i prozą umieszczonych w pismach krajowych, do którego jako do człowieka z talentem, z wysokiém ukształceniem, a nadewszystko z zamiłowaniem nauk i pracy i z najszlachetniejszą dążnością, radzę ci zrobić wezwanie o spół-pracownictwo literackie z zaufaniem że ci go nie odmówi. Słyszałem jeszcze o *Muczlerze* żołnierzu w pułkach Dagestańskich, piszącym poezje które mogłeś czytać w *Rubonie.* Wszakże oprócz wymienionych, są jeszcze i z znajomych mi i z nieznajomych ziomków na Kaukazie ludzie z wyższą oświatą i pisarskiemi zdolnościami,— a jeżeli nie-

którym z nich uciążliwe obowiązki służby lub familijne kłopoty nie pozwalają poświęcać się pracom umysłowym, to też są i tacy, którym trudno przebaczyć obojętność z którą wrażenia z własnych po Kaukazie wędrówek, lub wypadki z życia naszych ziomków przed ich oczami spełnione, w zapomnienie puszczają.— Tyle o piszących— *sequitur* o czytających.

Rozumie się że czyta więcéj jak pisze, i wielu jest miłośników krajowego pismiennictwa— ale Bogiem a prawdą— i niech się za szczérość moję dobrzy zakaukazcy bracia nie gniewają— zbyt skąpemi jesteśmy na ofiary jakich od wielu z nas ma prawo wymagać ojczyste pismiennictwo. Co sobie tam panowie wydawcy wyobrażacie o Kaukazie w tym względzie, jest tak jak sam Kaukaz, bajeczne. Podań mnóstwo— rzeczywistości mało. Był czas kiedyśmy byli i ubożsi i nieszczęśliwsi, a nieżałowaliśmy odejmować od potrzeb codziennych, od powszedniego chleba na pokarm duchowy. Lecz oto poszliśmy w górę, mój panie! porobiliśmy się magnatami— nosimy serpetyny przy boku, ostrogi przy botach, na ramionach szlify, kołnierze haftowane— mamy stopnie i ordery, posyłamy do banku pieniądze, lub je w kufrach dusimy— zapijamy szampana i codzień gramy w preferansa;— ale trudno nam rozstać się z rublem na książkę! Słów wiele, czynów mało. Zabawiamy się gawędką, a ręce schowane za plecami. Dożyliśmy do tego że prawie żałować wypada iż szkoła nieszczęścia dłużéj naszym nie była udziałem. Dobre to były czasy— owe czasy wielkich cierpień fizycznych i większych pociech moralnych; czasy zewnętrznego uniżenia a wewnętrznéj uczuć potęgi; czasy przyćmienia spuścizn uprzywilejowanych a blasku osobistéj godności; czasy w których od ciężkiéj czarnéj roboty grubiały ręce, a w szlachetnéj pracy umysłu hartowały się dusze!— Dobrzy to byli ludzie— owi ludzie z siermięgą na plecach, a z urokiem godności w obliczu; niepewni jutra, a ogarniający przyszłość; często tułacze bez dachu śród burzy, a świętą miłością ogrzani; bez powszedniéj strawy, a syci «*słowem Bożym*" posiłkiem Zbawiciela!— Czasy minęły, a ludzie się przemienili. Krzątamy się cichaczem i ukradkiem około tego czém dawniéj w obliczu świata gardzili; pustkowie duszy ubraliśmy galonami i szychem; trochę błyskotek z wierzchu, trochę zaszarganych wspomnień i coraz więcéj uprzykrzających się starych przyzwyczajeń wewnątrz, oto nasz cały teraźniejszy dobytek. A témczasem zewsząd się sypią wzywające do spółpracownictwa odezwy wydawców, i ogłoszenia nowych publikacij! Uważałeś zapewne że liczba prenumerato-

rów kaukazkich zawsze szczupła i prawie zawsze z tych samych osób złożona.

I tu to trzeba oddać sprawiedliwość nieboszczykowi Ładzie. Był to jedyny pośrednik wydawców i księgarzy. Stawał się natrętem, grubijanem, ale robił swoje. Z zaklętych nawet worków i kieszeni szturmem dobywał ruble na książki, a w liście jego prenumeratorów nie rzadko figurowali Tatarzy, Lezgini, którzy nie słyszeli nawet że była Polska na świecie. Ale Łada spełniał, że tak powiém, swoje posłannictwo. Była to jego manja; i miał czas i ochotę po temu. Z wdzięcznością patrzę na tych co sami mało mając niosą chętnie szczupłe ofiary— z zawstydzeniem ale i z pogardą poglądam na naszę arystokracją żyjącą umysłowo tylko z łaski biedaków; bo najczęściéj biedni kupują książki, a bogatsi pożyczają u nich i na dobitkę *kradną*— w przekonaniu że ukraść psa i książkę to nie *złodziejstwo!!* Widziałem pełne kufry książek podobnym sposobem *zawerbowanych* (wyraz techniczny) i mógłbym przytoczyć wielkiego miłośnika swojskiéj literatury, który z dobrowolnych składek na książki złożył całą biblioteczkę, a sam nigdy ani szeląga nie wydał.— *Satis.* — Obraz smutny, a sprawiedliwy. Bracia moi! jeśli który z was moję skargę przeczyta, nie miotajcie złorzeczeń, ale opatrzcie się wewnątrz, uderzcie się w piersi, mniéj rozprawiajcie, róbcie nawet trochę mniéj niż możecie, a zrobicie jeszcze bardzo wiele.

A témczasem, pora autorstwa mija... czy tylko nie minęła?.— Na drugi dzień po odebraniu wiadomości o ucieczce Ludwika Filipa z Francji, rozwiązałem przygotowane do podróży do kraju tłómoki;— albowiem tak być musiało. Na drugi dzień po odebraniu wiadomości o wzięciu Wiednia, ożeniłem się— wszak to konsekwencja najrozumniejsza. A ponieważ teraz fakta wyprzedzają myśli, więc powiém ci że na drugi dzień po wiadomości o rozpuszczeniu Berlińskiego Sejmu urodziła mi się śliczna jak Anioł dziewczyna, która teraz tak słodko gwarzy w kołysce że muszę wstać żeby na nią popatrzeć.

Wracając więc do stolika i do rzeczy— jestem mężem i ojcem!— Wielkie to i święte słowo. Stokroć większe i świętsze dla mnie com już miał umrzeć tułaczem-sierotą. Jak się to stało?. to można czuć— opowiedzieć niepodobna! Ja tylko czuję że kocham moją dziecinę całém jestestwem mojém, że bez niéj żyć, nie patrzeć na nią, nie pieścić, nie widzieć codzień tych ustek przez sen uśmiéchających się tak błogo, tulących się do płaczu, tak rzewnie— nie słyszeć piérwszego gwaru szczebiotania słodszego nad wszystkie harmonje!. nie— to niepodobna! Dla mnie,

cała przeszłość moja, to nędza, boleść, poniżenie, tułactwo życia, koczowisko myśli bez wypoczynku i celu, niewczesne skargi, rozpacz męzkiego serca niegodna. Teraz moja niedola, moja chudoba, moja codzienna praca, moje ubóstwo, wszystko mi miłe i drogie.

Kołyskę mojego niemowlęcia osłoniła wiara, nadzieja i miłość; a gdy raz piérwszy usiadłem przy niéj żeby ukołysać moje dziecię kochane, schyloną głowę ojca otoczył nowy, nieznany świat marzeń i cudów; tych marzeń za które ani krwią ani łzami płacić nie trzeba— tych cudów dla których pojęcia jedno serce wystarczy.— Teraz, gdy to piszę, gdy myślę o mojéj dziecinie, jakże słodkie przejmuje mnie drżenie, jakże błogo płyną łzy do oczu!— a nie są to już łzy boleści, ale perły padające na cierniową mojéj przeszłości koronę. Zdawało mi się że byłem nędzarzem, odrzutkiem, ciężarem drugim i sobie!— ha! może i byłem tém wszystkiém. Lecz przyszło na świat niemowlę, i stał się cud!— Przejrzały oczy moje— odżyło serce moje, i widzę że dobry Bóg dał mi wszystko co człowiekowi dać można; jestem bogaczem, królem; mam kogo kochać serdecznie, mam dla kogo pracować; i sam szczęśliwy i do szczęścia drugich potrzebny, kraj, wiarę, rodzinę— wszystko co utraciłem i wszystko czego nie znałem dotąd, znalazłem przy kolebce mojego dziecięcia!— Wybacz dobry Romualdzie! ustęp ten niewczesny w liście już i tak sążnistym. Gdybyś był ojcem, opuściłbyś cały list dla tego jednego ustępu. Życzę ci tego serdeczne i błogosławię dobrym zamiarom twoim błogosławieństwem pielgrzyma co już stanał u kresu wędrówki, a zwróciwszy się ku opoźnionym w drodze braciom pielgrzymóm, wzywa Opatrzność aby ich prędzéj doprowadziła do celu.

Zacząłem o Roczniku— wracam do niego i mówić będę otwarcie jak tego wymagałeś odemnie. Co w nim najlepszego to owo rodzinne namaszczenie którego dawniejsze tomy tyle nie miały. Lecz w ogóle snop jeszcze wątły w porównaniu z potrzebą czasu. Sam to wiesz, bo wszak sam w dzielnéj przemowie przyrzekłeś otrząsnąć przyszły *Pamiętnik* z wierszydeł, a może przytém z warzywa i z romansowéj Botaniki. Daruj bracie— ale dla czegoby, naprzykład, P. Róża przy swéj wdzięcznéj prostocie stylu nie obdarzyła cię czém podobném do ślicznego *wyjątku z pamiętników młodéj panienki*, napisanego z taką łatwością, zniewalającą naiwnością i z takim przytém rozumem, że aż się wierzyć nie chce żeby to bardzo młoda panienka pisała, a żałuje się szczérze że tego tak mało!

Twój artykuł o prowadzeniu wojny Litwinów dobry, ciekawy i zajmujący nie tylko dla dzieci Litwy ale i dla nas koroniarzy. Boć biliśmy się z sobą w one czasy, ale pokochali się potem. Tak i być powinno: «Wybijmy się, kochajmy się."— Artykuł o Piusie IX bardzo interessujący, lecz zgodź się że w tym momencie trochę niekompletny.— To co napisałeś o kantacie *Milda*, a w szczególności druga połowa gdzie mówi: o muzyce i duchu kompozycji, jest wyborne, a co główna— rozumne podług sztuki. Szkoda że niedołączyłeś samego utworu naszego genjalnego kompozytora, bo takim jest rzeczywiście P. Moniuszko, prawdziwy kompozytor-poeta, jak nasz niezrównany Szopen.— Lecz nie podoba mi się pierwsza połowa czyli prolog; a nie podoba się dla tego, że zdaje się jakoby uroczystą Litewską legendę zaczął opowiadać w skazce Wielkoruski bałahur. Podług mnie język taki przystoi tylko owym pół-historycznym, pół-bajecznym podaniom, które z żywych opowiadań praszczurów przechodząc z pokolenia w pokolenie, tracąc pomału pierworodne historycznéj prawdy piętno, a za to barwiąc się wyobraźnią czasów i ludów po których krążyły, nareszcie w ustach odległych potomków przerodziły się w dziwotworno-rubaszne kształty bajek, baśni i skazek.— Święte legendy ludów z ich młodzieńczéj Teogonji, nie dają się takim rubasznym ani opowiadać, ani zapowiadać nawet językiem;— i taki sposób wykładu równie dla Indyjskich tajemnic Wedasa, jak dla Skandynawskich Sag, i spowinowaconych z niemi mytycznych dziejów Litewskiego Dungusu, niestosowny. To też niepodobieństwem ci było doprowadzić do końca kędzierzawy język prologu, i wyrznąwszy jeszcze na *valete* owę *formulam sacram* wszystkich baśni: «*Onego czasu*, *w pewném państwie* i t. d. rozstałeś się z nim zaraz na początku legendy; i dobrześ zrobił: wdzięczni ci za to czytelnicy Rocznika.— Nie potrzebuję się tu rozwodzić jak serdeczny interes mają *Listy o Syberji*, i jaką barwę twojéj książce nadają, równie jak rozrzewniające opowiadanie P. *Januarego Filipowicza.*

Oddział poezji uświetniony drogiém dla nas imieniem Odyńca, zawiera wiele pięknych choć ulotnych utworów. *Władysław Syrokomla* jako tłumacz naszych łacińskich poetów, zasługuje na powszechną wdzięczność równie za szczęśliwą myśl oznajomienia z nimi ogółu, jak i za pełne talentu téj myśli wykonanie. W pierwszym zeszycie *Pamiętnika* przeczytałem z zachwyceniem tłumaczenia naszego *poetae aureati* Sarbiewskiego.

Był czas, kiedy z całym zapałem młodości poświęcałem się ję-

zykom i literaturze starożytnéj. W szkołach Kaliskich byłem ulubionym uczniem sławnego filologa Dra Tripplina który zamiłowany w spokojném życiu, nie przyjął ofiarowanéj sobie po Zinzerlingu katedry w Uniwersytecie Warszawskim.— O tłumaczeniu mojém piérwszéj satyry Persjusza wierszem polskim z objaśnieniami,— ś. p. Kazimierz Brodziński na publicznéj prelekcji wyrzekł, że piérwszą podobną pracę odbiera od ucznia Uniwersytetu i że ona przyniosłaby zaszczyt każdemu poecie i filologowi.— Późniéj wykonałem mnóstwo przekładów z Greckich i Łacińskich poetów i przełożyłem cały traktat Swetoniusza: «*de Grammaticis*" z obszernemi przypisami. Jedném słowem byłem na drodze filologji. Ale nie téj chorowitéj, martwéj filologji co w ogromnych adnotacjach traktaty etymologiczne, strategiczne, medyczne i Bóg wié jeszcze jakie, brzemienne mieszaniną wszystkich języków i nauk, pisała— nie téj filologji co przypruszoną pleśniami wieków, puściznę ludom zwykła odgrzebywać motyką antykwarjusza żeby ją światu jak zastygłą mumię, ukazać;— lecz byłem na drodze téj filologji żyjącéj, postępowéj, która odgrzebanym pomnikom, przywraca blask spoczywającéj w nich myśli i w obliczu naszém powołuje do życia ludy i męże tak, iż zdajesz się patrzeć na przesuwające się po ukazanéj palcem Opatrzności drodze, olbrzymie widma narodów z powiewającą nad niemi chorągwią, na któréj w czytelnym dla wszystkich pokoleń hieroglifie jaśnieje godło co ożywiało te ludy;— iż zdajesz się widzieć przed sobą wskrzeszone wielkich mężów postacie, słyszysz szelest, chrzęst pancerza, dźwięk mowy, a z niego pojmiesz co się w sercu ich działo. W takim to duchu, jak uważam z kilku już prób, wykonane tłumaczenia P. Władysława Syrokomli, staną się prawdziwą, rzadką, i bardzo szacowną naszéj literatury, ozdobą.— W ogóle zaś mówiąc o przekładach z obcych języków, oto axioma: «Tłumacz ma być sam twórcą."— Zapytaj o to P. Antoniego Edwarda... On to lepiéj wié od nas, a pewno ze mną się zgodzi. Kto nie umie sam dzielnie tworzyć, a chce tłumaczyć, ten niech weźmie oburącz księgę którą przedsięwziął tłumaczyć, niech ją otworzy i liże, liże, póki mu się trochę brudu z liter i z bibuły na języku nie zostanie. To na jedno wyjdzie jakby przetłumaczył. Operacja *per analogiam* ta sama, a przynajmniéj sam nie straci papieru, atramentu i potu— a biédni czytelnicy pieniędzy na jego lizaninę i ostatka, do kupowania książek, ochoty.— Panowie wydawcy powinniby wziąść sobie za honor oczyścić nasze pismiennictwo od tych cielęcych płodów. I tak, przyszlą ci podobne tłumaczenie z pokorną prośbą o wydruko-

wanie w *Pamiętniku*— nie wymawiaj się, drukuj— ale zamiast tytułu: «*Tłumaczenie Getego przez takiego to.. Wolny przekład Bajrona.. Naśladowanie Lamartina*" i t. p. Wystaw na czele wielkiemi literami: «*Lizanina takiego a takiego Autora, przez takie a takie cielę.*"— Recepta doskonała!— bądź pewny zniknie ćma owych pochopnych rymokletów, a przynajmniéj lizaninę swoję sami połykać i dusić się nią będą.— Wracając do innych poetycznych utworów Rocznika, spotykam odznaczającą się «*Gęśl Lechicką*" P. *Ed. Chłopickiego*, szkoda że tak nie wiele, boć tego *nunquam satis.*— Zdobią jeszcze Rocznik wyborne *Wybryki dobrego humoru* i prawdziwém uczuciem natchnione poezyjki *Gabrielli Günter.*— Mamy nadzieję że tuzinkowych poezyjek nie będzie w *Pamiętniku;* dotrzymaj słowa Panie Romualdzie— bądź stałym i nieubłaganym!— Niech panowie *Rymarze* jak ich słusznie nazwałeś, znajdą sobie inne czeluście dla wyrzucenia swéj weny.

Otoż list nad miarę— a podobno nad cierpliwość twoję. Jedyna jego zaleta szczerość, otwartość, chęć dobra. Pewny jestem że przyjmiesz to wszystko *sine ira et odio* tak serdecznie, uprzejmie, jak ja serdecznie, przychylnie napisałem. A jeślibyś tę moję przyjacielską pogadankę godną wiadomości powszechnéj osądził, daję na to moje zupełne zezwolenie i że za wszystko co w otwartości serca wyrzekłem, gotów jestem przed Bogiem i ludźmi odpowiadać, na to własnoręcznie się podpisuję.

Leon Janiszewski.

Pisałem w Tyflisie
w Kwietną Niedzielę
1849 roku.

KAZIMIERZ ALKSNIS

do Wydawcy Pamiętnika.

Nieskończenie Panu jestem wdzięczen za książki, któremi Pan w osamotnieniu mojém obdarzasz mię, wiesz Pan jak o nie trudno na wsi, mianowicie w tak zapadłéj stronie w jakiéj ja żyję— przeczytane odsyłam, a o nowe proszę.

P. Chojeckiego *Czechia i Czechowie* oraz *Dzieje literatury polskiéj* przez Syrokomlę (*Ludwika Kondratowicza*) są przewyborne; autor tak treściwie obrabia dany przedmiot, iż zupełnie wciela weń czytelnika, porywa go i unosi z sobą,— chciałbym

te dzieła mieć na własność, bądź Pan łaskaw postaraj się nabyć takowe dla mnie.— *Jordan* dawno mi znajomy, jest tak popularny, że dziś u nas każdy prawie większą część jego ustępów umie na pamięć, i spodziewam się że rodzice wkrótce zaczną uczyć swe dzieci Jordana, po katechizmie. Zawsze jednak dziękuję za niego, ponieważ miło go jest czytać choćby po raz tysiączny,— nigdy Jordan nie będzie stary, nigdy z mody nie wyjdzie, bo w nim zawarta jest żywotna kwestja społeczna, spoczywająca w łonie rodu ludzkiego. A ówże potulny De Pertées jaki milutki, jaki naiwny— nie nosi wprawdzie on szumnego tytułu, nie porywa się do rzeczy wielkich nad siły, ale maciuteczkie obrazki cudownie wykańcza; autor sercem swojém poczciwém, swoją jednostką tak jest wrosły w łono narodu, tak z nim boleje, iż wyobraża sobą cząstkę jego, jak każda dusza wyobraża cząstkę Bóstwa, które nie przestając być cząstką, jest jednak całe w duszy człowieka.

Tak! nie potrzeba pisać folijałów, aby dojść do nieśmiertelności, nie potrzeba nawet posiadać autorowi mnóstwa nauk, aby wypłacić ludzkości dług jéj należny: jedna łza, jedno westchnienie, jedno słowo miłości wyrzeczone dla braci ludzi, skoro pochodzi z pełnego serca, więcéj ma u niéj waloru niż z pogardą rzucane przed nią Bóg wié jakie skarby— lub z zarozumiałością, najnapuszeńsza erudycja.

W *Przeglądzie naukowym* na r. 1847 N. 4 widocznie zgorszyłem się z listu P. Kraszewskiego w którym *zawołany* autor széroko rozwodzi się z żalami na niewdzięczny swój autorski zawod, na złe przyjęcie od ludzi i nieocenienie przez nich heroicznych poświęceń jego; nadto jeszcze na surową smaganinę przez krytyków, (czyli, jak się wyraża *zbirów literackich*), którzy nie zważając na zawód ciernisty autora, odrywający go od pracy, coby mogła los jego dzieciom zapewnić, nie daje chleba powszedniego.— Pyta więc gdzie za to zapłata?— I nigdzie onéj nie znajduje.— Lamentuje nad swojemi myślami— perłami drogiémi, co je cisnął nieobacznie przed lud Boży, który drogie, nieocenione, szyderskie myśli, bierze za proste błazeństwa, najgrawa się, zaplwa one i t. d. Pisze nareszcie, że uczucie obowiązku poświęcenia się jest za słabe w człowieku, żeby było w stanie wynagrodzić tyle katuszy.

Po tych trenach, robi P. Kraszewski nieznacznie przymóweczkę do *pomnika;* lecz go reflexja bierze, że społeczność nasza jest tak niestałą, zmienną w łaskach.

Nie należę do ludzi uczonych *ex officio*, i nieśmiałbym wznieść głosu, aby coś mówić w obec takiego potentata literackiego, jakim jest P. Kraszewski; bardziéj jeszcze, po przeczytaniu, lat kilka temu, *Studijów Literackich* P. Kraszewskiego, w których przepłoszył mnie odgróżką, że nikt niéma prawa sądzić go, kto nie posiada stopnia Magistra;— ja go nie posiadam, a więc tak się przeląkłem, że lękałem się czytać nawet wszelkich pism jego;— więc i nie czytałem.— Lecz przy tém wszystkiém nie byłem osierocony z książek, z których, jeżeli nie co pożyteczniejszego, to nauczyłem się tego: że walor człowieka w nim samym jest, że sąd o nim z jego samego pochodzi; że pozor i prawda są dwie ostateczności,— że kto służy ludzióm, służy pozorowi; kto zaś służy Bogu, służy prawdzie, ludzi się nie lęka, na nich nie uważa, ani się nie dąsa, lecz kocha; a pochwały tego świata za nic ma, jeżeli ich wewnątrz siebie znaleść nie może. Tak! Świat znikomy i jego pochwały nie nasycą, nie zapełnią duszy człowieczéj; im więcej masz, tém więcéj pragnąć będziesz, jeżeli co masz od świata.— Kto zaś jest pewnym nieomylności swych zasad, na tego niech się świat cały spiknie, to go nie ulęknie, ani zachwieje; lecz tak święcie poczuje się być obrońcą swych zasad (nb. nie siebie) że z roskoszą życie da za nie.

Stare przysłowie było: «*że co drukowane*, *to prawda*.” i mieli w tém przodkowie nasi słuszność, bo szanując druk, co miał iść na świat, czuli powagę słowa ogłaszanego przed światem, i przeto wprzód dobrze namyślali się co mają pisać, niekiedy nawet cały swój żywot strawili mozoląc się, aż się ośmielili wydać jakie dzieło, i nie wydali go dopóty, póki z gruntu nie rospatrzyli kwestji o któréj traktują. *Myśli ulotnych o* Bogu (!!..) nie wydawali na świat; kto pisał, ślęczał nad naukami, miał jakiś pewny fach, pewną dążność, a z kolei pewien nieomylny pożytek na celu;— nie pisali wprawdzie tak gładko, nie tyle byli bogaci w słowa, lecz prawdziwego ziarna myśli było tam zadość. Dziś gdy autorowie zaczynają pisać i drukować biuletyny swych dziennych zatrudnień, (zapewne w celu przysporzenia druku)— druku przysporzą, lecz ten straci na powadze.

Ma P. Kraszewski wiele zasług w naszéj literaturze, jego książek wozami wywieźć by nie można— tyle ich wydrukował i spodziewam się— rosprzedał, (bo gdzież-by mógł mieć budowlę na pomieszczenie dzieł niewyprzedanych?) bo nareszcie? czyżby pisał dalsze dzieła, gdyby mu za te nie zapłacono, co napisał? Czegoż więc chce? praca jego daje mu chleb powszedni.— Jeżeli zaś nie mógł rosprzedać, albo za tanio płacą mu za jego książki, to sam

winien, czemu pisze rzeczy mało mogące wpłynąć na dobro ludzkości, (której łaskawą swoją opiekę zapewnia i zarazem ją wymawia).— Tak! musi być wiele do spalenia z tych dzieł, kiedy sam autor zdaje się żałować, że je rzucił w świat.— Któż winien że P. Kraszewskiemu, wszechstronnemu człowiekowi nigdzie nie wygodnie, rzuca się on jakby w konwulsjach z jednego rodzaju piśmiennictwa w drugi, i w tych konwulsjach dostaje wymiotów mozgowych, któremi traktuje społeczność i każe jéj nie marszczyć się, a przytém być sytą i o pokarm nie prosić. Jak może być społeczność kontenta z dzieł, z których sam autor nie kontent?

Nic nie ma piękniejszego nad skruchę prawdziwą, a bardziéj publiczną— ależ nie na tém koniec, trzebaż zadosyć uczynienia;— tego w P. Kraszewskim nie widzim, żałuje on dzieł nieobacznie wydanych a poprawy niéma,— wydaje nowe: podobny w tém jest do owéj dewotki, co mówiąc: «Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy" biła swoją służącę.

A więc P. Kraszewskiemu potrzeba przestać pisać, a zacząć czytać więcéj,— czytać, myśléć i pracować, i nic nikomu nie mówić nie tylko piśmiennie ale i ustnie, że się czyta, myśli i pracuje, aż się nie dójdzie do téj doskonałości że się nie ukocha braci-ludzi całém sercem, ale nie *całą gębą*, ale nie *pocałunkiem Judasza*, (którym P. Kraszewski łaskawie całuje swoich sąsiadów, i pracowników na jednéj niwie,— nawet w powyższym liście, w którym ich przeprasza, żałuje, że ich ośmiał i już teraz nowe zalety zaczyna w nich widzieć),— aż nie dójdzie do tego że otrzyma ogólny pogląd na ludzkość, ale nie na pojedyńcze wzorki z kalectwa, ułomności mniejszych i większych, które przekrzywi— i cóż my będziem z tego mieli że przekrzywi? co?— Przeklęstwo Chamowi synowi Noëgo, co z obnażonego ojca pijanego śmiał się— błogosławieństwo Jafetowi, co nakrył tę nagość:

«A uczujesz miłość trudu,
I męki odwagę,
Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu,
Kryć ich wstydy nagie.—
I za rany, i za ciernie
Podziękujesz tkliwie—
I dotrzymasz wiernie
Na nieszczęścia niwie;

Wśród podłości— niespodlony
Wśród krzywd— nie odmiłośniony!
A gdy stawiąc tak twe kroki,
Ty nie mówisz: «Jam wysoki!"
Ale czujesz, żeś wciąż niczém
Przed Pana obliczem—
Wtedy ty dopiéro
Duszą czystą, szczérą,
I czynów łańcuchem
Połączysz się z Duchem."

(*Z. K.*)

Na ludzkość poglądu osięgnąć nie można jak przez pryzmat serca własnego i przez wcielenie bolu nad nią, jeżeli ta jest spodlałą albo ciemną, i poczucie bolu wybudzi odwagę męki, a ztąd i rachunek sumienia,— rachunek— co się przy takich zdolnościach, jakiemi Pan Bóg P. Kraszewskiego obdarzył, zrobiło, a przestanie chwalić siebie i swoje czynności, (które jak na studenta szkół powiatowych byłyby najpochwalniejsze) i uczynności, przez wypisywanie pochlebnych katalogów onych— przestanie widzieć w drugich źle ukryte przywary, kłamstwo i pokorę *).— Ten pokory sam niéma, kto na cudze wady patrzy mijając swoje,— a bez pokory niémasz kroku do postępu, do doskonalenia się wewnętrznego, a kto doskonałym wewnątrz być nie może, nie może też wylewać na zewnątrz doskonałości.— A więc, niech P. Kraszewski zawiesi swoje pisanie— niech zaprzestanie wypisywać *biuletyny* swoich dziennych czynności sam za życia;—jak sam będzie pisał, może go ta kara spotkać że niewdzięczna społeczność jego biografiij zaleni się pisać, a jak sam sobie nagrobek napisze, to mu pomnika nie wystawią, o który się doprasza.

Wyrzuca też P. Kraszewski współziomkom niestałość w łaskach, a do tego niewdzięczność, cytując za przykład, że Karpiński i Kochanowski nie mają pomnika, ani przystojnego nadgrobka, że nawet nie wié gdzie pogrzebiony Rej z Nagłowic, Górnicki, Bielscy, Szymonowicz, Klonowicz i wielu innych.

---

*) Proszę Pana mnie objaśnić, jak mam streścić pisma P. Kraszewskiego?— Jakiejż idei jest wyznawcą— czego chce uczyć— i do czego przynajmniej dąży, lub chciałby zdążyć? (*Aut.*)

—W pokorze ducha wyznaje Redaktor Pamiętnika iż także nie jest w stanie tego objaśnić. (*Red.*)

Odpowiedź na to łatwa,— oto ciała ostatnich, jako znikomość oddane są ziemi, lecz ich imiona są złożone w sercach i pamięci potomności; godniejszego, sądzę nie potrzeba i nie ma, grobu.

Co się zaś tycze pomników, to tych naród nie miał czasu stawiać, bo działał. Pomniki stawią się gdy pole działań już skończone, gdy społeczność, albo skończyła, albo chyli się ku końcowi swéj missji. Pomnik!... co jest pomnik? Jest to przeniesienie się zasług i czynów dokonanych z pamięci i serca w marmur, czyli jest to grob pamięci zamrożony w bałwan.

Człowiek pomników nie stawi, ani też pewna koterja, ale je stawi silny głos ludu, i choćby kto mógł bez wybudzenia tegoż głosu wznieść komu pomnik, to ten pomnik i będzie miał tyle waloru ile każdy słup w parkanie.

Narodu zaś winić nie można, bo narod się nie myli,— człowiek się myli— narod nigdy; kiedy się zaś myli, to i to w porę, bo właśnież się myli— gdyby się nie mylał.

Człowieka zaś missją niechybioną jest postępować w największéj harmonji krok w krok z narodem, z nim czuć, myślić i śpiéwać. A komu dano jest prowadzić narod, lub całą społeczność naprzód, to powinien być widzialny, zrozumiany, a przeto posiadający mimowolnie ufność i miłość— miłość co tylko wybudza się miłością, a nigdy żadnym przymusem. Kto zaś w téj wielkiéj wytkniętéj narodom do spełnienia ich posłannictwa— drodze, zaczyna je turbować, zatrzymując, cofając w tył lub tarmosząc na wszystkie strony, odpędzonym być powinien jak owad złośliwy i uprzykrzony; gdyby nawet, przypuśćmy, to co mówił lub czynił, mogło być z pożytkiem dla ogółu, powinien umilknąć, gdy massy tego przyjąć nie chcą lub nie są przygotowane, gdy zaczynają uskarżać się, że to je razi, że boli; niech muzyk umilknie nawet z najpiękniejszą symfoniją, kiedy słuchacze użalają się że ich uszy razi, i niech idzie szukać innych słuchaczy lub na pustynię!...

Kazimierz Alksnis.

Litwiniszki 1 Listop. 1849 r.

KORRESPONDENCJA UBOCZNA.

List Zenona Fisza

do Benedykta Dołęgi.

Zła iskra pole spali i sama zginie.

Kochany Dołęgo! Dałem ci już moje zdanie o 4 Numerze *Gwiazdy*. Myślałem, że na tém będzie koniec, ale tymczasem niektóre osoby szukając w literaturze nie przejawów sztuki ale *czegoś innego*, właśnie wytropiły to szczególne źwierzątko w twojem piśmie i stujęzyczną *famą* zrobiły je nader poszukiwaném. Rozumie się, że interessowanie się w tym sposobie literaturą, że pochop do książek z tego powodu, nie przynosi szczególnéj zalety *amatoróm*, ani może obejmować mass ogólniejszych,— ale, co do mnie, widzę w tém dość ciekawy koloryt pewnego powiatowego obrazku i razem dowód, jak dalece jeszcze jesteśmy...... dziećmi!

Gdybyś Dołęgo zamiast artykułu o *nekrologach* (myślę śmiejąc się w duchu) umieścił cóś w rodzaju, albo i wyższego od.... np. Grażyny, czy Fantazji Zaleskiego, czy jakąś jenialną rozprawę Libelta, ciekawy byłbym bardzo jakby to przyjętém było przez tych samych, których zainteressował w najwyższym stopniu, albo oburzył nad wyraz, wyjątek z listu Barnaby *)? A! ba! któż-to zgadnąć może? Możeby rozkupiono o jakie parę set exemplarzy twéj *Gwiazdy* więcéj? A czemuż to nie prawda,— wszystko to być może.....

Lecz mówmy wprost o rzeczy.

Artykuł o *Nekrologach z warjacjami* poruszył najbardziéj obywateli powiatu, o którym w nim mowa. Jest to fenomen bezsprzecznie zasługujący na szczególną uwagę. Przeczytałem więc pilnie po raz drugi ów otrąbiony artykuł i nie mogłem się nie zdziwić, iż prawda, będąca jego podwaliną, mogła tak przykre wywołać wrażenia. Że P. Grabowski odebrał w nim za swoje od P. L. L. to ani nas, ani P. Gr. zapewne nie dziwi wcale. Człowiek, co się puścił w *drukarską mitręgę*, wié iż tąż samą

*) Mówi się tu o *prywatnym* liście *Barnaby Pstrykajły*, z przydomkiem *Ciemierzyca*, litwina, pełnego prawości młodzieńca, którego list natchniony najszlachetniejszém uczuciem ale *poufny*, został bez pozwolenia piszącego wydrukowanym na str. 55. T. IV. *Gwiazdy Kijowskiéj*. (*Red.*)

bronią, raniéj czy późniéj, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, napastowanym będzie. Literaci powinni być z tém ostrzelani. Ale sęk w tém, iż Barnaba dopatrzył innego bąka, bąką ważnego, który byłby może nic nieznaczącą muszką gdyby wyleciał z głowy jakiegoś pisarczyka, ale stał się dużym bąkiem, skoro miał honor nazwać *ojcem* pana Michała a dostać za niańkę *Tygodnika*. Nie każdy z nas przerabia we własnéj głowie tu lub ówdzie wzięte myśli. Często mówimy: *Bossuet* powiedział... *Goethe* wyrzekł... *Arystoteles* jeszcze przed wiekami objawił myśl iż.... i t. p. i przyjmujem to w dobréj wierze za prawdę. Czemuż i zdanie P. Gr. nastręczywszy się w druku, nie pozyska łatwowiernie pewnéj liczby stronników? A właśnie zdanie P. Gr., o którém mowa, miało tę wyłączną własność, iż rzuconém zostało z krzywdą dla bliźnich, targnęło się na szczęście i honor najnieszczęśliwszéj u nas klassy. Odwołuje się do sądu ogółu: czyż to publiczne przemówienie było missją P. Grabowskiego? Już wiémy, jak cierpką myśl cisnął P. Gr. w tym *nekrologu* na służalczą klassę, «zapytawszy czy w miarę panów ufających i wyrozumiałych, w miarę ludzi wyższych i skromnych, jest odpowiednia liczba biédnych cierpliwych, niższych, uległych i niezazdrośnych, sług uczciwych i gorliwych?" I rozstrzygnął kwestję temi słowy: «Piérwszych ukazać łatwo; szczęśliwy kto widział drugich."

Zaiste, u nas to tylko jeszcze, gdzie częstokroć pisarskie bąki dochodzą wielkości wołu, zdanie tak szczególne mogło przejść bez protestacji; ale gdzieś za granicą, np. we Francji, już-by to nie mogło mieć miejsca, nie dla tego iżby tam niebrakło myśliwych na upolowanie tak łakoméj zwierzyny, ale z téj prostéj przyczyny, że tam bąk taki narodzić by się już nie mógł, a gdyby jakim cudem i wpadł do drukarni, toby dość było piérwszéj korrekty zecera, ażeby wyleciał niepowrótnie. Dzielić-bo dziś, w XIX wieku, całe massy na bogatych i ubogich, widzieć w nich moralne siły zastosowane do ilości najemników i cukrowych fabryk, a brak zupełny przymiotów serca i rozumu w istotach, które są ogołocone z owych attrybutów,— jest to coś tak oryginalnie-szczególnego, iż gubimy się w domysłach, jakie to studija doprowadzić mogły P. Gr. do takich pewników? *Gwiazda* ciągle kolligaciła go z Bejłą i Demaistre'm— kłamała, mój Dołęgo, najpotężniéj!! Jak dobry kot-gracz zostawia o całe pole prostych kundysów, tak on tym jednym susem odsadził się od nich.

Co do mnie, radbym myśleć inaczéj,— Gr. dał dowody że umié myśleć i wierniéj i głębiéj. Ta myśl nie spaja się ani z religją,

ani z filozofją, ani z zasadami wyznawanémi przez samego P. Gr., a więc była rzuconą zapewne w chwilę napływu złego humoru, a fałsz jéj tak jest oczewisty, że ani P. Gr. zapewne bronić go nie będzie, ani nam tém bardziéj wypada wysilać się na zdeptanie onego.

Lecz z tego powodu miał miejsce wypadek innéj natury, o którym ci właśnie wspomnieć muszę. Barnaba oburzony excentrycznem zdaniem P. Gr. usiłując je zgnębić, wpadł w ostateczność drugą. Zaczął z pod ręki brać dowody przeczące i chociaż wprawdzie mógłby tém przekonać najlepiéj, ale uchybił prawidłóm pisarza, który na poparcie ogólnéj prawdy, nie powinien nigdy a nigdy zniżać się do wyjątków i klecić z nich system. Takim sposobem można walczyć bez końca i w nadziei wygranéj z któréjkolwiek strony. Co go nie zaprzeczenie usprawiedliwia w oczach moich, to— iż list jego, któryś zacytował w wyjątku, nie był nigdy przeznaczonym do druku, o tém wiém najpewniéj. Tymczasem JJWW. powietnicy przeczytawszy to i owo, oburzyli się bardzo.... *C'était un coup de sabot dans une fourmilière.* Mieli poniekąd słuszne na to powody. Osoby tak niespodzianie wyszłe na scenę, z wielu względów niezasługiwały na tak niekorzystne światło, w jakiém je umieszczono. Wszakże mam przekonanie, iż dla wielu z nich sam Barnaba ma szacunek prawdziwy i gdyby nie ten fatalny artykuł P. Michała, który go zmusił, że tak powiém, odświetlić ów obraz z innéj strony, nigdy-by nie rzucił on nawet w poufnym liście takiego zdania. Ale jest to już w naturze każdego walczącego, a tém bardziéj pisarza, gromadzić odporne siły często z niestosownych zupełnie materjałów, byleby wznieść potężną redutę przeciw wału. Może po chwili dojrzalszéj rozwagi obie strony żałowałyby tego kroku, a tymczasem drukarz— ująwszy te myśli w swe łapy, rozniósł je po świecie i już żadna potęga ludzka nie wycofa je ztamtąd.

Po tém wszystkiém, zdaje mi się Dołęgo, iż najlepiéj zrobisz, jeśli nadal uchylisz *Gwiazdę* od podobnych osobistości i poufnych zwierzań się twoich korrespondentów, bo to może drażnić tylko, często sprawiedliwie a często najniewinniéj, ale nie poprawiać nikogo i nigdy *). My nie jesteśmy kraikiem *à la San Marino* i *Gwiazda* nie pisze się dla jednego powiatu. Nadto zechciéj i to wziąść na uwagę, iż u nas niéma publicznego życia, jak to ma miejsce gdzieindziéj. To, na co we Francji lub Anglji nie zwrócono-by najmniejszéj uwagi, u nas biorą za krzywdę. Tam co

*) O toż samo zanosi prośbę i P. *Wandalin Habdank.* (*Red.*)

dnia zaczepiają najzjadliwiéj osobistość wysoko stojących ludzi— i na to są wyperswadowani, a tu, lada wzmianka i już im się zdaje, że *wykradziono ich honor* *). Ależ moi panowie: honoru jak kieski wziąść nie można i żaden prystaw nie znalazł go jeszcze między pokradzionemi rzeczami. Co do mnie, nierozumiém doprawdy obrazy podobnego rodzaju, jak nie pojąłbym w dzisiejszym wieku możliwości processów o czarnoksięstwa i herezije. Dzięki tolerancji religijnéj, niémamy dziś stosów i heretyków; czas-by więc pozbyć się i uprzedzenia jak o nietykalności osoby własnéj tak i o zupełnych jéj doskonałościach....

Zenon Fisz.

15 Marca 1850 r.

O konieczności poprawy GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO NA LITWIE.

List do Wydawcy Pamiętnika.

Dzięki usiłowaniom i szlachetnemu dążeniu Pana, na Wileńskim horyzoncie pojawiło się znowu pismo zbiorowe. Między rozmaitemi oddziałami tego pisma zapowiedzianemi prospektem, znalazłem osóbny dla *Korrespondencji gospodarskiéj;* jeszcze raz dzięki Panu! widać żeś uczuł całą ważność tego przedmiotu, że pałasz chęcią podźwignięcia go;— zdaje mi się tylko iż znajdziesz się Pan dwa razy w przykrém położeniu: 1ód, uczujesz brak odpowiednich artykułów, 2re, jeśli je znajdziesz, to zabraknie czytających. Winienem się z tego usprawiedliwić.

Poczuwając prawdziwą potrzebę i korzyść wypływającą z nauk ścisłych, oraz mając jakiś pociąg, jakieś zamiłowanie do gospodarstwa, postanowiłem poświęcić się wyłącznie temu zawodowi. W tym celu postąpiłem do Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie pod Warszawą. Pięć lat upływa jak po ukończeniu kursu w pomienionym zakładzie i odbyciu praktyki gospodarskiéj przepisanéj ustawą, znalazłem się w okolicznościach, na jakie trafić musi każdy co nieposiadając funduszu, owocami swojéj nauki i pracą dobijać się musi sposobu do życia. Wszelkie starania, aby pracować w zawodzie który pokochałem i któremu się całą duszą oddałem, pod ten czas okazały

---

*) Toż samo powtarza i *Faustyn Wszędobylski.* (*Red.*)

się bez skutku. Z żalem trzeba było zejść z obranéj drogi, aby zabezpieczyć swój byt materjalny.

Cztéry lata czasu przepędzonego na służbie rządowéj w Litwie i Białorusi, dały mi zręczność zapatrzyć się na sposób gospodarowania w tych prowincjach, a teorja i praktyka nabyte w Królestwie Polskiém, pozwoliły mi go mniéj więcéj trafnie ocenić.— Żyjemy w wieku postępu, w wieku, w którym każdy naród ucywilizowany rozwija i wydoskonala jakąś szczególną gałęź:— Włochy od wieków słynące sztukami pięknemi, zachowały do dziś tenże sam prawie charakter; Anglja, Francja i Niemcy, parte potrzebą wynikającą z powiększenia się ludności, z ogólnego popędu do polepszenia swego bytu materjalnego, rzuciły się na wyścigi do fabryk, rękodzieł, rolnictwa połączonego z przemysłem, słowem do wszystkiego z czego tylko realną korzyść odnieść można było— Królestwo Polskie ulegając wpływowi okoliczności, pojęło swoje przeznaczenie; troskliwiéj niż dawniéj zajęło się rolą; widziémy też w każdéj guberni kilka wzorowo urządzonych majątków, a ogólnie przebija się postęp i chęć naśladowania dobrego.

Litwa tak ze swojéj obszerności, jako też ze stosunków miejscowych i okoliczności tak wybitnie ją odróżniających od innych prowincji, może i powinna być uważaną jako odrębna całość; a jako każdy człowiek z przyjściem swojém na świat zaciąga wielki i święty obowiązek przyniesienia jakiegoś pożytku, jakiéjś daniny ogółowi, tak też tém bardziéj naród, brany względem innych jako pojedyncze individuum, winien czémś celować, czémś się odznaczać, jeśli nie dla szczęścia innych ludów, to przynajmniéj dla swego własnego. Polem takiego odznaczenia się dla Litwy jest gospodarstwo wiejskie. Mimo to jednak, każdy kto tylko wyjrzał po za-granice tego kraju, kto nareszcie czytał i chciał uwierzyć temu co piszą o ościennych prowincjach, uzna że gospodarstwo w Litwie zamiast celowania, do dziś zostaje jeszcze w powiciu, a co smutniéj, nie widać nawet dążności do podniesienia go. Cóż jest przyczyną tego złego? wszakże kraj ten od natury nawet zdaje się być przeznaczony na kraj, w którym rolnictwo kwitnąćby powinno,— odpowiedni klimat, dobrze lub przynajmniéj średnio urodzajna ziemia, lud choć nieco gnuśny, lecz poczciwy, dający się łatwo kierować i fizycznie usposobiony do znojnéj pracy około roli, słowem— wszystko odpowiada wymaganym warunkom; czegoż więc niedostaje, cóż wstrzymuje postęp w téj gałęzi? oto opieszałość, brak przekonania że tylko prawdziwa nauka prowadzi do pomyślnych rezultatów, niechęć jakaś jak dla dzieł agronomicznych, tak i dla agronomów, uporczywe trzy-

manie się dawnéj rutyny wynikające z braku potrzebnych wiadomości, obawa narażenia się na straty i wiele innych tym podobnych przyczyn. Może się komu wyda zbyt śmiałym, nietrafnym, może parcyalnym, podobny sąd o rzeczach; lecz badając przez lat kilka samą tylko przyczynę złego, trawiąc nieraz po kilka godzin na dysputy o gospodarstwie, nabyłem tego przekonania, a dotąd nic na zmianę jego nie wpłynęło. Cztéry są główne elementa na których utrzymuje się gospodarstwo wiejskie t. j. ziemia, praca, inwentarz żywy i pieniądz.— Trafne ustosunkowanie tych cztérech artykułów między sobą i umiejętne ich użycie, stanowią cały rozum gospodarski.

Ziemia w Litwie, jak już powiedziałem, urodzajna, lub przynajmniéj na taką zamienić się dająca.— System gospodarowania na niéj jest do dziś dnia 3-ch polowy,— system— za którym nic nieprzemawia jak chyba jego dawność, wiele razy zdarzyło mi się mówić o téj materji z gospodarzami, wszelkie rosprawy z ich strony kończyły się zawsze tym oklepanym frazesem «tak robił mój dziad, mój pradziad, jadł chléb i dla mnie go niezabraknie,” pewnik który już dziś przestał być pewnikiem. Nasi przodkowie nie wychylając głowy za obręb swojéj guberni, a często nawet i powiatu, żyjąc w starodawnéj prostocie obyczajów, chodzili w samodziałowych sukmanach, jeździli konno, lub taratajkami ciągnionemi jedną szkapą, pieniądz nie toczył się za granicę chyba po pieprz, lub imbier; my w zmiękczeniu naszém, nakoniec, przy wzroście oświaty rodzącéj wygody życia, a często zbytek, potrzebujemy drogich sukien, materji, świetnych ekwipaży, pięknych mebli, słowem potrzeby nasze zwiększyły się ogromnie, ludność wzrosła, środki zostały te same; o ileż więc jesteśmy od nich biedniejsi! brak ten trzeba czemś zastąpić, trzeba obmyśléć środki stosowne.

Jednym z tych środków, fundując się na nabytéj nauce i na rezultatach jakie otrzymali Niemcy, znajduję przemianę gospodarstwa 3-polowego na *płodo-zmienne.*— Każdy pojmuje jak ważną w gospodarstwie odgrywa rolę nawóz, a pytam się czy ktokolwiek z trzymających się tego barbarzyńskiego systematu, jest w stanie usterkoryzować należycie swe grunta? wszakże aby zawieść tak wielką massę ziemi nawozem, potrzeba utrzymać wielką ilość bydła, a czyż wszędzie są łąki wystarczające, czy nie zawsze prawie przychodzi się nam uciekać do usiewu traw, pod które często i po dwie zmiany się wydziela— czyż nakoniec niewiadomo że przegradzanie roślin kłosistych warzywami już jest niejako uprawą gruntu, bo jedna roślina przygotowuje ziemię do przyjęcia

drugiéj, gdy tymczasem jedna i ta sama, siana w ciągu kilku lat na tym samym gruncie, zuboża go, a nawet całkiem wyniszcza.

Nie jest tu miejsce dla rozwijania całéj teorji i korzyści wypływających z płodozmianu, powiém tylko że niéma majątku, gdzieby płodozmian z korzyścią zaprowadzony być nie mógł. Niech się jednakże nie wyda komu, że wybór płodozmianu jest łatwy, jest to bez kwestji najtrudniejsze zagadnienie jakie się nasuwa gospodarzowi, ale też za to dobrze rozwiązane, nie chybia i obfite wydaje owoce.

Kto ma ziemię i chce z niéj ciągnąć korzyść, potrzebuje pracy czyli robocizny— w Litwie robocizna jest pańszczyznowa, i mimo ciągłych skarg i utyskiwań na brak rąk— z góry powiém, że jest dużo, trzeba ich tylko umiéć użyć; może ich jest mało w stosunku obszerności ziemi, lecz pytam się, pocóż tak wielkie obsiewać pola, obsiewać należy tylko tyle ile nam pozwolą siły robocze; kto to zrozumiał, ten zamiast powiększenia zmian swoich pomniejszy je a rezultata okażą, że się nie omylił; bo ziemia nietroskliwie obrobiona wyda mu 3 ziarna albo jeszcze i mniéj, gdy tymczasem Królestwo Polskie przy tych samych prawie okolicznościach, przy pracowitszém tylko chodzeniu około roli otrzymuje ich kilkanaście.— Wieleż to wreszcie robót mogłyby nam zastąpić machiny— Anglja oddawna siląca się nad wynalazkiem onych, pracowała rzeczywiście dla nas, bo w Anglji gdzie ludność tak wielka, gdzie majątki tak nierówno rozdzielone, widziémy połowę ludności potrzebującéj nieodbicie pracy, machiny odjęły im sposób zarobkowania, zubożyły i do nędzy przywiodły klassę niższą, kosztem któréj zbogacili się przemysłowcy; lecz u nas, gdzie jeszcze tyle potrzeb wymagających pracy ludzkiéj, machiny są prawdziwém dobrodziejstwem, tego przecież nikt, albo mało kto zrozumiał; kiedy rozniosła się wieść o machinie do żęcia zboża, prawie wierzyć w to nie chciano; z góry zapowiadano że to niepraktyczne, że u nas grunta kamieniste i t. p. jakby już samą myśl zabić chciano żeby się nie rozwijała;— a wszakże machina nie jest nic innego jak tylko skomplikowaném naśladowaniem ruchów ludzkich odbywających się przy pewnéj robocie.— Nakoniec jakże to mało takich co pojęli że dobry byt włościan, jest razem dobrym bytem dziedzica; stosunki ich wzajemne tak ich z sobą zespoliły, że jest to fakt niczém nie zbity, że gdzie włość biedna, tam i Pan biédny, bo Pan odpowiada za swoich poddanych przy opłacie podatków, Pan przy upadku włości musi jéj dać zapomogę, jeśli chce sam exystować.— Czyż z resztą i moralne, szlachetniejsze,

bo z serca płynące pobudki, nienakazują nam zwrócić uwagi na los biednego chłopka naszego. Krwawej jego pracy zawdzięczamy utrzymanie się nieraz roskoszne; a w chatce jego, czarnéj, zadymionéj, dzieci płaczą z głodu, wiatr z deszczem pakuje się do izby, istnego siedliska nędzy. Zapytaj panów kto winien w tym razie— odpowiedzą że ciemnota chłopa, a któż winien téj ciemnocie?—przejedź za Niemen, przyjrzyj się jaki tam byt chłopka, a przecież te same środki; tam chaty czyste, często wybielone, chłop i na przednówku nie doświadcza głodu, a tu, ledwie zebrał— oddał Panu dług, i na nowo pożycza; on wieczny dłużnik, Pan wieczny wierzyciel, a śmierć dopiéro niszczy te nieszczęśliwe stosunki.— Wiele także zdemoralizowania winniśmy rozpowszechnieniu się gorzelni,— wprawdzie gorzelnie pomagają do przekarmienia bydła, więcéj jednak szkody, jak pożytku przyniosły; panowie często nie widzą tego, oni przywykli tylko troszczyć się o to aby pieniądz wpływał, nie wiele zadając sobie pracy nad obmyśleniem środków godziwych,— «wypędzę wódkę, chłop pić będzie, i pieniądz przepłynie do méj kieszeni,” mówi nie jeden; nie wchodząc w prawość podobnego rozumowania, powiém tylko że jest to spekulacja przynosząca (najwyraźniejszą stratę, bo to co dziś weszło do skarbu pańskiego, jutro trzeba oddać na zapomogę lub podatek. Dopóki ten smutny stan włościanina Litewskiego zupełnie się nie przeinaczy, wierzyć nie można w jakikolwiek postęp gospodarstwa wiejskiego.

O ważności inwentarza żywego każdy z gospodarzy aż nadto jest przekonany, przecież widziémy bardzo często, że obszar obsiewanych gruntów wcale nie odpowiada ilości utrzymywanego bydła, a ztąd i massie wyprodukowanego nawozu; jest to nonsens, który i przed wieki był nie do przebaczenia, a dziś też tém bardziéj, szczególniéj w Litwie gdzie ani chcą używać, ani wierzą w nawozy sztuczne, i gdzie tak rozkrzewił się ten nieszczęsny systemat 3-polowy.— Trafiamy i na takich co utrzymują massy bydła większe daleko niż im pozwala na to dostatek karmu: jest to także niedorzecznością, bo bydło źle utrzymywane mało też produkuje nawozu.

Nakoniec dla dobrego urządzenia się w majątku, dla wszelkich reform i przemian potrzeba kapitału;— to podobno jest najtwardszy sęk na jaki natrafiają gospodarze Litwy, nie dla tego aby był brak pieniędzy, ale że jest obawa zrezykowania ich;— jest to najoczywistszy dowód nieznajomości rzeczy. Kto zgłębił naukę gospodarśką, ten ani na chwilę wahać się nie będzie rad jakimś nakładem, bo on łatwo pojmie i obliczy że korzyści powrócą mu wkrótce kapitał. Kto ma majątek odłużony, i niema

kapitału, temu jedną tylkoradę podać można, która go najpewniéj wyratuje, a tą jest sprzedać go i na nierównie mniejszym zacząć pracować, a przyjdzie czas że praca doprowadzi go znowu do lepszego bytu.

Wracam się więc do pierwotnego mojego założenia, że przyczyna tamująca postęp rolniczy leży w wadach samych gospodarzy, a szczególniéj w braku potrzebnych wiadomości;— tym wszystkim co narzekają na zły klimat, na nieurodzajną ziemię, brak rąk i t. p. odpowiadam, że źle widzą.— Bez wątpienia każdy przyzna, że Litwa w nierównie korzystniejszych znajduje się okolicznościach niż okolice Peterzburga, a przecież i tam są wzorowe gospodarstwa trafnie skierowane do miejscowości i potrzeb tamecznych; kto się chce o tém przekonać temu radzę w przejeździe do Peterzburga, z Gatczyna wziąść drogę na Kraśne-Sioło, znajdzie tam fermę urządzaną przez jakiegoś Anglika, którego nazwiska w téj chwili nie przypominam, tam się przekona, że i pod surowém niebem północy gospodarstwo kwitnąć może. Mając poruczenia służbowe w Kałużskiéj Gub. trafiałem i tam na gospodarstwa jeśli nie wzorowo to przynajmniéj nieźle urządzone; to wlało we mnie przekonanie, że gdzie przesąd i opieszałość nie stawią się chmurą dla przyjęcia prawdziwego światła nauki, tam niéma nieprzyjaznych okoliczności, tam rzeczy niepodobne stają się podobnemi.

Nauka więc jedna może podźwignąć rolnictwo w Litwie;— daj Boże oby młodzież sposobiąca się do roli, zwyczajem ojców swoich przestała uważać gospodarstwo jako naukę nabywającą się rutyną— dziś i rzemiosła mają swoję teorję, a gospodarstwo fundujące się na znajomości chemji, nauk przyrodzonych, i tylu innych pomocniczych, nie zdobędzież się nigdy na nią?— Kto zaś wchodząc na nowo w ten trudny, lecz bez wątpienia najpiękniejszy zawód, niéma zasobu odpowiedniéj wiadomości, ten niech nie skąpi zapłacić agronoma, a w parę lat podwyższona intrata przekona go że nie tylko nie stracił ale jeszcze zarobił.

Przyjm szanowny Redaktorze te kilka uwag moich i racz je umieścić w swoim Pamiętniku, może się znajdą tacy co je przejrzeć zechcą, może choć cząstkę prawdy w nich przyznają. Jeśli okoliczności pozwolą mi nadal pozostać w tym kraju, a co więcéj popierać swoje zasady praktyką, będę się starał przesyłać Panu artykuły tyczące się szczegółowych gałęzi gospodarstwa i przemysłu rolniczego, będą to rzeczy nie nowe, bo dzięki różnym autorom, mamy już dzieł bardzo dużo traktujących o

tych przedmiotach, lecz jako w mniejszym obszarze może chętniéj będą czytane i praktyką sprawdzane.

P. Lewiecki.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Sposób prędkiego bielenia płótna. Zrobić ług mocny, pół garnca soli na sztukę jedną płótna, wygotować tę sól w wodzie, wlać prędko ługu letniego, płótna w tym ługu mocno wycierać, potym do czystego ługu i znowu mocno wycierać i tak powtarzając dwanaście razy, aż się czysty ług zrobi, wyprać na rzece i do żłukty włożyć, parzyć zwyczajnym sposobem złuktanie, wypłukać w wodzie i zasłać na blechu, powtarzać co wieczor to żłóktanie i płókanie oraz słanie codzień na blechu, a we dwanaście dni płótno dostatecznie się wybieli, trzeba się tylko pilnować żeby płótno na blechu będące wraz po wyschnieniu było polewane wodą.

Ostróżność do zachowania przy praniu bielizny. Każda woda rzeczna i źródlana, ma w sobie rozpuszczony *węglan wapna;* mydło alkaliczne do prania używane, rozkłada takowy węglan wapna, w skutek czego powstaje nowe mydło, mające za zasadę wapno nierozpuszczalne. To mydło wapienne chwyta się chust, które w gorącéj wodzie prane, tém łatwiéj niem się przejmują. Od tegoto mydła nabiera bielizna nieprzyjemnego odoru; nowa bielizna, czy to płócienna, czy bawełniana, po 20 praniach tak się tém mydłem wapiennem przejmie, iż wytrzymuje przeduch (transpiracyę) ciała, i tém samém zdrowiu bardzo szkodliwą być może. Aby temu zapobiedz, trzeba zanim się mydło do prania przeznaczone rozpuści, wrzucić w tę wodę pół drachmy a najwięcéj całą drachmę (aptekarską) z potażu lub sody; tym bowiem sposobem czyste wapno w wodzie będące odłącza się od niéj, a wtedy mydło użyte nie ulegnie rozkładowi chemicznemu, i nieutworzy się już nic mydła wapiennego, którém chusty niepotrzebnie się przejmują. Pomieniony w tym razie mały wydatek na potaż lub sodę nic niepowinien znaczyć, gdyż alka-

lia te powstają i przyczyniają się do łatwiejszego wyprania chust z brudów.

Niezawodny środek przeciw odęciu rogacizny i owiec od koniczyny lub innéj zielonéj paszy. Jeden z gospodarzy niemieckich tak się w téj mierze wyraża w piśmie *Landwirthschaftliche Dorfzeitung*. Używając oddawna przy wzdęciu rogacizny *trój-kara*, to z pomyślnym skutkiem, to bezskutecznie, przekonałem się nie raz, iż rana po tém narzędziu szczególniéj w gorącéj porze, wolno się goiła i że bydło trój-karem ratowane częściéj aniżeli inne odęcia dostawało. Przypadek naprowadził mnie na następujący środek wcale prosty przy którym obchodzą się bez trójkara, i za każdym razem ratują bydło prędko i nieochybnie. Jak tylko które bydle od paszy zielonéj wzdęcia dostanie, trzeba jak najprędzéj wyprowadzić nad wodę, (która im zimniejsza tym lepsza) i polewać całe niemałemi naczyniami, nadewszystko brzuch i boki; także i na grzbiet można kłaść płachty lub wory w wodzie maczane, skoro te ociepleją znowu je w wodzie maczać i przykładać. To polewanie wodą odbywać się ma przez czas przydłuższy, częstokroć więcéj niż przez pół godziny, dopóki zwierzę niezacznie puszczać z siebie przykrego odoru i nie dostanie drżączki jak gdyby przeziębłe. Skoro się te znaki postrzegą— już po całéj kuracji i bydlę na pewno uratowane. Ja zwykłem tedy je zaprzęgać lub też miernie przepędzać, gdyż jest już tak zdrowe jak było przedtém i bierze się chętnie do jadła.

Jeśli bydle jest bardzo wzdęte, że go do wody nie podobno zaprowadzić, w takim razie trzeba wodę jak najśpieszniéj kazać donosić i powyższym sposobem dać mu ratunek.

Ten środek ratuje nie tylko rogaciznę ale i owce;—jednego z moich sąsiadów, na paszy dalekiéj od owczarni, cała trzoda i jagnięta dostały wzdęcie od białéj koniczyny. Właściciel przechodząc przypadkiem koło téj trzody ujrzał owczarza, jak ten w braku trój-kara zabierał się do zarzynania jagniąt, gdyż w tak nagłym razie nie ufał sobie aby je mógł żywe do owczarni zapędzić. Właściciel znając środek ratowania w takim razie, kazał całą trzodę wegnać w pobliski staw, a po niejakiéj chwili wypłynęły jagnięta wszystkie zdrowe. Nieszkodliwość tego środka i łatwość użycia go, powinnyby mu zapewnić jak największe rozpowszechnienie.

Jak się obejść z paszą zamulaną, aby jéj bez szkody dla bydła użyć można. Powyższe pytanie rozwiązać, zdaje się nam tém potrzebniéj ile że w dolnych położeniach, oso-

bliwie w słotnych latach po-nad rzekami, i młynówkami będące łąki często bywają zalane i trawa namułem nalepiona, następujący więc sposób, lubo już tyle razy naniesiony wszakże powszechnie za użyteczny uznany w miejscach ubogich w paszę ratuje ją i uczyni sposobną do karmienia bydła. Nadewszystko potrzeba aby zamulane siano dobrze wyschło i zwiezione zostało; już przy obracaniu należy je wysoko podrzucać, aby się przez to części jakiéj namułu oschłego pozbyć; nim w stożek lub w sterty zostanie ułożoném, potrzeba je częściami mocno wymłócić i przetrząść, ażeby proch i wszelka inna nieczystość, wypadła. Gdy się to stało, układa się w równych warstwach czy to na gumnie czy pod szopę. Między każdą warstwę siana posypuje się zawsze pewną część miałko potłuczonéj soli *amoni* (sól którą się do lizania bydłu daje) i tak sobie postępować, dopóki albo wszystko siano nie będzie ułożone, lub jeżeli w szopie składa się, miejsca nie stanie. Kto jeszcze w tę porę ma zapas słomy owsianéj niechże ją do przedzielania warstw użyje, i po warstwie siana, posypawszy amoni do warstwy słomy owsianéj, a potém znowu zmieni i znowu siana doda; tym sposobem przysposobi się dla bydła dobrą i przyjemną paszę, albowiem sol zaostrzy smak namułem przejętego siana i słoma także przez nią dobrą dla bydła stanie się karmią. Głównym warunkiem tego przechowania paszy jest, aby mocno była przy układaniu przytłuczoną.

Jeżeli zważymy jak wielkie przez użycie takiéj paszy ściąga się w gospodarstwie nieszczęście, albowiem konie dostają nosacizny, bydło zaś rogate *kruche kości*, owce— wodną puchlinę i t. p. wtedy nie powinien zapobiegliwy gospodarz ani wydatków ponosić, ani też pracy— potrzebnéj do oczyszczenia i urządzenia paszy dla bydła, według podanego sposobu— żałować, i to tém bardziéj jeżeli (jak się to wydarza) większą część zamulonéj ma paszy.

Uwiadomienie o sposobie bicia cegły z ziemi.

od Redakcji.

Niedawno nadesłany został do Redakcji Pamiętnika artykuł: *O wyrabianiu cegieł bitych z ziemi.* Gdy obszerność artykułu niedozwala nam drukować go dopiéro w całości, tymczasem umieszczamy tylko treść, jako ważną i mogącą obchodzić gospodarzy wiejskich.

P. *Jan Isnar*, kupiec Odeski, Członek Towarzystwa Gospodarstwa Wiejskiego w południowéj Rossji, Korrespondent Towarzystwa Agronomicznego w Styrji i Dyrektor *Fermy Doświadczenia* w Odessie, wynalazł sposób wybijania cegieł z zwyczajnéj ziemi. Wynalazek ten sprawdzony praktyką szczególnie w gubernijach Noworossyjskich okazał się zupełnie odpowiadający wszystkim wymaganym warunkom, zastępuje on bowiem doskonale kamień, cegłę i drzewo, co w okolicach stepowych nie mało znaczy.— Z téj uwagi Rząd darował wynalazcy przywiléj opublikowanym Ukazem Rządzącego Senatu, nagradzając go przytém medalem na wstążce Ś. Anny. Sposób wybijania cegły z ziemi jest nadzwyczaj prosty. Najbliżéj miejsca w którém projektujemy budować, wybiera się ziemia, lecz nie zwierzchu, bo takowa nie ma potrzebnéj wilgoci, ale na 2 lub 3 stopy głęboko; takowę przewozi się zwyczajną taczką lub wozami do szopy, w któréj ustawiona jest machina i formy na cegłę— forma nasypuje się ziemią, machina wprawia się w ruch i za pomocą opuszczania się *baby* uciska czyli ubija ziemię w formie— sposób urządzenia machiny jako niezbyt komplikowany, nie ulega przeto zepsuciu, lub przynajmniéj mało znaczącemu; pięciu zwyczajnych robotników wystarczają do całéj czynności i są w stanie w ciągu jednego dnia wyrobić 300 do 350 sztuk cegły, które są objętości 4 razy większéj niż zwyczajna. Dogodności podobnych budowli są bardzo wielkie; i tak: taniość i trwałość budynku, mała ilość robotnika potrzebnego na złożenie budowli, pośpiech w robocie, gdyż cegła wypuszczona z pod formy może od razu być użytą do muru; mur jest trwały i suchy, niedopuszczający robactwa, ani ognia, dający się łatwo i prędko po ukończeniu tynkować;— słowem ze wszystkich względów budowle podobnego rodzaju szczególniéj w miejscach nie zbyt obfitych w drzewo budulcowe bardzo byłyby pożądane; tym bardziéj że już praktyka sprawdziła wstystkie wymienione zalety.— W zeszłym roku w majątku P. Komarowskiego *Muromnysz*, w powiecie Friedrich-Stackim w Kurlandji stanęła podobnego rodzaju budowla, a ogłoszenie podane przez rządcę tego majątku do *Gazety Mitawskiéj* pod d. 12 Października, zeszłego roku, posłużyć może dowodem dobroci tego wynalazku.— Przywiléj wraz z machiną i modelem onéj nabyć można w Mitawie u P. *J.J. Delakroa* Assessora Kollegialnego, w cenie: za machinę całą z apparatem r. sr. 50.— Za model r. sr. 5.— Za przywiléj z duszy rewiskiéj kop. sr. 30.

ROZMAITOŚCI.

PIELGRZYMKA LUDU LITEWSKIEGO DO KALWARJI POD WILNEM.

Święto w Chrześcjaństwie tak uroczyste, jakiem jest *Zesłanie Ducha Świętego*, zgromadza liczne tłumy ludu do Kalwarji. Wędrówka ta zasługuje na szczególne zastanowienie się. Pomiędzy tymi pobożnymi pielgrzymami, nie wiele postrzega się osób dostatnich, do klassy wyższéj należących, (wprawdzie udają się w tę stronę ekwipaże, lecz to na drugi dzień *Zielonych Świątek*). W tém jedném tylko zdarzeniu sprawiedliwie zostawione piérwszeństwo biédnemu ludowi.

Wieśniak w ciągu roku dotknięty nieszczęściem, czyni postanowienie odbycia wędrówki do Kalwarji, miejsca o milę od Wilna leżącego. Uderzony ciosem,— idzie pocieszać się w miejscu, gdzie cała męka Boga-Człowieka jest wyobrażoną; lub też ocalony— dziękować. W każdém z tych zdarzeń, czy to z sercem boleścią ściśnionem, czy wdzięcznością przepełnionem, udaje się do miejsca gdzie ma znaleźć pociechę lub złożyć dziękczynienie; niedotrzymanie ślubów za świętokradzką obrazę Majestatu, poczytując.

W nieokrzesanéj naturze ludzkiéj, uczucia religijne do najwyższego stopnia są posunięte. Zle nadany kierunek cywilizacji czę-

stokroć je krzywi, lub niszczy zupełnie. Przykłady tego tak dotkliwie dały się widzieć przy końcu XVIII. wieku, odrzucono Ewangelję,— a na to miejsce wymyślono Encyklopedję. Uczony przywłaszczywszy sobie nazwisko *Filozofa*,— na słabym rozumie ludzkim oparł teraźniejszość człowieka, nic dla niego za okresem lat kilkudziesięciu— nie zostawując. Systemat ten na tak słabéj podstawie oparty, nie mógł się utrzymać, religja otrząsła się z kurzu i nowym blaskiem jaśnieć poczęła. Na chwilę obłąkany człowiek, jak niegdyś Ś. Piotr gdy się zaparł Chrystusa, gorzko zapłakał!..

Ten smutny ustęp historyi ludzkości nie dotknął wieśniaka litewskiego— modlił się on tą modlitwą jaką ojcowie się jego modlili, wierzył jak mu w dzieciństwie matka, potym ksiądz i organista, kazali wierzyć.— Słyszał nadto pieśni o męce boskiéj, w czasie Wielkiego postu śpiéwane; Ewangelja niejednokrotnie obiła się o jego uszy. Z tych wrażeń uformował pojęcie: Chrystus, Matka Boska, stali się dla niego Bóstwem najulubieńszém. Jego wykrzykniki w momentach nagłych wstrząśnień, przestrachu, smutku, radości, są to: *Jezus Marja! Zbawicielu Wysoki! Matko Boska!*— są to słowa, które wielokrotnie można posłyszeć w każdéj ich rozmowie. I nie dziw, że do Bóstwa umęczonego na ziemi, przylgnął włościanin litewski. Głod mu dokucza, przypomina że Chrystus łaknął na puszczy, ból cierpiał, biczowanie i cierniową koronę. Słabieje ze zbytku pracy, wyobraża Zbawiciela omdlewającego pod krzyża ciężarem. Te religijne uczucia czynią go wytrwałym. Cierpliwość, pokora, (cnoty tak zalecane w Ewangelji) znamionują mieszkańca wiejskiego téj prowincji. On jest prawdziwym uczniem Chrystusowym, gdyż ten powiedział: «A ktokolwiek nie niesie krzyża swojego, a idzie za mną, nie może być uczniem moim; (u Łukasza Ś. w Rozdz. XIV. w. 27).”

Nie dziw tedy, że miejsce to, w którém szczegółowie męka Pańska jest wyobrażoną, przez tak wielką liczbę ludu wiejskiego jest zwiedzaném. Zastanowienie się nad tą pielgrzymką pobożną, ma cóś w sobie szczytnego. Rozważający znajdzie podobieństwo pomiędzy gwiazdą prowadzącą pasterzy, a myślą gromadóm wędrowników przewodniczącą. Tłumy ich napotykają się w tym czasie.

Każda wieś oddzielną grupę składa, w obuwiu zdjętym z tego drzewa z którego skrzętna pszczoła miód zbiera, z zawieszoną kobiałką na plecach, w któréj, kawałek chleba, a u dostatniejszych, sera i mięsa znajduje się, opierając się na kiju,— z rozmai-

tych stron, i odległości ciągnie lud do Kalwarji. Na odpoczynkach i noclegach, zamiast dachów domówstwa, sklepienie niebios sen ich przykrywa. Na ten cel zieloną murawę blisko drogi obierają. Nim do snu się udadzą, modlitwą żegnają ostatni promień słońca, w szkarłatnym obłoku na chwilę zatrzymany. Skoro światło ogniska, (przy którém się ogrzewali przed nocnym chłodem) stłumi promień zorzy, który się przedziera przez tkankę białawą mgły porannéj, zaśpiewana *pieśń święta* służy za hasło do udania się w dalszą podróż. Przebycie mil kilkunastu, a często i więcéj, wcale ich nie utrudza; siła moralna, któréj wpływu nie pojmują, pokrzepia ich i podtrzymuje dzielnie, nieudolność wiosenną do odbywania piechotą podróży. Po mil sześć w dzień uchodzą. Wesołość lśni się na młodych twarzach, spokojność na starych. Te gromady, które przez Wilno przechodzą, zatrzymują się w Ostréj-bramie przed Obrazem Najświętszéj Panny, i w błagalnéj postaci wzywają o przyczynę Matki Boskiéj. Nie jedna łza spływa na zimny kamień i użyznia modlitwą; wzrok modlących zwraca się ku Obrazowi lub utkwiony na ziemi spoczywa. Po odprawionéj modlitwie, przechodzą przez miasto: myśl ich zwrócona ku miejscu do którego dążą, nie zatrzymuje się przed żadnym przedmiotem, zastanawiają się tylko przed małemi kramkami, w których się znajdują szkaplerze i książki do modłów. Tam to spostrzedz można jak kilka osób się składa dla kupienia jakiéjś książki do nabożeństwa. Nieumiejętność czytania boleśnie daje się uczuć. Dziewczęta, kupionemi szkaplerzami, starannie się przystrajają.

Tyle tylko czasu w mieście zabawiwszy, przebywają (tak nazwany) *Zielony most*, rzucony po-nad nurtem bystréj Wilji, zmierzając do celu swéj podróży— Kalwarji, miejsca poświęconego pamiątkom Odkupienia. Wspomnienia téj pobożnéj pamiątki przeniesione w okolice Wilna, ściągają pobożnych mieszkańców téj prowincji.

Z równą mocą uderza serce pod prostą sukmaną, wstrząśnione uczuciem religijnym, jak przed kilku wiekami biło pod szatą pielgrzyma u tych, którzy morza, dla zwiedzenia grobu Pańskiego, przebywali.

Żaden światowy interes pobożnych tych gromad nie powoduje; przynoszą one krzyż swój pod ten, który był dźwigany za sprawę Świata. To godło zdaleka daje się postrzegać na kościele wznoszącym się na najwyższéj górze i na kaplicach w około niéj porozsiewanych.

Wędrownicy zastanawiają się i nie wstępują dnia tego, to jest w sobotę, do Kalwarji,— nie! wielka przestrzeń ich przedziela od tego miejsca, do którego dążyli, mają go już przed oczami. Obozem rozkładają się w jego okolicach. Znużeni trudami podróży piechotą odprawionéj, w spoczynku szukają pokrzepienia sił swoich; sen spokojny sprawia takowe; cichość zastępuje miejsce szmeru przez tysiące osób przed chwilą sprawianego. Oddech ich mięsza się z wiatrem kołyszącym gałęzie pobliższe. Uroczystego milczenia nic nie przerywa. Anioł Opiekuńczy nad tym ludem pobożnym skrzydła swe rozpostrzenił, i jak namiotem go osłonił.

Ze świtem odezwał się dzwon wzywający na modlitwę jutrzną. Dźwięk jego spędził sen z powiek noclegujących; kolana upadły, oczy ku Kalwarji się zwróciły. Myśl przed Tron Boga uleciała, który *wstąpił na niebiosa*, *siedzi na prawicy u Boga Ojca.* Najprostszéj, i najszczytniejszéj modlitwy słowa,— modlitwy Zbawiciela, która wszystkie w sobie prośby zawiera,— odbiły się o pobliskie pagórki: *Ojcze nasz!* i t. d. Echo powtarza je... Zajaśniała kopuła kościelna pierwszemi promieniami wschodzącego słońca i świątynia mnóstwem ludu napełnioną została... Obwód niezdolny pomieścić całéj jego massy, większa część przede drzwiami się została. Obrzęd Mszy świętéj się rozpoczął; westchnienie, razem z dymem wznoszącym się przed Ołtarzem, wzniosło się w krainy odrębne od ziemi. Dzwonek w ręku służącego do Mszy świętéj zabrzmiał, uderzyły wewnątrz kościoła kolana błagalne, a trawnik przede drzwiami kościoła zabielał jedną barwistą, rozesłaną szatą.

Kapłan wstąpił na kazalnicę, przeczytał Ewangelję i począł onę wykładać. Proste wyrazy pisma świętego, prosty lud nasz łatwo pojmuje. Podobnemi przed tysiącem lat mówił Chrystus na górze Oliwnéj. Po skończonéj ofierze Mszy świętéj, lud otrzymał błogosławieństwo. Wzniosłym głosem koniec ofiary zwiastowany został. Zaintonowano hymn uroczysty *Swięty Boże!* hymn o którym możnaby powiedzieć, że wart być pomieszczonym pomiędzy tymi, którymi Cherubini i Serafini głoszą wielkość Stwórzyciela. Tysiące głosów odpowiedziało w postaci błagalnéj— wzniosło się wołanie: *Zmiłuj się nad nami!* W tém wyrażeniu, człowiek cały przedział pomiędzy Bóstwem a sobą, wskazuje. Ze skruchą prosimy miłosierdzia świętego mocnego, i nieśmiertelnego Boga. Kto swego westchnienia nie przyłącza, kto obojętnym tylko widzem i słuchaczem tego śpiewu zostaje, o tym śmiało można powiedzieć, że serce jego podobne jest do drzewa figo-

wego, o jakim wspomina Pismo święte (u Marka Ś. w Rozdz. XI. w. 14).

Kapłan odszedł od Ołtarza; szmer cichy odmawianych pacierzy, jako kłosów na niwie lekkim wiatrem kołysanych, dawał się tylko słyszeć. Lud począł się rozchodzić. Nim uda się na obchodzenie kapliczek, zatrzymuje się na murawie, która mu służy za nakrycie stołowe, pod dachem gałęzi zielonych: rozkłada przyniesiony zapas żywności. Ubodzy, kalecy, przybyli z próżnemi sakwami, odbierają część od tych, którzy w tym celu więcéj wzięli, ażeby potrzebującym udzielić. Starość, niedołężność, kalectwo, w tych dniach niedostatku nie zna: możniejsi ich obdarzają. Na nich prawdzą się słowa Chrystusa: «*Przypatrzcie się krukom, którzy nie sieją, ani żną, ani zbierają, i nie mają spiżarni, a wżdy im Bóg pokarm daje.* (Łukasz XII. w. 24).”

Las stał się obszerną salą jadalną. A jedzący podobni do tego ludu przed którym Jezus pobłogosławiwszy, kłaść kazał: «*Jedli tedy, nasyceni są,— i zebrali co zbyło ułamków siedem koszów,* (u Marka S. VII. w. 8).” Każda gromada stara się mieć umiejącego czytać; Księga, którą niesie pod ręką, takiego oznacza: sadzają go na pierwszem miejscu i najlepszą część strawy mu ofiarują. Biedny ludu! czujesz, że ci braknie słów do wydania tych uczuć, któremi serce twe jest przepełnione, z dobrodziejstwa druku korzystać nie umiesz, więc garniesz się do tych, którzy w tém są wyżsi od ciebie... Pod ich dowództwo udając się, słowo za słowem powtarza, śladami ich postępuje.

Rozpoczyna się, jak zowią, *obchodzenie kapliczek.* Przed każdą lud upadłszy na kolana, powtarza słowa przewodnika. Drogi Męki Pańskiéj, na oddzielne stacje podzielone. Obchodząc śpiewają pieśń o Męce Pańskiéj, i w rozmaitych punktach rozmaite głosy formują żałośne przypomnienie męki Chrystusa.— Pomiędzy temi *Litanja* najtkliwsze czyni wrażenie. Kadencyjne odzywanie się *Zmiłuj się nad nami! Jezu wysłuchaj nas!*— podobne jest do fali cichym wiatrem posuwanéj i o brzegi uderzającéj. Odprawujący tę modlitwę woła do Boga w imieniu ludu, a lud to wołanie potwierdza. W innych miejscach inny czytelnik odprawuje *Passje*, czyli historję Męki Chrystusowéj. Wybrał do tego kapliczkę, w któréj jest wyobrażenie Boga-Człowieka, cierniową koroną ukoronowanego, dźwigającego krzyż na sobie.

Bardziéj jeszcze ten widok czułość podnosi. Z religijnem uszanowaniem z uwagą natężoną, zebrani przysłuchują się téj historji: rozrzewnienie na ich twarzach się maluje. Godło hańby, narzędzie najdotkliwszéj męczarni dźwigane przez Stworzyciela

na odkupienie grzechów stworzenia, do najczulszéj pobudzą wdzięczności. Nie jedna boleść na taki się widok zmniejsza, nie jedna łza w połowie biegu zatrzymaną zostaje. Człowiek instynktem przez porównanie, swoje nieszczęście osładza. Bóg mu najwyższy stopień cierpienia ludzkiego wskazuje, w natężeniu boleści wymawia słowa, jakie tylko moc nadludzka wyrzec mogła: *Ojcze odpuść im— bo nie wiedzą co czynią—* i w nich przykład, jakiego żaden nie dał prawodawca, dla Świata zostaje. Wewnętrznym uczuciem serca, kalecy, schorzali, ubodzy, i inni sfrasowani to pojmują, otaczają wyobrażenie swego Odkupiciela i Pocieszyciela. Na dwie części w Kalwarji dzieli się modlitwa; obecne i minione cierpienie, niesie pod krzyż swoją ofiarę. Różnica stanów znika: niedołężny bogacz z kalekim i żebrakiem— wleką powolne kroki za Zbawicielem krzyż dźwigającym. Piérwszy i drugi błagają o sprawienie ulgi w cierpieniach, błagają tego, który za nich cierpiał, i w téj myśli już ją znajdują.

Przedwieczne Słowo przyjęło kształt ludzki, oblekło myśl z Bóstwa zrodzoną powłoką śmiertelną. Tę poświęciło na ofiarę. W krótkim zaś pobycie na ziemi, dla ubóstwa i cnoty uciśnionéj przykład i źrzódło pociechy zostawiło. Już drugi tysiąc lat upływa, przez tyle wstrząśnień rozmaitych świat przeszedł, opinje powstawały i niknęły, a godło Chrystusowe coraz większym blaskiem jaśnieje. Na górze Golgota drzewo posadzone rozpostarło nad światem konary, pod cieniem jego schroniła się niewinność uciśniona; Bóstwo ukrzyżowane na nim wyrzekło: «*Chodźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a ja wam sprawię odpocznienie.*" Na to wezwanie, strapienie przybyło szukać pociechy i pocieszone zostało. Brzemię niedoli stało się lżejsze, światło rzucone z tego punktu rozjaśniło oblicze szlachetnego ubóstwa, a zamieniło dostatek nurzający się w rozkoszach, pokazując mu kres, na którym oni kończą. Bóstwo grożące piorunem przeraża, a cieszące pociesza; przed piérwszém człowiek drży, i na twarz upada, a do drugiego się garnie. Dla tego to dla ludzkości w krótkim ziemskim pobycie trzeba było Bóstwa,— nie grożącego piorunami, ale takiego, które niedolę pociesza. Chrystus ukrzyżowany stał się prawdziwym wizerunkiem cierpiącej niewinności, na którą wszystkie namiętności powstały, którą przysięgły zgubić po najsroższych mękach, i kiedy zdawało się im że je z posad ziemskich strąciły, to zmartwych powstaje i promiennym światłem jaśnieje!

Dla tego ołtarze wzniesione Temu, który tak wielki przykład poświęcenia się dla dobra ludzkości zostawił, wieki przetrwają.

Wieśniak téj krainy nigdy w pobożności nie zachwiał się; od czasu kiedy poznał Ewangielję, stał się gorliwym jéj wyznawcą. Wszędzie wzniosł krzyże pamiątki Odkupienia, i gdziekolwiek na jéj uczczenie, jaka uroczystość się obchodzi, tysiące ludu wieśniaczego tam pośpiesza, a nasza pod-wileńska Kalwarja największą liczbę zgromadza...

Wawrzyniec Puttkamer.

NOWE DZIEŁO.

Historja Towarzystwa Jezusowego, czyli Zakonu Jezuitów, od założenia jego do naszych czasów, z najlepszych źródeł zebrana i krytycznie ułożona przez A. J. Jurkowskiego.

WSTĘP *).

Po Templarjuszach, niéma Zakonu, któryby żywszy obudzał interes w historyku, nad zgromadzenie Jezuitów.

Piérwsi, blaskiem oręża, posługami dla kościoła i całego Chrześciaństwa, niezmiernemi bogactwami i rozległemi stosunkami, tak się wysoko wynoszą, że upadek ich staje się nieuchronnym, podług zwyczajnego biegu namiętności ludzkich. Drudzy, potęgą rozumu, pracami moralnemi w kościele, nadzwyczajnym wpływem na panujące dwory, na opinją ludów i nakoniec— niezmiernemi dostatkami, zwracają na siebie uwagę kilku wieków; albo w nich tryumfują, albo ustają w niepewnych zapasach i wreszcie upadają. Piérwszych upadek jest skończony; jest owocem w połowie grubych obyczajów; i upadek ten, w oświeceńszych czasach, znajduje politowanie, obronę, i odzywa się boleśnie w sercach czułych, jak zanadto surowa i niezasłużona kara. Drudzy upadli w całym świecie katolickim; ruiny gmachów ich szé-

*) Podajemy ten wstęp— *tylko* jako zapowiednię dzieła pracowicie i z umiarkowaniem napisanego, sądzimy bowiem że powinnością jest pism zbiorowych donosić publiczności o przedsięwzięciach autorów, jakiejby oni barwy nie byli. Co zaś do saméj kwestji w dziele roztrząsanéj, zdanie nasze odkładamy do wyjścia całego dzieła z druku. (*Red.*)

roko zalegają miasta Europy; ale jeszcze znajdują przytułek, i ieszcze powstają; upadają znowu i znowu się podnoszą: i dotąd, z całą bezstronnością, ani zasługi ich, ani wady nie są ocenione. I nic niéma dziwnego: bo ci ostatni umysłowie przyszli walczyć ze wszystkiemi piérwiastkami Europy, w nowych jéj wstrząśnieniach, w nowych wyobrażeniach. Wszystko, co było innych pojęć, co nosiło potrzebę innych uczuć, wszystko przeciwko nim było, albo z dojrzałego przekonania, albo przez naśladowanie: to tylko zostało na ich stronie, co, albo widziało w nich społeczną potrzebę, albo dzieliło ich zasady.

Może jeszcze nie przyszedł czas pisać historją tego sławnego zgromadzenia: bo, wrą namiętności, albo żyją ciężkie, świeże zniewagi, które się odnawiają i nowym płoną ogniem, przy każdém usiłowaniu umierającego zakonu. Jakaż jest siła tego zgromadzenia tajemniczego, o którém tyle pisano, które samo zapełniło połowę bibliotek, obszérne tomy o sobie napisało; przeciwko któremu tylu pisało i pisze, i które, przy tylu mocnych przeciwnikach, znajduje jednakże obrońców, i w gotowéj śmierci życie gotowe; o którém nigdy powiedzieć nie można, że zgasło zupełnie, i nie można powiedzieć, że się nie odrodzi po zgaśnieniu?

Właśnie ten ważny i rozległy przedmiot całą uwagę moją zwrócił, kiedy katedry dwóch sławnych professorów Paryskich, jak *P.P. Miszele i Kine* *), zajęły się roztrząsaniem tego pytania; gdy ono zajęło obrady sejmu szwajcarskich kantonów i izb francuzkich, w których wystąpiły piérwsze imiona sławy i nauki naszego czasu; kiedy, nakoniec, wszystkie pisma publiczne zaczęły rozważać przyczyny wzrostu i upadku Jezuitów.

Wszystko musi ich potępiać, bo mieli, jak niżéj zobaczymy, i mają takich przeciwników, którzy prowadzą za sobą liczne zwolenników orszaki; bo sam Rząd nasz, który w godzinę powszechnego dla nich nieszczęścia, z taką szlachetnością i takiém miłosierdziem, dał im przytułek, zmuszony był usunąć ich z granic swoich; ale też zgodzić się należy, że mają i obrońców swoich, którzy czynią ich niebezpiecznymi dla przeciwników, którzy wpływ moralny zgromadzenia utrzymują tak silnie, że właśnie w tém moralném ich usiłowaniu spoczywa i rozpaczająca walka przeciwników i żelazna wytrwałość zakonu, który, gdyby sam sobie był tylko zostawiony, musiałby uledz sile i potrzebie mniemania czasu. Może kto powiedzieć, że same instytucje zakonu są objaśnieniem tego szczególnego wypadku w dziejach— i w części mo-

*) *Des Jesuites*, par *Michelet* et *Quinet*, quatrieme edition, Paris 1843.

gą być, i są one, zapewne; ale jakież stowarzyszenie zostawione sobie i swoim instytucjóm, mogłoby się oprzeć całéj massie ludów, całemu ich wymaganiu? Muszą więc i oni mieć stronników; i gdy znaleźli ich w XIX. wieku, wieku powszechnéj kultury moralnéj, stronnicy ci muszą mieć zasady swoje, na których opierają opiekę swą dla zgromadzenia, jak je mają i przeciwnicy.

Z tego założenia wypada konieczny wniosek, że Jezuici mają dwie strony: szkodliwą dla jednych, pożyteczną dla drugich, i że obie wspierają się na moralném przekonaniu; na różnych i zupełnie oddzielnych początkach. Objaśnienie tych początków, musi koniecznie wywiązać się z samego wykładu ich dziejów; i takie tylko przedsięwzięcie może być najbezpieczniejsze dla pisarza, który za podstawę pism swoich obrał ścisłą, bezwarunkową prawdę.

I w naszym kraju Jezuici, wielkie zostawili pamiątki; występowali do walk; ozdobili kraj wspaniałemi gmachami, wynieśli świetność religijnych obrzędów do dziwnéj wspaniałości; wydali wielkich i sławnych ludzi; rozszerzyli i wstrzymali nauki; zasłużyli się i zgrzeszyli; upadli do szczętu, i upadek ich był potrzebą i przedmiotem długich żalów, długiéj boleści i długich wspomnień.

Niéma zakonu, któryby obszerniéj i staranniéj miał spisane dzieje swoje nad zakon Jezuitów; i niéma szczegółu, niéma życia osoby, któreby uszły pamięci i uwagi historyków zgromadzenia. Życie i czasy rządów założyciela jego Ś. Ignacego, wyłożone są w XV. księgach przez *X. Mikołaja Orlandina* *), najpiérwszego historyka zakonu, a także przez Rybadanairę, Piotra Maffeja i Piotra Skargę; rządy sławnego Jakóba Laynesa w VIII. księgach *przez X. Franciszka Sakina* **); od 1591 do 1616 roku, w obszérnéj księdze opisał ozdobnie dzieje wielkiego zakonu *X. Juwencjusz* ***), z dołączeniem szczegółowego wyliczenia assystencji, kollegjów, domów, missji i osób składających zgromadzenie. Historją nakoniec zakonu od 1616 do 1625. X. *Juljusz Kordara* wyłożył w X księgach ****). Wyznać nale-

---

*) *Prima pars Historiae Soc. Jesu, a Patre Nicolao Orlandino*, Romae 1614.

**) *Historiae Soc. Jesu*, pars secunda, Auctore R. P. *Francisco Sacchino*, Antverpiae 1620.

***) *Historiae Soc. Jesu*, ab Anno Christi MDXCI. ad MDCXVI. Auctore *Josepho Juvencio*, Societatis ejusdem Sacerdote, Romae 1710.

****) *Historiae Soc. Jesu*, pars VI. Auctore *Julio Cordara*, Romae, anno Jubilaei 1750.

ży, że wyliczone dzieła, w układzie swoim bardzo obszerne, bo składające się z ogromnych tomów arkuszowych (in folio), przewyborną pisane są łaciną i zawierają w sobie wszystkie ważniejsze okoliczności, niekiedy obojętne dla obcego człowieka, ale mające, zapewne, wiele interesu dla każdego Jezuity, jak również zgodzić się potrzeba i na to: że przy podzielonych sądach i mniemaniach o tém sławném zgromadzeniu, koniecznie należy odczytać je, ażeby się poznać z duchem instytucji i z tém, co zakon, stale pasujący się od początku XVI. wieku z wielu zarzutami, mógł też, w rozmaitych czasach, powiedzieć na swoją obronę, gdyż tego i sprawiedliwość i bezstronność historji wymagają. Do tego rzędu należą starannie zbierane i ogłaszane drukiem: Historja Męczeństw Jezuitów, w różnych częściach świata i narodach *), listy pisywane do Europy do przełożonych zakonu, przez Jezuickich Missjonarzów **), historja nawet braci, czyli zakonnych sług domowych, jak braci kuchennych, braci zawiadujących odzieniem, winiarnią, apteką, zostających przy drukarni, lub użytych do kierowania rozmaitemi rzemiosłami, których czyny i w naszym języku z całém namaszczeniem i całą prostotą opisał znajomy nam X. Wojciech Wijuk Kojałowicz ***), pojedyncze nakoniec życia Jezuitów, sławnych z nauki, albo świętobliwości, przez kapłanów tegoż zgromadzenia wydane. Źródła te, właściwie jezuickie, a zatém piérwsze i najgłówniejsze, uzupełniają się rocznikami Jezuitów, większemi i mniejszemi kalendarzami, obejmującemi, albo sto lat ****), albo jeden rok, i stale prowadzonemi aż do dnia dzisiejszego, tak, iż w nich i najpiérwszy i najmniejszy w zakonie, corok był i jest umieszczony, i w następstwe czasu oceniony.

Zgodzić się potrzeba, że jeśli z jednéj strony, taki porządek rzeczy, utrzymywał zachęcenie i stawał się nagrodą każdego człon-

---

*) Societas Jesu usque ad sanguinis et vitae profusionem militans, in Europa, Africa, Asia et America, auctore *R. P. Tanner* e Soc. Jesu, Pragae 1675.

**) Listy różne ku chwalebnéj ciekawości i chrześciańskiemu zbudowaniu służące z Azyi, Afryki, Ameryki, niegdyś od Missyonarzów Soc. Jesu w rozmaitych językach do Europy przesłane. Warszawa, 1756 roku.

***) Pamiątka krótka, Braciéj Koadjutorów Societatis Jesu, świątobliwie zmarłych, przez X. *Wojciecha Wijuka Kojałowicza* Soc. Jesu, w Wilnie 1673 roku.

****) Naprzykład: *Fasti Societatis Jesu* studio *P. Joannis Drews*, S. J. Brunsbergae 1723.

Kalendarz Jezuicki większy, X. Jana Poszakowskiego, w Wilnie 1739 roku i t. d.

ka; tedy z drugiéj był najpewniejszym sposobem wiernego dochowania dla następców tego, co zdziałali ich poprzednicy. Dodać tu jeszcze należy, że od piérwszego do ostatniego pisma, zdaje się, że jeden duch niemi kierował, że je kreśliła ta sama ręka, co się, bez wątpienia, tém objaśnia, że Instytucje zakonu, przetrwały w nietykalności wszystkie epoki exystencji jego, i, że jacy byli Jezuici za czasów Ś. Ignacego, takimi zostali i w godzinę powszechnego ich upadku, i w tym czasie, gdy usunięci z całego znajomego świata, znaleźli przytułek w naszym kraju, z którego, znowu, jak niespodziane widowisko, wystąpili na nowy teatr działania.

Ale nie wszystkoby zrobił historyk, gdyby się ograniczył baczném odczytaniem tych ogromnych zbiorów; każdy bezstronny, i w przedmiocie podzielonym na stronnictwa, musi koniecznie obeznać się z mnóstwem ksiąg, pisanych przeciwko Jezuitóm, już to pod tytułem: Tajemnic Zakonu Jezuitów, Konstytucji Jezuitów, Processu z nimi w Paryżu, w Wenecji, Akademji Krakowskiéj z Jezuitami, Wileńskich Pijarów, Processu w Portugalji i Hiszpanji, Listów sławnego Paskala o Jezuitach, oprócz innych wielu wymierzonych przeciwko szczególnym Jezuitóm, albo ich nauce; albo w oddzielnych pismach, albo w ulotnych pisemkach, innym przedmiotóm poświęconych. Praca jego spełniona będzie wtenczas, kiedy ją zamknie troskliwém odczytaniem świeżych uwag P.P. Miszele i Kine, bardzo pracowitego dzieła P. Kretino-Żoli w 6 tomach wydanego w Paryżu (od 1844—1846 roku) i świéższego, nakoniec, Pana *Arnu*, jakkolwiek zkądinąd zanadto stronniczego i nawet pełnego jadu, jak się wyraziła Pszczoła Północna *), a także wielu uwag świéżo rozrzuconych w rozmaitych europejskich perjodycznych pismach, już przeciwko nim, już w ich obronie.

Z takiém przygotowaniem i na takich wsparci źródłach, przystępujemy do opisania dziejów tego wielkiego zakonu, którego same prochy zdają się jeszcze wrażać uszanowanie i przejmować uczuciem śpiących moralnych mocarzów, którzy żyli rozumem i pamięć rozumu po sobie zostawili, najwyższego i najpiękniejszego daru człowieka na téj ziemi. I w rzeczy saméj — gdy przy pomocy Boskiéj — rozważymy dzieła ich i zapasy, w które

*) Les Jesuites depuis leur origine jusqu'a nos jours par *M. A. Arnould*, Paris, 2 vol. 1846. pyszne wydanie i ozdobione kosztownemi rycinami.— P. Arnu, który nieszczególnie występuje na scenie Paryskiéj, zapewne, dla stronniczych widoków, chciał poprawić mniemanie o sobie w danym czasie, wystawując Jezuitów w gorszącéj scenie.

wchodzili, tryumfy ich i upadki, korzyści i szkody, jakie przynieśli; będziemy musieli wyznać: że życie ich tak trwałe będzie, jak zasady katolicyzmu, jak pierwiastki sprężystych rządów. Tę tajemnicę bytu ich pojął najlepiéj w godzinę smutku ich i niedoli *Wawrzyniec Ricci*, który mając przeciwko sobie Klemensa XIV. i wszystkie dwory, zdobył się na tę dziwną odpowiedź: «niech «będą, jakimi są, albo niech nie będą" (*sint*, *ut sunt*, *aut non sint*). Odpowiedź ta, jenerała zakonu, malująca całą wielkość jego i wysokie przejęcie się świętością powołania swojego, mimowolnie przypomina Prawodawstwo Mojżesza, i w Riccim, wystawuje całą potęgę moralną stowarzyszenia, który użyteczność zgromadzenia swojego czyściéj widział i od Klemensa XIV. i od owoczesnych panujących, tak skwapliwie domagających się zaprzysiężonéj ich zguby. Ta myśl jaśniéj i zupełniéj rozwinie się w ciągu pisemka naszego.

Nie możemy tu także obronić się od uwagi, że obszérne dzieła Jezuitów, piszących historję zakonu, mają język tak pełny powagi, tak dzielnéj i męzkiéj wymowy, tyle prawdy i namaszczenia, tyle nareszcie godności towarzyskiéj, że one tylko, zdaje się, miały prawo, bezstronnie, opowiadać wielkie jego czyny, że w nich tylko szukać ich należy, i że wszystko, co się przeciw nim powiedziało z nieprzyjaznéj strony, niknie jak piękne, łudzące, fantastyczne światło, przy trwałém i niegasnącém świetle. Takie założenie nasze mogłoby na wstępie dobrą naszę wiarę podać w podejrzenie u wielu czytelników, gdybyśmy obrony naszéj nie znaleźli w bezstronnym wykładzie całego pisma. Jan Jakób Russo kiedyś ostrzegał, «ażeby książki jego do rąk nie «brano, bo ten co ją wziął i zaczął czytać, musi ją skończyć." I my prosić będziemy ażeby nas z cierpliwością przeczytano do końca: bo na drodze sprawiedliwego sądu i pochwalić należy co zasługuje na pochwałę, i bezstronnie wskazać to, co było naganne.

Rzuciwszy okiem na naszę piękną, obszerną krainę, któréj ojcowie całą wiarę położyli w swoim i naszym Bogu, którzy tak ochoczo biegli do Jego ołtarzów i wznosili Jemu nowe; spotykamy i na niéj obszérne i daleko ciągnące się gruzy ich gmachów i szérokie cmentarze, zajęte pamiątkami Zakonu; spotykamy wielkie i sławne imiona, spotykamy głośne i ukryte czyny, dla jednych pożyteczne, dla drugich szkodliwe, i najwyższą potęgę stowarzyszenia i hańbę tułaczów, odrzuconych przez rodzinną ziemię; w téj jeszcze krwawéj obeldze służących krajowi z całą chwałą, całym pożytkiem i całym blaskiem piérwszych mężów w narodzie. I tuśmy się dotknęli niewyczerpanego przedmiotu, i tu

moglibyśmy napisać obszérne tomy. I z naszych kazalnic rozlegały się dziwne słowa nawrócenia i pokuty, tak wysokie, że w ościennych narodach nic nad nie wyższego i piękniejszego spotkać nie możemy; i przy naszych konfesjonałach, działy się w tajemnych przestrogach cuda pokuty i poprawy, i w naszych szkołach wzięli wykształcenie ludzie, którzy potém pożytecznie i długo— i we wszystkich czasach— jaśnieli w kraju wysokiemi obywatelskiemi zasługami. Ale i u nas także były grzechy zakonu, które w godzinę wielkiéj jego boleści, opłacił on powróceniem tego wszystkiego, co przez wieki składał mu gorliwy, bogobojny i wdzięczny narod. Były u nas i inne jego grzechy, które obowiązkiem naszym będzie z całą prawdą i całą bezstronnością wystawić, jak się to należy pamięci wielkiego, zmarłego u nas zgromadzenia. Pracowitą tę część naszéj historji, tém śmieléj przedsięweźmiemy, że wolni jesteśmy od wszelkich uprzedzeń i do żadnego stronnictwa nie należymy; i ponieważ niczego nie opuściliśmy, ażeby ten przeciąg czasu w dziejach krajowych, wyświecić z całą, najściślejszą prawdą.

Z takiego wykładu przedsięwziętego przez nas dziełka, koniecznie musimy go podzielić na dwie części, poświęcając piérwszą wykładowi ogólnéj historji zakonu w całym Chrześcjańskim świecie, drugą— szczególnie historji jego w naszym kraju, aż do ostatniego upadku w Cesarstwie. Praca ta zamknie się dodatkowym tomikiem, zawierającym: krótki opis wszystkich sławniejszych Jezuitów, najbardziéj polaków i wiadomość o posiadłościach ich w całym świecie, bądź w domach, bądź w majątkach. Zresztą, nauczeni doświadczeniem jak mordujące bywają dla pamięci drobnostki, mało służące prostemu celowi, powiększające tylko najczęściéj liczbę kart opuszczanych, weźmiemy za zasadę takie tylko okoliczności wprowadzać, które będą mogły oznajomić czytelników z dziejami sławnego stowarzyszenia i razem usprawiedliwić to, cośmy w tym wstępie położyli sobie o niém powiedzieć. Rozumiemy jeszcze, że wprowadzone przez nas wizerunki sławnych ludzi, należących do losów zgromadzenia, albo wchodzących do jego składu, i odbicie mappy prowincji Jezuitów w dawnéj Polsce, sprawią przyjemność czytelnikóm tém większą, że one przypomną im żywo wielkich w kraju mężów, których imiona przetrwały czasy i sądy, i od dzieciństwa naszego stawały się przedmiotem już uwielbienia, już podziwienia. Mniemaliśmy także że odbicie mappy, wystawującéj podział Polski na prowincje zakonu, tym większy jeszcze obudzi interes, gdyż ona wiernym będzie wizerunkiem oryginału, blisko przed stem lat skreślonego przez

jednego kapłana Jezuickiego w Pińsku; i ponieważ mappa ta nie była urojeniem prostego zakonnika, ale żywym obrazem wpływu— można powiedzieć— moralnego i religijnego ich panowania w tych częściach ziemi, a zatém i objaśnieniem jego potęgi.

Twórca nowych zasad w Europie, ojciec wszystkich nowych wstrząśnień i wynikłych ztąd nowych jéj urządzeń, w dniach wiszącéj powszechnéj niedoli nad zakonem, do głębi serca przejęty jéj widokiem, w obliczu wierzących mu i uginających się przed nim uczniów, podniosł głos obrony w sprawie zakonników, którzy kiedyś zajmowali się kształceniem jego młodości; dla których czułe zachował wspomnienie i którzy nieprzeszkodzili mu rozwinąć téj siły genjalnéj, która stworzyła nową epokę w dziejach umysłu ludzkiego i tylu nieprzyjaciół dla samego zakonu.— «Przez «siedm lat"— mówi ten sławny pisarz w liście do X. Latour, Rektora Kollegjum Ludwika wielkiego *)— «wychowywany by«łem przez ludzi, zadających sobie dobrowolne i niezmordowane «prace dla wykształcenia umysłów i obyczajów młodzieży. Od «jakiegoż czasu żądają, ażebyśmy nie mieli wdzięczności dla na«szych nauczycieli?... I, jakże? w przyrodzeniu człowieka zosta«nie potrzebą z przyjemnością ujrzeć dóm, w którym się urodził; «wieś, w któréj wykarmiony był przez najemną kobiétę, a przestanie «być potrzebą naszego serca kochać tych, którzy podjęli dla nas «szlachetne prace w piérwszych dniach naszych?... Jeżeli Jezuici «mają proces w Malabarze z jakimś Kapucynem, w rzeczy, o któ«réj nie wiém, i cóż mi do tego?. czyż to jest dla mnie powo«dem, ażebym był niewdzięcznym dla tych, którzy mię natchnęli «miłością sztuk pięknych i uczuciem, które aż do grobu staną się «pociechą mojego życia? Nic nie zgładzi w mém sercu wspomnie«nia o *X. Porée*, zarówno drogim dla wszystkich, którzy się «pod przewodnictwem jego uczyli. Nigdy człowiek nie wystawił «nauki i cnoty w powabniejszych postaciach. Godziny jego lekcji, «były dla nas godzinami roskoszy; i chciałbym, ażeby w Paryżu, «jak w Atenach, pozwolono było w każdym wieku znajdować się «na podobnych lekcjach: przychodziłbym często ich słuchać. Mia«łem szczęście być kształconym przez wielu Jezuitów, charakte«ru księdza Poreé, i wiém, że ma godnych następców. Nakoniec, «w ciągu siedmiu lat, które przepędziłem w ich domu, cóż u nich

*) Wolter. List ten w skróceniu, ale dosłównie przytaczamy. Pisany on był w Paryżu, 7 Lutego 1746 roku, i między innemi, znajduje się w dziele pod tytułem: *«Coup d'ocil sur l'arret du Parlement de Paris du 6. Août 1761. concernant l'Institut des Jesuites,* à Avignon 1761. p. 137.

«widziałem?... życie najpracowitsze, najskromniejsze, najlepiéj u-
«rządzone; wszystkie godziny podzielone na starania, dla nas i
«dla surowego ich powołania poświęcone. Wzywam na świadec-
«two tysiące osób, wychowane przez nich, jak i ja byłem, i nie-
«znajdzie się żadna, któraby mogła zaprzeczyć temu."

Czemużbym i ja nie miał wyznać— niezależnie od biegu sprzecznych mniemań,— że także byłem ich uczniem, chociaż w tych czasach, kiedy chwała zakonu zgasła, kiedy przy nim zostały tylko wspomnienia utraconych bogactw i wielkich dzieł,— skrzywdzonych zasłużoném i niezasłużoném niepowodzeniem. Czemużbym i ja nie miał powiedzieć, że sześć lat najszczęśliwszych mojego piérwiastkowego życia, przepędziłem pod prawdziwie ojcowską ich opieką; że cóż mi do tego, że *Kołłątaj* rzucał na nich pośmiewisko, a poważny *Jan Sniadecki* obwiniał ich o wstrzymanie postępu nauk, kiedy ja się nauczyłem od nich zasad cnoty i religji, miłości porządku i téj wiary w sumienie, która jest aniołem stróżem i czystości domowego życia i czystości publicznych stosunków; że we wszystkich Jezuitach miałem nauczycieli wzorowéj bogobojności, nauki dojrzałéj; że zasady przez nich zaszczepione uczyniły mię niedostępnym na pociski losu i stały się całą moją pociechą w smutkach tego życia; że na mojém sercu leży także święte wspomnienie *Landesa*, *Tywańkiewicza*, *Rypińskiego*, *Reuta*, *Hłuszniewicza*, *Perkowskiego*, *Buczyńskiego*, *Fessarda*, *Hibelta*, *Kalaboty?* jak leży ono na sercu wszystkich tych, którzy nauk ich słuchali.

Ale życie wdzięcznego ucznia i pojęcia jego o osobistych dobroczyńcach, różne są od sądów powszechności: cnoty osób szczegółowych, nie zależne są od działań wielkiego, dążącego stowarzyszenia. Oba więc te stanowiska, niezależne od siebie, rozwiną się i oznaczą samym ciągiem wypadków, bezstronnie, prawdziwie, sumiennie opowiedzianych. Oby ta praca nasza, ślub młodego jeszcze serca, dodana do wielu innych, albo już dokonanych dla publiczności, albo się dokonywających, stając się nowym dowodem mojego dla niéj poświęcenia się, została razem pamiątką i téj ścisłéj, niczém nieuprzedzonéj prawdy, z jaką przechodziłem pole historycznych usiłowań!!.....

Alexander Jurkowski.

Szawle. Marca 3 d.
1849 roku.

BROSZURY

EMANUELA JASTRZĘBCZYKA.

Zaprawdę, zaprawdę mówię: jeśli się kto nie odrodzi znowu, nie może widzieć Królestwa Bożego.

Ew. Jana, R. III, w. 3.

Płeć piękna na Litwie.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1850.

Pozwala się drukować, z warunkiem złożenia po wydrukowaniu do Komitetu Cenzury prawem przepisanej liczby exemplarzy. Wilno 1850 r. Czerwca 5 dnia.

Cenzor K. Pawłowski.

Płeć piękna na Litwie.

Rozwinięcie ogólnéj chrześcjańskiej miłości, zależy na rozwinięciu miłości czystéj i niesamolubnéj, a któréj mistrzynią może być tylko prawdziwie wykształcona, i duchem obdarzona kobiéta.

Bóg i ludzkość. Przez Prawego Chrześcijanina.

Mówiąc o kobiétach, zwłaszcza Litwinkach, niepodobna nie rzucić słów kilka o familji. Familje to niby ogniwa zespolone, z sobą, których summa stanowi jedną społeczność. Życie familijne nie jest zawadą egoistyczną miłości ludzkości lecz owszem pierwszym wzorem, pierwszą nauką życia społecznego. Życie społeczne o tyle jest górującém nad życiem familijném, o ile familja jest mniejszą od społeczności. Musiémy wystąpić przeciw nieprzyjaciołom związków familijnych; sympatja wzajemna członków familji jest uczuciem wrodzoném; gasić ten znicz boży, ten płomień przyrodzony, jest to burzyć jedną część z dzieła Stwórcy, jest to wyzwać Twórcę do walki, niszczyć samych siebie,

gwałt istocie ludzkości zadawać. Nie idzie nam o niszczenie przyrody, lecz o zawładnięcie nią, a ztąd o jéj uduchownienie. Wszelkie uczucie miłości wzdymające pierś człowieka, acz najbłahsze, byleby cień tylko poświęcenia nosiło w sobie, już uszlachetnia człowieka, już jest nierozerwalnym atributem istoty jego. Człowiek stworzony dla związków i sympatji zobopólnych bez liku! Jak pająkowi têm bezpieczniéj i wygodniéj im gęstszą sieć około siebie osnuł, tak człowiek têm silniéj jest w swym żywiole, têm doskonalszym jest i szczęśliwszym, im gęstszą siecią związków, uczuć i sympatji ku drugim, okolił siebie.

Rzadko strony, gdzieby tak silném tętnem grało życie familijne, jak na Litwie. Na nieszczęście, ta wyłączność życia familijnego stała się z uszczerbem życiu społecznemu, publicznemu; nigdzie też tak dotkliwie nie czuje się brak życia społecznego jak u nas. Na Litwie krom plotek, ani słychać o wypadkach, ludziach lub przedsięwzięciach mogących obchodzić wielki ogół. Ktoby, chcąc poznać Litwę, dopatrywał tylko życia społecznego, mógłby powziąść mniemanie że kraj ten żyje tylko żywotnym processem czworonogich. Lecz aby pochwycić ducha Litwy, należy przeniknąć w głąb życia familijnego; tam tylko dają się widzieć prace ducha, tam się odegrywają dramata życia naszego, tam bohatery i bohaterki, tam poświęcenia, niebieskie radości i łez rzeki... Żywot więc Litwy bije w łonach cząstkowych rodzin. Czy zdrowa krew tam się sączy? czy robak niedoli nie toczy tych łon życiowych?—to zapytanie!

Nic osobliwszego i równie poetycznego, w mojém przekonaniu, jak to życie patryarchalne rodzin litewskich. Życie wiéjskie, stosunki sąsiedzkie i życie obywatelskie, nie-

rozerwany mają stosunek zawsze z tém życiem familijném. Jak godna podziwu, w obecnym czasie, ta cześć nieposzlakowana i bezwarunkowa dzieci dla rodziców, a całkowite oddanie się rodziców dla dzieci, to uświęcone przywiązanie w rodzeństwie, między krewnymi i powinowatymi w najdalszém rozgałęzieniu, to ogólne współdziałanie i współczucie we wszelkich wypadkach nadarzających się członkom familji! A wszystkie te stosunki zawarowane piętnem uroczystéj świętości i konieczności nieodzownéj.— Jest że szczęście w tych gronach familijnych? Rzecz dziwna i nauczająca! wierzajcie mi, iż nie ma rodziny któraby nie miała tajemnego robaka co jéj szczęście toczy! gdzieby za zamkniętemi drzwiami nie lały się łzy rzęsiste, nie huczały gromy, nie raziły ciosy klęsk domowych! Z bolem w sercu szukałem powodów tylu niedoli, i znalazłem je właśnie w téj wyłączności życia familijnego, w zesklepieniu myśli i uczuć indiwiduów w przyciasném kółku familji, w niedostatku pożądań i działań za jéj obrębem, a ztąd w ubogiém rozwinięciu serca i umysłu, to jest w małości ducha. Oto, ten wyciska łzy i zdrowie współkrewnym, bo z braku wyższych pojęć i popędów stał się trutniem albo nikczemnikiem. Między innemi znowu ustawiczne nieporozumienia, starcia się gwałtowne, nieskończona walka bolesna nastrajająca życie na niedolę i łzy rozpaczliwe. I jakaż przyczyna téj nieustannéj niezgody domowéj? Oto iż w ubóstwie umysłowém niepotrafią wyrozumieć się wzajemnie; albo, z powodu bezczynności duchowéj, myśl upośledzona a wszelako chętliwa do czynności, wyszukuje, mimo wiedzy i chęci, bezzasadne *causae belli*, stanowiące błahą niedorzeczność lub przedmiot drobniutki *trzech groszy* niewarty.

Główną zatem przyczyną niedoli moralnéj na Litwie

jest brak idej wyższych, brak życia przyzwoitego istotnemu chrześcjaninowi, brak działań po za obrębem powszedności i familji!

Żywioł familijny na Litwie wywarł wpływ najpotężniejszy na charakter i postać moralną płci pięknéj. Rzadko strony w całéj Europie, gdzieby ogół kobiét odznaczał się tak wysoką prostotą, szczerością, naiwnością i wewnętrzną czystością, jak dziewice litewskie. Rzeczywiście, są to idealne zalety kobiét, rzadkie w dzisiejszych czasach materjalizmu i rozwiązłości. Ideały tak się stały nieurodzajne teraz, że ziemia gdzie one przebywają, jest *ziemią obiecaną*, ziemią łaski pełną. I cóż piękniejszego, bardziéj porywającego, i tyle niebieskiéj błogości przynoszącego jak kobiéta z cnotami idealnemi? Szczera prostota, czystość duchowa i naiwność, obecnie stały się jakby podaniem jakowémś, lub marzeniem romansowéj głowy, albo udaniem zalotnicy. A przecież— o, dzięki Bogu za to szczęście!—siostrom naszym, mówiąc o ogóle, nie braknie cnót tych niewieścich przynajmniéj w pewnym stopniu. Niezachwiana wiara religijna, wiéjska atmosfera, a przedewszystkiém życie familijne, utrzymały na Litwie te cnoty bajeczne. Zepsucie moralne niewiast nie potrafiło przedrzeć się na zacisze wsi litewskich przez bory nieprzebyte, mnogie kościoły i krzyże na rozstajnych drogach! Bogobojne matki nasze, w wychowaniu córek, głównie dotąd baczność mają na ich skromność i moralność, póżniéj na wykształcenie powierzchowności, reszta wychowania trzyma podrzędne miejsce....

Okazałem otwarcie i z wewnętrzną roskoszą, zalety ogółu dziewic litewskich. Winienem teraz okazać ich wady; ach! bo też są wady, niestety, i wielkie! Zwykle

słabe istoty są usposobienia biernego, stają się one takiemi, jakiemi ich zrobią; wady też dziewic naszych wypływają nie od ich samych, lecz po większéj części z wychowania, jakie wy im dajecie, czcigodne matki. Bolesny to zarzut dla was, matki, których ciągłą troską i kłopotem jest córek waszych wychowanie, co strzeżecie je jako zrzenicy własnéj. W istocie, wy matki, co możecie to robicie, ależ i mało możecie, bo wady wychowania córek waszych, leżą w was samych. Córkom brak wykształcenia wewnętrznego i gruntowniéjszego, brak życia wznioślejszego, duchowego; a to ztąd iż w was samych brak tego, że i wy niepojmujecie i nieczujecie potrzeby podobnych dla córek przymiotów.—Całą usilność w wychowaniu dziewic, zwrócono u nas wyłącznie na zewnętrzną stronę; układ powierzchowny, *prawidła* znajdowania się w towarzystwie, taniec, muzyka, języki i pobieżne elementarne wiadomości, to są nauki dziewic naszych. Wszystkie dla ciała tylko i pamięci, ale w sercu, w umyśle, w duszy— zostawiona próżnia zupełna. I boleśnie wyrzec że, przy powyżéj wymienionych zaletach, dziewice nasze są li ciałami chodzącemi, bez ducha, z pustym umysłem i z pustém sercem. Żadnéj młodzieniec od nich karmi moralnéj nie otrzyma, żadnéj pobudki do wzniesienia się, do cnoty. Nic bardziéj rozczarowującego i tyle utrudzającego dla młodzieńca choć cokolwiek wykształconego, jak rozmowa, a jeszcze długa z dziewicą. Jeżeli tylko ta rozmowa nie toczy się o wiadomostkach a raczéj plotkach, wnet się dziewica nasza moderuje, wymusza, sznuruje usta. Rozmowa gdy się zwróci na przedmiot cokolwiek wznioślejszy nad *powiadają jakoby*, nazwaną jest *niedobrym tonem*, brakiem *otarcia się salonowego*, pretensjonalnością, nieprzyzwoitością, *impertynencją* dla panny. Dalecy jesteśmy od tego abyśmy wymagali pedanckiej uczoności od ko-

biét; wszelako najsłuszniejsze mamy prawo żądać aby umysł dziewicy był nie obcym i współsympatyzującym z ideami, pragnieniami ludzkości i okolicznościami jéj bytu. Byłem raz świadkiem, iż dwaj młodzieńcy, podczas mazura siedząc z obu stron *ładnéj* panny, zaprzestali, profany, *konwersację* z pięknością, a wszczęli żywą dysputę między sobą; były w téj rozmowie na scenie *Jordan*, *Przedjutrznia* i *Pieśń o ziemi* i wiele innych rzeczy. Żywa była rozmowa,—wyrazy i myśli jak gęste race sypały się z ust, krzyżowały się i pękały między *uszkami* w środku siedzącéj. *Ładna* panienka najprzód się moderowała, detonowała, późniéj, zdobywszy się na cywilną odwagę, niby z zajęciem i uwielbieniem słuchała, podniosła nawet śmiałość do potakiwania. Ale nieszczęsna rozmowa niekończyła się; dziewczynie na wstyd się zabierało, iż ani słówka do rozmowy wtrącić nie jest w stanie, iż najwidoczniéj okazuje się *o Bożym świecie* niewiedzącą. Na dobitek, poprawicy siedzący, przerwawszy dysputę, z zuchwale ironicznym tonem odezwał się do sąsiadki: „wybaczyć nam proszę żeśmy znudzili panią niewczesną a usypiającą kon-wer-sacją!"—Nie zawadziłoby, lube Litwinki, gdyby każdą z was ta nie nader przyjemna katastrofa spotkała, a zwłaszcza w obec matek waszych! Przed niedawnemi jeszcze czasy powiadano u nas z oburzeniem, że kobiety wyższego są sposobu myślenia od mężczyzn. Dzisiaj śmiało wyrzec mogę, że płeć piękna u nas wcale nie odpowiada wykształceniu i wymaganiom większości mężczyzn. Chyba że żona ma być uważaną tylko jako maszyna potrzebna dla kłopotarki domowéj! w takim razie *à la bonheur!* niech prosperują przyszłe *żonki* nasze!

Mało tego że dziewice nasze są źle i mało wykształcone; co boleśniejsza jeszcze, że jak już wspomniałem, du-

sze ich śpią snem nieprzespanym,—żadne uczucie wyższe nie wzniesie ich piersi, nie rozpłomieni oka, żadna myśl godna czasów obecnych nie obudzi ducha ich z letargu. „Tak, tak, to pięknie, to prawda!"—odpowiedzą ci obojętnie, dla formy, a rozsądniéjsza z udanym albo chwilowym zapałem,—gdy rzucisz słowo z chęcią rozbudzenia ich duszy. Napróżno szukasz, młodzieńcze! jeśli pozorem i powierzchownością nie dasz się ułudzić, to tylko ciało i ciało w dziewicy naszéj znajdziesz! Jeden cel i jedyna tylko dążność i marzenie porusza życie wewnętrzne w dziewicy, to—miłość i małżeństwo. Mąż i miłość, to jedyny cel pragnień, reszta wszystko marność! Są niektóre dziewice u nas, tak nazwane, rozsądne; one to niby myślą, ale myśl ich oderwać się nie może od miłości płci, około któréj kulminuje jako planeta koło słońca. Brak pobratymczego i pomocnego rozmyślania oraz stosowniejszego do potrzeb teraźniejszych wykształcenia, usposobienia i sympatji, wyradzają najczęściéj w głowach tych rozsądnych panien dziwolężne albo wsteczne i zgubne opinje o miłości, płci męzkiéj i marności tego świata. Warto posłuchać i żałować—albo wściekać się!

Wychowanie powierzchowne kobiét naszych uczyniło je całkiem powierzchownémi. Ztąd ta cześć w nich i upodobanie do wszystkiego co składa całość świata salonowego. One sądzą że salon jest najwyższą areną do popisu na tym świecie. Salon dla nich nie jest li zabawą, środkiem życia towarzyskiego, lecz koniecznym życia przyzwoitego zakonem, pełnym nienaruszonéj powagi i fatalistycznéj grozy, nakazującym bezwarunkowe wykonywanie wszelkich wymagań swoich. Dla tegoż każda kobiéta u nas jest Salonowiczówną, a przynajmniéj aspirantką do téj godności. Skłonności salonowe tak weszły w na-

turę kobiét, że skoszlawiły w nich gust dobry i naturalny, tudzież własność sprawiedliwego oceniania rzeczy. Niemoc ta okazała się aż w miłości; gdyż Salonowicze, lubo anomalje płci męzkiéj, są wszakże najniebezpieczniejszémi istotami dla serc niewieścich, są ideałami ich romansowych i najszczytniejszych marzeń. O! starosławny, biedny Don Giovanni! jakżeś haniebnie dzisiaj sprofanowany, zelżony i wyśmiany! wyobrazicielami twoimi dzisiaj któż są?—Salonowicze!—Przeczyć temu nie mogę że w towarzystwie płci pięknéj, mężczyzna dla zharmonjowania się powinien przyjąć i na zewnątrz pewną cechę piękna—ależ nie arlekinady, nierozumu i małoduszności!

Przyczyną tedy największych wad kobiét na Litwie jest brak wykształcenia wewnętrznego i zesklepienie uczuć i myśli w drobnym światku familijnym. Prawe serce oburza się na tych barbarzyńców utrzymujących iż niewiasta jest niższą istotą od mężczyzny, że rola jéj na świecie ma być podlejszą od roli mężczyzn, a ztąd i wychowanie powinno być błahszém, aby odpowiedziało błahemu przeznaczeniu tych *słabych* istot. Zaprawdę, czas już otrząść się z zatrupiałych a obrzydłych swym egoizmem pojęć, czas nam uszlachetnić siebie uznając wyższość nie w saméj mocy, czas już płeć piękną wprowadzić na scenę życia, taką, jaka jéj się należy z woli i planów Bożych.

Ponieważ własności płci męzkiéj właściwych braknie niewiastom, lub tylko słabo w nich są rozwinięte, ztąd płeć męzka powzięła porywcze przekonanie o wyższości swojéj. Lecz przepomniała że i płeć piękna na téj zasadzie mogłaby domagać się pierwszeństwa, gdyby była tyleż samolubną; bo i ona ma swoje zasoby, których nam albo całkiem zbywa, lub tylko w małym stopniu posiada-

my. Nam niewyrozumiałym i grubym egoistom nie chciało się uznać przymiotów niewiast. Nie chcieliśmy o tém wiedzieć, że rozmaitość cech obu płci na to jest, aby, w połączeniu się zobopólném, stanowiły całość pożądaną od Boga. Nie chcieliśmy wiedzieć że ta rozmaitość i przeciwność obu płci, właśnie, według wyroków Tworzyciela, stanowią przyczynę tego nieprzełamanego pociągu i upodobania wzajemnego, obu płci. Nie chcieliśmy przyznać że nasz rozum i energja ważą tyleż, ile uczucie i piękność w kobiécie.

Powinniśmy nareszcie przekonać się, że w duchowéj i materjalnéj stronie, Bóg w swéj sprawiedliwości, obie płci zrównoważył przymiotami, lubo wzajemnie odmiennemi. Ztąd koniecznie wypływa niejednakowość, lecz równa wartość roli mężczyzn i niewiast. Im większą przewagę materjalizmu widziémy w dobach dziejów ludzkości, tém bardziéj kobiéta okazuje się ujarzmioną i uniżoną; siła fizyczna nadawała prawo *panom świata* uniżać płeć słabą i piękną! Jeżeli się rwiemy do życia moralniéjszego, wyższego, jeżeli chcemy się otrząść z pętającéj nas cielesności, to zaprawdę, winniśmy przedewszystkiém pobratać i zrównać z sobą towarzyszki nasze, winniśmy wprowadzić je w ten świat, gdzie prawda panować i działać im każe.

Nikt obecnie niezaprzeczy przeważnego wpływu kobiéty na płeć męzką a ztąd na ludzkość i jéj dzieje, występuje-li ona w postaci matki, kochanki lub żony. Kobiéty może niechcąc odpłaciły sowitą zemstą płci męzkiéj, za uniżenie i upodlenie swoje; bo ileż to nędzy przeszło w ludzkość i indiwidua, z powodu nieuchronnego a szkodliwego wpływu niewykształconych i znikczemnionych kobiét! Zaiste jeżeli ludzkość pragnie zostać wzniośléjszą

a ztąd szczęśliwszą, winna *ocenić* posłannictwo płci niewieściej i *przygotować* ją do wypełnienia posłannictwa.

Ze źródła czystéj a wewnętrznéj w kobiécie piękności i uczucia, wytryska ożywcza wiara, miłość i nadzieja, umajone czarowném kwieciem zapału, natchnienia, bystrości i intuicji. Kobiéta powinna być natchnieniem naszém, pobudką elektryczną do cnoty i wielkich czynów, aniołem o promiennych skrzydłach wznoszącym ducha męzkiego w sfery niebieskie. Niewiasta odpowiadająca wysokiemu przeznaczeniu swemu, a ztąd pełna nieopisanego uroku, pięknością ducha i ciała, pełnością uczucia, powinna powodować ludzkość do postępu dziejowego, do szczęścia, do królestwa niebieskiego. Lecz aby to się stać mogło, płeć piękna powinna mieć cześć i uwielbienie u płci silnéj; aby zaś uczczoną być mogła, musi stać się godną czci, to jest, należycie wykształconą.

Niewiasta - obywatelka,— a jako taka, wpływem swym udzielająca siły ludzkości w ciężkiéj wędrówce do celów swoich,—powinna wiedzieć o celach bytu wszech-rzeczy, przenikać wolę Twórcy urzeczywistniającą się w ludzkości, pojmować przeszłość téj ludzkości, znać stan jéj w teraźniéjszości i przeczuwać jéj przyszłość. Z wiadomością niech się łączy miłość téj ludzkości, sympatja i współuczęstnictwo w dążeniach i pragnieniach. Ztąd widziemy już jakiego rodzaju ma być wykształcenie niewiasty, aby nadało jéj te wiadomości i te uczucia. Gdy udziałem mężczyzn muszą być przy ogólnych specjalne nauki, kobiety powinne się kształcić bardziéj na idealnych umiejętnościach, dających massowe pojęcia o wszech-rzeczach. Jeżeli mamy wskazać poimiennie nauki, mające stanowić wyższe i ostateczne wykształcenie dziewic, to takiemi są:

filozofja, polityka, historja, literatura i sztuki piękne. Każdą z tych nauk o tyle tylko uczennice posiadać mają, o ile potrzebne są do nadania stałych i zgodnych z duchem czasu pojęć, oraz do wzmożenia i wykształcenia uczuć. Takiego wykształcenia wymagalibyśmy od kobiét w ogóle, a w szczególności od Polek.

Wszakże cel wychowania i samo wychowanie płci niewieściéj na Litwie, dalekiemi są od tego ideału. Skutki też dotychczasowego wychowania kobiét okazują się w obec postępu i moralności coraz szkaradniéjszymi. Przy doskonalszém wychowaniu nie mielibyśmy dzisiéjszych *Lafiręd* i *Karjerowiczówien*, które dotąd, dzięki niebu, są u nas tylko wyjątkowymi dziwolągami.

Lafiręda jest to siostra rodzoniuteńka Salonowicza, królowa dzisiéjszych salonów, propagatorka tego wszystkiego co salon zawiera w sobie najśmieszniéjszego, nierozsądnego i szkodliwego. Projekta salonowe, reprezentacje, plotki i intrygi — to świat działalności Lafirędy. Nie tylko w salonie, lecz w domu, na ucho, z przyjacjółką (jeżeli miéć ją może), gachem, mężem, bratem, matką i z córką, zawsze mówi po francuzku. Nic nie myśléć, nigdy się nie rumienić, to są konieczne statuta Lafirędy. Ona jest arcy-wzorem, i zazdrością i nienawiścią biednych gąsek, napróżno usiłujących naśladować ją i wyrównać. Najczęściéj Lafirędami bywają mężatki i wdowy, zwłaszcza młode. Ztąd, ile uważałem, młode mężatki jako primadonny naszego salonu, a dla tego najłacniéj dające się skusić *lafirędostwem*, zwykle są przykładem wszelkich niemoralności niewieścich i niedorzeczności dzisiejszego salonu. Radziłbym panom mężom baczyć na to, aby żony ich nie nabierały namiętności do przewodniczenia w salo-

nie, bowiem pleśń zapomnienia grubą warstwą pokryje i pończochę i dzieci i ciebie samego, małżonku!

Przeciwnie *Karjerowiczówna*, jak to samo przezwisko pokazuje, zawsze jest panną, rzadko wdową. Przedstawcie sobie dziewicę pałającą najżywszą namiętnością ku—krociom metallicznym; zaiste ponętny obraz! Lecz cóż wstrętniéjszego być może, jak widok panny co do takiéj potęgi wzmogła w sobie namiętność znaczenia i bogactw, iż wyparłszy się uczuć i skłonności płci swojéj właściwych, naprężyła marzenia swe, pragnienia i usiłowania li na to, aby sprzedać siebie w małżeństwo, o ile się uda, za najznaczniéjsze pieniądze? Tym frymarczącym się potworem jest, Karjerowiczówna. Któż nie wstrząśnie się obrzydzeniem na myśl o młodéj panience *z rachunkiem*, o kobiécie-mężczyznie, o istocie dwópłciowéj, o kobiécie-monstrum bez serca?!...

Karjerowiczówna musi być piękną, albo dowcipną, a przynajmniéj wysokiego wykształcenia salonowego; inaczéj nie miałaby *kapitału* na którym spekulację swoją oparła. Widząc Karjerowiczównę w obec aspirantów do stanu małżeńskiego, cierpliwy badacz mógłby po słabnącym lub wzmagającym się uroku w jéj uśmiéchu odgadnąć gradację wdół i wzwyż funduszów każdego z aspirantów. Faust zaszedłszy w dzień sabbata na łysą górę, puścił się w tany z jedną djablicą. Tanecznica choć djablica była młodą, piękną i ponętną; lecz na nieszczęście gdy się roześmiała, spostrzegł Faust w jéj gębie — szczura! Ja zaś, kiedy patrzę na Karjerowiczównę rzucającą na wszystkie strony uroczne swe a interesowane uśmiechy, widzę w koralowych jéj ustach, żółtego, lśniącego się dukata!...

Oto naprzykład, panna, któréj lata wiosenne, z wielką jéj boleścią, przeszły już na bezowocném zwabianiu *Kalifornijczyków*. Doświadczenie wytrawiło ją w sztuce podobania się, — otoczyła się wielbicielami. Pierwszy z nich, dajmy że jest piękny i szlachetny młodzian, pełen osobistych przymiotów słusznie wabiących serca kobiéce, ale— niebogaty. Drugi, człowiek prawy, rozumny, mocnego charakteru i majętny. Trzeci również dostatni, ale głupi, zniewieściały i niedołężny albo stary. Sąsiedzi od dawna szepczą że panna pierwszego wybierze. Lecz jakież było ich zdumienie, gdy niespodzianie gruchnęła wieść o zaręczynach panny— z trzecim! Z trzecim!! — krzyknęli wszyscy... zdumieli się, zgorszyli się i roześmiali! Wzgardziła panna pierwszym, bo niebogaty; lecz ta chwilowa pogarda niech nie smuci młodzieńca, po zamążpójściu kochanka odwoła pogardę. Pełna rozwagi Karjerowiczówna odmówiła ręki i drugiemu, przewidując rozkaz zaporem zbyt sprężystéj woli, przeciw wysnutemu już w jéj głowie rodzajowi przyszłego pożycia. Najdogodniéjszym okazał się trzeci, bo równie bogaty a dostatecznie niedołężny aby mógł pozostać na zawsze pod pantoflem małżonki... Taką to bywa Karjerowiczówna! — Nie jest że to postępek skandalnéj, z zimną krwią spełnionéj rozwiązłości, w obec całego świata, w dzień biały?! Moralny człowiek powinien drzwi domu swego zatrzasnąć przed taką kobiétą, aby niedopuścić zgorszenia dla żony i córek; osoby przestawające z kobiétą podobnych obyczajów, niech będą skażone w opinji publicznéj! —

Następna Broszura poda projekt do małej reformy i organizacji zabaw towarzyskich.

21 Lutego, 1850 r.
w Koczynie.